



WENDY HOLDEN

URODZENI, BY ŻYĆ



WENDY HOLDEN

**URODZENI,
BY ŻYĆ**

Z języka angielskiego przełożyli
Przemysław Hejmej i Jerzy Rosul



Spis treści

[Motto](#)

[Dedykacja](#)

[Od autorki](#)

[Wstęp](#)

[1. Priska](#)

[2. Rachela](#)

[3. Anka](#)

[4. Auschwitz II-Birkenau](#)

[5. Freiberg](#)

[6. Pociąg](#)

[7. Mauthausen](#)

[8. Wyzwolenie](#)

[9. Dom](#)

[10. Spotkanie po latach](#)

[Stańcie do apelu](#)

[Bibliografia i materiały źródłowe](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)



Eva, Mark i Hana

*„Czasami bowiem odważnym postępkim
jest też pozostanie przy życiu”.*

SENEKA^{*}

*Książkę tę dedykuję odwadze i wytrwałości
trzech matek, jak również ich dzieciom,
narodzonym w świecie, który nie dawał im prawa do życia.*

Trzy ciężarne mężatki.

Trzy pary modlące się o lepszą przyszłość.

Troje dzieci narodzonych w ciągu kilku tygodni
w niewyobrażalnych okolicznościach.

Zanim przyszły na świat (każde ważyło niewiele ponad kilogram), ich ojców zamordowali naziści, a matki – „chodzące szkielety” – walczyły o każdą chwilę w obozie koncentracyjnym.

Jakimś cudem wszystkim trzem udało się przeżyć.

Pomimo przeciwności losu, ich dzieci też ocalały.

Siedemdziesiąt lat później to „duchowe rodzeństwo”
po raz pierwszy się spotkało, żeby opowiedzieć światu
niezwykłe historie swoich matek, które stawiały czoła
śmierci,
żeby dać im życie.

Wszyscy troje – „urodzeni, by żyć”.



Od autorki

Zebrane tu historie matek i ich dzieci zostały starannie utkane z ich wspomnień zachowanych w listach i przekazywanych ustnie rodzinie, jak również z ich relacji przez lata powierzanych badaczom i historykom. Poparto je skrupulatną pracą badawczą, uwzględniającą również świadectwa innych ludzi – w tym osób już nieżyjących.

Gdy tylko było to możliwe, opowieści bohaterek zestawiano z relacjami niezależnych świadków, materiałami archiwalnymi oraz źródłami historycznymi. Tam, gdzie wspomnienia dotyczące konkretnych danych lub poszczególnych rozmów pozostawały zatarte lub z biegiem lat ulegały nieznacznym przeobrażeniom, podsumowano je na podstawie dostępnych informacji – ktoś inny mógł jednak zapamiętać je nieco inaczej.

Wstęp

Jesteśmy wdzięczni Wendy Holden za ogromne pokłady empatii wobec naszych matek oraz niewyczerpaną energię, z którą odtwarzała ich straszne wojenne losy. Dzięki tej pracy nie tylko przekazała nam nieznane dotąd informacje, ale też pozwoliła nam, trójce „dzieci”, zbliżyć się do siebie i zostać duchowym „rodzeństwem”, za co pozostaniemy jej dożgonnymi dłużnikami.

Dziękujemy też Autorce za oddanie hołdu mieszkańcom czeskiego miasteczka Horní Bříza, którzy bezinteresownie pomagali naszym matkom oraz więźniom dwóch innych obozów jadącym „pociągami śmierci” do obozu koncentracyjnego w Mauthausen i robili, co tylko mogli, żeby zapewnić im żywność i odzież. Jesteśmy też wciąż pełni podziwu dla jej talentu, wytrwałości i sumienności, dzięki którym potrafiła prześledzić i opisać starania żołnierzy 11. Dywizji Pancерnej 3. Armii Stanów Zjednoczonych, którzy odegrali kluczową rolę w wyzwoleniu obozu w Mauthausen i dali naszym matkom – a także nam samym – szansę na nowe życie.

Nasze matki byłyby zaszczycone, wiedząc, że ich historie po tylu latach wreszcie zostały opowiedziane, a każdej z nich poświęcono jedną trzecią tej niezwyklej książki, której publikacja przypadła akurat na nasze

siedemdziesiąte urodziny i siedemdziesiątą rocznicę zakończenia wojny.

Dziękujemy ci też, Wendy – nasza nowa honorowa siostra – w swoim własnym imieniu: my, którzy przyszliśmy na świat w totalitarnym reżimie przewidującym dla nas tylko śmierć, a obecnie należymy do ostatnich ocalałych z Holocaustu.

Hana Berger Moran, Mark Olsky i Eva Clarke, 2015 r.

I

Priska



Priska Löwenbeinová – zdjęcie z dokumentów

„Sind Sie schwanger, fesche Frau?”¹ – oficer SS uśmiechnął się, zadając Prisce to pytanie. Stał na szeroko rozstawionych nogach i mierzył ją wzrokiem od stóp do głów z medyczną fascynacją.

Doktor Josef Mengele zatrzymał się właśnie przed dwudziestośmioletnią nauczycielką ze Słowacji, która w kilka godzin po przyjeździe do Auschwitz II-Birkenau stała nago na placu apelowym i drżała ze wstydu. Był październik 1944 roku.

Priska Löwenbeinová mierzyła ledwie metr pięćdziesiąt i nie wyglądała na swój wiek. Wokół niej stało około pięciuset innych nagich kobiet, które przeważnie się nie znały. Same Żydówki, tak jak ona oszołomione faktem, że zabrano je z domów lub gett rozsianych po całej Europie, szczelnie zamknięto w wagonach towarowych mieszczących po sześćdziesiąt osób i pociągami liczącymi czasem aż pięćdziesiąt pięć takich wagonów przewieziono do obozu koncentracyjnego w okupowanej przez Niemców Polsce.

Od chwili, gdy z trudem łapiąc powietrze, wytoczyły się z wagonów prosto na niestawną rampę kolejową pośrodku najefektywniejszego z nazistowskich centrów zagłady, składającego się z kilku obozów objętych nazwą Auschwitz, ze wszystkich stron posypały się na nie wrzaski „Raus!”² oraz „Schnell, Judenschwein!”³.

Skłębionej fali oszołomionych ludzi pilnowali więźniowie o pozbawionych wyrazu twarzach, ubrani w brudne pasiaki, którzy popychając nowo przybyłych, gonili ich po wybojach. Wszystkiemu przyglądali się esesmani w nieskazitelnym

mundurach, trzymający na naprężonych smyczach ostre psy. Nie było czasu, żeby się rozglądać za najbliższymi, jako że mężczyźni prędko oddzielono od kobiet, a dzieci zagoniono w jeden rząd razem z chorymi i osobami w podeszłym wieku.

Każdego, kto był zbyt słaby, żeby utrzymać się na nogach, lub miał zbyt zdrętwiałe kończyny po wielu dniach spędzonych w ciasnym dusznym wagonie, szturchano lufami karabinów lub smagano batem. W wilgotnym powietrzu unosiły się przejmujące okrzyki: „Moje dzieci! Moje maleństwa!”

W oddali przed długimi kolumnami więźniów stały dwa niskie budynki z czerwonej cegły. Z każdego z nich sterczał ogromny komin wypuszczający w ołowiane niebo gęsty czarny dym. Pośród wszechobecnej szarości unosił się ohydny słodkawy zapach brutalnie atakujący nozdrza i wpychający się do gardła.

Po oddzieleniu od rodzin i przyjaciół dziesiątki kobiet w wieku od kilkunastu do sześćdziesięciu lat pędzono wąskim przejściem z ogrodzenie pod napięciem po obu bokach – podobne otaczało cały rozległy teren obozu. Szły zszokowane, w milczeniu, potykając się o siebie nawzajem. Przegoniono je obok budynków z kominami, a potem minęły kilka głębokich zbiorników wodnych, aż w końcu dotarły do ukrytego wśród brzoź dużego parterowego budynku rejestracji – zwanego centralną łaźnią lub Sauną.

Następnie zostały bezceremonialnie wprowadzone w życie „Häftlingów”, czyli więźniów obozu koncentracyjnego. Na początek kazano im oddać ostatnie rzeczy osobiste i zdjąć z siebie wszystkie ubrania. Jako że nie mówiły jednym językiem,

każda protestowała po swojemu, w końcu jednak wszystkie musiały ulec – bite i zastraszane przez esesmanów uzbrojonych w karabiny.

Nagie pędzono szerokim korytarzem do sporej sali, gdzie większości tych matek, córek, żon i siostr inni więźniowie oraz więźniarki pod czujnym okiem niemieckich strażników zgolili niemal wszystkie włosy na całym ciele.

Gdy wreszcie wyłączono elektryczne golarki, kobiety – z trudem rozpoznające teraz swoje towarzyszki – poprowadzono piątkami na zewnątrz, na plac apelowy, gdzie przez ponad godzinę czekały, stojąc boso w zimnej mokrej glinie, na drugą selekcję dokonywaną przez człowieka, którego później nazywano „Aniołem Śmierci”.

Doktor Mengele, w idealnie dopasowanym szarozielonym mundurze z błyszczącymi szewronami, trzymał w dłoniach parę jasnych giemzowych rękawiczek o bardzo szerokich mankietach. Brązowe włosy miał przyglądzone pomadą. Od niechcenia przerzucał rękawiczki to w prawo, to w lewo, przechadzając się wzdłuż rzędów nowych więźniarek. Każdej się bacznie przyglądał i zadawał konkretne pytanie – czy nie spodziewa się dziecka.

Gdy nadeszła jej kolej, Priska miała ledwie kilka sekund na podjęcie decyzji, jakiej odpowiedzi powinna udzielić uśmiechniętemu oficerowi ze szparą między jedynkami. Nie wahała się. Szybko pokręciła głową i jako wprawna lingwistka odpowiedziała na pytanie po niemiecku: „Nein”.

Była już wówczas w trzecim miesiącu upragnionej ciąży,

w którą zaszła ze swoim mężem Tiborem (liczyła na to, że on też przeżywa gdzieś w tym samym obozie). Nie miała pojęcia, czy wyjawienie prawdy mogło ją ocalić czy raczej skazać ją i jej dziecko na jeszcze bardziej niepewny los. Wiedziała jednak, że stoi w obliczu niebezpieczeństwa. Jedną ręką zakrywając biust, a drugą zastaniając resztki włosów łonowych, modliła się, żeby Mengele dał wiarę jej śmiałemu kłamstwu. Elegancki esesman zatrzymał się na chwilę, żeby spojrzeć w twarz młodej „szykownej damy”, po czym ruszył dalej.

Gdy doszedł do kobiety stojącej trzy miejsca dalej, bez pardonowo ścisnął jej sutek, aż się wzdrygnęła. Gdy kilka kropelek mleka ujawniło, że jest co najmniej w siedemnastym tygodniu ciąży, dał sygnał, przerzucając rękawiczki w lewo. Natychmiast wyciągnięto ją z rzędu i popchnięto w róg placu, gdzie stała już drżąca grupka innych ciężarnych.

Żadna z tych przerażonych kobiet nie wiedziała, że jeden kierunek oznaczał życie, a drugi coś zupełnie innego. Nieznane są dalsze losy ciężarnych, które tego dnia wyselekcjonował Mengele.

Josef Mengele stanowił jak dotąd największe zagrożenie dla życia młodej Priski, wciąż jednak nie wiedziała, co jeszcze miało ją wkrótce spotkać. W nadchodzących miesiącach jej najgorszym wrogiem stanie się głód, a śmierć głodowa będzie się jawiła jako najbardziej prawdopodobne zakończenie jej cierpień.

Przez cały czas pobytu w obozie oprócz głodu okrutnie męczyło ją też pragnienie, jak również ich kuzyni:

wyczerpanie, strach i choroby. Lecz do kresu sił doprowadzała ją udręka wiecznie niezaspokojonych żądań jej ciężarnego ciała, wciąż domagającego się pożywienia.

Paradoksalnie, podczas najbardziej dotkliwych ataków głodu Priskę trzymała przy życiu pamięć o chwilach, gdy po drodze do szkoły przyciskała nos do szyby cukierni, a potem już w środku delectowała się ciastkiem – na przykład struclą cynamonową z kruszonką, posypaną cukrem pudrem. Wspomnienie odrywania kolejnych pasm ciasta, z którego sypały się na jej bluzkę okruszki, stanowiło dla niej kwintesencję sielankowego dzieciństwa spędzonego w miejscowości Złote Morawce (Zlaté Moravce), położonej w południowo-zachodniej części dzisiejszej Słowacji. Oddalony o mniej więcej sto kilometrów od Bratysławy region, w którym dorastała Priska, słynął z obfitości złota – w średniowieczu wypłukiwano je w okolicznych rzekach (jedna z nich nazywa się zresztą Zlatnanka). Złote Morawce były niemal tak zamożne, jak wskazywała nazwa – stał tam piękny kościół, działały szkoły, a przy ulicach znajdowało się mnóstwo sklepów. Był też hotel, kawiarnie i restauracje.

Rodzice Priski – Emanuel i Paula Ronowie – prowadzili jedną z najznamienitszych koszernych kawiarni w mieście, stanowiącą znaczące centrum miejscowego życia. Doskonale usytuowany lokal przy

rynku miał ładny dziedziniec. Emanuel Rona wypatrzył ofertę najmu w gazetowym ogłoszeniu w 1924 roku, kiedy zbliżał się już do czterdziestki. W nadziei na doskonały interes podjął śmiałą decyzję o przeniesieniu się wraz z żoną i dziećmi do miejscowości oddalonej o dwieście pięćdziesiąt kilometrów od ich rodzinnego Stropkowa leżącego w górach na wschodzie kraju, tuż przy polskiej granicy.

Priska, urodzona w niedzielę 6 sierpnia 1916 roku, miała osiem lat, gdy się przeprowadzili. Kiedy tylko mogli, wracali jednak do Stropkowa, żeby odwiedzić mieszkającego tam owdowiałego dziadka Priski. David Friedman był właścicielem karczmy i dość znanym autorem tekstów polemicznych.

Jak opowiadała później Priska, ich rodzinna kawiarnia w Złotyach Morawcach była pięknie urządzona i utrzymywana w doskonałej czystości przez jej pracowitych rodziców oraz oddany żeński personel. Znajdowała się tam oddzielona kotarą sala kameralna (którą matka szumnie nazywała *chambre séparée*), która po odsłonięciu służyła też za przestrzeń dla przygrywających gościom ośmiu muzyków ubranych w ciemne garnitury. „Grano u nas wspaniałą muzykę, występowali świetni tancerze” – wspominała Priska. „Kawiarnie stanowiły wówczas ważną część kultury. Tak strasznie kochałam swoją młodość”.

Jej matka Paula Ronová – cztery lata młodsza i o głowę

wyższa od ojca – wyróżniała się urodą i w cichości ducha wiązała wielkie nadzieje ze swoją rodziną. Była wspaniałą żoną, matką i mistrzynią kuchni, jak również „wyjątkowo przyzwoitą kobietą”, która niewiele mówiła, za to dużo myślała. „Matka była też dla mnie najlepszą przyjaciółką” – mówiła Priska.

Ojciec z kolei bardzo surowo traktował swoją rodzinę. Gdy nie chciał, żeby dzieci rozumiały, o czym mowa, rozmawiał z żoną po niemiecku lub w jidysz. Priska jednak od małego miała smykałkę do języków, więc i tak wszystko rozumiała. Choć Emanuel Rona nie był szczególnie żarliwym wyznawcą judaizmu, uważał, że należy szanować obyczaje, zabierał więc rodzinę do synagogi we wszystkie ważniejsze święta.

„W czasach mojej młodości musieliśmy wszyscy zachowywać się należycie ze względu na kawiarnię” – opowiadała Priska. „Musieliśmy być dobrą rodziną, dobrymi przyjaciółmi i dobrymi gospodarzami lokalu, bo inaczej klienci przestaliby nas odwiedzać”.

Priska – której właściwie dano na imię Pirooska – była czwartym z pięciorga dzieci. Najstarszy był Andrej, czyli Bandi. Po nim urodziła się Alżbeta, którą wołano Boeżka, a następnie Anna, przez wszystkich nazywana zdrobniale Aničką. Cztery lata po narodzinach Priski na świat przyszedł najmłodszy Eugen, czyli Janičko lub Janko. W międzyczasie było jeszcze szóste dziecko, które jednak zmarło w niemowlęctwie.

Rodzina zajmowała w Złoty Morawcach mieszkanie na tyłach kawiarni, na tyle przestronne, że każde z dzieci miało własny pokój. Posiadali też duży ogród, schodzący w dół aż do strumienia, który przecinał całą ich działkę. Priska, towarzyska i wysportowana, często kąpała się tam z przyjaciółmi; grała też z nimi w tenisa w ogrodzie. Zdrowa i radosna dziewczyna o lśniących ciemnych włosach była – podobnie jak jej siostry – bardzo lubiana przez dzieci z okolicy, które nazywały ją zdrobniale Piri albo Pira.

„Nie miało dla mnie znaczenia, czy to Żydzi czy goje. Przyjaźniłam się ze wszystkimi tak samo, nie zwracałam uwagi na tego rodzaju różnice” – mówiła.

Dzieci dorastały w otoczeniu „dobrych kobiet”, które pomagały w domowych obowiązkach i występowały w roli matek zastępczych. Na stole niczego nie brakowało – niemal każdy posiłek obejmował wykwintne danie z kosztownego mięsa. Po soczystych pieczeniach często podawano wyroby cukiernicze z kawiarni. Priska uwielbiała słodczyce, a jej ulubionym deserem był wiedeński tort Sachera – bajeczne ciasto czekoladowe na bazie ubitej piany z białek, przekładane marmoladą morelową.

Choć dzieci w szkole nie miały lekcji religii, w domu nauczono je uczestniczyć w piątkowych modlitwach wieczornych oraz myć dokładnie ręce przed przystąpieniem do uroczystego szabasowego posiłku, do

którego nakrywano stół najlepszymi obrusami i zapalano specjalne świece.

W ponadtrzydziestoosobowej klasie Priska była jedną z zaledwie sześciu dziewczynek. Uważała, że to jej siostra Boeżka jest „tytanem intelektu”, bowiem błyskawicznie uczyła się języków obcych, jakby je wchłaniała z powietrza. Boeżka nie interesowała się specjalnie książkami – dużo bardziej absorbowaały ją zajęcia artystyczne, szczególnie zaś robótki ręczne, w których osiągnęła mistrzostwo.

Nawet jeśli Priska faktycznie musiała wkładać w naukę nieco więcej wysiłku niż jej siostra, była bardzo sumienna, a zdobywanie wykształcenia wkrótce stało się jej pasją. Dążenie do głębszego zrozumienia świata odróżniało ją też od jej ślicznej siostry Anny, która wolała się przebierać lub bawić lalkami. „Podobało mi się zdobywanie wiedzy” – przyznawała Priska. Już w dzieciństwie zafascynowało ją chrześcijaństwo, często po drodze do domu ze szkoły zakradała się na katolicki cmentarz. Najbardziej podobały się jej tamtejsze potężne grobowce i mauzolea. Intrygowali ją też zawsze jego „nowi mieszkańcy” – wymyślała sobie historie na temat tych osób i ich życiowych doświadczeń.

Jej matka pielęgnowała w córce zapal do nauki i czuła dumę, gdy Priska jako pierwsza w rodzinie zaczęła uczęszczać do szkoły średniej. Było to założone w 1906 roku Gimnazjum Janka Kráľa, mieszczące się w pięknym

biało otynkowanym trzypiętrowym budynku naprzeciw kościoła i ratusza. W szkole uczyło się pięciuset uczniów w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat. Priska uczęszczała na zajęcia z angielskiego i łaciny, a także na obowiązkowe lekcje niemieckiego i francuskiego. Jej rodzeństwo zdobyło tylko podstawowe wykształcenie – z wyjątkiem Bandiego, który poszedł do szkoły rachunkowości.

Priska lubiła rywalizować z innymi i wygrywała wiele szkolnych konkursów. Nauczycieli zachwyciło, jak szybko robiła postępy. Szkolna prymuska cieszyła się też względami kolegów z klasy, którzy błagali ją, żeby im pomogła w angielskim, i z wielkim oddaniem zbierali się w jej ogrodzie, gdzie udzielała lekcji. „Ze Złotych Morawców mam same cudowne wspomnienia” – twierdziła.

Jej najlepszą szkolną przyjaciółką była Gizelle Ondrejkořová, którą wszyscy nazywali Gizka. Była nie tylko piękna, ale też bardzo lubiana. Ponieważ jednak nie przejawiała tak wielkiego zapału do nauki jak Priska, jej ojciec – goj, komendant powiatowy policji – odwiedził pewnego dnia państwa Ronów i złożył im szczególną propozycję: „Jeśli Priska dopilnuje, żeby Gizka ukończyła szkołę, pozwolę, żeby państwa kawiarnia była otwarta do późna”. Zapewnił ich też, że nie zostaną obciążeni dodatkowymi opłatami.

Tak oto czwarte dziecko w rodzinie stało się filarem

ich skromnego interesu. Nieoficjalna opieka nad koleżanką z klasy miała zapewnić rodzinnej kawiarni pozycję, o jakiej konkurencja mogła tylko marzyć. Priska bardzo poważnie traktowała to odpowiedzialne zadanie, a choć zostawało jej bardzo niewiele czasu na życie towarzyskie, uwielbiała Gizkę i chętnie jej pomagała. Przyjaciółki siedziały w jednej ławce, aż w końcu razem ukończyły szkołę.

Po szkole Priska zaczęła uczyć i wszystko wskazywało na to, że zostanie nauczycielką języków obcych. Lubiła śpiewać, wstąpiła więc do nauczycielskiego chóru, który jeździł po kraju z repertuarem tradycyjnych pieśni patriotycznych. W jednej z nich rozbrzmiewały dumne słowa: „Jestem Słowakiem i nim pozostanę”. Do końca życia chętnie wracała do tego utworu.

Priska cieszyła się powszechnym szacunkiem w Żółtych Morawcach, wszyscy pozdrawiali ją na ulicy (jak nakazywała słowacka tradycja). O jej względy zabiegał pewien profesor – goj – i w każdą sobotę wieczorem zabierał ją na kawę, kolację lub tańce w miejscowym hotelu.

Rodzina Priski nie miała powodów, aby się martwić, że coś zakłóci jej przyjemny tryb życia. Choć w całej Europie przez wieki prześladowano Żydów (szczególnie cierpieli w Rosji, gdzie od ponad stu lat dochodziło do pogromów), dość łatwo zadomowili się oni w nowych państwach powstałych po pierwszej wojnie światowej

i upadku trzech mocarstw: Cesarstwa Niemieckiego, Imperium Rosyjskiego i Austro-Węgier. W ówczesnej Czechosłowacji Żydzi zajmowali dość wysoką pozycję w społeczeństwie i całkiem dobrze się asymilowali. Odgrywali bardzo ważną rolę nie tylko w sferze produkcji i gospodarki, ale mieli też znaczący wkład we wszystkie dziedziny kultury, sztuk pięknych i nauki. Powstawały wówczas nowe szkoły i synagogi. Żydzi znajdowali się również w centrum życia kawiarnianego. Rodzina Ronów w obrębie lokalnej społeczności nie doświadczyła szczególnych objawów antysemityzmu.

W sąsiadujących z Czechosłowacją Niemczech w wyniku poważnego kryzysu gospodarczego po pierwszej wojnie światowej nastroje zaczęły się zmieniać. W 1921 roku przewodniczącym NSDAP (Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, znanej też jako partia nazistowska) został Adolf Hitler. Oskarżał on Żydów o sprawowanie kontroli nad finansami kraju i obarczał ich winą za wszelkie niemieckie kłopoty. Po wyborach parlamentarnych w 1933 roku, w których partia nazistowska uzyskała 17,2 miliona głosów, Hitlerowi jako nowemu kanclerzowi powierzono misję utworzenia rządu koalicyjnego. Objęcie przez niego władzy oznaczało koniec Republiki Weimarskiej i początek nowego bytu politycznego, o którym wkrótce zrobiło się bardzo głośno – Trzeciej Rzeszy.

W swoich radykalnych wystąpieniach Hitler potępiał kapitalizm, jak również wszelkie ruchy rewolucyjne sympatyzujące z bolszewikami, komunistami, marksistami i sowiecką Armią Czerwoną. Już w 1925 roku opublikował swój autobiograficzny manifest *Mein Kampf*, w którym pisał: „[...] nie należy się dziwić, jeśli nasz naród uzna postać Żyda za wcielenie diabła jako symbolu wszelkiego zła”⁴, a potem obiecywał, że w ramach „radykalnego rozwiązania” wyeliminuje z niemieckiego społeczeństwa zarówno Żydów, jak i wszelkie inne „niepożądane elementy”.

Hitler ogłosił wprowadzenie „nowego ładu”, mającego naprawić niesprawiedliwości, jakie zdaniem samych Niemców spotkały ich po wojnie. Zachęcał noszących brunatne koszule bojówkarzy NSDAP do prześladowania Żydów, w tym bojkotowania i blokowania ich sklepów. Kibicowała temu zindoktrynowana młodzież z organizacji Hitlerjugend. Z głośników radiowych w całym kraju dobiegały wznoszone w Berlinie okrzyki „Sieg heil!”⁵. Hitlerowi w dość krótkim czasie udało się spełnić wiele wyborczych obietnic i uzdrowić gospodarkę na tyle, że poparcie dla niego jeszcze wzrosło. Na fali tych sukcesów rząd zaczął wprowadzać prawa wykluczające Żydów z życia politycznego, gospodarczego i społecznego. Palono „zdegenerowane” żydowskie książki, nie-Aryjczyków wyrzucano z uniwersytetów, a wybitnym Żydom przebywającym za granicą – jak na

przykład Albertowi Einsteinowi – uniemożliwiono powrót do kraju.

W miarę jak narastał niemiecki antysemityzm, zaczęto profanować synagogi albo je doszczętnie palić. Chodniki miast i miasteczek w Noc Kryształową pokryły się tłuczonym szkłem, a w witrynach żydowskich sklepów namalowano gwiazdy Dawida lub obelżywe hasła. Aryjczyków zachęcano do donoszenia na Żydów, co owocowało atmosferą zdrady i nieufności. Spośród ludzi od lat wiodących szczęśliwe życie obok siebie, których dzieci razem się bawiły, nagle wyłoniono grupę i zaczęto przynależących do niej ludzi opluwać na ulicach, bić lub aresztować. W społeczeństwie zaroilo się od usługowych donosicieli, chętnie denuncjujących swoich sąsiadów w nadziei na przejęcie ich majątku. Setki domów splądrowano – włamywano się do nich i zabierano, co tylko się dało.

Niemców zachęcano do inspekcji żydowskich mieszkań i zajmowania co atrakcyjniejszych – przez co całe rodziny musiały z dnia na dzień opuścić swoje domostwa. Mówiło się, że nowi mieszkańcy wprowadzali się, „nim ostygł chleb wyjęty z pieca”. Eksmitowanym Żydom zezwalano na zajmowanie mniejszych lokali w najbiedniejszych dzielnicach, tym samym skutecznie ich odcinając od dotychczasowego życia.

Osoby ułomne fizycznie lub chore psychicznie – zarówno Żydów, jak i Aryjczyków – uznawano za

„niegodne życia” i poddawano natychmiastowej eutanazji. Pozostała część społeczeństwa nie miała wyboru i musiała się podporządkować narzuconym i bezlitośnie egzekwowanym ustawom norymberskim, których celem było doprowadzenie do alienacji Żydów. U podstawy tych ustaw leżała nazistowska kategoria „naukowego rasizmu” głosząca konieczność zachowania czystości niemieckiej krwi – przyznawały więc one szczególnie status osobom „wartościowym rasowo”, a ograniczały podstawowe prawa obywatelskie „Żydów, Cyganów, Murzynów i mieszańców”. „Ustawa o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci” uniemożliwiała zawieranie małżeństw mieszanych. Za jakiegokolwiek kontakty seksualne pomiędzy Niemcami i Żydami groziły surowe kary, co miało zniechęcać do „hańbienia rasy”.

Żydów pozbawiono obywatelstwa, a ludzi uznanych za jednostki „aspołeczne” lub „szkodliwe”, komunistów, opozycyjnych działaczy politycznych, alkoholików, prostytutki, żebraków i bezdomnych, jak również Świadków Jehowy, którzy odmawiali podporządkowania się władzy Hitlera, aresztowano i osadzano w obozach koncentracyjnych, zwykle zakładanych w dawnych koszarach wojskowych.

Aryjczykom zabroniono zatrudniać Żydów. Coraz bardziej opresyjne prawo wkrótce uniemożliwiło Żydom wykonywanie zawodów prawnika, lekarza

i dziennikarza. Żydowskie dzieci mogły chodzić do szkoły tylko do ukończenia czternastu lat. Z czasem zamknięto przed Żydami państwowe szpitale i zakazano im podróży dalej niż trzydzieści kilometrów od domu. Parki, place zabaw, rzeki, baseny, plaże i biblioteki stały się dla Żydów niedostępne. Z pomników wystawionych bohaterom pierwszej wojny światowej wymazano nazwiska żydowskich żołnierzy, choć wielu Żydów walczyło w niej za niemieckiego cesarza.

Wprowadzono kartki m.in. na żywność – dla Żydów przewidziano racje o połowę mniejsze od standardowych. Poza tym mogli robić zakupy tylko w wyznaczonych miejscach, między godziną piętnastą a siedemnastą, kiedy większości świeżych towarów już nie było. Nie-Aryjczykom zakazano wstępu do kin i teatrów oraz podróżowania w pierwszym wagonie tramwaju – mogli wsiadać tylko z tyłu, gdzie często panował straszny tłok i zaduch. Żydzi musieli też oddać władzom wszystkie posiadane radioodbiorniki. Wprowadzono godzinę policyjną między dwudziestą wieczorem a szóstą rano i surowo egzekwowano jej przestrzeganie.

Zmiany te wywołały tak wielki strach, że tysiące Żydów uciekły do Francji, Holandii i Belgii w poszukiwaniu schronienia. Utworzona w 1918 roku Czechosłowacja również stała się popularnym celem dla uchodźców. Miała nie tylko ustalone granice, ale też potężnych

sojuszników – między innymi Francję, Wielką Brytanię i Związek Sowiecki. Jak większość czeskich Żydów, rodzina Priski również czuła się tam bezpiecznie.

Jednak w marcu 1938 roku, gdy Europa drżała w posadach, nastąpił anszlus – Hitler przyłączył do Niemiec Austrię, odwołując się do prawa narodów do samostanowienia. Twierdził też, że niemiecka ekspansja terytorialna wynika z braku niezbędnej „przestrzeni życiowej” (*Lebensraum*). Kilka miesięcy później wszystkim przebywającym w Rzeszy cudzoziemcom cofnięto pozwolenia na zamieszkanie. Polskie władze ogłosiły, że paszporty polskich obywateli zostaną unieważnione, o ile nie wrócą oni do kraju celem odnowienia dokumentów. Naziści wykorzystali to jako pretekst, żeby deportować z Rzeszy około dwunastu tysięcy Żydów polskiego pochodzenia. Odstawiono ich na granicę, a jako że polskie władze nie chciały ich przyjąć, ludzie ci przez dłuższy czas poniewierali się na ziemi niczyjej pomiędzy oboma krajami.

Brytyjski premier Neville Chamberlain, starając się nie dopuścić do wybuchu kolejnej wojny światowej, prowadził negocjacje z Hitlerem. Zakończyły się one podpisaniem we wrześniu 1938 roku układu monachijskiego (przez wielu Czechów nazywanego „zdradą monachijską”). W ramach osiągniętego porozumienia europejskie mocarstwa – bez udziału Czechosłowacji czy ZSRS – pozwoliły Hitlerowi na zajęcie

Kraju Sudeckiego, położonego na południowym, zachodnim i północnym obrzeżu Czech i zamieszkałego głównie przez ludność niemieckojęzyczną. W rezultacie Czechosłowacja utraciła strategiczne granice.

W listopadzie 1938 roku Herszel Grynszpan, rozgoryczony nastoletni Żyd polskiego pochodzenia, którego rodzinę wypędzono z Niemiec, dokonał zamachu na niemieckiego dyplomatę w Paryżu. W ramach akcji odwetowej kierownictwo NSDAP zainicjowało *Reichspogromnacht*, znaną też jako *Kristallnacht*, czyli Noc Kryształową (od tłuczonego szkła, które posypało się na ulice). W ciągu jednej nocy kilka tysięcy żydowskich domów, sklepów i synagog w Niemczech zdemolowano, zamordowano ponad dziewięćdziesiąt osób, a trzydzieści tysięcy aresztowano i wysłano do obozów. W następnych miesiącach hitlerowcy wywoływali kolejne antysemickie zamieszki. W marcu 1939 roku na zaproszenie Führera do Berlina przyjechał wielebny Jozef Tiso (katolicki ksiądz i świeżo zdymisjonowany premier autonomicznej Słowacji). Zaraz potem do niemieckiej stolicy przybył też Emil Hácha (prezydent Czechosłowacji). Hitler każdemu z nich przedstawił ultimatum: albo powierzą swój kraj „opiece” Rzeszy (która miała ich bronić przed roszczeniami terytorialnymi ze strony Węgier), albo padną ofiarą niemieckiej inwazji.

Tiso niemal natychmiast przystał na żądania Hitlera,

a następnie został wybrany premierem marionetkowej, choć formalnie niezależnej Pierwszej Republiki Słowackiej, której odtąd nie groził już atak ze strony Rzeszy. Dzień później sześćdziesięciosześcioletni prezydent Hácha, który podczas spotkania w Berlinie prawdopodobnie przeżył zawał, przystał w końcu na niemieckie warunki, choć wywołało to w jego kraju sprzeciw. Piętnastego marca 1939 roku niemieckie oddziały weszły na czeskie ziemie i ustanowiły tam Protektorat Czech i Moraw. Pół roku później Hitler zaatakował Polskę. Kilkanaście dni po niemieckiej agresji na polskie tereny od wschodu wkroczył Związek Sowiecki, wypełniając tym samym ustalenia tajnego paktu z Niemcami. Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Trzeciej Rzeszy. Życie mieszkańców Europy już nigdy nie miało być takie jak wcześniej.

W państwach zajętych przez Rzeszę Żydzi z dnia na dzień utracili niemal wszystkie prawa obywatelskie. Na wielu budynkach użyteczności publicznej pojawiły się napisy „Juden nicht zugänglich”⁶. Czasem pisano: „Psom i Żydom wstęp wzbroniony”. Gdy Żydzi dowiedzieli się o strasznym losie swoich pobratymców w Niemczech, Austrii i Polsce, zaczęli oblegać ambasady i błagać o wizy – odprawiano ich jednak z kwitkiem. Widząc przed sobą straszną przyszłość, przed którą nie było ucieczki, niektórzy popełnili samobójstwo.

Priska, tak jak cała jej rodzina, nie miała wyboru – musiała się podporządkować nowej władzy i kolejnym wprowadzanym przez nią zarządzeniom. Najbardziej bolesne były drobiazgi. Nie zajeżdżał już po nią profesor, który dawniej zabierał ją na tańce. Ludzie, którzy niegdyś pierwsi kłaniali jej się na ulicy, teraz w ogóle przestali się z nią witać albo odwracali wzrok, gdy ją mijali. „Było ogromnie dużo różnych nieprzyjemności, ale jeśli się chciało przeżyć, trzeba było na to wszystko się godzić” – tłumaczyła Priska. Niektórzy z dawnych znajomych okazali się bardziej lojalni – należała do nich Gizka oraz jeszcze jedna koleżanka z klasy, której rodzina prowadziła gospodarstwo rolne i wciąż zaopatrywała rodzinę Ronów w świeże mleko. Zdarzało się też, że ludzie specjalnie szukali okazji, żeby się przywitać ze znajomymi Żydami i zaproponować im wszelką możliwą pomoc.

Gdy pojawiły się pogłoski, że będą przymusowe przesiedlenia, Żydzi zaczęli gromadzić zapasy żywności i innych dóbr. Kosztowności zakopywali lub prosili przyjaciół o ich ukrycie, choć przyłapanym na takim postępowaniu groziła surowa kara. Kto tylko mógł, uciekał do Brytyjskiego Mandatu Palestyny z nadzieją, że w przyszłości powstanie tam państwo syjonistyczne. Tak zrobił między innymi Bandi, brat Priski – pojechał sam w 1939 roku, twierdząc, że nieszczęście wisi w powietrzu. Ówczesny narzeczony Priski wyjechał do Belgii,

a stamtąd do Chile, ale ani słowem jej wcześniej nie wspomniał o swoich planach. Był to młody chłopak z bogatej rodziny. Dopiero co się zaręczyli (małżeństwo było aranżowane), a on nagle po prostu zniknął.

Pozostali członkowie rodziny Priski robili, co mogli, żeby jakoś przeżyć. Jej siostra Anička w 1932 roku wyszła za mąż w nadziei, że w ten sposób uwolni się od perspektywy dożywotniej służby w rodzinnej kawiarni. Urodziła synka o imieniu Otto, małżeństwo jednak nie przetrwało. Po rozwodzie Anna zmieniła imię i nazwisko na bardziej aryjskie – Helena Hrubá – i znalazła pracę w innej kawiarni. Brat Priski Janko, który wcześniej uczył się na elektrotechnika, został wcielony do żydowskiego batalionu pracy jako „robotnik Żyd”. Nosił charakterystyczny niebieski strój i wykonywał najgorszą, najbrudniejszą robotę. Boeżka, która miała już ponad trzydzieści lat, lecz nie wyszła jeszcze za mąż, została w domu i szyła ubrania dla rodziny i przyjaciół.

Priska, która zawsze była dumna ze swojego żydowskiego nosa (żartobliwie nazywała go „śliczną trąbką”), z radością nosiła stroje uszyte przez siostrę, dzięki którym czuła się mniej wyobcowana ze społeczeństwa. „Nigdy nie byłam piękną, zawsze jednak starałam się ładnie wyglądać” – opowiadała. „Mieszkańcy naszego miasta powszechnie mnie szanowali, jako że należałam do poważanej rodziny prowadzącej kawiarnię”.

Wkrótce jednak i to miało się skończyć. W 1940 roku rodzicom Priski zakazano prowadzenia kawiarni, na której renomę pracowali przez ponad szesnaście lat. Nie byli specjalnie wykształceni i nie mieli innych szczególnych talentów, nie potrafili więc się w tej sytuacji odnaleźć. „Stracili wszystko” – wspominała Priska. „To byli dobrzy ludzie”. Aryjski *Treuhänder*, któremu władze powierzyły opiekę nad kawiarnią, nieoczekiwanie okazał się dla Priski bardzo miły i wyraził uznanie dla jej talentu do języków (znała angielski, francuski, węgierski i niemiecki). „Moją znajomość języków obcych uważano wówczas za rzecz cenną i bardzo wartościową” – mówiła.

Pozbawiona miejsca pracy rodzina Priski postanowiła przenieść się do Bratysławy – nowej stolicy państwa słowackiego, położonej nad Dunajem. Dołączył do nich dziadek Priski David Friedman, który uciekł ze Stropkowa, gdzie odebrano mu karczmę. Udało im się zachować niewielką sumę pieniędzy i mieli nadzieję, że w wielkim mieście będzie im łatwiej nie zwracać na siebie uwagi – nie mylili się. W 1939 roku w Bratysławie mieszkało około piętnastu tysięcy Żydów, co stanowiło dwanaście procent populacji miasta. Społeczność żydowska była dobrze zasymilowana i nie spotykała się ze zbyt wieloma oznakami antysemityzmu.

Choć pod protektoratem nazistowskim wszystko się na Słowacji zmieniło, rodzinie Priski udało się znaleźć mieszkanie przy ulicy Špitálskej. Priska dawała

prywatne lekcje, dzięki czemu mogła znów uczestniczyć w życiu kawiarnianym, jakie znała od dawna. Najbardziej lubiła kawiarnię Astorka, gdzie zbierali się przedstawiciele inteligencji – konwersowała z nimi w różnych językach. To właśnie tam pewnego dnia w październiku 1940 roku zauważyła szczupłego mężczyznę z wąsem. Siedział przy stoliku obok i dyskutował z jej znajomymi.

„Prowadził ożywioną, poważną rozmowę z moją przyjaciółką Mimi, aptekarką. Nagle ona wstała i do mnie podeszła. Powiedziała, że mu się podobam” – wspominała Priska. Wówczas jej śmiały adorator też do niej podszedł i się przedstawił. Tibor Löwenbein był dziennikarzem, znał doskonale niemiecki i francuski. Pochodził z miasteczka Púchov w północno-zachodniej Słowacji, z rodziny polskich Żydów. Priska utrzymywała, że podczas tego pierwszego spotkania był lekko wstawiony, a ona mu powiedziała, że nie lubi pijących mężczyzn. Tibor tak bardzo chciał zrobić na niej dobre wrażenie, że obiecał jej, że już nie tknie alkoholu. I słowa dotrzymał!

Palił za to fajkę, miał ich zresztą całą kolekcję – czterdzieści sztuk. Priska nie mogła ich dotykać. Był przystojnym mężczyzną i bardzo starannie się ubierał (miał też czterdzieści koszul). Jako ambitny młody autor często coś zapisywał w notesikach, które wszędzie ze sobą nosił. Zbierał też znaczki, choć Priska zawsze

zartowała, że gdy ją spotkał, stracił serce dla pozostałych zainteresowań.

Tibor był jedynym dzieckiem Heinricha Löwenbeina i jego żony Berty. Jego ojciec prowadził małe gospodarstwo rolne, Tibor jednak pragnął od życia czegoś więcej, wyjechał więc do Bratysławy i zatrudnił się w gazecie „Allgemeine Jüdische Zeitung”. Publikował w niej teksty o sporcie i polityce lokalnej. Napisał też niewielką książeczkę na temat pełnej asymilacji Żydów w społeczeństwie słowackim, zatytułowaną *Slovensko-Židovské hnutie a jeho poslanie* (Ruch słowacko-żydowski i jego misja).



Tibor Löwenbein – mąż Priski, dziennikarz i pisarz

Gdy wskutek wprowadzenia ustaw norymberskich stracił pracę w gazecie, pewien miły Grek, właściciel Banku Dunajskiego w Bratysławie, zaproponował mu

posadę urzędnika. Tibor był człowiekiem bardzo zadbanym i kulturalnym, szatynem o jasnej cerze. Nie wyglądał na Żyda, co – jak podkreślała Priska – miało wówczas ogromne znaczenie. W banku cieszył się tak doskonałą opinią, że zaczęto go wysyłać w podróże służbowe do Pragi i Brna, choć formalnie przepisy nie pozwalały Żydom na takie wyjazdy. Jego pracodawca miał jednak znakomite kontakty, Tibor mógł więc sobie pozwolić niemal na wszystko. Jako dziennikarz znał mnóstwo ludzi, którzy zawsze traktowali go bardzo uprzejmie i równie dużym szacunkiem darzyli piękną młodą damę u jego boku.

Co dzień rano po drodze do pracy Tibor odprowadzał Priskę do kawiarni Astorka, gdzie ona zamawiała kawę i ciastko. Gdy wychodził, zawsze się zatrzymywał i jej salutował, co za każdym razem ją bawiło. Wieczorem, gdy wracał z pracy, przechadzali się nad Dunajem, podobnie jak wiele innych zakochanych par. Słuchali melodii wygrywanych przez ulicznych muzykantów i patrzyli na odbicie księżyca w lekko falującej wodzie, po której z wolna sunęły barki, statki rzeczne i promy.

Przez pierwszych sześć miesięcy narzeczeństwa Tibor codziennie pisał do niej listy rozpoczynające się słowami „Pirečka Zlatičko” („Pireczko, moje złotko”). Ona zwracała się do niego „Tiborko” lub „Tibko”. Zachowała każdy list – niektóre były dość krótkie, ale wszystkie emanowały ciepłymi uczuciami. Przetrwały wojnę

niemal w komplecie. W jednym z nich, opatrzonym datą 10 marca 1941 roku, Priska pisała:

Tibko, jestem taka szczęśliwa, gdy otrzymuję Twoje listy, zwłaszcza te dłuższe. [...] Muszę Ci szybko przekazać wspaniałą wiadomość! Otóż od czwartku mam wolne – będziemy więc mogli się widywać przez cztery kolejne dni. Jakież to luksus, gdy wciąż brakuje nam czasu dla siebie. [...] Pytałeś, co sądzę o Twoich listach. Są cudowne. Zadziwia mnie, że tak poważny człowiek jak Ty – ostatnio też pełen pesymizmu i mrocznie oceniający bieżącą sytuację – potrafi tak cudownie pisać. [...] Dużo o Tobie myślę. Wiem, że znajdujesz ukojenie w książkach. Trochę im zazdroszczę, że zajmują w Twoim życiu tak znaczące miejsce, podczas gdy ja jestem daleko – ale obiecuję, że to przejściowe. Proszę, pozdrów ode mnie swoje książki, które tak znakomicie dotrzymują Ci towarzystwa pod moją nieobecność. Posyłam milion pocałunków, Twoja Pira.

W odpowiedzi, datowanej na 12 marca, Tibor pisał:

2

Rachela



Rachela Abramczyk

„Guten Morgen, hübsche Dame, sind Sie schwanger?²”.

Jesienią 1944 roku w Auschwitz II-Birkenau Rachela

Friedman również usłyszała takie pytanie z ust Jozefa Mengelego, który miał na twarzy ten sam specyficzny uśmiezek zarezerwowany dla ustawionych przed nim ogolonych nagich kobiet przypominających manekiny.

Dwudziestopięcioletnia Rachela nie wiedziała, co odpowiedzieć ani gdzie podziać wzrok, stała więc z opuszczoną głową i wbijała oczy w ziemię. Otaczały ją setki innych kobiet w równie paskudnym położeniu – wszystkie zmuszono, żeby przez kilka godzin stały nago na placu apelowym, pośród obcych ludzi, płonąc ze wstydu. Nagle zdała sobie sprawę, jakie to szczęście, że jej mąż Monik nie znalazł się w tym samym transporcie z łódzkiego getta i nie był świadkiem jej upokorzenia.

Podobnie jak Priska Löwenbeinová i tysiące innych kobiet, które spotkał ten sam los, Rachela musiała w kilka sekund zdecydować, jak odpowiedzieć wysokiemu rangą naziście, który niedbałym ruchem dłoni mógł darować jej życie lub skazać ją na śmierć. Właściwie nie była nawet całkiem pewna, czy rzeczywiście nosi w łonie dziecko – jeśli tak, to zaledwie od kilku tygodni. Nie miała też pojęcia, jakie konsekwencje ją spotkają, jeśli się przyzna.

Słyszała różne straszne opowieści o zbrodniach dokonywanych w nazistowskich obozach, nie potrafiła jednak w nie uwierzyć – brzmiały całkiem niedorzecznie. W żadnej z nich nie występował jednak doktor Mengele, nie mówiło się też o losie ciężarnych kobiet, które trafiały w jego ręce, ani o jego okrutnych eksperymentach medycznych przeprowadzanych na

dzieciach, a zwłaszcza na bliźniętach. To miało wyjść na jaw dopiero później.

Obserwując eleganckiego doktora osobiście analizującego fizjonomie setek więźniarek, zauważyła, że jego uśmiech w żaden sposób nie odbija się w jego oczach. Właściwie zachowywał się jak skrupulatny rolnik dokonujący przeglądu żywego inwentarza – tu bezceremonialnie pochwalił budowę ciała zawstydzonej nastolatki, tam brutalnie ścisnął piersi kobiety w kwiecie wieku.

Wypolerowane buty i idealnie wyprasowany mundur zdradzały jego zamiłowanie do dyscypliny i porządku. W przeciwieństwie do części Niemców kręcących się wokół błotnistej placu apelowego, którzy mieli tłuste karki i sprawiali wrażenie bardzo pijanych, Mengele wyglądał na człowieka nieskorego do otępienia swoich zmysłów. Przeciwnie, zdawał się czerpać z pracy przyjemność – przechadzał się w tę i z powrotem przed rzędem więźniarek, czasem pogwizdując. Niekiedy zatrzymywał się, żeby wydać dyspozycje więźniom ubranym w pasiaki przypominające piżamy.

Wszystkie kobiety w widocznej ciąży lub takie, których stan zdradzały wypływające z piersi krople mleka, były odprowadzane na bok przez tych mężczyzn o kamiennych obliczach. Twarze kobiet bynajmniej nie były kamienne. Przerazenie malujące się w oczach tych zbitych w ciasną grupkę więźniarek przekonało Rachelę, jakiej odpowiedzi powinna udzielić.

Gdy Mengele zadał jej pytanie, a potem niecierpliwie

przerzuciła rękawiczkę to w lewo, to w prawo, powiedziała cicho, zakrywając obie piersi dłońmi:

– Nie.

Mengele nawet jej nie dotknął. Od razu przeszedł do następnej ofiary, nie oglądając się na ciężarną Rachelę.

Rachela dorastała w dużej, „pięknej i szczęśliwej” rodzinie, pełnej roześmianych, rozśpiewanych, rozbawionych dzieci, które zdawały się mieć przed sobą radosne długie życie.

Nazywała się Rachela Abramczyk, ale przeważnie mówiono na nią Ruza lub Ruszka. Była najstarszą z dziewięciorga rodzeństwa; urodziła się miesiąc po zakończeniu pierwszej wojny światowej, w sylwestra 1918 roku w Pabianicach koło Łodzi – drugiego co do wielkości miasta w ówczesnej Polsce.

Pabianice należały do najstarszych i najzamożniejszych miejscowości w kraju. Od wielu dekad rozwijał się tam przemysł włókienniczy, miasteczko wciąż jednak miało dość prowincjonalny charakter – jeździły po nim tylko dwa samochody, z których jeden należał do miejscowego lekarza. Żydzi w tej części Europy Wschodniej od czasów zaborów spotykali się z wieloma uprzedzeniami, jednak w latach trzydziestych dwudziestego wieku byli już dość zamożni i stanowili około szesnastu procent lokalnej społeczności. Prześladowania dotyczyły szczególnie ortodoksyjnych Żydów oraz chasydów, którzy wyróżniali się czarnymi

strojami i kapeluszami, a mniej wpływały na życie mało religijnych rodzin, takich jak Abramczykowie, którzy sami o sobie mówili, że są Żydami „w sensie kulturowym” lub „zreformowanymi” (na długo zanim judaizm reformowany został oficjalnie uznany).

Choć w domu rozmawiali w jidysz i obchodzili szabat oraz inne święta przy świecach i koszernych potrawach, to rzadko bywali w synagodze. Dzieci nie były wychowywane w duchu szczególnie religijnym, ale chodziły do żydowskiej szkoły.

Ojciec Racheli miał na imię Szaja i pracował jako inżynier włókiennictwa w zakładzie swoich teściów – w tej branży Żydom szczególnie się powiodło. Rodzina posiadała własne krosna i zatrudniała głównie krewnych. Produkowała gobeliny oraz tkaniny na zasłony i obicia mebli. Dzięki własnemu zakładowi jej członkowie żyli na niezłym poziomie – mieli spore mieszkanie na trzecim piętrze, z dwoma balkonami i dużym ogrodem na tyłach kamienicy.

Szaja Abramczyk miał czterdzieści osiem lat, gdy urodziło mu się pierwsze dziecko. Posiadał wielką wiedzę o świecie i uważał się za intelektualistę. Był samoukiem i bardzo dużo czytał, zwłaszcza dzieła klasyków z zakresu historii, literatury i sztuki. Mówił dzieciom, że powinny się pilnie uczyć, i zachęcał je do nauki niemieckiego, który wówczas powszechnie uznawano za język ludzi kulturalnych.

Rachela bardzo podziwiała ojca. Odziedziczyła też po nim głód wiedzy. Była pilną uczennicą i wraz z rodzeństwem, niezależnie od pogody, codziennie maszerowała kilometr do szkoły i z powrotem. Lekcje zaczynały się o ósmej, a kończyły o wpół do drugiej po południu, później dzieci miały wolny czas na lekturę i zabawę.

Zgodnie z ówczesnymi obyczajami matka Racheli Fajga bardzo młodo wyszła za mąż za człowieka znacznie od niej starszego. Miała dziewiętnaście lat, gdy urodziła Rachelę, a potem przez większą część dzieciństwa najstarszej córki ciągle była w ciąży. Choć uwielbiała swoje dzieci, czasem drażnił ją mężowski zapał do zdobywania wiedzy, otwarcie mówiła więc przyjaciółom i rodzinie, że mógłby więcej czasu poświęcić metodom planowania rodziny.

Fajga Abramczyk była miłą, łagodną kobietą i dumną panią domu. Często powtarzała dzieciom, że dom jest ich twierdzą. Mieszkanie emanowało szczególną atmosferą dzięki eklektycznej mieszance dzieł sztuki, eleganckiej porcelany i innych elementów dekoracji wnętrz. Na Paschę zawsze przynoszono świeże kwiaty. Przychodzący z wizytą znajomi czy krewni nie mogli się nadziwić, że w domu jest tak czysto, a dzieci są tak grzeczne. Ich dobre wychowanie było w dużej mierze zasługą Racheli, jako że jej matka nie potrafiła utrzymać dyscypliny. Gdy tylko Rachela podrosła na tyle, żeby

wziąć na ręce niemowlę, stała się dla młodszego rodzeństwa drugą matką. Poza opiekowaniem się dziećmi pomagała też w kuchni i wykonywała inne domowe obowiązki.

Gdy rodzeństwo wracało ze szkoły, przygotowywała mu obiad, a potem posyłała je na dwór. Raz na jakiś czas rodzina brała kogoś do pomocy, ale przeważnie to najstarsze córki wykonywały większość prac w domu. Sala, która urodziła się jako druga, trzy lata po Racheli, wspominała: „Jedna z nas zawsze trzymała na ręku jakiegoś malucha albo robiła pranie w staroświecki sposób, z użyciem tary”. Gdy tylko ich młodsze siostry Estera i Bala podrosły, również dołączyły do zespołu. Chłopcy – Bernard, nazywany Berkiem, oraz młodszy brat Moniek – też robili, co mogli. Wciąż pozostawali jednak jeszcze ci najmłodszy, wymagający opieki: w 1931 roku urodziły się bliźnięta Dora i Heniek, a w 1933 roku przyszła na świat najmłodsza Manusia.

Rachela wyraźnie odczuwała ciężar odpowiedzialności. „Byliśmy dobrze ułożeni i nie biliśmy się jak inne dzieci” – mówiła, choć to właśnie ją matka prosiła o pilnowanie, żeby młodsze rodzeństwo należycie się zachowywało i wywiązywało z obowiązków domowych. Przez całe życie zajmowała się dbaniem o przestrzeganie zasad. Może właśnie z powodu licznych obowiązków młoda Rachela była bardzo szczupła. Czasem nazywano ją nawet rodzinnym „chucherkiem”.

„Rachela zawsze wyglądała na nieco gorzej odżywioną od nas wszystkich” – opowiadała jej piękna i żywiołowa siostra Sala, która śpiewała i tańczyła w grupach teatralnych.

Dzięki dobrze sytuowanym rodzicom Fajgi Abramczykowie dość dobrze jedli – często podawano pierogi i dania mięsne, takie jak kaczka z jabłkami albo kurczak ze śliwkami. Rodzinne posiłki stanowiły zawsze ważną część dnia. To właśnie wspomnienie pyszności na ich stole krzepiło Abramczyków podczas strasznych lat wojennych.

Cztery najstarsze siostry były bardzo lubiane przez rówieśników. Elokwentne, dobrze ubrane, a do tego dwujęzyczne dziewczęta miały szeroki krąg przyjaciół reprezentujących różne wyznania. Salę uważano za wielką piękność – szkolna nauczycielka plastyki namalowała nawet jej portret. „To był wielki zaszczyt, ale w sumie zawsze byłam jej ulubienicą” – wspominała.

Choć interes kwitł, a oni wiedli szczęśliwe życie rodzinne w swoim pięknym domu, mieli poczucie, że nie jest to coś trwałego. Żydzi spotykali się w Polsce z wieloma uprzedzeniami, na które nieraz mogli się poskarżyć jedynie przed rabinem lub sądem rabinackim w swojej gminie. Wielu osobom taka sytuacja nie odpowiadała. Zwłaszcza wśród młodszego pokolenia coraz częściej mówiło się o tym, żeby rozpocząć nowe życie gdzieś indziej, z dala od ciągłego zagrożenia

prześladowaniami. W latach trzydziestych w całej Europie Wschodniej coraz większą popularnością cieszył się syjonizm (ruch powstały już w dziewiętnastym wieku), dążący do odtworzenia państwa żydowskiego na „Ziemi Izraela” (rozumianej jako żydowska ojczyzna), gdzie Żydzi mogliby żyć bezpiecznie, z dala od uprzedzeń. Pomysł ten przekonywał szerokie rzesze ludzi, którzy czuli się w dużej mierze bezsilni.

Osoby starsze i bardziej religijne marzyły o wyjeździe do Palestyny, aby umrzeć „bliżej Boga” – co miało dla nich szczególne znaczenie. Inni, jak ojciec Racheli, myśleli raczej o krajach Orientu, gdzie oferowano Żydom schronienie. Młodszy w ogóle nie interesowali się sprawami religii, chcieli tylko zamieszkać gdzieś, gdzie panowałaby równość i gdzie mogliby bezpiecznie wychowywać dzieci.

Rachela od siedemnastego roku życia należała do Żydowskiego Funduszu Narodowego, zbierającego środki na zakup ziemi w Palestynie. Ona również marzyła, że pewnego dnia tam się przeprowadzi i będzie wiodła spokojne życie. Jako nastolatka musiała ciągle niańczyć młodsze rodzeństwo, więc teraz postanowiła, że jak najszybciej wyjdzie za mąż za jakiegoś bogacza. I właśnie to zrobiła, gdy tylko ukończyła szkołę średnią. Jej wybranek nazywał się Mosze (Monik) Friedman. Ten młody i przystojny mężczyzna, urodzony 15 maja 1916 roku, wraz z owdowiałą matką Itą oraz dwoma starszymi

braćmi – Dawidem i Awnerem – prowadził zakład włókienniczy. Firma była na tyle duża, że właściciele zatrudniali nawet gojów.



Monik Friedman, mąż Racheli

Ita Friedman pochodziła z Węgier. To właśnie ta nieustraszona kobieta pilnowała interesów, gdy jej mąż Szymon zmarł na gruźlicę – sama też omal nie zmarła, choroba ta mocno nadszarpnęła jej zdrowie. Pomimo wielu trudności, sprawowała pełną władzę nad swoim królestwem. Była też oddaną matką; uwielbiała swoich trzech synów i starała się tak umocnić przedsiębiorstwo,

żeby stanowiło ono dla nich należyty spadek.

Rachela wyszła za Monikę zaraz po ukończeniu szkoły średniej, w marcu 1937 roku. Od czasu dzieciństwa zdążyła już nabrać odpowiednich kształtów, w sukni ślubnej prezentowała się więc wspaniale. Osiemnastoletnia dziewczyna szybko weszła w tradycyjną rolę uległej żony (choć jej mąż w dniu ślubu miał zaledwie dwadzieścia jeden lat). Jej wiecznie utrudzona matka Fajga jeszcze wychowywała sześciolatnie bliźnięta i czteroletnią Maniusię. Na pewno dotkliwie odczuła brak najstarszej córki.

Podobnie jak Rachela, jej mąż również interesował się syjonizmem. Oboje już wcześniej wstąpili do organizacji młodzieżowej o nazwie Gordonia (od nazwiska znanego syjonisty Aharona Davida Gordona), która promowała ideę życia w kibucach i dążyła do odrodzenia języka hebrajskiego. W zgodzie z wyznawanymi ideałami, zdecydowali się na skromny ślub. Nieugięta Ita Friedman oczekiwała jednak od swoich dzieci życia na poziomie odpowiadającym ich zamożności, tak więc jej najmłodszy syn wraz z nową żoną urządzili się bardzo wygodnie w swoim nowym domu w Łodzi. Powojenna inflacja, która doprowadziła do ruiny miliony ludzi w całej Europie, niespecjalnie dawała się we znaki tym, którzy sprytnie zainwestowali w tekstylia lub złoto.

„Poślubiłam bardzo bogatego mężczyznę, nie musiałam więc pracować” – przyznawała Rachela.

„Powodziło nam się znacznie lepiej niż innym”. Świadomie postanowili nieco poczekać z zakładaniem rodziny, chcieli bowiem nacieszyć się sobą i wspomóc rozwój przedsiębiorstwa. Poza tym Rachela na razie miała dość ciągłej opieki nad dziećmi.

Łódź, która w ciągu wieków pozostawała kolejno pod rządami Polaków, Prusaków i Rosjan, była jednym z najgęściej zaludnionych miast przemysłowych na świecie, a przy tym olśniewającą metropolią: bulwary jak w Paryżu, wspaniałe budynki, pięknie zaaranżowana przestrzeń publiczna. Znajdowało się w niej drugie co do wielkości – po Warszawie – skupisko polskich Żydów. Stanowili oni ponad trzydzieści procent milionowej populacji miasta, a Polacy i niewielka mniejszość niemiecka pozostałą część. Jako że w okresie rewolucji przemysłowej w Łodzi działało około tysiąca dwustu zakładów tekstylnych i przędzalni wyposażonych łącznie w ponad dwa miliony wrzecion, stała się ona znaczącym centrum gospodarczym Polski, przyciągającym wykwalifikowanych pracowników.

W tętniącej życiem kosmopolitycznej metropolii Rachela i Monik mieli znacznie więcej do roboty niż w Pabianicach. Rachela, która nie musiała już wypełniać obowiązków domowych ani się uczyć, mogła się skupić na zbiorce funduszy na syjonistyczne cele. Rodzina jej męża rozważała tymczasem otwarcie nowego zakładu w oddalonej o sto trzydzieści kilometrów Warszawie,

gdzie posiadała już mieszkanie. Te plany pokrzyżowały wydarzenia na arenie światowej. Gdy Adolf Hitler zaanektował Austrię i wyrzucił z Niemiec wszystkich polskich Żydów, stało się jasne, że jego poczynań nie da się dłużej ignorować. Po Nocy Kryształowej już było wiadomo, że zagrożenie jest realne. Podczas gdy Żydzi z Niemiec, Austrii i Kraju Sudeckiego zaczęli w panice szykować się do ucieczki, Rachela i Monik również się zastanawiali, czy wyjechać, póki jest to jeszcze możliwe. W końcu przecież byli syjonistami, a wielu ich znajomych ruszyło już do Palestyny. Co jednak mieliby tam robić, tak daleko od swoich bliskich? Jak mieliby żyć w gorącym, nieprzyjaznym klimacie Bliskiego Wschodu?

Perspektywa ucieczki przed nazistowską polityką zdawała się kusząca, ale na razie Hitler i jego fanatyczni wyznawcy wciąż jeszcze pozostawali dość daleko. Powszechnie wierzone, że zadowolą się tym, co już udało im się uzyskać. Zakładano, że nawet gdyby Hitler zajął także Polskę, prześladowania dotknęłyby tylko ortodoksyjnych Żydów, a nie zamożne i dobrze zasymilowane rodziny.

Po długich rozważaniach Rachela i Monik postanowili zostać w ojczyźnie. Mówili po niemiecku i wyglądali tak samo jak Niemcy. Powodziło im się lepiej niż ogółowi społeczeństwa, mieli wielu przyjaciół wśród gojów. Nie potrafili też sobie wyobrazić, że gdzieś indziej mogliby się urządzić lepiej niż w Polsce. Uważali, że cokolwiek się

stanie – nawet jeśli stracą majątek – jakoś sobie poradzą. Nie sądzili, że grozi im bezpośrednio niebezpieczeństwo – przynajmniej dopóki przez miasto nie zaczęli maszerować żołnierze w czarnych oficerkach. „Brutalność nazistów wcale mnie nie zaskoczyła” – opowiadała później Rachela. „Nie spodziewałam się jednak, że coś takiego może nas spotkać ze strony zwykłych Niemców”.

Wszelkie ich nadzieje prysły 1 września 1939 roku, gdy Rzesza niespodziewanie napadła na Polskę z ogromną przewagą militarną. Od północy i od południa do kraju wdarły się oddziały piechoty, wiele miast zostało zbombardowanych – w tym nieodległy od Pabianic Wieluń, w którym zniszczeniu uległo dziewięćdziesiąt procent zabudowań w centrum miasta, a liczbę zabitych cywilów oszacowano na tysiąc trzysta osób. Z wielu miejscowości ludzie masowo uciekali – pieszo, na rowerach lub wozach. Modlono się, żeby polskie wojsko zdołało powstrzymać niemiecką inwazję. Wiele osób uciekło do Rumunii, na Litwę i na Węgry. Zaraz po Wieluniu przyszła kolej na Warszawę, w której celem ataków Luftwaffe były zarówno obiekty wojskowe, jak i inne budynki oraz ludność cywilna. Tysiące osób zginęło, a jeszcze więcej zostało rannych. Mieszkający w Łodzi Friedmanowie i rodzina Racheli w Pabianicach uciekli do schronów, słysząc ryk samolotów i towarzyszące im wycie syren ostrzegających przed

nalotami. Gdy 3 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę, było już za późno na ucieczkę z kraju.

Po pierwszej serii nalotów rozpoczął się niemiecki szturm na Warszawę – polscy obrońcy miasta ostatecznie skapitulowali dopiero po trzech tygodniach. Naziści pojмали ponad sto tysięcy jeńców wojennych. Następnego dnia, 1 października 1939 roku, na ulice Warszawy wjechały niemieckie czołgi i zaczęła się jej okupacja przez żołnierzy Wehrmachtu. Jakiś czas później Hitler triumfalnie ogłosił: „Państwo, które Anglia objęła swoimi gwarancjami, zostało starte z mapy w osiemnaście dni. [...] Zakończyła się pierwsza faza wojny; teraz rozpoczyna się druga”⁸. Zapewniał przy tym swoich entuzjastycznych wyznawców, że Niemcy stały się właśnie najpotężniejszym światowym mocarstwem.

Gdy przemiął pierwszy szok wywołany napaścią na kraj, zaczęły się pierwsze antysemityczne nagonki. Zarówno Abramczykowie, jak i Friedmanowie już pierwszego dnia wojny wiedzieli, że ich „piękne życie” w Polsce właśnie legło w gruzach. Połowę kraju okupowali Niemcy, a drugą połowę zajęli Sowieci – trudno powiedzieć, co było gorsze. Wszystkich Żydów w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat objęto nakazem pracy przymusowej. Wielu przedstawicieli mniejszości niemieckiej z entuzjazmem powitało wojska Hitlera i z dnia na dzień zyskało uprzywilejowany status

folksdojczów, a wkrótce potem włączyło się w kampanię publicznych prześladowań i upokorzeń Żydów, którymi od dawna skrycie gardziło.

Szczególnie narażeni na najróżniejsze przejawy wrogości byli chasydzi. Często zatrzymywano ich na ulicach, obrazano, bito kolbami karabinów, obcinano im brody (a czasem nawet je wyrywano), zmuszano ich, żeby czyścili chodniki szczoteczками do zębów lub szalami modlitewnymi. Wielu z nich bez powodu wieszano. Grabiono rzeczy z prywatnych mieszkań, wybijano szyby w sklepach i synagogach. Zlikwidowano wszystkie żydowskie święta, a Żydów zmuszano do ciężkiej pracy fizycznej, jednocześnie uniemożliwiając im wykonywanie wyuczonych zawodów w przemyśle włókienniczym. Tych, którzy próbowali uciekać, łapano i odbierano im niemal cały majątek. Wprowadzono też zakaz obrotu gotówkowego.

W ciągu kilku dni od niemieckiej napaści na Polskę tysiące osób straciło źródła utrzymania i dorobek życia. Dawni sąsiedzi zbierali się w bandy, napadali na żydowskie domy i wynosili z nich, co chcieli. Kradziono pościel, porcelanę, meble i obrazy. Nawet zdzierano obrączki z palców. Wszystkim Żydom nakazano noszenie żółtych opasek na ramię, a potem żółtych gwiazd – widocznych oznak ich odmienności.

Ogłoszono, że jedynym językiem urzędowym w tej części Polski jest teraz niemiecki, pozmieniano też

nazwy miast i ulic: Pabianice przemianowano na „Pabianitz”, a Łódź nazwano „Litzmannstadt” (od nazwiska pruskiego generała zasłużonego w pierwszej wojnie światowej). Gdy ulica Piotrkowska zamieniła się w Adolf Hitler Strasse, Rachela i Monik poczuli, że Niemcy na dobre się w ich mieście zadomowili.

Dzięki sporym zasobom finansowym Monikowi udało się załatwić dla siebie i żony fałszywe dokumenty poświadczające, że oboje są folksdojczami. Ponieważ w dodatku Monik miał jasną cerę i zielone oczy, zyskał wysoki status społeczny nawet wśród etnicznych Polaków, których pozycja była wyższa niż Żydów. Dzięki tym dokumentom małżeństwo mogło swobodnie się przemieszczać pomiędzy Łodzią a Warszawą, gdzie posiadało mieszkanie. Papiery chroniły ich też przed coraz bardziej restrykcyjnymi przepisami narzucanymi przez okupacyjne władze. Tak naprawdę gdyby tylko chcieli – i gdyby nie odpowiedzialność za rodzinę i jej interesy – mogliby się przenieść w jakieś znacznie bezpieczniejsze miejsce i przez całą wojnę ukrywać swoją żydowską tożsamość.

Rachela dowiedziała się od znajomych, że jej nieszczęsna rodzina w Pabianicach wciąż żyje. Niestety, bezpośredni kontakt z nią mógłby ją zdradzić. Słyszała też, że na wydzielonej części pabianickiego Starego Miasta Niemcy przygotowują getto, a także że niektórzy Żydzi dobrowolnie się tam przenoszą w nadziei, że

w większym skupisku nie będzie im grozić ciągle niebezpieczeństwo. Władze twierdziły, że utworzenie getta jest konieczne, że ma ono chronić Żydów przed atakami Aryjczyków oraz powstrzymać ich „współpracę z wrogami Rzeszy”. Tłumaczono też, że segregacja ludności jest konieczna ze względu na falę chorób przenoszonych rzekomo przez Żydów. Rodzina Racheli znalazła się pośród tysięcy mieszkańców Pabianic i okolicznych wiosek, których na początku 1940 roku stłoczono w jednym z pierwszych gett w Europie. Każda próba przekroczenia jego mocno strzeżonych granic groziła śmiercią.

Całe rodziny dostały zaledwie kilka dni na spakowanie się. Pozwalamo im zabrać ze sobą tylko pościel i niewiele przedmiotów osobistych. Choć początkowo getto liczyło zaledwie kilkuset mieszkańców, pod koniec roku było ich już około ośmiu tysięcy. Na niewielkim obszarze z gęstą siatką brukowanych ulic ludzie tłoczyli się w pokojach i mieszkaniach według wytycznych otrzymanych od władz. Rodzina Abramczyków miała szczęście, ich znajomi posiadali mieszkanie na terenie getta i mogli jej zaoferować spory wspólny pokój. Było tam trochę mebli i mała kuchenka. Nie wszyscy zdołali się jakoś urządzić – wiele rodzin zostało rozdzielonych lub musiało gnieździć się z obcymi ludźmi w ciasnych pomieszczeniach w zniszczonych magazynach lub ponurych kamienicach. Prawie nikt nie miał dostępu do

elektryczności i bieżącej wody.

Za wszelką żywność i opał dostarczane na teren getta trzeba było nazistom płacić towarami i usługami, wszyscy musieli więc pracować. Zgodnie z przepisami obowiązującymi w „resortach” ustanowionych przez powołaną przez Niemców żydowską Radę Starszych robotnikom przysługiwała porcja zupy dziennie – jeśli ktoś nie wyrobił dniówki, groziła mu śmierć głodowa. Niektórych zatrudniano w zakładach poza terenem getta, inni wytwarzali różne przedmioty w domu. Siostra Racheli Sala i jej bracia Moniek i Berek pracowali w fabryce produkującej garderobę, mundury i towary luksusowe. Fajga opiekowała się najmłodszymi dziećmi, a Szaja robił, co mógł, żeby zdobyć jedzenie i żeby w ich pokoju jakoś dało się mieszkać. Cała rodzina żywiła się cienkimi zupami, duszonymi jarzynami i niewielkimi przydziałami chleba. Żeby zjeść nieco więcej warzyw i czasem, przy odrobinie szczęścia, trochę mięsa czy jajek, musieli zebrać, grzebać w śmietnikach lub wymieniać na pożywienie to, co jeszcze posiadali.

Od godziny siedemnastej do ósmej rano wszyscy mieszkańcy getta musieli pozostawać w swoich zatłoczonych domach. Latem było tam potwornie duszno. Jako że w getcie nie działała kanalizacja, potrzeby fizjologiczne załatwiano do drewnianych kubłów – szybko się przepelniały i trzeba je było codziennie opróżniać, czyli wylewać ich zawartość do

cuchnących latryn i specjalnych drewnianych wozów wywożących nieczystości, pchanych przez nieszczęśników pracujących w tak zwanym *Scheisskommando*.

Rodzina Racheli próbowała jakoś się odnaleźć w nowej sytuacji. Wszyscy mieli nadzieję, że ta gehenna wkrótce się skończy. Starali się nawzajem jakoś podtrzymywać na duchu, wciąż powtarzając: „Jeszcze tylko tydzień i znów będziemy ludźmi”. Tygodnie jednak przechodziły w miesiące i nic się nie zmieniało. Wszyscy byli tylko coraz chudsi, coraz słabsi i coraz bardziej zrezygnowani. „Odebrali nam godność i choć radziliśmy sobie, jak umieliśmy, nie byliśmy już tymi ludźmi co wcześniej” – opowiadała potem Sala.

W lutym 1940 roku utworzono podobne getto w Łodzi. Na powierzchni około czterech kilometrów kwadratowych w zaniedbanych częściach Starego Miasta i Bałut stłoczono sto sześćdziesiąt cztery tysiące Żydów. Rachela i Monik postanowili opuścić miasto, póki było to możliwe – wraz z matką i braćmi Monika przenieśli się więc do mieszkania w Warszawie. Stolica przedwojennej Polski, której znaczna część została zamieniona w ruinę przez naloty Luftwaffe, należało teraz do utworzonej przez Niemców Generalnej Guberni zarządzanej przez Hansa Franka. Friedmanom wydawało się, że w tym mieście nie będą się tak rzucać w oczy jak gdzie indziej. „Sądziliśmy, że wojna nie potrwa dłużej niż dwa, trzy

miesiące. Mieliśmy nadzieję, że to wszystko zaraz się skończy” – opowiadała Rachela.

Życie w Warszawie okazało się jednak znacznie trudniejsze, niż się spodziewali. W mieście panowała nerwowa atmosfera. Z całego kraju napływali uchodźcy szukający schronienia. Codziennie przyjeżdżały nowe wozy ciągnięte przez konie lub ludzi, załadowane chybocliwymi stertami wszelkiego dobytku, w tym pobrzękującymi głośno garnkami i patelniami. Żywność była trudno dostępna, nawet posiadaczom podrabianych dokumentów stale groziło, że zostaną aresztowani lub spotka ich coś jeszcze gorszego.

W kwietniu 1940 roku zaczęto budować mur wokół powstającego getta warszawskiego, w którym planowano stłoczyć czterysta tysięcy Żydów (miało to być największe getto żydowskie w okupowanej przez Niemców Europie). W następnych miesiącach ludzie w panice uciekali dalej na wschód w nadziei, że może uda im się jakoś przedostać do Palestyny lub w inne bezpieczne miejsce. Rachela, Monik i jego bracia również ruszyli w stronę granicy, aby sprawdzić, czy jest możliwa dalsza ucieczka. Po drodze mijali liczne grupy uchodźców taszczących wszystko, co tylko potrafili unieść, z nadzieją na znalezienie schronienia w jakimś odległym kraju.

Owdowiała teściowa Racheli, której zdrowie mocno się pogorszyło od czasu niemieckiej napaści na Polskę, oświadczyła, że nie opuści swojego domu. Podobnie jak

wielu przedstawicieli ówczesnego młodego pokolenia, Monik uznał, że jego najważniejszą powinnością jest opieka nad matką. Stwierdził też, że muszą się trzymać razem. W czasie podróży ku granicy oboje z Rachelą zrozumieli, że jako uchodźcy musieliby przez dłuższy czas znosić trudy koczowniczego życia. Doszli do wniosku, że matka nie wytrzyma tak wielu niedogodności. „Ucieczka wiązała się z wielkimi trudami” – tłumaczyła Rachela. „Zbyt wielkimi dla schorowanej, starszej kobiety. Postanowiliśmy więc wrócić i z nią zostać”.

W listopadzie 1940 roku wszystkich warszawskich Żydów zamknięto w getcie. Do uciekinierów strzelano. Na powierzchni zaledwie dwóch kilometrów kwadratowych, otoczonych trzymetrowym murem z drutem kolczastym na szczycie, stłoczono kilkaset tysięcy ludzi. Ci, którzy tam trafili, starali się jakoś przeżyć. Spore mieszkanie Friedmanów znajdowało się na terenie getta, więc początkowo niewiele się zmieniło. „Życie toczyło się niemal tak jak zwykle” – opowiadała Rachela. „Nie mieliśmy nic do roboty, żyliśmy za pieniądze teściowej”. Zezwalano na przesyłanie do getta żywności i innych paczek, a każdy, kto posiadał jakiś zapas złotych lub niemieckich marek, mógł kupować towary luksusowe na czarnym rynku. Mijały miesiące, a życie wciąż się prawie nie zmieniało. Jednak pewnego dnia całej rodzinie kazano opuścić mieszkanie, ponieważ

uznano, że jest ono zbyt duże dla czterech osób. Ich dawny klient z czasów przedwojennych zaproponował im pokój w swoim mieszkaniu – z wdzięcznością przyjęli ofertę.

Rodzina Racheli wciąż jakoś sobie radziła, ale ludzie na ulicach zaczęli umierać z głodu, wycieńczenia i chorób, takich jak gruźlica czy tyfus (miesięcznie śmierć zabierała około dwóch tysięcy osób). Rachela zajęła się organizowaniem pomocy dla tych, którym powodziło się gorzej (szczególnie starała się wspomóc osoby z Pabianic). „Bardzo dużo ludzi było bardzo biednych i przeraźliwie głodnych, więc wraz z grupą znajomych zorganizowaliśmy kuchnię, żeby ci nieszczęśnicy mogli codziennie dostać chociaż zupę i kawałek chleba. Niektórzy płacili parę groszy za posiłek i za te pieniądze znów kupowaliśmy jedzenie. Potrafiliśmy nakarmić siedemdziesiąt osób dziennie”.

Zarządzająca gettem Rada Żydowska (*Judenrat*) oddała do dyspozycji Racheli i innych ochotników sporą kuchnię, w której mogli oni przygotowywać posiłki dla ubogich – nie zaoferowała im jednak żadnej pomocy materialnej. „Prowadziliśmy jadłodajnię przez sześć miesięcy, aż skończyły się pieniądze. Wówczas musieliśmy ją zamknąć” – tłumaczyła Rachela.

Skupiła się teraz na zdobywaniu odzieży dla osób najbardziej zagrożonych śmiercią z wychłodzenia w miesiącach zimowych. Jako że stale brakowało opału

do ogrzewania domów i gotowania, ludzie umierali na ulicach, niewielki cmentarz zapełniał się tak szybko, że trzeba było grzebać ofiary w zbiorowych grobach. Rachela szczególnie martwiła się o dzieci, które w większości i tak były już wycieńczone wskutek niedożywienia i chorób. Wraz z grupką koleżanek udała się z wizytą do Janusza Korczaka, sześćdziesięciodwuletniego lekarza, nauczyciela i pisarza, który w 1912 roku założył w Warszawie pierwszy sierociniec. Korczak kilkakrotnie odrzucił propozycje ucieczki z getta, jako że nie chciał zostawić bez opieki dwóch setek swoich wychowanków.

Kobiety udały się do jego sierocińca przy ulicy Dzielnej i zaoferowały pomoc. Korczak poprosił, żeby znalazły ciepłe ubrania dla jego „maluszków” – tym się więc zajęły. Prawie na pewno to w tych właśnie sukienkach i płaszczach dzieci wyszły parami rok później, po zapowiedzi Korczaka, że mają się ładnie ubrać, bo opuszczają getto. Trwały już wówczas wywózki i w pierwszej kolejności do transportów posyłano dzieci, starców i chorych. Korczak (który ogłosił, że musi iść tam, gdzie jego dzieci) towarzyszył sierotom w długim marszu na *Umschlagplatz* („plac przeładunkowy”, czyli sieć bocznic kolejowych połączonych ze stacją towarową Warszawa Gdańska). Stamtąd zawieziono je wszystkie pociągiem prosto do komór gazowych w obozie koncentracyjnym w Treblince. Korczak zginął wraz ze

swoimi podopiecznymi.

Prezes Judenratu Adam Czerniaków połknął kapsułkę z cyjankiem – wolał umrzeć niż się podporządkować Niemcom zadającym, aby codziennie dostarczać sześć tysięcy osób do transportów. W krótkim liście do żony napisał: „Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć”². Do Zarządu Gminy napisał: „dłużej znieść tego nie mogę. Mój czyn wykaże wszystkim prawdę i może naprowadzi na właściwą drogę działania”¹⁰.

Choć granic getta silnie strzeżono, można było przejść przez bramę, jeśli się posiadało odpowiednie papiery. Pozbawieni towarów mieszkańcy Warszawy zdobywali je na czarnym rynku. Niektórzy ryzykowali życie, żeby ludziom uwięzionym za murami dostarczyć żywność lub opał. Dorośli i dzieci przeciskali się przez kanały kanalizacyjne i wykopane w ziemi tunele, przenosząc na drugą stronę korespondencję i inne rzeczy.

Dzięki fałszywym papierom Monik podejmował czasem ryzyko i opuszczał teren getta, żeby zdobyć podstawowe produkty lub dowiedzieć się czegoś o losach rodziny Abramczyków. Za każdym razem, gdy wyruszał za mur, Rachela zastanawiała się, czy jej mąż zdoła wrócić. Gdy się zjawiał, odczuwała wielką ulgę. Leżeli potem w nocy obok siebie i szeptem zapewniali się, że ten koszmar wkrótce się skończy. Nawet gdy rozpoczęto deportacje, mówili sobie: „To też przeminie”. Niemcy

obiecywali, że gdy ktoś dobrowolnie zgłosi się do „przesiedlenia”, otrzyma dodatkową rację żywnościową oraz szansę na pracę w gospodarstwie rolnym, ale Friedmanowie nie dali się zwieść. Za wszelką cenę chcieli pozostać razem na miejscu, dopóki nie zostaną zmuszeni do wyjazdu. Wciąż jeszcze trzymali się nadziei, że każdego dnia wojna może się skończyć.

Jednak pętla stopniowo się zaciskała. Esesmani w asyście żydowskiej policji (noszącej specjalne czapki oraz mundury z żółtą gwiazdą) zaczęli przeprowadzać łapanki i mordować wszystkich podejrzanych o działalność „wywrotową” – niektórych publicznie wieszano na głównym placu. Mieszkańcy getta żyli w ciągłym strachu, przerażało ich pukanie do drzwi, zwłaszcza po godzinie policyjnej. Szmuglerów wyłapano niemal co do jednego i rozstrzelano, przez co uniemożliwiono Żydom kontakt ze światem na zewnątrz. Korzystanie z fałszywych papierów stało się zbyt ryzykowne. Brak żywności powodował, że coraz więcej ludzi umierało.

Monik czuł się bezradny. Wiedział, że musi wraz ze swoją młodą żoną uciekać. Niemal całą resztkę rodzinnych pieniędzy przeznaczył na wynajęcie przemytnika, który zobowiązał się wyprowadzić Rachelę z getta, choć wiązało się to z ogromnym niebezpieczeństwem. Przemytnik (prawdopodobnie goj) przyjechał wozem zaprzęgniętym w konia. Zabrał

Rachelę i jeszcze jedną kobietę, po czym spokojnie przejechał przez bramę, a następnie ruszył w studwudziestokilometrową podróż do Pabianic. „Zajęła nam ona trzy dni” – opowiadała Rachela. „Nie ukrywałyśmy się. Ubrałyśmy się jak chłopki, na głowach zawiązałyśmy sobie chustki”. Dwa tygodnie później przemysłownik wrócił do getta po Monikę.

Jego matka Ita została w Warszawie pod opieką jego brata Awnera. Drugi brat Dawid uciekł na wschód – ostatnie wiadomości o sobie przekazał ze Związku Sowieckiego. Awner później również ruszył w tamtą stronę i dojechał do Kijowa, prawdopodobnie żaden z nich nie przeżył wojny.

Rachela od dwóch lat nie widziała się z rodziną, kiedy więc dotarła do pabianickiego getta, nastąpiło pełne emocji spotkanie. Szaja Abramczyk był człowiekiem po sześćdziesiątce, a jego żona skończyła czterdzieści lat, lecz oboje wyglądali na znacznie starszych. Wymizerowani, o woskowej skórze, mieli zgaszone spojrzenia i nie było w nich już ani śladu tej dawnej radości, którą Rachela pamiętała z dzieciństwa. Z wielkim zainteresowaniem wysłuchali opowieści Racheli i streścili jej swoje doświadczenia. Zaznaczyli nawet z dumą, że na dwudziestą piątą rocznicę ślubu zdołali obdarować się nawzajem prezencikami oraz zjeść nieco lepszy posiłek zamiast codziennej zupy.

Choć Rachela cieszyła się ze spotkania z rodziną,

szybko zdała sobie sprawę – podobnie jak jej mąż – że życie w pabianickim getcie jest równie straszne jak w warszawskim. Później rozeszła się wieść, że wszyscy Żydzi z Pabianic mają zostać przewiezieni do getta w Łodzi, gdzie podobno panowały jeszcze gorsze warunki. Racheli ciężko było znów opuszczać rodzinę, jednak wraz z mężem uznała, że nie mają innego wyjścia, jak tylko znów zapłacić za przewiezienie ich z powrotem do warszawskiego getta – tą samą drogą, którą z niego uciekli. Gdy już wrócili za mury, ze względów bezpieczeństwa każde udało się do innego domu. Monik zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami został przyjęty przez znajomych. Okazało się jednak, że drzwi do „bezpiecznego domu”, gdzie miała schronić się Rachel, są zaryglowane, a jego mieszkańcy zbyt przerażeni, żeby jej otworzyć. W obliczu zagrożenia, że zostanie złapana przez policję, Rachel nie miała wyboru – musiała przekonać przemytnika, żeby ją zabrał z powrotem do rodziców.

Niedługo potem, w sobotę 16 maja 1942 roku, pabianickie getto zostało otoczone przez wojsko i policję – rozpoczęła się jego „likwidacja”. Mieszkańcom (których dzień wcześniej poinformowano, że będą opuszczać getto i mogą zabrać ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy) kazano stanąć w równych rzędach. Uzbrojonym w karabiny Niemcom towarzyszyły groźnie szczekające wilczury. Rachel i dziesięcioro członków jej rodziny

starali się trzymać razem. Zapędzono ich na stadion sportowy, gdzie miała się odbyć „rejestracja”.

Siedzieli tam cały dzień i całą noc, bez jedzenia. Wielu ludzi bito lub upokarzano. W końcu powiedziano im, że zostaną przewiezieni autobusami i tramwajami do Łodzi. Podczas gdy w długich kolejkach oczekiwali na przejazd, nagle wkroczyli między nich niemieccy żołnierze, którzy mieli zdecydować, kto się nadaje do niewolniczej pracy, a kto nie. „Widzieliśmy, jak zabierają starszych ludzi i dzieci poniżej siedmiu czy ośmiu lat. Nie pozwalali im wsiąść do autobusu” – opowiadała Sala. „Mieliśmy trochę szczęścia, bo nasze najmłodsze dzieci skończyły już jedenaście lat, mogliśmy więc jechać razem z nimi”.

Wybuchła wielka wrzawa – oszalałe z rozpaczki kobiety za nic nie chciały zostawić dzieci. Rodzina Racheli z przerażeniem patrzyła, jak niemiecki żołnierz wyrwa z rąk matki niemowlę i wyrzuci je gdzieś daleko. Nie widzieli, gdzie dziecko upadło, byli jednak pewni, że nie przeżyło. „Nigdy tego nie zapomnę” – wspominała Sala. „Po tym zdarzeniu matki zaczęły oddawać dzieci babkom, żeby się nimi zaopiekowały. Nie wiedziały jednak, dokąd je zabiorą ani co się z nimi stanie”.

W ciągu dwóch dni cztery tysiące dzieci, osób starszych i chorych zostało starannie „wyselekcjonowanych”, po czym oddzielonych od reszty i odesłanych w nieznaną. Lamenty ich rodzin niosły się

daleko poza stadion – podobnie jak odgłosy strzałów z karabinów, którymi zabijano na miejscu wszystkich stawiających opór.

Podczas gdy rodzina Abramczyków oczekiwała w kolejce do transportu, Niemcy ogłosili, że potrzebują silnych młodych ochotników, którzy pojedą z dziećmi i starszymi „do ważnych zadań”. Ku przerażeniu Racheli i całej reszty rodziny, jej osiemnastoletni brat Moniek wystąpił z szeregu i się zgłosił. Tłumaczył, że dzieci nie będą tak bardzo się bały, jeśli będzie im towarzyszył. „Błagaliśmy go, żeby tam nie szedł, żeby z nami został. Ale on powiedział: »Nie, muszę tam iść i pomóc«. Zabrali go razem z dziećmi” – relacjonowała Sala. Ostatni raz widzieli młodego Mońka, gdy odjeżdżał autobusem pełnym dzieci. Próbował je uspokoić, śpiewając im wesołe piosenki.

Zrozpaczona rodzina nie miała wówczas pojęcia, że osoby nienadające się do pracy przewieziono do Chełmna (przez Niemców przemianowanego na Kulmhof), około dwustu kilometrów na północny wschód od Pabianic, gdzie utworzono nazistowski obóz zagłady. Przez całą wojnę zamordowano tam około stu pięćdziesięciu tysięcy osób – przeważnie zamykano ludzi w specjalnie zaprojektowanych ciężarówkach, które po uruchomieniu silnika wypełniały się spalinami i ruszały na cmentarzysko urządzone w pobliskim lesie rzuchowskim; czasem też ustawiano ich przy

wykopanych wcześniej dołach i zabijano strzałem w głowę. Około siedemdziesięciu tysięcy ofiar pochodziło z Łodzi. Dopiero wiele lat po wojnie rodzina Abramczyków dowiedziała się, co się stało z ich ukochanym Mońkiem.

„Zawieźli ich do lasu i tam zastrzelili” – opowiadała Sala. „Mój brat należał do grupy młodych mężczyzn, którzy musieli uprzątnąć ciała, a po wykonaniu zadania również zostali zabici. Kazali mu zdjąć ubranie; potem znalazły je miejscowe władze. On jako pierwszy z naszej rodziny został zamordowany”.

Choć Abramcykowie nie wiedzieli, jaki los spotkał Mońka, i tak byli zdruzgotani jego utratą. Otępioną bólem rodzinę – pomniejszoną o jedną osobę – przewieziono do Łodzi.

Warunki panujące w tamtejszym getcie, usytuowanym w najbardziej zaniedbanej części Starego Miasta, wydały się Racheli straszne – nawet w porównaniu z gettem warszawskim, gdzie w latach 1941–1942 około siedemdziesięciu tysięcy Żydów umarło z głodu. Twierdziła, że dopóki nie trafiła do Łodzi, właściwie nie wiedziała, czym jest prawdziwy głód. Przy silnie strzeżonych bramach wjazdowych wisiały wielkie znaki: „Żydowska dzielnica mieszkaniowa. Wstęp wzbroniony”. Co pięćset metrów znajdował się posterunek żołnierzy mających nakaz strzelania do każdego, kto spróbuje uciec.

W obrębie zasieków z drutu kolczastego upchnięto około dwustu trzydziestu tysięcy osób. Gnieździły się one w fatalnych warunkach w kamienicach przy brukowanych lub w ogóle nieutwardzonych, błotnistych ulicach. W mieszkaniach bez okien przebywały całe społeczności. W powietrzu unosił się kwaśny odór ścieków i gnijących ludzkich ciał – chorych i umarłych. Przypominający upiory mieszkańcy getta trwali w stanie bliskim katatonii i nie potrafili już dbać o swój wygląd. Ich skóra obwisła; wiele osób sprawiało wrażenie niemal przezroczystych, wydawało się, że zaraz ich porwie byle powiew wiatru. „Ci, którzy przebywali tam najdłużej, wyglądali strasznie. Byli niedożywieni i opuchnięci z głodu. Ledwo chodzili, mieli żółte, obwisłe policzki. Był to przejmujący widok” – opowiadała Sala.

Nad głównymi ulicami przecinającymi getto, na które nie mieli wstępu nie-Aryjczycy, zbudowano trzy drewniane kładki. Ulicami w dole jeździły tramwaje, ich pasażerowie nie mogli jednak w tych miejscach wysiadać – patrzyli tylko bezradnie na getto, w którym panowały coraz gorsze warunki. Wciąż mając w pamięci rodzinny dom pełen życia i kolorów, wszyscy członkowie rodziny Abramczyków widzieli teraz wszędzie dookoła ludzkie cienie w bezbarwnym otoczeniu – jak gdyby wskutek wszechobecnego głodu i zimna życie całkiem spłowiło.



Kładka dla Żydów nad „aryjską” ulicą przecinającą getto

Tak jak w większości utworzonych w owym czasie gett, Niemcy żądali, aby przebywający w nich Żydzi płacili na swoje utrzymanie – cała społeczność skupiała się więc na pracy, dzięki której mogła jakoś przeżyć. Na terenie getta działało ponad sto zakładów i fabryk, a wszyscy mieszkańcy od dziesiątego do sześćdziesiątego piątego roku życia musieli pracować. Co dzień rano przez megafony ustawione na „placu strażackim” (czyli otwartym dziedzińcu koszar straży ogniowej) przy ulicy Lutomierskiej ogłaszano, gdzie mają się kierować nowo przybyli do getta. Dopiero później rozlegały się gwizdki w zakładach pracy. Naziści ustanowili „zasilek” w wysokości około trzydziestu fenigów dziennie na osobę – z tego można było wykupić skąpe racje

żywnościowe wydawane przez kuchnie pracownicze. Wszyscy musieli pracować, żeby spłacić tę „pożyczkę”. Rachelę z rodziną zatrudniono przy produkcji artykułów na potrzeby niemieckiego frontu: tkanin, butów, plecaków, siodeł, pasków i mundurów. W zamian za pracę Niemcy zapewniali minimalne dostawy żywności (choć nie zawsze się z nich wywiązywali), które miały całej społeczności getta zapewnić przetrwanie, oraz kilka podstawowych usług.

Po przepracowaniu połowy zmiany robotnikom przysługiwała miska zupy (zwanej też pomyjami) i kawałek chleba. Co tydzień wszyscy ustawiali się w kolejce po dodatkowe racje żywnościowe, takie jak buraki, ziemniaki, kapustę, kaszę czy cebulę – w zależności od dostaw. Czasem władze w przyływie dobrego humoru zapewniały mieszkańcom trochę kielbasy o niewiadomym pochodzeniu, odrobinę margaryny, mąki, sztucznego miodu czy niewielką rybkę (zwykle już śmierdzącą) – co musiało wystarczyć na kolejny miesiąc życia. Niekiedy dostarczano do getta mleko, które jednak latem szybko kwaśniało (zresztą wszystkie świeże produkty błyskawicznie się psuły).

O resztę żywności pozwalającej przeżyć kolejny tydzień każdy musiał zadbać sam. Na jedzenie – na przykład liście rzodkwi dla urozmaicenia zupy lub warzywa korzeniowe, takie jak brukiew, w normalnych okolicznościach przeznaczane na paszę dla zwierząt –

wymieniano buty, ubrania, papierosy, książki lub inne przedmioty osobiste. Szaja, ojciec Racheli, jako nałogowy palacz często wymieniał swój przydział żywności na papierosy, przez co nikł w oczach.

Rodzina Abramczyków najmocniej zapamiętała z getta „ciągłą pracę i bezustanny głód”. Oczy mieli zapadnięte, kości biodrowe zaczęły im wystawać. Zaciskali paski i robili w nich nowe dziurki, skromna rodzinna garderoba wkrótce się poprzecierała i zeszywniała od brudu. Wciąż bolały ich brzuchy, a nogi im ciążyły, jakby były z ołowiu. Podobnie jak w Warszawie, ludzi przy życiu trzymał tylko czarny rynek, jako że punkty dystrybucji żywności i składy ziemniaków coraz częściej rozkradano albo rozprzedawano na lewo (co powszechnie nazywano „zbieraniem śmietanki”). W wyniku niedożywienia setki osób cierpiały z powodu ropni, spuchniętych stóp, nóg i całych ciał. „Niektórzy ledwo chodzili, bo wciąż napelniali puste brzuchy wodą, za dużo pili” – opowiadała Sala. „W pewnym momencie stopy odmówiły mi posłuszeństwa, mama dała mi więc trochę ciemnego oleju i brązowego cukru. Nie wiem dlaczego, ale to mi pomogło”.

Szacuje się, że około dwudziestu procent mieszkańców getta umarło z powodu wyczerpania, głodu i chorób. Podczas srogich zim ludzie zamarzali we własnych łóżkach. Niektórzy popełniali samobójstwo: skakali z okien, truli się lub wieszali, żeby przyspieszyć

to, co nieuchronne. Zdarzało się, że rodzice zabijali najpierw swoje dzieci, a potem siebie. Inni szli „na druty”, czyli biegli w stronę zasieków, żeby szybko zginąć od niemieckiej kuli (ten sam rodzaj samobójczej śmierci często się zdarzał później w obozach – najbardziej zdesperowani więźniowie biegli prosto na ogrodzenie pod napięciem, żeby szybko zakończyć koszmarne życie).

Przełożonym Starszeństwa Żydów (*Judenälteste*) naziści mianowali Mordechaja Chaima Rumkowskiego – bezdzietnego sześćdziesięcioletniego biznesmena. Podobnie jak Adam Czerniaków w Warszawie, Rumkowski odpowiadał za codzienne sprawy w getcie. Zarządzał ze swojego biura przy Bałuckim Rynku. Od jego decyzji zależało również życie każdego mężczyzny, kobiety czy dziecka. Rumkowski, który wcześniej prowadził zakład tekstylny i sierociniec, w chwili gdy poszedł na współpracę z Niemcami, stał się postacią wielce kontrowersyjną – przez jednych uważaną za bohatera, a przez innych za kolaboranta.

Ten siwowłosy błękitnooki człowiek żywił przekonanie, że dzięki umiejętnościom pertraktacji nabytym w okresie, gdy kierował największym sierocińcem w mieście, zdoła ocalić łódzkich Żydów, podkreślając ich wartość jako wykwalifikowanych robotników. Głosił hasło „*Unser einziger Weg ist Arbeit*”¹¹ i twierdził, że jeśli tylko getto będzie utrzymywać wysoką produkcję, to Niemcy nie będą sobie mogli pozwolić na

to, żeby się pozbyć cennej siły roboczej. Zdaniem niektórych Żydów to dzięki tej polityce udało im się przeżyć jeszcze dwa lata po tym, jak zlikwidowano getta w Warszawie i w innych miejscowościach.

Rumkowski (znany jako Prezes) stworzył też w getcie bardzo wyraźną strukturę klasową. Wielu osobom należącym do związanej z nim elity rządzącej powodziło się całkiem nieźle. Ludzie, którzy mamili innych Żydów obietnicami bez pokrycia, głodzili ich i wykorzystywali jako siłę roboczą, mieszkali w wygodnych mieszkaniach, pili wódkę i jedli to, co miało trafić do podziału dla wszystkich. Niektórzy posiadali nawet domki letniskowe na Marysinie, czyli w dzielnicy ogródków działkowych. Dla swoich dzieci wynajmowali nauczycieli muzyki i języka hebrajskiego, mieli dostęp do luksusów, takich jak gorąca woda i mydło, sprowadzali towary spoza granic getta, a nawet chodzili na bale i koncerty, podczas gdy wszyscy pozostali tłoczyli się w ciemnych norach i skubali strupy pokrywające ich ciała. Zimą, gdy tylko zbiorowym kuchniom i piekarniom przysługiwał opał, będąca u władzy elita otrzymywała go tyle, ile chciała, a pozostali mieszkańcy getta grzali się przy zebranych z drogi okruchach węgla lub starych krokwiach wyniesionych z walących się budynków.

Racheli i pozostałym ośmiorgu członkom jej rodziny powodziło się nieco lepiej niż innym: mieszkali w sporym pokoju w nie najgorszym mieszkaniu przy dawnej ulicy

Pieprzowej (przemianowanej teraz na Pfeffergasse) w samym centrum getta. Spali jedno obok drugiego na materacach ułożonych na podłodze – po to, żeby się nawzajem ogrzewać, ale też z powodu braku miejsca. Brat Racheli Berek, którego ze względu na młody wiek i siłę fizyczną natychmiast przeznaczono do ciężkich robót, został zakwaterowany gdzie indziej. Co tydzień w pobliskim sklepie rodzina mogła odebrać swój przydział chleba – posyłali wówczas do kolejki najmłodszego Heńka w nadziei, że sklepikarz się nad nim ulituje i da mu nieco większy bochenek. Gdy Heniek w końcu przynosił drogocenny chleb do domu, matka starannie kroїła go na dziewięć pajd, z których największa zawsze przypadała ojcu jako głowie rodu.



Niewolnicza praca w łódzkim getcie

Co wieczór, gdy starsi członkowie rodziny wracali z pracy do domu, Fajga podawała im supę ugotowaną z wszelkich resztek jedzenia, jakie udało jej się zdobyć. Czasem dostawali ziemniaki, ale w miesiącach zimowych były one przeważnie zamrożone na kamień i po rozmrożeniu okazywały się tak zgniłe, że trzeba je było zakopać, żeby ktoś się nie skusił i nie zatrzał. Kiedy indziej udawało się zdobyć trochę brukwi. Ich racje żywnościowe obejmowały też kawę zbożową – Fajga mieszała ją z odrobiną wody i robiła z niej placki, żeby choć trochę zapełnić dziecięce brzuszki. Od tamtej pory zapach kawy zawsze już przypominał Racheli i jej siostrą to pomysłowe danie.

„Pomimo głodu staraliśmy się nie tracić ducha” – opowiadała Sala. „Wciąż żyliśmy nadzieją, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym wszystko się zmieni”.

Szaja Abramczyk był człowiekiem niezwykle pomysłowym, o wyjątkowym zmyśle praktycznym – po całym dniu ciężkiej pracy w warsztacie wracał do domu i tam wykorzystywał swoje umiejętności. Oddzielił część pokoju ścianką działową, żeby zapewnić członkom rodziny nieco prywatności. Naprawiał znoszone buty dzieci, robił półki, a nawet podłączył pokój do sieci elektrycznej, dzięki czemu mieli światło i mogli używać maszyny do szycia. Szczególnie korzystała na tym Sala, utalentowana krawcowa, która za dnia szła ubrania i czapki dla Niemców. Choć z powodu mizernego

oświetlenia w zakładzie bardzo bolały ją oczy, po skończeniu zmiany szła na obolałych nogach do domu, jadła zupę i siadała do wytwarzania odzieży z używanych materiałów. Następnie w zamian za artykuły żywnościowe przekazywała je członkom jednej z rodzin należących do elity sprawującej władzę.

„Moja praca polegała na szyciu eleganckich damskich strojów, które wysyłano do Niemiec” – opowiadała. „Czasem przychodzili do zakładu Niemcy i patrzyli, jak pracuję. Potem w domu robiłam coś z niczego. Pamiętam, że mieliśmy skądś sporo zielonego materiału”.

Obowiązkowa praca nie tylko zapewniała minimalne wyżywienie, ale też zmniejszała stale obecne ryzyko „wysiedlenia” do obozu pracy. Wywózki do obozów rozpoczęły się już w styczniu 1942 roku, zanim jeszcze rodzina Racheli dołączyła do mieszkańców zatłoczonego łódzkiego getta. Pod koniec 1941 roku zaczęto wysyłać tam Żydów i Romów z całej okupowanej przez Niemców Europy, w związku z czym Rumkowskiemu i kierowanej przez niego Komisji Wyszędleń nakazano nadzorowanie deportacji tysiąca osób dziennie. Niemcy grozili, że jeśli urzędnicy nie zapewnią odpowiedniej liczby ludzi, to zabrane zostaną ich własne żony i dzieci. Rumkowski stanął przed koszmarnym problemem moralnym, czuł jednak, że nie ma wyjścia i musi wypełniać rozkazy. Dość szybko zdał sobie sprawę, że w razie nieposłuszeństwa

nieposkromieni w swoim dążeniu do unicestwienia Żydów naziści po prostu zastąpiliby go kimś, kto by im się podporządkował. Miał nadzieję, że przynajmniej zdoła wynegocjować zmniejszenie liczby osób deportowanych.

Przy każdej nowej fali wywózek oddziały niemieckiej i żydowskiej policji ruszały na łowy, szukając na ulicach „świeżego mięsa”. Po getcie niosły się odgłosy serii z karabinów, jako że podczas tych akcji zabijano na miejscu każdego, kto stawiał opór. Po otrzymaniu list osób przeznaczonych do deportacji umundurowani funkcjonariusze przyjeżdżali ciężarówkami i otaczali wytypowane kamienice. Następnie wyginali wszystkich mieszkańców na zewnątrz, czasami prosto z łóżek. Jeśli ktoś nie chciał otworzyć drzwi, wyważano je kopniakiem.

Nieszczęśnicy, których nazwiska znalazły się na listach, początkowo byli osadzani w więzieniu przy ulicy Czarnieckiego, a później ładowano ich do tramwajów jadących na przystanek kolejowy Radegast (Radogoszcz) na Marysinie, zaraz za granicą getta. Szacuje się, że w czasie wojny przez peron stacji przeładunkowej Radegast mogło się przewinąć nawet dwieście tysięcy Żydów. Dopóki przetrzymywano ich w więzieniu na Czarnieckiego, tliła się jeszcze nadzieja. Podczas tych kilku godzin, a czasem nawet dni ich bliscy w rozpaczliwej szukali po całym getcie jakiegoś „kontaktu”, czyli wpływowej osoby, do której mogliby dotrzeć i ubłagać ją

lub przekupić, żeby wykreśliła nazwiska z listy osób przeznaczonych do transportu. Oczywiście zwykle nie przynosiło to rezultatu, ale nawet jeśli komuś się udało, oznaczało to jedynie, że ktoś inny musi zająć miejsce uratowanej osoby, żeby zgadzała się wymagana liczba osób przeznaczonych, jak to eufemistycznie nazywano, „na patelnię”.

Choć między falami transportów zdarzały się przerwy, wszyscy mieszkańcy getta żyli w ciągłym strachu przed wysiedleniem i śmiercią. W rodzinie Racheli coraz bardziej gasła nadzieja na lepsze jutro. Jej członkowie skupiali się już teraz wyłącznie na przetrwaniu tak długo, jak tylko się da, i ochronie swoich bliskich. Szaja Abramczyk, który w oczach swoich dzieci był tak pomysłowy, że mógłby zostać wynalazcą, coraz bardziej się obawiał, że straci całą rodzinę lub jej część wskutek selekcji, postanowił więc temu przeciwdziałać w sposób bardzo praktyczny. Rozbudował ściankę działową tak, żeby przecinała całą długość pokoju, a na jej środku ustawił drewnianą komodę. Następnie z tyłu jej dolnej części skonstruował tajne przejście, przez które cała rodzina mogła się przecisnąć, kiedy tylko pod ich domem zjawiała się policja i esesmani. „Po drugiej stronie ścianki było akurat tyle miejsca, żeby nas wszystkich pomieścić” – opowiadała Sala. „Gdyby ktoś wówczas wszedł do pokoju, uznalby, że jest on pusty. Ojciec zawiesił nawet na tej ściance obrazki, tak że wyglądała jak normalny

mur”.

Kryjówka okazała się bezcenna, gdy we wrześniu 1942 roku ponownie rozpoczęto deportacje. Pod dom nagle zajeżdżały z hałasem ciężarówki, słychać było dudnienie oficerek, a potem okazywało się, że sąsiedzi z kamienicy zostali zabrani nie wiadomo dokąd. Rodzina Abramczyków za każdym razem przeciskała się przez małe drzwiczki z tyłu komody i czekała w ścisłości za ścianką, zatykając uszy, żeby nie słyszeć krzyków i lamentów sąsiadek oraz sadystycznego rechotu funkcjonariuszy. „Niemcy wchodzili do środka i zaczęli wrzeszczeć: »Opuścić dom!«. Następnie wybierali ludzi do deportacji. Zabierali autobusami po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób” – relacjonowała Sala. „A potem znów przyjeżdżali i robili to samo, wiele, wiele razy”. Abramczykowie mogli jedynie w duchu pożegnać się z sąsiadami i przyjaciółmi, których tracili na zawsze.

Mało kto z mieszkańców getta wiedział lub się domyślał, co się dalej działo z ich bliskimi, których wysłano w daleki świat. Skutecznie odcięci od wszelkich źródeł informacji ludzie nie mieli pojęcia, że istniały tylko dwie możliwości: śmierć od kuli lub zatrucie tlenkiem węgla w Chełmnie. W szczelinach niektórych powracających wagonów bydłych można było czasem znaleźć ukryte karteczki informujące o koszmarze u celu podróży i ostrzegające innych Żydów, żeby nie wsiadali do pociągów. Do getta trafiały też ubrania i rzeczy

osobiste należące do wywiezionych osób z całej okupowanej Europy, przeznaczone do ponownego wykorzystania przy produkcji artykułów dla Niemców. Niektóre z nich opatrzone były nazwiskami ludzi, którzy wcześniej opuścili getto. Łódzcy Żydzi coraz częściej podejrzewali najgorsze i dawali wiarę pogłoskom, co tak naprawdę oznacza termin „na patelnię”.

W obawie przed represjami, które mogły ich spotkać ze strony Niemców, gdyby nie było odpowiedniej liczby osób do deportacji, Rumkowski i jego współpracownicy wielokrotnie zapewniali mieszkańców getta, że w nowych obozach na osoby wysiedlone czekają odpowiednie warunki, a rodziny nie zostaną rozdzielone. Obiecywali, że deportowani będą pracować przy produkcji artykułów na potrzeby niemieckiego wojska i mieszkać w lepszych warunkach w koszarach wojskowych. Ponieważ jednak transportom nie było końca, a od osób wysiedlonych nie przychodziły żadne wiadomości, wkrótce mało kto już wierzył w te zapewnienia. Koniec końców i sam Rumkowski przestał udawać, że wszystko jest w porządku.

Jego wielki plan się nie powiódł. Choć sam uważał, że stworzył modelowy obóz pracy – ze szkołami, szpitalami, strażą pożarną i policją – i miał niemal nieograniczoną władzę nad całą społecznością getta (udzielał nawet ślubów), jego pozycja była stale kwestionowana. Tysiące osób wciąż wysiedlano, a na dodatek Niemcy nie

dostarczali odpowiedniej ilości jedzenia, co wcześniej obiecywali w zamian za ciężką pracę mieszkańców. Starając się za wszelką cenę spacyfikować strajki i protesty głodowe zrozpaczonych ludzi, Rumkowski stopniowo stawał się dyktatorem i groził więzieniem każdemu, kto próbował się przeciwstawić jego działaniom podejmowanym w celu zaprowadzenia porządku.

Tymczasem Niemcy postanowili przyspieszyć tempo eksterminacji Żydów i zerwali dotychczasowy układ z Rumkowskim, żądając od niego dostarczania coraz więcej ludzi do transportów. W końcu zażądali najstraszniejszej rzeczy – wysiedlenia z getta wszystkich dzieci do dziesiątego roku życia oraz osób powyżej sześćdziesięciu pięciu lat (co oznaczało codzienną wywózkę trzech tysięcy osób przez osiem kolejnych dni).

Kryjówka Abramczyków prawdopodobnie uratowała im życie 5 września 1942 roku, gdy o piątej rano wprowadzono Wielką Szperę (*Allgemeine Gehsperrre*), czyli powszechny zakaz opuszczania domów. W ciągu tygodnia getto musiało oddać do transportów ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Mało która rodzina przetrwała w całości.

Po wielu dniach bezsilnego błagania Niemców, żeby wycofali swoje żądania lub przynajmniej obniżyli wymaganą liczbę, Rumkowski – który znany był z wielkiej miłości do dzieci – w końcu musiał pogodzić

się z faktem, że nawet na kolanach nie zdoła odwieść nazistów od przeprowadzenia tej akcji. Sam określił się mianem „złamanego Żyda”. Dzień przed wprowadzeniem Wielkiej Szpery zwołał mieszkańców getta na plac strażacki. Było parne jesienne popołudnie. Wziął głęboki oddech i przemówił do zgromadzonego tłumu: „Na getto spadł ogromny cios. Żądają od nas, byśmy oddali, co mamy najdroższego – dzieci i ludzi starych. [...] Ja muszę przeprowadzać tę krwawą operację. [...] muszę dziś wyciągnąć do was ramiona i błagać: Bracia i Siostry! Ojcowie i Matki – oddajcie mi wasze dzieci!¹²”.

Na placu rozległy się krzyki i lamenty. Rumkowski dalej tłumaczył, że zdołał jedynie wynegocjować redukcję żądanej wcześniej liczby dwudziestu czterech tysięcy osób oraz zapewnić bezpieczeństwo dzieciom powyżej dziesiątego roku życia. Powiedział też, że dzieci i starsi stanowią razem trzynaście tysięcy osób, co oznacza, że konieczne będzie uzupełnienie żądanej liczby innymi osobami. Ogłosił, że zgodził się na wydanie Niemcom osób chorych, żeby ocalić zdrowych. Przekazał też zebrany niemieckie groźby, że jeśli akcja deportacyjna napotka jakikolwiek opór, wówczas zostanie przeprowadzona z większą brutalnością.

Najmłodsza siostra Racheli Maniusia miała już wówczas jedenaście lat, dzięki czemu nie objęło jej to nieludzkie rozporządzenie. Fakt ten w niczym nie

umniejszał potworności niemieckich żądań ani okrutnego sposobu, w jaki je wyegzekwowano. „Myśleliśmy, że deportowanych posyłają do pracy, ale gdy zaczęli zabierać dzieci i pacjentów szpitali, wówczas wiedzieliśmy już, że idą na śmierć” – tłumaczyła Rachel. „Robili to w straszny sposób: rzucali dzieci z okien prosto na ciężarówkę. Wiedzieliśmy więc, że to nie może oznaczać nic dobrego”.

Niektórzy rodzice, od dawna już balansujący na krawędzi szaleństwa z powodu warunków, w jakich żyli, całkiem postradali zmysły, gdy odebrano im dzieci, które tak bardzo starali się chronić. Krążyły pogłoski o matkach, które wołały same udusić swoje maleństwa niż oddać je Niemcom uzbrojonym w karabiny i z psami przeczesującym ulice.

„Chowaliśmy się do naszej kryjówki, ilekroć słyszeliśmy, że Niemcy szukają ludzi” – opowiadała Sala. „Siedzieliśmy tam, dopóki nie było pewne, że można bezpiecznie wyjść”. Po upływie godziny lub dwóch, gdy cichła wrzawa, wpełzali z ukrycia i snuli się po kamienicy, żeby sprawdzić, kogo zabrano. Gdy widzieli wyważone kopniakiem drzwi wiszące luźno na zawiasach, wiedzieli, że mieszkająca tam wcześniej rodzina już nie wróci – zabierali więc pozostawioną przez nich żywność i wszelkie użyteczne przedmioty. „Tak właśnie żyliśmy przez te kilka tygodni. Zabieraliśmy to i zjadaliśmy jak zwierzęta, a nie jak ludzie” –

tłumaczyła Sala.



Łódzka stacja Radegast, przez którą przewinęło się
dwieście tysięcy Żydów, w tym Rachela

Uwięzieni w Litzmannstadt Żydzi starali się jakoś przeżyć kolejne dni, czy raczej kolejne minuty, a przede wszystkim dotrzeć do następnego posiłku. Zarówno polskie złotówki, jak i niemieckie marki czy wewnętrzne pieniądze getta potocznie zwane „rumkami” lub „chaimkami” (w nawiązaniu do imienia i nazwiska Chaima Rumkowskiego) nie miały już żadnej wartości, jako że jedyną walutą stało się jedzenie. Dostawy żywności były nieregularne, między innymi dlatego, że Niemcy przed każdym kolejnym transportem woleli

przełodzić mieszkańców, żeby ci nie stawiali oporu. Następnie oferowali darmowe posiłki wszystkim, którzy na ochotnika zgłoszą się do wysiedlenia. Osobom pozostającym w getcie zmniejszono o dwie trzecie dzienne racje żywnościowe, ale szalejąca korupcja powodowała, że wiele produktów spożywczych i tak nie trafiało do zwykłych mieszkańców.

O osobach najbardziej niedożywionych, często bosych, w łachmanach, o zdeformowanych ciałach mówiono, że mają „klepsydrę na gębie”¹³. Często zdarzało się, że te wymizerowane istoty o spuchniętych brzuchach i nogach kładły się do łóżek z błyszczącymi od gorączki oczami i w ciągu kilku dni umierały. Setki osób ginęły też z powodu szalejących epidemii świerzbu, tyfusu i gruźlicy. Choć warunki bytowe cały czas się pogarszały, coraz bardziej przyparty do muru Rumkowski zarzekał się, że utrzyma produkcję w getcie. W jednym ze swoich przemówień tłumaczył: „Nie mogę ocalić wszystkich, więc zamiast wystawić całą populację getta na powolną śmierć głodową, ocalę przynajmniej najmocniejsze dziesięć tysięcy”.

Ludzie padali na ulicach, latem muchy zaraz obsiadały zwłoki, a zimą ciała szybko sztywniały na mrozie. Nie liczyło się już nic oprócz jedzenia. Obsesją mieszkańców getta stało się pragnienie zdobycia choćby obierek lub zgniłego ziemniaka.

Rachela, jako młoda żona bogatego męża pochodząca

ze znanej rodziny, której dawniej nieźle się powodziło, miała dzięki odpowiednim znajomościom więcej szczęścia niż inni. Musiała jednak pracować po dwanaście godzin dziennie w biurze zakładu wytwarzającego wielkie słomiane ochraniacze na buty dla żołnierzy Wehrmachtu walczących na froncie wschodnim. Były one tak sztywne, że trudno było w nich chodzić, chroniły jednak palce przed odmrożeniem. W tym samym zakładzie pracowały też jej trzy siostry, również najmłodsza.

Poza granicami getta mąż Racheli Monik wciąż próbował znaleźć jakiś sposób, żeby uratować żonę. Dzięki fałszywym papierom uciekł z warszawskiego getta i podjął wielce ryzykowną podróż do Łodzi, żeby się z nią spotkać. „Uważał, że jestem za słaba, żeby przeżyć w getcie bez niego, nie mógł jednak mnie stamtąd wydostać” – opowiadała Rachela. „Mój brat Berek, który pracował w pobliskim obozie, widział, jak Monik jeździ w tę i z powrotem tramwajem. W końcu, ryzykując życie, przeszedł przez zasieki gęsto obstawione przez Niemców, żeby się znaleźć obok mnie w getcie, był bowiem przekonany, że to zwiększy moje szanse. Nie chciał przeżyć wojny beze mnie, więc dobrowolnie wszedł do getta, żeby mi towarzyszyć”.

Na dobre porzuciwszy nadzieje na ucieczkę, Monik zamieszkał z rodziną Racheli w i tak już tłoczonym pokoju. Największym problemem było to, że jego

nazwisko nie figurowało na żadnej z list skrupulatnie sporządzanych przez nazistów, w związku z czym miał status nielegalnego przybysza. Ponieważ jednak jego matka przed wojną osobiście знаła Rumkowskiego, rodzina zwróciła się do niego o przysługę. „Król getta” oświadczył, że jedynym miejscem, w którym nikt nie będzie zadawał Monikowi pytań o to, skąd się wziął, jest *Sonderkommando*, czyli oddział specjalny żydowskiej policji. Monik bez wahania się zgodził i został zakwaterowany wraz z pozostałymi funkcjonariuszami. „Robił to, co mu kazano” – mówiła Rachela. Jak wszyscy walczący o przeżycie pod niemiecką okupacją nie miał wielkiego wyboru. Wraz z bratem Racheli Berkiem dołączył też na ochotnika do straży pożarnej (getto miało z konieczności własne służby ratownicze). Tych, którym udało się zdobyć posadę w służbach porządkowych lub ratowniczych, kwaterowano w głównej siedzibie policji lub w koszarach strażackich, gdzie otrzymywali nieco lepsze jedzenie. Jakiś czas później Racheli przyznano własny pokój w mieszkaniu przy pobliskiej ulicy. Dopiero tam oboje z mężem mogli sobie pozwolić na odrobinę prywatności, kiedy akurat on był w stanie ją odwiedzić.

Zdarzały się też inne niespodzianki. „Pewien człowiek, który przed wojną reprezentował naszą firmę, zabrał nas do wielkiego magazynu i podarował nam trochę ubrań i koców, bo trafiliśmy do getta tylko w tym, co akurat

mieliśmy na sobie” – opowiadała Rachela. Jako że panowała akurat sroga zima i szalały zamiecie śnieżne pokrywające wszystko grubą warstwą białego puchu (nadającego nawet najnędzniejszym ulicom zwodniczy pozór niewinności), dzięki posiadaniu dodatkowego koca można było przeżyć.

Wszyscy robili, co mogli, żeby nie tracić ducha. Organizowano imprezy muzyczne i kulturalne: koncerty jazzowe i klasyczne, przedstawienia teatralne i pantomimy dla dzieci. W kilku takich występach brała udział Sala, która od dziecka tańczyła i śpiewała w teatrach amatorskich (również w getcie w Pabianicach). Nie zapomniano o edukacji – w zakładzie Racheli oprócz dzieci zatrudniano też nauczycieli, którzy podczas pracy dawali lekcje. „Nie korzystali z książek ani papieru, przekazywali wiedzę ustnie, czasem coś literowali, opowiadali historie”.

Od września 1942 do maja 1944 roku licząca siedemdziesiąt pięć tysięcy osób „żydowska siła robocza” (*Jüdische Arbeitskräfte*) zapewniała esesmanom tak wysoką produkcję, że na jakiś czas wstrzymano transporty. Jednak wojenne wiatry zaczęły zmieniać kierunek. Alianci zrzucaли bomby ma niemieckie miasta – między innymi przeprowadzili masowe naloty na Hamburg i Zagłębie Ruhry, w wyniku których tysiące osób zginęło lub zostało rannych. W maju Heinrich Himmler – drugi po Hitlerze najpotężniejszy człowiek w Rzeszy –

zarządził likwidację łódzkiego getta. W ciągu kolejnych trzech miesięcy siedem tysięcy Żydów posłano na śmierć do Chełmna. Ponieważ ciężarówki przeznaczone do gazowania ludzi nie nadążały z uśmiercaniem tak dużej liczby ofiar, kolejne transporty kierowano już do Auschwitz. Pracujących w getcie nieszczęsnych listonoszy, którzy dostarczali wezwania osobom przeznaczonym do transportu, zaczęto nazywać Aniołami Śmierci.

Ponieważ jedzenia ciągle brakowało, trzeba było stale zmniejszać liczbę osób do wykarmienia. Pociągi jadące w nieznaną zabierały więc z getta te grupy dzieci i osób starszych, które jeszcze w nim przetrwały. Zgodnie z oficjalnymi rozporządzeniami najmłodszy członekowie rodziny Racheli powinni wówczas trafić do transportów, udało im się jednak schować w domowej kryjówce. Potem zaczęto zabierać zdrowych mężczyzn. Berek i Monik uniknęli wówczas transportu dzięki posadom w policji i straży pożarnej, wiedzieli jednak, że niedługo nie będą już w stanie ochronić rodziny przed najgorszym. Nie było już gdzie się schować.

Przez te wszystkie lata rodzina Racheli zdołała utrzymać się razem i uniknąć wywózek. Aż w końcu pewnego dnia w sierpniu 1944 roku Berek („najlepszy brat na świecie”), który robił wszystko, co tylko mógł, żeby zapewnić rodzinie przetrwanie, odwiedził swoich najbliższych i przekazał im „dobrą wiadomość”:

transporty się zakończyły.

Władze zapewniły strażaków, że krewni najważniejszych pracowników getta zostaną ocaleni. Muszą jedynie wyjść z ukrycia i zgromadzić się na placu strażackim, żeby można było ich policzyć i ocenić, ile osób trzeba wykarmić. Podobnie jak wiele innych obietnic złożonych mieszkańcom łódzkiego getta, ta również okazała się fałszywa.



Wnętrze wagonu towarowego, jakim przewożono
„wrogów Rzeszy”

„Wracaliśmy właśnie do domu z placu strażackiego, gdy złapali nas esesmani” – opowiadała Sala. „Matka została w domu z młodszymi dziećmi, powiedziałam

więc do jednego z Niemców, że moja siostrzyczka Maniusia pobiegnie tylko do domu i powie matce, że nas zabrano. Miałam nadzieję, że mała ukryje się wraz z resztą rodziny, matka jednak szybko przybiegła do nas wraz z pozostałymi i wszystkich nas zabrano. Wsadzili nas do pociągu. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy i co z nami zrobią. Tuliłam młodszą siostrzyczkę niczym niemowlę. Aż w końcu otworzyli drzwi wagonów”.

Dwudziestego ósmego sierpnia 1944 roku, gdy wraz z rodziną została wywieziona z niemal już pustego łódzkiego getta (ostatniego w Polsce) do Auschwitz II-Birkenau, Rachela Friedman miała dwadzieścia pięć lat. Od kilku godzin nie widziała się z mężem i nie miała pojęcia, czy również trafił do tego samego transportu i przebywał w innym wagonie, czy też nadal ukrywał się gdzieś w getcie. Nie mieli okazji się ze sobą pożegnać ani w żaden sposób nawzajem pocieszyć.

Brat Racheli Berek, mogący zostać w Łodzi w specjalnym oddziale siedmiuset pięćdziesięciu Żydów, których zadaniem było uprzątnięcie terenu getta i zebranie wszystkiego, co jeszcze się do czegoś nadawało, postanowił jednak dołączyć do rodziny. Był młody i silny, wiedział, że zdoła pomóc ojcu przeżyć w strasznych warunkach obozu pracy. Prawie mu się udało.

Wraz z nimi jednym z ostatnich transportów opuścił

też getto Chaim Rumkowski wraz z żoną i trojgiem członków rodziny. Krążyła pogłoska, że z własnej woli dołączył do ostatnich deportowanych w nadziei, że nic im się nie stanie. Wszystkie pozostałe getta w Polsce dawno już zostały zlikwidowane, a łódzki „król” (którego imię Chaim stanowi też podstawę ważnego żydowskiego toastu „Za życie!”) zdołał zapewnić części mieszkańców getta bezpieczeństwo znacznie dłużej – choć często w kontrowersyjny sposób. Nikt do końca nie wie, jak umarł. Miał trafić do komory gazowej (śladem tysięcy osób, które wcześniej przekazał Niemcom).

Z ponad dwustu tysięcy ludzi, którzy przewinęli się przez łódzkie getto, ocalał niecały tysiąc. Dla nazistów, mających na celu unicestwienie europejskich Żydów, był to wielki sukces. Rodzina Racheli została zapędzona do wagonów towarowych jak zwierzęta wiezione na rzeź. Przez całą drogę trzymali się razem, ściśnięci w ciemnym kącie z tyłu wagonu, bez jedzenia i nawet kropli wody. Czekali na chwilę, w której się dowiedzą, gdzie trafili. „W tych zamkniętych wagonach, z których nie można było wyrzeć na zewnątrz, byliśmy tak odrętwiali z przerażenia, że nawet się nie odzywaliśmy” – opowiadała Rachela. Pozbawieni jakiegokolwiek prywatności łódzcy Żydzi musieli jakoś wytrzymać, gdy kubek na nieczystości się przepełnił, a potem przez przypadek z brzękiem się przewrócił – od wszechobecnej woni amoniaku łzawiły im oczy. Spragnieni świeżego

powietrza ludzie poniewczasie zdali sobie sprawę, że może łatwiej byłoby im przeżyć tę podróż, gdyby stali bliżej zabezpieczonej drutem kolczastym wąskiej szpary pełniącej funkcję okna.

Zanim pociąg gwałtownie zahamował w Auschwitz, wszystkie dzieci płakały, a starsi się modlili. Ściśnięci w ciemnościach ludzie z trudem łapali oddech. W końcu jednak usłyszeli szcęk metalowych rygli, drzwi się z hukiem rozsunęły, a do wagonu wpadł upragniony powiew powietrza. Ludzie wylegli z wagonów prosto w oślepiające błyski latarek i koszmarne wrzaski funkcjonariuszy formujących ich w rzędy. Wszyscy potem zgodnie twierdzili, że były to najgorsze chwile. „Człowiek wtedy nie myśli, nie mówi, porusza się jak automat” – opowiadała Rachel.

Doktor Mengele, który tej nocy znów miał dyżur, stał koło rampy i obserwował nowy transport ludzi. Niedawno przyjechała do niego z wizytą żona Irena, matka ich jedyne go syna Rolfa (jej pobyt w Auschwitz trwał prawie trzy miesiące, ponieważ zachorowała i trafiła do świetnie wyposażonego szpitala SS). Mąż tłumaczył jej, że jego praca w obozie jest równoważna z walką na froncie, musi zatem wykonywać swoje obowiązki „z żołnierskim posłuszeństwem”.

Gdy przyjeżdżał nowy transport, niektórzy funkcjonariusze „Oddziałów Trupiej Główni” (*Totenkopfverbände*), czyli jednostek odpowiedzialnych za

nadzorowanie obozów, narzekali na kiepski stan „nowego materiału”. Mengele rzadko kiedy pozwalał sobie na jakiegokolwiek komentarze – zwykle mierzył tylko każdego więźnia spojrzeniem i zadawał kilka pytań, czasem dość uprzejmie, a następnie kierował indagowanego na prawo lub na lewo, w stronę życia lub śmierci.

Rodzina Racheli została rozdzielona w ciągu kilku minut od przyjazdu. Przerażoną Fajgę tulącą do siebie troje najmłodszych dzieci (trzynastoletnie bliźnięta Dorę i Heńka oraz najmłodszą Maniusię) popędzono w jedną stronę, a Rachelę wraz z siostrami (Esterą, Bałą i Salą) – w drugą. Pośród poganianego tłumu obie grupki starały się trzymać razem – każdy odwracał tylko nerwowo głowę, żeby jeszcze raz zerknąć na swoich bliskich, zaraz jednak przywoływano go do porządku.

Szaja Abramczyk, pomysłowy majsterkowicz i wrażliwy intelektualista kochający książki, który zachęcał swoje dzieci do nauki niemieckiego, a teraz wraz z Berkiem został przydzielony do oddziału ciężkich robót, patrzył na swoją rozdzielaną na smaganym wiatrem pustkowiu rodzinę. „Byli za daleko” – opowiadała Rachel. „Nigdzie nie mogłam dostrzec mojego Monika. Nie widziałyśmy też matki z najmłodszymi dziećmi. Zobaczyłyśmy ojca, który pokazał nam na palcach, że dwoje przeszło, a jedno nie”.

Rachela i jej siostry jeszcze wówczas nie zdawały sobie

sprawy, że w tym dniu ostatni raz widziały swoich rodziców i młodsze rodzeństwo.

3

Anka



Anna Nathanová – zdjęcie z dokumentów

„Jest pani przy nadziei?” – usłyszała po niemiecku naga Anka Nathanová w październikową noc 1944 roku na placu apelowym, gdy nadeszła jej kolej stanąć oko w oko z doktorem,

którego nazwisko trwale zapisało się w historii obozu Auschwitz II-Birkenau.

Dwudziestosiedmioletnia Czeszka jedną ręką starała się jakoś zakryć obfity biust, który od dawna ją krępował, a drugą osłaniała łono. Rozglądała się wkoło oszołomiona. Nie mogła uwierzyć, że była tak głupia, iż z własnej woli zgodziła się przyjechać w to miejsce za swoim mężem Berndem. Po trzech latach spędzonych w getcie w Theresienstadt, godzinę jazdy na północ od Pragi, naiwnie wyobrażała sobie, że przesiedlą ich w podobne miejsce. Jako że pozostałych członków jej rodziny już wcześniej wysłano na wschód, wydawało jej się, że będzie lepiej, jeśli będą trzymać się razem.

W chwili gdy pociąg zaczął z jękiem hamować, aż w końcu się zatrzymał na specjalnej bocznicy prowadzącej do łukowato sklepionej „Bramy Śmierci” w Birkenau, zrozumiała, że popełniła błąd. W porównaniu z miejscem, gdzie się teraz znalazła, getto było rajem.

Gdy tylko odblokowano żelazne rygle wagonów towarowych, ciężkie drewniane drzwi otworzyły się ze złowieszczym trzaskiem. Oteźpiali mężczyźni, kobiety i dzieci wypadli w ciemną noc, potykając się i zderzając ze sobą jak pijani.

„Trafiliśmy do piekła, ale nie wiedzieliśmy dlaczego” – opowiadała Anka. „Wychodziliśmy z wagonów, ale nie wiedzieliśmy dokąd. Baliśmy się, ale nie wiedzieliśmy czego”.

Wciągana przez krwiożerczą jamę pożerającą transport za transportem, Anka była od samego początku w ciężkim szoku. Z wieżyczek strażniczych tego najefektywniejszego

nazistowskiego obozu masowej zagłady biło jaskrawe światło, słysząc było ujadanie psów, a dookoła stali mężczyźni z pałkami wrzeszczący: „Raus! Raus!”.

Nieco dalej niczym marmurowe posągi tkwili schludnie ubrani esesmani, którzy obserwowali, jak rekrutowani z więźniów dozorczy biją, popychają i terroryzują stłoczonych, przerażonych ludzi. Panowała atmosfera ogólnej wrogości i okrucieństwa, w powietrzu unosiła się kakofonia dźwięków w wielu językach: dozorczy wykrzykiwali polecenia, kobiety i dzieci zanosili się płaczem, mężczyźni na próżno próbowali protestować.

Nie było czasu, żeby zrozumieć, co się dzieje. Po opuszczeniu wagonów wszystkich ogarnęło nagłe, przerażające wrażenie, że wokół czai się straszne niebezpieczeństwo. Strażnicy wprawnie ustawili Żydów z Theresienstadt w dwie długie kolumny – po jednej stronie kobiety i dzieci, po drugiej mężczyzn i starszych chłopców. Następnie pokierowali wszystkich w stronę esesmana, którego Anka miała ponownie spotkać nieco później.

Uśmiechnięty doktor, w którego rękach leżał los więźniów, stał na szeroko rozstawionych nogach i patrzył na zbliżającą się falę ludzi. Jako jedyny z funkcjonariuszy nie patrzył na nich tak, jakby nie istnieli. Każdemu szybko zadawał kilka pytań (między innymi o to, czy są w tłumie jakieś bliźnięta) i wskazywał szpicrutą, na którą stronę dana osoba ma iść: na lewo czy na prawo. Przynajmniej dwie trzecie nowo przybyłych – mężczyzn, kobiet i dzieci – posłał na lewo, Ance jednak kazał iść na prawo.

Przechodząc obok doktora, miała wrażenie, że bije od niego niemal fizyczna ekscytacja, jak gdyby wybieranie ze świeżego transportu najlepszych egzemplarzy było jego ulubionym zajęciem. W tle za jego plecami z dwóch ogromnych kominów strzelały w niebo słupy ognia wysokie na kilkanaście metrów. Podwójne zasieki z drutu kolczastego pod napięciem nie dawały żadnych szans na ucieczkę. W nozdrza wciskała się dziwna, słodkawa woń, której obecności Anka nie potrafiła ignorować, choć starała się oddychać ustami – nigdy też nie zdołała wymazać tego zapachu z pamięci.

W niecałą godzinę od jej pierwszego zetknięcia się z tym „Piekiełem Dantego”, ponownie stanęła przed jak zawsze sumiennym doktorem Mengelem, tym razem na błotnistym placu apelowym. Musiała teraz zdecydować, czy przyznać się, że nosi w łonie dziecko.

Uciekając spojrzeniem od wzroku esesmana, patrzyła na jego oficerki – tak wypolerowane, że widać w nich było odbicie jej nagiego ciała. Zaciskając mocno oczy, żeby nie widzieć swojego upokorzenia, ona też pokręciła głową i powiedziała: „Nein”.

Mengele westchnął z wyczuwalną irytacją i poszedł dalej.

Okresem, który Anka wspominała jako chyba najszcześniejszy w swoim życiu, był czas, gdy beztrudno studiowała prawo na prastarym Uniwersytecie Karola w Pradze, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Była uderzająco piękną młodą dziewczyną, mówiła płynnie po niemiecku, francusku i angielsku, znała też trochę hiszpański, włoski i rosyjski. Cieszyło ją bogate

życie stolicy, która była wówczas jednym z najbardziej tętniących życiem wielokulturowych miast w Europie, zamożną i nowoczesną metropolią przyciągającą najwybitniejsze umysły i artystyczne dusze, pełną kawiarni, teatrów i sal koncertowych.

Anka uwielbiała muzykę klasyczną, a zwłaszcza dzieła Antonína Dvořáka, chętnie chodziła też na koncerty, na których wykonywano utwory Beethovena i Brahmsa. Najbardziej lubiła operę Bedřicha Smetany *Sprzedana narzeczona*. Anka miała wielu adoratorów, najbardziej jednak się cieszyła, gdy któryś zabierał ją do kina, gdzie mogła zapomnieć o wszystkim i z przejęciem śledzić losy bohaterów. Widziała amerykański dramat *Ziemia błogosławiona*, a także thrillery Hitchcocka, takie jak *39 kroków* czy *Starsza pani znika*.

Anna Kauderová (tak brzmiało jej panięskie nazwisko) urodziła się 20 kwietnia 1917 roku na terenie ówczesnych Austro-Węgier, w miasteczku Třebechovice pod Orebem, założonym jeszcze w XIV wieku. Znajduje się ono około trzynastu kilometrów od miasta Hradec Králové (którego nazwa oznacza „zamek królowej”), rozciągającego się na żyznej ziemi u zbiegu Łaby i Orlicy, gdzie zachowały się ślady jednej z najstarszych osad na terenie dzisiejszych Czech. Hradec Králové słynie także z fabryki fortepianów, założonej przez Antonína Petrofa.

Radosna i – jak sama przyznawała – nieco rozpieszczona Anka była najmłodszym dzieckiem

w rodzinie. Uwielbiali ją zarówno rodzice, Stanislav i Ida, jak i sporo starsze rodzeństwo: Zdena, Ruzena i Antonin (na którego wołano „Tonda”). Był jeszcze braciszek Jan, który na dwa lata przed narodzinami Anki zmarł na zapalenie opon mózgowych w wieku trzech lat. Matka nigdy do końca się nie podniosła po tej stracie.

Wraz z krewnym matki, który nazywał się Gustav Frankl, rodzina Kauderów z powodzeniem prowadziła w Třebelicach pod Orebem spółkę Kauder & Frankl – garbarnię i zakład wyrobów skórzanych. Gdy Anka miała trzy lata, jej rodzina przeprowadziła się z mieszkania w Hradcu Králové do większego lokum przyległego do zakładu.

Przedsiębiorstwo mieściło się w nowym obszernym budynku w kształcie podkowy, stojącym na sporej działce. Garbarnia miała wysoki komin z cegły – mała Anka zawsze się bała, że komin się przewróci i ich wszystkich zabije. Przy mieszkaniu był ogród i spory taras z altanką, a także kominek ogrodowy, gdzie latem przyrządzano posiłki. Rodzina uprawiała warzywa, miała własne pomidory i owoce zbierane prosto z drzewa. Ziemi było tyle, że gdy siostra Anki Ruzena wyszła za Toma Mautnera, wraz z mężem wynajęła Kurta Spielmanna, znanego praskiego architekta, żeby im zaprojektował i wybudował na rodzinnej działce willę w stylu Bauhausu, w której potem przez wiele lat szczęśliwie mieszkali ze swoim synkiem Petrem.

Anka uwielbiała czytać i często znikwała w rodzinnym ogrodzie, gdzie pochłaniała swoje ulubione łacińskie książki oraz wszelką literaturę klasyczną, w różnych językach. Czytanie było też pasją jej brata Tondy, który bardzo dobrze traktował młodszą siostrę i wszędzie ją ze sobą zabierał, zwłaszcza na mecze piłkarskie – jako zapalony kibic zawsze wracał z nich zachrypnięty. „Świetnie się ze sobą dogadywaliśmy” – opowiadała Anka. – „Tonda miał samochód i zabierał mnie w różne miejsca. Gdy chciałam iść na tańce, a matka akurat nie miała na nie ochoty, to on mi towarzyszył, a potem usuwał się w cień i mi nie przeszkadzał. Nic mi nie groziło, bo zawsze towarzyszył mi brat”.

Ich matka Ida pracowała w firmowym sklepie za kasą, co w owych czasach należało do rzadkości. Była serdeczną, rozmowną kobietą, uwielbiała plotkować z klientkami, które chętnie jej się zwierzały. Jako że matka codziennie zajmowała się sklepem, rodzina zatrudniała kilka osób do pracy – między innymi pokojówkę, kucharkę, ogrodnika i praczkę. Ida pilnowała, żeby w domu było czysto, i doskonale opiekowała się dziećmi.

„Matka zrobiłaby dla mnie wszystko” – mówiła Anka. „Było mi z nią cudownie. W naszym domu nigdy nie schodziliśmy poniżej pewnych standardów”.

Anka była zdrową i wysportowaną dziewczyną. Świetnie pływała, zdobyła nawet tytuł mistrzyni

Czechosłowacji juniorów w stylu grzbietowym. Pływała też w pobliskiej rzece, bywało że nago. Była bardzo bystra, a wychowano ją tak, żeby myślała samodzielnie i robiła to, na co ma ochotę. W wieku jedenastu lat zostawiła za sobą sielankę życia rodzinnego i jako jedna z pierwszych Żydówek zaczęła uczęszczać do żeńskiej szkoły średniej w Hradcu Králové. Następnie przeszła do gimnazjum, gdzie świetnie sobie radziła. Dodatkowo uczęszczała na zajęcia z łaciny, niemieckiego i angielskiego. „Mieszkałam na pensji, chodziłam do szkoły i byłam wesoła jak szczygieł” – opowiadała. „Miałam mnóstwo wielbicieli, często chodziłam na tańce i zabawy, wszystko się pięknie układało”. Anka uczyła się też tańca i gry na pianinie oraz uprawiała sporty, takie jak tenis czy wioślarstwo.

W zakładzie jej ojca produkowano torebki i galanterię skórzaną przeznaczoną na szeroki rynek. Żadna z sióstr nie chciała nosić wytwarzanych tam torebek – uważały je za zbyt staromodne – ale Anka raz na kilka lat przyjmowała od ojca, a potem z dumą nosiła na ramieniu skórzaną szkolną teczkę, w której mieścił się nawet szkolny atlas.

Stanislav Kauder, który w dniu narodzin Anki miał czterdzieści siedem lat, był człowiekiem niewierzącym i zagorzałym czeskim patriotą. Niezbyt mu odpowiadała idea syjonizmu. Czuli się wprawdzie Żydami, ale nie byli szczególnie związani z żydowską tradycją. Uważali się za

wolnomyślicieli. „Nie wychowywano mnie w duchu żadnej religii” – mówiła Anka. „Chodziłam do szkoły w małej miejscowości, gdzie było trochę żydowskich dzieci i czasem przychodził do nas nauczyciel Żyd, który nam opowiadał o historii, ale nigdy nie nauczyłam się czytać po hebrajsku, a w domu moich rodziców nie przestrzegano zasad koszerności”. W ramach sprzeciwu wobec tradycji cała rodzina często raczyła się czeskim daniem narodowym, czyli pieczenią wieprzową z kapustą i knedlikami (nawet w szabat). Brat Anki Tonda przekreślił kiedyś swoje szanse u pewnej żydowskiej panny na wydaniu, ponieważ odpalił papierosa od rodzinnej menory, co niezmiernie zbulwersowało przyglądających się temu rodziców dziewczyny.

Stanislav kochał swoje dzieci, był jednak człowiekiem zamkniętym w sobie i rzadko się do nich odzywał. Jak to było wówczas w zwyczaju, wychowanie potomstwa powierzył żonie, którą zresztą uwielbiał (Anka nazywała matkę aniołem). Ida Kauderová nieco bardziej przestrzegała tradycji niż on, w najważniejsze żydowskie święta wożono ją więc trzynaście kilometrów do synagogi w Hradec Králové. Robiła to jednak głównie przez wzgląd na pamięć swoich rodziców oraz żeby zadowolić swoją wielką rodzinę (miała jedenaścioro rodzeństwa). Zawsze powtarzała, że najbardziej lubi chodzić potem z jedną ze swoich siostr na kawę i ciastka

do pobliskiego Grand Hotelu. Nigdy też nie narzucała przekonań religijnych swoim dzieciom.

„Tak się akurat złożyło, że urodziliśmy się Żydami. I tyle” – mówiła Anka. „W żaden sposób mnie to nie ograniczało”.

W Třebecovicach mieszkało zaledwie kilka żydowskich rodzin, Anka nie spotkała się wśród swoich znajomych z żadnymi przejawami antysemityzmu, mogła więc kierować swoim życiem tak, jak chciała.

W miarę jak sytuacja w Europie zaczynała się pogarszać, wśród bliskich Anki rosło napięcie. Gdy znająca niemiecki Ida usłyszała przez radio kilka gniewnych przemówień Hitlera, tę optymistyczną zazwyczaj kobietę ogarnął wielki strach. Wciąż powtarzała każdemu, kto chciał słuchać, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Podobnie jednak jak wielu jej znajomych, Anka w ogóle się tym nie przejmowała, nawet jej to nie interesowało. Wydawało jej się, że żyją zbyt daleko, żeby nazistowska ideologia mogła mieć dla nich jakieś znaczenie. „Nie podejrzewaliśmy nawet, że cokolwiek może nam grozić” – opowiadała. „Czuliśmy się bardzo pewnie”. Anka jako pierwsza osoba w rodzinie poszła na uniwersytet, co napawało wielką dumą jej rodziców, a zwłaszcza matkę, która była osobą dwujęzyczną o niezrealizowanej pasji naukowej, zafascynowaną historią.

Jej córka nie mogła się doczekać przeprowadzki do

Pragi, od której dzieliły ją zaledwie dwie godziny jazdy pociągiem. Znała dobrze to miasto, jako że bardzo często przebywała tam u ciotki Friedy, modystki posiadającej mieszkanie przy samym placu Waclawa. W okresie studiów na Uniwersytecie Karola Anka znów tam się zatrzymała.

Przeniosła się do Pragi w roku 1936, wciąż jednak pozostawała w dużej mierze odporna na rosnące wokół obawy przed Hitlerem. Utrzymywała się za pieniądze od ojca. W marcu 1938 roku, gdy doszło do anszlusu, pojechała akurat z przyjaciółmi na narty do Tyrolu w Austrii. Kraj z dnia na dzień znalazł się pod panowaniem nazistów – Czechosłowacja była teraz zagrożona przez nich także od południa. Na ulicach Salzburga pojawiły się czerwone flagi ze swastykami. Anka ze zdumieniem patrzyła, jak Austriacy witają Hitlera jako swojego wybawcę, a miejscowi Żydzi stają się społecznymi wyrzutkami. Ten pierwszy bezpośredni kontakt z nazistami był dla niej „czymś, czego nie dało się pojąć”. Mówiła też, że choć sama nie widziała ataków na Żydów, to „wyczuwało się to w powietrzu”.

Wciąż jednak nie sądziła, że niemiecki kanclerz ze śmiesznym wężem (obchodzący zresztą urodziny tego samego dnia co ona) jest w stanie bezpośrednio wpłynąć na jej cudowne życie. Dopiero gdy jej pierwszy poważny narzeczony Leo Wildman ogłosił, że postanowił przenieść się do Anglii i wstąpić do brytyjskiego wojska,

zaczęła się zastanawiać. Jego ojciec został już aresztowany za „działalność wywrotową”, a cała rodzina bała się o swoją przyszłość. Ance smutno było rozstawać się z chłopakiem. Gdy pociąg ruszał, a ona stała i machała mu na pożegnanie, na peron wbiegł jego ojciec, którego właśnie wypuszczono z więzienia. Chciał pożegnać się z synem, ale nie zdążył.

Choć Anka i Leo dość poważnie traktowali swój związek, nie przyszło jej do głowy, żeby z nim wyjechać – mimo że mogła to zrobić. „Do Pragi przyjechały dwie Angielki, które proponowały Żydówkom pracę w charakterze pomocy domowych lub pielęgniarek” – opowiadała. „Zgłosiłam się do pracy jako pielęgniarka i ją otrzymałam. Załatwiono mi wizę i przepustkę. Mogłam wtedy pojechać, ale... zbyt długo zwlekałam. Miałam w ręku wszystkie papiery, aż w końcu w Europie wybuchła wojna, a ja byłam przeszczeniwa, że wskutek długiego odwołania decyzji teraz już wyjechać nie mogłam. Ależ byłam głupia!”

Niektórzy posiadacze podobnych przepustek podróźnych (*Durchlassschein*) faktycznie wyjechali, stanowili jednak zdecydowaną mniejszość. Pośród uciekinierów znalazł się szwagier Anki Tom Mautner, któremu udało się wsiąść w jeden z ostatnich pociągów odchodzących do Londynu. Błagał swoją żonę Ruzenę, żeby z nim pojechała i zabrała ze sobą ich synka Petra, ale ona nie chciała zostawić domu i rodziny. „Zdecydowanie

miej było zostać niż jechać do Anglii, więc została, ale zapłaciła za to bardzo wysoką cenę” – mówiła smutno Anka.

Wielu innych Żydów również nie zdecydowało się na wyjazd, licząc na to, że jakoś to będzie. Ruzena musiała szybko pożałować tej decyzji. Hitler po podpisaniu układu monachijskiego zajął Kraj Sudecki, dzięki czemu do obywateli Rzeszy dołączyły ponad dwa miliony tamtejszych Niemców. Wyglądało na to, że nic nie powstrzyma marszu nazistów przez Europę. Rok później, po agresji na Polskę, Hitler zadeklarował: „Będę toczył tę walkę, nieważne przeciwko komu, dopóki nie zostanie zagwarantowane bezpieczeństwo Rzeszy i jej prawa”¹⁴.

Gdy zamiary Hitlera stały się przerażająco jasne, do Pragi zaczęli masowo napływać żydowscy uchodźcy z przygranicznych miejscowości, taszcząc ze sobą wszystko, co zdołali udźwignąć. Nie mając wsparcia ze strony Brytyjczyków i pozostałych swych sprzymierzeńców, Czesi czuli się ogromnie zawiedzeni.

W marcu 1939 roku na ulice Pragi wjechały niemieckie czołgi. Tak samo jak wcześniej w Austrii, Anka wyjrzała pewnego dnia przez okno i zobaczyła na ulicach nieprzebrany tłum żołnierzy i grupki ludzi wyciągających ręce w nazistowskim pozdrowieniu. Wraz z wieloma mieszkańcami Pragi patrzyła z przerażeniem na niekończące się kolumny nazistów o stalowych

spojrzeniach, którzy w ten szary dzień maszerowali przez plac Waclawa. „Wciąż była jeszcze zima, na ulicach leżał śnieg, a do nas zawitała katastrofa” – wspominała.

Na prastarym zamku na Hradczanach Adolf Hitler ogłosił rozpad Czechosłowacji i utworzenie Protektoratu Czech i Moraw oraz Pierwszej Republiki Słowackiej. Führer machał do tłumu z okna górującej nad miastem budowli – dwudziestoletnia Anka i cała jej rodzina nagle znaleźli się w kraju rządzonym przez nazistów i należącym do tak zwanych Wielkich Niemiec. „Dopóki nie zjawił się Hitler, wiodłam beztrudne życie” – opowiadała Anka. „Człowiek nawet nie zwraca uwagi na swój dom i kraj, dopóki nagle nie znikną. Po dwóch dekadach mojego życia tak się właśnie stało. Był to wielki wstrząs”.

Studenckie protesty przeciwko niemieckiej okupacji, które wybuchły po kilku miesiącach, zostały szybko stłumione – na Uniwersytet Karola, gdzie studiowała Anka, wdarli się naziści, aresztowali tysiąc dwieście osób (studentów i profesorów) i wysłali je do obozów koncentracyjnych. Dziewięciu przywódców demonstracji rozstrzelano, a następnie zamknięto wszystkie uniwersytety. Wciąż zdarzały się niespodziewane aresztowania, wprowadzono też ustawy norymberskie i stopniowo narzucano „wrogom Rzeszy” kolejne ograniczenia, pozbawiające ich podstawowych praw człowieka. Żydzi nie mieli wyboru, musieli się

przyzwyczać do coraz większej utraty swobód, które wcześniej wydawały im się oczywiste.



Niemcy wkraczają do Pragi, 1939 r.

W ramach licznych represji rodzinie Anki odebrano samochód. Zakład produkcyjny firmy Kauder & Frankl został zajęty przez wyznaczonego przez Rzeszę komisarza – ten wyrzucił rodziców Anki z mieszkania. Pozwolono im się przenieść do pobliskiej willi ich córki Ruzeny; tam wraz z nią i jej synkiem Petrem oczekiwali na decyzje władz co do ich dalszych losów. Gdy Anka przyjeżdżała w odwiedziny, to tam właśnie się zatrzymywała. Następnie zamrożono fundusze całej rodziny i zabroniono pobierać z konta w banku więcej

niż tysiąc pięćset koron tygodniowo. Odebrano im obywatelstwo i zakazano wstępu do wielu publicznych budynków, z wyjątkiem paru hoteli i wydzielonych sal w niektórych restauracjach.

W Pradze Żydom zakazano wstępu do łaźni publicznych i na baseny, jak również do popularnych kawiarni nad Wełtawą. Mogli jeździć tramwajami tylko stłoczeni z tyłu drugiego wagonu, odebrano im też rowery, samochody i radia.

Nie mając wstępu na uniwersytet, Anka nie mogła kontynuować rozpoczętych studiów (zaliczyła tylko pierwszy rok). Żartowała potem, że może nawet wyszło jej to na dobre, jako że wcześniej nie bardzo się przykładała do nauki – zbyt dobrze się bawiła. Życie pod niemiecką okupacją nie dawało już wielu okazji do zabawy. „Było coraz gorzej, ale człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja, więc i do tych nowości jakoś się przyzwyczajaliśmy” – opowiadała. „Najpierw zakazano jednego, potem czegoś innego, a człowiek się dostosowywał. Rozmawialiśmy o tym. Można było wyjechać, ale jeśli się nie wiedziało, jaka przyszłość nas czeka, bardzo trudno było tak wszystko zostawić i ruszyć w nieznane”.

Jednym z najbardziej doskwierających Ance ograniczeń był wprowadzony przez nazistów zakaz chodzenia do kina. Uznała, że to zbyt duże wyrzeczenie dla kogoś, kto kocha filmy tak jak ona. Kiedy więc na

ekrany wszedł nowy film, który bardzo chciała zobaczyć, postanowiła na niego pójść. Ruszyła do kina sama, nic nikomu nie mówiąc, co było – jak później przyznała – „skrajną głupotą”. Zajęła miejsce pośrodku widowni. W połowie filmu nagle przerwano projekcję i zapalono światła. Na salę wpadli gestapowcy i zaczęli sprawdzać dokumenty widzów, rząd po rządzie. Gdy się zbliżali, Anka zamarła w przerażeniu, czekając, jak zareagują na literę „J” wbitą w jej papierach. W panice rozglądała się po sali, zastanawiając się, czy nie powinna uciekać, uznała jednak, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Gestapowcy jednak doszli do rzędu przed nią i nagle zakończyli kontrolę, najwyraźniej znudzeni.

Anka po chwilach grozy pomału znów zaczęła oddychać. Siedziała bez ruchu aż do napisów końcowych, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Gdy opowiedziała znajomym, co zrobiła, byli wstrząśnięci. „Przecież mogli cię zastrzelić!” – denerwowali się. Do końca życia nie zdołała sobie przypomnieć, dla jakiego filmu ryzykowała, mogło to być *Przeminęło z wiatrem*, czyli ekranizacja jej ulubionej powieści z okresu, kiedy była nastolatką (wyświetlana w kinach właśnie w 1939 roku). Po wojnie oglądała ten film bardzo często, a wiele kwestii знаła na pamięć z książki. Nic dziwnego, skoro niektóre z nich, jak się potem okazało, pomogły jej przeżyć.

Żydom stopniowo narzucano coraz ostrzejsze ograniczenia i coraz więcej ludzi zaczynało myśleć

o ucieczce. Pewnego dnia, gdy Anka była z koleżanką w kawiarni, podeszło do nich kilku angielskich dziennikarzy. „Moja koleżanka powiedziała wtedy: »Wyjdę za jednego z nich!«. A po sześciu tygodniach rzeczywiście była już po ślubie” – wspominała Anka. „Ten człowiek miał kolegę, któremu mnie przedstawiono. Kolega ten po dziesięciu minutach znajomości zaproponował mi małżeństwo. Uznałam, że stracił rozum i że to bardzo zabawne, ale w ogóle mnie to nie interesowało”. Oczywiście było jej miło, ale odrzuciła ofertę, wciąż jeszcze nieświadoma, przed jak wielkim niebezpieczeństwem mogłoby ją to uchronić.

Zacząła praktykę u swojej ciotki w pracowni kapeluszy mieszczącej się w zabytkowym domu towarowym Czarna Róża (Černá růže), a życie towarzyskie prowadziła w ukryciu. Jednak to nie lekkomyślność powstrzymała ją przed uciezką. Miała też bardzo dobry powód, żeby zostać w Pradze. W listopadzie 1939 roku kuzynka przedstawiła ją Berndowi Nathanowi – oszalamiająco przystojnemu niemieckiemu Żydowi, który uciekł z Berlina w 1933 roku, po dojściu Hitlera do władzy. Podobnie jak kilkaset tysięcy niemieckich Żydów, którzy wówczas opuścili Rzeszę, sądził, że w odległej Pradze będzie bezpieczny. Jego młodszy brat Rolf wyjechał do Holandii, a następnie do Szwajcarii. Z kolei jego młodsza siostra Marga uciekła do Australii i dzięki temu przeżyła.



Bernd Nathan

Bernd urodził się w 1904 roku, był więc o trzynaście lat starszy od Anki. Jako architekt i projektant wnętrz

pracował w studiu filmowym Barrandov – jednej z największych i najlepiej wyposażonych wytwórni w Europie, którą później zaczęto nazywać „europejskim Hollywood”. Miał tam własne biuro i pracowników; osiągał też niezły dochód, wytwarzając meble dla różnych lokali. Jego klientami byli również naziści, którzy – nie wiedząc, że Bernd jest Żydem – zlecali mu urządzenie swoich barów, nocnych klubów i kawiarni.

Bernd uważał się przede wszystkim za Niemca, a dopiero potem za Żyda. W ogóle nie interesował się religią, a jako że jego językiem ojczystym był niemiecki, łatwo obszedł formalne ograniczenia i udawał Aryjczyka. „Wyglądał tak jak oni i mówił tak jak oni, bo pochodził z Berlina” – opowiadała Anka. „Wciąż go zapraszali, żeby się gdzieś z nimi wybrał. Całkiem niezłe nam się powiodło, nawet za Hitlera”.

Jego ojciec Louis był bohaterem w pierwszej wojnie światowej odznaczonym najwyższym niemieckim orderem wojskowym: Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy. Podczas walk został oślepiony gazem musztardowym. Pomimo inwalidztwa Louis był kobieciarzem i koniec końców rozwiódł się z matką Bernda Selmą – ta bardzo wytworna dama zadbała o to, żeby jej najstarszy syn co miesiąc otrzymywał pensję w wysokości tysiąca koron.

Zabójczo przystojny Bernd podobnie jak ojciec uwielbiał kobiety i bez trudu potrafił zawrócić im

w głowie. Gdy Anka zobaczyła go po raz pierwszy (na basenie w dzielnicy Barrandov), serce jej niemal zamarło. „Wydał mi się najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam” – wspominała.

„Kilka tygodni później spotkali się w nocnym klubie urządzonym przez Bernda, gdzie ich sobie oficjalnie przedstawiono”. „To była miłość od pierwszego wejrzenia” – mówiła Anka, wspominając przystojnego szatyna o miłym uśmiechu i błyszczących niebieskich oczach, którego przyprowadzono do jej stolika. „Zaczęliśmy rozmawiać, od razu między nami zaiskrzyło. Zachowywaliśmy się jak obłąkani”.

Anka mówiła później, że był to „szalony romans”. Rok później byli już po ślubie – pobrali się 15 maja 1940 roku, osiem miesięcy po wybuchu wojny. Anka skończyła właśnie dwadzieścia trzy lata, a Bernd miał trzydzieści sześć lat i wciąż był zarejestrowany jako niemiecki imigrant. „Praktycznie rzecz biorąc, Hitler zdobył władzę nad Czechosłowacją już w momencie podpisania układu monachijskiego” – mówiła Anka. „A my wciąż nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nasze życie jest zagrożone”.

Skromny ślub odbył się w praskim nadstarostwie (Oberlandrat), tuż obok słynnej kawiarni Slavia urządzonej w stylu art déco. Oprócz państwa młodych obecni byli tylko świadkowie. Jako że Żydzi nie mogli posiadać złota ani diamentów, Anka miała na palcu zwykły pierścionek zaręczynowy z prostokątnego

ametystu w srebrnej oprawie, a do tego skromną obrączkę. W idealnie wyprasowanej białej bluzce włożonej pod ciemny kostium, z wpiętym we włosy grzebieniem z muszli, w kapeluszu na głowie i z bukietem konwalii w ręku Anka pozowała wraz z elegancko ubranym mężem do zdjęć – promieniała ze szczęścia.



Bernd i Anka w dniu ślubu, 1940 r.

Dopiero nazajutrz zdobyła się na odwagę, żeby poinformować o ślubie rodziców, którzy wciąż jeszcze mieszkali na prowincji, w Třebechovicach. Nie byli zachwyceni – zwłaszcza niepokoił ich fakt, że Bernd jest Niemcem. Obawiali się, że może to ich córce przysporzyć dodatkowych kłopotów. Później, gdy został im przedstawiony, też nie przypadł im specjalnie do gustu. Matce Anki wydał się kobieciarzem (twierdziła, że

„przejrzała go na wylot”).

Tymczasem naziści odnosili kolejne zwycięstwa. W dniu ślubu Anki i Bernda skapitulowała Holandia. Dwanaście dni później alianci zostali zmuszeni do ewakuowania swoich wojsk z okolic Dunkierki we Francji. Dwudziestego ósmego maja skapitulowała Belgia. Dziesiątego czerwca poddała się Norwegia, a Włochy wypowiedziały wojnę Francji i Wielkiej Brytanii. Czternastego czerwca Niemcy wkroczyli do Paryża. Później rozpoczęły się nazistowskie „akcje”, których Żydzi najbardziej się obawiali: przesiedlenia i transporty.

W lipcu 1939 roku *SS-Obersturmbannführer* Adolf Eichmann założył w Pradze (w willi odebranej Żydom) oddział Centralnego Biura do spraw Emigracji Żydów. Od razu zażądał, żeby w ciągu roku przetransportowano do obozu koncentracyjnego w Dachau kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Zagroził, że jeśli Rada Żydów nie przystanie na jego warunki, wyśle w miasto żołnierzy, którzy „oczyszczą” praskie ulice z Żydów i będą zabierać po trzysta osób dziennie.

Świat, jaki Anka i Bernd znali, zmieniał się w zastraszającym tempie.

Zakochani wprowadzili się po ślubie do przestronnego mieszkania Bernda, które znajdowało się wysoko pod kopułą budynku przylegającego do synagogi, przy ulicy U Staré Školy. Na całej szerokości zaokrąglonej ściany

zewnątrznej ciągnęło się wielkie okno, nadające przestrzeni charakter pracowni artystycznej. Okno było zbyt duże, żeby się je dało w nocy zasłonić, po godzinie policyjnej siedzieli więc przy świecach i słuchali swoich ulubionych płyt gramofonowych lub napawali się dochodzącymi z bożnicy odgłosami modlitw.

Te wieczory, które spędzali przytuleni do siebie pod kopułą, Anka wspominała jako „strasznie romantyczne”. Bernd, utalentowany projektant wnętrz, przepięknie urządził mieszkanie. Otaczały ich wykonane przez niego meble, między innymi zegar z uroczym kurantem i rzeźbioną tarczą. Pokój zdobiły też jasnozielone jedwabne zasłonki, które zdaniem Anki wyglądały wprost luksusowo.

Dzięki pensji otrzymywanej od ojca Anka mogła sobie pozwolić na gosposię, która smażyła „cudowne” pączki, szczególnie uwielbiane przez Bernda. Gdy gdzieś wychodzili, Anka elegancko się ubierała, wybierając coś ze swojej bogatej garderoby oraz mnóstwa kapeluszy z pracowni ciotki.

Jako że Żydom nie wolno było opuszczać miasta bez pozwolenia, Anka przez ponad rok nie widziała się z rodziną. W czerwcu 1941 roku otrzymała wiadomość, że jej ukochany starszy brat Tonda zmarł na tętniaka mózgu. Miał trzydzieści trzy lata, dwa tygodnie przed śmiercią dostał udaru. Z duszą na ramieniu i nadzieją, że nikt jej po drodze nie wylegitymuje, Anka pojechała

pociągiem na jego pogrzeb. Chciała też zobaczyć się ze zrozpaczonymi rodzicami, a zwłaszcza z matką, która przez dwa tygodnie czuwała przy łóżku Tondy i była zdruzgotana utratą drugiego już syna.

„Brat był pierwszym zmarłym, jakiego w życiu widziałam” – opowiadała Anka. „Nigdy nie zapomnę twarzy mojej matki, która musiała patrzeć, jak on umiera. Nikomu czegoś takiego nie życzę”. Po pogrzebie siedzieli w ciszy w domu, pogrążeni w głębokim smutku. Ojciec Anki był jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Siedziały też z nimi jej starsze siostry Zdena i Ruzena, jak również mąż Zdeny Herbert Isidor i synek Ruzeny Petr. Choć znów byli razem, nie postrzegali tego jako radosnego spotkania.

Nagle usłyszeli łomotanie do drzwi. Po chwili do domu wtargnęli niemieccy żołnierze. Ktoś z sąsiadów doniósł, że mieszkają tam Żydzi, Niemcy zaczęli więc przeszukiwać pomieszczenia, sprawdzali też wszystkie szafki i szuflady. Matka Anki miała podobnie jak najmłodsza córka bujny biust, więc ukradkiem, gdy żołnierze stali akurat tyłem, upchnęła rodzinne pieniądze w staniku. Później ta pogrążona w żałobie kobieta spokojnym głosem spytała nieproszonych gości, czy może ich poczęstować kawą i ciastem. Zaskoczeni Niemcy przystali na tę propozycję, po czym zasiedli do stołu i odbyli uprzejmą rozmowę z rodziną, którą mieli zastraszyć.

Młodym żołnierzom Anka wyraźnie się spodobała. Spytali ją, skąd tak dobrze zna niemiecki, wyznała więc, że jej mężem jest mieszkający w Pradze berliński architekt. Zaczęli żartować, że powinni właściwie zawieźć ją do domu i odstawić mężowi prosto do łóżka. Nagle jednak spowaznieli i przestrzegli ją, żeby nigdy więcej nie podejmowała tak wielkiego ryzyka i nie jechała w odwiedziny do rodziców bez pozwolenia. A potem sobie poszli, choć mogli ją aresztować. Znow jej się udało.

Wróciła do Pragi, gdzie ludzie z coraz większym niepokojem wyczekiwali, co przyniesie najbliższa przyszłość. Hitler ogłosił, że Protektorat Czech i Moraw ma zostać całkowicie „oczyszczony” z Żydów. Mając przed sobą widmo masowych deportacji, Żydzi nauczyli się nikomu nie ufać i trzymać język za zębami. Ludzie próbowali się ukrywać lub gromadzić możliwie duże zapasy cennych przedmiotów. Wiele osób wciąż próbowało uciekać z kraju, choć krążyły pogłoski, że uchodźcy mieszkający teraz na obcej ziemi, bez pieniędzy i znajomości języka, są tam nikomu niepotrzebni.

Anka otrzymała kolejną szansę na ucieczkę. Wraz z mężem dowiedziała się od znajomych, że można pociągiem dostać się przez Syberię do Szanghaju okupowanego przez Japończyków, w którym – dzięki temu, że niepotrzebne były tam wizy – schroniło się dwadzieścia pięć tysięcy Żydów z całej Europy. Anka

i Bernd długo się wahali, w końcu jednak nie zdecydowali się na wyjazd. W czerwcu 1941 roku Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki, tego rodzaju ucieczka nie była już więc możliwa – co Anka i Bernd przyjęli z ulgą.

Oprócz znajomych, którzy zaproponowali im pomoc w zorganizowaniu ucieczki, wiele innych osób również za wszelką cenę starało się ocalić Żydów. Międzynarodowa grupa ludzi zdążyła już pomóc wielu żydowskim dzieciom (a czasem całym rodzinom) w ucieczce do znacznie bezpieczniejszej Wielkiej Brytanii, organizując tak zwane Kindertransporty. W ramach podobnego programu, noszącego nazwę One Thousand Children¹⁵, około tysiąca czterystu nieletnich wyjechało do USA. Uratowano w ten sposób około dziesięciu tysięcy dzieci (głównie żydowskich) z całej Europy, w końcu jednak transporty zostały wstrzymane. Przed tymi, którym nie udało się pomóc, przyszłość rysowała się w coraz ciemniejszych barwach.

Synagogę wraz z przylegającym do niej kompleksem budynków w końcu zamknięto, Anka i Bernd musieli więc opuścić swoje przytulne mieszkanie i przeprowadzić się do nowego lokum w starej kamienicy przy ulicy Jindřišskiej. Udało im się całkiem przyjemnie urządzić dwa nieogrzewane pokoje z małą kuchenką. „Antysemickie przepisy oznaczały, że nie wolno nam było robić tego czy tamtego, ale wciąż dawaliśmy sobie radę” – opowiadała Anka, dla której kolejne ograniczenia

stanowiły ledwie „drobne ryski” na ich szczęściu. Restrykcje wprowadzano jednak „bardzo sprytnie”, tak że stopniowo stawały się coraz bardziej dotkliwe. Żydzi mimo wszystko dostosowywali się do kolejnych zmian. „Ludzie przyjmowali je do wiadomości i wciąż mówili: »Oby tylko nie było gorzej«” – tłumaczyła Anka. „Musieliśmy oddać radia, co było dość przykre, wciąż jednak mogliśmy czytać gazety. Zawsze dawało się znaleźć jakiś zamiennik. Człowiek nawet nie wie, jak nisko może upaść, jeśli dokonuje się to stopniowo”.

We wrześniu 1941 roku wszystkim czeskim Żydom powyżej szóstego roku życia nakazano naszyć żółtą gwiazdę Dawida na okrycia wierzchnie. Obawiali się oni, jak pozostali mieszkańcy miasta będą reagować na tak oznaczone osoby na ulicy. Już wcześniej dochodziło do zaczepiania na ulicy przypadkowo wybranych Żydów, pobic i aresztowań, a teraz, z naszytą gwiazdą świadczącą o ich statusie społecznych wyrzutków, nie mieli już nawet jak się schować.

Gdy Anka po raz pierwszy planowała wyjść na ulicę z naszytą gwiazdą, wybrała swój najelegantszy strój – ciemnozieloną spódnicę w kratę i rudy zamszowy żakiet. W tym zestawie gwiazda wyglądała niemal jak ozdoba. Anka mówiła potem, że ze wszystkich antysemitycznych zarządzeń to akurat najmniej jej doskwierało. „Byłam bardzo dumna ze swojej żółtej gwiazdy i myślałam sobie: »Jak chcą mnie oznaczyć, niech sobie oznaczają«. Mało

mnie to obchodziło. Ubrałam się w najlepsze rzeczy, ułożyłam włosy i wyszłam z dumą na ulicę, z wysoko podniesioną głową. Nigdy nie chowałam się w cieniu, taki miałam stosunek do życia”. Spotykani przez nią ludzie nie zwracali uwagi na jej nowy emblemat. Nie zdarzyło się, żeby ktoś na nią napluł czy w inny sposób chamsko się wobec niej zachował. Pewna siebie młoda kobiety nie miała zamiaru czuć się upokorzona ani zastraszona nowymi wymogami.

Gdy pewnego dnia spotkała na ulicy koleżankę, która szła skulona i „przemykała się chodnikiem”, próbując ukryć swoją gwiazdę, Anka powiedziała jej ze złością: „Po co im dajesz satysfakcję? Stań prosto! Bądź dumna, że jesteś Żydówką! No i co, że musimy nosić gwiazdy? Co z tego? Nie pozwól, żeby cię tym pograżyli”.

Pewnego razu, gdy Bernda odwiedził przyjaciel z Niemiec imieniem Otto (goj), oboje postanowili pokazać mu atrakcje nocnej Pragi po godzinie policyjnej. Bernd zdjął swoją gwiazdę i polecił żonie zrobić to samo, żeby mogli razem wyjść. „Jeśli ktoś nas zatrzyma, nie odzywaj się, my będziemy mówić” – polecił Ance, jako że obaj z Ottonem mówili po niemiecku odmianą Hochdeutsch, czyli najczystszy językiem literackim, właściwym elitom. Nikt ich nie zatrzymał, ale nocna eskapada kosztowała ich tyle strachu, że nigdy więcej na nic podobnego już się nie porwali.

W owym czasie większość żydowskich mieszkańców

Pragi została już wypędzona z lepszych dzielnic i mieszkała w tańszych kamienicach. Żydom zakazano wykonywania zawodów związanych ze sztuką, filmem i teatrem. Bernd nie mógł już dłużej ryzykować i przestał robić meble dla Niemców. Oboje z żoną byli więc bezrobotni i uwięzieni w Pradze. Żyli z pensji wypłacanej Ance przez ojca i z niewielkich kwot przekazywanych jej przez ciotkę, której pomagała przy kapeluszach.

We wrześniu 1941 roku protektorem Czech i Moraw mianowano *SS-Obergruppenführera* Reinharda Heydricha, pełniącego też funkcję szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Niemal z dnia na dzień całkowicie zmieniła się atmosfera. W ciągu niespełna miesiąca pięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci objętych jego „protekcją” zostało wysłanych do getta w Łodzi. Pośród nich znalazła się ciotka Anki z rodziną – nikt z nich już nie wrócił. „Dopiero wtedy zaczęliśmy się szykować na najgorsze, na coś, czego nie potrafiliśmy nawet zdefiniować, bo nikt się z tym dotąd nie liczył” – tłumaczyła Anka. „Wcześniej wydawało nam się, że ludzi niepotrzebnie ogarnia panika. Nie wiedzieliśmy, że Niemcy jak taśmociągami posyłają Żydów na śmierć”.

Po kilku tygodniach względnego spokoju Bernd otrzymał od ustanowionej przez nazistów Gminy Żydowskiej w Pradze pismo nadające mu numer i wzywające do stawienia się dwa dni później w specjalnym punkcie w budynku dawniej nazywanym

Veletržni Palác (czyli Pałac Wystaw, bo odbywały się tam targi), a obecnie określanym po niemiecku *Messepalast*. Znajdował się on w dzielnicy Holešovice, niedaleko stacji kolejowej Praha-Bubny.

Był listopad 1941 roku.

Na Bernda przyszedł czas.

Ukochany mąż Anki jako jeden z ponad tysiąca młodych mężczyzn miał opuścić żonę, zostawić swoje szczęśliwe życie i wyjechać w nieznane. Sprzeciw byłby bezcelowy.

Organizatorzy transportu zapewniali, że przesiedlani mężczyźni będą „pionierami”, którzy udadzą się na północ kraju, żeby założyć „modelowe getto” w mieście warownym Terezín, parę godzin jazdy pociągiem od Pragi. Terezín został zbudowany przez cesarza Józefa II, a nazwę otrzymał na cześć jego matki Marii Teresy. Na terenie miasta znajdują się dwie doskonale umocnione twierdze, otoczone wysokimi murami, szanćcami i fosą. Cały kompleks był wzniesiony – jakby proroczo – na planie przypominającym gwiazdę Dawida i zajmował mniej niż kilometr kwadratowy powierzchni. Stanowił idealną „zagrodę” dla przesiedlanych Żydów. Niemcy, którzy zdążyli już w tak zwanej Małej Twierdzy umieścić więzienie gestapo, przywrócili miastu dawną austriacką nazwę Theresienstadt.

Utrata męża, który wyruszał w nieznane, stanowiła dla Anki przerażającą perspektywę, ale Terezín leżał

przynajmniej na terenie Czech, a nie gdzieś „na wschodzie”, którego to kierunku najbardziej się obawiano, choć nikt do końca nie wiedział dlaczego. „To było zaledwie siedemdziesiąt kilometrów od Pragi, więc właściwie »jak w domu«” – opowiadała Anka. „Na pewno było to lepsze niż deportacja z kraju. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał, i sama też nie chciałam wyjeżdżać, ale mogli wtedy z nami robić, co chcieli”.

Heydrich początkowo postanowił założyć getto dla czeskich Żydów w Protektoracie Czech i Moraw po to, żeby złagodzić skutki rosnącego międzynarodowego zaniepokojenia złym traktowaniem Żydów przez Niemców. Na przełomie września i października 1941 roku naziści rozstrzelali w Kijowie ponad trzydzieści trzy tysiące Żydów, z kolei lekarze w Auschwitz przeprowadzali pierwsze próby masowych zabójstw w komorach gazowych. Wiadomości o tego rodzaju działaniach objęte były ścisłą tajemnicą, nazistom trudno jednak było powstrzymać rozprzestrzeniające się pogłoski.

W nadchodzących miesiącach Heydrich miał ogłosić, że getto Theresienstadt jest przeznaczone dla „prominentów”, czyli zamożnych niemieckich i austriackich Żydów powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia, w tym dla inwalidów i odznaczonych weteranów wojennych, jak również innych osób posiadających na tyle wysoki status społeczny, żeby

skupić na sobie uwagę światowej opinii publicznej. Ogłoszono, że getto jest „darem” Führera dla Żydów, gdzie będą oni „przygotowywać się do życia w Palestynie”. Terezín leżał na obszarze sielskiego Czeskiego Średniogórza; w oddali majaczyły fioletowawe szczyty. Getto miało być w dużej mierze samorządne, choć pod stałym nadzorem SS. Nie określono ram czasowych jego istnienia.

Najpierw jednak trzeba było je przygotować na przybycie przesiedleńców. Niemcy zażądali dostarczenia tysiąca trzystu zdrowych mężczyzn między osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia. Mieli oni utworzyć *Aufbaukommando*, czyli brygadę budowlaną. Wysłano ich dwoma transportami i na miejscu powierzono im zadanie przekształcenia zapuszczonej twierdzy (zaprojektowanej jako baza dla siedmiu tysięcy żołnierzy) w obóz zdolny pomieścić kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Naziści obiecywali „pionierom”, że jeśli dobrze się wywiążą z zadania, nigdzie dalej nie zostaną już wywiezieni.

Bernd jako wprawny stolarz był idealnym kandydatem na „pioniera”. Oboje z żoną wiedzieli, że od tego wezwania nie da się wywinąć. „Człowiek po prostu się podporządkowywał” – tłumaczyła Anka. Ponieważ Bernd otrzymał informację, że w ramach pięćdziesięciu kilogramów bagażu może ze sobą zabrać garnki, naczynia i ciepłą odzież, w małżeństwo wstąpiła

nadzieja, że być może zostanie wyznaczony do pracy na zewnątrz i będzie mógł sam sobie gotować. Połykając łzy, Anka pomagała mężowi się spakować. Ale co właściwie miał ze sobą zabrać? Czy wykorzystać dopuszczalny limit bagażowy, żeby wziąć trochę lepszych rzeczy, książek i narzędzi, czy raczej zapakować leki i konserwy? Czy przyda mu się zwijane poślanie? A może warto włożyć do torby kilka ulubionych płyt?

Po ostatniej wspólnie spędzonej słodko-gorzkiej nocy Anka w końcu musiała pożegnać się z mężem, w duchu przekonana, że wkrótce znów się z nim zobaczy. Bernd Nathan wyjechał ze stacji Praha-Bubny w czwartek 4 grudnia 1941 roku drugim transportem robotników budowlanych. Niedługo później jego młoda żona otrzymała podobne wezwanie do stawienia się w punkcie, z którego miały ruszyć kolejne transporty. „Byłam zachwycona, że jadę, i przekonana, że się z nim spotkam. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłoby stać się inaczej” – wspominała.

W mroźny grudniowy poranek włożyła kapelusz, wzięła swoją najlepszą torebkę i niewielką walizkę, a następnie oddała klucze do mieszkania gosposi i poprosiła ją, żeby przypilnowała najcenniejszych rzeczy. Były wśród nich wszystkie jej fotografie rodzinne, meble, zasłony i zegar wykonany przez Bernda. Potem Anka dołączyła do tłumu Żydów zdążających do punktu zbiórki w Veletržnim Palácu, czyli Pałacu Wystaw. Zamiast

„potrzebnych i użytecznych” rzeczy, na przykład konserw rybnych czy zup w proszku, taszczyła wielkie pudło po kapeluszach przewiązane sznurkiem, zawierające trzy tuziny pysznych oprószonych cukrem pączków usmażonych przez gospozię, ulubiony przysmak Bernda.

Niedługo potem znalazła się w zniszczonym sześciopiętrowym budynku, w którym niegdyś odbywały się targi. Na każdym piętrze tłoczyły się setki mężczyzn, kobiet i dzieci – wciąż się nawzajem potrącali i walczyli o miejsce na brudnej podłodze. Wszystkie toalety już cuchnęły, bardzo mało było też wody i jedzenia, które podawano w menażkach. Wyróżniający się opaskami na rękach członkowie czeskich służb porządkowych zaganiali ludzi w grupy i rozdawali im numery transportowe – przesiedleńcy musieli zawiesić je sobie na szyi na sznurku i przyczepić do swoich bagaży, pośłań i odzieży.

Anka skupiała na sobie powszechną uwagę, jako że pośród tego chaosu, gwaru i zaduchu była pięknie ubrana. Miała na sobie swój najlepszy zielony kostium i kapelusz. Choć wokół niej ludzie zaczynali zaniedbywać swój wygląd, jako że warunki uniemożliwiały im sprostanie wymogom elegancji, ona wciąż szcztokowała włosy i poprawiała makijaż. Jeszcze bardziej dziwiono się, gdy uklękała w cienkich pończochach na podłodze, żeby sobie zakręcić rzęsy. „Chciałam po prostu, żeby mężczyzna, którego kochałam, zobaczył mnie

w doskonałej formie” – tłumaczyła.

Jednak po trzech dobach spędzonych w zamkniętym budynku, gdzie bezskutecznie próbowała zasnąć zwinięta w kłębek na podłodze, nawet ona przestała zwracać uwagę na wygląd. Przybywało coraz więcej ludzi, choć nie było dla nich miejsca. Jej pudło z pączkami nasiąkło i nabrało ciężaru, ona jednak wciąż jeszcze powstrzymywała się przed pokusą zjedzenia jego zawartości czy też porzucenia całego pakunku. W końcu uformowano z ludzi kolumny i skierowano w stronę stacji; dojsie zajęło im jakieś pół godziny. Na chodnikach stali Żydzi i goje, którzy w milczeniu na nich patrzyli, zastanawiając się, kto będzie następny. Wiele osób ze wstydu i skrępowania odwracało zalane łzami twarze, nie mogąc patrzeć na ten pokaz ludzkiego upokorzenia.

Wzdłuż całej trasy stały też setki młodych nazistów. Ance towarzyszyła koleżanka imieniem Micka, która poprosiła jednego z nich, żeby pomógł Ance z jej pudłem, ponieważ lada moment mogło ono wyslizgnąć się jej z rąk. Ledwie dwudziestoletni na oko chłopiec o dziecięcej buzi warknął: „*Es ist scheiss egal ob die Schachtel mitkomm!*”¹⁶. Ankę przeszedł wówczas dreszcz, poczuła bowiem, że tak czy inaczej to pudło nie na wiele jej się przyda.

Pociąg do Terezína składał się z wagonów drugiej klasy, w których bezlitośnie upchnięto tysiąc pasażerów.

Zawieziono ich główną trasą prowadzącą z Pragi na północ kraju do stacji Boguszowice nad Ohrzą. Stamtąd musieli pokonać pieszo dwa i pół kilometra, brnąc przez śnieg leżący na zamrzniętych polach. Otaczający ich uzbrojeni czescy i niemieccy strażnicy stale ich poganiali. Cięższe bagaże załadowano na drewniane wozy ciągnięte przez młodych mężczyzn, z których stworzono ekipę transportową, lecz większość pakunków – a zwłaszcza pudła na kapelusze – trzeba było nieść w rękę.

W końcu zobaczyli przed sobą rozległą twierdzę Terezín wraz z otaczającymi ją wysokimi murami i imponującymi szanćami z czerwonej cegły. „Doskonale się nadawała do celu wyznaczonego jej przez Niemców” – mówiła Anka. Miasto skryte za wysokim drewnianym ogrodzeniem i groźnie wyglądającymi zasiekami z drutu kolczastego było w opłakanym stanie, wciąż jednak prezentowało się dość ładnie: równa siatka szerokich ulic oraz centralnie usytuowany plac zwany rynkiem (*Marktplatz*), objęty zakazem wstępu dla nieupoważnionych Żydów i dość osobliwie zasłonięty ogromnym namiotem, w którym kryła się linia produkcyjna (więźniowie getta wypełniali części silników płynem przeciwzamarzającym). Przy ulicach wokół placu stały sypiące się czteropiętrowe koszary, idealne do upchnięcia dużej liczby ludzi, a dalej wznosiły się nieco mniejsze kamienice, garaże i stajnie.

Zaraz po przejściu przez jedną z czterech bram oddzielających ich teraz od świata, przesiedleńcy znaleźli się na placu, gdzie kazano im czekać, aż zostaną policzeni, zarejestrowani i przeszukani przez niemieckich strażników oraz około setki czeskich żandarmów. Ludziom z pierwszych transportów pozwolono zachować większość rzeczy osobistych i zakwaterowano ich w pobliżu żydowskiej administracji getta.

Mężczyzn i kobiety rozdzielono i rozesłano do jedenastu budynków dawnych koszar (*Kaserne*), które nosiły nazwy niemieckich miast, takich jak Hamburg, Drezno czy Magdeburg. Dzieci z kolei umieszczono w tak zwanych „domach dziecka” (*Kinderheime*). W zakurzonych, nieogrzewanych, zarobaczonych budynkach ustawiono trzypiętrowe prycze (po dwadzieścia w każdym pomieszczeniu), a na nich położono zatęchłe sienniki (w pewnym momencie na mieszkańca getta przypadało 2,5 metra kwadratowego przestrzeni mieszkalnej). Nie było żadnych szafek, ludzie chowali więc rzeczy pod łózkami, a ubrania wieszali na gwoździach. Między pryczami rozwieszano pranie – nigdy do końca nie schło. Podobnie jak w pozostałej części okupowanego kraju i tu obowiązywały liczne ograniczenia oraz godzina policyjna.



Prycze w koszarach Magdeburg, Theresienstadt

Anka przyjechała do Theresienstadt w niedzielę 14 grudnia 1941 roku jako młoda, silna, zdrowa i pełna optymizmu kobieta. Gdy weszła do przydzielonego jej tłoczego pokoju na pierwszym piętrze, na początku chwili uznała, że „nie jest tak źle” i że da się przeżyć. Mieli pompę, dzięki której mogli czerpać wodę ze studni (tyle że zanieczyszczoną), kuchnie, garnki, latryny i własną podstawową strukturę administracyjną. Anka zaczęła się rozpytywać o Bernda i dowiedziała się, że mieszka on w męskich koszarach Sudety, usytuowanych w zachodniej części twierdzy, całkiem niedaleko. Właśnie próbowały się wraz z Micką jakoś urządzać w przydzielonym pokoju, gdy znalazło je kilka dawnych

koleżanek. Przybyłe zawołały: „Nie możecie tu zostać!”. Zabrały ich rzeczy i przeniosły je do swojego, ledwie dwunastoosobowego pokoju w koszarach Drezno – odtąd mieszkały wszystkie razem. W otoczeniu swych przyjaciółek Anka czuła się, jakby uczestniczyła w jakiejś wielkiej przygodzie.

Najwspanialsze było jednak to, że wieczorem jeszcze tego samego dnia spotkała się z Berndem. Mężczyźni otrzymali specjalne przepustki zezwalające im na odwiedziny w sektorze kobiet, gdzie mogli powitać swoje żony. Z wielką satysfakcją przekazała mu w końcu mocno już sfatygowane pudło z pączkami, które nieco już sczerstwiały i nasiąkły wilgocią. „Ale i tak zjadł je z wielką ochotą!” – wspominała.

Opuszczanie koszar było do lipca 1942 roku niedozwolone bez pisemnego zezwolenia lub obstawy funkcjonariuszy getta. Anka i Bernd potrafili jednak omijać przepisy równie dobrze, jak to czynili w Pradze. Choć za niesubordynację groziły kary więzienia lub chłosty, małżonkom zawsze udawało się znaleźć sposób, żeby się spotkać. Każde z nich próbowało ustalić, gdzie danego dnia pracować będzie drugie, a potem nieco zbaczali ze swoich wyznaczonych tras, żeby potajemnie spędzić razem choć kilka chwil.

Życiem całej społeczności mieszkającej w oznakowanych alfabetycznie sektorach twierdzy kierowała Żydowska Rada Starszych (*Ältestenrat*), która

każdemu z mieszkańców powyżej czternastego roku życia przydzielano pracę. Setki osób pracowały średnio siedemdziesiąt godzin w tygodniu na budowach, w kuchniach, w pralniach lub administracji. Niektórzy produkowali odzież dla Niemców: mundury dla żołnierzy i zwykle ubrania dla cywilów. Pracą nie do pozazdroszczenia było sprzątanie latryn lub udział w akcjach dezynfekcyjnych, mających na celu zmniejszenie ryzyka wybuchu epidemii. W ciągu pierwszego roku istnienia getta zorganizowano ekipę murarzy. Otrzymali oni zadanie zbudowania krematorium, jako że nie było już gdzie grzebać zmarłych, których liczba gwałtownie rosła. Według żydowskiej wiary palenie zwłok jest ich bezczeszczeniem i jako takie uznaje się je za zakazane; ciała zgodnie z tradycją należy zwyczajnie pogrzebać.

Bernda przydzielono do ekipy stolarzy i nakazano mu zrobić kolejne piętrowe prycze, a także przystosować do zasiedlenia zapuszczone koszary i domy. Wpisano go również na listę strażników *Ghettowache*, czego wielu mu zazdrościło, jako że praca ta wiązała się ze szczególnymi przywilejami.

Anki początkowo nie wyznaczono do żadnego zajęcia, a potem ciężko zachorowała i nie mogła już pracować. Dostała wysypki, która okazała się objawem szkarlatyny, i spędziła sześć tygodni w sektorze kwarantanny. Gdy w końcu wyzdrowiała, dostała pracę w jednostce

odpowiedzialnej za wydawanie mleka, chleba i ziemniaków w zamian za kupony wydzierane z kartek żywnościowych mieszkańców getta. „Stałam przy wiadrze i nalewałam każdemu chochlę mleka” – opowiadała. Praca dawała jej możliwość zdobycia w drodze handlu wymiennego dodatkowej porcji chleba czy warzyw dla urozmaicenia szarej, wodnistej zupy, którą im codziennie serwowano.

Właśnie podczas nalewania mleka poznała dyrygenta Karela Ančerla oraz jego żonę i synka. Ančerl wspierał później organizację koncertów w getcie i został kierownikiem orkiestry smyczkowej. „Tak się jakoś złożyło, że dałam mu trochę więcej mleka niż powinnam, ze względu na dziecko” – opowiadała. „Polubiłam ich, a oni polubili mnie, no i się zaprzyjaźniliśmy. Gdybym została przyłapaną, musiałabym za to zapłacić”.

W kolejnych miesiącach wciąż przybywały nowe transporty – w szczytowym okresie raz na trzy dni pojawiała się tysiąc osób. W przepelnionych koszarach wkrótce tłoczyło się sześćdziesiąt tysięcy ludzi: starych, młodych, chorych i głodnych. Gwałtowny wzrost liczby mieszkańców stanowił wielkie obciążenie dla kuchni oraz zabytkowego systemu ścieków. Woda, którą w getcie racjonowano, była zanieczyszczona, należało więc ją gotować. Więźniom pozwalano na pranie sztywnej z brudu odzieży tylko raz na sześć tygodni. W sufitach robiono włazy, żeby wykorzystać cenne

miejsce na strychach, otwarto wilgotne katakumby pod szanćami twierdzy, nawet stajnie przerobiono na przestrzeń mieszkalną.

Ludzie przysyłani w kolejnych transportach byli coraz bardziej wynędzniali i kompletnie nieprzygotowani na to, co czekało ich w getcie. Źle znosili podróż rozklekotanymi pociągami. Wielu umierało w ciągu kilku dni od przybycia. Smród ludzkich odchodów przenikał całe miasto. Wszystko dookoła było szare i ponure.

Pociągami, które przyjechały między wrześniem a grudniem 1942 roku, przybyli wynędzniali rodzice Anki, jej siostra Zdena z mężem Herbertem Isidorem oraz siostrzeniec Petr. Przewieziono ich z miasta Hradec Králové, gdzie Anka chodziła do szkoły. Jej drugą siostrę Ruzenę (matkę Petra) wysłano do specjalnego obozu w Svatoboricach, gdzie internowano rodziny „zdrajców”, którzy – tak jak jej mąż Tom – uciekli za granicę. Oddzielona od synka pozostawionego pod opieką jej rodziców, wpadła w wielkie przygnębienie. Zanim wysłano ją do Theresienstadt, gdzie dołączyła do pozostałych członków rodziny, niemal całkiem już straciła ochotę do życia.

Następnie, w oddzielnych transportach, w getcie zjawili się rodzice Bernda – byli już rozwiedzeni. Najpierw przyjechał sześćdziesięcioletni Louis, a potem jego była żona Selma, którą wcześniej trzymano w obozie Westerbork w Holandii, stworzonym głównie

dla holenderskich Żydów. Selmie towarzyszył jej drugi mąż, młodszy od Berndta (czym jej syn był mocno zażenowany). Teściowie Anki nigdy wcześniej nie widzieli jej na oczy. Pierwsze słowa, jakie skierowała do niej Selma (nawiązując do pensji wypłacanej jej dawniej przez ojca), brzmiały tak: „Ale wiesz, że Bernd ożenił się z tobą tylko dla pieniędzy?”. Był to dość niefortunny początek znajomości.

Gdy dojechali jeszcze jej dalsi krewni, w tym rodzice i brat jej kuzynki Olgi (która początkowo była bezpieczna, jako że wyszła za mąż za goja), Anka nagle się zorientowała, że ma codziennie przynajmniej piętnaście osób do wyżywienia. Selma oczekiwała, że jej synowa będzie dbała zarówno o nią samą, jak i o jej obu mężów oraz kobietę opiekującą się starszym z nich. Była jeszcze do tego ciotka w zaawansowanym wieku, która całkowicie polegała na Ance w kwestii pożywienia, a tak się bała głodu, że często czekała na nią wieczorem do późna z nadzieją, że może coś jej jeszcze przynieść.

„Wesoło było!” – żartowała Anka, choć jedynym pożywieniem, jakie im wszystkim mogła zapewnić, była „niejadalna ciemnoszara breja” z gotowanego jęczmienia, konsystencją przypominająca klej do tapet. „Miałam wrażenie, że całe życie spędzam, wędrując tu i tam z kociołkiem czy garnkiem i desperacko szukając czegoś, co nadawałoby się do ugotowania, żebym mogła nakarmić ciotkę i wujka, teściową i teścia. Czułam, że

cokolwiek by się działo, muszę im pomagać. Gdyby mieli przeżyć za to, co otrzymywali, to by pomarli z głodu”. Z głodu umierało wiele osób. Siostry Anki były młode, więc jakoś by sobie poradziły, ale przecież nie rodzice, a zwłaszcza jej siedemdziesięcioletni ojciec Stanisław, który był „prawdziwym dżentelmenem” i nie mógł przywyknąć do spania na zimnej kamiennej podłodze wraz z innymi mężczyznami w jego wieku. Stał się tak uzależniony od swojej żony Idy, że ona nie mogła nawet go zostawić, żeby poszukać pracy (która im obojgu zapewniłaby większe przydziały jedzenia). „Matka w obozie zawsze była radosna. Ojciec zmarłby po tygodniu, gdyby nie ona. Przez całe życie kurczowo się jej trzymał, ale teraz, w obozie, starał się mieć ją cały czas w polu widzenia”.

Oprócz mleka i podstawowych warzyw w getcie wydawano też posiłki w kantynie – o siódmej rano, w południe i o siódmej wieczorem. Młodzi i starzy ustawiali się wówczas w kolejkę, wyposażeni w aluminiowe talerze, kubki i garnki, żeby otrzymać niewielki kawałek chleba i chochlę wodnistej kawy lub zupy. Osobom skierowanym do ciężkich robót (nazywanym *Schwerarbeiter*) przysługiwały większe racje, zwykli robotnicy dostawali porcje średnie, a bezrobotni (*Nichtarbeiter*), czyli głównie starsi ludzie, próbowali przeżyć na isticie głodowej diecie.

„Poproszę z dna” – błagali najgłodniejsi z nadzieją, że

chochła wyłowi z garnka kawałek czegokolwiek. Rekonwalescenci otrzymywali specjalne kupony uprawniające do nieco większych porcji, wiele osób symulowało więc choroby lub udawało, że trwają one dłużej niż w rzeczywistości. Niezależnie jednak od kategorii wydzielane racje nikomu nie wystarczały. Ciągły głód był nie do zniesienia, a usilne poszukiwanie żywności stało się codzienną udręką. Wiele osób dopadała apatia lub depresja. Los nagle kazał dumnym ludziom mieszkającym dawniej w pięknych domach i wiodącym dostatnie życie dzielić ciasną przestrzeń życiową z zawszonymi biedakami, z którymi nie łączyło ich nic oprócz żydowskiego pochodzenia. Zmuszeni do oddychania powietrzem aż gęstym od smrodu niemytych ciał, głodni i przestraszeni wiedli coraz gorsze życie.

Codziennie kierowano ich do nowych prac, a przy okazji wydawano kartki żywnościowe i podstawowe produkty, do których dorzucano parę warzyw korzeniowych, często przegniłych. Na początku od życzliwych osób pozostających na wolności przychodziły jeszcze paczki zawierające salami czy konserwy. Mieszkańcy getta otrzymywali też od przyjaciół i rodzin pieniądze, ale Niemcy natychmiast je przejmowali i w zamian wydawali kupony żywnościowe lub niemającą prawdziwej wartości „walutę getta”, której używano również na czarnym rynku.

Większość ciężkich robót wykonywali mężczyźni,

kobiety zajmowały się sprawami związanymi ze zdrowiem i sprawowały opiekę nad młodszymi i starszymi mieszkańcami getta. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety przydzielano też do pracy w dziale *Landwirtschaft*, czyli w gospodarstwach rolnych, gdzie uprawiano warzywa i hodowano kurczaki dla nazistów, jak również sortowano ziemniaki, cebulę i warzywa korzeniowe, które trafiały potem do podziału między żyjących w getcie ludzi. Powstał też niewielki szpital – zajmowano się w nim licznymi przypadkami takich chorób, jak zapalenie płuc, szkarlatyna, sepsa, tyfus czy świerzb. Utworzono również tymczasowe szkoły dla dzieci.

Choć panował głód, a w zimie także taki mróz, że trzeba było skrobać szyby z lodu po wewnętrznej stronie okien, mieszkańcy Theresienstadt w pierwszym okresie istnienia getta zachowywali stoicyzm i w duchu cieszyli się, że nie jest gorzej. Niedługo potem jednak stało się coś, co im uświadomiło „ponurą prawdę” na temat miejsca ich pobytu i osób, od których zależał ich los. „Całkiem nieźle się trzymaliśmy, dopóki nie zaczęły się egzekucje” – wspominała Anka.

Niemcy tworzący *Lagerkommandantur* zebrali żydowską starszyznę oraz grupkę specjalnie dobranych świadków na placu w pobliżu koszar Aussig, gdzie postawiono szubienice. Następnie powieszono dziewięciu młodych mężczyzn, którzy rzekomo „obrazili

niemiecki honor”, próbując przemycić korespondencję do swoich rodzin. Jakiś czas potem nastąpiły kolejne egzekucje: powieszono między innymi siedmiu młodych mężczyzn winnych drobnych wykroczeń, takich jak kradzież słodyczy czy posiadanie papierosów.

Anka była tym wszystkim wstrząśnięta. „Odbyło się około sześciu takich egzekucji” – opowiadała. „Gwałtownie sprowadziły nas one na ziemię i spowodowały, że zdaliśmy sobie sprawę, iż nie będzie nam łatwo przeżyć. Od tamtego czasu staraliśmy się być ostrożniejsi i strasznie się denerwowaliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co się wydarzy”.

W miarę jak z Niemiec i Austrii napływały ogromne fale nowych przybyszów, naziści wprowadzali coraz bardziej rygorystyczne ograniczenia. Zakazano ludziom przebywania w pewnych częściach getta o określonych porach, jak również wykonywania niektórych codziennych czynności. Postawiono kolejne ogrodzenia i bramki, przy których wartę trzymali strażnicy. Główne arterie miały być puste, mieszkańcom nakazano przemieszczać się tylnymi uliczkami. Osobom łamiącym przepisy groziła chłosta, rozstrzelanie lub uwięzienie w Małej Twierdzy, z której zwykle już się nie wracało.

W ramach oszczędzania prądu Niemcy wprowadzali *Lichtsperr*e – zaciemnienie, czyli zakaz zapalania świateł. Ludzie musieli wówczas po ciemku siedzieć w swoich koszarach i po omacku przebierać się do snu lub co

najwyżej czytać przy świecach, których wiecznie brakowało. Anka leżała na brudnym sienniku, czując, że wszystko ją swędzi od ukąszeń, i wdychając cuchnące powietrze. Nie potrafiła przestać myśleć o romantycznych wieczorach przy świecach spędzanych z Berndem w ich praskim mieszkaniu. Mieszkańcom getta oprócz dręczącego ich głodu dokuczwała też plaga pcheł i pluskiew. Gdy nadeszła zima, ciężko było znaleźć jakiegokolwiek drewno, żeby napalić w piecu i ogrzać pokój lub coś ugotować. Węgiel wydawano tylko wówczas, gdy temperatura spadała poniżej zera. „Ludzie zaczęli padać jak muchy z powodu niedożywienia, złych warunków w pomieszczeniach, braku dostępu do sanitariatów” – opowiadała Anka. „Dla starszych to było zabójcze”.

Wiele osób nie wytrzymało doskwierającego wszystkim głodu, górę brały wówczas zwierzęce instynkty. Jeśli chciało się przeżyć, trzeba było stać się wprawnym złodziejem. „Kradł każdy, kto tylko mógł” – wspominała Anka. „Jeśli ktoś mówi, że nie kradł, nie należy mu wierzyć”. Ludzie pracujący w kuchni skrzętnie ukrywali ziemniaki lub choćby obierki – później sprzedawali lub wymieniali je na coś innego. Anka nauczyła się gotować zupę z pokrzyw i stale próbowała coś przemyścić z kuchni, a potem jakoś wymienić na przykład czerniałego ziemniaka na rozmiękłą cebulę.

Pewnego razu miała szczęście, otrzymała bowiem przypadkiem paczkę z sardynkami z Portugalii, które

były przeznaczone dla nieżyjącej już kobiety o nazwisku Nanny Nathan. Anka poinformowała o pomyłce żydowski urząd pocztowy, powiedziano jej jednak, że może zatrzymać przesyłkę. „Z radością ją przyjąłem. Mieliśmy wówczas tyle sardynek, że już nie dawaliśmy rady ich jeść. Mąż zaczął narzekać: »Znowu sardynki!«. Ludzie potrafią być tacy niewdzięczni!”.

Choć tak wielu ludzi umierało, wciąż brakowało miejsca dla nowych przybyszów. Wkrótce spodziewano się też transportów z Austrii i Niemiec. Tak więc w styczniu 1942 roku rozpoczęły się wywózki na wschód – każda z nich obejmowała od tysiąca do pięciu tysięcy osób. Podobnie jak w Łodzi i innych gettach, ludzie za wszelką cenę próbowali jakoś przebłagać lub przekupić urzędników, żeby wykreślili z list nazwiska ich bliskich, zwykle jednak niewiele to dawało. Liczba mieszkańców getta zaczynała maleć. Pierwszych deportowanych wysłano z Theresienstadt do getta w Rydze na Łotwie, a potem do gett w okupowanej Polsce, mało kto jednak miał w ogóle pojęcie, dokąd jedzie. „To było straszne, patrzeć na tych ludzi na noszach, starych i niepotrafiących przejść o własnych siłach kilku metrów, których transportowano Bóg wie dokąd. Tysiące osób przyjeżdżały do getta tylko po to, żeby po paru dniach wysłano je na wschód. Tysiące przyjeżdżały, tysiące umierały, tysiące wyjeżdżały gdzieś dalej. Tak zaczął się i skończył rok 1942. A potem w 1943 roku znów było to

samo”.

Transporty stały się czymś w rodzaju straszaka – stałego zagrożenia kładącego się cieniem na codziennym życiu. Nikt nie wiedział, co przyniesie jutro, a wszechobecny strach osłabiał i tak już mocno nadszarpnięte morale. Szacuje się, że ze stu czterdziestu tysięcy Żydów wysłanych do Theresienstadt trzydzieści trzy tysiące zmarło, a ponad osiemdziesiąt osiem tysięcy wysłano do obozów zagłady, w wyniku czego zginęła niemal cała populacja czeskich Żydów. Przez obóz przewinęło się piętnaście tysięcy dzieci, w tym grupa tysiąc dwustu sześćdziesięciu sierot z Białegostoku, którym obiecano bezpieczną przystań w Szwajcarii, ale w rzeczywistości wraz z przydzielonymi im opiekunami pojechały prosto do Auschwitz i tam, razem z nimi, zginęły.

„Pionierzy”, tacy jak Anka czy Bernd, wciąż trzymali się nadziei, że złożone im obietnice oznaczały, że ominie ich taki los – nie mieli jednak żadnej gwarancji, że tak się stanie. „Człowiek po prostu nie wiedział, kiedy go wyślą i ile ma jeszcze czasu” – tłumaczyła Anka. „Może dziś? Za tydzień? Za miesiąc? Wiedzieliśmy tylko, że »na wschód« oznacza coś okropnego, każdy więc starał się uniknąć transportu”.

Choć warunki bytowe coraz bardziej się pogarszały, naziści sprzedawali bogatym niemieckim Żydom nieistniejące działki i „zezwolenia na osiedlenie się”

pozwalające zamieszkać w Theresienstadt, nazywanym „pięknie położonym ośrodkiem z darmowym zakwaterowaniem i opieką zdrowotną”, „domem spokojnej starości” (*Reichsaltserheim*) lub „uzdrowiskiem” czy „sanatorium”. Wiele osób słono płaciło za „pokój z widokiem” czy „luksusowe mieszkanie” i dopiero na koniec, gdy nie było już odwrotu, dowiadywało się, że to wszystko oszustwo. Przybysze spodziewający się przyjemnego ośrodka, w którym mogliby bezpiecznie przeczekać wojnę, przeżywali wielki szok na widok warunków panujących w getcie. Jako że przed wyjazdem spodziewali się zastać na miejscu bogate życie kulturalne w towarzystwie ludzi sobie podobnych, przywozili ze sobą diademy i cylindry, klejnoty i wyszywane cekinami suknie – po kilku dniach były one sztywne z brudu i poplamione. Zamiast pięknego życia zobaczyli nędzę i beznadzieję niczym z powieści Dickensa, urozmaicane jedynie ciągłym strachem przed tym, co może czekać na dalekim krańcu torów kolejowych.

„Pierwszy raz w życiu miałam do czynienia z osobami w podeszłym wieku, które powinny leżeć w szpitalu, a spędziły wiele dni w podróży” – opowiadała Anka. „Musieliśmy się nimi zająć. To było po prostu nieludzkie. Nie było dla nich w ogóle miejsca. Nie mieli gdzie spać. Upchnięto ich na strychach domków zamienionych na zbiorowe kwatery, a oni musieli wdrapywać się na górę i schodzić na dół, choć nie byli w stanie tego zrobić”.

Latem panował skwar, a gęstego od gorąca powietrza nie rozwiewał nawet najmniejszy wietrzyk. Do getta zlatywały się wówczas wielkie roje much. Setki osób umierały na zapalenie mózgu, błonicę i czerwonkę – wskutek tej ostatniej choroby ludzie tracili panowanie nad jelitami i odchodzili ze świata, leżąc w kałużach własnych ekskrementów. Ciała zmarłych wywożono wozami – spod całunów wystawały kościste trupie nogi. Stworzono specjalne punkty odwyszawiania, w których odzież i przedmioty osobiste poddawano działaniu środków owadobójczych.

Choć sytuacja stale się pogarszała – a może raczej właśnie dlatego – pozostający przy życiu mieszkańcy getta prowadzili bogate życie kulturalne. Do Theresienstadt trafili najlepsi europejscy artyści, intelektualiści, kompozytorzy i artyści sceniczni, którzy potrafili w niezwykle pomysłowy sposób odpychać od siebie ogarniającą ich rozpacz. Zarówno dzieci, jak i dorośli występowali w licznych przedstawieniach i na koncertach, zachęcano ich też do twórczej ekspresji poprzez sztukę i poezję. Potrzebne materiały zdobywano, prosząc o nie, pożyczając je lub nawet kradnąc. Kawalki węgla i kredki służyły młodym i starym do rysowania na kartkach wyrwanych z ksiąg rachunkowych lub wyklejkach książek.

Stan uwięzienia wyzwalał w ludziach wielką węgę twórczą. Z kawalków tektury czy tkanin wykonywano

kolazę. Dwudziestojednoletni Pavel Friedman napisał na cienkim arkuszu papieru: „Motyla już nie zobaczyłem. / (...) / Tu w getcie nie ma motyli”. Dwa lata później zginął w Auschwitz. Ludzi przyłapanych na potajemnym uwiecznianiu strasznych warunków panujących w getcie więziono w Małej Twierdzy. Tam łamano im palce i poddawano innym torturom. Artystom groziło też rozstrzelanie lub wywózka do obozu koncentracyjnego.

Pomimo surowych kar życie kulturalne wciąż się rozwijało. Potajemnie organizowano wystawy, przeglądy muzyczne i koncerty. Improwizowane przedstawienia początkowo odbywały się w piwnicach i koszarach, ale ze względu na rosnącą popularność wkrótce przeniesiono je do magazynów i sal gimnastycznych.

Kiedy Niemcy przestali utrudniać tego rodzaju działalność (po pewnym czasie zezwolili nawet na posiadanie instrumentów), ludzie wystawiali coraz większe spektakle. Żydowska administracja, która musiała zatwierdzić każde przedstawienie, po jakimś czasie zaczęła rozprowadzać bilety – szybko stały się one dobrem wielce poszukiwanym i często wymienianym na czarnym rynku za jedzenie. Zatrudniano scenografów i krawcowe przygotowujące kostiumy. Pisarzy zachęcano do tworzenia sztuk satyrycznych i kabaretów. Jednym z tego rodzaju spektakli był *Ostatni cyklista*, napisany przez praskiego komika Karela Švenka. Satyryczny tekst przedstawiał świat, w którym posiadacze rowerów są

prześladowani przez zbiegłych pacjentów szpitala psychiatrycznego. Niestety w getcie nie doszło do premiery spektaklu, jako że po próbie generalnej Rada Starszych w obawie przed represjami zakazała jego wystawiania. Po wojnie (której Švenk nie przeżył) tekst sztuki odtworzono z pamięci. Wciąż jest ona wystawiana na całym świecie.

Mniej kontrowersyjne spektakle prezentowano bez przeszkód – zdarzały się nawet opery (na przykład *Aida* Verdiego), w których występowali słynni soliści z całej Europy. Ponad pięćdziesiąt razy wystawiono operę dla dzieci *Brundibár* czeskiego kompozytora Hansa Krasa, wspomaganego wówczas przez słynnego czeskiego scenografa Františka Zelenkę, będącego też reżyserem spektaklu. Zelenka pracował przy ponad dwudziestu sztukach w getcie (między innymi Szekspira i Moliera). W 1944 roku został deportowany do Auschwitz i zginął w wieku czterdziestu lat.

Ance mocno zapadła w pamięć próba generalna *Sprzedanej narzeczonej* Bedřicha Smetany – opery komicznej, którą oglądała w Pradze jeszcze jako beztroska studentka. Choć jej zdaniem odtwórczyni głównej roli była nieco za stara, i tak uznała spektakl za fantastyczny, jako że bił z niego wielki optymizm. „Opera została skomponowana w czasie, gdy nikt nie mógł nawet podejrzewać, że będzie wystawiona w miejscu takim jak Theresienstadt” – tłumaczyła. „Zawiera jednak

całkiem sporo powiedzonek i wersów, które doskonale pasowały do naszej sytuacji w getcie. W pewnym momencie bohaterka pyta: »Ale jak to się wszystko skończy?«. I pada odpowiedź: »Wszystko będzie dobrze!«. To było dla nas symboliczne. Tego rodzaju chwil się nie zapomina”.

Podczas jedno- czy dwugodzinnego spektaklu ludzie zebrani na widowni nie byli już więźniami getta, którzy myślą tylko o jedzeniu lub drżą o swoje życie. Przez ten krótki czas mogli się śmiać i płakać, odczuwać smutek i nadzieję, dzięki muzyce, tańcom i partiom wokalnym przenieść się w lepszy, szczęśliwy czas. „To bardzo pomagało oczyścić atmosferę” – mówiła Anka. „Dzięki sztuce człowiek potrafił zapomnieć”.

Jedno z najbardziej niezwykłych osiągnięć artystycznych w Theresienstadt powstało dzięki zaangażowaniu amatorskiego chóru kierowanego przez dyrygenta, kompozytora i muzyka Rafaela Schächtera. Chór ten przynajmniej szesnaście razy wykonał jedno z najtrudniejszych dzieł Verdiego: *Requiem* – wyjątkowo ekspresyjną mszę żałobną, opartą na liturgii katolickiej. Zebrani w zimnej, wilgotnej piwnicy śpiewacy musieli zapamiętać każdą nutę i każde z łacińskich słów libretta, korzystali bowiem z jedynej kopii utworu. Do dyspozycji mieli fortepian (bez nóg). Skład chóru stale się zmieniał, ponieważ śpiewaków wciąż zabierały transporty. Schächter motywował swój zespół słowami:

„Wyśpiewamy nazistom to, czego nie możemy im powiedzieć”.

Ostatnia część utworu zawiera następujące słowa: „Wybaw mnie, Panie, od śmierci wiecznej, [...] gdy przyjdiesz świat sądzić w ogniu” („Libera me, Domine, de morte aeterna [...] dum veneris judicare saeculum per ignem”). Wcześniej mowa jest też o tym, że gdy nadejdzie „dzień gniewu” („dies irae”), wówczas Sędzia „nic bez pomsty nie zostawi” („nil inultum remanebit”). Słowa te niosły mocny przekaz, że wszystkich grzeszników czeka Sąd Ostateczny. Anka słuchała utworu, gdy wykonywano go w obecności wysokich rangą nazistów. Kiedy dobiegł końca, żydowska publiczność siedziała cicho, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na reakcję Niemców. Dopiero gdy esesmani zaczęli bić brawo, dołączyli do nich pozostali. Twarze mieli zalane łzami. Anka twierdziła potem, że był to najbardziej rozdzierający występ, jaki w życiu słyszała.

W ramach nieustannego artystycznego zrywu, nad którym pieczę sprawowała żydowska Organizacja Czasu Wolnego (*Freizeitgestaltung*), w Theresienstadt organizowano również wykłady i seminaria, kółka krawieckie i kursy doskonalenia zawodowego. Jeśli danego wieczoru ktoś akurat nie korzystał z bogatej oferty artystyczno-edukacyjnej (jako widz lub uczestnik), to zwykle tylko dlatego, że zajęty był pracami mającymi na celu poprawę warunków bytowych w swojej kwaterze.

Stawiając ciągły opór wciąż czyhającej na nich śmierci, Żydzi w Theresienstadt celebrowali życie: śpiewali, tańczyli, zakochiwali się i zawierali małżeństwa. Spragnieni miłości i bliskiego kontaktu z innymi, szukali pocieszenia, gdzie tylko mogli.

Bernd pracował w specjalistycznym warsztacie stolarskim na terenie składu budowlanego (*Bauhof*) w Bloku H II, już za zasiekami z drutu kolczastego, przy szańcu otaczającym twierdzę. Jednym z jego zadań było produkowanie mebli dla niemieckich oficerów – czyli to samo, czym parął się jeszcze w Pradze. Po skończonej pracy zakradał się z wizytą do kwatery żony. W koszarach nie istniało pojęcie prywatności, ale nie znano też wstydu – wiele par radziło sobie podobnie jak Bernd i Anka. Niektórzy wynajmowali pokoje prywatne od tych nielicznych wybrańców, którzy takowymi dysponowali. Pozostali jednak musieli jakoś sobie radzić, kiedy tylko udawało im się znaleźć trochę czasu dla siebie. Anka opowiadała potem, że w niektóre noce do żeńskich koszar zakradała się większa liczba mężczyzn, a wtedy cały budynek aż się trząsał. „Było nas w pokoju dwanaście i zdarzało się, że dodatkowo spało u nas dwunastu mężczyzn” – relacjonowała. „Nikt nie zwracał na to uwagi. Była to jedna z nielicznych dostępnych nam jeszcze przyjemności, która trzymała nas przy życiu”. Schadzki te stanowiły spore ryzyko, Bernd i Anka uważali jednak, że warto je podejmować. Byli młodzi i zakochani,

a te kilka godzin spędzone wspólnie na pryczy dawało im choć trochę nadziei.

Jako że tak wiele innych osób trafiło już do transportów, a oni wciąż jeszcze pozostawali w getcie, nabrali przekonania, że Niemcy dotrzymają obietnicy, zgodnie z którą „pionierzy” mieli nie podlegać dalszym wysiedleniom. Mieli nadzieję, że zdołają przeżyć w getcie do końca wojny. Choć w czerwcu 1943 zbudowano specjalną bocznicę kolejową prowadzącą do Theresienstadt, Anka – podobnie jak wiele innych osób – wciąż wierzyła, że wojna wkrótce się skończy.

Miała dwadzieścia sześć lat i od trzech lat była już mężatką. Nie chciała zbyt długo czekać z zajściem w ciążę, wraz z Berndem uznali jednak, że w zaistniałych okolicznościach nie powinni myśleć o dziecku. Choć nie było to oficjalnie zakazane, Niemcy zarządzili w getcie ścisłą segregację według płci, istniała więc obawa, że zajście w ciążę mogłoby zostać uznane za „przestępstwo” i ukarane śmiercią. Kiedy jednak latem 1943 roku Anka zorientowała się, że jest w ciąży, w duchu bardzo się ucieszyła. Jej matka Ida, która wówczas mieszkała już w tych samych koszarach, spytała z niedowierzaniem: „Ale jak? Kiedy?”. Anka wzruszyła tylko ramionami, a matka się roześmiała. Anka tłumaczyła sobie, że może tak właśnie miało być. Dziewięć miesięcy to przecież bardzo długi okres, w którym wszystko może się zdarzyć. Dzięki nielicznym przemyconym radioodbiornikom oraz

informacjom wyciągniętym od czeskich żandarmów, do getta docierały wieści ze świata. Alianci dokonali inwazji na Sycylię, Mussoliniego odsunięto od władzy, a Włochy skapitulowały. W getcie warszawskim doszło do wielkiego powstania, a Zagłębie Ruhry zbombardowano. Wiele osób sądziło, że koniec wojny jest już bliski.

Koszmar wciąż jednak trwał. Przez getto przetoczyła się epidemia tyfusu, zabijając po sto osób dziennie. Tymi samymi wozami, którymi dowożono spleśniały chleb, zabierano trupy. Brakowało trumien, ciała zawijano więc w całuny i układano w sterty na korytarzach. W krematorium spalano tysiąc zwłok miesięcznie.

Jesienią okazało się, że do transportu pięciu tysięcy osób wysyłanych z getta na wschód trafić mają siostry Anki: trzydziestosześcioletnia Ruzena z ośmioletnim synkiem Petrem i trzydziestodzieciuletnia Zdena z mężem Herbertem. Do wysiedlenia przewidziani zostali także rodzice jej kuzynki oraz inni członkowie rodziny. „Kiedy najbliższym transportem mają odjechać ukochane osoby, człowiek stara się poruszyć niebo i ziemię, żeby je ocalić” – opowiadała Anka. „Próbowałam oczywiście wszystkiego, bezskutecznie. Starłam się przekupić odpowiednich ludzi, ale to nic nie dało. A wiązało się ze strasznym ryzykiem. Bardzo wielu mieszkańców getta starało się zdobyć cokolwiek, co nadawałoby się na łapówkę. Ale jak Niemcy mówią, że tysiąc osób ma wyjechać, to tysiąc musi wyjechać. Albo

ma się szczęście, albo nie”.

Setki osób wołały targnąć się na swoje życie niż dać się wywieźć w nieznane. W latach 1941–1943 w Theresienstadt odnotowano czterysta trzydzieści samobójstw i dwieście pięćdziesiąt dwie próby samobójcze – w większości dokonywane przez osoby przeznaczone do transportu. Nie potrafiąc zostawić swoich bliskich, ludzie skakali z okien, podcinali sobie żyły, wieszali się lub przedawkowywali leki nasenne zakupione na czarnym rynku albo wykradzione z izby chorych.

Jednym z ostatnich wspomnień Anki związanych z jej krewnymi przeznaczonymi do transportu był obraz jej starej ciotki, która siedziała na swojej walizce „opanowana i pięknie uczesana”. „Uścisnęła mi dłoń, mówiąc: »To do zobaczenia!«, jakbyśmy się właśnie spotkały w Grand Hotelu w Hradcu Králové. Nie było to »Żegnaj na zawsze«, tylko raczej »Widzimy się za tydzień!«. Nie wiedziała wprawdzie o komorach gazowych, ale przypuszczała, że czeka ją coś strasznego”.

Z wymuszonym uśmiechem Anka machała im na pożegnanie, gdy ruszyli w stronę bocznic. Od ciężkich kroków tysiąca deportowanych w powietrzu unosił się pył. Anka modliła się, żeby mogła ich jeszcze zobaczyć i żeby bez jej pomocy zdołali się jakoś wyżywić.

Upływały kolejne miesiące, a brzuch Anki pomału się zaokrąglał. Czuli wielką radość na myśl, że zostanie

matką, choć straciła sporo na wadze, a jej dieta była bardzo uboga. „Cieszyliśmy się jak szaleni z tego dziecka, które miało się narodzić” – wspominała Anka. „Pamiętam, że gdy byłam w połowie piątego miesiąca ciąży, poczułam, jak dziecko się rusza. Przebywałam akurat w biurze, wbiegłam więc do gabinetu szefa, wołając: »Zaczęło się ruszać!«. Nie posiadałam się z radości. Uważałam, że to istny cud!”. Radość jednak wkrótce przeobraziła się w strach, zwłaszcza że nie było już więcej dobrych wiadomości i coraz częściej wysyłano transporty na wschód.

Gdy nowy komendant getta *SS-Obersturmführer* Anton Burger odkrył, że w Theresienstadt kobiety zachodzą w ciążę, kazał natychmiast zgłaszać władzom odmienny stan. Ogłosił, że Żydówka zachodząca w ciążę dopuszcza się przestępstwa przeciw Rzeszy, a płody poniżej siódmego miesiąca będą usuwane. Groził też, że za ukrywanie ciąży grożą kary zarówno samym kobietom, jak i ich otoczeniu.

Ance i Berndowi udawało się dość długo ukrywać jej ciążę, w końcu jednak zaczęła się ona mocno rzucać w oczy. Wezwano ich wówczas do biura komendanta. Wraz z nimi stawily się jeszcze cztery inne pary. Z Niemcami nie było dyskusji. Wściekły esesman straszył wszystkich pistoletem i kazał im podpisać dokumenty, w których zgadzali się przekazać noworodki do „eutanazji”. Pomimo znajomości wielu języków, Anka nie

miała pojęcia, co to słowo oznacza – dopiero później zaczęła się o nie dopytywać. Gdy jej powiedziano, że jej dziecko zostanie po narodzeniu zabite, mało nie zemdląca.

„W życiu sobie nie wyobrażałam, że będę musiała podpisać zgodę na zabicie mojego dziecka” – mówiła potem. „Nikt wcześniej o czymś takim nie słyszał. Jak w ogóle można podpisać coś takiego? Ale podpisaliśmy. Powiedzieli: »*Sie unterschreiben!*«¹⁷ i podpisaliśmy. Wystarczyło, że stał za nami esesman z pistoletem. Każdy by podpisał!”.

W listopadzie 1943 roku, gdy Anka była już w siódmym miesiącu ciąży, Niemcy przeprowadzili spis powszechny (twierdząc, że muszą sprawdzić, czy liczba pozostałych w getcie mieszkańców odpowiada otrzymywanym dostawom). Wszyscy musieli opuścić teren miasta. Bernd leżał akurat w szpitalu z gorączką, więc wraz z innymi chorymi i niemowlętami pozostał na miejscu. Ankę ewakuowano z getta bez niego – towarzyszyli jej rodzice oraz około trzydziestu sześciu tysięcy innych osób.

Obawiając się, że zostaną rozstrzelani, ruszyli przez przemarznięte pola, popędzani przez uzbrojonych strażników. Dotarli na wielką łąkę o nazwie Kotlina Bohušovická. Stali tam od siódmej rano do jedenastej wieczorem, wciąż na nowo przeliczani. Nie wolno było siadać ani iść za potrzebą, ludzie więc załatwiali się tam,

gdzie stali. Dla najsłabszych osób deszcz i ziąb były zbyt dotkliwe, wielu ludzi padło więc na ziemię i już nie wstało. Gdy w końcu pozwolono im wrócić do koszar, Anka z wielką ulgą przyjęła wiadomość, że pacjentów szpitala – a pośród nich jej męża – nie zamordowano.

W grudniu do transportu na wschód przeznaczono jej rodziców. Jej niegdyś dumny ojciec Stanislav, szanowany przedsiębiorca z Třebechovic, który otworzył prosperujący zakład i potrafił zapewnić rodzinie życie na odpowiednim poziomie, w getcie został sprowadzony do roli nędznego żebraka. Był już teraz schorowanym starszym człowiekiem, który na dodatek niewiele widział, bo kiedyś uderzył go w twarz esesman i stłukł mu jedyne okulary. „To mnie najbardziej bolało” – wspominała Anka. „Ojciec stał się starym przygarbionym Żydem, wiecznie wiszącym na matce. To był okropnie przejmujący widok, bo on nie potrafił bez niej zrobić nawet kroku”.

Pomimo dotkliwego głodu i wciąż pogarszającego się zdrowia rodzice Anki nie skarżyli się na swój los i do końca starali się zachować optymizm. „Gdy rodzice wyjeżdżali, bardzo się martwiłam” – mówiła. „Pożegnałam się z nimi, nie wiedziałam jednak, że już ich więcej nie zobaczę. To było tylko parę słów: »Do zobaczenia wkrótce«. Wiedzieli, że jestem w ciąży, ale podchodzili do tego spokojnie. Musieli martwić się o wiele innych spraw, a wszyscy sądziliśmy, że jakoś

damy sobie radę”.

Bernd również musiał pożegnać się z matką i innymi krewnymi, których wysłano na wschód. Jego niewidomego ojca oszczędzono, być może ze względu na jego Krzyż Żelazny.

Anka nie miała już przy sobie ani rodziców, ani sióstr, gdy 2 lutego 1944 roku, na kilka tygodni przed terminem urodziła synka. W getcie funkcjonował wówczas szpital dysponujący salą operacyjną z nowoczesnym sterylnym sprzętem. Pracowały w nim setki dyplomowanych żydowskich lekarzy. Anka miała do swojej dyspozycji świetnych ginekologów i pediatrów, ale i tak musiała przejść przez typowe katusze związane z porodem, przed którymi nikt jej nie mógł uchronić. „Bolało” – wspominała. „To był potworny ból. Myślałam wtedy, że już nigdy nie będę mieć dzieci, nawet gdyby mi ktoś zapłacił. Ale nasz chłopczyk to było złote dziecko!”

Po porodzie Anka opiekowała się upragnionym potomkiem w tak zwanym „domu niemowląt” (*Säuglingsheim*), gdzie przebywały też inne matki z dziećmi. Obawiała się, że w każdej chwili naziści mogą jej wyrwać dziecko z rąk. „Był zwykłym noworodkiem i dostawał dużo jedzenia” – relacjonowała.

Początkowo nazwali synka Jiří (Jerzy), co bardzo ucieszyło jej teścia, ponieważ tak miał na imię jego nieżyjący brat. Okazało się jednak, że w getcie nie wolno nadawać dzieciom nieżydowskich imion, musieli więc

zrezygnować z pierwotnej koncepcji i zmienili synkowi imię na Dan („nie Daniel, tylko Dan”). Wciąż nie zjawiał się nikt, by zabrać dziecko, żeby je poddać eutanazji – Anka i Bernd nie mieli pojęcia, dlaczego im tego oszczędzono, ale byli wdzięczni, że naziści nie spełnili groźby.

Zagadka wyjaśniła się dopiero po wojnie, gdy odkryto pamiętniki innego mieszkańca Theresienstadt – Gondy Redlicha. Jego żona Gerta, którą Anka zresztą знаła, też była wówczas w ciąży. W listopadzie 1943 roku ich również zmuszono do podpisania zgody na zabicie dziecka. Redlich tego dnia zapisał w swoim dzienniku przejmujące zdanie: „Podpisałem oświadczenie, że zabiję swoje dziecko”.

Nieco później, w marcu 1944 roku, już po narodzinach synka (któremu rodzice również dali na imię Dan), Redlich napisał, adresując słowa do nowo narodzonego: „Żydom zabroniono nawet narodzin, kobietom zakazano porodów. Zmuszono nas, żebyśmy ukrywali ciążę Twojej matki. Także inni Żydzi prosili nas, abyśmy zabili Ciebie, owoc jej łona, ponieważ wróg groził, że na całą społeczność nałoży karę za każde żydowskie dziecko narodzone w getcie”. Jak dalej twierdził, jego dziecko ocalał cud – żona niemieckiego oficera przedwcześnie urodziła, ale dziecko było martwe. „Dlaczego w okresie, gdy urodziłeś się ty i kilkoro innych dzieci, anulowano zakaz narodzin?” – pisał ojciec do syna. „Bo to żydowscy

lekarze uratowali tę kobietę. Nasi wrogowie pożałowali tej nieszczęsnej matki i pozwolili innym matkom, w tym twojej, urodzić dzieci”.

Anka o tym wszystkim nie wiedziała, skupiała się na opiece nad swoim niemowlęciem. Miała trochę szmatek na pieluszki i dość mleka, żeby wykarmić dziecko. Swoje szczęście dzieliła z innymi kobietami, które urodziły w getcie (zdarzyły się nawet bliźnięta!), choć troje z tych dzieci nie przeżyło, a jedna z matek zmarła na gruźlicę.

Kiedy jednak ocalony od śmierci mały Dan skończył miesiąc, zaczął wyraźnie słabnąć. „Wyglądał inaczej niż pozostałe dzieci urodzone w tym samym czasie” – mówiła Anka. Po kilku tygodniach życia jej maleńki synek dostał zapalenia płuc. Zmarł w czwartek, 10 kwietnia 1944 roku. „Mój mały chłopczyk zmarł w moich ramionach” – wspominała Anka. „To była naturalna śmierć. Nie spodziewałam się tej śmierci, więc była dla mnie wielkim ciosem”.



Pomnik w miejscu, gdzie wysypano do rzeki prochy
zmarłych z Theresienstadt

Gonda Redlich zapisał w tym czasie w dzienniku: „Zmarło jedno z tych dzieci, którym Niemcy pozwolili się narodzić. Jak wielki musi być smutek matki, która cudem zyskała dziecko, żeby zaraz je utracić”.

Bernd uczestniczył w krótkiej ceremonii kremacji zwłok syna. Prochy zmarłego dziecka umieszczono następnie w niewielkim pudełku z tektury. Przechowywano je wraz z tysiącami innych skremowanych szczątków w miejscowym kolumbarium do listopada 1944 roku, kiedy to większość prochów wyrzucono w rwący nurt pobliskiej Ohrzy.

Anka nie potrafiła stawić czoła ceremonii kremacji. Rzadko kiedy wspominała o zmarłym synku. „To było

straszne, ale potem zdarzyło się tak wiele innych strasznych rzeczy, że można było zapomnieć” – mówiła. „Człowiek jakoś to wszystko przezwycięża”. Pytała później kuzynkę, dlaczego nie potrafiła odpowiednio przeżyć żałoby po Danie. Wyjaśnienie kuzynki trafiło jej do przekonania: „Nie możemy sobie pozwolić na żałobę, bo byśmy oszalały. Zaczęłaś rozmyślać o tym, co się stało i dlaczego, musiałaś więc znaleźć sposób, żeby o tym nie myśleć”.

Jedna z ulubionych maksym życiowych Anki pochodziła z powieści *Przeminęło z wiatrem*, której bohaterka Scarlet O’Hara często powtarzała: „Pomyślę o tym jutro”. Anka przez cały czas pobytu w getcie i potem w obozach stale powtarzała sobie te słowa. Potrafiła potem przyznać, że jej „teoria Scarlet O’Hary” może brzmieć głupio czy irracjonalnie, ale twierdziła, że przez całe życie się sprawdzała. „Jeśli w momencie, gdy coś się dzieje, odepchnę to od siebie i pójdę spać, może się okazać, że rano wszystko będzie wyglądało lepiej” – tłumaczyła. „Jak dotąd jakoś to się sprawdza. Przekonanie, że jakoś się przeżyje, jest typowe dla człowieka. Osoby, które się poddawały i zaczynały się fizycznie zaniedbywać, umierały wcześniej”.

W ciągu kilku lat wydarzyło się mnóstwo rzeczy podważających wizję życia Anki i Bernda i ich przekonanie o jakiegokolwiek stabilności. Nie mieli szans na ucieczkę i w żaden sposób nie panowali nad swoim

losem. „Żeby przeciwko temu zaprotestować, mogłam tylko przeżyć” – twierdziła Anka.

Po śmierci synka poważnie zachorowała na żółtaczkę, wówczas omal nie zmarła. Umieszczono ją w izolacie w szpitalu, a Bernd nie mógł jej tam odwiedzać. Pewnego dnia znalazł gdzieś jakiś kwiatek i pokazał go jej przez okno. Mówiła potem, że choć oczywiście wzruszyła się tym romantycznym gestem, to była tak głodna, że wolałaby zobaczyć kawałek chleba. W końcu jednak stanęła na nogi i znów spotkała się z mężem.

W ciągu kilku następnych miesięcy, podczas gdy alianci przygotowywali się do inwazji na zajętą przez Niemców część Europy, do Theresienstadt zaczęli przyjeżdżać pierwsi Żydzi z Danii. Przedstawiciele duńskich władz i Czerwonego Krzyża naciskali na Niemców, żeby ujawnili, gdzie przebywa niemal pięciuset duńskich Żydów. Pojawiły się też pytania o coraz bardziej rozpowszechnione pogłoski na temat masowej eksterminacji ludności żydowskiej i nie tylko w nazistowskich obozach. Spośród wszystkich narodów okupowanych przez Niemców to Duńczycy najdonośniej przeciwstawiali się nazistowskim akcjom antysemickim i zdołali ocalić większość duńskich Żydów, pomagając im się ukryć lub przedostać do bezpieczniejszych krajów. Losy osób, których nie dało się ocalić przed deportacją, były na tyle pilnie śledzone przez Duńczyków, że Niemcy traktowali tę grupę mieszkańców getta dość szczególnie.

Żeby uciszyć międzynarodową wrzawę, Niemcy zgodzili się na wizytę w Theresienstadt przedstawicieli Czerwonego Krzyża oraz duńskich władz. Najpierw jednak przeobrazili getto w „pokazowy obóz” obrazujący łaskawość Hitlera. Żeby goście nic nie kłuło w oczy, w maju 1944 roku wywieziono na wschód około siedmiu i pół tysiąca mieszkańców getta, w tym wszystkie sieroty i większość chorych (a zwłaszcza gruźlików). Pozostałym osobom zbyt wymizerowanym lub chorym zakazano pokazywania się; z dala od wzroku członków komisji miały też pozostać co bardziej wynędzniałe dzielnice.

W komendanturze getta wyznaczono dokładną trasę, którą miała przejść garstka delegatów, po czym zarządzono „akcję upiększającą” (*Verschönerungsaktion*). Stworzono ładne trawniki, zasadzono róże i ustawiono w parkach ławki. Wszystko zostało odmalowane, umieszczono też w różnych miejscach niewiele znaczące znaki z napisami „SZKOŁA” czy „BIBLIOTEKA”. W oknach zawieszono skrzynki z kwiatami, zbudowano plac zabaw z karuzelą, pawilon dla orkiestry, świetlicę i boisko. Koszary przeznaczone na pokaz wyremontowano, a główne ulice ubarwiono pięknymi fasadami „sklepów”, w których „sprzedawano” rzeczy odebrane przywożonym do getta Żydom.

Za niepodporządkowanie się wytycznym groziła śmierć, wszyscy więc ćwiczili, co mają robić, gdzie przebywać i jak się zachowywać. Tego dnia należało też

włożyć swoje najlepsze stroje i ogólnie zadbać o wygląd. Zorganizowano specjalne dostawy świeżych warzyw i chleba. Wizyta przedstawicieli Czerwonego Krzyża odbyła się 23 czerwca 1944 roku.

Kierowane przez Josepha Goebbelsa Ministerstwo Propagandy Trzeciej Rzeszy wykorzystało tę sztuczną scenerię, żeby nakręcić film do pokazywania na całym świecie. Zatytułowano go *Der Führer schenkt den Juden eine Stadt*¹⁸. Starannie dobrane kadry z wesołym podkładem muzycznym (na przykład słynnym *Piekielnym galopem* z operetki Offenbacha *Orfeusz w Piekło*, popularnie zwanym kankanem) ukazywały krzepkich młodych mężczyzn i kobiety, którzy pracują poza murami getta (w kuźni, garncarni i pracowniach artystycznych), gdzie robią torebki, szyją i obrabiają drewno, a potem ramię w ramię wracają do getta i spędzają czas wolny na lekturach, szydełkowaniu, grze w karty, a także uczestniczą w koncertach i wykładach. Pojawiło się nagranie dynamicznego meczu piłki nożnej, scenki ukazujące starszych gawędzących ze sobą na ławkach w parku oraz rumiane dzieci jedzące chleb grubo posmarowany masłem (w rzeczywistości pierwszy raz od lat miały w ustach taki przysmak).

W filmie znalazła się też wesoła scena ukazująca wspólne prysznice i nagich mężczyzn pod nimi się myjących. W innym ujęciu mężczyźni, kobiety i dzieci podlewają warzywa w otoczonym murem ogrodzie

komendanta. Ankę i Bernda sfilmowano pośród wielu innych Żydów w stylizowanej na wiedeńską kawiarni, przy picciu „kawy”. Kamery furkotały, a oni robili, co im przykazano: uśmiechali się do obiektywu i popijali tłustawą ciecz z kubków podawanych przez kelnerki w białych fartuszkach.

Mieszkańcy getta w duchu modlili się, żeby członkowie komisji przejrżeli przez fasadową rzeczywistość i zaczęli zadawać docieklive pytania lub zażądali zejścia z wyznaczonej trasy. Tak się jednak nie stało. Sześciogodzinna wizytacja okazała się wielkim sukcesem nazistów. Doktor Maurice Rossel, pełniący funkcję przewodniczącego delegacji Czerwonego Krzyża, napisał w raporcie: „Ogólnie rzecz biorąc, żadna z przebywających tu osób nie będzie już deportowana gdzie indziej”. Raport ten w istocie stanowił dla Niemców doskonały kontrargument na zarzuty o masową eksterminację Żydów. Wraz z innymi członkami komisji Rossel poświadczył też, że warunki mieszkaniowe w getcie są „dość dobre”, a kwatery urządzone „wygodnie” (wspomniano między innymi o dywanach i chodnikach). Stwierdzono, że w getcie nie brakuje żywności ani odzieży, funkcjonuje poczta, a oferta kulturalna jest bogata. Oceniono, że domy młodzieży odznaczają się „niezwykłymi walorami edukacyjnymi”. Raport kończył się słowami: „ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu ujrzeliśmy w getcie

zwykle miasto żyjące niemal normalnym życiem. Oczekiwaliśmy czegoś gorszego”. Stwierdzono też, że obserwacje zawarte w raporcie „wielu osobom mogą przynieść ulgę”.

Mieszkańcy getta nic nie wiedzieli o treści raportu, wciąż mieli więc nadzieję, że świat w końcu się dowie o ich losie. Zakładano, że pomimo całej akcji upiększającej członkowie komisji dostrzegą, że jest to jednak brutalnie odcięte od reszty świata więzienie o powierzchni kilometra kwadratowego.

Po zakończeniu wizytacji oraz zdjęć do filmu wszystkie atrakcje i dekoracyjne elementy zostały rozebrane, zniszczone lub zabrane. Zarówno samo getto, jak i jego mieszkańcy powrócili do wcześniejszego nędznego stanu (a nawet zmniejszono na dwa tygodnie racje żywnościowe, ze względu na „dodatkowe” posiłki i inne „towary luksusowe” dostępne w okresie wizytacji). Uśmiechnięte dzieci, które na filmie bujały się na koniach na biegunach i występowały w spektaklu teatralnym, znalazły się pośród pięciu tysięcy osób deportowanych do Auschwitz zaraz po zakończeniu zdjęć. W grupie tej byli też Rafael Schächter (kierownik chóru w getcie), a także Kurt Gerron (reżyser owego filmu propagandowego) i zaprzyjaźniony z Anką dyrygent Karel Ančerl z rodziną. Schächter – który tysiącom mieszkańców getta dawał nadzieję, a także dyrygował podczas ostatniego koncertu, jakiego wielu

z nich dane było wysłuchać – prawdopodobnie zginął od razu w Auschwitz (choć niektóre relacje podają, że przeżył trzy obozy i zmarł dopiero podczas ewakuacji ostatniego z nich). Ančerl przeżył wojnę, ale jego żona i synek już nie.

Pilnujący getta czescy żandarmi, gdy tylko mogli, wciąż potajemnie przekazywali jego mieszkańcom wieści ze świata. Największy entuzjazm wzbudziła informacja, że alianci wylądowali w Normandii i posuwają się ku stolicy Francji. „Ta wiadomość przeszła jak huragan. Byliśmy przekonani, że już wygraliśmy” – opowiadała Anka. „Zapewnialiśmy się nawzajem, że za miesiąc będziemy w domu”. Tym razem z rozmysłem postanowili znów postarać się o dziecko. „To było szalone” – przyznawała Anka potem. „Pierwszej ciąży nie planowaliśmy, po prostu się zdarzyła. Ale za drugim razem pomyśleliśmy sobie, że jesteśmy już w getcie trzy lata i to nie może przecież dużo dłużej trwać”. Tłumaczyli sobie, że jeśli wrócą do Pragi z dzieckiem, to jakoś sobie poradzą, ale jeśli się wstrzymają, to potem będą musieli czekać, aż znajdą pracę i uzbierają dość pieniędzy, a to może im zająć tyle czasu, że już nigdy się nie zdecydują.

Jako że wciąż odchodziły nowe transporty na wschód, poddasza w niektórych koszarach nagle opustoszały. Na jednym z takich strychów Bernd skonstruował specjalną skrytkę, w której mógł się spotykać z żoną (taką przestrzeń nazywano w getcie „kumbalek”, czyli klitka).

Później nieco ją rozbudował, aż powstało z niej małe mieszkanko. „Całkiem ładnie się tam urządziliśmy” – mówiła Anka.

Oczywiście stale istniało ryzyko, że Niemcy przeprowadzą nalot na budynek i ich nakryją, ale Anka i Bernd byli gotowi podjąć to ryzyko. Wyzwolono już Paryż i niemal całą Francję. Lato 1944 roku było długie i upalne, a choć wokół nich wiele osób (głównie starszych) umierało z powodu złych warunków sanitarnych, chorób i głodu, Anka i Bernd spędzali ze sobą szczęśliwe chwile w ukryciu.

Ance trudno było określić swój stan, ponieważ po poprzedniej ciąży, jak również w wyniku ubogiej diety i przebytych chorób rozregulował jej się cykl (nazywano to „syndromem więziennym”, problem ten dotyczył bowiem wielu kobiet przebywających w zamknięciu). Wciąż jeszcze nie miała pojęcia, czy z ich starań coś wynikło, gdy jesienią 1944 roku naziści postanowili deportować większość mieszkańców getta (alianci w tym czasie posuwali się coraz dalej, zmuszając całe niemieckie dywizje do kapitulacji).

Niemcy wykazali się zdolnością precyzyjnego planowania i w obawie przed buntem zarządzili w pierwszej kolejności transport silnych i zdrowych mężczyzn do obozu w Niemczech, „gdzieś w okolicach Drezna”. Ogłosili, że przez kolejne cztery tygodnie co drugi dzień z getta wyjedzie tysiąc osób. Obietnice

złożone „pionierom”, którzy mieli nie trafić do transportów, okazały się niewiele warte: Bernd wkrótce otrzymał jeden ze wzbudzających strach różowych kwitków nakazujących zgłoszenie się do nowego *Aufbaukommando*. Gdy Rada Starszych przypomniała Niemcom, że „pionierom” obiecano, że nie będą dalej przesiedlani, powiedziano im, że wszelkie tego rodzaju zwolnienia zostały zniesione.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w getcie Bernd musiał oddać swoje kartki żywnościowe, bo nie przysługiwało mu już wyżywienie, a następnie w ciągu doby zgłosić się do deportacji. „To się stało znienacka, bez ostrzeżenia” – opowiadała Anka. „Nagle przyszło zarządzenie, że wszyscy mężczyźni mają wyjechać do innego getta. Sądziliśmy, że to będzie miejsce podobne do Terezína, tyle że gdzieś w Niemczech. No może trochę gorsze, ale jednak getto. (...) Nie mieliśmy świadomości, że to może być coś koszmarnego”.

Niemniej jednak Anka kolejny raz z trudem panowała nad sobą, pomagając Berndowi spakować kilka niezbędnych rzeczy na podróż w nieznane. Następnie mężczyzn zebrano na dziedzińcu koszar, a żonom pozwolono na pełne rozpachy pożegnanie. Anka i Bernd uściskali się, ucałowali i obiecali sobie, że wkrótce się znów zobaczą. Następnie Bernd – nieświadomy faktu, że jego żona jest w ciąży – ruszył wraz z innymi w stronę bocznic kolejowej na obrzeżach getta, gdzie wsiadł do

zatłoczonego pociągu pasażerskiego. Był 28 września 1944 roku, niecałe trzy lata od chwili, gdy przyjechał do Theresienstadt.

Pozbawiona wsparcia, jakie stanowił dla niej mąż, Anka popadła w przygnębienie. Kolejne dni zlewały jej się w ponure pasmo smutku, głodu i strachu. Jako że deportowano już ogromną liczbę ludzi, a front wciąż wymagał nowych dostaw, przeniesiono ją do działającej w getcie fabryki, gdzie przydzielono jej zadanie wycinania izolatorów z mikanitu, które wykorzystywano do świec zapłonowych w silnikach samolotów. „Materiał ten nazywano *Glimmer*, to były takie małe przezroczyste płytki” – opowiadała. „Bardzo ostrymi nożami rozdzielaliśmy je na cienkie paski”.

Izolatory te stanowiły kluczowy produkt dla Luftwaffe, a praca przy ich produkcji uchroniła przed transportami wiele osób – w tym Ankę.

W nowej pracy czuła się jednak bardzo samotna i nieszczęśliwa. Nie miała też już możliwości zdobycia dodatkowych porcji jedzenia dla siebie i swojego niewidomego teścia (jedyne go członka rodziny, który pozostał z nią w getcie), wciąż więc się zastanawiała, jak zdoła teraz przeżyć. Wówczas Niemcy ogłosili, że potrzebują jeszcze tysiąca osób do nowego obozu pracy w Rzeszy. Na liście znalazło się nazwisko Micki oraz innych przyjaciółek Anki z Pragi, które również trafiły do getta w pierwszych transportach „pionierów”. Anka,

dzięki temu, że wykonywała pracę na potrzeby działań wojennych, była na razie bezpieczna. Żeby uciszyć coraz bardziej powszechny w getcie niepokój, naziści ogłosili, że można też dobrowolnie dołączyć do rodziny i przyjaciół wywiezionych do „nowego obozu w Dreźnie”. Sugerowano przy tym, że jeśli się zostanie wysłanym do pożytecznej dla Niemców pracy, wówczas można liczyć na ocalenie.

Na tę wiadomość serce Anki mocniej zabiło – natychmiast postanowiła ruszyć za mężem. „Wiedziałam już wtedy, że jestem w ciąży, ale Bernd tego nie wiedział” – opowiadała. „To było kompletne szaleństwo”. Wydawało jej się wtedy, że skoro przeżyła wraz z mężem trzy lata w getcie, gdzie stracili dziecko i większość członków rodziny, to przeżyje też w każdym innym miejscu, nawet gorszym (choć nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłoby być gorzej). Wciąż nie miała pojęcia, dokąd trafił Bernd ani jakie panują tam warunki, postanowiła jednak zrobić wszystko, żeby być razem z nim. „Przecież Niemcy to w końcu cywilizowany kraj, na pewno da się tam przeżyć” – tłumaczyła sobie w duchu. Miała nadzieję, że od razu po przyjeździe spotka się z mężem i dostanie pracę, a może nawet zobaczy się z rodzicami i siostrami, a potem wspólnie doczekają końca wojny.

Obawiała się też, że jeśli będzie zwlekać, mogą ją przetransportować gdzieś indziej i już nigdy nie

odnajdzie swoich bliskich. Później jednak nazwała swoje dobrowolne zgłoszenie się do transportu „najgłupszą decyzją w życiu”. Spakowała swój niewielki dobytek (tym razem miała już bardziej rozwinięty zmysł praktyczny niż trzy lata wcześniej, gdy wybrała się do getta z pudłem pełnym pączków) z pomocą koleżanki, która zostawała w getcie. „Nie mówiłam nikomu, że spodziewam się dziecka” – opowiadała. „Kiedy jednak spakowałam sukienkę, którą dla mnie uszyto podczas pierwszej ciąży, koleżanka spytała: »Po co ją zabierasz?«, a ja nic nie odpowiedziałam. Na to ona krzyknęła: »O Boże, jesteś w ciąży!« i mało nie zemdląca. A potem zaczęła pytać: »Czyś ty oszalała? Jak możesz dobrowolnie tam jechać?«”.

Kilka dni później, w niedzielę 1 października 1944 roku (niebawem po tym, jak amerykańskie wojska dotarły do Linii Zygfryda, czyli umocnień na zachodniej granicy Rzeszy), Anka na zawsze opuściła Theresienstadt. Wraz z Micką i pozostałymi koleżankami wsiadła do koszmarnie zatłoczonego pociągu pasażerskiego trzeciej klasy, w którym ludzie upchnięto „jak sardynki”. Gdy zamknięto drzwi i opuszczono okiennice, rozległ się świdrujący gwizd i pociąg ruszył. Anka walczyła z paniką i starała się trzymać nadziei, że podróż, dzięki której znów zobaczy się z mężem, nie będzie trwać zbyt długo.

Nadzieje jej spełniły się o tyle, że rzeczywiście jechała w ślad za Berndem. Pociąg zatrzymał się nawet na stacji w Dreźnie, a wówczas wszyscy złudnie sądzili, że

dojechali na miejsce. Oczekiwali z ulgą, że zaraz ich wypuszczą i zaprowadzą do nowego obozu, już się cieszyli na spotkanie z bliskimi. Wyczerpani, głodni i spragnieni czekali i czekali w zamkniętym pociągu, aż w końcu maszyna ruszyła dalej. Gdy znów się zatrzymali, z przerażeniem stwierdzili, że stoją na stacji w Bautzen (Budziszyn), niemieckim mieście oddalonym o sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Drezna. Wówczas wiedzieli już, że zostali oszukani. „Pomału zaczęło nam świtać, dokąd nas wiozą” – opowiadała Anka. Wspominała, że chwile grozy przeżywali też, widząc nazwy kolejnych stacji już na terenie okupowanej Polski, przez którą z ponurym brzękiem toczył się ich pociąg.

„Transport na wschód tak naprawdę oznaczał jedno miejsce: Auschwitz. Zналиśmy tę nazwę, ale nie wiedzieliśmy o tym obozie nic oprócz tego, że było to miejsce straszne”.

Anka nie mogła wówczas tego wiedzieć, ale gdyby jej synek Dan przeżył i wraz z nim wysiadłaby tej niedzieli na ponurej rampie obozu Auschwitz II-Birkenau, z całą pewnością oboje trafiliby prosto do komory gazowej. Teraz jednak nosiła pod sercem nowe życie – małe ciało o serduszku raźnie bijącym pomimo wszelkich przeciwności losu.

Miała już wprawę w ukrywaniu ciąży, nikt więc nie wiedział o jej stanie, gdy po dwóch dniach drzwi pociągu

otwarto, a jej oczom – zamiast uśmiechniętej twarzy Bernda – ukazało się istne piekło na ziemi.

Auschwitz II-Birkenau

Priska

Gdy pociąg pełen Żydów deportowanych ze Słowacji dojechał do Birkenau (jednego z trzech potężnych obozów masowej zagłady znanych pod wspólną nazwą Auschwitz), umęczonych pasażerów nagle otoczył potworny chaos: szczekanie psów i wrzaski ubranych w pasiaki dozorców, czyli więźniów „funkcyjnych”, którzy brutalnie wyciągali ludzi z wagonów. W pewnym oddaleniu stali w ponurym szeregu esesmani z uniesioną bronią. „Nie wiedzieliśmy, czym jest Auschwitz” – opowiadała Priska. „Ale gdy tylko opuściliśmy pociąg, natychmiast stało się to jasne”.

Priskę i Tibora, oniemiałych na widok surrealistycznego świata drutów kolczastych pod napięciem, wież strażniczych obsadzonych żołnierzami uzbrojonymi w karabiny i oślepiających błysków reflektorów, ze wszystkich stron natychmiast zalała fala agresji i okrucieństwa. Trzaskały bicze, a dozorczy wrzeszczeli: „*Alle heraus! Schnell! Alles da lassen!*”¹⁹.

Młodzi i starzy wysiadali z pociągu równie bezbronni.

Natychmiast zaganiano ich w rzędy, których bacznie pilnowali mężczyźni w pasiakach. Oszołomionych nagłym zamieszaniem ludzi szybko rozdzielano, a walizki z ich cennym dobytkiem porzucano w błotnistych kałużach. Niektóre kobiety w spazmach próbowały kurczowo trzymać się swoich bliskich lub osłaniać dzieci przed brutalnością funkcyjnych.

Z ramion Tibora wyrwano żonę i pchnięto ją na ziemię – w ostatniej chwili złapała ją Edita. Priska krzyczała i rozpaczliwie rozglądała się za mężem, ale nie mogła go już nigdzie dojrzeć: wchłonęło go ludzkie mrowie tłoczące się wszędzie wokół. Popchnięto ją naprzód i nagle stanęła twarzą w twarz z wysokim rangą esesmanem – dopiero później dowiedziała się, że był to Josef Mengele. Na razie był jednak dla niej tylko kolejnym nazistą o chłodnym, beznamiętnym spojrzeniu.



Doktor Josef Mengele

Z tym samym co zawsze uśmiechem przyklejonym do białej twarzy spytał ją wtedy: „Co się stało, ślicznotko?”.

Priska wyprostowała się, uniosła głowę i dumnie odpowiedziała: „Nic szczególnego”.

„Pokaż zęby” – rzucił Mengele.

Przez chwilę się wahała, ale potem otworzyła usta.

„Arbeiten!”²⁰ – zawyrokował.

Popchnięto ją w stronę rzędu ludzi po prawej stronie. W bezkresnych odmętach ludzkiego cierpienia nikomu nie wolno było się zatrzymać ani patrzeć za siebie. Tibor dawno już przepadł w wielkiej fali oszołomionych ludzi. Priska nie miała pewności, czy Edita trafiła na tę samą

stronę co ona.

Pod okiem esesmanów w mundurach i dozorców uzbrojonych w pałki i wrzeszczących „Schneller!”²¹ kobiety ustawione piątkami przeszły przez pas lepkiego błota, po obu stronach mając głębokie rowy, a za nimi wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. W końcu dotarły do odległego budynku stojącego na skraju obozu, a następnie stłoczono je wszystkie w podłużnym pomieszczeniu z oknami i kazano im rozebrać się do naga w celu „dezynfekcji”.

Wiele z tych kobiet jeszcze nigdy nikomu nie pokazywało się nago – nawet swoim mężom – były więc zszokowane i niektóre z ociąganiem wykonywały rozkazy. Jeśli jednak rozbierały się zbyt wolno lub błagały o coś do zakrycia swojej nagości, wówczas je bito, dopóki się nie poddały. Ze zdjętych przez nie ubrań, zegarków i biżuterii, jak również z pieniędzy wyjętych z kieszeni szybko tworzone sterty, które później sortowano w kompleksie magazynów nazywanym „Kanadą” (ze względu na skojarzenie z krajem powszechnie wówczas utożsamianym z dobrobytem). Pracowało tam specjalne komando robocze składające się z około tysiąca osób (w większości Żydówek), które pod ścisłym nadzorem brodziły wśród piętrzących się na kilka metrów bezładnych stosów odzieży.

Miały za zadanie wyselekcjonować odzież wysokiej jakości i ciepłe okrycia wierzchnie (które następnie

odkazywane w parowych autoklawach i wysyłano do Rzeszy). Musiały dokładnie sprawdzać szwy i podszewki w poszukiwaniu złota, banknotów, kamieni szlachetnych i biżuterii. W kieszeniach osób skazanych na zagładę znajdowały fotografie ich bliskich oraz rodzinnych uroczystości – zdjęcia te trafiały na stos rzeczy przeznaczonych do spalenia (choć niektóre udało się ocalić).

Gdy nowe więźniarki już się rozebrały do naga, popędzono je korytarzem do niewielkiej sali, gdzie wprawne dłonie specjalistów sprawdzały usta i wszelkie inne otwory ciała w poszukiwaniu złota i klejnotów. Zdarzało się, że kobiety przemycały kamienie szlachetne w pochwie – nazistom przeważnie udawało się je znaleźć. W obawie przed utratą całego majątku Żydzi podobno prosili nawet swoich dentystów o ukrycie diamentów w plombach. Po dokładnym badaniu więźniarki prowadzono do następnego pomieszczenia, gdzie strzyżono je jak owce – nożyczkami i elektrycznymi golarkami – tak aby usunąć owłosienie z całego ciała.

Kobiety spuszczały ze wstydem głowy i szlochały, a pukle ich włosów – niegdyś tak starannie pielęgnowane i układane – zamiatano w stopy i pakowano do wielkich worków. Opuszkami palców niepewnie dotykały świeżo ogolonej skóry, czując głębokie poniżenie i prawdziwą niewolę – utracone włosy były przecież ich największą ozdobą oraz nieodłącznym atrybutem kobiecości. Zaraz

jednak zapędzano je do następnego stanowiska, gdzie kazano im stawać na stołkach i tępyimi brzytwami golono im pachy i łona (choć pośpiech był tak duży, że niektóre kobiety – w tym Priska – zostały w tym procesie pominięte).

Stanowiące rutynową procedurę obozowej dehumanizacji golenie – pomyślane jako środek zapobiegawczy przeciw wszom, ale też sposób na natychmiastową identyfikację zbiegłych więźniów – było dla kobiet świeżo przybyłych ze Słowacji największym szokiem. Pozbawiono je ubrań, włosów, tożsamości i ludzkiej godności, w pośpiechu zadano im bolesne rany, a na byle jak ogolonych głowach gdzieniegdzie zostawiono pojedyncze kosmyki. Kobiety spokrewnione ze sobą lub wcześniej się znające tuliły się mocno do siebie w obawie, że gdy zostaną rozłączone, nie zdołają już się rozpoznać, nagle bowiem wszystkie wyglądały tak samo i czuły się całkiem odczłowieczone. Nie były w stanie patrzeć sobie w oczy.

Kobiet było tak wiele, że ledwo mieściły się w budynku, w następnym etapie wyganiano je więc na zewnątrz, na wielki plac apelowy, gdzie czekała je kolejna selekcja, którą przeprowadzał doktor Mengele – główny lekarz obozu dla kobiet w Birkenau. Wzdrygnęły się, gdy ich ogolone głowy i nagie ciała nagle owiała fala chłodnego powietrza. Kobiety w rzędach po pięć stały w błocie, kulily się z zimna i czekały na kolejną inspekcję,

ostatecznie upodlane. Wszystko, co miały, zostało im brutalnie odebrane, a cały ich świat drżał w posadach.

Gdzie się podziało ich dawne bez troskie życie? Co się stało z ich najbliższymi, których przed chwilą pochłonęła ciemna noc? Pośród piekielnego chaosu panującego w Auschwitz, stale czując w nozdrzach koszmarny smród, Priska – podobnie jak wiele innych kobiet – myślała, że zaraz oszaleje.

Patrzyła, jak doktor Mengele wyciąga z szeregu kobiety wyglądające niezdrowo lub mające wyraźne blizny lub obrażenia. Odznaczony Krzyżem Żelaznym za zasługi podczas kampanii na Ukrainie esesman czasem zdawał się kierować wyłącznie wyglądem czyjejś twarzy. Priska słyszała, o co pytał kilka więźniarek przed nią, wiedziała więc, że będzie chciał wiedzieć, czy jest w ciąży. Choć starała się zachowywać pozory godności, w głębi duszy czuła się skrajnie upokorzona i śmiertelnie przerażona.

Nagle przed nią stanął, tak blisko, że czuła woń jego płynu po goleniu. Uniosła głowę i zobaczyła uśmiechniętą twarz tego absurdalnie przystojnego mężczyzny w mundurze. Mengele z aprobatą mierzył ją wzrokiem od stóp do głów, wyraźnie zadowolony, że ma przed sobą okaz zdrowia, a nie jedną z wielu skrajnie wymizerowanych kobiet stojących dookoła, o wychudzonych ciałach pokrytych czyrakami.

Priska wiedziała jednak, że nie może mu ufać. Oboje

z Tiborem zostali przewiezieni do obozu jak zwierzęta, bez żywności i wody. Wrzeszczano na nich i ich bito, a następnie rozdzielono ją z jedynym mężczyzną, którego w życiu kochała. Potem zaś pozbawiono ją resztek godności i okazywano jej wyłącznie pogardę. Jeżeli Hitler faktycznie zamierzał dotrzymać złożonej Niemcom obietnicy i uczynić z Europy miejsce „wolne od Żydów” (*Judenfrei*), to z pewnością nikt się nie będzie litował nad nienarodzonym żydowskim dzieckiem.

Mengele utkwiał w niej nieruchome spojrzenie; w ciągu ułamka sekundy miała zapaść decyzja. Kiedy spytał ją po niemiecku, czy jest w ciąży, spojrzała mu prosto w oczy i odpowiedziała: „*Nein*”. Wolała nie przyznawać, że umie cokolwiek więcej powiedzieć w języku, którego znajomość naziści arogancko przypisywali wszystkim więźniom. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Wiedziała, że jeśli później prawda wyjdzie na jaw – co było nieuniknione, jeśli zostanie w obozie – wówczas musi się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Jednak po chwili namysłu doktor medycyny i antropologii (marzący o karierze wielkiego naukowca) nonszalancko przeszedł do następnej kobiety w rzędzie.



Prysznice w budynku Sauny w Birkenau

Po zakończeniu tego pierwszego apelu Priskę wraz z pozostałymi kobietami zapędzono z powrotem do Sauny – nowego budynku o wielu oknach, na planie litery „T”, mającego przede wszystkim służyć tym spośród więźniarek, które przydzielano do pracy. Funkcyjne, używając gwałtownych gestów i groźnie pokrzykując, żeby się przypodobać nazistom, zagoniły wciąż jeszcze nagie kobiety do wybetonowanej sali i kazały im się ustawić pod płataniną miedzianych rur, z których sterczały wielkie metalowe prysznice. Nastąpiło dręczące oczekiwanie, podczas którego kobiety zbijały się w grupki, stojąc boso na śliskiej podłodze.

Nagle z góry trysnęła parująca, gorąca woda – kobiety aż krzyknęły z zaskoczenia i niedowierzania. Odchyliły

głowy w tył i otworzyły usta, żeby ugasić pragnienie, jednak woda w Birkenau nie nadawała się do picia, szybko więc wypluły słoną, brudną ciecz. Nie było mydła ani ręczników, za to funkcyjne spryskiwały im głowy i pachy piekącym środkiem dezynfekcyjnym, podrażniającym wszelkie ranki i zadrapania. Z pryszniców tryskała raz zimna, raz gorąca woda, kobiety robiły, co mogły, żeby jakoś zmyć z ciał zapach strachu i potu.

Następnie wciąż wrzeszczące dozorcynie zagoniły ociekające wodą więźniarki do kolejnego pomieszczenia, gdzie kobiety miały chwilę, żeby nieco obeschnąć. Potem korytarzem równoległym do tego, którym weszły, poprowadzono je do sali niemal tak samo dużej jak ta, gdzie się rozbierały. Z boku znajdowała się niewielka latryna bez drzwi, z dziurami w podłodze, nad którymi trzeba było kucać. Kazano im wchodzić tam po pięć, a odporne zaganiano pałkami. Wzdrygały się z obrzydzeniem, czując wydobywający się z dziur smród amoniaku. Nie było papieru, a wszystko odbywało się w wielkim pośpiechu, więc mało której udało się załatwić potrzebę.

Przerazone, dezorientowane kobiety skierowano następnie do kolejnego pomieszczenia, gdzie leżała ogromna sterta rzuconych bezładnie ubrań. Każdej z nich dano na chybił trafił po jednej czy dwóch częściach garderoby odebranej wcześniej innym więźniom.

Funkcyjne przydzielające ubrania unikały kontaktu wzrokowego i zgrubiałymi palcami wyciągały ze stert całkiem niepasującą do siebie odzież (od nich mogło zależeć, czy ktoś przeżyje czy nie). Prisce rzuciły parę chodaków wyciągniętych z ogromnego stosu oraz luźną płaszczową sukienkę z mocnego czarnego materiału – była za nią ogromnie wdzięczna. Wiele innych kobiet miało mniej szczęścia i otrzymało nieodpowiednie i niepasujące części garderoby: zdecydowanie za małe sukienki, elementy męskiej bielizny lub nawet satynowe suknie balowe. W innych okolicznościach można by takie stroje uznać za zabawne czy ekscentryczne, jednak teraz oszołomione więźniarki, wciągnąwszy je na wilgotną skórę, patrzyły na nie z rosnącym przerażeniem.

Następnie wyprowadzono je piątkami z budynku. Przeszły przez kolejny plac apelowy, a potem popędzono je wąskim przejściem między zasiekami z drutu kolczastego do obozu przejściowego (*Durchgangslager*), czyli sektora BIIc na obrzeżach obozu kobiecego. Stały tam rzędy drewnianych baraków o wymiarach czterdzieści na dziesięć metrów. W sektorze tym gnieździły się tysiące przerażonych kobiet.

W ten sposób Priska znalazła się w samym środku ogromnego kompleksu zagłady, na który składały się trzy obozy oraz rozległa sieć ponad czterdziestu podobozów utworzonych przez nazistów w okolicach Oświęcimia – miasteczka w południowej Polsce, rozłożonego na

podmokłej, płaskiej równinie u zbiegu Wisły i Soły. Niemcy wybrali to miejsce ze względu na bliskość linii kolejowej i dogodne połączenia z resztą Rzeszy. Miasteczko przemianowali na Auschwitz i pod tą nazwą stało się ono najbardziej sugestywnym symbolem masowej zagłady prowadzonej w sposób systematyczny przez Trzecią Rzeszę. Obóz Auschwitz I założono na terenie dawnych koszar austro-węgierskiej, a potem polskiej artylerii konnej. Został pomyślany jako obóz koncentracyjny Klasy I (czyli o nieco łagodniejszym rygorze) i początkowo wysyłano do niego głównie przedstawiciele polskiej inteligencji oraz członków ruchu oporu (w tym czasem też Żydów), jak również pospolitych niemieckich przestępców. Obóz przyjął pierwszych więźniów w maju 1940 roku, a jego komendantem został *SS-Hauptsturmführer* Rudolf Höss, który wcześniej pracował już w obozach w Dachau i Sachsenhausen.



Drewniane baraki w Auschwitz II-Birkenau

W październiku 1941 roku rozpoczęto budowę obozu Auschwitz II-Birkenau. Do pracy przy nim skierowano sowieckich jeńców wojennych, dla których zresztą obóz miał być początkowo przeznaczony. Plany zakładały, że pomieści on sto tysięcy jeńców (w rzeczywistości trafiło ich tu znacznie mniej, a tylko nieliczni przeżyli). Obóz znajdował się w odległości trzech kilometrów od Oświęcimia, na terenie wsi Brzezinka, przemianowanej przez Niemców na Birkenau. Gdy zapadła decyzja o jego rozbudowie, nieszczęsnych mieszkańców Brzezinki wysiedlono, a ich domy zrównano z ziemią. Kolejne tysiące osób deportowano również z okolicznych wiosek, żeby utworzyć wokół obozu niezamieszkaną teren o powierzchni czterdziestu kilometrów kwadratowych –

nikt z zewnątrz nie miał dostępu do świata ukrytego za drutami. Cegły z rozebranych domów wykorzystano do wzniesienia obozowej bramy, kwater strażników oraz kilku pierwszych baraków dla więźniów. Pozostałe baraki zbudowano z drewna. W marcu 1942 roku w Birkenau utworzono filię macierzystego obozu koncentracyjnego Auschwitz I.

W październiku 1942 roku otwarto Auschwitz III-Monowitz (od niemieckiej nazwy wsi Monowice), czyli obóz niewolniczej pracy obsługujący niemiecki koncern chemiczny IG Farben, który wybudował w pobliżu Oświęcimia zakłady Buna-Werke produkujące benzynę syntetyczną. W roku 1944 pracowało tam osiemdziesiąt tysięcy ludzi.

Na początku 1942 roku do Auschwitz I i Auschwitz II-Birkenau trafiły pierwsze transporty Żydów – ze Śląska i Słowacji. Żeby zmniejszyć przeludnienie, budowano nowe drewniane baraki w kolejnych rozległych sektorach. Później zaczęto przyjmować Żydów francuskich z obozu przejściowego w Drancy, holenderskich z Westerbork, aż w końcu Żydów z Theresienstadt.

Josef Mengele przyjechał do Birkenau w maju 1943 roku. Wcześniej należał do zespołu badawczego przeprowadzającego eksperymenty medyczne (głównie genetyczne). Całkowicie oddany swojej pracy, szybko awansował. Choć osoby, które przeżyły obozy, często

podają, że to on zwykle przeprowadzał selekcje na rampie i był dla więźniów uosobieniem śmierci, w rzeczywistości nie zawsze on sprawdzał nowe transporty. Nie ulega jednak wątpliwości, że swoją pracę wykonywał z wielkim entuzjazmem i chętnie przebywał na rampie, gdzie starał się jak najczęściej „witać” nowo przybyłych ludzi.

Za udział w „akcjach specjalnych”, takich jak selekcje i egzekucje, esesmani otrzymywali dodatkowe przydziały papierosów, mydła, alkoholu i żywności, uzupełniające i tak dość obfite posiłki, które codziennie przygotowywali im kucharze w kantynie SS. Zwykle dostawali pieczone kurczaki i ryby, kufle spienionego piwa oraz nieprzebrane ilości lodów i słodkich deserów.

Tuż obok do obozu codziennie przyjeżdżały tysiące przerażonych, wygłodzonych więźniów, z których każdy mógł szybko zostać zakwalifikowany do egzekucji. Około dziewięćdziesięciu procent z nich uśmiercano w ciągu kilku godzin od przybycia. Każdego, kogo podczas selekcji uznano za zasługującego na *Sonderbehandlung* (czyli „specjalne traktowanie”, w dokumentach zapisywane jako SB), posyłano na śmierć. Początkowo obóz był oddalony o około kilometra od bocznic kolejowej, ludzi przewożono więc dalej odkrytymi ciężarówkami.

Do zabijania Żydów i innych „wrogów Rzeszy” naziści na początku korzystali z wielu metod – ludzie ginęli

z głodu, od kul lub w wyniku zatrucia tlenkiem węgla. Wszystkie te sposoby uznano jednak za zbyt czasochłonne i mało efektywne. Z kolei pozbywanie się ciał poprzez palenie ich w dołach wymagało znacznych ilości cennego paliwa. Nazistowskie dowództwo usilnie poszukiwało więc metody, dzięki której można by niskim kosztem i przy zaangażowaniu niewielu pracowników jednocześnie uśmiercać większą liczbę ludzi. Wielu więźniów w Auschwitz zabijano dosercowym zastrzykiem fenolu, z czasem jednak pojawiła się nowa metoda, która szczególnie przypadła do gustu esesmanom: gazowanie ludzi w specjalnych komorach.

W samym środku obozu Birkenau stały dwa ładne ceglane budynki („Biały Domek” i „Czerwony Domek”) – zachowały się po rozbiórce wcześniejszych wiejskich zabudowań. Więźniom mówiono, że są w nich prysznic i pomieszczenia do dezynfekcji. Przed budynkami często parkował fałszywy ambulans z kojącym emblematem Czerwonego Krzyża – w rzeczywistości jednak przewożono nim puszki z cyklonem B, czyli zabójczym gazem używanym do masowego uśmiercania więźniów. Początkowo produkowano go jako skuteczny środek owadobójczy i wykorzystywano do dezynsekcji (między innymi w gettach). Występował w postaci maleńkich granulek, z których pod wpływem kontaktu z ciepłem i wilgocią uwalniał się śmiertelny cyjanowódór. W 1941 roku sowieckich jeńców poddawano w Auschwitz

okrutnym eksperymencie z jego użyciem, aż w końcu nazistowscy lekarze wypracowali skuteczną metodę masowego uśmiercania.

Mężczyźni w białych fartuchach wręczali ofiarom ręczniki i małe kawałki mydła, czym podtrzymywano fałszywe przekonanie więźniów o kąpeli. Następnie nagich ludzi wprowadzano do domków z zamurowanymi oknami i uszczelniano drzwi. Mało kto miał pojęcie, co będzie dalej. Potem następowało kilka strasznych minut oczekiwania, Niemcy bowiem stwierdzili, że przez ten czas zamknięta przestrzeń ogrzewa się od ludzkich ciał, dzięki czemu gaz efektywniej się wydziela. Stłoczeni w ciemności, pocący się więźniowie dopiero wówczas zaczęli podejrzewać, jaki los jest im pisany. Mieli pewnie nadzieję, że z pryszniców nad ich głowami zaraz poleci woda. Niektórzy tulili się do siebie nawzajem lub się modlili (wielu zapewne recytowało „Szema Jisrael” – ustęp z Tory stanowiący jedną z podstawowych żydowskich modlitw). Gdy upłynął ściśle określony czas, esesmani wkładali maski gazowe, brali puszkę z cyklonem B, po czym przez specjalne otwory w ścianach wsypywali do środka granulki, z których następnie pod wpływem ciepła i ludzkiego potu uwalniał się zabójczy gaz.

W zależności od tego, jak blisko od wlotów ludzie się znajdowali, umierali natychmiast lub dopiero po dwudziestu minutach. Z ust ofiar wydostawała się piana,

z uszu leciała krew. Na zewnątrz słyhać było przeraźliwe krzyki i walenie w drzwi oszalałych ofiar walczących o oddech. Dopiero gdy zapadała cisza, włączano wentylatory usuwające gaz z pomieszczenia i po pewnym czasie wysyłano do środka składające się z więźniów oddziały *Sonderkommando*. Włączeni w proces masowego ludobójstwa nieszczęśnicy musieli pod groźbą śmierci uprzętać trupy. W obozie było ich około czterystu, a w szczytowym okresie dziewięciuset. Niemcy nazywali ich *Geheimnisträger*, czyli „nosicielami tajemnicy”, i zmuszali do życia w całkowitej izolacji od innych. Ich zadaniem było otwieranie komór gazowych, wyciąganie ciał, a następnie wykonywanie koszmarnej czynności, takich jak usuwanie z pomieszczeń śladów ekskrementów, wymiocin i krwi, żeby można tam było wprowadzić kolejną partię ofiar.

Czasem mieli do czynienia ze zwłokami członków własnych rodzin. W obliczu tak wielkiej potworności niektórzy popełniali samobójstwa, jako że był to jedyny sposób na uniknięcie wykonywania tej pracy. Co kilka miesięcy (maksymalnie po roku, w zależności od pełnionej funkcji) wszystkich członków komanda mordowano i wyznaczano nowych więźniów. Pierwszym zadaniem nowej ekipy było pozbycie się ciał poprzedników. Niewielu członkom *Sonderkommando* udało się przeżyć wojnę. Mając świadomość czekającego ich losu, niektórzy spisywali swoje doświadczenia

i skrzętnie ukrywali te zapiski – znajdowano je dopiero po ich śmierci.



Komora gazowa (*Krema I*) w Auschwitz I

Śmierć w komorze gazowej bynajmniej nie stanowiła ostatniego etapu odzierania z godności zarówno samych ofiar, jak i zajmujących się nimi więźniów. W nazistowskiej maszynie przetwórczej nic się nie marnowało – wszelkie „produkty uboczne” masowych mordów wysyłane były do Rzeszy. Trupom kobiet obcinano lub golono bujne loki i warkocze – z ludzkich włosów wytwarzano filc oraz tkaninę zwaną „włosianką”, z której produkowano elementy garderoby dla niemieckich żołnierzy. Nieostygłym jeszcze zwłokom otwierano usta, a następnie obcęgami wyrywano zęby.

Wszelkie klejnoty znalezione w plombach oddawano esesmanom. Ze złotych zębów i plomb wytapiano sztaby.

Latem 1942 roku, ze względu na ogromną liczbę osób przywożonych przez całą dobę w kolejnych transportach, zbudowano na terenie obozu cztery nowe krematoria (*Krema* II, III, IV i V) wyposażone w komory gazowe, dzięki czemu nazistowska machina zagłady zdecydowanie zwiększyła wydajność. Były to nowoczesne betonowe gmachy, zajmujące powierzchnię od trzystu do ośmiuset metrów kwadratowych. Wraz ze starym Krematorium I (na terenie Auschwitz I) naziści dysponowali teraz piętnastoma piecami krematoryjnymi. Nowe komory gazowe mieściły też znacznie więcej osób niż wcześniej używane „domki”. W Krematoriach II i III rozbieralnie i hermetyczne komory gazowe znajdowały się pod ziemią. Z komory gazowej ciała spuszczano po specjalnej pochylni prosto do wind, które zabierały je do krematorium na parterze. Po oddaniu do użytku czterech nowych krematoriów w obozie uśmiercano i kremowano od czterech do ośmiu tysięcy osób na dobę.

Początkowo gorące prochy zabitych wsypywano do głębokich zbiorników wodnych na obrzeżach obozu, a kiedy się zapchały, ludzkie szczątki wywożono taczkami na polanę w brzozowym lesie i tam rozprowadzano je łopatami po ziemi. Wykorzystywano je również do nawożenia pobliskich pól, tak więc wkrótce cała okolica stała się największym na świecie żydowskim

cmentarzem. Wiejące ze wschodu wiatry często unosiły ten szary pył, a wówczas w powietrzu fruwały smugi sproszkowanych ludzkich kości. Potrafiły wedrzeć się w każdy por skóry, przylepiały się do ust i pokrywały wszystko grubą warstwą. Więźniowie, którym udało się uniknąć śmierci, chcąc nie chcąc, dzień po dniu wdychali prochy swoich bliskich.

Przez pierwszych kilka godzin od przyjazdu ze Słowacji Priska nie miała o tym wszystkim pojęcia. Zamknięta w zatechłej, pozbawionej okien budzie wraz z mnóstwem innych kobiet wyczuwała jedynie, że ona i dziecko w jej łonie znajdują się w miejscu, gdzie grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Na szczęście odnalazła ją Edita i odtąd stale jej towarzyszyła. Dopiero gdy w półmroku rozległy się szepty więźniarek o dłuższym stażu, Priska zaczęła sobie uświadamiać skalę otaczającego ją koszmaru. Podchodziły do niej ogolone kobiety z zapadniętymi oczami i pytały w najróżniejszych językach, czy ma coś do jedzenia. Rozczarowane odpowiedzią opowiadały, co się dzieje w obozie, jednocześnie cały czas się sprzecząc o ocenę swojego położenia. Jedna orzekła złowieszczo, że sytuacja jest beznadziejna i wszystkie je czeka śmierć – z przepracowania lub z głodu. Inna upierała się, że zostały tylko poddane kwarantannie, bo inaczej przecież by ich wszystkich nie strzyżono, a niektórych by nie tatuowano. Trzecia powtarzała, że powinny się modlić,

żeby podczas kolejnych selekcji zakwalifikowano je do pracy, bo to ich jedyna szansa na przetrwanie.

„Ale gdzie są wszyscy?” – rozpaczliwie dopytywały nowe kobiety. „Co z naszymi bliskimi? Może są w innym baraku, a może wysłano ich do pracy gdzieś indziej?”

„Popatrzcie tam” – odpowiadały z przekąsem wychudzone ludzkie wraki, wskazując widoczny przez szpary w ścianach gęsty dym ulatujący z komina. „Tam są wasi bliscy, i my wszystkie też tam skończymy!”

Dawniej Priska nie dawała wiary wieściom o planach unicestwienia ogromnej liczby Żydów przez nazistów, teraz jednak, gdy usłyszała o komorach gazowych i czuła wszechobecny obrzydliwy swąd palonych ciał i włosów, nie miała już wątpliwości, że więźniarki mówią koszmarną prawdę. Dym z krematoriów wisiał między nimi jak całun. „Codzienne zdarzenia pozwalały łatwo przewidzieć, jaki los czeka ciężarne kobiety i ich dzieci” – opowiadała Priska. „Łatwo było sobie wykalkulować, że w tym piekle na ziemi szanse przeżycia są bardzo nikłe”.

Wiedziała jedno: musi spróbować w tym nieprawdopodobnym miejscu ocalić swoje dziecko, a zatem nie wolno jej umrzeć z głodu. W ciągu kilku godzin stało się jasne, że ich wyżywienie będą stanowić przede wszystkim płyny. Rano więźniowie otrzymywali „pomyje” nazywane przez Niemców kawą (przygotowaną z bagiennej wody i prażonego zboża), w południe – trudną do opisania zupę z nadgniłych warzyw, a tylko

wieczorem pokarm stały, czyli niewielki kawałek czarnego chleba z trocinami – i czasem znów „kawę”. Priska szybko stwierdziła, że przestały ją dręczyć poranne mdłości – miała bowiem pusty żołądek.

Więźniarki błyskawicznie odkrywały w sobie zwierzęcy instynkt umożliwiający przetrwanie. Priska i Edita zauważyły, że ich koleżanki z baraku budzą się z odrętwienia, gdy tylko funkcyjne wnoszą do ciemnego baraku pięćdziesięciolitrowe kotły z zupą. Wybuchwały wówczas awantury pomiędzy przedstawicielkami poszczególnych grup i narodowości, a dozorcynie bezlitośnie biły pałkami lub gumowymi rurkami te spośród więźniarek, które próbowały wylizać rozlaną zupę z podłogi lub walczyły jak lwice o każdy ohydny kąsek. Najbardziej wygłodniałe kobiety nie zwracały uwagi na ciosy, tylko dalej brudnymi rękami próbowały wyłowić z zupy cokolwiek konkretnego. Jako że każda odrobina jedzenia zwiększała ich szanse na przetrwanie, dawno już porzuciły obyczaje, takie jak mycie rąk. Priska zauważyła, że najlepiej jest dostać zawartość takiej chochli, którą nabierano pod kątem zupę z dna, amatek tego rodzaju porcji było jednak więcej i wszystkie musiały czekać na swoją kolej. W końcu każda niemyta miska została do czysta wylizana.

Nocą jedynym światłem docierającym do pozbawionego okien baraku był błysk reflektorów przecinających obóz. Przez szpary pomiędzy deskami

wpadał też deszcz i wiatr. Kobiety gnieździły się po sześć na jednej pryczy, leżąc w poprzek, na boku na cienkich siennikach lub po prostu na słomie. Przykrywały się cienkimi kocami, jeden musiał wystarczyć dla kilku. W takich warunkach próbowały zasnąć. Przez całą noc nie zdejmowały butów w obawie, że któraś ze współwięźniarek im je ukradnie. Jak oka w głowie strzegły też otrzymanych w obozie misek i łyżek, od których zależał ich los.



Barak kobiecy w obozie

Najlepsze miejsca znajdowały się na najniższych pryczach – chociaż osobom je zajmującym dokuczały biegające po wilgotnej ziemi i podgryzające pięty śpiącym szczury. W miesiącach letnich ludzie na

następnym poziomie cierpieli z powodu skwaru i braku powietrza, z kolei na samej górze latem można było się usmażyć, a zimą całkiem przemoknąć – choć deszczówka i śnieg pozwalały przynajmniej ugasić pragnienie. Niezależnie od zajmowanych miejsc, wszystkie kobiety budziły się ze zdrętwiałymi mięśniami i posiniaczone.

Kobiety w obozie przejściowym nie pracowały i nie miały czym zająć myśli, żeby zapomnieć o strachu, głodzie i potwornym pragnieniu. Każda kolejna godzina niosła dręczący niepokój i niepewność co do dalszych losów. Priska i pozostałe więźniarki zamknięte w cuchnącym mrocznym baraku miały wrażenie, że każdy dzień ciągnie się w nieskończoność. Wskutek przymusowej bezczynności nastroje wciąż się pogarszały. Wiele kobiet wpadało w obłęd i całymi dniami lamentowało, wspominając utracone dzieci, rodziców i mężów. Ich rozpacz była zaraźliwa, a śmierć zaczynała się jawić jako wybawienie. Inne – załamane i całkiem obojętne – zamykały się w sobie i zamieniały w milczące, chodzące zjawy, ślepo wypełniające rozkazy, jakby na zawsze już pogrążone w śmiertelnym przerażeniu.

Życiem w barakach zawiadywały więźniarki funkcyjne nazywane „blokowymi” (*Blockältesten*) – były to przeważnie kobiety ze świata przestępczego, którym naziści dawali szczególne przywileje, albo osoby wykazujące się wymaganą przez Niemców brutalnością.

Niektóre z nich spędziły już w Auschwitz kilka lat i zdążyły się przekonać, że aby przeżyć w obozie, trzeba naśladować bezwzględność jego nadzorców. Podobnie jak w przypadku innych funkcyjnych, status blokowych zależał od ich umiejętności. Wszelka pobłażliwość wiązała się z ryzykiem srogich kar, a czasem nawet prowadziła prosto do komory gazowej. Jeśli czymś podpadły esesmanom, pozbawiano je pozycji i umieszczano z powrotem w barakach, którymi wcześniej zarządzały, gdzie często czekała je śmierć z rąk terroryzowanych wcześniej ludzi. Funkcyjne musiały więc pilnować porządku w swoich blokach, szczególnie po zmroku, gdy większość esesmanów miała wolne. W zamian za wykonywanie obowiązków otrzymywały specjalne pomieszczenia wydzielone z baraków, lepsze pościelenia i żywność. Zimą dostawały też opał. Kobietom znajdującym się pod ich nadzorem nie wolno było rozmawiać ani w żaden inny sposób ze sobą współpracować, a za najmniejsze przewinienie groziło im co najmniej pobicie.

Więźniarki jednak rozmawiały. Nocą w różnych językach opowiadały sobie szeptem o utraconych przyjaciółach i rodzinach, mężach i kochankach, dzieciach i całym dawnym życiu. Wciąż je dręczyły myśli o dzieciach, rodzicach i mężach. Tęskniły za śmiechem i kolorami, kwiatami i śpiewem ptaków. Czasem recytowały poezję lub ulubione fragmenty książek,

a nawet cicho śpiewały – zwykle piosenki zapamiętane z teatru lub ckiwe lamentsy wywołujące potoki łez.

Przede wszystkim jednak rozmawiały o jedzeniu. Choćby nie wiadomo jak próbowały się przed tym powstrzymać, wciąż się zadręczały, wyławiając z pamięci dawne uczyty oraz przepisy zalecające użycie tylko najlepszych składników. Zbite w śmierzdzący ludzki kłęb, przelykały tylko ślinę, wspominając rodzinne kuchnie przesiąknięte zapachem świeżo pieczonego chleba, stoły uginające się pod ciężarem potraw, a także smak słodkiego czerwonego wina. Dopiero gdy fantazje te stawały się nie do zniesienia, ktoś im dawał znać, żeby przestały – i znów zapadała cisza.

Gdy w końcu górę brało psychiczne i fizyczne wyczerpanie, kobiety układały się ciasno jedna obok drugiej, tak że nie mogły się już ruszyć. Nawet psy esesmanów miały więcej miejsca w swoich budach. Więźniarki leżały na boku, ramię przy ramieniu, a gdy któraś musiała się obrócić, żeby ulżyć biodru wbijającemu się w drewno, albo schodziła na dół, żeby skorzystać z wiadra stojącego z tyłu baraku, wszystkie musiały się obrócić. Oprócz potrzeb fizjologicznych ich niespokojny sen stale też przerywały koszmary i rozdzierające wspomnienia domu.

Co dzień około czwartej rano budził je świdrujący dźwięk dzwonka lub uderzenie gongu, czemu towarzyszyły wrzaski i smaganie po stopach przez

funkcyjne, które następnie zapędzały je na apel. Oślepienie światłami z reflektorów kobiety grzęzły w błocie, stojąc piątkami w rzędach na placu apelowym, gdzie je wiele razy przeliczano. Zdarzało się, że stały tak dwanaście godzin, bez względu na pogodę. Jeśli któraś zasłabła, podtrzymywały ją koleżanki, jako że osoby z kiepskim uzębieniem, z bliznami lub niezdolne do dłuższego stania mogły zostać posłane do gazu.

Oddychały przez usta, żeby nie czuć w nozdrzach wszechobecnego odoru śmierci. Czasem stały nago na hulającym po okolicy przenikliwym wietrze, a czasem nawet podczas gradobicia. O tym, czy danego dnia mają iść na śmierć czy do morderczej pracy w którejś z niemieckich fabryk, zazwyczaj wprawnym okiem zawodowca decydował Mengele, który tak chętnie przeprowadzał selekcje, że często, gdy akurat nie wypadła jego zmiana, brał dodatkowe godziny.

Któregoś dnia Priska przeżyła chwilę grozy, gdy do niej podszedł i brutalnie ścisnął jej pierś. „Bardzo się bałam, że popłynie z niej mleko, ale na szczęście tak się nie stało” – opowiadała. Mengele jeszcze przez chwilę mierzył ją spojrzeniem swoich brązowych oczu, a potem poszedł dalej.

Inna więźniarka, której pierś również ścisnął, zamarła, gdy zawołał: „Mleko! Ciężarna!”. Niczym reżyser teatralny kierujący aktora na lewo, lekkim ruchem dłoni spowodował, że odciągnięto ją na bok i wysłano do

lekarki (również więźniarki obozu), która po pobieżnym badaniu, pomimo rozpaczliwych zaprzeczeń pacjentki, orzekła, że kobieta faktycznie jest w ciąży. Gdy lekarka poszła po strażnika, kobieta uciekła z gabinetu i pędem wróciła na plac apelowy, dzięki czemu ocalała życie.

Nawet Mengele musiał czasami spać, na porannych apelach zjawiali się więc także pozostali członkowie personelu medycznego, w tym doktor Fritz Klein. Przychodził na plac apelowy z psami i wyrazem pogardy na twarzy. Każdą z kobiet pytał o nazwisko, wiek i narodowość, a potem sprawdzał, czy ich ciała nie noszą oznak ułomności lub chorób skóry. Następnie skinieniem palca określał, czy dana osoba ma przeżyć kolejny dzień, czy zaraz iść do gazu. Jako zajadły antysemita patrzył na więźniarki z wyraźnym obrzydzeniem. Zasłynął wypowiedzią, że Żydzi są „zropiałym wyrostkiem robaczkowym w ciele Europy”, który „dobry lekarz usuwa skalpelem”²² (został potem oskarżony o zbrodnie wojenne, skazany na śmierć i stracony).

Ta sama koszmarowa procedura powtarzała się o zmroku, gdy znów na placu apelowym ważyły się dalsze losy więźniarek. Te z nich, którym było już wszystko jedno lub które z powodu biegunki, odwodnienia czy choroby nie mogły ustać, wynoszono z placu apelowego – przeważnie już nie wracały do baraków.

Edita przez cały czas towarzyszyła ciężarnej Prisce – pomagała jej trzymać się na nogach i spała obok niej,

żeby ją chronić i ogrzewać. Czasem w nocy szeptała jej do ucha: „Otwórz usta!”, a gdy Priska rozchyłała drżące z zimna wargi, Edita podawała jej cudem zdobyty kawałek surowego ziemniaka lub odrobinę czarnego chleba. Priska wspominała potem, że były to „najpyszniejsze kąski, jakie w życiu jadła”. Nie miała pojęcia, jakim sposobem w podłych warunkach obozu jej opiekunce udawało się zdobyć te drogocenne smakołyki, była jednak pewna, że bez nich by nie przeżyła.

Przez całą dobę więźniarkom dokuczały wszy, które skrywały się w każdym szwie i wszystkich możliwych zakamarkach, a rozmnażały się zbyt szybko, żeby dało się je wytępić. Kobiety potrafiły spędzać po kilka godzin dziennie na wzajemnym iskaniu i rozgniataniu insektów między kciukiem i palcem wskazującym. Nie mogły się też powstrzymać od ciągłego drapania swędzących miejsc po ukąszeniach, co w połączeniu z brakiem opieki medycznej i podstawowej higieny prowadziło do zakażeń, nierzadko śmiertelnych. Kolejne sącące się rany powstawały wskutek spania na twardym podłożu, jak również przez to, że w wyniku niedożywienia i brudu skóra więźniarek była coraz słabsza.

Jako że w każdym baraku gnieździło się czasem aż osiemset kobiet, ich bezbronne ciała stale atakowały choroby szalejące w obozie. Biegunka i czerwonka były na porządku dziennym. W umieszczonej w oddzielnym baraku umywalni znajdowało się długie koryto, do

którego z kurków spływała podejrzanie brązowa woda. Nie było oczywiście szczoteczek do zębów ani choć kawałka mydła. Więźniarki o najdłuższym stażu pokazywały nowo przybyłym, jak szorować ciało piaskiem lub żwirem; niektóre kobiety obmywały sobie rany własnym moczem.

Do latryny wolno było chodzić tylko dwa razy dziennie. Składały się na nią dwa płytkie kanały przykryte długimi betonowymi pokrywami z pięćdziesięcioma ośmioma otworami. Gonione przez błoto kobiety miały tylko kilka minut, żeby zbiorowo załatwić swoje potrzeby fizjologiczne do dziur wysmarowanych odchodami. Podetrzeć się mogły tylko rękami, brudną słomą zabraną z pryczy lub skrawkami materiału oderwanymi z ubrania. Nieliczne więźniarki, którym nie zanikła menstruacja, nie miały prawie nic, czym mogłyby zatrzymać spływającą krew. Tym akurat Priska nie musiała się martwić, jako że w jej coraz bardziej wymizerowanym ciele jakimś cudem wciąż żyło dziecko.



Latryna w Auschwitz II-Birkenau

Gdy mijał czas na wizytę w latrynie, blokowe wrzeszczały „Weitergehen!”²³ i zaganiały więźniarki z powrotem do baraku, gdzie miały czekać do następnego apelu. Kobiety z trudem szły przez zachłanne błoto, starając się nie pogubić butów, od których mogło

zależać ich przetrwanie.

Za każdym razem, gdy wypuszczano je na zewnątrz, coraz bardziej zrozpaczona Priska rozglądała się po obozie z nadzieją, że gdzieś w oddali mignie jej ukochany Tiborko. Widziała jednak tylko setki nieużywanych kominów sterczących z ustawionych rzędami baraków, wieże strażnicze zwane „bocianami” oraz smugi gęstego dymu bezustannie wydobywające się z pieców.

Tibor jej mówił, żeby myślała tylko o pięknych rzeczach, ale na czym miała zawiesić wzrok na tym wypłowiałym błotnistym pustkowiu otoczonym drutem kolczastym, gdzie przez warstwę żółtej gliny nie przebijało się ani jedno źdźbło trawy? W zatęchłym powietrzu unosił się swąd śmierci; obóz ciągnął się aż po horyzont. Pod rozległym sklepieniem nieba kołysały się brzozy, słońce jednak świeciło zbyt blado, żeby przeniknąć ponurą rzeczywistość, a ptaki opuściły ten zapomniany zakątek, w którym panowała teraz hucząca w uszach cisza. Gdzie się podział cały świat?

W tym konglomeracie specjalizującym się w niszczeniu ludzkiego ducha otaczały ją bezkształtne zjawy o wymizerowanych twarzach pozbawionych wyrazu. Ludzie wywiezieni ku nicości i skazani na życie w nieludzkich warunkach stawali się cieniami samych siebie, na wpół oszalałymi i już w połowie martwymi. W ich oczach przeważnie nie tliły się nawet resztki nadziei. Śmierć wydawała się nieunikniona, więźniowie

często budzili się obok trupów – co zresztą czasem próbowali ukrywać w nadziei, że zdobędą dzięki temu dodatkowe porcje żywności.

Boleśnie stęskniona za domem i spragniona choć odrobiny piękna i delikatności, Priska zaczęła pomału rozumieć, że jej nadzieje na przetrwanie są absurdalnie naiwne. Dręczyły ją głód i pragnienie, swędziały miejsca po ugryzieniach insektów i ledwo mogła wytrzymać smród własnego ciała – trudno jej było uwierzyć w to wszystko, co się wydarzyło od chwili, gdy wraz z mężem musiała opuścić dom. Gdzie się podziało jej dawne cudowne życie? Wspominała dzieciństwo spędzone w Żółtych Morawcach, pomaganie Gizce w nauce i opychanie się ciastkami na schodach cukierni. Wracała myślami do szczęśliwych chwil, gdy wraz z Tiborem delektowała się tortem Sachera w zadymionych kawiarniach w Bratysławie, w otoczeniu ludzi inteligentnych i pełnych wigoru, albo siedziała cicho obok męża, który pisał coś w notatniku i wypuszczał aromatyczny dym z jednej ze swoich fajek. Niewyobrażalny plan Hitlera pożarł jej dawne życie, które teraz jawiło jej się jako odległe zamazane wspomnienie.

Była tak otępiała i potwornie przerażona, że w pewnym momencie mało brakowało, a poddałaby się otaczającej ją beznadziei i pozwoliła, aby los ją pochłonął wraz z setkami innych ludzi. Okazało się jednak, że jak

na kobietę, która trzykrotnie poroniła, miała w sobie zaskakującą determinację, żeby wydać na świat dziecko rosnące w jej łonie. Nie miała pojęcia, czy jej się uda. Pragnęła choć raz jeszcze zobaczyć się z mężem – niezależnie od tego, co później się z nimi stanie.

Mężczyzn w Birkenau trzymano z dala od bloków kobiet, w barakach po drugiej stronie rozległego obozu. Choć od czasu do czasu zdarzało się, że mężczyźni w pasiakach wykonywali różne niewdzięczne prace (jak na przykład czyszczenie latryn) w sektorach kobiet, nosili oni zwykle różowe trójkąty, co znaczyło, że są homoseksualistami – tak więc nadzieje Priski były całkiem jałowe. Zaczęła się obawiać, że jej mąż już „poszedł z dymem” albo został przewieziony gdzieś indziej. Upływały kolejne dni, a jej nadzieja pomału gasła.

Wówczas jednak pewnego popołudnia Bóg – do którego zwracała się co noc przed zaśnięciem – w końcu odpowiedział na jej modlitwy. Przez zasieki z drutu kolczastego nagle dostrzegła Tibora, który wraz z niewielką grupką mężczyzn przechodził właśnie obok jej bloku. Natychmiast go poznała, choć bardzo się zmienił – był mocno wychudzony i niesamowicie błydy.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ryzykując, że zostanie zastrzelona lub zakatowana, podbiegła w chodakach przez błoto do ogrodzenia (wiedząc, że jest ono pod napięciem, zachowała bezpieczną odległość) i zdołała zamienić z mężem kilka słów, zanim ich

zauważono.

Tibor – z którym przecież jeszcze kilka tygodni wcześniej świętowała jego trzydzieste urodziny – wyglądał jak starzec. Na widok żony ogarnęła go wielka radość. Mówił jej, że cały czas modli się gorąco, żeby ona i dziecko ocaleli. „Tylko to mnie trzyma przy życiu!” – wołał.

„Nie martw się, ja wrócę! Damy radę!” – odpowiedziała mu Priska, która nagle poczuła przyływ sił. Ich rozmowę brutalnie przerwano i pognano każde z nich w głąb ich sektorów. Na drogę otrzymali nową porcję sieniaków.

Spotkanie z Tiborem było dla Priski cudem. Świadomość, że jej mąż wciąż żyje, bardzo podniosła ją na duchu. Myśl o tym, że może go znów zobaczyć, stała się dla niej ogromnym pocieszeniem. W jej głowie wciąż rozbrzmiewały jego pełne wiary słowa. Gdy leżała tej nocy na pryczy, ściśnięta między Editą a innymi kobietami, poczuła jeszcze większą niż dotąd determinację, żeby ocalić swoje dziecko. Przecież wojna na pewno się skończy, zanim mała Hanka czy Miško przyjdzie na świat...

Nim została z Tiborem wywieziona z Bratysławy, zdążyła jeszcze usłyszeć w radio (którego słuchali ukradkiem u znajomych) krzepiące wiadomości, że naziści są już w defensywie. Francja została wyzwolona, a alianckie wojska sowieckie i amerykańskie otaczały

Niemców coraz ściślej. Priska mówiła więc sobie, że najdalej za kilka tygodni zostaną wyzwoleni, a wówczas wraz z mężem i nienarodzonym jeszcze dzieckiem wrócą do domu i zaczną odbudowywać swoje brutalnie przerwane życie. Kładąc dłonie na brzuchu, obliczała w myślach, kiedy narodzi się dziecko. „Zaszłam w ciążę 13 lipca 1944 roku, wiedziałam więc dokładnie, kiedy upłynie dziewięć miesięcy” – opowiadała.

Termin porodu wyliczyła na 12 kwietnia 1945 roku. Wbiła sobie tę datę mocno w pamięć i postanowiła, że niezależnie od rozwoju wydarzeń będzie chronić dziecko w swoim łonie i zrobi wszystko, żeby przeżyć przynajmniej do chwili, gdy przyjdzie ono na świat. Dzięki temu, że przez pierwszych pięć lat wojny udało jej się żyć na dość przyzwoitym poziomie, wciąż była silna i zdrowa. Wiedziała też, że jej mąż nie zginął, że ją kocha i że modli się o jej ocalenie.

Obiecała mu, że dadzą radę, musiała więc dotrzymać słowa.

Trzymała się tej nadziei aż do szarego świtu w okolicach 10 października 1944 roku, kiedy wraz z pozostałymi więźniarkami kolejny raz musiała stanąć oko w oko z doktorem Mengelem, który mógł według swojego kaprysu zdecydować o jej losie. Jak zawsze uśmiechnięty, tym razem uderzał szpicrutą w swoje wypucowane oficerki i od niechcienia kierował ją to na prawo, to na lewo. Wybierał najzdrowsze kobiety – do

ciężkich robót. W porównaniu z więźniarkami, które spędziły wcześniej kilka lat w gettach lub innych obozach, Priska wciąż miała jeszcze błyszczące oczy i wyglądała całkiem zdrowo. Stanowiła doskonały „materiał”. Zanim zrozumiała, co się dzieje, jednym ruchem szpicruty skierowano ją na bok, a potem wepchnięto w grupę kobiet uznanych za nadające się do pracy. Od jej przyjazdu do Auschwitz minęło dziesięć dni.

Wyselekcjonowane więźniarki otrzymały po kawałku chleba i po chochli zupy, po czym nagle załadowano je z powrotem do wagonów towarowych długiego pociągu, złowieszczo czekającego na torach.

Gdy z trzaskiem ryglowano drzwi, kładąc ostateczny kres nadziejom Priski na ponowne spotkanie z mężem, wykrzykiwała w duchu jego imię. Wielka czarna lokomotywa ze świstem wyrzucając kłęby pary, ruszyła. Wiozła Priskę z piekielnych kręgów Auschwitz ku nieznannej przyszłości.

Rachela

Na nazistowską maszynę śmierci składały się wciąż te same codzienne procedury. Rachelę i jej siostry spotkało mniej więcej to samo, co pozostałe kobiety, które przywieziono na kraniec linii kolejowej w Auschwitz późnym latem lub jesienią 1944 roku.

Gdy pociąg z Łodzi ze szczękiem zatrzymał się na bocznicy w Birkenau, otwarto drzwi wagonów. Siostry

oślepiło światło. Wyciągnięto je prosto na rampę (kończyny miały całkiem zdrętwiałe po wielogodzinnej jeździe bez możliwości ruchu) i wepchnięto w tłum krzyczących i płaczących ludzi. Były tak przerażone, że nie wiedziały, co się dzieje. Zaraz jednak skierowano je na bok i popędzono do budynku Sauny, gdzie kazano im się rozebrać. Poganiane ciosami i przekleństwami, musiały pozbyć się wszystkich rzeczy przypominających im o dawnym życiu.

Kobiety stały z rękami uniesionymi w górę, a dozorcynie obcęgami wyrywały im z uszu kolczyki i brudnymi rękami ściągaly pierścionki z palców oraz zegarki z nadgarstków. „Tam, dokąd was wyślą, nie będą wam potrzebne” – szydziły.

Następnie dokonano inspekcji uszu, oczu i intymnych części ciała, a potem zaczęło się golenie. „Byłyśmy jak przerażone owce” – opowiadała Sala. „Gdy nas ogolono, nie rozpoznałam własnej siostry. Powiedziałam jej, że nie wyglądamy już jak ludzie. Miałam na sobie naszyjnik, który zrobiła dla mnie przyjaciółka. Byłam na tyle głupia, że nawet nie próbowałam go schować, więc jedna z dozorczyń zerwała mi go z szyi. Te okrutne kobiety nawet z nami nie rozmawiały. Potem wypędzono nas na zewnątrz. Umierałyśmy ze wstydu”. „Ogolono nam głowy, polano jakimś środkiem dezynfekcyjnym, a potem kazano nam wyjść na zewnątrz przez drzwi na drugim krańcu pomieszczenia” – mówiła Rachel. „Esesmani

chodzili i nas oglądali. Jak oni na nas patrzyli! Wybierali zdrowe młode kobiety. Nie było wśród nas dzieci ani matek. Tylko zdrowe kobiety zdolne do pracy”.

Nagie, ogolone i skrajnie upokorzone kobiety wyglądały teraz niemal identycznie – były w tym samym wieku, podobnego wzrostu i budowy, nie miały widocznych ułomności ani chorób skóry. Esesmani przyglądali im się i oceniali, która się nada do morderczej pracy.

Drżąc z zimna i ze strachu, Rachela czekała na swoją kolej i obserwowała, jak przystojny esesman, którego widziała wcześniej na rampie, ścisną każdą z kobiet pierś. Więźniarki uznane za ciężarne odciągano na bok. Rachela podejrzewała już, że jest w ciąży, nie miała jednak pewności. Wyczuwała, że wyznanie tego mogłoby się okazać fatalnym błędem. Choć nie wiedziała nawet, czy jest już gotowa na dziecko, musiało być jej trudno publicznie zaprzeczyć jego ewentualnemu istnieniu.

Dopiero gdy doktor Mengele w końcu ją minął, nie kwestionując jej deklaracji, Rachela uświadomiła sobie z bólem, że nie miała okazji podzielić się radosną wiadomością z mężem ani z ukochaną matką. A teraz bała się wyznać prawdę siostrze, bowiem to by je obciążało. Sala, Bala i Estera stały gdzieś pośród rzędów drżących kobiet przypominających manekiny; przechodziły ten sam proces selekcji. Z szeregów wyciągano na bok kolejne słabe, niedożywione kobiety.

Pomimo kilku lat spędzonych w łódzkim getcie, siostry Abramczyk wciąż wyglądały młodo i zdrowo; miały w sobie znacznie więcej życia niż wiele ich współtowarzystek, którym przez cienką skórę prześwitywały kości.

Jak zawsze uśmiechnięty doktor Mengele zakwalifikował wszystkie cztery do ciężkich robót, dołączyły więc do grupy przeznaczonej do natychmiastowego transportu do obozu niewolniczej pracy. Biczami pognano je z powrotem do budynku, gdzie dostały absurdalnie niedopasowane części garderoby, wybrane na chybił trafił ze sterty odzieży pozostawionej przez kobiety z poprzedniego transportu, które zapewne jeszcze przed chwilą miały je na sobie, a teraz gdzieś zniknęły. Tak jak w przypadku wszystkich innych grup przechodzących przez Saunę, funkcyjne wygrzebywały rzeczy w sposób chaotyczny, nie zwracając uwagi na fason ani rozmiar. Wśród ubrań (stanowiących jedyny ślad po dawnym życiu ich byłych właścicieli) znajdowały się dziewczęce sukienki, kombinezony robocze, kapelusze z piórami, a nawet ubranka dziecięce. Niektóre z więźniarek dostawały suknie koktajlowe z odkrytymi plecami, a do tego wielgachne męskie buciory. Innym rzucono koszule nocne albo letnie bluzeczki. Mało kto miał tyle szczęścia, żeby otrzymać bieliznę lub coś, co mogło za nią służyć. Większość kobiet musiała się obyć bez spodniej odzieży, co było dla nich

szokującym doświadczeniem. Niełatwo też było chodzić w za dużych butach, w drewniakach typu holenderskiego lub w za ciasnych pantoflach na wysokim obcasie, które szybko stawały się narzędziem tortur.

„Miałam szczęście” – opowiadała Rachel. „Rzucono mi czarną sukienkę, chyba po jakiejś kalece. Miała odpinany karczek i była wielka jak namiot. Od razu pomyślałam, że bez trudu ukryję w niej rosnący brzuch, nikt nie będzie wiedział, co się pod nią znajduje. Potem dostałam jeszcze parę butów, w których ledwo chodziłam, ale musiałam je nosić”.

Siostrzom raz jeszcze udało się pozostać razem. Funkcyjne wyprowadziły je na zewnątrz i rozdając ciosy na prawo i lewo, ustawiły je w pięciu równych szeregach na placu apelowym. Więźniarki stały sztywno na baczność w otrzymanej przed chwilą dziwacznej garderobie i czekały na kolejny etap koszmaru. Patrzyły, jak pozostałe gonione są ku barakom lub może w gorsze miejsce. Zaczął wiać ostry wiatr, zwiastujący początek jednej z najsroźszych zim w historii Europy. Kobiety zastanawiały się, co je jeszcze czeka i czy kiedykolwiek zdołają uciec z tego piekła.

Los im sprzyjał o tyle, że Niemcy nie mieli czasu do stracenia. Pod koniec 1944 roku wiedzieli już, że przegrywają wojnę, a ponieważ większość mężczyzn służyła w wojsku, to wciąż brakowało rąk do pracy w przemyśle zbrojeniowym i innych gałęziach

gospodarki. Podobnie jak wcześniej w gettach, Niemcy zdawali sobie sprawę, że każdego zdrowego więźnia, nawet Żyda, można przed zabiciem wykorzystać do pracy. Fabryka, do której wysyłano teraz kobiety z Auschwitz, produkowała części do samolotów, niezbędne do dalszych ataków lotniczych na aliantów. Niemcy na początku wojny świetnie sobie radzili w walce powietrznej. Choć wskutek postępu technicznego obie strony konfliktu dysponowały sprzętem siejącym zniszczenie w skali dotąd niespotykanej, początkowo to właśnie Luftwaffe zyskało przewagę w powietrzu – głównie dzięki wykorzystaniu ogromnej liczby samolotów produkowanych przez wytwórnie takie jak Messerschmitt, Junkers, Heinkel i Focke-Wulf. Ta „latająca artyleria” Hitlera potrafiła skutecznie wspierać w walce oddziały lądowe, jednak po porażce, jaką okazała się bitwa o Anglię, niemieckie lotnictwo wojskowe zaczęło notować kolejne dramatyczne straty. Pod Stalingradem naziści stracili około dziewięciuset samolotów. Trzeba więc było wciąż produkować nowe maszyny – i to w szybkim tempie. Ludzi uznanych za zdolnych do pracy kierowano do niemieckich zakładów, a jeśli ktoś sobie nie radził, po prostu się go pozbywano.

Tymczasem oszołomione kobiety w Birkenau, nic nie wiedząc o zadaniu, jakie dla nich przewidziano, cierpiały pragnienie i wciąż czekały. Zaczynało się ściemniać, temperatura wciąż spadała. W oddali słyszały szczekanie

psów, krzyki zrozpaczonych ludzi, raz na jakiś czas serie z karabinów maszynowych. Przerażonym więźniarkom trudno było ogarnąć umysłem sytuację. Kazano im stać bez ruchu, a esesmanki i funkcyjne biły każdą, która zachwiała się na nogach lub błagała o wodę czy możliwość pójścia za potrzebą.

W końcu pozwolono im usiąść w zimnym błocie, a następnie otrzymały niewielkie porcje wodnistej brei. Szybko stało się jasne, że przydzielone im wspólne miski wcześniej służyły za nocniki. Pływająca w nich słonawa ciecz koszmarnie śmierdziała i zdawała się niejadalna, kobiety jednak zatykały nosy i zmuszały się do jej przełknięcia, żeby choć w ten sposób spróbować ugasić pragnienie. „Dostałyśmy jakąś zupę, ale nie było łyżek, więc jadłyśmy ją rękami” – wspominała Rachela, która pomimo wewnętrznego sprzeciwu wobec takiego barbarzyństwa poddała się wówczas instynktowi i w ten sposób zaspokajała głód.

Potem przez kilka godzin siedziały w ciemności i obserwowały dziwne szkarłatne łuny unoszące się w niebo nad kominami obozu. Staraly się nie wdychać wszechobecnej gryzącej woni palonego mięsa. Podchodziły do nich czasem starsze więźniarki i szeptały bezlitośnie: „Widzisz te kominy? Tu się gazuje ludzi, a potem się ich pali. Jeśli twoja matka poszła na lewo, to teraz jest właśnie tam”.

Początkowo wymęczone umysły kobiet nie przyswajały

tego rodzaju informacji. Usłyszane słowa wydawały im się zbyt koszmarnie, żeby mogły być prawdziwe. Później jednak zaczęło im świtać mrożące krew w żyłach przypuszczenie, że być może te powłóczące nogami zwiędłe istoty o szalonych oczach mówią jednak prawdę. Ze ściśniętym gardłem siostry myślały o tym, że niemal wszyscy członkowie ich rodziny zostali zaprowadzeni do gazu, a następnie spaleni. Od gryzącego dymu robiło im się niedobrze. Pogrążona w otępieniu Rachela nagle pomyślała, że jeśli naziści potrafią zgotować taki los niewinnym kobietom, mężczyznom i dzieciom, to przecież nie sposób sobie wyobrazić, co mogą zrobić noworodkowi. Poczula w brzuchu tak wielki strach, że ledwo mogła oddychać.

Jej obawa, że coś się stanie, jeśli jej ciąża zostanie wykryta, była w pełni uzasadniona. Esesmani zdawali sobie sprawę, że jakaś część z tysięcy kobiet zwożonych codziennie do Auschwitz z terenów okupowanej Europy z pewnością jest w ciąży. Te, u których łatwo dało się to rozpoznać, standardowo posyłano do komór gazowych. Ponieważ jednak wojna wciąż trwała, a do pracy potrzebowano młodych zdrowych kobiet, pojawiła się kwestia, co zrobić z tymi, po których nie od razu widać, że są ciężarne. Naziści założyli więc w Birkenau prymitywną klinikę aborcyjną, w której pracowali osadzeni w obozie lekarze. Wiele spośród więźniarek zmuszonych do poddania się aborcji w tak

nieprzyjaznych i niehigienicznych warunkach musiało pożegnać się z życiem. Nieliczne, którym udawało się ukryć ciążę, a nawet potajemnie urodzić, zwykle musiały patrzeć na śmierć swojego dziecka wskutek niedożywienia. Często tym, którym pozwolono doczekać terminu porodu, odbierano dzieci – albo umierały one z głodu, albo padały ofiarą eksperymentów. Doktor Mengele wraz z zespołem lekarzy poddawał bliźnięta, karły, dzieci i dorosłych (tak zwane „ludzkie zoo”) koszmarnym zabiegom, obejmującym sterylizację i kastrację, elektrowstrząsy i amputacje (wykonywane czasem bez znieczulenia). Zdarzało się, że obozowe lekarki nakłaniały matki do uśmiercania świeżo wydanych na świat dzieci, a tym samym do ocalenia własnego życia.

Potem jednak nastąpiła pozorna zmiana polityki SS – ogłoszono, że aborcje zostają wstrzymane, a ciężarnym kobietom przysługują dodatkowe racje żywnościowe i zwolnienie z uczestniczenia w licznych apelach (wkrótce okazało się, że obietnice były fałszywe; niemal trzysta ciężarnych kobiet trafiło do komór gazowych). W późniejszym okresie narodzone w obozie niżydowskie dzieci o aryjskim wyglądem wysyłano do specjalnego ośrodka, gdzie miały zostać zgermanizowane i oddane do adopcji bezdzietnym Niemcom. Dzieci, których nie odesłano do Niemiec, zwykle umierały z powodu chorób lub z głodu

i pragnienia. Niektóre gazowano lub wrzucano do pieców. Inne uśmiercano zastrzykami w serce. Około półtora tysiąca noworodków utopiono w wiadrze.

Rachela nie miała o tym wszystkim pojęcia, wiedziała jednak, że obóz w Auschwitz został stworzony do zabijania. Wciąż jeszcze nie mogły się z siostrami pogodzić z faktem zagłady pozostałych członków ich rodziny. Dowiedziały się też od innych więźniarek, że w komorach gazowych w obozie dla niepoznaki zainstalowane są prysznice. „Wcześniej czy później wszyscy wylecimy przez komin, tak jak nasi bliscy” – mówiły beznamiętnie obozowe weteranki. Kiedy więc kilka godzin później śpiące w błocie kobiety zostały szturchnięciami obudzone o świcie i skierowane do łaźni, ogarnęła je panika. Szlochając w rozpacz, szły jedna za drugą na spodziewaną śmierć. Każda trzymała dłoń na ramieniu poprzedniczki. Nic już nie widziały i przestały zwracać uwagę na swoją nagość. Wiele kobiet modliło się na głos i zawierało pakt z Bogiem, obiecywały, że jeśli pozwoli im przeżyć, staną się lepszymi ludźmi i poświęcą resztę życia na pomaganie innym. „Kazali nam wejść do sali, zobaczyłam prysznice” – opowiadała Sala. „Pomyślałam wtedy, że to koniec, że zaraz poczuję gaz. Ale tak się nie stało. Z góry poleciała woda, a my kolejny raz ocalałyśmy”.

Strumienie lodowatej wody splukały z nich strach i choć na chwilę przywróciły im nadzieję. Woda

oznaczała życie. A życie to *Arbeit*. Praca zapewniała przetrwanie. Wciąż jeszcze mokre kobiety spryskano środkiem dezynfekcyjnym o drażniącym zapachu i wyprowadzono na zewnątrz, gdzie rzucono im ich więzienne stroje, wydano im nieco zupy i po kawałku chleba, po czym pognano w kierunku torów kolejowych, którymi przyjechały do obozu nieco ponad dobę wcześniej. Oszołomione siostry kolejny raz w milczeniu wypełniały rozkazy, udało im się jednak pośród chaosu nadal trzymać się razem, aż wepchnięto je wszystkie po drewnianej pochylni do wagonu towarowego. Zaraz potem zatrzaśnięto drzwi i z potwornym szczękiem je zaryglowano.

W środku panował ścisk, półmrok i aż zapierało dech od stężonej woni potu, uryny i strachu, pozostawionej tam przez nieszczęśników, którzy pewnie chwilę wcześniej przyjechali ze świata poza drutami do Auschwitz, gdzie wielu z nich miało zostać zagazowanych i spalonych. Teraz zaś w wagonie znajdowało się około osiemdziesięciu kobiet. Ich oczy pomału przyzwyczajały się do braku światła. Nie miały pojęcia, dokąd jadą, ani co się z nimi stanie, jak już dotrą na miejsce. Podejrzywały, że przez kilka dni nie zobaczą nieba i nie będą mogły się ruszyć, panował bowiem ścisk, w którym nie było jak usiąść ani czym oddychać. Nie miały szans na odpoczynek czy sen. Czekały je kolejne cierpienia. Niektóre mogły tej podróży nie przeżyć.

Wiedziały jednak jedno – udało im się wyrwać z potwornego miejsca, gdzie człowiek wchłania nozdrzami dym z ciał swoich bliskich. Gdy były jeszcze w obozie, trudno im było sobie wyobrazić, że czeka je jeszcze jakieś życie „po Auschwitz”; nie miały nawet nadziei, że stamtąd wyjdą – oczekiwały raczej, że będą wdychać dym z krematoriów aż do swojego ostatniego tchnienia.

Wagonem szarpnęło, aż kobiety powpadały na siebie nawzajem, następnie koła z łoskotem zaczęły się toczyć, a labirynt zasieków z drutu kolczastego stopniowo się oddalał. Kobiety wstrzymały oddech, czekając, aż pociąg pomału wytoczy się z terenu naznaczonego nieludzkim okrucieństwem.



Tory prowadzące do Auschwitz II-Birkenau

Gdy pociąg już się rozpędził, Sala przepchnęła się do małego okienka, żeby w szarym świetle poranka popatrzeć na krajobraz rozciągający się za obozem. Można było odnieść wrażenie, że nagle otworzyły się wrota do innego świata: widziała sady pełne jabłek, pola, dorodne dynie i główki kapusty – i ludzi, którzy jak gdyby nigdy nic spokojnie zajmowali się roślinami. Roztaczające się przed nią widoki obejmowały wiele

hektarów ziemi uprawnej, na której więźniowie obozu pracowali w gospodarstwach rolnych prowadzonych przez Niemców. Podczas gdy w Auschwitz ludzie umierali z głodu, w niewielkiej odległości od elektrycznych zasieków rozpościerały się żyzne pola przynoszące obfite plony.

Nagle Sala zauważyła coś, dzięki czemu jej serce rozpromieniła nadzieja. Na jednym z pól pracowała kobieta wyglądająca dokładnie tak jak Fajga Abramczyk. Na myśl, że jej ukochana mama być może jednak przeżyła, Sala poczuła ogromną ulgę, ale też nieposkromioną falę emocji. „Zaczęłam krzyczeć: »Mamo! Mamo!«. Kobieta podniosła wzrok w górę, i ze zdziwieniem patrzyła na przejeżdżający pociąg. Nigdy nie zapomnę jej twarzy. Wyglądała zupełnie jak nasza matka” – opowiadała Sala.

Stojąca obok niej Rachela złapała młodszą siostrę za ramiona i uderzyła ją otwartą dłonią w twarz. Potem zachwiały się i zderzyły ze sobą, jako że pociąg wciąż przyspieszał, wywożąc je gdzieś daleko, gdzie nie krążyły już zjawy ich najbliższych.

Anka

Gdy Anka i Micka pasażerskimi wagonami trzeciej klasy przyjechały z Theresienstadt do Auschwitz II-Birkenau, były już w bardzo słabej formie, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Przez dwa dni podróży jechały ściśnięte z mnóstwem innych ludzi. Nie miały czym oddychać ani

jak się ruszyć. W wagonie unosił się smród niemytych ciał i ludzkich odchodów, a pasażerom nie zezwolono na otwarcie okien ani na podniesienie rolet. Nie było jedzenia ani wody. „Najgorsze ze wszystkiego było pragnienie” – opowiadała Anka.

Zanim jeszcze pociąg zaczął zwalniać, osoby wbrew zakazom podnoszące rolety i wyglądające na zewnątrz wypatrzyły kominy, z których buchał ogień. „Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, co to jest, ale wyglądało przerażająco” – mówiła Anka. „W powietrzu unosiła się woń, jakiej nigdy wcześniej nie czułam i nie potrafiłam z niczym skojarzyć. Nigdy jej nie zapomnę. Ale widok tych kominów był tak potworny, że nawet bez świadomości, co się tam dzieje, człowieka odrzucało”.

Kiedy w końcu pociąg się zatrzymał i otwarto drzwi, pasażerowie zaczęli wypadać z wagonów jak pijani. Natychmiast powstał straszliwy chaos. Słysząc było wrzaski: „*Raus! Schnell! Laufen!*”²⁴. Spanikowanych ludzi otaczali mężczyźni w pasiakach, którzy sprawiali wrażenie obłąkanych. Kazali im rzucić na ziemię bagaże, na których deportowani starannie malowali wcześniej swoje nazwiska. Przybyłych zapewniano, że rzeczy zostaną im oddane później, co oczywiście było nieprawdą.

„Psy czekały, ludzie krzyczeli” – opowiadała Anka. „Istne szaleństwo. Nikt nie wiedział, w którą iść stronę. Skłębiony tłum, jakby miliony ludzi. Musiało nas tam być

przynajmniej z tysiąc. Nie pamiętam, czy było jasno czy ciemno. Esesmani wrzeszczeli i bili każdego, kto się do nich zbliżył. To była apokalipsa. Wyczuwało się jakąś grozę, ale nikt nie wiedział, co się stanie”. Funkcyjni szybko oddzielili mężczyzn od kobiet, ale w ludziach przyzwyczajonych już do segregacji w getcie nie wzbudziło to specjalnych obaw. „Jechałam w jednym wagonie z kolegą, moim rówieśnikiem” – opowiadała Anka. „Znaliśmy się od dziecka. Powiedział: »No cóż, chyba musimy się pożegnać, bo idę teraz do mężczyzn, a ty do kobiet. Do zobaczenia po wojnie!«. Nigdy więcej już go nie widziałam”.

Obie grupy musiały się ustawić w kolejkach przed wysokim rangą esesmanem (tym samym co zawsze doktorem Mengelem), który kierował jednych na lewo, a innych na prawo. „Byłam młoda i zdrowa, więc poszłam na prawo” – wspominała Anka. „Wszystkie kobiety z dziećmi i ludzie powyżej czterdziestki... na lewo. Nie mogłam wówczas zrozumieć, jaki w tym jest sens. Ale był”.

Anka wraz z kilkoma koleżankami z getta dołączyła do grupy więźniarek, którym kazano ustawić się piątkami, a zaraz potem, zanim miały szansę złapać oddech, pognano je dalej. „Biegłyśmy przez to błoto, wśród tego smrodu, widząc te płomienie” – opowiadała Anka. „To było przerażające. Nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jakie to potworne miejsce. Nie da się tego

opisać”. Zostały zapędzone jak bydło na skraj obozu, do budynku Sauny, a następnie do rozbieralni, gdzie zastały już grupę na wpeł nagich kobiet. Nowo przybyłym również kazano zdjąć ubrania i rzucić je na stertę. Ostrzeżono je także, że kto się nie podporządkuje rozkazom, zostanie zastrzelony. Podobnie jak wszystkim innym kobietom, im też zdarto naszyjniki, kolczyki i pierścionki.

Przez wszystkie lata spędzone w Theresienstadt Ance udało się zachować skromną obrączkę i otrzymany od Bernda srebrny pierścionek zaręczynowy z ametystem. Chowała je czasem pod językiem lub w zaciśniętej dłoni. Jakimś cudem teraz w Birkenau znów udało jej się je ukryć przed świdrującym wzrokiem funkcyjnych i esesmanek.

Popędzono je do następnego pomieszczenia, gdzie siedziały nago, a mężczyźni i kobiety tępymi brzytwami kaleczącymi skórę golili im głowy. Anka próbowała powstrzymać łzy, widząc jak pukle jej włosów, tak niegdyś jedwabistych, spadały jej na kolana, a z nich na podłogę. Wszystkie włosy zamiatano potem miotłą z witek brzoźowych w wielokolorowy stos, przetykany zdobiaczami fryzury szpilkami, wstążkami i grzebieniami. Dla tych młodych kobiet, strzyżonych niczym owce, był to akt niesamowitego barbarzyństwa i utrata człowieczeństwa. Anka opisywała tę chwilę jako jedno z najgorszych doświadczeń. „Człowiek czuje się nie

tylko nagi, ale też skrajnie ponizony. Jak karaluch, którego można rozdeptać. Samo golenie nie bolało, ale to upokorzenie... Większość kobiet nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić, jak by wyglądały i jak by się czuły bez włosów, jeśli ich utrata nie byłaby wynikiem ich własnej decyzji”.



Włosy obcięte więźniarkom w Auschwitz

Gdy znów kazano im się ustawić w rzędach, Micka – która tylko na kilka chwil została rozdzielona z przyjaciółką – zaczęła rozpaczliwie krzyczeć: „Anka! Anka! Gdzie jesteś?”. Anka odpowiedziała: „Jeśli ty jesteś Micka, to stoję tuż obok ciebie”.

„Potem musiałyśmy biec nago na plac apelowy” – wspominała. „Patrzyli na nas mężczyźni, to było straszne. Bałyśmy się, choć nie wiedziałyśmy jeszcze, co

będzie dalej”.

Stały na wietrze i deszczu na apelu, połączonym z kolejną selekcją prowadzoną przez doktora Mengelego – znów udało im się ją przejść. Zakrywając piersi dłońmi, Anka marzyła o odrobinie ludzkiej godności. Widząc, że wszystkie kobiety są przeszukiwane pod kątem ukrytej biżuterii, upuściła pierścionek i obrączkę w błoto, a następnie ze łzami w oczach wdeptała je bosą stopą w miękką glinę. „Wrzuciłam je w błoto i pomyślałam sobie, że teraz już żaden Niemiec ich nie dostanie” – wyjaśniała potem. „Pękało mi serce, bo były to w tamtej chwili najcenniejsze dla mnie rzeczy, ale przynajmniej był to mój wybór, a nie ich... Być może ktoś je później znalazł, nie wiem”. Choć pożegnała się na zawsze z symbolami swojego związku z Berndem, miała przynajmniej poczucie, że w ten sposób dokonuje aktu nieposłuszeństwa wobec wroga. Postanowiła trzymać się odtąd tej drogi przy każdej możliwej okazji.

W końcu kazano im wrócić do budynku i powiedziano, że pójdą teraz pod prysznic. Nawet się ucieszyły, nie miały bowiem pojęcia, jaki alternatywny scenariusz może się kryć za takimi słowami. Z pryszniców tryskała nierównymi strumieniami zimna śmierząca woda, nie było mydła, żeby zmyć z ciała pot. Następnie mokrym jeszcze kobietom rzucono dziwaczne, bezkształtne ubrania z szorstkiego materiału, który drażnił im skórę. „Dali nam jakieś straszne szmaty” – opowiadała Anka.

„Jak któraś miała szczęście, to dostała buty. Mnie przypadły drewniaki”. Następnie popędzono je w stronę rzędów obozowych baraków. Biegając, czuły, jak w nozdrza wpycha im się ta sama niezdrowa woń, która stale unosiła się w powietrzu i najwyraźniej dochodziła z buchających płomieniami kominów.

Jedna z kobiet zwróciła się w jej stronę i spytała: „Dlaczego oni tu pieką mięso?”. Anka spojrzała na dziwaczne kłęby czarnego dymu, nie potrafiła jednak znaleźć odpowiedzi. „Byłyśmy już wtedy potwornie przerażone i zdezorientowane, a wszystko dookoła zdawało się jak ze złego snu, lecz niestety było prawdą” – mówiła Anka.

Ich barak przypominał gigantyczny kurnik. Za podłogę służyło klepisko, nie było okien, tylko dwa rzędy świetlików pod okapem. Przestrzeń wewnątrz podzielono drewnianymi przegrodami, w każdej mieściły się trzypiętrowe prycze bez materacy i koców. Budynek był już przepełniony. Przebywało w nim chyba z tysiąc kobiet, na jednej pryczy gnieździło się czasem aż dwanaście osób. Gdy nowe więźniarki weszły do środka, powitały je ludzkie jęki i koszmarny smród niemytych ciał. Nie wiedziały, gdzie mogą usiąść czy położyć się spać; zresztą w ogóle nie wiedziały, co mają tam robić.

Jedna z koleżanek Anki, która przyjechała z getta wraz z całą rodziną, rozpaczliwie rozglądała się w poszukiwaniu znajomych twarzy, nie mogła jednak

dostrzec nikogo ze swoich bliskich. W końcu spytała jedną z kobiet: „Co się tutaj dzieje? Kiedy zobaczą się z rodzicami?”. Zajmujące barak więźniarki wybuchły tak histerycznym śmiechem, że Anka uznała je za obłąkane. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie trafiła do domu wariatów. A może to straszne miejsce doprowadza ludzi do obłądu? Jedna ze starszych kobiet jęknęła złowieszczo: „Same zobaczycie! Och, co wy jeszcze zobaczycie!”. Inna szaleńczo zarechotała: „Ty głupia krowo! Już dawno wyszli stąd kominem! Wszyscy zresztą tamtędy stąd wyjdziemy i wtedy się z nimi zobaczysz!”.

Anka utwierdziła się w przekonaniu, że to wszystko wariatki. „Szybko jednak zdałyśmy sobie sprawę, że to one mają rację, a nie my... Wówczas już wiedziałyśmy, co się dzieje w obozie: palą ludzi w piecach”.

Nowo przybyłe wcisnęły się na prycze tam, gdzie się jeszcze dało, próbując przy tym wciąż trzymać się razem. Anka i Micka wepchnęły się w miejsce między dwoma cuchnącymi ciałami, w którym byłoby ciasno nawet dziecku. Leżąc na twardych deskach, próbowały ogarnąć umysłem wszystko to, co się wydarzyło, odkąd opuściły getto, które z obecnej perspektywy wydało im się oazą luksusu. Niektóre z kobiet płakały, pozostałe jednak leżały w milczeniu skrajnie wyczerpane lub sparaliżowane strachem przed blokowymi sprawującymi kontrolę nad barakiem.

„Też były więźniarkami, tak jak my, tyle że spędziły już

w obozie trochę czasu i osiągnęły wyższą pozycję” – tłumaczyła Anka. „Niektóre były w porządku, inne jednak zachowywały się gorzej niż esesmanki. Czasem rzuciły jedno słowo, czasem dwa, aż w końcu zrozumialiśmy, że ludzie skierowani na lewo zostali zagazowani zaraz po naszym przybyciu. Moi rodzice, Petr, wszyscy, którzy tu trafili przed nami, skończyli w komorze gazowej”.

Podczas gdy Anka próbowała zrozumieć to wszystko, co nie mieściło jej się w głowie, kobieta imieniem Hannelore, która przyjechała razem z nimi, zaczęła nucić popularną niemiecką piosenkę. Zanim Hitler doszedł do władzy, była zawodową wokalistką, tego wieczoru chciała więc coś zaśpiewać, żeby podnieść współtowarzyszki na duchu. Osiągnęła jednak efekt wprost przeciwny do zakładanego, a zebrane w baraku kobiety zaczęły na nią krzyczeć, żeby przestała. „To był koniec świata” – opowiadała Anka. „Słuchanie piosenek wydawało nam się wtedy równie przyjemne jak wycieczka do komory gazowej”.

Kilka godzin po przyjeździe nowych więźniarek funkcyjne przyniosły brudne metalowe kotły, a następnie chochlami rozlały do misek porcje oleistej wody, którą nazywały zupą. Na cztery więźniarki przypadała jedna nieumyta miska, bez łyżek. „Byłyśmy tak oziębiały, przerażone i oszalałe, że żadna z nas nie czuła głodu, przynajmniej w tych pierwszych godzinach” – relacjonowała Anka. Nie rozumiejąc jeszcze, że w obozie

nie ma co liczyć na jakiegokolwiek inne jedzenie, nowe więźniarki początkowo odmawiały jedzenia tego posiłku. Przebywające dłużej w obozie Polki natychmiast rzuciły się na pozostawione porcje i wychłeptały je z misek jak zwierzęta.

Lisa Miková, która przyjechała w tym samym transporcie co Anka, tłumaczyła: „Polki nie mogły uwierzyć, że nie jemy. Pytały: »Nie chcecie jeść?«, a my odpowiedziałyśmy, że nie, bo jedzenie jest wstrętne, a miski brudne. Ale się z nas śmiały! Spytały, czy mogą dostać nasze porcje. Zobaczyłyśmy wtedy, jak strasznie są wygłodniałe. Wylizywały nawet puste już miski, na których został tylko zapach jedzenia. Następnego dnia przynieśli tę samą zupę, a my znów się zawahałyśmy. A one powiedziały nam: »Też kiedyś jadłyśmy nożami i łyżkami, to było dla nas normalne. Ale to nie jest normalne miejsce. Jeśli nie będziecie jeść, zaczniecie szybko tracić na wadze, a potem straciecie ochotę do życia i poumieracie«. Na podstawie tego, co widziałyśmy dookoła, łatwo było to sobie wyobrazić. Zaczęłyśmy więc jeść to obrzydlistwo”.

Przez pierwszych kilka nocy mało której udało się zasnąć. Jeśli nawet zapadały w końcu w sen, przed świtem były brutalnie budzone i wypędzane z baraku na apel przez blokowe dzierżące w dłoniach pałki. Kazano im się rozebrać. Potem godzinami stały w rzędach na zimnie, w ciemności. Wielokrotnie je sprawdzano, chyba

tylko po to, żeby się nad nimi znęcać, bo trudno było znaleźć jakiś inny powód. Nieraz je bito i nazywano „żydowskimi świniami” albo opluwano. Wiele kobiet wyciągnięto z rzędu i popędzono w nieznane. „Żeby dotrzeć na plac apelowy, musiałyśmy przejść kawał drogi, brnąc przez błoto” – opowiadała Anka. „A nad nami wciąż górowały kominy, z których buchały płomienie. To było istne piekło... Pomału zaczynało do nas docierać, co się tam dzieje”.

Stojąc na placu apelowym w oczekiwaniu na decyzję o życiu lub śmierci, Anka cieszyła się, że ma na nogach buty, chociaż były one niedopasowane, a chodzenie w nich sprawiało ból. Kobiety ich pozbawione trzęsły się z zimna i rozpaczy. Nie dało się przeżyć, nie mając na nogach nic, co by je chroniło przed zimnym mokrym błotem, którego grube warstwy stanowiły podłoże obozu. Jako że i tak była już skrajnie przemarznięta, postanowiła ani na chwilę nie rozstawać się ze swoimi chodakami. Szybko opanowała też kilka innych sposobów na przetrwanie: przede wszystkim sztukę pozostawania niewidzialną, opuszczania głowy i wtapiania się w tło, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Pośród więźniarek panowały wyraźne podziały, w dużej mierze przebiegające po linii wschód–zachód: więźniarki z Polski, Rumunii czy Węgier trzymały się razem, podobnie jak te, które przyjechały z Niemiec, Austrii i Czech. Podczas snu ludziom często kradziono buty,

jedzenie i odzież. Z powodu atmosfery napiętej do granic możliwości, często dochodziło do awantur, w które łatwo było zostać wciągniętym.

„Im dłużej człowiek przebywał w obozie, tym lepiej umiał sobie radzić, żeby przetrwać” – tłumaczyła Anka. „Każda z nas robiła, co mogła, żeby nie urazić któregoś z Niemców, żeby być jak pełznąca gdzieś z boku mrówka, coś zupełnie pozbawionego znaczenia. Liczyło się to, żeby jakoś przeżyć dzień bez narażenia się na atak”. Było jej trochę łatwiej niż wielu innym kobietom, ponieważ rozumiała polecenia wydawane po niemiecku i potrafiła na nie reagować szybciej niż osoby nieznające tego języka. Miała też szósty zmysł, ostrzegający ją przed towarzystwem osób dwulicowych lub potencjalnie niebezpiecznych, a także potrafiła wyłączyć myślenie na temat tego, co przyniosą kolejne godziny, i skupić się na przeżyciu bieżącej chwili.

„Strach bywał obezwładniający, trzeba było jednak sobie radzić, cokolwiek się działo” – relacjonowała. „Znów często wspominałam, jak Scarlet O’Hara w *Przeminęło z wiatrem* mówiła: »Pomyślę o tym jutro«. Sama robiłam to samo”.

Anka spędziła kolejnych dziesięć dni w tym piekle na ziemi, gdzie dzień w dzień wdychała dym z palonych ciał. W miejscu, gdzie zatracano się poczucie czasu, wydawało jej się, że minęło sto lat. Żyła z godziny na godzinę, nie wiedząc, co się z nią dalej stanie. „Człowiek cały czas się

boi, dwadzieścia cztery godziny na dobę” – tłumaczyła. Oprócz czerstwego, suchego chleba, wydawanej rano mdłej mikstury zwanej kawą oraz wodnistej zupy w południe, nie było czym napęlić brzucha. W całym obozie nie rosło nawet źdźbło trawy – nic, co by można zjeść. Tysiące więźniów umierały z powodu chorób i głodu. Wydawane im pożywienie powodowało skurcze żołądka i biegunkę, a ludzie ci po raz pierwszy w życiu nie mogli iść do toalety wtedy, gdy tego potrzebowali. Anka opowiadała, że niemal wszyscy cierpieli na czerwonkę. „Można sobie wyobrazić, jak to wyglądało i jak śmierdziało... Ludzie czuli się strasznie, a nie mieli nawet możliwości, żeby się umyć. Było mi bardzo trudno się z tym pogodzić. Tylko ciąża trzymała mnie przy życiu”.

Dostęp do wspólnych betonowych latryn był ograniczony, a w dodatku esesmanki były tam więźniarki pałkami lub kłuty widłami i krzyczały: „*Schneller! Scheisse!*”. Anka do końca życia nie mogła już zapomnieć upokarzającej „zabawy”, jaką urządzały sobie Niemki, szturchając kobiety po plecach, podczas gdy te pośród błota i koszmarnego smrodu usiłowały się wypróżnić. „To była dla nich rozrywka, nie dać się ludziom w spokoju załatwić” – mówiła Anka. – „Przychodziły całą grupą i mówiły, że teraz pośmieją się z Żydówek, które robią to, co robią. To było strasznie poniżające”.

Apele, na które wzywał więźniarki dźwięk dzwonka,

odbywały się o świcie i o zmierzchu, a w międzyczasie dokonywano kolejnych selekcji. Arytmetyka obozu śmierci była bardzo złożona: zanim zliczono wszystkich więźniów i wprowadzono dane do rejestru, czasem mijały nawet trzy godziny. Gdy zjawiała się ekipa lekarzy, którzy podczas selekcji nonszalancko palili papierosy, stojące przed nimi kobiety umierały ze wstydu. „To było po prostu straszne, w ubraniach czy bez” – opowiadała Anka. „Byłyśmy głodne i przerażone, a tu znów kierowano nas to na lewo, to na prawo. Wiedziałyśmy już wtedy, co to oznacza. Od czwartej nad ranem stałyśmy na deszczu i wietrze. Cały czas się bałam, że następnym razem padnie na mnie. Gdyby się dowiedzieli, że jestem w ciąży, nie byłoby innej możliwości”.

Anka odbyła co najmniej dwanaście takich apeli. „Oni nie widzieli w nas ludzi” – tłumaczyła. – „Interesowało ich jedynie, czy jesteśmy na tyle zdrowe, żeby móc pracować”. W głowie stale huczały jej pytania: „Czy mi się uda? Czy i tym razem przejdę?”. „Człowiek myśli wówczas tylko »ja, mnie, moje«” – mówiła. „A jeśli w grę wchodzi życie lub śmierć, to się wybiera życie. Nie można nic zrobić, żeby je otrzymać, ale czuje się ulgę, jeśli samemu idzie się na jedną stronę, a ktoś inny idzie na drugą. Nie zajmujesz się wówczas losem tych innych ludzi, tylko tym, że to ty dostajesz szansę przeżycia”.

Jeśli z powodu choroby lub śmierci ktoś się na apelu nie stawił, więźniowie musieli stać godzinami, słaniając

się na nogach ze zmęczenia, dopóki nie ustalono, dlaczego liczby się nie zgadzają. Ciężarna Anka, wyczerpana i osłabiona w wyniku spożywania zaledwie około tysiąca kalorii dziennie, starała się podczas tych niekończących się porannych i wieczornych apeli nie zasłabnąć, co się przydarzało wielu kobietom. „Jeśli któraś zasłabła lub miała oznaki choroby, wysyłano ją prosto do komory gazowej” – tłumaczyła. – „Kiedyś zasłabłam, bo byłam w ciąży, zmarznięta, przestraszona i głodna, ale koleżanki mnie podniosły i przytrzymały, dzięki czemu ocalałam. Wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy. Bo w Auschwitz nie wolno było chorować. Chorzy trafiali do szpitala albo do komór gazowych, a czasem zabijano ich strzałem”.

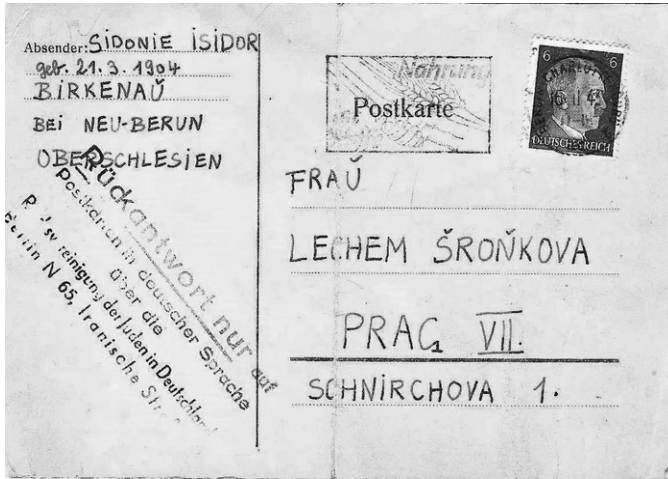
Pomimo omdlenia Ance znów udało się więc przeżyć kolejny dzień.

Tak jak Priska tęskniła za Tiborem, Anka również nie mogła się doczekać, kiedy znów Bernd ją weźmie w ramiona. Została jej tylko nadzieja – że jutro będzie lepiej, że nie zachoruje, że nie straci dziecka, że wyjdzie z obozu żywa. Zastanawiała się, czy Bernd, który tydzień przed nią trafił do obozu, też przechodził równie szokującą aklimatyzację, czy teraz zajmował pryczę gdzieś po drugiej stronie obozu i czy odchodził od zmysłów, martwiąc się o nią tak samo, jak ona martwiła się o niego.

Podobnie jednak jak Priska, Anka szybko się

przekonała, że mężczyźni trzymają się w obozie z dala od kobiet, a ich strefy oddzielone są trzymetrowymi betonowymi słupami i wieloma kilometrami drutu kolczastego. Nie była też w stanie niczego się dowiedzieć o pozostałych członkach swojej rodziny – rodzicach, dziadkach, ciotkach i wujkach. Nawet jeśli opowieści o komorach gazowych i kominach były prawdziwe, to przecież ci młodszy i zdrowszy mogli chyba ocaleć, tak jak ona?

Anka nie wiedziała jednak, że jej los nie był wcale typowy. Spośród około miliona trzystu tysięcy ludzi wysłanych do Auschwitz, zginęło milion sto tysięcy, w tym większość członków jej rodziny. Później się dowiedziała, że wielu z nich początkowo dało wiarę zapewnieniom, że będą mogli pozostać razem w tak zwanym obozie rodzinnym (*Familienlager*). Był to sektor stworzony w Birkenau latem 1943 roku, gdy esesmani spodziewali się, że przedstawiciele Czerwonego Krzyża po odwiedzinach w Theresienstadt będą chcieli przyjechać do Auschwitz z formalną wizytacją. W ramach nazistowskiej kampanii propagandowej wszystkie osoby przybywające z Theresienstadt były odtąd umieszczane w obozie rodzinnym, gdzie nie obcinano im włosów i pozwalano zachować własne ubrania i rzeczy osobiste.



Kartka pocztowa wysłana przez siostrę Anki Zdenę
z Birkenau,
ze słowem *lechem*, oznaczającym chleb

Nowych więźniów zmuszano nawet do pisania kartek do krewnych pozostających w swoich domach lub w gettach, żeby rozwiać coraz częstsze obawy związane z faktem, że deportowani nigdy nie kontaktowali się z bliskimi. Na jednej z takich kartek, wysłanych w październiku 1943 roku kuzynce Oldze, mieszkającej przy ulicy Schnirchovej w Pradze, siostra Anki Zdena napisała po niemiecku, zgodnie z wytycznymi: „Moi drodzy, jestem tu z mężem, siostrą i siostrzeńcem. Wszyscy mamy się dobrze i jesteśmy zdrowi. Całuję i pozdrawiam, Zdena Isidor”. Ryzykując życie, wpisała hebrajskie słowo *lechem* (czyli chleb) zamiast imienia Olgi

w pierwszej linijce adresu. Miała nadzieję, że kuzynka zorientuje się dzięki temu, że umierają z głodu. Rzeczywiście, zrozumiała aluzję i natychmiast wysłała paczkę do obozu, choć wątpliwe, żeby dotarła ona do Zdeny i jej rodziny.

Doktor Maurice Rossel, przedstawiciel Czerwonego Krzyża, rzeczywiście wówczas odwiedził Auschwitz, nie widział jednak z bliska baraków ani szpitala. Gawędził sobie za to z młodym esesmanem o sportach zimowych, a przed wyjazdem obiecał, że przyśle lekarstwa i papierosy. Ponieważ Czerwony Krzyż nie domagał się kolejnych wizyt, Niemcy zlikwidowali „obóz rodzinny”. Chronieni tak długo w „bezpiecznej przystani na oceanie koszmaru” ufni rodzice, dziadkowie i dzieci z Theresienstadt kolejny raz stracili grunt pod nogami. Nocą z 8 na 9 marca 1944 roku zagazowano trzy tysiące siedemset dziewięćdziesiąt jeden mężczyzn, kobiet i dzieci z Theresienstadt, co stanowiło największy masowy mord przeprowadzony na obywatelach czeskich. Tej nocy zginęli prawie wszyscy członkowie rodziny Anki. Przed śmiercią wiele osób śpiewało czeski hymn narodowy.

Po spędzeniu w Birkenau ponad tygodnia Anka całkiem zatraciła poczucie czasu. Nie miała już sił, żeby się zastanawiać nad losem swoich krewnych – nie potrafiła nawet się zmusić do myśli o dziecku rosnącym w jej brzuchu; jego obecność zwiększała przecież tylko

i tak stale obecne zagrożenie dla życia. Myślała tylko o tym, jak przetrwać następną selekcję, a przy tym cały czas starała się nie wdychać płatów popiołu latających złowieszczo po obozie. Rankiem 10 października 1944 usłyszała, jak doktor Mengele mówi do swoich podwładnych: „*Diesmal sehr gutes Material*”²⁵, podczas gdy dokonywał selekcji i obracał kobiety w przód i w tył, żeby je obejrzeć z obu stron. Kolejny raz nie zauważył jej ciąży i dał Ance prawo do życia.

Tego ranka, wciąż jeszcze naga, z ubraniem w rękę, wraz z grupą innych kobiet została skierowana nie z powrotem do baraku, ale do sporego, niskiego, ponurego budynku. Jeśli któraś ze strachu się zawahała, spadały na nią ciosy dozorczyń. „Czułyśmy się jak bydło prowadzone na rzeź” – wspominała Anka. Zastanawiała się: „A więc to jest to? To właśnie ta komora gazowa, o której nam mówili? Myślałam, że nas wybrali do pracy”. (Miała przy tym świadomość, że od natychmiastowej śmierci *Arbeit* różni się tylko tym, że zabija dłużej, morderczym wysiłkiem do ostatniego tchnienia).

Wewnątrz tego nieznanego im jeszcze budynku kazano im wziąć prysznic. Modlące się z resztkami nadziei kobiety zapędzono do łaźni, gdzie wszystkie ogarnęło to samo poczucie bezradności. Nie mogły uwierzyć, gdy z pryszniców poleciała lodowata woda, a nie gaz. Niektóre z kobiet wołały: „Woda! Życie!”. Nieco opłukane z brudu otrzymały jakąś odzież, a potem trochę

chleba i salami. Następnie szybko je pognano na kolejową rampę i załadowano do wagonów towarowych. Zaryglowano drzwi i pociąg z ponad pięciuset pasażerkami ruszył. Zostawiały za sobą piekielną czeluść o kwaśnej woni i mdlącym smaku.

Anka patrzyła przez szparę w ścianie bydłowego wagonu na pomarańczowo-czerwone płomienie buchające z kominów krematorium. Nie miała pojęcia, dokąd ją wywożą, ale po raz pierwszy od wielu dni ośmieliła się znów normalnie oddychać. „Wysyłano nas gdzieś indziej, co bardzo nas cieszyło, bo wiedziałyśmy, że gorzej już być nie może” – opowiadała. „Nie sposób sobie wyobrazić, jakie to uczucie opuszczać Auschwitz żywym! Czuliśmy się jak w niebie”.

Później często powtarzała, że chwila, gdy Auschwitz II-Birkenau zniknął jej z pola widzenia, była jedną z najszcześniejszych w jej życiu. To samo czuły Rachela i Priska. Żadna z nich nie zdawała sobie jednak sprawy, że życiu ich samych i ich nienarodzonych jeszcze dzieci nadal grozi wielkie niebezpieczeństwo w postaci głodu, chłodu i wyczerpania.

Freiberg



Fabryka we Freibergu, gdzie więźniarki wykonywały niewolniczą pracę

W nowo utworzonej fabryce zbrojeniowej w średniowiecznym miasteczku Freiberg w Saksonii, około czterdziestu kilometrów na południowy zachód od Drezna, Priska, Rachela i Anka zostały wpisane do nazistowskich rejestrów jako robotnice przymusowe.

Dwudziestopięcioletnia Rachela Friedman (więźniarka numer 53485) przyjechała do Freibergu pociągiem, który opuścił Auschwitz 31 sierpnia 1944 roku

z transportem 249 kobiet, głównie polskich Żydówek. Towarzyszyły jej siostry: Sala, Bala i Estera. Wszystkie cztery wciąż nie potrafiły się otrząsnąć z szoku po tym, jak zaraz po przyjeździe z Łodzi do Auschwitz zgładzono pozostałych członków ich rodziny.

Dwudziestośmioletnia Priska (wpisana do rejestru z numerem 54194 jako Piroska Löwenbein, słowacka Żydówka) przyjechała do Freibergu 12 października 1944 roku. W tym samym transporcie znalazło się około pięciuset Żydówek z Czech, Słowacji, Niemiec, Jugosławii, Holandii, Węgier, Polski, Włoch, ZSRS i USA, jak również sporo kobiet bez obywatelstwa. Prisce wciąż wiernie towarzyszyła jej nowa przyjaciółka Edita, która obiecała Tiborowi, że będzie się opiekować jego żoną. W tym samym transporcie znalazła się też dwudziestosiedmioletnia Anka (wpisana do rejestru z numerem 54243 jako czeska Żydówka Hanna Nathan), której towarzyszyła przyjaciółka Micka i kilka innych koleżanek z getta.

W międzyczasie do Freibergu dotarł jeszcze jeden transport, 22 września. Przywieziono nim 251 więźniarek, głównie polskich Żydówek. Kobietom z tych trzech transportów przypisano kolejne numery, co wskazuje na staranną koordynację działań przez obóz macierzysty we Flossenbürgu w Bawarii (któremu podlegała fabryka we Freibergu, jako podobóz zależny od centrali). Choć dla nazistów więźniarki nie miały twarzy

ani nazwisk, żadnej z około tysiąca kobiet i dziewcząt w wieku od czternastu do pięćdziesięciu pięciu lat, które wysłano do opuszczonej fabryki porcelany w samym centrum Freibergu, nie wytatuowano numeru na ramieniu. Na całym rządzonym przez nazistów terytorium tylko w Auschwitz tatuowano więźniów (rozpoczęto ten proceder w 1941 roku). Osób przeznaczonych do komór gazowych nie rejestrowano i nie tatuowano, tak więc ludzie bez tatuaży obawiali się o swój los.

„Widzialiśmy, że wszyscy inni mają tatuaże” – opowiadała Anka. „Ale nie potrafiłam sobie logicznie wytłumaczyć, dlaczego my ich nie mamy. Być może naziści wiedzieli, że albo mamy tam umrzeć, albo wyjechać do pracy w Niemczech czy gdzieś indziej, więc szkoda im było na to czasu”.

Zamknięte w wagonach towarowych kobiety jechały z Auschwitz dwie noce i trzy dni. Nie miały zbyt dużo do jedzenia, brakowało im też wody. O tym, czy jest noc, czy dzień, informował je tylko promyk światła przebijający się przez kratkę małego okienka. Więźniarki opierały się o siebie nawzajem lub kucaly w kącie wagonu, podciągając nogi pod brodę. Na zmianę korzystały z wiaderka, choć kosztowało je to wiele wstydu. W zależności od transportu niektóre z kobiet otrzymywały czasem kawę, chleb i zupę z kantyny urzędowej w jednym z wagonów. Inne, tak jak Anka, nie

dostawały nic.

Pociąg w końcu się wtoczył na ruchliwy dworzec towarowy we Freibergu. Wsiadły z niego ledwo żywe więźniarki. Następnie wagony zaczęto myć szlauchem, a lokomotywę przestawiono, żeby skład mógł ruszyć po następny ładunek. „Wyszliśmy z wagonów wyczerpane, głodne i strasznie spragnione, ale jednak żywe” – opowiadała Anka. „Z pragnienia traciłyśmy rozum. Nie sposób sobie tego wyobrazić... Spośród głodu, chłodu i pragnienia to ostatnie jest najgorsze. Wszystko inne da się znieść, ale człowiek spragniony zaczyna wysychać, w ustach czuje błoto, a z każdą chwilą jego stan się pogarsza. To nie do opisanania... Człowiek oddałby wszystko za łyk wody. W końcu jednak dotarliśmy na dworzec w Niemczech. Dali nam do picia coś, co miało zapach ambrozji, po prostu cudowny. Wiedziałyśmy już, że nie jesteśmy w Auschwitz, ale w cywilizowanym miejscu”.

54191	Holl. Szwajc.	Lischer	Wersa	22.5.11.	"	12.10.44 Freiberg
2	Tsch.	Liten	Hanna	10.1.23.	"	12.10.44 Freiberg
3	"	Liff	Klara	27.10.12	"	12.10.44 Freiberg
4	Slow.	Löwenbain	Praska	6.8.16.	"	12.10.44 Freiberg
5	Tsch.	Löwenthal	Suzana	24.2.23	"	12.10.44 Freiberg
6	"	Löwi	Wera	11.1.18.	"	12.10.44 Freiberg
7	"	Löwinger	Ami	11.8.24	"	12.10.44 Freiberg
8	"	Löwinger	Cipora	23.3.25	"	12.10.44 Freiberg

Priska – wpis do rejestru

Brudne, zaniedbane i przerażone kobiety patrzyły z nadzieją na czyste niebo bez kominów i kłębow dymu. Zdziwione, szły w górę Bahnhofstrasse przez średniowieczne miasteczko. „Panował tam taki błogi spokój” – mówiła jedna z więźniarek, czternastoletnia wówczas Gerty Taussig z Wiednia. „Na ulicach nikogo nie było. Wydawało nam się, że teraz już będzie lepiej. Myliłyśmy się”. „Zapach kwiatów i zieleń w mijanych parkach uderzały nam do głowy” – mówiła Priska.

Freiberg leży w Saksonii, blisko czeskiej granicy, u podnóża Rudaw. W okolicy powstało wiele kopalni srebra, cynku i ołowiu, a w osiemnastym wieku w mieście otwarto szkołę wyższą, gdzie uczono górnictwa i metalurgii. Pośród mieszkańców uchowali się tylko ci Żydzi, których małżonkowie byli Aryjczykami. Większość miejscowych Niemców pracowała w kopalniach lub w zakładach przemysłowych. W czasie wojny przez miasto przejeżdżały pociągi wiozące więźniów do gett, obozów koncentracyjnych lub obozów pracy. Kierowano tędy transporty z Auschwitz do obozów pracy w saksońskich miejscowościach Oederan i Hainichen. W samym Freibergu również wyładowywano więźniów z wielu transportów; kierowano ich do przymusowej pracy w kopalniach i przemyśle.

Ledwie garstka osób spośród populacji miasta liczącej trzydzieści pięć tysięcy starała się w jakikolwiek sposób pomagać nieszczęsnym więźniarkom żyjącym wśród

nich. Nikt nie zaoferował jakiegokolwiek pomocy kobietom z Auschwitz, które przez ponad pół godziny szły przez miasto, ślaniając się na nogach. Sala Abramczyk mówiła, że poniekąd ich rozumiała: „Ktoś, kto patrzył na nas z daleka, mógł pomyśleć, że przyjechałyśmy z domu wariatów albo że jesteśmy bandą prostytutek, morderczyń i innych kryminalistek” – tłumaczyła. „Bali się nawet na nas spojrzeć. Nie wyglądałyśmy jak normalni ludzie. Miałyśmy dziwaczną odzież, a na bosych nogach drewniaki”. Podobnie postrzegała to Priska: „Ludzie patrzyli na nas tak, jakbyśmy były zwierzętami z cyrku” – wspominała.

Decyzję o rozpoczęciu produkcji części do samolotów w opuszczonej fabryce w centrum Freibergu podjęły w 1943 roku nazistowskie władze w porozumieniu z przedstawicielami przemysłu zbrojeniowego i SS. Oprócz tego, że Luftwaffe straciło w walce mnóstwo maszyn, pod koniec lutego 1944 roku wiele spośród największych zakładów lotniczych zostało zbombardowanych przez aliantów w ramach strategicznej akcji określanej „Wielkim tygodniem”. Brytyjscy lotnicy dokonali wówczas ponad trzech tysięcy nocnych lotów bojowych, podczas których bombardowali niemieckie fabryki. Za dnia siły powietrzne USA atakowały infrastrukturę Luftwaffe. Alianci zrzucili wówczas około dziesięciu tysięcy ton bomb – Niemcy utracili wielką liczbę samolotów wraz z pilotami, co

spowodowało, że alianci na dobre zdobyli przewagę w powietrzu nad Europą. Naziści musieli przenieść resztki swojego przemysłu zbrojeniowego w ukryte miejsca (nawet do podziemnych sztolni).

Freiberg przez dłuższy czas nie stanowił celu ataków militarnych. Jednak 7 października 1944 roku pięciuset amerykańskim bombowcom, które leciały z misją zniszczenia rafinerii naftowych w czeskim rejonie przemysłowym Most, stanęło na przeszkodzie duże zachmurzenie w tych okolicach, w związku z czym zaczęto poszukiwać innego celu ataku. Zauważono wówczas Freiberg, wyróżniający się znaczącą linią kolejową i rozległymi fabrykami, i zrzucono tam sześćset ton bomb. Zginęło blisko dwustu osób, zniszczono setki domów. Wykorzystując robotników przymusowych, którzy już wcześniej przybyli do miasta, w ciągu kilku dni uprzętnięto rumowisko i naprawiono tory, żeby umożliwić przyjazd kolejnego transportu z Auschwitz – tego, którym przybyło około pięciuset więźniarek, w tym Anka i Priska.

Potężny otynkowany budynek Fabryki Porcelany przy Frauensteinerstrasse wzniesiono na miejskim wzgórzu w 1904 roku. W późniejszych latach działała w nim filia firmy Kahla AG, która produkowała izolatory elektryczne i ceramiczne rury przemysłowe. W 1932 roku fabrykę zamknięto z powodu kryzysu (jej dyrektorem był Żyd, doktor Werner Hofmann, który po Nocy Kryształowej

popęłił samobójstwo). Przez ponad dziesięć lat budynek stał pusty, aż w końcu urządzono w nim magazyn wojskowy i koszary dla niemieckich żołnierzy. Gdy podjęto decyzję, żeby produkować w nim części do samolotów, żołnierzy przeniesiono gdzie indziej, a w fabryce zakwaterowano więźniarki.



Pozostałości fabryki, w której mieszkały i pracowały
więźniarki

Poczdamskie zakłady Arado-Flugzeugwerke zawarły umowę z Ministerstwem Zbrojeń i Produkcji Wojennej Trzeciej Rzeszy, które zobowiązało się do wsparcia produkcji stateczników, kół, skrzydeł i innych części samolotów Arado, w szczególności modelu Ar 234 –

pierwszego na świecie bombowca z silnikami odrzutowymi, uważanego za tak szybki i zwrotny, że aż niemożliwy do zestrzelenia przez wroga. Jego produkcja była kluczowym elementem nazistowskiego Programu Budowy Myśliwców (*Jägernotprogramm*), który miał na celu odzyskanie przewagi powietrznej w Europie. Zakładom we Freibergu nadano nazwę Freia GmbH. Firma Arado zgodziła się płacić SS cztery marki dziennie za każdego dostarczonego im robotnika przymusowego, z potrąceniem siedemdziesięciu fenigów na „koszty utrzymania”. Za samo „użyczenie” siły roboczej do tej jednej fabryki SS mogło zarobić około stu tysięcy marek miesięcznie, co stanowiło równowartość ponad stu pięćdziesięciu tysięcy dzisiejszych złotych.

Większość więźniarek pracowała w zakładach Freia GmbH we Freibergu, a część przekierowano do pobliskich Zakładów Hildebranda, gdzie produkowały amunicję i precyzyjne instrumenty optyczne do samolotów i okrętów podwodnych. Nadzór nad kobietami sprawowało kilku wykwalifikowanych niemieckich brygadzystów (zwanym „majstrami” od niemieckiego *Meister*) oraz dwudziestu siedmiu esesmanów. Rolę strażniczek więziennych pełniło dwadzieścia osiem esesmanek. Całym podobożem dowodził *SS-Unterscharführer* Richard Beck, którego wkrótce więźniarki zaczęły potajemnie nazywać „Siara”²⁶.

Nowo przybyłe więźniarki stanowiły pierwszą grupę kobiet spośród trzech tysięcy pracowników przymusowych – włoskich jeńców wojennych, jak również ludzi wywiezionych ze Związku Sowieckiego, Polski, Belgii i Francji – „zatrudnionych” w licznych fabrykach i kopalniach we Freibergu i okolicach. Włoscy jeńcy znaleźli się tam oskarżeni o „podstępłą zdradę”, której zdaniem nazistów dopuścił się ich kraj względem Rzeszy. Tak zwanych „pracowników wschodnich” (*Ostarbeiter*), siłą wywiezionych z krajów okupowanych przez nazistów, uważano za „podludzi” (*Untermenschen*) i w związku z tym bardzo źle traktowano. Było też trochę *volksdeutschów*, czyli osób pochodzenia niemieckiego przesiedlonych do „ojczyzny” w ramach programu „*Heim ins Reich*” („Powrót do Rzeszy”), którym obiecano, że po zakończeniu pewnego okresu pracy będą mogli wrócić do domów.

Choć wszystko wskazywało na to, że działania wojenne mogą lada chwila osiągnąć punkt krytyczny (amerykańskie wojska dotarły już do Linii Zygryda, a Armia Czerwona odnosiła kolejne sukcesy), Żydówki z Auschwitz planowano umieścić w powstającym dopiero specjalnym sektorze betonowych baraków, półtora kilometra od fabryki, w pobliżu szybu kopalni srebra. Zanim jednak ukończono jego budowę, kobiety zostały tymczasowo zakwaterowane na niedawno zwolnionej ostatniej kondygnacji sześciopiętrowej fabryki

z czerwonej cegły.

53480		Frankel	Hinda	22.5.21.	"	2.9.1942
1	"	Frankel	Heda	2.3.11.	"	2.9.1942
2	Tsch. 2nd	Frankel	Ella	1.11.20.	"	2.9.1942
3	Peln. 2nd	Frankel	Guenda	12.7.09	"	2.9.1942
4	"	Friewald	Helena	22.7.13	"	2.9.1942
5	"	Friedmann	Rachela	21.10.18	"	2.9.1942
6	"	Friedmann	Reina	12.4.09	"	2.9.1942
7	"	Friedmann	Ester	22.1.16.	"	2.9.1942
8	"	Friedmann	Rika	20.12.15	"	2.9.1942
9	"	Friedrich	Fania	6.2.10	"	2.9.1942

Rachela – wpis do rejestru

Gdy pierwszym transportem przyjechała Rachela, fabryka nie była jeszcze gotowa do pracy. Nie było maszyn ani materiałów, sfłoczone w nowych kwaterach więźniarki po prostu zamknięto, nie dając im żadnego zajęcia na długie godziny kolejnych dni. Wychodziły tylko na niekończące się poranne i wieczorne apele, tutaj również stanowiące żelazny punkt dziennego harmonogramu. Musiały wówczas stać w miejscu, choćby w najgorszej pogodzie, i czekać, aż zostaną należycie przeliczone. Pocieszały się jednak, że wszystko to i tak jest lepsze niż pobyt w Auschwitz.

Zakwaterowanie również było zdecydowanie lepsze: kobiety spały po dwie na pryczy, na trzech poziomach, a w każdym z pomieszczeń przebywało nie więcej niż dziewięćdziesiąt więźniarek. Dostały nawet poduszki

i coś do przykrycia. W budynku znajdowała się też umywalnia, gdzie czasem z kranów leciała zimna woda, była również latryna, choć bez papieru toaletowego (kobiety używały więc podszewek ubrań, wyrzuconej tektury, starych gazet lub czegokolwiek innego, co udało im się znaleźć; najbardziej cieszyły się z gazet z fotografią Hitlera).

Powiedziano im, że będą pracować na zmiany – dwunasto- lub czternastogodzinne – kiedy więc jedna grupa osób opuści prycze, wróci grupa druga, żeby zająć zwolnione miejsca. Zanim jednak mogły zacząć pracę, wybuchła epidemia szkarlatyny, co oznaczało, że wszystkie musiały się poddać tygodniowej kwarantannie. Niemcy utworzyli tymczasową izbę chorych, w której pracowały dwie więźniarki: czterdziestodwuletnia Aleksandra Ladejszczykowa (lekarka z Rosji, gojka) i trzydziestodwuletnia Edita Mautnerová (pediatra z Czech) – później odegrały one niebagatelną rolę w życiu Priski, Racheli i Anki.

Gdy kwarantanna dobiegła końca, kobiety rozpoczęły wreszcie pracę. Od ich wyjazdu z Auschwitz minęły dwa tygodnie. Poranną zmianę budzono o trzeciej nad ranem, o wpół do piątej urządzano apel, a o wpół do siódmej rozpoczynała się praca. W południe więźniarki miały krótką przerwę. Początkowo robota nie była bardzo wyczerpująca, jako że nie dostarczono jeszcze ciężkich maszyn. Kobiety zajmowały się głównie

spiłowywaniem lub szlifowaniem mniejszych elementów lotniczych. Praca była jednak bardzo nużąca i okropnie się dłużyła, nastroje zaczęły się gwałtownie pogarszać. „Wszystkie byłyśmy mocno przygnębione, musiałyśmy sobie pomagać... Najgorsze było to, że przez całe czternaście godzin nie mogłyśmy usiąść ani nawet rozmawiać” – opowiadała Rachel.

Gdy przybyły kolejne transporty, linia produkcyjna była już lepiej zorganizowana, więc nowe więźniarki od razu posłano do pracy. „Skierowano nas do wielkiej fabryki stojącej na wzgórzu, w której od razu zaczęłyśmy pracować” – mówiła Anka, której pokazano wówczas, jak nitować stateczniki. Maszyny były wprawdzie ciężkie, a ich obsługa wymagała sporo wysiłku, ale w fabryce było przynajmniej ciepło i sucho, za co kobiety były losowi ogromnie wdzięczne. „Nigdy wcześniej nie widziałam maszyny do nitowania, podobnie zresztą jak moja przyjaciółka, łatwo więc sobie wyobrazić, że nasza fachowość pozostawiała sporo do życzenia” – tłumaczyła Anka. „Pracowałyśmy po czternaście godzin na dobę, esesmani nie dawali nam spokoju, ale w okolicy nie było komór gazowych i tylko to się dla nas liczyło”. „Dostałyśmy pracę i zaczęłyśmy wytwarzać części do samolotów” – mówiła Sala. „I to dlatego Niemcy przegrali wojnę. Bo to my produkowałyśmy te ich samoloty!” Priska również twierdziła, że popełniano wiele błędów: „Nie polegałabym na ani jednej maszynie, która wyszła

z tej fabryki!”.

1		Munk	Edith	26. 12. 24		12.10.44
2	Stal, jud.	Nathan	Hilda	24. 1. 15		12.10.44
3	Tsch. jud.	Nathan	Hanna	20. 4. 17		12.10.44
4	RD, jud.	Nadbach	Ingeborg	15. 2. 24		12.10.44
5	Tsch. jud.	Nagler	Helena	23. 11. 14		12.10.44
6	"	Nassau	Grete	11. 8. 28		12.10.44

Anka – wpis do rejestru

Kobiety pracowały parami, stojąc w niedopasowanych lub rozpadających się butach na zimnym betonie w nieogrzewanych halach produkcyjnych na parterze i pierwszym piętrze fabryki. Na zmianę korzystały z nitownic pneumatycznych i wykańczały skrzydła samolotów, spoczywające na metalowych kozłach lub podparte rusztowaniem. Do ich zadań należało też: spawanie, szlifowanie, wygładzanie i lakierowanie części. Niektóre segregowały gotowe elementy lub spłowywały krawędzie arkuszy aluminium. Kobietom, które w większości były dobrze wykształcone i miały swoje specjalistyczne zawody (ale nigdy w życiu nie pracowały fizycznie), tak monotonna praca jawiła się jako bardzo trudna zarówno dla ciała, jak i dla umysłu. Do tego niesłychanie obciążała ręce, dłonie i ramiona, które potem dzień i noc boleśnie dawały o sobie znać. Warunki też nie sprzyjały zdrowiu: w halach panował nieznośny hałas pneumatycznych maszyn i wiertarek,

a powietrze było gęste od spłowywanego metalowego pyłu.

Rachela wraz ze swoją siostrą Balą została skierowana do pracy w pobliskiej fabryce Hildebranda, gdzie przez całą dobę produkowano śmigła i drobne elementy samolotów. Opowiadała, że każdy ich ruch był bacznie śledzony i wciąż dostawały ostrzeżenia, że wszelkie próby sabotażu będą surowo karane. „Mówili nam, że jeśli z fabryki wyjdzie jakakolwiek wadliwa część, wówczas osoba pracująca przy danej maszynie zostanie na tej maszynie powieszona i wszystkie będziemy na to patrzeć” – mówiła.

W zakładach Freia GmbH prace na każdym piętrze nadzorował jeden esesman oraz podległy mu zespół esesmanek, z których niektóre były złośliwe, a inne obojętne. Więźniarkom codziennie wymierzano kary oraz regularnie je bito. Priska dostała raz mocno po twarzy za jakiś drobiazg, ale poza tym miała raczej szczęście. Ankę, która pracowała w parze ze swoją przyjaciółką Micką, również uderzyła kiedyś esesmanka – mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. „Byłam w ciąży, bez włosów, ubrana w szmaty, wprost do niczego niepodobna” – wspominała Anka. „A ona... po prostu podeszła do mnie i dała mi w twarz. Nawet nie bolało. Tyle że dostałam za nic”. Odebrała ten policzek jako „wielką niesprawiedliwość”, przeciwko której co gorsza nie mogła w żaden sposób zaprotestować. Mało

brakowało, żeby się rozplakała, uznała jednak, że nie da strażniczce satysfakcji. „Psychicznie zabolalo mnie to bardziej niż wszystkie inne tego rodzaju doświadczenia” – mówiła.

Ramię w ramię z więźniarkami pracowali niemieccy majstrowie. Odzywali się do nich przeważnie tylko wtedy, gdy wydawali polecenia. Wielu z nich mówiło saksońskim dialektem, którego nie rozumiały nawet kobiety dobrze znające niemiecki. Byli to cywile, choć niektórzy służyli wcześniej w Wehrmachcie, lecz zakończyli służbę z powodu wieku lub ran odniesionych w walce. Bardzo im zależało na utrzymaniu bezpiecznych posad do końca wojny, nie chcieli już wracać na front. „Nie potrafili chyba nawet sobie wyobrazić, kim właściwie jesteśmy” – mówiła Anka. „Žaden nas nigdy nie spytał, skąd jesteśmy ani jak tam trafiłyśmy. Žaden nawet nie próbował zrozumieć naszego położenia. Žaden mi nigdy nie dał kawałka chleba ani nic innego, a przecież widzieli, jak wyglądamy i jak nas traktują”.

Czeska więźniarka Lisa Miková opowiadała później, że miała tam koleżankę, dyplomowaną pielęgniarkę i opiekunkę dziecięcą. Jej majster nazywał się Rausch i porozumiewał się z pracownikami wyłącznie na migi. Pewnego dnia źle go zrozumiała i przyniosła mu niewłaściwe narzędzie. „Rzucił nim o ścianę, a potem ją uderzył. Wzburzona, powiedziała mu bezbłędnie po

niemiecku, że jeśli jej wytłumaczy, czego potrzebuje, wówczas ona mu to przyniesie”.

Rausch spojrział na nią zdumiony, po czym spytał: „Mówisz po niemiecku?”.

„Oczywiście” – odpowiedziała. „A za kogo pan nas uważa? Są tu lekarki, nauczycielki, inteligencja”.

„A mówiono nam, że same prostytutki i kryminalistki zwiezione z różnych miast. Że to dlatego macie ogolone głowy”.

„Nie. Jesteśmy po prostu Żydówkami”.

Od tej pory Rausch okazywał jej nieco więcej szacunku. Ale nie wszyscy tak reagowali. Niektórzy ze strażników, gdy słyszeli, że więźniarki nie są prostytutkami ani kryminalistkami, nie chcieli w to uwierzyć, a nawet zaczęli zanosić się śmiechem, aż nabrzmiwały im opasłe karki, a z ciasno zapiętych mundurów mało nie obrywały się guziki. Pewien strażnik nazwiskiem Loffman (przez więźniarki nazywany „garbusem”), wielki entuzjasta metod gestapo, który często rzucał w więźniarki młotkiem, powiedział jednej z kobiet: „Nauczycielka, co? Chyba raczej ścierwo!”. Inni wykazywali się jeszcze większym sadyzmem i bili kobiety pięściami, narzędziami, paskami lub sznurami. Wiecznie niezadowolony Siara o byle co się wściekał i często wymierzał ciosy kobietom, które mu działały na nerwy.

Najbardziej okrutne były jednak esesmanki. Stosowały

nie tylko policzki i chłostę, ale też wymyślały specjalne kary, szczególnie upokarzające dla kobiet – na przykład zakaz korzystania z ubikacji lub zmuszanie koleżanek „winowajczyni” do usunięcia jej resztek włosów lub wygolenia pasa przez środek głowy. Pewna szczególnie brutalna strażniczka straszyla kiedyś więźniarki pistoletem i przypadkiem postrzeliła jedną z nich w nogę; rana później zaczęła śmierdzieć, bo wdała się w nią gangrena.

Kobiety pracowały w systemie zmianowym – jeden tydzień w nocy, a następny w dzień, zazwyczaj bez dni wolnych. Zdarzały się czasem wolne niedziele, kiedy więźniarki mogły odpocząć i uprać swoje łachmany. Raz w miesiącu grupkę kobiet, które pracowały w biurach, a więc bliżej Niemców, zabierano do przytułku w siedemnastowiecznym budynku w centrum miasta, gdzie mogły wziąć prysznic.

Jednak praca była tak wyczerpująca, a wyżywienie tak nędzne, że stan zdrowia więźniarek gwałtownie się pogarszał. Często zdarzały się omdlenia, które postrzegano jako niepotrzebną przerwę w pracy; omdlałe kobiety „cucono” więc biciem lub kopaniem. Klara Löffová wspominała, że naczelną zasadą przetrwania było „nie przyznawać się, że się choruje lub że się nie wie, co robić”. Mówiła też, że gdy zaczynały wyc syreny przeciwlotnicze, więźniarki nie panikowały, twierdziły: „niebezpieczeństwo, że zginiemy od bomb lub

zostaniemy ranne, wydawało nam się mniejsze niż asysta uzbrojonych esesmanów”. W głębi duszy kibicowały alianckim pilotom i miały nadzieję, że ich samolotów nie trafią pociski wyrzucane z hukiem z dział przeciwlotniczych umieszczonych na okolicznych dachach. Jeśli zdarzyło im się zobaczyć zestrzelony brytyjski lub amerykański samolot, ogarniało je przygnębienie i przez resztę dnia chodziły jak strute.

Choć teoretycznie firma opłacała ich wyżywienie, otrzymywały żywność podłej jakości i tylko tyle, żeby mogły przeżyć. Jedna z więźniarek opisywała te posiłki jako „podgrzany szlam”. Jedynym pozytywem było to, że każda otrzymała kubek, miskę i łyżkę, więc nie musiały już jeść koszmarnie brudnymi rękami. Racje żywnościowe były jednak takie same jak w Auschwitz: z rana gorzka „kawa” z kawałkiem chleba, potem zupa o podejrzanej woni, zwykle z buraków pastewnych, brukwi lub dyni. Więźniarki jadły ją, siedząc na podłodze lub gdziekolwiek, gdzie było miejsce. Klara Löffová wspominała: „Tak zwana kuchnia wydawała zupę – czasem gęstszą, czasem całkiem wodnistą. Stałyśmy przy długich stołach, nie wolno było nam usiąść. Po stole chodził w tę i z powrotem esesman w oficerkach, w ręku trzymał pasek z dyndającą klamrą, którym w każdej chwili mógł się zamachnąć. Dziewczyny szybko się nauczyły nie podkradać innym jedzenia”. Nauczyły się też zasłaniać oczy, jako że strata oka oznaczałaby powrót

do Auschwitz i pewną śmierć.

Wieczorem więźniarki otrzymywały czterysta gramów chleba i trochę „kawy”. Od czasu do czasu dostawały jeszcze dodatkowe „zaopatrzenie” (*Nachschub*) w postaci niewielkiego kawałka margaryny, małej porcji marmolady lub cienkiego plasterka salami. Czasem zastanawiały się, czy tę margarynę zjeść, czy posmarować nią sobie suchą, łuszczącą się skórę. Anka opowiadała, że niektóre z jej koleżanek były na tyle zdyscyplinowane, żeby dzielić jedzenie na porcje i zjadać je w odstępach przez cały dzień. „Ale ja moją porcję zjadałam od razu i potem cały czas odczuwałam głód” – dodawała.

Główną „zachciankę” ciężarnej Priski stanowiła surowa cebula – gotowa była na nią wymienić całą swoją porcję chleba. Miała zresztą więcej szczęścia niż inne więźniarki, bo jej opiekunka Edita, której jakimś cudem udało się przemycić do Freibergu kilka cennych przedmiotów, przekupiła jednego z byłych żołnierzy Wehrmachtu, żeby potajemnie przynosił jej nieco żywności. Mówiły o nim „dzielny wujek Willi” – był jednym z nielicznych strażników, którzy sprawiali wrażenie, że mają pod mundurem prawdziwie ludzkie serce. Choć ryzykował utratę pracy, a nawet życia, wielokrotnie starał się choć trochę pomóc kobietom. To dzięki niemu Edita dalej mogła szeptać Prisce do ucha: „Otwórz usta” i ofiarowywać jej kolejne cenne kąski.

„Wiedziałyśmy dokładnie, którym kobietom udało się przemyścić w pochwie złoto lub diamenty, bo te osoby wyglądały zdecydowanie lepiej niż pozostałe” – mówiła Gerty Taussig. „Ale żadna z nas na pewno by ich nie wydała”. Jednak pomimo zdobywanych czasem dodatkowych porcji żywności ciągły głód mocno dawał się ciężarnym kobietom we znaki, stale im towarzyszył i nie pozwalał o sobie zapomnieć, rosnąc wraz z dziećmi rozwijającymi się w ich łonach.

Anka ani razu jednak nie dopuściła do siebie myśli, że mogłaby nie przeżyć. „Z natury jestem wielką optymistką, co mi ogromnie pomagało” – wspominała. „Zawsze wolałam trzymać głowę w górze niż spuszczać nos na kwintę. Wiedziałam, że mi się uda. Choć to przekonanie nie było racjonalne ani specjalnie mądre, to się go trzymałam. Nawet jeśli tak naprawdę niemal już umierałam z głodu”.

Rachela również stale myślała o jedzeniu. „Po pracy wracałyśmy wykończone” – mówiła. „Jeśli którejś udawało się zachować kawałek chleba, dzieliła się nim z innymi”. Pewnego dnia znalazła plaster surowego ziemniaka i ssała go niczym landrynkę, aż nic z niego nie zostało. Innym razem natrafiła w błocie na spleśniałą kapustę i choć wiedziała, że za jej podniesienie może zostać zastrzelona, zaryzykowała. Kapusta potwornie cuchnęła i była tak przegniła, aż rozpadała się w palcach. Rachela jednak całą ją pochłonęła i twierdziła, że nigdy

w życiu nie jadła nic lepszego.

W niemal każdej wolnej chwili kobiety rozmawiały o jedzeniu. „I to jakim!” – wspominała Anka. „Nie tam jakieś jajko czy dwa, ale dziesięć jajek wbitych do ciasta, a do tego cztery kilo masła i kilogram czekolady. Tylko to nam pomagało przeżyć. Im bardziej kaloryczne wymyśliłyśmy ciasto, tym lepiej. Dawało nam to pewną satysfakcję. Wymyślałyśmy też inne smakołyki, na przykład banany w polewie czekoladowej z dżemem. Tego rodzaju fantazje trzymały nas przy życiu, choć umierałyśmy z głodu. Właściwie to nie wiem, czy to nam coś dawało, ale nie można o takich rzeczach nie myśleć, kiedy człowiek jest potwornie głodny”. W rzeczywistości zamiast tortów z kremem żywiły się obrzydliwymi płynami i odrobiną chleba. „Doszło jednak do tego, że smakowało nam wszystko, co nam dawali, każdy kęs wydawał się przepyszny i zawsze nam było mało” – mówiła Anka.

Po skończonej pracy mogły wreszcie odpocząć. Szły wówczas do swoich kwater na ostatnim piętrze fabryki, zadowolone, że zakwaterowano je nie w nieszczelnym drewnianym baraku, ale w solidnym ceglanym budynku – choć gdy tylko tam pierwszy raz weszły, od razu poczuły charakterystyczny zapach pluskiew. Esesmani twierdzili wprawdzie, że kobiety przyniosły je tam ze sobą, wszystko jednak wskazywało na to, że pozostawili je poprzedni lokatorzy. „Te małe zuczki miały

specyficzny zapach, taki słodkawy” – opowiadała Anka. „Bardzo nieprzyjemny. Były ich tam tysiące. Wciąż spadały z sufitu, często wpadały nam do kubków, cokolwiek więc jadłyśmy, zawsze były w tym pluskwy. Na początku nam to aż tak bardzo nie przeszkadzało, bo pluskwy żyją tylko tam, gdzie jest ciepło, ale rozgniecione paskudnie śmierdzą, a to było straszne”.

Więźniarki nie miały dostępu do żadnych wieści ani nawet do zegarów, traciły więc rachubę czasu i nie miały pojęcia o dramatycznych wydarzeniach rozgrywających się na świecie. W zatechłym budynku fabryki, której nie mogły ani na chwilę opuścić, nikt nie dbał o to, żeby je o czymkolwiek informować. Nawet starsi strażnicy, którym zdarzało się okazać więźniarkom trochę serca, za dużo im nie mówili. Nie miały więc pojęcia, że w październiku 1944 roku członkowie *Sonderkommando* w Auschwitz II-Birkenau wysadzili w powietrze Krematorium IV. Słyszały tylko od Niemców pracujących w fabryce o niemieckiej ofensywie w Ardenach.

Ich dni wyglądały tak samo. Większość kobiet, pomimo brudu i smrodu, bolących mięśni, stóp i zębów, dzień i noc toczyła wewnętrzną walkę, żeby podtrzymać w sobie chęć przetrwania. Kilka osób nie wytrzymało koszmarnych warunków życia i postradało zmysły, zostały one odesłane z fabryki. „Pracowałyśmy jak obłąkane: godzinami stałyśmy na nogach, ogolone i byle jak ubrane” – opowiadała jedna z więźniarek. „Jadłyśmy,

nie odzywałyśmy się i pilnowaliśmy swoich spraw. Ubrania czasem prałyśmy i wkładaliśmy mokre. Nikt nie miał czasu na nic innego”. Miały zepsute zęby, krwawiły im dziąsła, pękała cienka jak pergamin skóra, a każda drobna ranka mogła doprowadzić do śmierci. Żadna z więźniarek nie miała okresu, jako że ich ciała wstrzymały cykle i zdawały się obumarłe od środka. Żadna nie miała siły nawet pomyśleć o jakimkolwiek oporze czy buncie. „We Freibergu niczego nie sabotowałyśmy” – opowiadała inna więźniarka. „Bałyśmy się własnego cienia. Nie wiedziałyśmy, jak się bronić. Wystarczyło spytać: »Dokąd mnie zabieracie i dlaczego?«, a dostawało się cios albo i kulkę w łeb. Wszystkie więc tak się bałyśmy, że nic nie mówiłyśmy”.

Jako że siłą roboczą stanowiły robotnice co prawda świetnie wykształcone, ale niewykwalifikowane, postępowanie w fabryce nie było oszałamiające. Klara Löffová dobrze zapamiętała więc chwilę, gdy w okolicach Bożego Narodzenia jej zmiana ukończyła pierwsze skrzydło samolotu, co było powodem wielkiego poruszenia. Za ukończenie zadań więźniarkom obiecywano premie w postaci proszku mydłanego, chleba czy sera (nigdy ich nie otrzymały). „Niemcy tak się cieszyli, że zawiesili to skrzydło na linie przymocowanej do sufitu i mieli zacząć świętować” – opowiadała. „Nagle jednak lina się urwała, a skrzydło spadło i się mocno uszkodziło. Teraz była nasza kolej, żeby świętować!” Na Boże Narodzenie

niektóre kobiety dostały niewielkie upominki: nieco większe racje żywnościowe oraz możliwość „kupienia” soli selerowej. Dla większości więźniarek był to jednak zwykły dzień pracy.

W sylwestra 1944 roku Anka, która była już w siódmym miesiącu ciąży, ale wciąż ukrywała brzuch pod workowatą sukienką, potknęła się. Ciężki metalowy stół warsztatowy, który niosła, spadł jej na nogę i poważnie ją rozciął – na szczęście jej nie złamał. „W pierwszej chwili pomyślałam tylko: »Dziecko! Co będzie z moim dzieckiem?«” – wspominała. „Położono mnie w prowizorycznym szpitalu, gdzie opatrzono mi nogę i pozwolono przez jakiś czas odpocząć. Było tam ciepło i nie musiałam pracować. Jedzenia nie dawali zbyt dużo, ale mogłam oszczędzać energię i czekać, aż noga się zagoi”.

Anka leżała w niewielkiej izbie chorych i starała się wyglądać na tyle zdrowo, żeby nie odesłano jej z powrotem do Auschwitz – wiedziała bowiem, że osoby chore nie są na dłuższą metę tolerowane w miejscu, gdzie alternatywą dla pracy jest śmierć. Niektóre z więźniarek nawet nie wiedziały, że w obozie istnieje coś takiego jak izba chorych. Inne o niej słyszały, ale obawiały się, że stanowi ona przystanek na drodze do śmierci, starały się więc za wszelką cenę jej unikać i same opatrywały sobie skaleczenia i rany; próbowały też samodzielnie leczyć się z różnych chorób. „Jeśli się

zachorowało, można było albo pracować, albo umrzeć” – wspominała Gerty Taussig. „Wiele kobiet leczyło rany uryną, bo nic innego nie miałyśmy. Uryna pomogła mojej przyjaciółce, której zrobił się na ramieniu liszajec i ciekła z niego ropa. Ja sama spadłam kiedyś z pryczy na plecy i potem przez jakiś czas nie mogłam się ruszyć. Nie wezwano do mnie lekarza, ale jakoś przeżyłam”.

Anka nie miała wcześniej tak naprawdę czasu, żeby się zastanawiać, co się dzieje z dzieckiem w jej brzuchu – dopiero w izbie chorych zaczęła o tym myśleć. Tym razem nie czuła kopnięć, tak jak wcześniej z Danem, ale była przekonana, że dziecko żyje. Wracała myślami do romantycznych chwil spędzonych z mężem w ich kryjówce w getcie i wyliczyła, że termin porodu przypada na koniec kwietnia. Zaczęła też rozważać, co się stanie, jeśli zarówno ona, jak i dziecko przeżyją. Jako że opiekująca się nią doktor Mautnerová zorientowała się, że jej pacjentka jest w ciąży, Anka zaczęła się z nią dzielić swoimi obawami. „Prowadziłam z nią dość idiotyczne rozmowy” – wspominała. „Pytałam, co się stanie, jeśli wojna wciąż będzie trwać, gdy urodzę dziecko. Czy Niemcy mi je odbiorą i oddadzą niemieckiej rodzinie? Jak je potem znajdę? Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mogą je zabić albo że mogą zabić mnie. Często z nią o tych sprawach rozmawiałam, a ona nic nikomu nie wyjawiała. Zapewniała mnie, że jakoś znajdę swoje dziecko”.

Anka w końcu wróciła do pracy, ale skierowano ją do „łżejszych” zadań, takich jak zamiatanie podłóg w całym budynku fabryki (włącznie ze schodami) przez czternaście godzin dziennie. Choć praca była bardzo monotonna, Anka uważała, że zapewniała jej rodzaj ruchu wprost idealny dla ciężarnej kobiety. Strażnicy wciąż zdawali się nieświadomi jej stanu, gdyby bowiem się zorientowali, z pewnością odesłaliby ją z powrotem do Auschwitz.

Rachela też miała trochę szczęścia, bo jej szefem był Czech, który dobrze ją traktował. „Kiedy zauważył, że mi rośnie brzuch, dał mi pracę siedzącą zamiast stojącej” – opowiadała. „Sprawdzałam tylko, czy skrzydła są dobrze znitowane. Mocno wychudłam, ale za to nie miałam porannych nudności. Bardzo chciałam ocalić to dziecko. Nic poza tym się dla mnie nie liczyło”.

W styczniu ukończono budowę nowych baraków. Były one oddalone o dwa kilometry od fabryki, stały przy Schachtweg w dzielnicy Hammerberg. Choć temperatura wciąż spadała, kobiety zostały pozbawione ciepłych pryczy pełnych pluskiew i przeniesione do lodowatych nowych baraków. Dotarły tam pośród śnieżycy i znalazły się na zaśnieżonym placu budowy otoczonym wysokim ogrodzeniem. Baraki były nieogrzewane, pachniało w nich cementem i surowym drewnem. Woda kapiała z sufitu i spływała po ścianach. Słoma, którą należało napęlić sienniki, była już przemoczona. Ze względu na

niskie sufity prycze miały tylko dwa poziomy, a nie trzy, ale nie dało się stwierdzić, które miejsca są gorsze – mokre na górze czy wilgotne na dole.

Umywalnia znajdowała się w oddzielnym budynku i początkowo nie działała, kobiety mogły więc się umyć jedynie przy kranie na zewnątrz, gdzie woda regularnie zamarzała. Miały do dyspozycji małe piecyki – dostały nawet trochę węgla, ale regularnie podkradały im go strażniczki, żeby ogrzać swoje pokoje. Co noc po wewnętrznej stronie okna tworzyła się gruba warstwa lodu. W tej samej okolicy stały też baraki dla jeńców wojennych ze Związku Sowieckiego, Włoch, Polski, Francji i Belgii. Kobietom raz na jakiś czas udawało się dojrzeć w oddali sylwetkę któregoś z nich przez ogrodzenie z drutu kolczastego. Część tych mężczyzn również pracowała w fabryce w charakterze mechaników i elektryków, niektóre z kobiet kojarzyły więc ich twarze.

Choć groziło to śmiercią, między barakami wciąż krążyły wiadomości – owijano kamienie skrawkami papieru i przerzucano je na drugą stronę ogrodzenia. Wymieniano w ten sposób strzępy informacji na temat działań wojennych, a czasem nawet listy miłosne. Priska jako poliglotka została poproszona przez jedną ze współwięźniarek o przetłumaczenie takiego właśnie liściku z francuskiego na słowacki. Nie wiedziała nawet, jaka kara grozi za takie „przestępstwo”. Z radością podjęła się tego zadania, wspominając listy, które pisali

do siebie z Tiborem, i tę cudowną chwilę, gdy go wypatrzyła przez druty w Auschwitz.

Pewnego dnia jeden ze strażników przyłapał ją w baraku na pisaniu czegoś ogryzkiem ołówka na skrawku papieru. Była to odpowiedź jednej z więźniarek na list od pewnego Belga miłego jej sercu. Widząc, że strażnik rusza w jej stronę, Priska szybko zmięła karteczkę i ją połknęła. Została za to pobita i poddana długiemu przesłuchaniu, ale nie puściła pary z ust.

Niemiecka firma, której zależało na tym, żeby pracownice przymusowe przeżyły przynajmniej do końca wojny, wydała im odzież zimową – między innymi pończochy i czarne drewniaki, w których odtąd ze stukotem chodziły do fabryki. Nie dla wszystkich ich starczyło, wiele kobiet musiało więc nadal używać przetartych i nieodpowiednich do pogody butów rzuconych im w Auschwitz. Drewniaki nie w każdym przypadku stanowiły najlepsze obuwie – często się zdarzało, że były za duże lub za małe (przez co tworzyły się bolesne otarcia, które nigdy się nie goiły, za to często ulegały zakażeniom). Słabo trzymały się na nogach, chodzenie w nich po lodzie było więc bardzo niebezpieczne. Przez odkryte pięty do środka wciąż dostawała się woda lub śnieg, więc stale były mokre.

Dodatkową wadę drewniaków stanowił ich głośny stukot o granitowy bruk ulic, gdy więźniarki na obolałych nogach szły przez miasto. Hałas potęgowały wrzaski

esesmanów w błyszczących oficerkach, którzy maszerowali obok kolumny więźniarek i pilnowali, żeby szły równym krokiem, pokrzykując: „*Links! Zwei! Drei! Vier!*”²⁷. „Ludzie mieszkający przy ulicy, którą chodziłyśmy do pracy, nie byli zachwyceni” – opowiadała Klara Löffová. „Przysyłali nawet skargi do fabryki, że o piątej rano budzi ich hałas. Proszę to sobie wyobrazić: przemarsz ulicą pięciuset kobiet w drewniakach. W owym czasie w mieście wciąż obowiązywało zaciemnienie, nie wolno było zapalać świateł. A potem o szóstej przechodziła kolejna grupa, wracająca do baraków, z takim samym hałasem. Te poranne godziny stanowiły dla mieszkańców Freibergu jedyny czas, kiedy mogli spokojnie się przespać, bo piloci RAF-u wracali już wówczas do Anglii. Nas to jednak mało obchodziło, bo same nie spałyśmy”.

Choć kobiety dostały nowe drewniaki, to wciąż nosiły skąpą i nieraz dość dziwaczną odzież wydaną im w Auschwitz, która zamieniała się już w łachmany. Podarty materiał często szczepiano klamrami lub wiązano sznurkiem. Większość kobiet nie miała bielizny ani skarpet. Jeśli którejś udało się znaleźć jakąś szmatę, owijała nią sobie ogoloną głowę niczym chustką, żeby podczas marszu chronić się przed świszczącym wiatrem. Te same szmaty wykorzystywały potem do owijania sobie tułowia lub odmrożonych palców, a także do wyściełania ocierających butów. Najczęściej jednak strażnicy im je

zabierali.

Tak zatem codzienny marsz przez miasto stał się kolejną męczarnią – zwłaszcza że więźniarki często miały obolałe, zdrętwiałe nogi i przemarznięte stopy. „To była długa trasa przez miasto” – opowiadała Anka. „Ludzie na nas pluli i wymyślali nam od najgorszych. A my musiałyśmy iść taki kawał drogi bez płaszczy, pończoch. To było straszne”. „Codziennie szłyśmy przez ciemne miasto, jeszcze przed świtem” – wspominała słowacka więźniarka Chava Livni. „Stopniowo nauczyłam się rozpoznawać każdy kamień, każdy zakręt, na którym wiatr szczególnie dawał się we znaki. A potem znów to samo, tylko w drugą stronę, znów po ciemku, powrót do lodowatych baraków, w których stoją piecyki, ale nie ma czym w nich palić”.

Gdy nadeszły wielkie mrozy, przemarznięte, wygłodzone i skrajnie wyczerpane więźniarki brnęły przez śnieżną breję, całe pokryte białym puchem. Obok nich szli strażnicy, ubrani w wiele warstw ciepłej odzieży, na którą jeszcze narzucali długie wojskowe płaszcze lub peleryny. Karabiny zarzucali sobie na ramiona, a dłonie w ciepłych rękawicach chowali w kieszeniach.

Pewien miły Niemiec, który nadzorował pracę Racheli, ukradkiem dał jej kilka skrawków miękkiej białej bawełny wyciętych z materiału, którym polerowano skrzydła samolotów (brzegi tkaniny ostemplowano napisem „KZ Freiberg”). Ktoś inny zdobył igłę i nitkę – Rachela

pożyczyła przybory, żeby uszyć biustonosze dla siebie i Bali. Życzliwy szef podsuwał im też dodatkowe porcje żywności, a także załatwił im drewniaki, których im wcześniej nie przyznano. „Twierdził, że jak sobie pokaleczymy stopy opiłkami żelaza wypadającymi z maszyn, to zaraz wda się zakażenie i nie będziemy mogły pracować. My jednak byliśmy przekonane, że załatwił nam te drewniaki po to, żeby łatwiej nam było przebyć drogę do pracy na zimnie”.

Austriaczka Leopoldine Wagner pracowała w fabryce jako tłumaczka włoskich jeńców wojennych. Ona również, ryzykując życie, starała się pomóc więźniarkom. „Serce się łamało na ich widok” – mówiła. „Takie chude, ogolone na łyso, bez ciepłej odzieży przy minus osiemnastu stopniach, bez skarpet, w samych drewniakach, z zakrwawionymi stopami”. Widząc tak udręczone, nieszczęsne kobiety, którym ze stóp ciekła ropa i krew, wstydziła się, że jest żoną Niemca. Dowiedziała się, że więźniarki dostają jedynie wstrętą zupę z brukwi i zaczęła ukradkiem wkładać im do ust kawałki chleba lub innego jedzenia, gdy przychodziły szorować podłogę w jej biurze.

Pewnego dnia podarowała zabudowany, ciepły biustonosz jednej z kobiet, która nie miała żadnej bielizny do ogrzania pleców i podtrzymania piersi. Nazajutrz jeden z esesmanów przyniósł jej ten biustonosz i spytał, czy go rozpoznaje. Gdy się przyznała,

powiedział tylko: „Jeśli ma pani rzeczy do oddania, niech je pani oddaje Niemcom. Bo w przeciwnym razie nie będzie się pani już nazywała Wagner, tylko numer tysięcy ileś tam”.



Leopoldine Wagner – dowód tożsamości

Groźba spowodowała, że Leopoldine Wagner mniej pomagała więźniarkom, bała się o swoje życie. „Oczywiście, że się bałam” – mówiła. „Jeśli się nie robiło tego, co wszyscy, stało się jedną nogą w obozie”. Któregoś dnia poznała jednak kilkunastoletnią węgierską Żydówkę imieniem Ilona, pianistkę. Leopoldine wpadła na odważny pomysł: mogłaby pomóc jej w ucieczce. „Wciąż jej powtarzałam adres mojej siostry w Austrii, żeby go zapamiętała. Wymyśliłam, że ukryje się w klasztorze” –

relacjonowała. Z pomocą miejscowego katolickiego księdza schowała habit zakonny w konfesjonale kościoła św. Jana w centrum miasta i powiedziała Ilonie, żeby spróbowała wymknąć się strażnikom i szybko się tam ukryć, gdy będą je prowadzić na comiesięczny prysznic w przytułku. „Nie wiem, co się z nią stało. Ale habit zniknął” – mówiła.

Losem więźniarek przejmowała się też siedemnastoletnia Christa Stölzel, która pracowała w biurze fabryki i ukrywała w koszach na śmieci chleb i ciasto (przynosiła je z domu jako swój prowiant), żeby nocą mogły je znaleźć pracownice sprzątające fabrykę. Choć za takie „przestępstwo” groziły surowe kary, robiła to wielokrotnie w nadziei, że komuś pomoże. Innym ludziom też zdarzało się czasem zrobić coś dobrego – jeden z majstrów zostawiał między żebrami skrzydeł bandażę dla więźniarek, żeby mogły opatrzyć sobie rany, a na święta nawet schował tam paczuszkę cukierków.

Większość mieszkańców miasta nie robiła jednak nic – albo z powodu strachu, albo wskutek niewiedzy. Leopoldine Wagner mówiła, że na temat obozu „po prostu się milczało”. „Większość ludzi wiedziała tylko, że na Hammerbergu są baraki” – relacjonowała. „Ale nikt nie chciał wiedzieć, kto w nich się męczy”. Tak naprawdę więc mało kto kobietom pomagał. Z każdym zimowym dniem ich sytuacja się pogarszała. Żeby się ogrzać, spały po trzy albo i więcej na pryczy, przykryte cienkim

kocykiem, ale i tak były przemarznięte, a dłonie i stopy miały wiecznie lodowate. Z powodu wyziębienia organizmu głód stawał się dotkliwszy – wychłodzone ciała spalały bezcenne kalorie, żeby utrzymać temperaturę niezbędną do przeżycia. Ciała więźniarek ulegały stopniowemu wyniszczeniu, a ich stan psychiczny też z każdym dniem się pogarszał.

Trudno im było emocjonalnie poradzić sobie z faktem, że podczas codziennego przemarszu ulicami Freibergu widziały mieszkańców miasta wiodących zwyczajne życie. Patrzyły na dzieci lepiące bałwany lub idące do szkoły w zimowych paltach, czapkach i szalikach. Widziały mężczyzn wychodzących do pracy i żony machające im z okien. „Widziałyśmy ludzi, którzy na nas patrzyli z wnętrza swoich ciepłych, przytulnych domów” – wspominała Lisa Miková. „Towarzyszyło nam około dwudziestu esesmanów, więc nikt nie miał szansy, żeby z nami porozmawiać czy dać nam coś do jedzenia. Ale też nikt nawet nie próbował. Nikogo to nie interesowało”.

Czternastoletnia Gerty Taussig wiedziała już wtedy, że jej rodzice i siostra zostali zagazowani w Auschwitz. „Pękało mi serce, gdy widziałam rodziny siedzące razem przy stole w ciepłych domach, roześmianych ludzi, normalne życie” – opowiadała. „Nikt nie okazywał nam życzliwości. Absolutnie nikt. Byłyśmy jak duchy. Żadna z nas nie wierzyła, że przeżyjemy i jeszcze kiedyś będziemy normalnie żyć, tak jak oni”.

Pewnego ranka dwudziestodwuletnia niemiecka więźniarka Hannelore Cohn stanęła jak wryta, przez co o mało nie powpadały na nią idące dalej kobiety. Na rogu ulic stała jej matka – jasnowłosa Aryjka, która przyjechała z Berlina, żeby zobaczyć córkę. Okazało się, że na prośbę więźniarki jeden z niemieckich majstrów potajemnie napisał do jej rodziny list z informacją, że Hannelore żyje. „Jej matka przeprowadziła się do Freibergu tylko po to, żeby móc patrzeć, jak Hannelore przechodzi przez miasto do fabryki i z powrotem” – opowiadała Esther Bauer, która znała Hannelore od dziecka. „Codziennie rano, gdy przychodziłyśmy do pracy, jej matka stała przy bramie. Nie mogły ze sobą porozmawiać, ale Hannelore przynajmniej wiedziała, że matka przy niej jest. Dla nas wszystkich to się liczyło”.

Gerty Taussig również zapamiętała ten widok. „Co za tragedia, tak stać na ulicy i patrzeć, jak obok przechodzi wymizerowana jak śmierć córka, ale nie móc jej nawet pomachać” – mówiła. Matka Hannelore stała tak codziennie przez wiele tygodni, a dla mijających ją więźniarek jej obecność była ogromnie krzepiąca.

Po dotarciu do fabryki kobiety mogły nieco się rozgrzać i obeschnąć. Gdy tajały im zdrętwiałe z zimna dłonie, pojawiał się pulsujący ból. Jeśli w drodze powrotnej do baraków lub na wieczornym apelu zmokły, wówczas nie miały już gdzie wysuszyć ubrań i leżały w nich całą noc, trzęsąc się z chłodu. Często było tak

zimno, że we wspólnej umywalni woda zamarzała w kranie umieszczonym nad korytem. Więźniarki miały jeden wspólny ręcznik, czasem dostawały też mały kawałek mydła. Nie było szczoteczek do zębów ani grzebieni, więc gdy na wiecznie swędzących głowach zaczynały pojawiać się włosy (które u części kobiet były już całkiem siwe), zaraz zbijały się w kołtuny.

Mijały kolejne dni, a więźniarki, nie mając ani chwili wytchnienia, ograniczały swoje życiowe potrzeby do minimum wyznaczonego im przez los i skupiały się na tym, żeby jakoś przeżyć. Priska, Rachela i Anka mieszkały w oddzielnych barakach i pracowały na różnych zmianach, często w oddzielnych budynkach, wciąż więc nie wiedziały o sobie nawzajem. Nie zdawały też sobie sprawy, że jeszcze kilka kobiet w obozie również ukrywa ciążę i podobnie jak one zastanawia się, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Lisa Miková opowiadała, że pewnej nocy niespodziewanie zaczęła rodzić inna czeska więźniarka, jej przyjaciółka. „Urodziła dziecko w baraku we Freibergu, w lutym” – relacjonowała. „Ale esesmani zamordowali to dziecko. Zabrali je strażnicy, a ona dowiedziała się później, że zostało zabite”. Inne dwie kobiety, które uznano za ciężarne, wysłano z powrotem do Auschwitz.

Nieznane są ich dalsze losy, ale ich stan z pewnością nie spodobał się doktorowi Mengelemu. Tak było w przypadku Rut Elias, która wraz z mężem przebywała

w Theresienstadt mniej więcej w tym samym czasie co Anka. Pod koniec 1943 roku, gdy z getta wciąż wyjeżdżały nowe transporty na wschód, zaszła w ciążę. Chciała poddać się aborcji, Niemcy jednak zakazali w owym okresie lekarzom w getcie przeprowadzania takich zabiegów. Podobnie jak Prisce, Racheli i Ance, jej również udało się ukryć ciążę podczas selekcji w Auschwitz. Później zdołała skłonić jednego z więźniów funkcyjnych, żeby umieścił jej nazwisko na liście osób przeznaczonych do niewolniczej pracy, dzięki czemu w zaawansowanej ciąży trafiła do rafinerii naftowej w Hamburgu. Tam jednak jej stan w końcu wykryto i w sierpniu 1944 odesłano ją z powrotem do Auschwitz.

Gdy zobaczył ją Mengele, nie mógł uwierzyć, że nie zauważył jej ciąży podczas selekcji. Powiedział jej: „Najpierw urodzisz, a potem zobaczymy”. W kilka godzin po narodzinach jej córki, Anioł Śmierci kazał zabandażować matce piersi gipsowym opatrunkiem, żeby nie mogła karmić dziecka – chciał się bowiem przekonać, jak długo noworodek może przeżyć bez jedzenia. Przez osiem dni Rut leżała bezsilna, w gorączce, z piersiami nabrzmiętymi od mleka, a tuż obok jej dziecko umierało z głodu. Codziennie odwiedzał je Mengele. Gdy dziewczynka już umierała, obozowa lekarka namówiła Rut, żeby zabiła córeczkę zastrzykiem z morfiny, a tym samym uratowała własne życie (miała bowiem nazajutrz trafić wraz z dzieckiem do komory

gazowej). Po śmierci dziecka Rut została wysłana do kolejnego obozu pracy i udało jej się przeżyć.

Podobny los mógłby spotkać Priskę, Rachelę i Ankę, gdyby wykryto, że są w ciąży, i wysłano je z powrotem do Auschwitz. Choć oczywiście we Freibergu też miały niewielkie szanse na przeżycie – już w listopadzie zaczęły umierać ich koleżanki. Pierwsza pożegnała się z życiem dwudziestosiedmioletnia Margit Kufler z Węgier, która po miesiącu w obozie zmarła na sepsę. Razem z nią pochowano też trzydziestoletnią Olgę Leier ze Słowenii – zachorowała na szkarlatynę. W kolejnych miesiącach z życiem pożegnało się jeszcze sześć kobiet między siedemnastym a trzydziestym rokiem życia; zmarły na serce, zapalenie płuc i inne choroby. Ich ciała skremowano, a prochy pochowano w zbiorowym grobie na miejscowym cmentarzu o nazwie Donatsfriedhof.

Priska, choć była równie głodna i wyczerpana jak pozostałe więźniarki, uparcie nie dopuszczała do siebie myśli o śmierci. Wciąż trzymała się nadziei, że Tibor gdzieś żyje i oczekuje od niej, że będzie myślała o samych pięknych rzeczach. Wpatrywała się więc z lubością w misterne lodowe wzory na szybie baraku, a gdy wraz z innymi brnęła przez zasy do fabryki i z powrotem, nieraz jako jedyna podnosiła głowę, żeby popatrzeć, jak rozsypany kopniakiem puszysty śnieg mieni się w słońcu, lub w mgliste poranki przyglądać się oszronionym drzewom, które wyglądały jak

polukrowane. Obiecała przecież Tiborowi, że ona i dziecko przeżyją, a on ją zapewniał, że tylko to go trzyma przy życiu. „Myślałam tylko o mężu i dziecku” – mówiła. „Nie starałam się do nikogo zbliżyć. Miałam nadzieję, że gdy wrócę do domu, Tibor będzie na mnie czekał”.



Pomnik ofiar obozu we Freibergu

Kiedy temperatura jeszcze bardziej spadła, nastroje znów się pogorszyły, a zapomniane przez świat więźniarki pogrążały się w coraz większej rozpacz. Doskonale wiedziały, że podczas długiej srogiej zimy ich warunki bytowe będą się stale pogarszać. Całymi dniami harowały dla Niemców, podczas gdy ich własne podstawowe potrzeby pozostawały niezaspokojone. Kobiety wciąż traciły na wadze, wyglądały jak zjawy. Miały przetarte ubrania, podłe nastroje i ciała pokryte ranami od ukąszeń wszy i pluskiew, a także wynikłymi z wyniszczenia organizmu. W głowach kotłowały im się już jedynie myśli o jedzeniu i przetrwaniu kolejnego dnia. „Nie pamiętam, żebym miała jakieś sny” – wspominała Anka. „Samo przetrwanie pochłaniało tyle czasu, że nie starczało go już na nic innego”.

Ance i Racheli, które przeżyły już kilka lat, cierpiąc niedostatek w gettach, wydawało się, że ich nędznej egzystencji odległej od wszelkich ludzkich standardów po prostu nie ma końca. Wciąż się zastanawiały, co się z nimi stanie, jaki los spotka ich dzieci, czy ich mężowie w ogóle jeszcze żyją. Anka dzieliła swoje troski z Micką, rozmawiała z nią szeptem po nocach – bała się jednak, że informacja o jej ciąży może stanowić dla przyjaciółki dodatkowe ryzyko. Racheli codziennie pracowała z Bałą i spała z nią na jednej pryczy, ale wciąż jeszcze nie

powiedziała ani jej, ani pozostałym dwóm siostram, że jest w ciąży – bała się bowiem, że taka wiedza byłaby dla nich niebezpieczna.

Sala i Estera miały trochę szczęścia, bo powierzono im pracę sekretarek w biurze fabryki, a to oznaczało nieco lepszą żywność, ubrania i względny komfort. „Na początku pracowałyśmy przy produkcji części do samolotów” – opowiadała Sala. „Ale w pewnym momencie, gdy szlifowałam jakiś kawałek metalu, podszedł do mnie esesman i spytał po niemiecku: »Gdzie jest twoja siostra?«. Co prawda większość czasu spędzałyśmy razem, ale i tak spojrzałam na niego zdumiona, bo przecież wcale nie musiał wiedzieć, że jesteście siostrami”. Esesman powiedział Sali i Esterze, że mają iść za nim, po czym zaprowadził je na drugi koniec budynku. „Ciągle coś mówił po niemiecku, spytał między innymi, czy umiemy czytać i pisać” – wspominała Sala. „Umieścił nas obie w biurze, gdzie przechowywano plany samolotów i przez osiem miesięcy miałyśmy spokój! Naprawdę nam się udało. Nie musiałyśmy ciężko pracować, miałyśmy wolne niedziele, a podczas nalotów zabierano nas nawet do schronów. Tyle że w tej części fabryki było zimno, więc owijałyśmy się gazetami, żeby się ogrzać”.

Po dniu spędzonym w biurze Sala i Estera dołączały do pozostałych kobiet i razem ruszały w długą drogę powrotną. W baraku wszystkie cztery siostry próbowały

wspierać się nawzajem, żeby nie podupaść na duchu. „Dzielenie się troskami bardzo nam pomagało” – mówiła Sala. „Wszystkie się wspierałyśmy, zwłaszcza jeśli któraś zaczynała się załamywać. Powtarzałyśmy sobie, że jutro będzie lepiej. Zawsze było jakieś jutro”.

Pomimo nieustannego koszmarnego poczucia głodu kobiety wciąż fantazjowały na temat uczt i wymieniały się przepisami. Popularną rozrywką było „zapraszanie” koleżanek na wielodaniowe posiłki i opowiadanie przy okazji o tym, jak należy przygotować wszystkie potrawy, a potem kulturalne ich spożywanie, aż w świecie marzeń wszystkie już miały pełne brzuchy. Inna ulubiona zabawa polegała na niekończącym się rozważaniu, co każda z nich najbardziej chciałaby zjeść, jak już wojna się skończy i nadejdzie ten magiczny, mityczny moment znany jako „POTEM” (choć nikt tak naprawdę nie wiedział, czy w ogóle on kiedyś nastąpi). Największą popularnością cieszyła się wizja grubej kromki świeżego chleba z masłem – choć młodsze dziewczęta marzyły czasem o słodyczach. Wysoką pozycję w rankingu zajmowały też zawsze świeże dorodne ziemniaki przyrządzane na wiele sposobów – ale najczęściej smażone.

Te spośród kobiet, którym przez całe wcześniejsze życie gotowały matki lub gosposie, opowiadały potem, że właśnie we Freibergu nauczyły się przygotowywać potrawy – choć sama lista składników potrzebnych do

wyszukanych dań powodowała, że nie bardzo mogły się skupić. Czasem pozorna rozrywka zamieniała się w torturę, zbyt mocno przypominała im bowiem o ich matkach, babkach i wygodnym życiu „PRZEDTEM”, wraz z jego wszystkimi zapachami i rodzinnymi zwyczajami. Więźniarki przypominały sobie wówczas apetyczną woń świeżo pieczonego chleba, aromat zaparzonej kawy czy też zapach i gładkość mydła lawendowego, którym myły ręce przed posiłkiem. Gdy patrzyły przy tym na swoje usmolone palce, niemal chciało im się śmiać.

„Nagle przerywałyśmy tę zabawę, krzyżąc: »Stop! Nie będziemy o tym mówić!«” – opowiadała Lisa Miková. „A pół godziny później zaczynałyśmy od nowa. Myśli o jedzeniu zaprzętały cały czas naszą uwagę i górowały nad wszystkim innym. Marzyłyśmy o mięsie, kluskach i zwykłych rzeczach, takich jak szynka i chleb. Często powtarzałam, że gdybym tylko miała pod dostatkiem ziemniaków i chleba, nic więcej już bym od życia nie chciała”.

Pewnego dnia Gerty Taussig znalazła surowego ziemniaka i zaraz się nim podzieliła z przyjaciółką. „Bardzo cienko go pokroiłyśmy, a potem zjadłyśmy” – opowiadała. „To była najsmaczniejsza rzecz, jaką w życiu jadłam. Mówiłam sobie: »Jeśli przeżyję, to nie będę już jeść nic innego«. Żałowałyśmy tylko, że tak szybko się skończył”.

Efektom skrajnego niedożywienia była nie tylko

dramatyczna utrata wagi, ale też najróżniejsze problemy natury medycznej, których ani nie leczono, ani nawet nie zauważano. Klara Löffová zaczęła w pewnym momencie cierpieć z powodu bólu zęba. „Początkowo nie zwracałam na to uwagi, ale po kilku dniach miałam spuchnięte i nabrzmiące pół twarzy, tak że nic nie widziałam” – wspominała. „Komendant obozu zabrał mnie do dentysty w centrum miasta. Przez całą drogę szedł za mną, uzbrojony w karabin z bagnetem. Wyglądało to tak, jakby złapał groźnego szpiega”. Dentysta otrzymał informację, że Klara jest więźniarką, w związku z czym ma wykonać tylko „niezbędne czynności” i „nie marnować” środków przeciwbólowych. Esesman chciał zostać w gabinecie i przyglądać się zabiegowi, ale dentysta go wyprosił, mówiąc, że nie ma tam dość miejsca, żeby mógł w spokoju pracować. „Weszłam do ciepłego czystego gabinetu” – opowiadała Klara. „Dentysta był bardzo miły. Oczy wezbrały mi łzami, a on mnie spytał, czy tak bardzo boli. Odpowiedziałam, zgodnie z prawdą, że nie płaczę z bólu, tylko dlatego, że od dawna nikt mnie nie traktował jak człowieka. Podał mi znieczulenie, ale powiedział, że jeśli komendant mnie spyta o zabieg, mam mówić, że strasznie bolało. Nie miałam zastrzeżeń. Pozwolił mi spędzić na fotelu ponad godzinę. Cieszyłam się każdą minutą, a po tygodniu z radością przyszedłam na całkiem niepotrzebną wizytę kontrolną”.

Tego rodzaju akty miłosierdzia nie były jednak częste, a większość kobiet codziennie walczyła o życie. Choć wcześniej myślały, że nie ma nic gorszego od Auschwitz, teraz zaczęły sobie zdawać sprawę, że obozu we Freibergu też mogą nie przeżyć. „Wiedziałyśmy, że nikomu nie zależy, żebyśmy przeżyły” – mówiły kobiety. „A tak chciałyśmy żyć!” Kolejne dni miały bez cienia nadziei. Śmierć zdawała się już tylko kwestią czasu – więźniarki mogły zginąć nie tylko z głodu czy z rąk strażników, ale też w wyniku coraz częstszych alianckich nalotów.

Podczas gdy w fabryce pracowała pełna zmiana kobiet (w tym Priska, Rachel i Anka), bombowce RAF-u zaatakowały Drezno, oddalone o czterdzieści kilometrów od Freibergu. Marszałek lotnictwa Arthur Harris wydał rozkaz przeprowadzenia serii nalotów na miasto między 13 a 15 lutego 1945 roku. Większość mieszkańców Drezna żyła w przekonaniu, że nie będzie ono celem ataków ze względu na zabytkową architekturę i status ośrodka kulturalnego. Mało kto miał świadomość, że znajdowało się ono bezpośrednio na planowanej przez Niemców linii obrony Rzeszy, przebiegającej wzdłuż linii Łaby, od Hamburga do Pragi, a tym samym znalazło się w centrum zainteresowania aliantów.

Nieco ponad pięć lat wcześniej naziści przeprowadzili strategiczne bombardowania polskich miast, takich jak Wieluń czy Warszawa, a potem jeszcze śmiercionośne

naloty na Rotterdam. Od września 1940 roku do maja 1941 trwały niemieckie ataki na Londyn, które pochłonęły dwadzieścia tysięcy istnień ludzkich. Przez siedemdziesiąt sześć kolejnych nocy samoloty Luftwaffe bombardowały brytyjską stolicę i zniszczyły ponad milion domów. Niemal w tym samym czasie, od sierpnia 1940 do maja 1941 roku, trwały naloty na portowy Liverpool i okolice; zginęły wówczas prawie cztery tysiące ludzi. Na przemysłowe miasto Coventry najpierw przeprowadzono siedemnaście mniejszych ataków lotniczych, a potem, 14 listopada 1940 roku, z ponad pięciuset bombowców zrzucono na nie nocą około pięciuset ton bomb i pocisków zapalających, w wyniku czego ponad cztery tysiące domów zostało zrównanych z ziemią i zniszczeniu uległy dwie trzecie wszystkich budynków. Kilkaset osób zginęło, a ponad tysiąc zostało rannych. W ciągu następnych dwóch lat przeprowadzono jeszcze kolejne ataki; w sumie we wszystkich nalotach na Coventry śmierć poniosło tysiąc dwustu trzydziestu sześciu jego mieszkańców.

Pod koniec wojny coraz więcej nalotów przeprowadzali alianci. Równali z ziemią niemieckie miasta – przede wszystkim Hamburg i Berlin, ale również mniejsze ośrodki, takie jak Darmstadt, Pforzheim czy Swinemünde (dzisiejsze Świnoujście). Najwięcej kontrowersji wzbudziło jednak bombardowanie Drezna, zwanego „perłą kultury

europiejskiej” ze względu na bogatą architekturę w stylu barokowym i rokokowym.

Trzynastego lutego 1945 roku około godziny dziesiątej wieczorem we Freibergu rozległo się wycie syren przeciwlotniczych, w okolice miasta zbliżały się brytyjskie bombowce Lancaster po pięciogodzinnym locie z Lincolnshire w Anglii. Strażnicy zamknęli większość więźniarek (w tym Priskę, Rachelę i Ankę) na ostatnim piętrze fabryki (która zresztą mogła być celem ataku RAF-u), a sami, wraz z brygadzystami i zwykłymi pracownikami zakładu, uciekli do schronów w piwnicy.

Kobietom kazano wyłączyć światła i zaciągnąć zasłony zaciemniające, żeby nie zwracać uwagi pilotów, one jednak natychmiast rzuciły się do okien, żeby zobaczyć setki ciężkich bombowców przelatujących nad miastem. Kilkakrotnie widziały, jak jakiś samolot pomału okrąża fabrykę, jakby odbywał tylko lot ćwiczebny. Zastanawiały się wówczas, czy następny ładunek bomb spadnie prosto na nie. „Pragnęłyśmy wręcz, żeby samoloty RAF-u zrzuciły na nas bombę, bo fabryka wówczas musiałaby wstrzymać produkcję... ale jakoś nas ominęły” – opowiadała Anka.

Rachela również wspominała, że podczas bombardowań Drezna kobiety patrzyły na ciemne niebo i krzyczały: „Chodźcie tutaj! Nas zbombardujcie! My i tak zginiemy!”. „Byłyśmy absolutnie przekonane, że żadna z nas nie przeżyje” – tłumaczyła. „Zastanawialiśmy się

tylko, jak długo uda nam się wytrzymać. Dopiero po nalotach na Drezno zaczęło nam świtać, że może mamy jakieś szanse”.

Garstce niemieckich strażników kazano pełnić wartę przed drzwiami, żeby więźniarki nie uciekły. Utyskiwali z goryczą, że muszą się tak narażać. „Mówili nam, żebyśmy nie patrzyły przez okna i nie dawały pilotom znaków świetlnych” – opowiadała Lisa Miková. „Nas rozpierała radość, a oni byli wściekli, że tak się cieszymy”.

Choć Drezno było dość daleko, nocne niebo nad Freibergiem rozświetlały wybuchy bomb i pocisków zapalających, które siały zniszczenie w stolicy Saksonii. Szacuje się, że zginęło wówczas dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców miasta, a powstała w wyniku bombardowania burza ogniowa, od której niebo zalała wielka czerwona łuna, strawiła ponad dwadzieścia kilometrów kwadratowych powierzchni metropolii. „To był najwspanialszy spektakl, jaki w życiu widziałam” – wspominała Anka. „Patrzyliśmy na ogień z tych wszystkich bomb zapalających i na kolory mieniające się na niebie. Życzyliśmy tym Niemcom wszystkiego, co najgorsze. To było... cudowne. Wreszcie poczuliśmy satysfakcję. Po wojnie wszyscy mówili jak najgorzej o »Rzeźniku Harrisie«, ale dla mnie to był święty człowiek”.



Zbombardowane Drezno

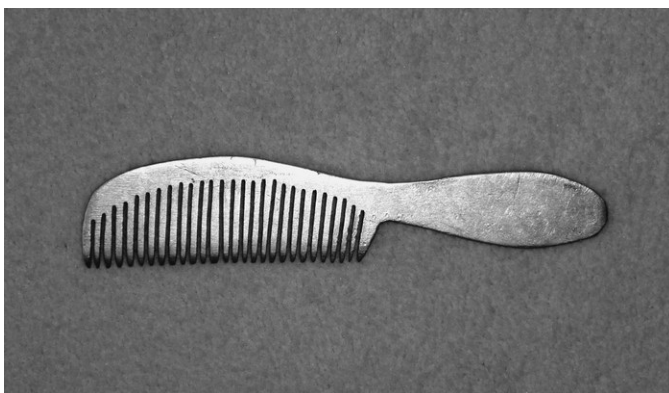
Nazajutrz jeden z brygadystów wrócił ze zniszczonego miasta i opowiadał, że w zabytkowym śródmieściu nie ostał się „ani jeden kamień” i nie było żadnej rodziny, która by nie ucierpiała. Jak jednak wspominała Gerty Taussig, więźniarek nie obchodził los ludzi, którzy głosowali na Hitlera – szkoda im było tylko spalonych dzieł sztuki i zabytków. „Jedna ze strażniczek żaliła nam się, jak strasznie ich to poruszyło” – opowiadała Rachela. „Powtarzała wciąż: »Nasze miasto! Nasi ludzie!«. Mówiła, że jeśli któraś z nas okaże choć odrobinę entuzjazmu w kwestii bombardowania, albo chociaż spojrzy w kierunku okna, zostanie zastrzelona”. Rachela szybko ostrzegła pozostałe więźniarki, żeby były bardziej powściągliwe w okazywaniu uczuć.

Pierwszy nalot na Drezno przeprowadzono nocą. Nazajutrz nadleciały kolejne samoloty, które w ciągu dnia zrzuciły ponad siedemset ton bomb. Następnego dnia zbombardowano jeszcze przedmieścia. „To był potworny ogień” – wspominała Lisa Miková. „Powstała tak jasna luna, że można było przy niej czytać. Ale muszę powiedzieć, że nie żałowałyśmy nikogo. Mówiliśmy sobie: »A co z naszymi rodzicami i mężami? Kto to wszystko zaczął?«. Nie przejmowałyśmy się, choć wiedziałyśmy, że z pewnością zginęły tysiące ludzi, w tym kobiety i dzieci. Następnego dnia strażnicy byli wściekli i strasznie się na nas wyżywali. Bili nas i nie pozwalali nam korzystać z toalety”.

Nagle pojawienie się we Freibergu smętnych kolumn uchodźców z Drezna taszczących swój dobytek rozbudziło w więźniarkach nadzieję. Wspomnienie setek alianckich samolotów przelatujących nad ich głowami pozwalało im wierzyć, że wkrótce mogą zostać ocalone. Gdy wysyłano je na ulice do uprzątnięcia gruzu po mniejszych nalotach, z przyjemnością patrzyły na zniszczenia dokonane przez aliantów. Rachelę żałowała tylko, że nie uszkodzono linii kolejowej. „Dlaczego nie zbombardowali torów ani pociągów?” – zastanawiała się. „Przecież wówczas nikogo by już nie wywieziono do obozu!”

Wskutek kolejnych nalotów fabryka we Freibergu utraciła linie zaopatrzenia, przez co przed 31 marca

skończyły się surowce. Nie było już paliwa pozwalającego uruchomić maszyny, a w dostawach energii elektrycznej zdarzały się przerwy. Wstrzymano więc produkcję. Strażnikom zależało jednak na posadach, przykazali więźniarkom, że mają sobie znaleźć w fabryce jakieś zajęcia – wytwarzały więc różne przedmioty z niepotrzebnych skrawków metalu: na przykład nożyki, których potem używały do ścinania „najwykwintniejszej rośliny na świecie”, czyli trawy. Teraz, gdy śnieg już stopniał, mogły ukradkiem sięgać i zrywać całe jej kępy, gdy szły do fabryki lub z niej wracały. Niektóre więźniarki porobiły też sobie małe grzebyki z aluminium. Choć większość kobiet od czasu przyjazdu z Auschwitz ponownie ogolono, to i tak na ich głowach pojawiały się już szorstkie kępki włosów. Posiadanie tak cennego przedmiotu jak grzebień pozwalało wrócić myślami do czasów, gdy prowadziło się bardziej cywilizowane życie.



Grzebień wykonany z blachy lotniczej we Freibergu

Jedna z koleżanek Gerty Taussig bardzo się cieszyła z posiadania takiego grzebienia, stale trzymała go w zaciśniętej dłoni, żeby ktoś jej go nie ukradł. Podczas apelu zauważył to strażnik i wyrwał jej grzebień z rąk. „Na co ci to?” – warknął.

„Do czesania moich pięknych włosów” – odpowiedziała kobieta, przejeżdżając dłonią po krótkiej szczecinie pokrywającej jej głowę. Nawet strażnik się na to roześmiał, ale i tak nie oddał jej grzebienia.

Pewnego ranka Priska – w dziewiątym miesiącu ciąży i mocno osłabiona – spóźniła się na apel, który jak zwykle odbywał się o świcie, w niezrozumiałym pośpiechu. Miała spuchnięte kostki, a w stopach czuła tętniący ból, szła więc bardzo powoli. Jeden ze strażników zaraz ruszył w jej stronę. „Dlaczego się spóźniasz?” – spytał groźnie.

„Moje spóźnienie chyba nie osłabi Rzeszy” – uśmiechnęła się blado.

Strażnik rzucił się na nią z pięściami i ją pobił za tę impertynencję. Upadła na ziemię i skuliła się, żeby chronić brzuch. Strażnik był tak brutalny, że mało brakowało, a zabiłby i ją, i jej dziecko. Kiedy w końcu dał jej spokój, kobiety stojące po obu jej stronach pomogły jej się podnieść. „Już dobrze, dobrze” – mówiła, czując smak krwi w ustach, po czym spróbowała nawet zażartować.

„Lepsze to niż kulka w łeb”. Wierząc w siłę wyższą, powiedziała w duchu do dziecka w swoim łonie: „Wiedziałam, że przeżyjesz”.

Zimowe chłody stopniowo zaczęły ustępować cieplejszemu powietrzu. Nadeszła wiosna, minęło już sześć lat, odkąd naziści zaczęli wprowadzać swoje porządki na terenie Czechosłowacji. Więźniarki słyszały śpiewające za oknami ptaki, widziały, jak na drzewach pojawiają się pierwsze pąki, i wciąż się zastanawiały, co przyniosą kolejne tygodnie i miesiące. Wielu brygadzystów wysłano na front, a kobietom kazano rozmontowywać maszyny fabryczne, które miały zostać przewiezione w inne miejsce. Trudno było stwierdzić, czy to dobra czy zła wiadomość. Wśród kobiet krążyły najróżniejsze pogłoski. Może zostaną „zlikwidowane”? Czy esesmani zastrzelą je w barakach, a dopiero potem uciekną? Czy może zabiorą je razem z maszynami gdzieś indziej? Najbardziej się obawiały, że trafią z powrotem do Auschwitz. Nie miały pojęcia, że już w styczniu wyzwoliła go Armia Czerwona (inne obozy zagłady, takie jak Treblinka, Belzec i Sobibor, Niemcy zlikwidowali znacznie wcześniej).

Więźniarkom kazano wstrzymać pracę, pozostało im więc tylko czekać. Większość czasu spędzały w barakach. Niektórym wyznaczono bezsensowne zadania, takie jak przenoszenie kamieni z miejsca na miejsce, co miało stwarzać pozory, że robią coś pożytecznego. Ponieważ

jednak nie przyczyniały się już do rozwoju Rzeszy, ograniczono im racje żywnościowe – dziennie otrzymywały teraz dwieście gramów chleba i pół porcji obrzydliwej, nieposolonej zupy, ale i tak łapczywie się na nią rzucały. „Twierdzili, że jak się nie pracuje, to nie trzeba tyle jeść” – opowiadała Lisa Miková. „A potem codziennie dostawałyśmy tylko chleb, a zupę już tylko co drugi dzień. To było potworne. Byłyśmy pewne, że nas zabiją”.

Kobiety już dawno nie miały tkanki tłuszczowej, teraz zaczęły tracić też resztki masy mięśniowej, a wraz z nią wszelką życiową energię. Pod ich szarą napiętą skórą, która wciąż się łuszczyła i pękała, wyraźnie rysowały się kości. Z trudem łapały płytki oddech, z ich ust dochodziła nieprzyjemna woń, a nogi i stopy miały tak spuchnięte, że czasem aż trudno im było chodzić. Spadła ciepłota ich ciał, przez co wciąż drżały i łatwo zapadały na infekcje. Kobiety cały czas jednak trzymały się razem i próbowały się wspierać w niedoli. Priska miała przy sobie Editę i inne koleżanki (należała do nich Magda Gregorová, której mężem był słynny słowacki aktor Martin Gregor), Rachela trzymała się z siostrami, a Ance stale towarzyszyła Micka i koleżanki z Pragi (między innymi Klara Löffová i Lisa Miková). „Kiedy jeszcze pracowałyśmy i przez długie godziny stałyśmy razem, dużo więcej rozmawiałyśmy” – wspominała Lisa Miková. „Przypominałyśmy sobie różne wiersze i inne rzeczy, aż

w końcu strażnicy się darli, żebyśmy nie rozmawiały. Potem próbowałyśmy to samo robić w barakach. Opowiadałyśmy sobie historie, wspominałyśmy filmy i książki. Czasem to pomagało, a czasem nie. Niektóre kobiety zaczynały krzyczeć, żebyśmy się zamknęły, bo przypominamy im o dawnym życiu. A wspomnianie dawnego życia było wtedy nie do zniesienia”.

Tak więc dalej czekały, podczas gdy Niemcy przez kilka dni próbowali w panice zdecydować, co dalej robić. Więźniarki wciąż nie miały kontaktu ze światem i nie wiedziały, że kluczową bitwę o Zagłębie Ruhry lada chwila wygrają alianci ani że Kolonia i Gdańsk już skapitulowały. Nie słyszały też serwisów radiowych nadawanych przez aliantów ani nie czytały ulotek zrzuconych nad Rzeszą, w których powtarzała się informacja, że Hitler zaraz przegra wojnę. Wiedziały jedno – że są straszliwie głodne i przerażone. Z niepokojem oczekiwały, co przyniesie im los. Wciąż wybuchały między nimi sprzeczki, panujące w barakach napięcie sięgało zenitu.

Pewnego ranka, na początku kwietnia 1945 roku, gdy kobiety myły się w zimnej wodzie, jedna z czeskich więźniarek zauważyła ogromny brzuch skrywany przez Priskę pod obszerną sukienką i wpadła w panikę (kobieta przez całą wojnę ukrywała przed Niemcami rodzinne diamenty, a teraz przeraziła się, że gdy strażnicy dowiedzą się o stanie Priski, zaczną na nowo wszystkie

więźniarki przeszukiwać, a może nawet je zabija). „Wszystkie przez ciebie zginiemy!” – krzyczała histerycznie. „Będiesz nas miała na sumieniu!” Jej wzburzenie przyciągnęło uwagę strażniczek – zaraz przybiegły i zaczęły się dopytywać, co się stało. „Ona jest w ciąży! W ciąży!” – wrzeszczała kobieta, wskazując Priskę palcem.

Priska zamarła, a jej serce biło jak oszalałe.

„Czy to prawda?” – spytała z niedowierzaniem jedna z esesmanek, wpatrując się w Priskę, która była niedożywiona i ważyła około trzydziestu kilogramów. „Jesteś w ciąży?”

„Tak” – wyszeptała w końcu Priska, przekonana, że zaraz ją zastrzelą.

Strażniczki popatrzyły na siebie i pokręciły głowami z niedowierzaniem. Przez chwilę milczały, a Priska czekała na wyrok, wstrzymując oddech. „Kiedy masz rodzić?” – spytała w końcu jedna z esesmanek.

„Niedługo. Lada chwila”.

Strażniczki odeszły, żeby się naradzić, a Priska opadła na pryczę. Wieści o jej stanie szybko się rozeszły wśród więźniarek. Kobiety zaczęły się schodzić i zapewniać ją, że nic strasznego się nie stanie.

Mijały kolejne dni i rzeczywiście nic się nie działo. Życie w obozie toczyło się zwykłym trybem. Aż pewnego dnia do Priski podeszła jedna ze strażniczek i spytała ją cicho: „Czego ci potrzeba?”.

Priskę w owym czasie najbardziej bolały stopy – były spuchnięte i pokryte strupami, z których sączyła się ropa. Odpowiedziała więc niemal bez wahania: „Bardzo bym chciała namoczyć stopy w ciepłej wodzie”. Ku jej zdumieniu, przyniesiono jej miskę gorącej wody. Pozostałe więźniarki patrzyły z niedowierzaniem, jak siedzi w brudnych łachmanach pełnych wszy i innych insektów, mocząc stopy w parującej misce. Priska opowiadała potem, że czuła się jak królowa – woda była naprawdę gorąca i dawała poczucie luksusu i prawdziwej rozkoszy.

„Ludzie stali się dla mnie bardzo mili, ponieważ było im mnie żal” – tłumaczyła. „Nikt nie wierzył, że moje dziecko przeżyje ani że w ogóle urodzi się zdrowe”. Wiedziała, że niespodziewana serdeczność okazana jej przez strażniczki wynika zapewne z ich potrzeby wykazania się rzekomą szlachetnością, ale i tak się z niej cieszyła. „Bardzo się z mężem kochaliśmy, a ja z całego serca pragnęłam mieć z nim dziecko” – wspominała.

O ciąży Anki również już wszyscy wtedy wiedzieli, choć czeska lekarka nikomu nie zdradziła tajemnicy swojej pacjentki. Inne więźniarki zauważyły jednak jej brzuch, wyraźnie rysujący się pod sukienką. „Byłam coraz chudsza, a mój brzuch był coraz większy” – opowiadała Anka. „Niektóre ze strażniczek już o tym wiedziały. Gdyby prawda wyszła na jaw przed 18 stycznia, odesłano by mnie z powrotem do Auschwitz.

Ale ten obóz już nie istniał, nie mieli więc dokąd mnie odesłać. Tyle że ja tego nie wiedziałam, bo skąd. Gdy mnie spytali, czy jestem w ciąży, musiałam się przyznać. Nie mogłam już dłużej tego ukrywać, a oni z kolei nie mogli mnie nigdzie wysłać”.

Anka była wprawdzie koszmarnie wychudzona, ale jej piersi wezbrały mlekiem i zrobiły się wielkie i ciężkie. Powodowało to wielki dyskomfort, jako że jej szorstkie ubranie wciąż je drażniło – zwłaszcza wtedy, gdy musiała jeszcze codziennie chodzić do fabryki i z powrotem. Jej przyjaciółka Micka pożyczyła od kogoś igłę i nitkę, żeby z kawałka szmatki uszyć jej biustonosz. Nie wyszedł najlepiej i miał dość osobliwie sterczące miseczki, ale Ance tak ogromnie się spodobał, że nosiła go do końca wojny.

Tajemnica Racheli, która przez dziewięć miesięcy ukrywała ciążę nawet przed siostrami, również została odkryta przez inne więźniarki na początku kwietnia. Jedna z nich poszła do jej sióstr i spytała: „Wiecie, że Rachelą jest w ciąży?”.

„Chyba oszalałaś!” – nie chciała uwierzyć Bala. „Przecież śpię z nią na jednej pryczy!”

„To niemożliwe!” – krzyknęły jednym głosem Sala i Estera, które pracowały wprawdzie na innej zmianie i w innym miejscu, ale przecież codziennie widziały Rachelę, gdy wracała do baraku, i nic nie zauważyły.

Gdy siostry zdały sobie sprawę, że to prawda, oprócz

wielkiego zaskoczenia poczuły też wzmożony lęk. Rachela była już tak słaba, że ledwo chodziła, a do czasu zamknięcia fabryki często przebywała w izbie chorych. „Nie mogliśmy w to uwierzyć” – opowiadała Sala. „A potem ogromnie jej współczułyśmy. Jakie to straszne być w ciąży w takim miejscu!”

„Nie dostawałam żadnej dodatkowej żywności, a siostry nie miały jak mi pomóc” – wspominała Rachela. Starła się nie myśleć, co się stanie z nią samą i z jej dzieckiem.

Kilka dni później jedna z Niemek pracujących razem z Salą ukradkiem dała jej pomarańczę. „Niemcy bali się nam pomagać, ale mimo to dostałam od niej taki cudowny owoc w żywym kolorze” – opowiadała Sala. „Ta pomarańcza wydała mi się wtedy najpiękniejszą i najbardziej aromatyczną rzeczą, jaką w życiu widziałam. Chciałam ją zatrzymać dla siebie, ale schowałam ją pod sukienką i zaniiosłam Racheli. Ona i jej dziecko potrzebowali tego owocu bardziej niż ja”.

Więźniarki już wówczas nie miały prawie żadnych zajęć i przez większość dnia siedziały w barakach, otępiałe z głodu, jakiego większość ludzi nigdy nie zazna. Słyszały odgłosy ostrzałów i wiedziały, że alianci są już blisko, wciąż się obawiały, że lada chwila esesmani w panice je wszystkie zabiją. Niektórym z kobiet było już zresztą wszystko jedno.

W czwartek 12 kwietnia 1945 roku, w dzień po luksusie

moczenia nóg w gorącej wodzie, Priska Löwenbeinová zaczęła rodzić (dokładnie tę datę zresztą wcześniej wyliczyła). Pierwszy skurcz był tak silny, że zgięła się w pół. Położono ją na stole, na sporej desce. Doktor Mautnerová robiła co mogła, żeby bez leków ani jakiegokolwiek sprzętu medycznego pomóc Prisce urodzić pierwsze dziecko, które udało jej się donosić.

Za każdym razem, gdy Priska, sapiąc, siadała, żeby stawić czoło kolejnej fali skurczów, widziała przed sobą około trzydziestu gapiów, w tym strażniczki i blokowe. Niektórzy robili zakłady, czy urodzi się chłopiec czy dziewczynka. „Mówili, że jeśli to będzie dziewczynka, wojna się skończy, a jeśli chłopiec, będzie jeszcze długo trwać” – wspominała Priska.

Podczas gdy gapie zastanawiali się nad płcią dziecka, Priskę przeszywał ból, jakiego wcześniej nie знаła. Po kilku godzinach męczarni, o godzinie 15.50 (wedle wskazań zegarka jednej ze strażniczek) nadszedł ostatni potworny skurcz i na świat przyszła dziewczynka. Jej matka straciła przy porodzie tak dużo krwi, że – wzięwszy pod uwagę jej wcześniejsze poważne niedożywienie i anemię – mało nie pożegnała się z życiem.

„Dziewczynka! Dziewczynka!” – cieszyli się Niemcy. „Wojna wkrótce się skończy!” Kiedy jednak lepiej się jej przyjrzel, ktoś krzyknął: „To diablątko!”.

Dziecko, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa

nie powinno przeżyć dziewięciu miesięcy w wymizerowanym ciele swojej matki, przyciskało umazanymi krwią piąstkami swoje uszy. Przez chwilę nawet Priska przestraszyła się, że jej córeczka ma rogi. Część gapiów wpadła w panikę. Priska czuła wielką ulgę, że po tylu poronieniach udało jej się urodzić żywe dziecko, ale też nie opuszczały jej obawy, że może ono być upośledzone lub ułomne. Głowa niemowlęcia rzeczywiście wydawała się nieproporcjonalnie duża, ale głównie dlatego, że jego ciało było tak maleńkie (dziecko ważyło około 1600 gramów). Gdy Priska zdała sobie sprawę, że jej córeczka wygląda na całkiem zdrową, ogarnął ją wielki żal, że jej mąż Tibor nie może przy niej być i razem z nią przeżywać tej radości. Potem zaś powrócił do niej potworny strach o przyszłość.

Do tej pory jej córeczka była schowana przed światem i względnie bezpieczna w jej brzuchu. Teraz jednak ta bezbronna, naga i krucha istotka przyszła na świat opanowany przez nazistów. Była zbyt słaba, żeby płakać, i ledwo poruszała rachitycznymi nóżkami i rączkami. Gdy lekarka zawiązała jej pępowinę i otarła ją szmatką na tyle, na ile się dało, Priska mogła po raz pierwszy wziąć córeczkę w ramiona. Chudziutkie maleństwo miało ciało niemal całkiem pozbawione tłuszczu i mięśni. Na nóżkach zwisały fałdy luźnej skóry, niczym pończochy. Jak wspominała Priska, buźka dziecka była „strasznie pomarszczona”, ale dziewczynka patrzyła na świat

wielkimi niebieskimi oczami swojego ojca.

„Moja Hanka” – mówiła ze wzruszeniem Priska, wspominając chwile spędzone z mężem w wagonie bydłowym podczas koszmarnej podróży do Auschwitz, gdy szeptem uzgodnili, że dziewczynce dadzą na imię Hanka, a chłopcu – Miško.

Patrząc na trzymane w ramionach maleństwo o kształtnej główce i maleńkim nosku, poczuła, jak na usta stopniowo wypływa jej uśmiech. „Myśl tylko o pięknych rzeczach” – mówił jej Tibor, zanim zostali rozdzieleni na rampie w Birkenau, a jego słowa na zawsze wryły się w jej sercu. Już we Freibergu Priska w duchu postanowiła, że jeśli w drodze do fabryki i z powrotem będzie patrzeć tylko na ładne dzieci, to jej maleństwo nie tylko przeżyje, ale też będzie śliczne. Podczas gdy pozostałe więźniarki ze spuszczoneymi oczami tuliły się do siebie, ona specjalnie się rozglądała za aryjskimi dziećmi o jasnych włosach i błękitnych oczach. Modliła się, żeby mogła urodzić takie właśnie dziecko z zadartym noskiem. Nie chciała, żeby jej maleństwo odziedziczyło po niej typowo żydowski wygląd; miała nadzieję, że będzie bardziej przypominało swojego ojca, który miał jaśniejszą cerę i włosy.

Jej życzenie się spełniło. Maleńka Hanka wydała się matce niemal ideałem. Poczęta z miłości w mieszkaniu w Bratysławie przez zakochaną parę, która tak wiele już straciła, ta maleńka istotka przetrwała nazistowską

okupację, ciężkie warunki w Auschwitz, surową zimę oraz sześć miesięcy hałasu, przemocy, głodu i ciężkiej pracy wykonywanej przez jej matkę, aż w końcu przyszła na świat w rozdartej wojną Europie. Swoim narodzeniem zdawała się pytać obie strony konfliktu, czy stać je na coś lepszego. „To było najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam” – mówiła Priska o swojej skrajnie wychudzonej córeczce. „Tak wiele razem przeszliśmy, a jednak wciąż żyliśmy!” Priska miała świadomość, że nie udałoby im się przeżyć, gdyby nie dobre serce poznanej w pociągu Edity, która jej pomagała przez te wszystkie bardzo trudne miesiące. Postanowiła więc, że jej córeczka będzie się nazywać Hana Edita Löwenbein.

Trudy porodu i związana z nim utrata krwi były tak poważne, że wymizerowana Priska wkrótce opadła na położoną na stole deskę półprzytomna. Jej córeczka miała tak wielką niedowagę i tak mało tłuszczu chroniącego jej ciało przed chłodem, że groziła jej hipotermia. Doktor Mautnerová nie dysponowała żadną żywnością ani nie mogła zapewnić noworodkowi i matce należytej opieki medycznej, nie była więc pewna, czy w ogóle przeżyją. Przez kolejną dobę Priska przez większość czasu leżała pogrążona w głębokim śnie (podobnie zresztą jak jej córeczka). Gdy tylko się budziła, z radością tuliła swoje maleństwo. Chwilami nie mogła się powstrzymać i opuszką palca delikatnie unosiła

nosek Hany, żeby stał się jeszcze bardziej zadarty.

Jako że zbliżał się koniec wojny, a rygorystyczne wcześniej zasady uległy pewnemu rozluźnieniu, Priskę odwiedziło kilka koleżanek, w tym Edita, która rozplakała się na wieść, że dziecko otrzymało po niej drugie imię. Kobiety zebrały przydzielone im małe porcje dżemu i zmieszały go z odrobiną wody, żeby zrobić syrop dla dziecka – przyniosły go w najczystszy kubku, jaki miały. Znalazły też nieco miękkiej białej bawełny z napisem KZ Freiberg i uszyły z niej dla Hani kaftanik z wyszywanym kołnierzykiem oraz czapczkę z niebieską obwódką i małymi czerwonymi kwiatkami. Dla Priski te ubranka na zawsze pozostały najcenniejszym skarbem.



Ubranko niemowlęce Hany uszyte z materiału fabrycznego

Odwiedzające Priskę koleżanki przekazały jej wiadomość, że w dniu narodzin Hanki amerykański prezydent Franklin Delano Roosevelt zmarł w wyniku krwotoku śródmózgowego. Miał sześćdziesiąt trzy lata, do władzy doszedł w tym samym roku co Hitler. Jedna z więźniarek usłyszała, jak któraś ze strażniczek głośno przekazuje koleżankom tę „dobrą nowinę”. Więźniarki modliły się, żeby jego śmierć nie stała się powodem przedłużenia wojny.

W drugim dniu życia niedożywiona Hana niemal rzuciła się na piersi matki. „Wyssała całe mleko, jakie miałam, choć tak naprawdę była to raczej woda” – wspominała Priska. „Była bardzo dobrym dzieckiem. Piła mleko, a potem zasypiała, popłakując”. Priska chętnie przekazywała dziecku wszelkie substancje odżywcze, ale karmienie piersią jeszcze bardziej ją osłabiało, a Hanka nawet po karmieniu nadal była wiotka i blada. Cały czas żałośnie pojękiwała.

Po porodzie Priska leżała z dzieckiem przez trzydzieści sześć godzin, niezbyt świadoma, co się dzieje dookoła. Czternastego kwietnia zaraz po północy wyrwał ją ze snu zastępca komendanta, który wpadł do baraków i oznajmił, że obóz zostanie ewakuowany. „*In einer Stunde muss alles marschbereit sein!*²⁸” – wrzeszczał. Oznaczało to, że Priska i jej nowo narodzone dziecko też mają ruszyć w drogę. Miała nadzieję, że skoro nie zastrzelili jej w łóżku ani nie zostawili na pastwę głodu i chłodu, to

może ona i małeństwo mają jeszcze jakieś szanse przetrwania. „Do miasta zbliżała się Armia Czerwona, Niemcy więc uciekali i zabierali nas ze sobą” – tłumaczyła.

W połowie 1944 roku Niemcy zaczęli sukcesywnie przeprowadzać ewakuacje więźniów z obozów w okupowanej Europie. Był to swego rodzaju wyścig z czasem; choć naziści zdawali sobie sprawę, że prawie na pewno przegrają wojnę, wciąż dążyli jeszcze do unicestwienia europejskich Żydów i robili wszystko, żeby cel ten osiągnąć. Tysiące więźniów zostały przed ewakuacją zagazowane lub zastrzelone, dla niektórych jednak przewidziano inny los. Nazistowscy przywódcy uważali, że niezależnie od wyniku wojny będą potrzebować niewolniczej siły roboczej do odbudowania Rzeszy. Podjęto więc decyzję, że pozostający przy życiu więźniowie obozów usytuowanych na wschodzie zostaną przeniesieni w głąb Rzeszy, gdzie wykorzysta się ich do pracy.

O ile było to możliwe, najchętniej przewożono więźniów pociągami, co było najszybszym i najskuteczniejszym sposobem dostarczania pracowników przymusowych, których dopiero ciężka praca miała potem zabić. Jeśli jednak nie było akurat taboru albo tam, gdzie tory lub stacje kolejowe ucierpiały wskutek bombardowań, więźniów zmuszano do pieszych wędrówek. Tak zwane marsze śmierci, które odbywały

się podczas jednej z najsrońszych zim dwudziestego wieku, stanowiły nowy rodzaj męczarni. W czasie tych marszów najslabsi ginęli, a przy życiu pozostawali tylko najsilniejsi.

Szacuje się, że z siedmuset tysięcy osób, które na początku 1945 roku żyły jeszcze w obozach koncentracyjnych i obozach zagłady, do końca wojny dotrwało jedynie czterysta tysięcy. W styczniu 1945 roku około sześćdziesięciu tysięcy więźniów pognano pieszo ponad pięćdziesiąt kilometrów do stacji kolejowych, gdzie pakowano ich do wagonów bydlęcych i wysyłano w głąb Rzeszy. Mniej więcej piętnaście tysięcy osób zmarło po drodze z wyczerpania, wychłodzenia i głodu; ludzie ginęli zarówno podczas marszu, jak i później w pociągach. Więźniowie ewakuowani z innych obozów również masowo umierali, jako że esesmani mieli rozkaz strzelać do każdego, kto nie jest w stanie dotrzymać innym kroku.

Więźniarki obozu we Freibergu musiały wykonać rozkaz ewakuacji – nawet Priska, która na pewno nie powinna ruszać w drogę tak szybko po porodzie, i jej dziecko, które w normalnych warunkach trafiłoby do inkubatora.

Rachela również nie była w najlepszej formie, lecz gdy się dowiedziała o ewakuacji obozu, dźwignęła się z pryczy, żeby ostrzec siostry. „Byłam strasznie osłabiona” – wspominała. „Nic nie byłam w stanie zrobić,

nawet urodzić. Ale tamtego wieczoru usłyszałam, że mają nas gdzieś zabrać. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, poszłam więc do sióstr i powiedziałam im, żeby się szykowały, bo zaraz ruszamy w drogę”. Opowiadała też, że Niemcy byli aż do ostatniej chwili świetnie zorganizowani i zdyscyplinowani. Rozkazali więźniarkom zniszczyć wszelkie ślady ich egzystencji w obozie i dokładnie oczyścić teren. Następnie kazali im po kolei opuszczać baraki i ustawić się piątkami, po czym ostatni raz pogonili je przez miasto, narzucając mordercze tempo. „Nie wiedzieli, dokąd nas wysyłają” – mówiła Rachel. „Otrzymali tylko rozkazy, żeby nas stamtąd zabrać, bo zbliżali się już Rosjanie”.

Lisa Miková była zaskoczona pośpiechem, w jakim przeprowadzono ewakuację. „Nagle, w środku nocy, kazali nam się spakować” – relacjonowała. „Zawsze robili to w środku nocy. Mówili, żeby wszystko zabrać: miski, łyżki i koce. Bez żadnego ostrzeżenia zapędzono nas po ciemku na stację i wysłano w nieznane. Nie wiedziałyśmy, że obóz w Auschwitz już nie istnieje, i bardzo się bałyśmy, że tam właśnie wrócimy. To by było najgorsze”. Choć był środek nocy, w całym mieście panowało wyraźne poruszenie. Wprawdzie po niebie wciąż przelatywały samoloty aliantów, mieszkańców bardziej przerażała zbliżająca się Armia Czerwona. Już nie tylko przebywający w mieście uchodźcy, ale i całe miejscowe rodziny pakowały się i ruszały w drogę na

południe – pieszo lub koleją.

Priska z dzieckiem na ręku oraz trzydzieści pięć złożonych chorobą kobiet opuściło obóz jako ostatnie. Początkowo kazano im iść w deszczu razem z innymi, ale już po kilkuset metrach stało się jasne, że dalej wędrować nie zdołają. Strażnicy odeszli na bok, żeby się naradzić, po czym powiedzieli pozostałym kobietom, żeby szły dalej i zostawiły wycieńczone koleżanki leżące na skraju drogi. „Myślały, że nas tam zastrzelą” – opowiadała Priska. „Żegnały się z nami i razem z nami płakały”.

Okazało się jednak, że kobiety nie zostały zastrzelone na oczach mieszkańców miasta, tylko zapakowane do wojskowej ciężarówki. Zatrzaśnięto za nimi drzwi i samochód ruszył. Mała Hanka była tak apatyczna, że nawet nie płakała i prawie się nie poruszała – na skórze miała coraz więcej paskudnych wykwitów. Priska trzymała córeczkę blisko swojego ciała, pod obszerną sukienką, żeby jakoś ogrzać zziębnięte ciało. Jadące trzęsącą się ciężarówką kobiety nie miały pojęcia, dokąd zmierzają. Obawiały się, że zostaną wywiezione gdzieś poza miasto i tam zastrzelone. Inne, które słyszały o obozach zagłady, takich jak Kulmhof, były przekonane, że zostaną zaczadzone spalinami. Priska całowała główkę małej Hanki i się modliła. „Jestem osobą wierzącą, mówiłam więc sobie, że teraz już wszystko w rękach Boga” – wspominała. „Wiedział przecież, w jakich warunkach przyszło mi rodzić, więc jakoś mi

pomagał”.

Jako że z jednej strony nadciągała Armia Czerwona, a z drugiej amerykańskie wojska, Niemcy nie mieli czasu do stracenia. Tymczasem z niezrozumiałych powodów ciężarówka zatrzymała się na dłuższą chwilę – uwięzione w niej kobiety umierały z niepokoju. Potem jednak samochód znów ruszył, aż w końcu zatrzymał się na dobre przy stacji kolejowej. Kobietom kazano wysiąść. Na ich widok pozostałe więźniarki bardzo się ucieszyły, myślały bowiem, że już ich nie zobaczą.

Wszystkie pociągi w całej Rzeszy i na okupowanych przez nią terytoriach przewoziły żołnierzy lub amunicję na oba fronty i wracały. Nieliczne dostępne jeszcze wagony pasażerskie były zarezerwowane dla uciekających Niemców. Do transportu niespełna tysiąca Żydówek i pewnej liczby więźniów z sąsiednich baraków przeznaczono piętnaście odkrytych wagonów towarowych (tak zwanych węglarek) i kilka zwykłych wagonów bydłowych. Węglarkami przewożono wcześniej antracyt, po którym została na podłodze gruba warstwa czarnego pyłu. Niektóre wagony nosiły ślady wcześniejszej obecności ludzi lub zwierząt, a w jeszcze innych zalegała warstwa palonego wapna, drażniącego i tak już mocno poranione stopy więźniarek.

Wiosenna aura ustąpiła akurat zimnej i mokrej pogodzie, a z nieba najpierw padał deszcz, a potem deszcz ze śniegiem. Do każdego z otwartych wagonów

załadowano od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu kobiet, które za jedyną osłonę przed żywiołami miały cienkie kocyki. Zaryglowano włązy. W wagonach panował straszliwy ścisk. Jeśli któraś stanęła na palcach lub poprosiła koleżanki, żeby ją trochę uniosły, mogła wyrzucić na zewnątrz. Do każdego wagonu przydzielono niemiecką strażniczkę, która miała za zadanie pilnować, żeby więźniarki nie wyglądały na świat i nie pouciekały. Kobiety zastanawiały się w panice, dokąd je wywieżą. Jedna gdzieś słyszała, że mają je zabrać do podziemnej fabryki amunicji i tam żywcem pogrzebać. Inne obawiały się, że trafią do obozu macierzystego we Flossenbürgu w Bawarii (stanowiącego cel wielu marszów śmierci), gdzie czeka je masowa eksterminacja. Na co bowiem nazistom tyle wygłodzonych kobiet niezdolnych do ciężkiej pracy w kamieniołomach?

Priska myślała tylko o tym, jak przeżyć kolejne godziny. Wcisnięta między inne kobiety w jednym z odkrytych wagonów, naciągnęła Hance czapeczkę na oczy i osunęła się na pokrytą pyłem podłogę, starając się osłaniać córeczkę przed naporem innych ciał.

Kilka wagonów dalej jechała Rachel. Zbliżał się już jej termin porodu. Była tak osłabiona, że umieszczono ją razem z umierającymi, co miało swoje dobre strony – w wagonie panował mniejszy tłok niż w pozostałych, zdołała więc położyć się na niewielkiej przestrzeni między innymi kobietami, ściśniętymi jak sardynki

w puszcze. Poza siostrami Racheli i jeszcze paroma kobietami rozsianymi po całym pociągu nikt nie wiedział, że spodziewa się ona dziecka. Większość więźniarek nie miała też pojęcia o narodzinach Hany. Zresztą zajmowały się swoimi sprawami – każda walczyła o przetrwanie.

Anka, która też była już w dziewiątym miesiącu ciąży, wyglądała jak chodzący szkielet w łachmanach. Trafiła do odkrytej węglarki razem ze swoją przyjaciółką Micką, choć wcale nie była w stanie lepszym niż Rachela. Równie przerażona jak pozostałe kobiety, modliła się żarliwie, żeby nie zawieziono ich z powrotem do Auschwitz. Obiema rękami trzymała się ściany wagonu, żeby zachować równowagę, gdy pociąg z nagłym szarpnięciem ruszył naprzód.

Zaczynało świtać. Potężna lokomotywa ciągnęła wagony pełne wymizerowanych, zrozpaczonych ludzi. Zabierała ich z oblężonych Niemiec, ale nie wiadomo dokąd.

Pociąg



Więźniowie transportowani w odkrytych wagonach,
zima 1944 r.

Osoba stojąca na peronie we Freibergu tego mokrego ranka w kwietniu 1945 roku pewnie nie zwróciłaby specjalnej uwagi na pociąg towarowy, który powoli toczył się po torach prowadzących na zachód. Tak jak przy każdym innym odjeździe, nastawniczy dawał zapewne w półmroku znaki latarnią, naczelnik stacji dmuchał w gwizdek lub unosił chorągiewkę, żeby wskazać, że ze

stacji zaraz odjedzie „skład specjalny”, a maszynista otwierał przepustnicę, podczas gdy jego pomocnik sypał węgiel do komory paleniskowej.

Żeby się zorientować, że nie jest to zwykły pociąg wiozący zaopatrzenie lub amunicję na front, przypadkowy obserwator musiałby dostrzec czubki głów najwyższych więźniarek, minimalnie wystające ponad ściany wagonów. Nawet jednak gdyby zauważył je ktoś z mrowia przerażonych Niemców szukających na stacji możliwości ucieczki, raczej by nie podejrzewał, że gdzieś pomiędzy tymi psychicznie złamanymi, wymizerowanymi istotami znajduje się dwudniowy noworodek, a jeszcze dwoje dzieci ma się lada chwila urodzić. Zresztą zapewne niewiele by go to obchodziło.

Trzecia Rzesza dysponowała rozległą siecią torów kolejowych (które miały łączną długość przeszło sto tysięcy kilometrów i przecinały niemal całą Europę) oraz ponad dwunastoma tysiącami lokomotyw do pociągów pasażerskich i towarowych.

Nad wszystkim pieczę sprawowały niemieckie koleje państwowe (*Deutsche Reichsbahn*, w skrócie DR), aktywnie wspierane przez rządowe ministerstwa i związane z nimi przedsiębiorstwa. Oprócz podstawowych funkcji, jakie pełniły, takich jak przewożenie żołnierzy a także dostarczanie na front całej wojennej maszynerii oraz paliwa, pociągi przejęte przez Hitlera w okupowanej Europie stały się podstawowym instrumentem służącym

do osiągnięcia nadrzędnego celu: ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Nazistowskie pociągi przewoziły znaczną część milionów ludzi, których czekała rychła egzekucja lub powolna śmierć z wycieńczenia.

Naziści najchętniej upychali Żydów w potężnych drewnianych wagonach towarowych o ciężkich przesuwanych drzwiach. W eufemistycznym żargonie Rzeszy transporty te funkcjonowały jako *Sonderzüge* („pociągi specjalne”). Stłaczano w nich jak najwięcej ludzi, żeby w pełni wykorzystać potencjał komór gazowych. Kryte wagony miały tę zaletę, że więźniowie pozostawali niewidoczni i nie mieli żadnych szans na ucieczkę (opuścić pociąg przed stacją końcową mogli tylko zmarli). Dziesięciometrowe bydłące wagony pozwalały też zminimalizować koszty, tak żeby transporty nie przynosiły Niemcom strat. W połączonych wagonach bez problemu mieściło się tysiąc „sztuk” ładunku.

System opracowano z zatrwajającą dokładnością. Za przewożenie Żydów do obozów niemieckie koleje pobierały od SS opłaty według taryfy dla pasażerów trzeciej klasy (cztery fenigi od osoby za każdy kilometr trasy). Za transport powyżej czterystu osób przysługiwała zniżka w wysokości połowy ceny. Koszty ponosili niekiedy sami więźniowie – kazano im wносить opłaty w gotówce lub w kosztownościach; zdarzało się

też, że odpowiednie kwoty potrącano z „wynagrodzenia” przysługującego mieszkańcom gett. Dzieci poniżej czterech lat jeździły do komór gazowych za darmo, a dzieci do lat dziesięciu – za pół ceny. Biletów powrotnych system nie przewidywał.



Wagon towarowy z budką hamulcową używany do przewożenia więźniów

Miliony więźniów przewożono w nieludzkich warunkach, a ich gehenna mogła trwać od kilku godzin do paru tygodni. Najdłużej – aż osiemnaście dni – trwał transport z greckiej wyspy Korfu w czerwcu 1944 roku. Gdy w Auschwitz otworzono drzwi wagonów, spośród niespełna dwóch tysięcy pasażerów kilkaset osób już nie żyło, a pozostali byli umierający i w większości trafili

prosto do komór gazowych.

Niemieckie koleje państwowe pobierały też opłaty za przewóz strażników (którym oczywiście przysługiwały bilety powrotne). Gdy więźniów już upchnięto w pociągu, strażnicy wdrapywali się do budek hamulcowych (które w owym czasie dość często umieszczano na niewielkim podwyższeniu przy ścianie wagonu) lub siadali wygodnie w dołączonych do składu wagonach pasażerskich. Rzadko zdarzało się, żeby przebywali razem z więźniami w cuchnących wagonach towarowych. Niemniej jednak nie wszyscy strażnicy i pracownicy kolei chętnie asystowali przy tego rodzaju transportach. Podczas dwunastogodzinnej podróży z Theresienstadt do Auschwitz kilku żołnierzy przeżyło ponoć załamanie nerwowe i oświadczyło, że woleliby trafić na front.

Podobnego załamania doznał Czech Adolf Filipik, któremu – jako kierownikowi pociągu – powierzono pieczę nad transportem więźniów. Po dostarczeniu ich do obozu podobno nie był już zdolny do dalszej pracy. W Kolínie, oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów od Pragi, zarówno maszyniści, jak i kierownik pociągu również stracili panowanie nad sobą i nie byli w stanie jechać dalej. Osoby sprowadzone na zastępstwo dojechały tylko kawałek dalej, do miejscowości Český Brod, a potem też trafiły do szpitala. W takich sytuacjach funkcje maszynistów powierzano esesmanom.

Pomimo tego rodzaju nielicznych zakłóceń system

transportów działał bardzo sprawnie, a jego obsługa zwykle zachowywała zimną krew, dzięki czemu wagony towarowe były w ciągłym ruchu. Po dowiezieniu więźniów do celu pociągi czyszczone i wysyłano po kolejnych ludzi. W części bydłących wagonów znajdowały się sznury i metalowe kółka służące do wiązania zwierząt – z tego wyposażenia korzystali ci spośród więźniów, którzy woleli popełnić samobójstwo niż zdać się na niepewny los. Gdyby tymi samymi wagonami przewożono zwierzęta, zapewne byłyby one traktowane o wiele lepiej: podłogę wyścielono by słomą i przestrzegano by podstawowych zasad mających na celu minimalizację ich cierpienia. Tego rodzaju względy nie przysługiwały jednak wrogom Rzeszy.

Do obozów najczęściej jeździły potężne „lokomotywy wojenne” (*Kriegslocomotiven*) serii 52, które stały się symbolem niemieckiej dominacji w Europie. Tak naprawdę to dzięki nim Hitler mógł przeprowadzić „ostateczne rozwiązanie”. W każdym z okupowanych krajów miejscowi pracownicy kolei pod nadzorem Niemców pełnili funkcje maszynistów, palaczy, odkazaczy czy też nastawniczych. Często im powtarzano, że za pomoc więźniom grozi rozstrzelanie. Wszyscy oni mieli swój udział w organizacji transportów i przyczyniali się do skutecznej realizacji planu eksterminacji (czasem czerpiąc z tego dodatkowe zyski), a zarazem mimowolnie wspomagali sprawców

ludobójstwa.

Podczas podróży hałas zwykle zagłuszał jęki pasażerów i ich rozpaczliwe wołanie o wodę. Pracownicy obsługi z pewnością jednak słyszeli je za każdym razem, gdy skład się zatrzymywał z powodu alarmu przeciwlotniczego, godziny policyjnej lub zaciemnienia, a także wtedy, gdy zjeżdżał na bocznice, żeby przepuścić pociągi o wyższym priorytecie. Podczas licznych postojów zarówno esesmanom, jak i pracownikom kolei zdarzało się podobno żądać od więźniów biżuterii, ubrań czy gotówki za wodę, której umęczeni ludzie tak bardzo pragnęli – a czasem nawet potrafili bezczelnie zabrać oferowane dobra i nie dać nic w zamian.

Pracownicy obsługi musieli zapewne wstrzymywać oddech, przebywając w pobliżu przeraźliwie cuchnących wagonów, z których wyciekał mocz i ekskrementy. Bez wątplenia widzieli ludzkie zwłoki wyrzucane z wagonów na kolejnych postojach. Niektórym maszynistom dawano podobno wódkę, żeby mogli nią przytępić zmysły i nie zwracać uwagi na potworności przedsięwzięcia, w którym brali udział. Inni godzili się na tę pracę ze względu na oferowane wynagrodzenie lub ze strachu przed konsekwencjami odmowy. Kursującym po Europie pociągom codziennie przyglądały się też setki cywilów – zwykłych ludzi. Widzieli oni przejeżdżające z hukiem śmierzące transporty, a potem jadące w przeciwną stronę puste wagony. Większość nie robiła nic, zdarzały

się jednak jednostki na tyle odważne, żeby podjąć ogromne ryzyko – powiadamiano wówczas ludzi mieszkających w pobliżu dalszej trasy przejazdu, żeby czekali na pociąg i próbowali wrzucać do wagonów jedzenie, pojemniki z wodą, ubrania lub koce.

Inni angażowali się w działania licznych grup oporu, które robiły, co mogły, żeby zablokować wszelkie przejazdy pociągów wroga – w tym transporty do obozów zagłady. Choć za tego rodzaju działalność groziły tortury i egzekucje, wysadzano tory kolejowe, uszkodzono semafony, hamulce i silniki lokomotyw, otwierano zawory z wodą, kradziono węgiel i przygotowywano rozmaite zasadzki grożące wykolejeniem, przez które maszyniści musieli zatrzymywać składy. Dzielni partyzanci i członkowie ruchu oporu starali się za wszelką cenę sabotować nazistowski przemysł śmierci.

Skrajnie wycieńczone i umierające z głodu kobiety ewakuowane z obozu we Freibergu nie mogły jednak liczyć na żadną pomoc. Ciasno stłoczone w wagonach tuliły się do siebie. Czasem padał śnieg i zdarzało się, że temperatura spadała poniżej zera. „Miejsca było tak mało, że nie mogłyśmy nawet wszystkie naraz usiąść” – wspominała Klara Löffová. „Niemcom brakowało wagonów, więc nas ciasno upchnęli. W kwietniu bywa w Europie zimno i mokro, czasem pada śnieg. To było piekło”. Zdane na łaskę i niełaskę Niemców kobiety przez całe dni i noce nie dostawały jedzenia ani wody i oprócz

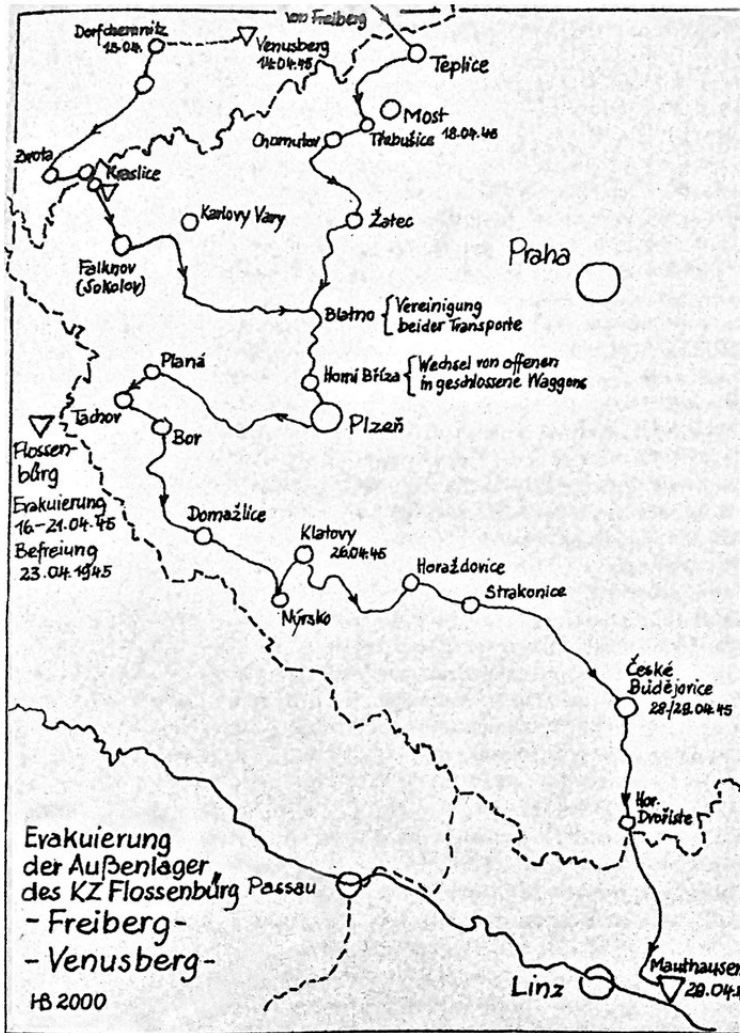
nieodłącznych wszy musiały też znosić fatalne warunki atmosferyczne. Pociąg pędził w nieznane, przecinając ciemności nocy, a one obawiały się, że trafią w końcu do miejsca, z którego już nie ma powrotu.

Trasa wiodła na południe – najpierw przez północno-zachodnią część zajętego przez Rzeszę Kraju Sudeckiego, przez Cieplice, Most i Chomutów (przez Niemców przemianowane na Teplitz-Šanov, Brüx i Komotau), i dalej w stronę Protektoratu Czech i Moraw. Kierunek podróży był wciąż na nowo ustalany przez Niemców, co i raz wydających nowe dyspozycje pracownikom ČMD-BMB (*Českomoravské dráhy – Böhmisches-Mährische Bahn*, czyli czesko-morawskiej kolei). Po drodze w pośpiechu przestawiano zwrotnice, a nastawniczym kazano przepuszczać pociągi pędzące po wyslizganych szynach w mroczną dal. Los pasażerek zależał od funkcjonariuszy, dla których ludzkie życie nie miało żadnego znaczenia. Nie sposób było sobie wyobrazić ucieczki przed tym, co nieuchronne; ewakuacja tak naprawdę była wyrokiem śmierci. Mijały kolejne noce i dni, a podróż trwała dalej, bez końca.

„Nie wiedziałyśmy, dokąd jedziemy, ale bardzo się bałyśmy” – mówiła Lisa Miková. „Tłoczyłyśmy się w odkrytych wagonach i czasem padał na nas deszcz, a czasem śnieg, co miało tę zaletę, że mogłyśmy się napić deszczówki lub jeść śnieg. Czasem jechałyśmy tylko w dzień, a czasem też nocą, w zależności od nalogów.

Nocami było strasznie zimno i często właśnie wtedy ludzie umierali”.

Dla tych kobiet, które nie postradały jeszcze zmysłów, psychiczna udręka była nie do zniesienia. Po tym wszystkim, co przeszły, wiele z nich nie dawało już rady codziennie czekać na śmierć. Czy po to walczyły o przetrwanie, żeby je wykończono w jeszcze gorszym miejscu, takim jak obóz we Flossenbürgu, gdzie najwyżej w obozowej hierarchii stali niemieccy kryminaliści? Szacuje się, że przez ten obóz przeszło niemal sto tysięcy więźniów, z których co najmniej jedna trzecia zginęła (w tym ponad trzy tysiące Żydów). Brutalna przemoc i nadużycia seksualne były tam na porządku dziennym. Jadące pociągiem kobiety nie mogły jednak wiedzieć, że obóz we Flossenbürgu ewakuowano sześć dni po ich wyjeździe z Freibergu i że około szesnastu tysięcy więźniów ruszyło wówczas marszem śmierci – najpierw pieszo, a potem wagonami bydlęcymi – do obozu koncentracyjnego Dachau. Niemal połowa z nich zmarła przed dotarciem do celu, na miejscu zaś większość pozostałych umarła z głodu i wyczerpania lub została zamordowana.



Mapa trasy pociągu z Freibergu do Mauthausen

Po niebie wciąż latały alianckie samoloty, które bombardowały tory i miasteczka czasem z tyłu, a czasem

z przodu mozolnie sunącego naprzód pociągu. Skład jechał zygzakiem między dwoma frontami, wśród strażników i pracowników obsługi panowała coraz większa niepewność co do celu podróży, a na trasie wciąż zdarzały się przestoje. Kobiety opatulają się wilgotnymi kocami, czekały i się modliły. „Nie mogłyśmy wyglądać na zewnątrz” – opowiadała Gerty Taussig. „Widziałyśmy tylko niebo nad nami, a na nim myśliwce i bombowce lecące ku swoim celom, nie miałyśmy jednak siły, żeby im chociaż pomachać. Strażnicy czasem nas wypuszczali za potrzebą, ale zawsze nas przy tym bacznie pilnowali. Rwałyśmy trawę rosnącą między torami, bo nie miałyśmy nic innego do jedzenia. Czasem rzucali nam do wagonu trochę chleba, a wówczas wywiązywała się wielka walka o każdy okruszek”.

Więźniarki miały przeważnie tak wysuszone gardła i języki, że pomimo straszliwego głodu nie były w stanie przełknąć rzucanego im czasem pożywienia. Łapały więc co mogły, i zaciskały mocno w dłoniach, podczas gdy pociąg kołysał je na boki. „Słyszałyśmy tylko, że gdzieś wysadzono tory, musimy więc jechać inną trasą” – wspominała Lisa Miková. „Pociąg wciąż się zatrzymywał i ruszał znowu, a na każdym przystanku otwierano drzwi i kazano nam wyrzucać trupy. Niemal codziennie widywałyśmy inne transporty, pełne więźniów w pasiakach. Niektóre jechały w tym samym kierunku co my, a inne w przeciwnym”.

Czasem udawało się którąś z kobiet unieść nieco w górę, żeby mogła wyrzucić na zewnątrz – dzięki temu więźniarki wiedziały, że przekroczyły już granicę Protektoratu Czech i Moraw, jako że mijają tablice z czeskimi nazwami stacji (podobnie jak w innych krajach okupowanej Europy, każda miejscowość otrzymała niemiecką nazwę, ale pierwotne napisy wciąż czasem pozostawały widoczne lub były niedokładnie zamazane). Szczególnie przeżywały tę chwilę uwięzione w pociągu czeskie Żydówki, które nagle poczuły, że są „w domu”. „Trudno opisać uczucia, które mi towarzyszyły podczas jazdy przez teren naszego kraju” – opowiadała Hana Fischerová pochodząca z Pilzna. „Niby wiedziałyśmy, że jesteśmy w domu, ale wieziono nas dalej, w jakieś nieznane miejsce, z którego mogłyśmy już nigdy do domu nie wrócić”.

Pośród wyjących syren i huku dział przeciwlotniczych do uszu więźniarek dochodziły też poruszające je okrzyki „*Nazdar!*”²⁹ oraz „*Zůstaňte naživu!*”³⁰ – którymi Czesi dawali im znać, że wojna lada chwila się skończy. Rodacy i rodaczki czeskich więźniarek podbiegali do wagonów i wrzucali do nich jedzenie, choć strażnicy grozili, że będą do nich strzelać. Jednak potworna odyseja więźniarek nadal trwała, a one coraz bardziej cierpiały. Pociąg toczył się teraz niespiesznie od stacji do stacji; wciąż nie było wiadomo, dokąd właściwie zmierza. Anka modliła się, żeby skręcił na południowy wschód do

Terezína. „Tamto getto zdawało nam się teraz rajem” – wspominała. „Niestety całkiem już niedostępnym. Nie miałyśmy wody, jedzenia, okrycia, wciąż padał deszcz... Trudno sobie wyobrazić, jakie to było straszne. A ja byłam w dziewiątym miesiącu ciąży!”

W tak koszmarnych warunkach wiele kobiet całkiem się załamywało. Kompletnie zaważone, wciąż drapały swędzące miejsca po ugryzieniach. Głód był nie do zniesienia; niektóre więźniarki traciły przytomność, inne układały się ciasno jedna przy drugiej na boku, tak jak wcześniej w Auschwitz. Kazano im zabrać z obozu miski i łyżki, ale teraz wydawało się, że był to jakiś okrutny żart. Ich wymizerowane ciała ukryte pod potwornie brudnymi łachmanami coraz bardziej niszczały. Obumierały też wszelkie resztki nadziei.

Z ciał zmarłych układano w kącie wagonu makabryczny stos, z którego wystawały blade kończyny. Wyzwolone od głodu trupy niewidzącymi oczami patrzyły na ledwo żywe koleżanki ściągające buty z ich martwych stóp. Raz na jakiś czas ciała wyrzucano z wagonów w miejscach, gdzie nie było świadków. Wiele z tych kobiet, które wciąż pozostawały przy życiu, miało śmierć w oczach i widać było, że nie przeżyją już kolejnej doby. W wagonie, którym jechała Gerty Taussig, w ciągu pierwszego tygodnia zmarło osiem kobiet. „Miałam czternaście lat i jedyne, co wtedy czułam, to ulga, że będzie dla nas trochę więcej miejsca” – wspominała. „Nie

było żadnych obrzędów ani nawet modlitw; po prostu rzucano ciała na ziemię obok torów, żeby się tam rozkładały”. W jednym z okręgów Protektoratu znaleziono ponad sto ciał wyrzuconych z tego rodzaju transportów.

Rachela opowiadała, że za każdym razem, gdy pociąg zatrzymywał się na stacji rozrządowej lub na bocznicy, pilnujące ich esesmanki udawały się do pobliskich gospodarstw lub sklepów i albo prosiły o jedzenie dla więźniarek, albo po prostu brały sobie, co chciały – przede wszystkim jajka, które potem smażyły na kuchenkach w swoich wagonach. Więźniarki czuły smakowity zapach, esesmanki jednak rzadko kiedy dzieliły się z nimi łupami.

Pałące pragnienie dawało się we znaki znacznie bardziej niż głód, zamknięte w wagonach kobiety stale prosiły więc o wodę, powtarzając w kółko: „*Wasser! Bitte! Trinken!*” – przeważnie jednak nikt nie zwracał uwagi na ich błagania. Jednak któregoś razu, ku ogromnemu zdziwieniu Racheli, jedna z esesmanek przydzielonych do jej wagonu nagle zaczęła podawać jej łyżką wodę i trochę jedzenia. Pozostałe więźniarki nie mogły uwierzyć w tak nagłą przemianę strażniczki i patrzyły na nią podejrzliwie, Rachela była jednak zbyt słaba, żeby się zastanawiać nad jej zachowaniem. „Ona mnie karmiła, a ja mówiłam: »Proszę mnie zostawić, nie mam siły«” – wspominała.

I tak odrażające więzienie z łoskotem toczyło się po torach, wioząc nieszczęsne pasażerki ku nieznanemu, straszному przeznaczeniu. Te niegdyś piękne kulturalne młode kobiety, nierzadko należące do społecznych elit w najwspanialszych miastach Europy, przypominały teraz zjawy z koszmarów. Obłaziło je robactwo, potwornie cuchnęły, wypadały im zęby, a ciała pokrywały się wrzodami. Żadna z nich od wielu miesięcy – a czasem może nawet lat – nie widziała swojego odbicia w lustrze, kiedy jednak patrzyły na popękane wargi, zapadnięte policzki i sterczące jak szczotka włosy współwięźniarek, zdawały sobie sprawę, że same też podobnie wyglądają, co tylko pogłębiało ogrom odczuwanej przez nie beznadziei. „Nie było jedzenia ani możliwości, żeby się umyć” – wspominała Anka. „Oblepiał nas pył węglowy, który tworzył tłustą skorupę. Nie czułyśmy się już ludźmi. To było potworne”.

Kiedy pociąg zjeżdżał na bocznice, mijały ich normalne składy pasażerskie oraz pociągi przewożące żołnierzy. Podczas gdy więźniarki na drżących nogach kucaly, żeby się załatwić lub trzymając się wagonów, rozpaczliwie się rozglądały za jakimkolwiek zielskiem nadającym się do zjedzenia, z okien wyglądali dobrze ubrani najedzeni dorośli oraz dzieci, którzy patrzyli w dal, jakby więźniarek wcale tam nie było. Okrutny los powodował też, że do nozdrzy wygłodzonych kobiet dolatywały aromaty potraw gotowanych w mijanych

przez nie domach – mięsa, chleba, warzyw i ryb – które niemal doprowadzały je do szaleństwa. Więźniarki dawno już zarzuciły zabawę w wymyślanie wyszukanych przepisów kulinarnych; przestały też w ogóle rozmawiać o jedzeniu. Przeważnie zamykały się w piekle własnego gasnącego życia.

Lisa Miková opowiadała, że ponieważ nie było widać końca tej męczarni, kobiety przeważnie po prostu się wyłączały i praktycznie przestawały się odzywać. Inne z kolei mówiły zbyt dużo i starały się podtrzymywać pozostałe na duchu. „Ciągle pytałyśmy: »Co widzisz?«, »Może coś wiesz?«, »Słyszałaś o tym miejscu?«” – wspominała. „Każda z nas przeżywała chwile potwornej rozpacz, próbowaliśmy jednak wspierać się nawzajem, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie”. Okrutnie ściśnięte jechały dalej przez noc. Na trasie ciągle zdarzały się długie, irytujące postoje, których przyczyna nie była kobietom znana. Za każdym razem, gdy pociąg stawał, więźniarki domagały się wody, jednak esesmanki o kamiennych twarzach nie reagowały. Kilka kobiet próbowało raz chwiejnym krokiem dojść do brudnej kałuży, ale znudzone strażniczki strzeliły w ich stronę, żeby je wystraszyć, a potem zagoniły je z powrotem do pociągu. Podczas nalotów esesmanki uciekały lub wczolgiwały się pod wagony. Więźniarki tymczasem znów się modliły, żeby zrzucono na nie bomby. Mówiły sobie: „Ale by było wspaniale, gdyby nas teraz trafili!

Zmiażdżyłybyśmy te, co się chowają pod wagonami!”.

Priska martwiła się głównie o to, jak zachęcić dziecko do jedzenia, lecz jej piersi były niemal całkiem płaskie, a produkowane przez nie śladowe ilości mleka przypominały wodę. Podczas ciąży, kiedy powinna spożywać przynajmniej pięćset kalorii więcej niż przewidywała jej wcześniejsza, przedwojenna dieta, zarówno ona, jak i inne ciężarne kobiety otrzymywały tych kalorii znacznie mniej niż kiedykolwiek wcześniej, a o żelazie czy białku mogły tylko pomarzyć. A przy tym musiały też wykonywać ciężką pracę przez dwanaście do czternastu godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, w skrajnych temperaturach.

W innym wagonie jechała Rachela, która ważyła już tylko trzydzieści kilogramów i nie była w stanie utrzymać pozycji pionowej ze względu na ciężar olbrzymiego brzucha, leżała więc ze sztywnym karkiem, ściśnięta między innymi kościstymi ciałami na twardej podłodze odkrytego wagonu. Nadchodził termin porodu, ale była też już coraz bliższa śmierci. Pomimo nieoczekiwanej troski wykazanej przez karmiącą ją esesmankę, Rachela nie miała siły nawet pomyśleć o tym, że miałyby zacząć rodzić. Liczne dolegliwości wynikające z jej fatalnego stanu potęgował jeszcze fakt, że obok niej jechała nie zrównoważona kobieta ze spuchniętymi stopami, która twierdziła uparcie, że musi je trzymać w górze. „Bolały ją nogi, a jedynym dostępnym podwyższeniem

był mój brzuch, więc je na nim trzymała!” – wspominała Rachela. „Nie ma słów na to, żeby opisać, co tam widziałyśmy i jak wyglądała nasza egzystencja. Czasem sama się zastanawiam, jak udało mi się przeżyć”.

Ance również trudno było utrzymać się w pionie i zachować życiowy optymizm. „Padał deszcz i śnieg, potem świeciło słońce, a my jechałyśmy ściśnięte pośród węglowego pyłu” – opowiadała. „Raz było zimno, raz gorąco, a my wciąż nieumyte i głodne. Gdy padało, oblepiał nas ten czarny pył, musiałyśmy wyglądać strasznie. Na szczęście nie widziałam, jak wyglądam. Przeżyłam tylko dzięki hartowi ducha”.

W okolicach 18 kwietnia pociąg zjechał na bocznice przy stacji Triebischtz (Třebušice) w pobliżu miasta Most, żeby przepuścić jadące główną trasą składy wiozące amunicję i rannych żołnierzy. Kobiety z Freibergu tkwiły tam przez kilka dni, zanim ruszyły w dalszą drogę. Na drugim torze stał pociąg z ewakuowanymi więźniami obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie (który 11 kwietnia został wyzwolony). Niektórzy z nich wołali do więźniarek z Freibergu, dopytując się o wieści. Pasażerowie obydwu składów zdołali nawet wymienić się zawszonymi częściami garderoby. W końcu jednak pociąg z Freibergu ruszył z powrotem w stronę Mostu (przez Niemców przemianowanego na Brůx). Miasto rozciągające się w kotlinie między pasmem Rudaw a Czeskim

Średniogórzem było wówczas znaczącym ośrodkiem przemysłowym. Znajdował się tam ważny węzeł kolejowy, który obsługiwał między innymi miejscowe zakłady petrochemiczne i fabrykę paliw syntetycznych. W ramach serii ataków na niemiecki przemysł naftowy brytyjskie i amerykańskie bombowce dokonywały regularnych nalotów na usytuowane tam obiekty. Pomimo ciągłego zagrożenia bombardowaniem, pociągowi z Freibergu zezwolono na dalszą jazdę poszarpaną siecią kolejową i skierowano go do hutniczego miasta Chomutów, potem jednak go zawrócono, ponieważ od zachodu zbliżały się już amerykańskie wojska. Panował coraz większy chaos.

Po drodze do składu doczepiano inne wagony: raz było to około dziewięciuset więźniarek z Venusbergu (innego podobozu Flossenbürga), kiedy indziej więźniowie z Flößbergu (podobozu Buchenwaldu), gdzie produkowano panczerfausty, czyli ręczne wyrzutnie przeciwpancerne. Oczywiście kobiety z Freibergu nie wiedziały nawet, co się dzieje w sąsiednich wagonach, a co dopiero na końcu składu. Walczyły tylko o to, żeby przeżyć.

Ich pociąg utknął w dość niebezpiecznym, odkrytym miejscu między Mostem i Chomutowem, które 19 kwietnia stały się celem nalotów. W środku nocy, podczas bombardowania, Racheli odeszły wody. Alianccy piloci zrzucali ładunki, od których trzęsła się ziemia

w całej okolicy, a ona właśnie rodziła. Leżała na pokrytej fekaliami podłodze wagonu – było tam też kilka świeżych trupów. Trzęsa się pod kocem nasiąkniętym wodą. Gdy tylko poczuła, że przez jej brzuch przechodzi pierwsza fala skurczów, wiedziała, że dziecko poczęte w niewielkim pokoju, który dzieliła z Monikiem w łódzkiej getcie (tamte chwile zdawały się już należeć do bardzo odległej przeszłości), postanowiło właśnie teraz przyjść na świat, bez względu na okoliczności.

Jej ciało przeszywały kolejne skurcze. Z trudem łapiąc oddech, mocno ścisnęła rękę swojej siostry Bali. Strażniczka wezwała pomoc. W jednym z wagonów jechała doktor Edita Mautnerová – ta sama, która prowadziła izbę chorych we Freibergu i pomagała Prisce przy porodzie. Strażniczki świeciły latarkami, żeby lekarka mogła dostrzec, kiedy zacznie się wyłaniać główka. Po pociągu szybko rozniosła się wieść, że rodzi się dziecko, zjawily się więc też inne strażniczki, które wcześniej chowały się pod wagonami. Przyszły popatrzeć (i pewnie też stawiać zakłady). „Czy można to sobie w ogóle wyobrazić?” – pytała ze wzburzeniem Rachel. „Leżeć w odkrytej węglarce i rodzić dziecko na oczach tylu kobiet?”

Wokół błyskały ognie z dział przeciwlotniczych, padał deszcz, a ona przez kilka godzin prężyla mokre ciało na podłodze, zmagając się z kolejnymi falami skurczów. Aż w końcu, jeszcze w nocy lub już nad ranem, doszczętnie

przemoczona i zziębnięta, wydała z siebie krzyk i urodziła drobnutką istotkę. Dziecko mało przypominało człowieka i było naprawdę maleńkie. Ktoś jej powiedział, że to chłopiec. „Kolejny Żydek dla Führera!” – roześmiała się jedna z esesmanek.

Leżąc w ciemności na swojej pryczy we Freibergu, kiedy pozwalała sobie rozmyślać o dziecku rosnącym w jej brzuchu, Rachela skrycie postanowiła, że da mu na imię Maks (dopiero później został Markiem). Chłopiec był cały we krwi matki, miał pomarszczone ciało i wykrzywioną buzię. Mógł ważyć niewiele ponad kilogram. Rachela była zbyt osłabiona, żeby się cieszyć. Popadła w odrętwienie. „Myślałam wtedy: »No to mam dziecko. A może nie mam«” – wspominała. „Nie wiedziałyśmy, co się z nami stanie”. W strasznych warunkach wagonu nie było nawet żadnego ostrego narzędzia, żeby przeciąć pępowinę, która przez tyle miesięcy podtrzymywała dziecko przy życiu. Ktoś zaproponował, żeby Rachela ją przegryzła. W końcu jedna z esesmanek podała lekarce brudną brzytwę. „Znalazło się też tekturowe pudło po chlebie, które posłużyło za łóżeczko dla dziecka” – opowiadała Rachela. „Padał deszcz i śnieg, cały czas trzymałam więc synka w tym pudle”.

Podobnie jak Priska, Rachela miała o dziwo trochę mleka i mogła nim karmić maleństwo. Nie wiedziała zapewne o tym, że nawet poważnie niedożywione

kobiety są w stanie wytwarzać mleko odpowiadające zwiększonym potrzebom wygłodniałych noworodków – choć laktacja niebezpiecznie wówczas wyniszcza ciała matek. „Cieszyłam się, że mam dość mleka” – mówiła Rachela. Nie miała jednak wody do umycia dziecka, ani nic, czym mogłaby je owinąć i chronić przed chłodem.

„Jaka dziś data?” – spytała nagle, żeby zapamiętać, kiedy urodził się jej synek, nawet gdyby miał długo nie przeżyć. Nikt dookoła nie był tego pewny, lecz dokarmiająca ją wcześniej esesmanka powiedziała: „Mów, że dziecko urodziło się 20 kwietnia, w urodziny Hitlera. Może to je ocali”. Rachela otrzymała wówczas niewielką „dodatkową porcję” chleba – nie ze względu na trudy porodu, ale właśnie dlatego, że esesmanki przypomniały sobie o urodzinach Führera. Jedna z nich wykazała się nawet szczególnym miłosierdziem i dała jej starą koszulę, w którą Rachela mogła zawinąć dziecko – sama jednak po porodzie trzęsa się z wyczerpania i chłodu. Wciąż nosiła obszerną sukienkę z odpinanym karczkiem, którą dostała w Auschwitz, ale po siedmiu miesiącach codziennego użytkowania materiał był już mocno przetarty i porozdzierany. Gdy urodziła już łóżysko, opatulono ją znalezionym gdzieś płaszczem.

Dość oszołomiona porodem spytała, czy mogłaby się zobaczyć z pozostałymi dwiema siostrami. Jedna z esesmanek przeszła więc wzdłuż wagonów, wołając imiona Sali i Estery. Siostry początkowo bały się

zareagować, w końcu jednak odpowiedziały na wołanie. „Wasza siostra urodziła syna” – poinformowała je strażniczka.

„Czy możemy się z nią zobaczyć?” – spytały osłupiałe. Jeszcze bardziej zdumiał je fakt, że otrzymały zgodę. Po raz pierwszy od paru dni pozwolono im zejść na ziemię. Chwiejnym krokiem przeszły do wagonu, w którym leżał ich siostrzeniec z matką. Oboje wyglądali żałośnie. „Kuliła się w kącie, opatulona płaszczem” – wspominała Sala. „Nie był to przyjemny widok”. W wagonie koszmarne śmierdziało, a obok Racheli leżały kobiety już martwe lub umierające. „Rachela była w fatalnym stanie” – mówiła Sala. „Byłyśmy pewne, że dziecko nie przeżyje, nie potrafiłyśmy się więc nawet z niego cieszyć. Potem kazano nam wracać do naszego wagonu. Płakałyśmy, przekonane, że więcej ich już nie zobaczymy”.

Nie było widać końca tej gehenny. Pociąg znów ruszył w drogę i przyspieszył. Minęli zbombardowany Chomutów i ósmego dnia podróży dojechali do miasta Žatec (czyli niemieckiego Saaz), gdzie znów się zatrzymali i znów bez końca czekali. „Raz na jakiś czas ludzie wrzucali do wagonów chleb” – opowiadała Anka. „To było nie do opisania”. Chleb przeważnie przechwytywała i zabierała dla siebie pilnująca więźniarek strażniczka, czasem jednak którejs z wygłodniałych kobiet udawało się kawałek złapać i szybko zjeść. Anka jednak pozostawała cały czas

w pozycji pólleżącej, bo wielki brzuch ograniczał jej ruchy, nic więc do niej nie trafiało. Mówiła potem, że była wówczas „uosobieniem koszmarnego głodu”. W pewnym momencie usłyszała, jak jedna z kobiet, której udało się wyrzeć na zewnątrz, mówi, że wszędzie wokół powiewają nazistowskie flagi. „To urodziny Hitlera” – wyjaśniła strażniczka. „Czyli również moje” – odpowiedziała słabym głosem Anka. Koleżanki zaczęły ją zabawiać żartami, że te wszystkie flagi tak naprawdę wywieszono właśnie dla niej. Próbowwała sobie przypomnieć, który jest rok, a gdy zdała sobie sprawę, że 1945, policzyła, że kończy właśnie dwadzieścia osiem lat. Na wieść o jej urodzinach strażniczka niespodziewanie rzuciła jej trochę chleba – po tylu dniach niemal bez pożywienia wydał się Ance cudowną manną z nieba. Ścisnęła otrzymany chleb niczym najdroższy skarb. Pierwszy raz od 1917 roku, gdy jako córka Stanisława i Idy Kauderów przyszła na świat w Třebouchovicach pod Orebem, cieszyła się, że obchodzi urodziny tego samego dnia co Hitler.

Alianccy piloci wykonywali na niebie śmiałe akrobacje, starając się uniknąć ciągłego ostrzału z dział przeciwlotniczych, a więźniarki, obserwując słońce, doszły do wniosku, że pociąg prawdopodobnie zmierza na południe, w kierunku Pilzna, które leżało już po stronie Protektoratu Czech i Moraw, zaraz przy granicy z zajętym przez Rzeszę Krajem Sudeckim. Miasto słynie

wprawdzie z browarów, lecz w czasie wojny w tamtejszych ogromnych zakładach zbrojeniowych Škoda produkowano również czołgi dla Wehrmachtu. W kwietniu 1945 roku, gdy Armia Czerwona była już bliżej Pilzna niż nadciągające z drugiej strony amerykańskie wojska, siły powietrzne USA zaczęły bombardować linie kolejowe wokół miasta, żeby udaremnić dostarczanie na front kolejnych czołgów, haubic i dział samobieżnych produkowanych w przejętych przez Niemców zakładach. W końcu Amerykanie postanowili doszczętnie zniszczyć fabrykę, żeby tak duży koncern zbrojeniowy nie wpadł w ręce Sowiećów. Na srodę 25 kwietnia 1945 roku zaplanowano nalot, w ramach którego niemal trzysta „latających fortec” B-17 i niespełna dwieście myśliwców miało przeprowadzić atak na fabrykę. Była to ostatnia operacja bojowa amerykańskiej 8. Armii Powietrznej w Europie.

Tymczasem do miasta zbliżał się pociąg z więźniarkami. W jednym wagonie jechała chuda jak szkielet Rachela z małym Maksem, w innym równie wychudzona Priska, próbująca karmić piersią gasnącą w oczach Hankę, a w jeszcze innym Anka trzymała się za wielki brzuch i modliła się, żeby nie zaczęły się jeszcze skurcze.

Wskutek chaosu związanego z ciągłymi bombardowaniami w sobotę 21 kwietnia pociąg został przekierowany na mniej uczęszczaną trasę, którą zwykle

nie wożono więźniów. W rzęsimym deszczu skład zajeżdżał na stację w miasteczku Horní Bříza (przez Niemców nazywanym Ober Birken) i tam się zatrzymał.



Antonín Pavlíček, naczelnik stacji Horní Bříza

Naczelnikiem stacji był Antonín Pavlíček – siwowłosy mężczyzna, ojciec dwójki dzieci, który od 1930 roku mieszkał i pracował w budynku dworca. Swoją pracą starał się jak najlepiej służyć zarówno liniom kolejowym, jak i około trzem tysiącom mieszkańców miasteczka. Słynął też ze skrupulatnego prowadzenia rejestrów. Nadzorował pracę kilkusobowego zespołu i cieszył się wielkim poważaniem całej społeczności jako osoba

o wysokiej pozycji i prawym charakterze.

Miasteczko, które wyrosło wokół dziewiętnastowiecznych zakładów ceramicznych, właściwie niemal nie odczuło wojny. Zaraz po utworzeniu Protektoratu deportowano do obozów koncentracyjnych pięćdziesiąt tutejszych Żydów. Zdarzały się drobne konflikty między przedstawicielami Hitlerjugend i miejscową młodzieżą, ale poza tym nazistowskie rządy nie wpływały znacząco na życie miejscowej ludności. Założona w 1882 roku fabryka ceramiki wciąż jeszcze pozostawała w czeskich rękach. Rocznie wydobywano tu czterdzieści tysięcy ton kaolinu i produkowano z niego dwadzieścia dwa tysiące ton ceramiki, głównie na eksport. Eksportowano też glinę ogniotrwałą i krzemionkę. W fabryce działała grupa członków ruchu oporu – zaczęło się nimi interesować gestapo z Pilzna (większość aresztowano, część zamordowano). Lecz poza tymi przykrymi incydentami życie toczyło się tak jak przed wojną.

W związku z nalotami na Pilzno i okolice nagle wzrósł ruch na linii kolejowej przechodzącej przez miejscowość Horní Bříza. Dwunastego kwietnia zajechał tu pociąg wiozący żołnierzy sił zbrojnych kolaboracyjnego Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji (tak zwanych własowców, dowodzonych przez byłego generała Armii Czerwonej Andrieja Własowa), uciekających przed aliantami. Żołnierze uciekli z pociągu, który odtąd stał

pusty. Pięć dni później, wczesnym rankiem 17 kwietnia, na niebie pojawiły się sowieckie samoloty i zbombardowały kilka budynków oraz odcięły dopływ elektryczności do miasteczka. Przy wtórze alarmów przeciwlotniczych dziewięć bombowców zrzuciło ładunki na opuszczony pociąg i stojące obok lokomotywy, przy okazji niszcząc magazyny przy torach. Antonín Pavlíček nie schodził ze swojego stanowiska i skrupulatnie wszystko zapisywał. Gdy znów podłączono elektryczność, zdał swoim przełożonym w Pradze szczegółowy raport z uwzględnieniem niemal każdego wybuchu – raport ten wciąż jest przechowywany w archiwach.

Cztery dni później, wieczorem 21 kwietnia, pociąg wiozący więźniarki z Freibergu wtoczył się w gęsto porośniętą drzewami dolinę i zatrzymał na stacji Horní Bříza. *Sonderzuge* zwykle omijały miasteczko i jechały szybszą trasą na południe. Jak zwykle skrupulatny pan Pavlíček zapisał w rejestrze, że był to skład numer 7548 i przyjechał dokładnie o 20.58. „Czterdzieści pięć wagonów, a w nich trzy transporty ludzi: jeden z mężczyznami i dwa z kobietami” – zanotował naczelnik stacji. Szacował, że wszystkich pasażerów było około trzech tysięcy (w niektórych wagonach upchnięto po sto osób). „Dwa transporty jechały krytymi wagonami, a jeden transport kobiet mieścił się w piętnastu odkrytych wagonach” – zapisał jeszcze Pavlíček.



Pociąg własowców stojący w miasteczku Horní Bříza

Jako że w dalszej części trasy tory były uszkodzone, a ich naprawa miała potrwać przynajmniej dobę, pociąg skierowano na przyległą do stacji bocznice przy fabryce ceramiki. Skład był długi na około pół kilometra, z miasteczka nie dało się więc zobaczyć wagonów ustawionych za zakrętem.

Choć władzę w Protektoracie de facto oddano nazistom, pieczę nad pociągami stojącymi w jego rewirze oficjalnie sprawował Pavlíček. Nie zważając na esesmanów próbujących go przed tym powstrzymać, przeszedł w deszczu wzdłuż całego składu i na własne oczy zobaczył koszmarny warunki, w jakich przewożeni są więźniowie. Drzwi wielu wagonów zostały otwarte, a w środku widać było setki wymizerowanych istot ludzkich umierających z powodu głodu, chorób, zimna i wilgoci. Naczelnika stacji uderzył nie tylko wygląd tych ludzi i smród wydobywający się z wagonów, ale też szokujące zachowanie strażników, a zwłaszcza strażniczek, które uznał za wyjątkowo brutalne i aroganckie.

Widząc, że chłód i deszcz najbardziej dają się we znaki więźniarkom w odkrytych wagonach, Pavlíček zażądał rozmowy z komendantem i złożył mu śmiałą propozycję. Skład opuszczony tydzień wcześniej przez własowców zawierał kilka wagonów towarowych. Naczelnik zaproponował, żeby ze względów humanitarnych przenieść do nich jak najwięcej więźniarek z odkrytych wagonów. Świadczenie tych zdarzeń twierdzili, że Pavlíček wiele ryzykował, składając tego rodzaju propozycję *Unterscharführerowi*, który w pierwszej chwili odepchnął go na bok i mógł go nawet zastrzelić za takie zuchwalstwo. Jednak dobroduszny naczelnik stacji uparł się, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby jakoś pomóc

ludziom znajdującym się chwilowo w jego rewirze, więc tak łatwo nie ustąpił.

Jaroslav Lang, który miał wówczas dziesięć lat, wyglądał tego wieczoru z okna swojego domu oddalonego o pięćdziesiąt metrów od torów i z zaciekawieniem przyglądał się stojącemu na boczniccy wyjątkowo długiemu pociągowi towarowemu. „Tego dnia nie mieliśmy szkoły, bo po niebie wciąż latały samoloty i było zbyt niebezpiecznie” – wspominał. „Razem z moim starszym bratem Milanem patrzyliśmy na pociąg i widzieliśmy, jak naczelnik stacji kłóci się z komendantem SS, nie wiedzieliśmy jednak, co się dzieje. Stało tam jeszcze kilku oficerów i wielu innych uzbrojonych Niemców. Wyglądali na bezwzględnych, wrzeszczeli na ludzi, że mają się trzymać z dala od pociągu. Widać było, że nie chcą, żebyśmy cokolwiek zobaczyli. Po raz pierwszy widzieliśmy w naszym miasteczku esesmanów, czy też w ogóle Niemców w hełmach. Jako mali chłopcy chcieliśmy wszystko zobaczyć. Było to dla nas fascynujące”.

Pełne napięcia negocjacje trwały kilka godzin. W końcu jednak Pavlíčkowi udało się – po zaoferowaniu strażnikom obfitego wyżywienia i trunków – przekonać Siarę, żeby zgodził się na przeniesienie jak największej liczby zziębniętych kobiet do zamkniętych wagonów. „Wymiana wagonów nastąpiła po uzyskaniu zgody komendanta” – opowiadał później Pavlíček. „Kobiety

z transportu były głodne, a nocą nikt nie miał do nich dostępu. Gdy przenosiłem je do zamkniętych wagonów, udało mi się przemycić im trochę jedzenia, mogłem to zrobić jedynie pod osłoną nocy”.

Do grona kobiet, które trafiły do nowych wagonów, należała Priska, jak również Rachela i jej umierające towarzyski. Ciężarna Anka została w odkrytym wagonie – nie miała nawet pojęcia, co się dzieje w pozostałych częściach transportu.

Widząc ogromną wdzięczność więźniarek za ten drobny uczynek i wiedząc, w jak strasznych warunkach są one przewożone, Pavlíček wpadł na kolejny pomysł. Wprawdzie pociąg zatrzymał się w jego miejscowości przez czysty przypadek, on jednak, jako głęboko wierzący katolik, chciał zrobić to, co wydawało mu się moralnie słuszne. Nazajutrz, w niedzielę 22 kwietnia, o wpół do siódmej rano zamiast na mszę udał się do Josefa Zoubka, dyrektora miejscowej fabryki, oraz Antonína Wirtha, właściciela trzypiętrowej gospody o nazwie *Tovární Hostinec*, która pełniła też funkcję fabrycznej świetlicy i znajdowała się tuż obok stacji. Spytał ich, jak szybko byliby w stanie przygotować dużą ilość jedzenia dla więźniów – o ile, oczywiście, zgodziłby się na to komendant.

Jak można było podejrzewać, *Unterscharführer* sprzeciwiał się tej nowej propozycji jeszcze bardziej niż poprzedniej. Był zdecydowany do ostatniej chwili

wypełniać rozkazy swoich przełożonych, nie widział więc sensu w karmieniu osób przeznaczonych na śmierć. Nie mógł jednak otwarcie tego przyznać przed naczelnikiem. Po długich sporach w końcu stanęło na tym, że w czasie, gdy pociąg stoi w rewirze Pavlíčka, więźniowie otrzymują na koszt miasta jeden gorący posiłek przygotowany w gospodzie.

Wieść o fatalnym położeniu pasażerów pociągu szybko rozeszła się wśród mieszkańców miasteczka – zaczęli oni zbierać w domach żywność i pędzili do gospody z koszami pełnymi chleba, jajek, owoców, mięs i serów. „Z początku nie wiedzieliśmy, że w pociągu są więźniowie” – opowiadał Jaroslav Lang. „Kiedy jednak zauważyliśmy, że ludzie noszą jedzenie na stację, poszliśmy za nimi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Potem pobiegliśmy do domu i poprosiliśmy matkę, żeby dała nam trochę chleba. Bardzo się zląkła, ale coś nam przygotowała. Wszystko wtedy było na kartki, bo brakowało żywności, ale ludzie oddawali swoje racje, żeby pomóc więźniom”.

Widząc, z jakim zapałem mieszkańcy miasteczka starają się działać w tak naglącej sytuacji, Pavlíček poprosił miejscowego nauczyciela, żeby koordynował dostawy żywności. Jan Rajšl, który mieszkał przy szkole, grał na skrzypcach i dojeżdżał do pracy rowerem, okazał się idealną osobą do pełnienia tej funkcji – był surowy, ale sprawiedliwy. Pomoc zaoferowali też młynarz Jan Kovář

oraz rzeźnik o nazwisku Kočandrie – dostarczyli oni większą ilość mąki i kielbasy. Wielu innych ludzi z okolicy również się zgłosiło, ale nikomu z nich nie pozwolono zbliżyć się do więźniów, wokół których strażnicy uformowali kordon – stali co pięćdziesiąt metrów na całej długości pociągu, z uniesionymi lufami karabinów.

Przez całą niedzielę kuchnia w gospodzie pracowała na pełnych obrotach. Pomimo dnia wolnego stawili się pracownicy, a także inni ludzie starający się jakoś pomagać. Upieczono pięć tysięcy bochenków chleba i przygotowano wielkie tace ciastek oraz mnóstwo dzbanków z kawą. Dla chorych więźniów przeznaczono całe torby bułeczek i kosze jaj na twardo.

Tymczasem pan Pavlíček dalej sprawował pieczę nad pociągiem stojącym w jego rewirze i udało mu się zamienić na osobności kilka słów z więźniami. Dowiedział się, że wielu z nich jest obywatelami Czech oraz że są wśród nich przedstawiciele wielu krajów, nawet Grecji. Ich stan opisał później jako bardzo zły. Gdy im powiedział, że kieruje akcją przygotowania dla nich żywności, wielokrotnie prosili go, żeby przekazał im jedzenie prosto do rąk, a nie za pośrednictwem strażników, którzy wszystko zabiorą dla siebie i nic im nie dadzą. Bardzo go ta informacja zbulwersowała.

Przeżył kolejny szok, gdy w jednym z wagonów spotkał swojego kolegę, naczelnika stacji z pobliskiego

miasteczka, pana Šiškę, jak również wdowę po dentyście z Pilzna Ottonie Fischerze (którego pobito na śmierć podczas ewakuacji obozu). Trzydziestodzieciolatnia pani Fischerová i jej siedemnastoletnia córka Hanka tak jak inne więźniarki przeszły przez obozy w Auschwitz i Freibergu. Błagały teraz Pavlíčka, żeby przekazał ich krewnym wiadomość, że wciąż żyją. Ich krótką rozmowę zauważył *Unterscharführer* i brutalnie ją przerwał, wymierzając żonie dentysty cios, który powalił ją na ziemię. Pavlíčkowi nie pozwolono nic zrobić, mógł tylko odejść. Popędził na stację, żeby przekazać rodzinie kobiety wiadomość, tak jak go prosiła.

Liška Rudolf również rozmawiała przez chwilę z naczelnikiem stacji przez małe okienko wagonu towarowego. „Spotkałam pana Pavlíčka 22 kwietnia rano” – opowiadała. „Widział po moich oczach, że jestem głodna, i powiedział, że przyśle nam jedzenie. Później komendant mnie spytał, dlaczego rozmawiałam z cywilem na terenie wroga, i dodał, że jeśli jeszcze raz mnie zobaczy przy oknie, to będzie mój koniec”. Potem jednak przez nieznacznie uchylone drzwi wagonu wrzucono dwie pajdy chleba z dżemem, a Liška zdołała je złapać, podczas gdy pozostałe więźniarki wbijały w nią wściekłe spojrzenia. „Cały wagon mi zazdrościł” – opowiadała. „Po południu w ten sam sposób otrzymałam dwie bułeczki i dwa jajka”.

Naczelnik stacji, stale podejmując ryzyko, wciąż starał

się dokarmić, kogo się dało. Obiecywał też przekazywać wiadomości rodzinom więźniarek. Gdy przechodził obok jednego z wagonów, nagle usłyszał płacz niemowlęcia. Przerażony zaczął dopytywać, ile dzieci znajduje się w pociągu. Komendant nie chciał mu tego zdradzić; nie chciał też, żeby informacje o dzieciach się rozprzestrzeniały. Gdy w końcu przyznał, że w całym transporcie jest „może dwoje czy troje” dzieci, Pavlíček zaczął się domagać, żeby mu je pokazano. Przeraził się, gdy zobaczył niedożywione noworodki niemal bez ubranek.

Wiść o „dzieciach w pociągu śmierci” błyskawicznie rozeszła się po miasteczku. Niektóre z tych dzieci, tak jak Hana czy Mark, należały do więźniarek z Freibergu, ale było jeszcze kilka w transporcie z Venusbergu (żadne z tych dzieci prawdopodobnie nie przeżyło). Jednak z powodu wszechobecnego chaosu żadna z ich matek nie wiedziała o istnieniu pozostałych. Naczelnik stacji natychmiast wezwał miejscowego lekarza, żeby obejrzał dzieci i zbadał matki, ale znów spotkał się z odmową ze strony SS. „Powiedziałem komendantowi, że doktor Jan Roth może pomóc chorym” – wspominał. „Odparł, że więźniarki mają własną lekarkę, jedną z nich”.

Przejęty sytuacją doktor Roth poszedł do domu i opowiedział wszystko żonie, która spodziewała się właśnie ich pierwszego dziecka i miała już dla niego przygotowaną wyprawkę. Kiedy się dowiedziała, że

w pociągu są noworodki, przekazała małeńkie ręcznie szyte ubranka Pavlíčkowi i poprosiła, żeby się upewnił, że każde dziecko coś z tego otrzyma. Podobne dary przekazały jeszcze dwie kobiety – pani Benesová i pani Krahulíková. Naczelnik stacji wywiązał się z zadania. „Te matki dziękowały mi ze łzami w oczach” – opowiadał. „Przygotowaliśmy dla nich specjalne porcje żywności”.

Priska należała do tych wybranek losu, które otrzymały specjalne pożywienie dla siebie i ubranka dla dzieci, a oprócz tego pieluszki, kocyk i płótno do owijania niemowląt. „Dostałam całą wyprawkę” – opowiadała. „Nawet kosmetyki, na przykład talk, mydło i wszystkie przybory do dbania o higienę małeństwa”. Patrzyła na ślicznie wyszywaną odzież niemowlęcą i bała się jej dotknąć czarnymi od brudu rękami. Jeszcze bardziej obawiała się ubrać w nią Hankę, bo skórę jej dziecka pokrywały sączące się rany. W końcu jednak przycisnęła małeńkie ubranka do twarzy – poczuła wówczas zapach krochmalu i świeżego prania, który przypomniał jej o czasach, gdy czystość była dla niej codziennością. Nabożnie odłożyła otrzymane dary na bok i postanowiła, że użyje ich dopiero wtedy, gdy wraz z córeczką dojadą na miejsce i – daj Boże! – wreszcie będą się mogły wykąpać.

Przełamała otrzymaną bułkę i znalazła w środku karteczkę z napisem po czesku: „Trzymaj się! Bądź dzielna! To już nie potrwa długo!”. Pozwoliła sobie

wówczas na krótką chwilę szczęścia. Inne kobiety były równie poruszone, gdy znajdowały podobne wiadomości w przygotowanych dla nich kanapkach i bułkach.

Umieszczeni kilka wagonów dalej Rachela i jej synek nic jednak tej nocy nie otrzymali. Podobnie jak Priska, Rachela cieszyła się, że ją przeniesiono do cieplejszych zakrytych wagonów, ale w środku panował wielki tłok, a wentylację zapewniało tylko jedno małe okienko, szybko więc zrobiło się potwornie duszno. Nie było też już deszczówki, której można by się napić.

Na samym końcu pociągu tkwiła ciężarna Anka, która nawet nie wiedziała, że mieszkańcy miasteczka rozdają kobietom niemowlęce ubranka i przygotowują jedzenie. Pomału już traciła kontakt z rzeczywistością, czuła się, jakby umierała. Cieszyła się tylko, że pociąg na jakiś czas się zatrzymał i otwarto drzwi wagonu, dzięki czemu choć przez chwilę nie czuła się miażdżona naporem innych ciał. „To już nie była kwestia przeżycia kolejnego dnia” – wspominała ten etap podróży. „Liczyło się już tylko, żeby przeżyć jeszcze choć godzinę”. Stała w otwartych drzwiach wagonu pilnowanego przez strażniczki. Jej czarną od brudu skórę pokrywały rany. Przy życiu trzymały ją już tylko resztki nadziei. Głęboko wdychała leśne powietrze – przypomniały jej się wówczas czasy, gdy przechadzała się po lesie z przyjaciółmi lub rodziną. Tego rodzaju wspomnienia były nie do wytrzymania, jeszcze raz przywołała więc w myślach swoją ulubioną

bohaterkę Scarlet O'Hare i powiedziała sobie: „Pomyślę o tym jutro”.

„Takie już moje szczęście, że od urodzenia mam naturę optymistki, co mi ogromnie w życiu pomogło” – tłumaczyła potem. „To tylko taki głupi optymizm, nic więcej. Cokolwiek się działo, zawsze mówiłam sobie: »Pomyślę o tym jutro«, a następnego dnia sprawy zawsze wyglądały już nieco inaczej. Miałam wielkie szczęście, że nie umarłam, co mogło się zdarzyć w każdej chwili”.

Nagle usłyszała głosy. Podniosła wzrok i zobaczyła pospiesznie idącą grupkę ludzi, którzy najprawdopodobniej nieśli jedzenie. „Nie spodziewali się takiego widoku” – opowiadała. „Był tam jeden rolnik, który po prostu stanął jak wryty. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy zobaczył przed sobą trupa w ciąży. Ważyłam wtedy może jakieś trzydzieści kilo, a z tego większość stanowił mój brzuch. Byłam na wpół żywym szkieletem bez włosów, tak brudnym, jak tylko to możliwe”. Anka widziała, że mężczyzna blednie – zapewne uznał, że ma przed sobą obraz apokalipsy. „Można by sądzić, że ludzie będą wiedzieć, czego się spodziewać, ale mieszkańcy miasteczka nie mieli o tym wszystkim pojęcia” – tłumaczyła. W pobliżu wagonu stał komendant z karabinem i biczem. Spojrzał groźnie na rolnika, który w końcu chwiejnym krokiem wycofał się, osłupiały. Jednak pięć minut później wrócił, trzymając w dłoni szklanekę mleka. Śmiało podszedł do wagonu

i podał ją Ance – ona spojrzała na niego z niedowierzaniem.

„Nie znoszę mleka” – mówiła potem. „Nigdy wcześniej i nigdy potem nawet go nie tknęłam, ale wtedy je wypiałam”. Podczas gdy piła mleko, *Unterscharführer* podniósł bicz i się na nią zamierzył. „Widok ten tak wstrząsnął rolnikiem, że mało nie zwałił go z nóg” – opowiadała Anka. „Mężczyzna nic nie powiedział, ale widziałam po jego twarzy, że jest w ciężkim szoku. Nie wiem dlaczego, ale komendant opuścił wówczas bicz, a ja wypiałam to mleko, które było jak życiodajny eliksir. Niczym tak się nie delectowałam jak tym nektarem. Sądzę, że to mleko mogło mi wtedy uratować życie. Po wypiciu tej szklanki byłam silna jak byk. Dzięki niej stałam się znów człowiekiem”.

Otarła usta wierzchem dłoni i oddała szklankę oszołomionemu samarytaninowi. Podziękowała mu po czesku, a potem wróciła w głąb swojego więzienia pokrytego grubą warstwą węglowego pyłu.

Priska miała z nich wszystkich najwięcej szczęścia. Oprócz wyprawki otrzymała też chleb z dżemem prosto z rąk pana Pavlíčka. Mówiła potem, że był to największy przysmak, jaki w życiu jadła. Opowiadała również, że mieszkańcy miasteczka stali w kolejkach z darami, a gdy strażniczki z Freibergu zobaczyły, co się dzieje, zaczęły się dopytywać o losy dziecka urodzonego w obozie i jego matki.

„Ona żyje! Żyje!” – krzyczał ktoś z niedowierzaniem.

Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. Tego dnia z pociągu wyrzucono na tory zwłoki dwudziestu kobiet i piętnastu mężczyzn. Na widok ludzkich ciał traktowanych jak śmieci naczelnik stacji zaczął się domagać należytego pochówku dla zmarłych. „Poprosiłem komendanta, żeby podał mi nazwiska i numery tych osób, ponieważ zmarły na terenie należącym do kolei” – opowiadał. „Otrzymałem odmowę, z adnotacją, że ci ludzie »nie mają dla świata żadnego znaczenia«”.

Zbulwersowany Pavlíček zawiadomił miejscowy komisariat – przysłano umundurowanego policjanta Josefa Šefla, który miał przeprowadzić dochodzenie. Przekazał on komendantowi oficjalny dokument wydany przez ratusz, w którym potwierdzono, że z pociągu usunięto zwłoki trzydziestu pięciu osób. Policjant i naczelnik zdołali w ten sposób zapewnić zmarłym choć odrobinę godności: późnym wieczorem Niemcy musieli wykopać groby w lesie i złożyć do nich ciała.

Gdy już zapadał zmierzch, komendant wreszcie się zgodził, żeby ogromną ilość jedzenia przygotowanego przez miłosiernych mieszkańców miasteczka dostarczyć z gospody więźniom. Każda osoba dostała miskę tradycyjnej czeskiej kartoflanki, bochenek białego chleba, trochę kawy, ciastka i owoce. *Unterscharführer* był ponoć wściekły, gdy naczelnik zaznaczył, że chce sam wraz ze

swoimi ludźmi wydawać więźniom jedzenie na peronie, a nie tylko przekazać je strażnikom. Nastąpiły kolejne przepychanki, które groziły wyrzuceniem lub wylaniem parujących porcji jedzenia, w końcu jednak komendant się zgodził – zastrzegł jednak, że serwować posiłki więźniom mogą tylko Pavlíček i Wirth. Wszyscy inni mieli się trzymać z dala, pod żadnym pozorem nie wolno im było zbliżać się do pasażerów transportu.

Do osób, które otrzymały wówczas posiłek, należały córka dentysty z Pilzna Hana Fischerová i jej matka. „Naczelnik stacji i cały jego zespół starali się zrobić dla nas, co tylko mogli” – opowiadała. „Wszyscy byli bardzo mili. Przygotowali jedzenie w gospodzie i jestem przekonana, że nigdy w życiu nie będę już jadła nic równie pysznego jak tamta zupa”. Podobnie uważały pozostałe więźniarki. „Nigdy nie zapomnę tego chleba i tej kartoflanki, którą jadłyśmy, roniąc łzy” – mówiła jedna z nich. „Chyba żadna z nas tego nie zapomni. To jedna z drobnych rzeczy, które pozostaną ze mną na zawsze. Cudowne wspomnienie”. Wedle relacji innej z kobiet trudno im było uwierzyć, że biały chleb w ogóle jeszcze istnieje, i nie mogły powstrzymać łez wobec tego „pozdrowienia z innego świata”. Po tak długim czasie spędzonym w pełnej izolacji, więźniarki sądziły, że nikt już nigdy się nimi nie zainteresuje. Dopiero naczelnik stacji i jego sąsiedzi byli skłonni zaryzykować życie, żeby im pomóc. W mroku egzystencji na chwilę rozbłysło

światło.



Pomnik zmarłych więźniów z transportu na cmentarzu
w miasteczku Horní Bříza

„Wieczorem niemal wszyscy z całego transportu otrzymali zupę i chleb” – wspominała Liška Rudolf. „Ludzie płakali ze szczęścia i mówili: »Jechaliśmy przez Ukrainę, Polskę, Węgry, Austrię, Niemcy i Francję, ale nikt nas tam nie dostrzegał! Tylko w Czechosłowacji ludzie mają serce. Nigdy nie zapomnimy Horní Bříza«”. „Cała wioska przyniosła nam zupę i chleb” – mówiła

Klara Löffová. „Jakby zdarzył się cud. Wiedziałyśmy wtedy, że jesteśmy w domu, że to nasz naród, a my do niego należymy”.

Jaroslav Lang wraz z bratem Milanem ukrył się w lesie, żeby popatrzeć, jak po kolei karmieni są więźniowie ze wszystkich wagonów. „Staliśmy w dość dużej odległości, nie mogliśmy więc wszystkiego dostrzec, widzieliśmy jednak, że więźniowie prowadzeni na posiłek byli bardzo smutni i wyczerpani” – opowiadał. „Podtrzymywali się nawzajem, żeby w ogóle iść. Wiele osób nosiło pasiaki i czapki. Wciąż wszystkim dziękowali”. Chłopcy nie potrafili ocenić, czy widzą kobiety czy mężczyzn. „Wyprowadzano ich z wagonów rzędami, których po bokach pilnowali strażnicy, żeby nikt nie uciekł” – relacjonował Jaroslav. „Nie mieli misek, musieli więc jeść po kolei. Niektórzy jedli rękami. Bardzo długo to trwało i nie wszystkich udało się nakarmić”.

Pomimo najlepszych starań naczelnika, wiele osób nie otrzymało nic. Choć więźniów karmiono pojedynczo, esesmani i tak przejęli sporo porcji żywności, twierdząc, że będą ją sami rozdawać, żeby przyspieszyć całą procedurę. W rezultacie więźniowie z ostatnich wagonów zostali całkiem pominięci. „W miasteczku, gdzie się zatrzymaliśmy, poproszono o zgodę na wydanie nam jedzenia” – mówiła Lisa Miková. „Komendant zadeklarował, że nam je przekaże, ale esesmani większość zabrali dla siebie, a nam dali trochę

ziemniaków”.

„Widzieliśmy, jak jeden z więźniów prosił o jedzenie, a Niemiec zamachnął się na niego batem, ale tamten szybko zrobił unik” – opowiadał Jaroslav Lang. „Ta scena nas naprawdę przerażała. Potem znów zaczął padać deszcz, zrobiło się ciemno, warczały silniki samolotów i błyskały pociski smugowe. Niemcy zaczęli krzyczeć, słyhać było mnóstwo strzałów, więc stamtąd uciekliśmy. Następnego dnia doszły nas słuchy, że kilkoro więźniów uciekło z kolejek po żywność albo z wagonów. To było doświadczenie, które się pamięta do końca życia”.

Jedną z kobiet, które tamtej nocy uciekły z pociągu w deszczu, była Hana Selzarová, dwudziestotrzyletnia prażanka. Ważyła wówczas trzydzieści pięć kilogramów. Prześlizgnęła się w swoich łachmanach obok esesmana w przeciwdeszczowej pelerynie i chwiejnym krokiem ruszyła w las. Dookoła słyszała strzały. Gdzieś w oddali zobaczyła światło i pobiegła w jego stronę. Gdy dotarła na miejsce, okazało się, że to komisariat. Gdy jednak weszła do środka, policjanci bardzo się przestraszyli: „O Boże! Proszę stąd iść, bo będziemy musieli panią aresztować!”. Pokierowali ją do domów w okolicy, gdzie miała otrzymać pomoc. „Dostałam od tych ludzi ubrania i chustkę na głowę, bo miałam mało włosów” – opowiadała. – „Dali mi coś do jedzenia, a nawet trochę pieniędzy na drogę. Powiedzieli mi też, gdzie mogę wsiąść do pociągu”. Zatrzymała się tam na noc, a rano

ruszyła w podróż do Pragi – tam zaopiekowała się nią koleżanka.

Do stojącego w lesie trzysta metrów od stacji domu rodziców siedemnastoletniego Vaclava Stepanka zapukały dwie kobiety, które wymknęły się strażnikom (niewykluczone, że jedną z nich była właśnie Hana Selzarová). Mówiły, że jedna jest z Pragi, a druga z Pilzna, i dopytywały, ile drogi dzieli je właśnie od Pilzna. „Były w więziennej odzieży i bardzo głodne” – mówił Vaclav. „Rodzice dali im jedzenie i trochę ubrań. Wszyscy już wtedy wiedzieli o transporcie i bardzo tym ludziom współczuli”.

Jego ojciec drwał zgodził się, żeby kobiety przenocowały u niego w stodole. „Rodzice już wcześniej ukrywali tam ludzi” – opowiadał Vaclav. „Matka bardzo się bała, ale stwierdziliśmy, że jeśli nawet je znajdą, po prostu się nie przyznamy, że cokolwiek o nich wiedzieliśmy. Ruszyły w drogę wczesnym rankiem i już nigdy nie mieliśmy o nich wieści. Często się potem zastanawiałem, co się z nimi stało”.

Po nakarmieniu tylu osób, ile się dało (w tym Priski i Racheli) pan Pavlíček niewiele już mógł zrobić. Resztę jedzenia przekazał komendantowi, który kłamliwie zapewniał, że zostanie ono podzielone między więźniów. Gdy naczelnik otrzymał wiadomość z Pilzna, że linia kolejowa została w końcu naprawiona, wiedział, że nie może już dłużej wstrzymać transportu. Ostatni raz

spróbował porozmawiać z komendantem i przekonać go, żeby zostawił pasażerów na boczniczy, a sam, wraz z resztą strażników, uciekł, ale *Unterscharführer* pozostał nieugięty. Był zdecydowany do samego końca wypełniać swoje obowiązki. Dopytywał nawet o najlepszą trasę do Bawarii i nie chciał słuchać ostrzeżeń Pavlíčka, który mówił mu, że jest bardzo mało prawdopodobne, żeby esesmani zdołali dotrzeć tak daleko i przeżyć.

„Podśluchałyśmy jego rozmowę z zawiadowcą stacji, który namawiał go, żeby nas tu zostawił, bo tu o nas zadbają, nakarmią i tak dalej” – wspominała czternastoletnia wówczas Helga Weissová. „Ale Siara odmówił. Chciał się stamtąd wydostać za wszelką cenę³¹”.

Antonín Pavlíček i reszta mieszkańców miasteczka nie mogli już zrobić nic więcej, żeby ocalić więźniów od śmierci. W poniedziałek 23 kwietnia o godzinie 18.21 cały skład (który otrzymał nowy numer: 90124) opuścił bezpieczną przystań w Horní Bříza i pośród kłębów pary ruszył w dalszą drogę na południe. Zrozpaczony naczelnik patrzył na znikające za zakrętem ostatnie wagony i modlił się o rychłe zakończenie wojny, żeby nieszczęśnicy z transportu zdołali dotrzeć do jej końca.

Pasażerowie składu 90124 pożegnali się z miłosiernym miasteczkiem i jechali teraz przez Pilzno – miasto, które dla wielu z nich było ukochanym domem. „To była niezapomniana, ale też straszna chwila” – wspominała jedna z pochodzących z Pilzna więźniarek. „Zobaczyć

swoje rodzinne strony, a potem je minąć i jechać dalej”. Dwa dni później z fabryki Škody, którą minął transport, została sterta gruzu. Siedemdziesiąt procent zabudowań zostało zmiecione z ziemi za pomocą bomb zapalających i odłamkowych. Z okolicznych linii kolejowych też niewiele zostało. Pasażerom transportu udało się o parę dni wyprzedzić naloty, które mogły albo ich zabić, albo wyzwolić. Podczas dalszej podróży pojawiały się kolejne komplikacje i opóźnienia, jako że ciągle wybuchały nowe bomby, krzyżujące nazistom plany, a ponadto z dwóch stron zbliżały się fronty: od zachodu podchodzili Amerykanie, a od wschodu nadciągała Armia Czerwona, siejąca ogromny postrach wśród Niemców.

Wciąż nie było jasne, dokąd właściwie zmierza cały transport. Naziści nie wiedzieli, który z obozów jest w stanie przyjąć trzy tysiące więźniów. Niemieckie koleje państwowe wciąż kierowały pociąg wąską trasą prowadzącą na południe. Przez szparki okien lub ponad ścianami odkrytych wagonów więźniowie z coraz większym niepokojem odnotowywali nazwy kolejnych mijanych stacji. Każdą z nich wykrzykiwano na głos, tak aby wszyscy słyszeli: Planá! Tachov! Bor! Domažlice! Nýrsko! Wówczas kobiety, które były jeszcze w stanie mówić, wołały z rozpaczą: „To moje rodzinne miasto!” albo „Tu mieszka moja rodzina!”. Osoby wyglądające na zewnątrz popadały w nostalgię i w milczeniu patrzyły na boleśnie piękne krajobrazy przetaczające się przed ich

oczami, stojące na polach dorodne bydło i ludzi mogących robić to, na co mają ochotę.

Esesmani i wiozący ich maszyniści otrzymali rozkaz z centrali: mieli jechać do miejscowości Železná Ruda, wkrótce potem jednak okazało się, że dotarła już tam amerykańska 3. Armia dowodzona przez generała Pattona. Niemcy musieli więc zawrócić do Nýrská. Około 27 kwietnia pociąg dojechał do miejscowości Běšiny, gdzie pięćdziesięciu więźniom na tyle silnym, że mogli jeszcze chodzić, kazano naprawić zbombardowane tory prowadzące do miasta Klatovy, żeby pociąg mógł tam dojechać. Pozostałym pasażerom transportu pozwolono na chwilę opuścić wagony, żeby załatwili potrzeby fizjologiczne oraz opłukali się z pyłu, moczu i ekskrementów, a także wyrzucili ciała zmarłych. Ludzie wyjadali miąższ z trzciny i gasili koszarne pragnienie wodą pitą prosto ze strumyka, podczas gdy strażnicy zajadali się resztą ciastek otrzymanych w Horní Bříza.

Według relacji Liški Rudolf, gdy mężczyźni oddelegowani do naprawy torów wrócili, opowiadali, że mieszkańcy miasta płakali na ich widok i próbowali przekazać im coś do jedzenia, lecz esesmani odpychali ich na bok. „Wieczorem ludzie z Běšin i okolic przynieśli nam całe skrzynie chleba, bułek, salami i garnki z zupą, ale wszystko musieli oddać do kuchni esesmanów” – opowiadała Liška. „Patrzyłyśmy tylko przez okno i śpiewałyśmy czeskie pieśni. Całkiem niezłe nam poszło:

dostałyśmy tylko po kilka batów. Za to z tych wszystkich darów nie trafiło do nas nic”.

Po dalszym oczekiwaniu Niemcy dowiedzieli się, że pociąg może pojechać objazdem przez Horaždovice i Strakonice i ruszyć dalej na południowy wschód do obozu koncentracyjnego Dachau w Bawarii. W naczelnym dowództwie Rzeszy panował już całkowity chaos, a nazistowskie rządy w Europie właśnie się kończyły. Siły niemieckie broniące Zagłębia Ruhry dawno już skapitulowały, Armia Czerwona dotarła do Berlina, a Mussoliniego właśnie schwytali partyzanci i mieli go rozstrzelać. Dwudziestego ósmego kwietnia, po kolejnym przestoju, pociąg zatrzymano na bocznicę w pobliżu miasta Czeskie Budziejowice, pełnego Niemców uciekających przed nadciągającym frontem. Następnego dnia amerykańska 7. Armia wyzwoliła obóz w Dachau, dzięki czemu więźniarki z Freibergu ominęła ta planowana wcześniej stacja docelowa. Obóz ten powstał z rozkazu Himmlera i stanowił prototyp wszystkich później utworzonych obiektów tego typu. Na jego terenie znajdował się też ośrodek szkoleniowy dla esesmanów, którzy zdobyłą tam „wiedzę” wykorzystywali potem w innych obozach. Szacuje się, że do Dachau trafiło w sumie ponad dwieście tysięcy osób, z czego oficjalnie zginęło ponad trzydzieści tysięcy (prawdopodobnie było ich znacznie więcej).

Podczas jednego z nocnych postojów gdzieś na

uboczu, pośród huku artylerii przeciwlotniczej i w blasku pocisków smugowych rozświetlających ciemne niebo, pasażerki jednego z wagonów ze zdumieniem stwierdziły, że ktoś gwałtownie szarpie za drewniane deski ich więzienia. Jeszcze większy szok przeżyły, gdy w dziurze po wyrwanych deskach ukazała się twarz Czecha, który zachęcał je do ucieczki. Niestety, większość kobiet była zbyt słaba, chora lub przestraszona, żeby wykorzystać tę okazję, ale kilka rzeczywiście uciekło. Należała do nich lekarka Edita Mautnerová, która opiekowała się ciężarną Anką, gdy ta poraniła sobie nogę, a potem pomagała Prisce i Racheli przy porodach. Postawiła wszystko na jedną kartę i być może dzięki temu przeżyła wojnę. Gdy esesmani zorientowali się, co się stało, brutalnie pobili pozostałe kobiety z tego wagonu. Domagali się informacji, dokąd uciekły ich towarzyszki i kto im pomógł. Ledwo żywym kobietom było jednak wszystko jedno. I tak były już półprzytomne, niektóre po prostu przewracały się i umierały. Inne wciąż jeszcze żyły, ale traciły kontakt z rzeczywistością.

„Ludzie wyli z głodu” – opowiadała Liška Rudolf. „Niektórym mieszało się w głowach, a pośród nocnych ciemności oczy im błyszczały jak dzikim bestiom”. Dla wielu z nich chwila, w której lokomotywa ruszyła z impetem z Czeskich Budziejowic na południe, w stronę granicy z Austrią i historycznego połączenia kolejowego z Summerau do Linzu, była najbardziej traumatycznym

doświadczeniem od chwili deportacji. Długie ciemne noce spędzane w wagonach budziły w nich lęk, ale ta ostatnia noc, gdy leżały otępiełe w kołyszącym się pociągu, była ze wszystkich najdłuższa.

„Gdy zmieniliśmy kierunek jazdy, przeraziłyśmy się, że teraz zabiorą nas w jakieś straszne miejsce” – wspominała Lisa Miková. – „To nami naprawdę wstrząsnęło. Bardzo się bałyśmy. Każda zatopiła się we własnych myślach, nikt już nie rozmawiał, nie opowiadał historii. Podobnie jak pozostałe kobiety, ja też nie chciałam w to wierzyć, ale wiedziałam, że moja rodzina już nie żyje. Pomyślałam sobie, że skoro mamy iść do gazu, to niech już tak będzie. Nie miałyśmy siły walczyć”. Po tylu latach walki o przetrwanie, gdy stało się jasne, że jedyną trasą, którą może pojechać pociąg, jest szlak do Austrii i dalej do Linzu, przez wagony przetoczyła się fala rezygnacji. Więźniarki wiedziały, że w pobliżu tego miasta jest tylko jeden obóz koncentracyjny. Wiele z nich obawiało się go niemal tak samo jak Auschwitz.

„Gdy ruszyłyśmy na południe, to był jedyny możliwy cel podróży” – mówiła Anka. „Niemcy nie mieli już dokąd jechać, zabierali nas więc do Mauthausen”.

Wydawało się, że wszystko stracone.

Wiele spośród więźniarek słyszało wcześniej, co nazwa tego obozu oznacza dla „wrogów Rzeszy” – i na samą myśl o tym bladło. Straszne opowieści o Mauthausen krążyły już w gettach. Gdy Anka przebywała jeszcze

w Theresienstadt, rozeszła się wiadomość, że Karel Hašler – słynny czeski bard, aktor i autor piosenek – został właśnie w Mauthausen zamordowany. Niewykluczone, że wiadomość ta dotarła do getta za pośrednictwem dwóch zbiegów z Auschwitz, którzy przez jakiś czas ukrywali się w Theresienstadt. Hašler był żonaty z siostrą znanego amerykańskiego kompozytora i pianisty czeskiego pochodzenia Rudolfa Frimla. We wrześniu 1941 roku został aresztowany przez gestapo za śpiewanie patriotycznych pieśni i wysłany właśnie do Mauthausen, gdzie już w grudniu 1941 zmarł w wyniku tortur (prawdopodobnie został zamieniony w „bryłę lodu”, czyli zmuszony do rozebrania się i stania na zewnątrz nago, podczas gdy strażnicy polewali go zimną wodą, aż całkiem zamarzł).

Tego rodzaju historie brzmiały szokująco, ale największe przerażenie budziła praktyka wykańczania więźniów morderczą pracą. „Obóz w Mauthausen był stworzony do zabijania... pracą w kamieniołomach” – tłumaczyła Anka. „Wszyscy w Terezynie o tym wiedzieli. Ludziom kazano tam wykuwać kamienne bloki, a potem wspinać się z nimi po stu kilkudziesięciu stopniach. Jeśli ktoś nie dawał rady, był zabijany. To byłby dla nas wszystkich najstraszliwszy koniec”.

Po wszystkim, co przeszły – a przecież znosiły całe lata niemieckiej tyranii, przetrwały getta i selekcje doktora Mengelego, uniknęły posłania do komór gazowych

i śmierci z powodu głodu, chorób, wyczerpania i od alianckich bomb, resztkami sił trzymały się życia w zamkniętych wagonach pociągu – nagle znalazły się przerażająco blisko ostatecznego końca.

Od Mauthausen dzieliła je już tylko jedna noc.

Potężny granitowy kompleks obozu rozciągał się pośród wzgórz niedaleko Linzu – do tego miasta docierało się po krótkiej podróży pociągiem doliną Dunaju. Wszystko wskazywało na to, że zanim nadejdzie wyzwolenie, będzie już za późno. Priska, Rachela, Anka i ich dzieci (już narodzone i dopiero mające się narodzić) miały lada chwila trafić do jednej z najgorszych stacji końcowych nazistowskiej maszyny śmierci.

Pociąg kończył już bieg.

Mauthausen



Malownicze Mauthausen na brzegu Dunaju

Na przekór swojej złowrogiej reputacji obóz koncentracyjny Mauthausen rozciągał się chyba w najbardziej malowniczej okolicy ze wszystkich niemieckich kompleksów zagłady – w regionie słynącym z bajkowych krajobrazów. Był usytuowany na szczycie wzgórza, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na Górną Austrię aż po Salzburg.

Położone nad Dunajem niedaleko dawnej granicy

z Niemcami i Protektoratem Czech i Moraw miasteczko Mauthausen korzystało z dobrodziejstw bezpośredniego dostępu do drugiej najdłuższej rzeki w Europie, jak również do sprawnej sieci kolejowej i drogowej. Wiedeń był oddalony o niespełna dwieście kilometrów na wschód, a Linz tylko o dwadzieścia kilometrów na zachód. W Linzu dorastał Adolf Hitler. Uważał go za swój dom i wiązał z nim duże nadzieje. Linz uznany został za „najbardziej niemieckie miasto w całej Austrii” i należał do szóstki tak zwanych „miast Führera”, wraz z Berlinem, Monachium, Norymbergą, Hamburgiem i Landsbergiem nad Lechem.

Najbardziej reprezentacyjnym budynkiem miało być Führermuseum, wielka galeria zaprojektowana przez ministra uzbrojenia i amunicji Alberta Speera, konkurująca z galerią Uffizi i Luvrem. Za fasadą długości stu pięćdziesięciu metrów, złożoną z kolumn w rzymskim stylu, zamierzano wystawiać dzieła sztuki zagrabione i skonfiskowane z muzeów i zbiorów prywatnych, w większość żydowskich. Złoty granit najlepszej jakości potrzebny do wzniesienia tego trwałego pomnika ku czci Hitlera – jak również do zbudowania planowanej opery – miał pochodzić z kamieniołomu Wiener Graben (Wiedeński Wykop) w Mauthausen, gdzie był kruszony i żłobiony przez najbardziej pogardzanych wrogów Rzeszy.

Od dziesięcioleci kamieniołom stanowił własność

Wiednia, a pochodzącym stamtąd granitem wyłożono bulwary stolicy Austrii. Po anslusie w 1938 roku kamieniołom wydzierżawiono Niemieckiemu Przedsiębiorstwu Robót Ziemnych i Kamieniarskich będącemu własnością SS, które aż do 1945 roku nie tylko reklamowało swoje towary w broszurach drukowanych na lśniącej papierze, ale też rozprowadzało je po całej Europie – do budowy pomników, gmachów, kompleksów przemysłowych i autostrad. Na szczycie wzgórza pospolici przestępcy więzieni w Dachau zbudowali od zera obóz, w którym mieli przebywać robotnicy pracujący przymusowo w pobliskim kamieniołomie. Kompleks uzupełniony wartownią i wieżyczkami strażniczymi oraz otoczony nieprzebytym murem z granitu, został otwarty w 1938 roku. Dało się go zobaczyć z odległości wielu kilometrów.

Wielu pierwszych więźniów było politycznymi i ideologicznymi przeciwnikami reżimu, przedstawicielami inteligencji, między innymi profesorami uniwersyteckimi pochodzącymi zwłaszcza z Polski, skazanymi na eksterminację poprzez katorżniczą pracę. Wśród nich znajdowali się *Häftlingowie* wszystkich wyznań i ze wszystkich okupowanych narodów, w tym Świadkowie Jehowy, księża i hiszpańscy republikanie. Gdy na początku 1945 roku ewakuowano Auschwitz i inne obozy, w Mauthausen Żydzi wciąż stanowili mniejszość;

również kobiet było tam niewiele aż do 1945 roku (nie licząc tych zmuszonych do pracy jako prostytutki w burdelu). Najokrutniej traktowano sowieckich jeńców wojennych – z czterech tysięcy przeżyło niespełna dwustu. Nie dość, że pracowali w nieludzkich warunkach w kamieniołomie, to dostawali tylko połowę obowiązujących racji żywnościowych i musieli spać nago w barakach pozbawionych okien. Zanim zdążyli ukończyć budowę „rosyjskiego obozu”, ich liczba spadła tak drastycznie, że powstałe baraki wykorzystano jako izbę chorych, choć pozostawiono oryginalną nazwę.

Mauthausen, jeden z zaledwie dwóch obozów karnych Klasy III (dla więźniów „bez nadziei na poprawę”), znany w Rzeszy jako *Knochenmühle* („młyn kości”), szybko zyskał złą sławę miejsca o najgorszych warunkach bytowych i najwyższej umieralności. Pewien wyższy rangą urzędnik nazistowski stwierdził podobno w 1941 roku: „Z Mauthausen nikt nie wychodzi żywy”. Akta wielu więźniów opatrzone skrótem RU, co oznaczało *Rückkehr Unerwünscht* („powrót niewskazany”). Zorganizowane po to, aby generować jak największe zyski dla SS, Mauthausen i ponad pięćdziesiąt podobozów, w tym pobliskie Gusen (drugi obóz klasy III), korzystały z nieograniczonego dopływu więźniów. W 1944 roku Mauthausen okazał się jednym z najbardziej dochodowych obozów w całym hitlerowskim imperium, przynosząc rocznie ponad jedenaście milionów marek

zysku.

Praca w kamieniołomie była bardzo ciężka – obejmowała wykopywanie, wysadzanie i kruszenie ogromnych bloków granitu, często ręcznie lub kilofem. Potem każdy blok – ważący średnio około czterdziestu kilogramów – więźniowie dźwigali na plecach stromizną z miałkiego łupka, który często osuwał się pod ich stopami, powodując śmiertelne wypadki. Dalej wykuto w kamieniu sto osiemdziesiąt sześć stopni nazwanych „Schodami Śmierci”. Po bokach stali uzbrojeni strażnicy, którzy popędzali, bili i nękali więźniów uginających się pod ciężarem głazów i przestępujących nad zwłokami swoich poprzedników.



Schody Śmierci w kamieniołomie Mauthausen

Kolejne niebezpieczeństwo stanowiła tak zwana Ściana Spadochroniarzy. Krzycząc ze śmiechem: „*Achtung! Fallschirmspringer!*”³², strażnicy spychali więźniów z krawędzi urwiska, a oni roztrzaskiwali się na skałach albo tonęli w sadzawce u podnóża ściany. Ci,

którzy nie zginęli na miejscu, pozostawieni sami sobie powoli konali, czasem przez kilka dni. Niejeden z własnej woli skakał z urwiska z powodu dwunastogodzinnej katorgi w skrajnych warunkach pogodowych, głodowych racji żywnościowych i brutalnego traktowania. Poza morderczą pracą polski lekarz Antoni Gościński skatalogował sześćdziesiąt dwie metody uśmiercania więźniów w Mauthausen, w tym bicie, rozstrzeliwanie, wieszanie, eksperymenty medyczne, wstrzykiwanie fenolu i rozmaite rodzaje tortur. Nieznana jest ogólna liczba ludzi zgładzonych w Mauthausen, ponieważ wiele ofiar zabito w furgonetce albo zagazowano w Schloss Hartheim. Było tak do 1941 roku, kiedy to więźniów zmuszono do zbudowania komory gazowej na miejscu. Szacunki są rozmaite, ale uważa się, że w Mauthausen zginęło około stu tysięcy ludzi, z których trzydzieści tysięcy stanowili Żydzi.

Na początku zwłoki transportowano ciężarówkami do miasteczka Steyr lub do Linzu, ale takie otwarte działania uznano za zbyt wielkie ryzyko, zatem w celu pozbywania się ciał otworzono krematorium. Prochy rozsypywano w lesie za obozem albo w wodach Dunaju. Jesienią 1944 roku, w wyniku planów ewakuacyjnych, w Auschwitz II-Birkenau rozmontowano dziesięć dużych „spalarni odpadów” z zamiarem zainstalowania ich w Mauthausen – zamiar ten nigdy nie został zrealizowany, choć w lutym 1945 roku zakontraktowano

miejscowe przedsiębiorstwo do wykonania odpowiednich prac.

To ludobójstwo dokonywało się w odległości zaledwie kilku kilometrów od uroczego nadrzecznego miasteczka, od którego obóz wzięły swoją nazwę. Wielu z jego czterech tysięcy mieszkańców – w większości katolików – było świadkami konwojowania więźniów ze stacji kolejowej do obozu, z którego mieli już nigdy nie powrócić. Austriacy patrzyli, jak tych, którzy padali po drodze z wycieńczenia, stawiano pod murem i rozstrzeliwano, a potem zmywali po nich krew. Słyszeli o brutalnym traktowaniu i mordowaniu więźniów w kamieniołomie i gromadzili się przy promie, żeby popatrzeć na dziwnych ludzi w pasiakach, transportowanych rzeką do podobozów – aż do momentu, gdy esesmani zagrozili, że będą strzelać do „gapiów”.

Pomimo ogłoszenia przez Rzeszę w 1938 roku, że budowa obozu koncentracyjnego w Mauthausen jest „szczególnym wyróżnieniem” dla okolicy, niewielu miejscowych cieszyło się z takiego obrotu spraw. Jednak obecność mniej więcej czterystu esesmanów zadecydowała o tym, że miasteczko było dobrze zaopatrzone i wkrótce odegrało ważną rolę w regionalnej gospodarce. Tamtejsze bary, sklepy i restauracje odnosiły korzyści z prężnej wymiany handlowej, a gospoda usytuowana najbliżej obozu stała się ulubionym

miejscem spotkań esesmanów. Wielu miejscowych przedsiębiorców zarabiała na sprzedaży rozmaitych towarów, od cydru przez boczek po ryby, kupowanych przez personel obozowy. Kwitł również czarny rynek – pokątny handel mydłem, żywnością, odzieżą i biżuterią kradzioną z obozu; kilka miejscowych kobiet nawiązało intymne relacje ze strażnikami, nawet zawierano małżeństwa. Pracownicy cywilni i kamieniarze zarabiali nieźle jako nadzorcy w kamieniołomie, a robotników przymusowych z obozu „wypożyczano” do prac domowych i społecznych w miasteczku, między innymi przy odnawianiu i wznoszeniu domów, uprawianiu ogrodów i pracy na roli. W 1943 roku polski artysta Stanisław Krzykowski, więzień z pobliskiego Gusen, wykonał posąg leżącego jelenia przeznaczony do ogrodu komendanta SS.

Strażnicy z SS często przyłączali się do polowań organizowanych przez miejscowych myśliwych i utworzyli drużynę futbolową, która rozgrywała mecze na boisku zbudowanym przez więźniów, skąd rozciągał się widok na „rosyjski obóz”. Usytuowane tuż za murem boisko miało nawet trybuny wycięte w trawiastej skarpie. Gdy drużyna Mauthausen I awansowała do ligi regionalnej, to na nim rozgrywano wszystkie mecze „u siebie”, a piłkarzy dopingowali miejscowi kibice, którzy z całą pewnością widzieli, czuli i słyszeli, co się dzieje w pobliżu. O meczach pisała prasa, wspominając

czasem beztrąsko o więźniach oglądających zmagania piłkarskich drużyn z dachu izby chorych.

Blisko boiska znajdował się głęboki betonowy zbiornik zbudowany przez więźniów na wypadek pożaru, później używany przez esesmanów jako basen. Niektórych obywateli miasteczka zapraszano na kąpiele, a także na projekcje w obozowym kinie, ale tylko w dni, kiedy nie działało krematorium. Był też ogrodzony murem warzywnik i sad, których doglądali więźniowie, jednak nie wolno im było tknąć żadnych plonów.

Mieszkańcy Mauthausen nie mieli złudzeń co do zbrodniczej działalności mężczyzn w mundurach strzegących obozu na wzgórzu. W miasteczku rozlepiono ostrzeżenia głoszące, że każdy przyłapany na próbie pomagania więźniom zostanie rozstrzelany, a cywilnych pracowników podsłuchanych na rozmowie o warunkach panujących za murami osadzano w areszcie. Pewien kamieniarz, zwolniony z pracy z powodu narzekania na nieludzkie traktowanie więźniów, został potem wysłany do Buchenwaldu, więc ludzie szybko się nauczyli milczeć i nie podnosić głów.

Historycy jednak odnaleźli kilka świadectw, z których wynika, że mieszkańcy miasteczka skarżyli się na obóz, a nawet próbowali przyjść ofiarom z pomocą. Anna Pointner, członkini austriackiego ruchu oporu, ukryła dokumenty i fotografie obozu sporządzone przez hiszpańskich więźniów. Anna Strasser, inna młoda *Frau*,

pracująca w biurze rachunkowym przy magazynach naprzeciw stacji kolejowej, widziała kolejne przybywające transporty. Stan więźniów przeraził ją do tego stopnia, że nie mogła spać, zatem każdego dnia w południe podczas przerwy w pracy szła na spacer i przez dziurkę wyciętą w kieszeni upuszczała na ziemię kawałki chleba, saszetki z solą i cukrem, igły, nici i guziki w nadziei, że więźniowie z następnego transportu zdołają je podnieść. Między deskami wagonów znajdowała wciśnięte dokumenty tożsamości i liściki o rozpaczliwej treści, w których błagano: „proszę ostrzec moją rodzinę”. Swych szlachetnych wysiłków zaniechała dopiero wtedy, gdy jej szefa – Austriaka mającego żonę i dzieci – przyłapano na podrzucaniu więźniom chleba i w konsekwencji aresztowano. Trafił do Dachau, gdzie zginął.

Annę Strasser oddelegowano do pracy w fabryce czołgów – tam przyłapano ją na pomaganiu więźniom. Aresztowana przez gestapo, trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Bliska śmierci, została uratowana przez lekarza z ruchu oporu i dzięki temu przeżyła wojnę.

W lutym 1945 roku doszło do masowej ucieczki sowieckich więźniów z obozu Mauthausen. Kilku miejscowych rolników, podejmując ogromne ryzyko, ukryło część z nich. Wielu mieszkańców wzięło jednak udział w tak zwanym „polowaniu na zające”, tropiąc

uciekierów i strzelając do nich, bo wmówiono im, że to zatwardziali przestępcy, którzy skrzywdzą ich bliskich. Z około pięciuset Rosjan, którzy wtedy uciekli, wielu zginęło od kul lub zamarzło na śmierć w ciągu doby. Dwóch ukryli na poddaszu pracownicy urzędu burmistrzowskiego. Z pięćdziesięciu siedmiu pochwyconych przeżyło tylko jedenastu.

Pewna zakonnica pracująca w izbie chorych prowadzonej przez Zakon Świętego Krzyża odnotowała sfrustrowanie tych mieszkańców, którzy chcieli interweniować, ale czuli się niezdolni do zrobienia czegokolwiek. „Choć człowiek pragnąłby pomóc tym ludziom, to niestety uniemożliwiają to twarde zasady wprowadzone przez SS, a każda nawet najmniejsza pomoc naraża nas na wielkie niebezpieczeństwo”. Inni mieszkańcy spotykali się po kryjomu, żeby przedyskutować ewentualne możliwości niesienia pomocy, ale większość paraliżował strach. Wielu nie chciało lub nie potrafiło przyjąć do wiadomości, co dzieje się na wzgórzu, albo żyło w śmiertelnym strachu przed podobnym losem. Niektórzy uskarżali się na smród dochodzący z obozu, na dym i popioły napływające z krematorium. Aby ich udobruchać, dowódcy SS rozkazali włączanie palników tylko w nocy. W odpowiedzi na obawy o szerzenie się chorób zakaźnych, które zagrażały także mieszkańcom miasteczka, ustanowili *Sonderrevier*, czyli izbę chorych

(która potem stała się znana jako obóz chorych) obsługiwana przez lekarzy-więźniów.

Jedyne ocalałe świadectwo oficjalnej skargi złożonej na ręce miejscowych przedstawicieli partyjnych z powodu złego traktowania więźniów pochodzi z 1941 roku. Eleonore Gusenbauer, której gospodarstwo znajdowało się nad kamieniołomem i która w konsekwencji była świadkiem rozstrzeliwań, napisała:

„Nie wszyscy giną od razu, niektórzy żyją jeszcze przez pewien czas i pozostawieni samym sobie leżą przez długie godziny, a nawet pół dnia obok zwłok (...), co tak się odbija na moich nerwach, że długo tego nie zniosę. Proszę o wydanie rozkazu zaprzestania takich nieludzkich działań albo prowadzenia ich gdzie indziej, aby nikt tego nie oglądał”.

To właśnie do tego miasteczka i tego obozu po szesnastodniowej podróży zygzakiem przez Europę, dotarły wreszcie ludzkie wraki z podoboju Freiberg. Wśród nich były Priska z urodzoną przed siedemnastoma dniami córeczką Haną, Rachela i jej Mark, który przyszedł na świat dziesięć dni wcześniej, oraz Anka w zaawansowanej ciąży. Te trzy kobiety wciąż nie wiedziały o sobie nawzajem i desperacko starały się przetrwać z chwili na chwilę.

Kilka minut po tym, gdy pociąg numer 90124

zakończył bieg na stacji kolejowej w Mauthausen, wprawne ręce odciągnęły rygle i drzwi zostały otwarte. Wielu więźniów zmarło w trakcie podróży w poprzednich dniach. Ci, którzy przeżyli, byli otępiali wskutek szoku i oślepieni światłem, które wlało się nagle do wagonów. Wystawili głowy na zewnątrz, pustoocy i półprzytomni, ledwo przypominający istoty ludzkie. Zanim zdążyli wziąć oddech, zostali wyciągnięci z wagonów przez esesmanów i ustawieni w kolumny na zbudowanych w tym celu rampach załadowniczych zaledwie kilkaset metrów od lśniących wód Dunaju.

W samym sercu pięknej okolicy po północnej stronie rzeki Anka, paradoksalnie, widziała przed sobą tylko mur z wielkim czarnym napisem, w tłumaczeniu oznaczającym: „rogatka” – MAUTHAUSEN. To złowrogie słowo nie tylko odśloniło prawdę o jej sytuacji w ten zimny wieczór – w niedzielę 29 kwietnia 1945 roku – ale też spowodowało pierwsze skurcze. Nawet optymizm Scarlet O’Hary nie mógł jej uratować: jutro właśnie nadeszło.

„Jak tylko zobaczyłam ten napis, którego widzieć nie chciałam, zaczęły się bóle porodowe” – wspominała. „To było to. To był fakt (...). Byłam tak przerażona, że zaczęły się bóle. Mauthausen należało do tej samej kategorii co Auschwitz. Komory gazowe, selekcje, słowem, obóz zagłady”.

Lisa Miková czuła to samo. „Zobaczyliśmy nazwę stacji

i wiedzieliśmy, że to coś w rodzaju Auschwitz. No tak, pomyśleliśmy. To jest to samo, a więc nadszedł nasz koniec. Patrzyliśmy na siebie, a wyglądaliśmy strasznie, sama skóra i kości. Brudni i zawszeni. Już przypominaliśmy trupy”.

Anka dzielnie wytrzymała pierwsze skurcze przechodzące przez jej ciało. Sparaliżowana z przerażenia i bólu, próbowała nie pokazać po sobie, że zaczyna rodzić, chwyciła się tylko drzwi wagonu, żeby odzyskać oddech. Prawie dokładnie dziewięć miesięcy wcześniej, w leniwy dzień sierpnia 1944 roku, kiedy wszyscy jej najbliżsi najprawdopodobniej wylecieli już kominem w Birkenau, ona i Bernd obdarzyli się chwilą ciepła w swej czarującej kryjówce w Terezynie. W akcie buntu postanowili mieć dziecko, aby zastąpiło małego Dana, którego śmierć cztery miesiące wcześniej nieomal ich złamała. Kilka tygodni po poczęciu drugiego dziecka Bernd Nathan także został wysłany na wschód. Anka nie miała pojęcia, czy wciąż żyje; starała się nie tracić nadziei, ale po doświadczeniach w Birkenau spodziewała się najgorszego. A to by oznaczało, że zostało jej tylko to dziecko, którego istnienie skrywała i którego upór w obliczu codziennych niebezpieczeństw budził jej podziw.

Paraliżowała ją myśl o konsekwencjach urodzenia dziecka w fabryce we Freibergu. Próbowwała powstrzymać bóle porodowe w węglarce. Wprawiłoby ją w osłupienie

i wstrząsnęło nią, gdyby się dowiedziała, że w tym samym transporcie są dwie matki, które w tych warunkach wydały dzieci na świat. Teraz nadeszła jej kolej – Anka myślała tylko o tym, że niedługo urodzi dziecko, które najprawdopodobniej od razu zostanie razem z nią wrzucone do komory gazowej.

Ściskając się za brzuch i łapiąc ustami powietrze, jakimś cudem zeszła z brudnego wagonu, otoczona przez brutalnych esesmanów. Nogi się pod nią ugięły i runęła bezwładnie na ziemię. Zawleczona na bok razem z innymi, którzy byli zbyt osłabieni, aby iść o własnych siłach, leżała zgięta wpół, mgliście tylko świadoma, że obok zatrzymała się chłopska furmanka. Patrzyła, jak chorzy i umierający wrzucani są na wóz niczym przedmioty, po czym wylądowała na samej górze sterty tułowi i kończyn. „Tych, którzy mogli iść, poprowadzono do *Festung*, czyli twierdzy” – opowiadała. „Wszystkich, którzy byli chorzy albo umierający, wylądowano z wagonów na wóz, bo obóz znajdował się na wzgórzu nad Mauthausen”.

Wóz ruszył ze skrzypieniem kół. Zdezorientowana Anka leżała w gorącej między spoconymi ciałami, patrząc na malowniczy widok rozciągający się ze wzgórza. Była stłoczona z cuchnącymi kobietami umierającymi na tyfus; odeszły jej wody wśród tego brudu i robactwa, a mimo to rozglądała się dokoła. „Byłam przeraźliwie głodna, ważyłam około trzydziestu

pięciu kilogramów i nie miałam pojęcia, co mnie czeka na szczycie (...). No i podziwiałam krajobrazy, jakbym miała za mało zmartwień!”

Było około ósmej wieczorem, słońce zachodziło za dolinę, Anka zaś jechała dalej, pólsiedząc, pólleżąc, pochłonięta wspaniałymi widokami po ponad dwóch tygodniach spędzonych w poczerniałym wstrętym wagonie. „Słońce świeciło, ale choć było okropnie zimno, nastał piękny wiosenny wieczór. Wjeżdżaliśmy na szczyt i w dole zobaczyłam Dunaj i [pola], które już zaczynały się zielenić (...). Pomyślałam, że nigdy nie widziałam nic piękniejszego i że może to ostatnia ładna rzecz, jaką widzę na tym świecie”.

Zanim jednak po pokonaniu dwóch i pół kilometra wóz dotoczył się na górę, skurcze przybrały na sile, a malowniczość Górnej Austrii, z jej kościołami, zamkami i odległymi Alpami przykrytymi śniegiem, przysła jak bańka mydlana. Do Anki dotarła wreszcie realność jej straszliwej sytuacji. „Wóz śmierdział i był brudny, a ja leżałam tam z tymi istotami bez włosów i w łachmanach” – mówiła. „Kobiety konały, dokoła pełzały po wszystkim roje wszy. Te biedne kobiety były nieprzytomne, przygniatały mnie, leżały mi na nogach. Usiadłam i wtedy dziecko zaczęło ze mnie wychodzić. Bałam się tylko jednego: że nie przeżyje”.

Gdy zbliżali się do obozu Mauthausen, odwróciła się i zobaczyła majaczącą z przodu złowrogą twierdzę, głaz

na głazie wzniesiony przez nieszczęsnych więźniów. Czując, że dziecko usiłuje wydostać się spomiędzy jej nóg na świat, popatrzyła na ogromną drewnianą bramę ze złowrogimi wieżami strażniczymi z granitu, z których roztaczała się panorama Alp. Bała się, że stąd nie ma ucieczki.



Główna brama w obozie Mauthausen. W tym miejscu Anka urodziła dziecko

Zdawała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy. Zobaczyła rosyjską lekarkę człapiącą obok wozu, która wcześniej pracowała w izbie chorych we Freibergu u boku doktor Mautnerovej. „Błagałam ją o pomoc, ale tylko machnęła ręką, wzruszając ramionami, i szła dalej. Nawet na mnie nie spojrzała ani nie powiedziała, że jej przykro i że wszystko będzie dobrze”.

Anka próbowała wziąć się w garść i opóźnić to, co nieuchronne. W cieniu bramy zdjęto ją z furmanki i z niewytłumaczalnych powodów położono na inny drewniany wóz, „taki, którym się wozi węgiel”. Leżała otępiąta, ściśnięta między innymi kobietami, wśród których część zdawała się tracić zmysły. Zacisnąwszy mocno powieki z bólu, Anka poczuła, że wóz rusza powoli – oddalał się od bramy tego piekła – kierując się w dół do *Sanitätslager*, do izby chorych obok boiska do piłki nożnej.

Dziecko coraz bardziej napierało i Anka zaczęła krzyczeć, ale zaraz umilkła, bo w pobliżu pojawili się esesmani. Wóz był eskortowany przez co najmniej jednego strażnika, a drugi nim kierował, służąc przy okazji za ludzki hamulec. Strażnik znajdujący się najbliżej Anki powiedział: „*Du kannst weiter schreien*”³³, ale nie wiedziała, czy kierowało nim współczucie, czy się z niej naigrawał. Zwijając się z bólu, przekonana, że są to jej ostatnie chwile życia, wyła na całe gardło.

„Przez cały ten czas” – wspominała Anka – „myślałam o mojej matce Idzie, ale nie o tym, że by mnie żałowała, ale że powiedziałyby: »Jak śmiesz rodzić dziecko w takiej sytuacji? To znaczy na wozie (...) nie myjesz się od trzech tygodni!« (...) Byłaby rozgniewana!”. Gdy słońce zaszło, Anka w końcu urodziła w nieludzkich warunkach, które tak bardzo rozzłościłyby Idę Kauderową. Dziecko wyslizgnęło się z jej ciała w strugach krwi i śluzu –

zadziwiająco szybko w porównaniu z pierwszym, długotrwałym porodem Dana. Było bardzo małe. „Nagle moje dzieciątko pojawiło się na świecie!”

Drobniutka istota nie oddychała ani się nie poruszała. „Przez siedem, może nawet dziesięć minut nawet nie drgnęło; nie zapłakało (...). Siedziałam, a na mnie leżały inne kobiety, no i było dziecko, to nie do opisaniania!”

Chwilę później wóz zatrzymał się przed izbą chorych i ktoś przywołał lekarza-więźnia, który, jak Anka dowiedziała się sporo później, był głównym położnikiem w jednym z belgradzkich szpitali. „Przybiegł i odciął dziecko, dał mu klapsa w pupę [żeby zapłakało i zaczęło oddychać] i nagle wszystko było dobrze. Zakwiliło (...) »To chłopiec«, powiedział. Ktoś zawiązał noworodka w papier i poczułam się szczęśliwa”.

W skrytości ducha Anka pragnęła mieć dziewczynkę, ale przytuliła do siebie to cudenńko i nadała mu imię Martin. Spytała kogoś o godzinę i datę, po czym próbowała zapamiętać, że jej dziecko urodziło się 29 kwietnia 1945 roku dokładnie o wpół do dziewiątej wieczorem. Zabrano ją do środka; z ulgą zorientowała się, że ktoś prowadzi ją na pryczę – z nikim nie musiała jej dzielić. I choć dokoła panował straszliwy smród odchodów, a samo miejsce dalekie było od ideału higieny, zdała sobie sprawę, że inni więźniowie mieli mniej szczęścia.

Pomarszczonego noworodka z czarną czuprynką

położono jej na piersi – tak samo jak Dana rok wcześniej. Tak wątłe dziecko powinno się natychmiast znaleźć w ogrzewanym inkubatorze; Anka otoczyła go matczynym ciepłem, stając się „najlepszym inkubatorem na świecie”.

„Byłam tak szczęśliwa, jak tylko można w takich okolicznościach” – powiedziała. „Byłam najszczęśliwszym człowiekiem na świecie”.

Rachela i jej Mark nie przeżywali takiej radości. Na stacji kolejowej załadowano ich na podobny wóz przeznaczony dla konających i zawieziono prosto do bramy obozowej, która czekała jak nienasycona paszcza z rozwartymi szczękami. Ściągnięci z wozu, znaleźli się za progiem, który niewiele przekraczało w drugą stronę, po czym zostali wepchnięci do szeregu łachmaniarzy, czekających na dużym podłużnym placu apelowym wyłożonym kwadratowymi głazami uszczelnionymi małymi granitowymi kamykami. Wydawało się, że w obozie panuje kompletny chaos. Duszący dym wypełniał powietrze, bo w spalarniach spopieliano dokumenty razem ze zwłokami ostatnio zagazowanych ofiar. Niemieccy żołnierze biegali dokoła, wymachując papierami, jakby spodziewali się jakiegoś ważnego wydarzenia.

Kobiety przywiezione z Freibergu nie wiedziały, że w poprzednich miesiącach stan liczbowy w obozie się podwoił wskutek jednostajnego napływu więźniów

ewakuowanych – pędzonych w marszach śmierci – z innych obozów. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Żywność praktycznie się skończyła, szalały choroby, powywracano prowizoryczne namioty. Szacuje się, że na tym etapie wojny w Mauthausen i jego podobozach codziennie umierało ośmiuset więźniów, w efekcie czego – mimo rzeszy nowo przybyłych – ogólna liczba więźniów spadła o dwadzieścia tysięcy w porównaniu z poprzednim miesiącem. Niemieccy strażnicy starali się zatrzeć wszelkie ślady swoich zbrodni, zwłaszcza po 23 kwietnia, kiedy z rozkazu Churchilla, Stalina i Trumana masowo zrzucono ulotki w różnych językach grożące „nieustępliwym ściganiem i karaniem” wszystkich, którzy winni będą złego traktowania jeńców. Z jednej strony napierała Armia Czerwona, a z drugiej siły amerykańskie, co oznaczało, że świat był o krok od odkrycia całej prawdy o tym, co działo się przez ostatnie sześć lat w malowniczym zakątku Austrii.

Transport kobiet stanowił tylko kolejny problem dla komendantury obozu. Kiedy wreszcie postanowiono, co zrobić z nowo przybyłymi, Rachelą i inne kobiety zostały wyrwane z odrętwienia i pognane w pięćdziesięcioosobowych grupach po schodach, jakoby do natrysków. Rachelą ukrywała małego Marka pod brudną sukienką. Była tak słaba, że ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, pamiętała jednak dość z Auschwitz, aby wiedzieć, co mogą oznaczać „natryski”.

Komora gazowa w Mauthausen, o powierzchni czternastu metrów kwadratowych, wyglądała jak pomieszczenie z prysznicami, ale od początku była używana do mordowania tysięcy ludzi; z archiwów obozowych wynikało, że w ostatnich tygodniach zagazowano w niej tysiąc czterystu więźniów. Dwudziestego ósmego kwietnia, a więc dzień przed przyjazdem pociągu z Freibergu, stracono trzydziestu trzech austriackich komunistów uznanych za „wrogów państwa”, pięciu Polaków, czterech Chorwatów i Austriaka z brytyjskim obywatelstwem. Egzekucje trwały pomimo obecności przedstawicieli Czerwonego Krzyża w obozie, negocjujących zwolnienie kilkuset więźniów z Francji i Beneluksu.

Komora gazowa w Mauthausen działała na trochę innych zasadach niż te w Auschwitz, niemniej w niej także używano cyklonu B. Śmiercionośne kryształki wsypywano do dużego metalowego pojemnika z wąską rurką. W pojemniku umieszczano podgrzaną cegłę. Gdy kryształki reagowały na ciepło, wydzielany przez nie gaz wdmuchiwano do komory za pomocą wiatraka elektrycznego.



Komora gazowa w Mauthausen

Rachela nic o tym nie wiedziała. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się jej siostry ani czy przeżyły podróż pociągiem. Niemalże pogodziła się z tym, że jej mąż Monik zginął. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy swojego dzielnego brata Mońka, nie miała większych nadziei na to, że jej rodzice i młodsze rodzeństwo przetrwali, zdani na łaskę doktora Mengelego i jego współpracowników. Gdy wepchnięto ją z małym dzieckiem do wyłożonego kafelkami pomieszczenia ze złowrogimi rurami, wiedziała tylko, że za chwilę umrze. Ten żalorny koniec byłby odpowiednim zwieńczeniem jej nędznego życia, które tworzyli naziści, od kiedy najechali Polskę sześć lat wcześniej.

„Zabrali nas, żeby zagazować” – powiedziała potem –

„ale nie dali rady, bo więźniowie rozmontowali instalację”.

Być może nigdy się nie dowiemy, czy tamtego dnia Rachela i inni więźniowie z pociągu naprawdę zostali zapędzeni do komory gazowej, czy też znaleźli się pod prawdziwymi natryskami, znajdującymi się bliżej placu apelowego. Relacje różnią się od siebie, a w chaosie, jaki zapanował w ostatnich dniach wojny, przetrwało niewiele autentycznych dokumentów. Z zeznań więźniów, urzędników i oficerów SS wynika, że ostatnie zagazowania w Mauthausen odbyły się 28 kwietnia, a potem ustały, bo kolejne egzekucje trudno byłoby już ukryć. Liczni więźniowie z pociągu zarzekają się jednak, że w dniu przybycia do obozu oprawcy wyraźnie zamierzali ich zagazować, ale nie wiadomo, czy stwarzanie takiego wrażenia było formą umysłowej tortury, czy też żołnierze SS konwojujący transport postanowili wypełnić rozkaz zlikwidowania eskortowanych więźniów.

Gerty Taussig, która być może znajdowała się w grupie Racheli, stwierdziła z całą stanowczością, że więźniów zamierzano zagazować, a nie zapędzić do kąpieli. „Posłali nas rzekomo »pod natryski«, po pięćdziesiąt osób naraz, ale to była komora gazowa. Gaz nie napłynął, więc nas stamtąd wyrzucili. Chyba się skończył. Instalacja nie była rozmontowana – po prostu nie działała”.

Rachela powiedziała, że kiedy wyszły z komory gazowej, suche, ubrane, wciąż żywe, w obozie zapanowało jeszcze większe zamieszanie niż wcześniej. „Wszyscy Niemcy biegali dokoła i wrzeszczeli, a potem jeden powiedział: »Nie martwcie się, umieścimy je w rosyjskim obozie, a tam wszy je zeżrą«”. Gdy kobiety zapędzono na plac apelowy, zaszło już słońce i rozpadał się deszcz. Więźniom podano trochę zupy i wody – to dzięki pomocy Czerwonego Krzyża, która dotarła do obozu. Potem zmuszono ich do siedzenia na zimnie i czekania na pierwszą grupę wynędzniałych łachmaniarzy z tego samego pociągu, wciąż na tyle silnych, by dotrzeć piechotą na szczyt wzgórza.



Stroma droga do twierdzy Mauthausen

„Musieli iść pod górę, a to trwało długie godziny” – opowiadała Rachel. Dopiero gdy tamta grupa doszła na miejsce, czekającym więźniom kazano wstać i zapędzono ich do rosyjskiego obozu. Tam, kilkaset metrów od baraku, w którym przebywała Anka z dzieckiem, zostali

pognani przez bramę w ogrodzeniu z drutu kolczastego pod napięciem trzystu osiemdziesięciu woltów i zamknięci w jednym z baraków.

Gerty Taussig wspominała: „Była tam tylko słoma i pluskwy. Miałam dur brzuszny. Nie wiem, jakim cudem przeżyłam. Chyba dopisało mi szczęście”. Inne więźniarki następująco opisywały tę sytuację: „Byłyśmy bardzo chore (...). Kobiety konały nawzajem w swoich ramionach. (...) Nie czułyśmy niczego. (...) Byłyśmy jak z żelaza. (...) Leżałyśmy półżywe we własnych odchodach. (...) Czekaliśmy na śmierć”.

Inni, w tym Priska – niosąca małą Hanę i wyprawkę otrzymaną od kobiet w Horní Břiza – wciąż sunęli powoli na szczyt wzgórza. Przez ponad dwie godziny – tyle trwała wspinaczka do obozu – Priska walczyła o każdy oddech. Jej dziecko, kwilące żałośnie z bólu z powodu otwartych ran pod brudnym ubrankiem i czepkiem, wisiało uczepione wybiedzanej matczynej piersi.

Pomimo skrajnego wyczerpania i poranionych stóp Priska i pozostałe kobiety były popędzane i bite przez strażników od początku ich konwojujących, zachęcanych teraz do okrucieństwa przez esesmanów z obozu. Po pięć osób w jednym szeregu, w podartych ubraniach, *Häftlingowie* byli gnani przez malownicze miasteczko z domami z muru pruskiego, o oknach przystrojonych skrzynkami na kwiaty. Większość mieszkańców nie

zwracała na to uwagi, ale niektórzy pluli na więźniów i zapowiadali im śmierć, gdy dotrą na szczyt.

Co jakiś czas kolumna przystawała na krótki odpoczynek. Otepiali więźniowie napawali się przelotną odśloną „wolnego świata”, a zwłaszcza malowniczymi pejzażami. W oczach Priski panorama miała dodatkową wymowę, bo widoczny w dole Dunaj przepływał przez jej rodzinną Bratysławę. „Myśl tylko o pięknych rzeczach” – poradził jej Tibor, więc rozpaczliwie próbowała zapomnieć o dojmującym pragnieniu i obezwładniającym strachu, a uwagę skupić na bujności żywopłotów, łąkach buchających dzikim kwieciami i niemal już zapomnianym brzmieniu ptasich treli.

Pierwsze chwile w Mauthausen wyglądały różnie w zależności od tego, czy więźniowie lądowali na wozach, czy też pędzeni byli jedną z dwóch tras wiodących na wzgórze. Ci, których prowadzono przez środek miasteczka, czuli się, jakby byli niewidzialni dla mieszkańców, machających i wykrzykujących słowa powitania do strażników, zapraszających ich na spotkania towarzyskie, wypytyujących o filmy w obozowym kinie. Niektórzy, spragnieni, złamali szyk na widok zabytkowej kamiennej fontanny na głównym placu. Lisa Miková wspominała: „Zagłodzeni, szliśmy przez miasteczko. Strasznie chciało się nam pić. W centrum zobaczyliśmy wspaniałą fontannę, więc podbiegliśmy tam, żeby się napić, ale miejscowi nas

odpędzili, rzucając kamieniami (...). Doszło do szarpaniny z esesmanami, którzy bili nas i wciągali z powrotem do kolumny”.

Ci, których prowadzono wiejską trasą z drugiej strony wzgórza, gdzie mniej byli wystawieni na widok publiczny, rzucali się na chwasty porastające pobocze krętej drogi i ssali je w spękanych ustach. Niektórzy zrywali kwiaty wiśni i połykali je w całości. Inni osuwali się na pokryte strupami kolana i chleptali wodę ze źródła bijącego w najbardziej stromej części wzgórza.

Priska szła dalej, przyciskając Hanę do piersi. W spowodowanym głodem otępieniu rozmyślała o tym, czy Tibor kiedykolwiek się dowie, że został ojcem, i czy jej córeczka przeżyje do 12 maja, kiedy to skończy okrągły miesiąc. „Za wszelką cenę chciałam uratować moje dziecko” – wspominała. „Było to dla mnie takie ważne. Najważniejsze na całym świecie”. Wciąż odrętwiała, o zmierzchu dotarła w końcu do twierdzy i skrajnie wyczerpana stanęła wraz z innymi kobietami w szyku będącym obrazem nędzy i rozpacz. „Nie mogłam rozpoznać swoich przyjaciółek, tak były wygłodzone” – powiedziała. Ale czekał ją jeszcze większy szok: „Na dziedzińcu zobaczyłyśmy paczki z Czerwonego Krzyża. Dostałyśmy kawę i ciasto!”.



Fontanna w Mauthausen, z której więźniowie chcieli napić się wody

Wygłodniałe i spragnione tak bardzo, że miały trudności z połykaniem, kobiety łapczywie pożerały żywność, przekonane, że ich przeznaczeniem jest komora gazowa. W górze wznosił się wysoki komin z cegły, przyćmiewający wszelką nadzieję. Po poczęstunku nastąpiło dwugodzinne czekanie – coraz bardziej docierała do nich nieuchronność tego, co miało się wydarzyć. Zbyt skonane, aby myśleć o oporze lub ucieczce, nie miały nawet siły, żeby podnieść głowy i popatrzeć w twarze tych, z których ręki przyjdzie im zginąć.

„Stałyśmy albo siedziałyśmy na dziedzińcu w oczekiwaniu na koniec” – wspominała Lisa Minková. „W pobliżu pracowali jacyś więźniowie. Spyтали nas, skąd jesteśmy, po czym powiedzieli, że mamy szczęście, bo komora gazowa już nie działa. Jeden dodał, że ratunek jest bliski. Że Niemcy nie zrobią nam nic złego. Że już co innego ich interesuje, bo są zajęci przygotowaniami do odjazdu. Nie wiedziałyśmy, czy należy im wierzyć. Nawet gdyby pomoc nadeszła nazajutrz, to przecież tego dnia wciąż można było nas zabić”.

Leżącą na bruku i smaganą przenikliwym alpejskim wiatrem Priskę wyrwał z odrętwienia „lodowaty” głos jakiegoś esesmana. W języku, który znała aż zbyt dobrze, wyjaśnił on swoim kolegom, że skończył się gaz i że nowo przybyłych należy kierować do *Zigeunerbaracke* („cygańskiego baraku”), gdzie osadzono więźniów ewakuowanych niedawno z Ravensbrück. „Ten transport można tam upchnąć – na razie”. Kobiety stłoczyły się w odruchu obronnym przed dobrze znanymi okrzykami *Schnell!* i nagłym naporem strażników i kapo. Gdy szykowały się do kolejnego wymarszu w nieznaną, małeńka Hana poruszyła się i jęknęła. Jedna z kapo zobaczyła niewielką wypukłość przy piersi Priski i wrzasnęła: „*Ein Baby – Ein Baby!*”. Druga podbiegła natychmiast z wyciągniętymi rękami, aby wyrwać matce Hanę. „*Keine Kinder hier!*”³⁴ – krzyknęła.

Niespodziewanie odzyskawszy siły, Priska próbowała

odepchnąć obie kobiety, plując i drapiąc je po twarzach, bo chwyciły Hanę za nóżki. Rozpoczęło się straszliwe przeciąganie liny. „*Nein! Nein!*” – krzyczała, walcząc dziko. Drogocenna wyprawka upadła na ziemię i została zdeptana, stracona na zawsze. Przez kilka chwil ważył się los dziecka – trzy kobiety i noworodek wrzeszczeli chórem. Wtem szamotanina dobiegła końca – tak samo nagle, jak się zaczęła. Podeszła starsza kapo i jedną rękę położyła Prisce na ramieniu, drugą zaś uniosła w kierunku swoich koleżanek, które natychmiast się cofnęły. Pogłaskała Hanę po główce i powiedziała: „*Ich habe nicht ein Baby in sechs Jahren gesehen*”³⁵. „Chętnie spędziłabym z nią troszkę czasu” – dodała.

Priska wydała z siebie kolejny okrzyk sprzeciwu, patrząc w zdumieniu na doświadczoną obozową funkcjonariuszkę. Pozostałe dwie kapo wycofały się bez słowa, a Priska, w podartej sukience, uświadomiła sobie, że być może jest to jedyna szansa, aby uratować dziecko. Zawahała się przez moment, kiedy nieznajoma wybawczyni wyciągnęła rękę, po czym podała jej Hanę. „Chodź za mną” – powiedziała kobieta po niemiecku, lecz w jej słowach słychać było polski akcent.

Nastąpiła surrealna sekwencja zdarzeń: nieznajoma weszła z dzieckiem do środka, Priska zaś musiała czekać na zewnątrz. Podbiegłszy do okna przystrojonego ładną kraciastą zasłonką, obserwowała, jak kobieta rozbiera dziecko i kładzie je na stole. Potem uśmiechnięta kapo

zaczęła gruchać do małej, jakby nie dostrzegając jej straszliwego stanu fizycznego. Podeszła do szafki i wyjęła z niej sznurek i tabliczkę czekolady – Priska zdążyła już zapomnieć, że na świecie istnieją takie frykasy. Odłamała kawałek czekolady, obwiązała go sznurkiem i zakołysała nim kusząco nad buzią dziecka. Podekscytowana pierwszą w swoim życiu zabawą, zachwycona Hana zaczęła wierzgać pokrytymi strupami nóżkami i wystawiła mały języczek, tymczasem okno zaparowało na zewnątrz od oddechu czujnej matki.

Po upływie prawie godziny kapo ubrała dziewczynkę z powrotem w brudne łaszki i wyniosła ją na dwór. „Masz” – powiedziała obcesowym tonem, zwracając ją rozdygotanej Prisce. Następnie rozkazała innej kapo odprowadzić matkę z dzieckiem do baraku cygańskiego, gdzie trafiły już pozostałe kobiety. Wreszcie odwróciła się na pięcie, jakby los kobiety z noworodkiem zupełnie przestał ją interesować.

Aby dotrzeć do nowego miejsca przeznaczenia – budynku, w którym wcześniej produkowano części do messerschmittów (zwanego więc także „barakiem messerschmittów”) – Priska musiała zejść po Schodach Śmierci aż do kamieniołomu, w którym na szczęście panowała cisza nocna. Trasa prowadząca w dół była zdradliwa nawet przy dziennym świetle – niebezpieczeństwo stanowiły nierówne stopnie – a teraz, po ciemku, tuląc do piersi małe dziecko i ledwo

poruszając nogami ze zmęczenia, Priska potknęła się kilkakrotnie i o mało nie runęła z wysoka. Kiedy wreszcie dotarła na sam dół, ślaniając się u stóp skały, gdzie tak wielu poniosło śmierć, została odprowadzona z Haną do najdalszego z mniej więcej trzydziestu bloków, zawilgotniałego baraku na skraju kamieniołomu. W kącie kłóciła się grupa kobiet wyglądających na prostytutki; nawet nie podniosły wzroku w reakcji na przybycie Priski. Na klepisko nasiąknięte moczem rzucono garść słomy i kilka rozdartych sienników. Kobiety z pociągu leżały skulone tam, gdzie wcześniej osunęły się z wyczerpania na ziemię.

To miejsce było pozbawione jakiegokolwiek piękna – ludzi pozostawiano tutaj, aby skonali.

W czasie gdy kapo bawiła się z Haną, inni więźniowie z pociągu z Freibergu pokonali tę samą trasę co Priska. Wielu było tak wyczerpanych, że nie potrafili zrobić kolejnego kroku, więc trzeba ich było znieść na sam dół. Gdy wreszcie dotarli do baraków, osunęli się na ziemię, gdzie popadnie, „zbyt wycieńczeni, żeby dychać”. Niektórym kobietom, jak Lisie Mikovej, dopisało szczęście, bo przyznano im nieco lepsze kwatery w obozie głównym na szczycie wzgórza, gdzie – choć umieszczone po cztery na jednej pryczy – zostały otoczone opieką przez więźniów: z narażeniem życia przynosili im oni własne jedzenie i wodę w nadziei na uratowanie ich od śmierci. Jednak żadna z tych kobiet

nie miała noworodka wymagającego troski i karmienia.

Kiedy Rachela osunęła się z Markiem w zawoszonym baraku, niedaleko małego sanitarnego *Sanitätslager*, w którym przebywała Anka ze swoim dzieckiem, a wyczerpana Priska z Haną zwinęła się w kłębek na brudnej podłodze, wtedy dla tych trzech kobiet dobiegł wreszcie końca marsz śmierci. Nadal jednak pozostawały na łasce zbrodniczego reżimu, a ich walka daleka była od rozstrzygnięcia. W Mauthausen można było zginąć na niezliczone sposoby, najczęściej z głodu, skrajnego wyczerpania i chorób – trzy matki zaznały już tego wszystkiego niejedną raz. W takich warunkach noworodkom groziło wychłodzenie organizmu, hipoglikemia i żółtaczkę.

Żadna z trzech kobiet nie wiedziała, co się stanie nazajutrz; były zbyt wyczerpane, aby się nad tym zastanawiać. Gdy 30 kwietnia 1945 roku świt zajaśniał nad szczytami Alp, matki i ich dzieci spały, nieświadome nadejścia nowego dnia i tego, co miał przynieść.

Albowiem tego dnia po południu – gdy oddziały sowieckie zacieśniły pierścień wokół podziemnego *Führerbunker* w Berlinie – Adolf Hitler i jego nowo poślubiona żona Eva Braun usiedli razem na kanapie w schronie i odebrali sobie życie. Gdy przegryźli ampułki z cyjankiem, Hitler dodatkowo strzelił sobie w prawą skroń z pistoletu. Ich zwłoki wyniesiono na zewnątrz, oblano benzyną i spalono. W swoim testamencie,

sporządzonym w dniu narodzin dziecka Anki, Hitler napisał, że woli śmierć od hańby w postaci poddania się lub kapitulacji. Wzywał swoich zwolenników do przestrzegania praw rasowych i „bezwzględnego oporu wobec truciela wszystkich narodów, międzynarodowego żydostwa”.

W tych ostatnich, tragicznych dniach wojny wieść o samobójstwie Hitlera rozeszła się lotem błyskawicy po terenach kontrolowanych przez nazistów, nie dotarła jednak do uszu ich ofiar. Więźniowie Mauthausen wiedzieli tylko jedno: że przez cały dzień słychać było krzyki i strzały, co dobitnie przypominało, że wciąż znajdują się w jednym z ostatnich czynnych obozów wcielających w życie hitlerowski plan zagłady wrogów Rzeszy.

„Niemcy zachowywali się histerycznie i wrzeszczeli na wszystkich” – wspominała Lisa Miková, która przebywała w samym środku obozu na szczycie wzgórza. „Wszyscy bali się wychodzić, ponieważ mogli zostać zastrzeleni”. Leżała na śmierzącym materacu na klepisku. Kiedy czeski więzień przyniósł jej trochę chleba, pomyślała: „Teraz muszę żyć”. Chleb, zrobiony z mąki z trocin i kasztanów, wyglądał i pachniał mało apetycznie, ale nie to powstrzymało ją od jedzenia. „Byłam tak zmęczona, że nie mogłam przemyśleć. Miałam gorączkę i wszystko wydawało się nierealne. A potem przyszła jakaś kobieta i odgięła mi palce, żeby zabrać chleb. Patrzyłam na nią

bezradnie. Byłam zbyt słaba, żeby się poruszyć czy walczyć”.

Tylko Ance i jej nowo narodzonemu dziecku, przebywającym w izbie chorych, okazano trochę troski. Brakowało tam jednak wyposażenia medycznego, więc izba przemieniła się w umieralnię. Jednak w porównaniu z tym, co przeżyła w transporcie, Anka odnosiła wrażenie, że Niemcy się starają – choć jej dziecko nadal było nieumyte i zawinięte w gazetę, a ona sama oblepiona brudem i słaba, otoczona ludźmi umierającymi na nieleczonego tyfusu, a nawet gorsze choroby. „Gdy tam dotarliśmy” – powiedziała. „Niemcy byli już przerażeni do nieprzytomności, więc zaczęli nas karmić.

Ich postawę opisała jako „obrzydliwą i straszną”. „Zdawałam sobie sprawę, że jeszcze dzień wcześniej by nas pozabijali – dodała – a teraz wszystko było w porządku i nagle staliśmy się narodem wybranym”.

Przypomniała sobie, że w trakcie porodu Dana przestrzeżono ją, że noworodek nie powinien być karmiony przez pierwsze dwanaście godzin życia, więc próbowała tylko odpocząć, pozwalając małemu Martinowi spać. Gdy potem zabrała się do karmienia, ku swemu zdumieniu przekonała się, że ma tak dużo mleka, iż mogłaby „wykarmić pięcioro dzieci”. „Nie wiem, skąd się wzięło” – dodała. „Gdybym była wierząca, powiedziałabym, że to cud”. Dziecko, o ramionkach nie

grubszych niż jej mały palec, chciwie ssało pokarm.

Po tygodniach jedzenia prawie wyłącznie małych porcji suchego chleba Anka dostała miskę makaronu pływającego w tłuszczu. „Byłam tak głodna, że to zjadłam. Nie potrafię opisać, jak bardzo byłam głodna (...). Ale prawie mnie to wykończyło. Moje jelita nie mogły sobie z tym poradzić”.

Niemal natychmiast dostała biegunki; bardzo się rozchorowała. „Nie potrafiłam już niczego z siebie wyrzesać, poza tym mogło dojść do zakażenia mleka, którym karmiłam dziecko. Ale jak się oprzeć jedzeniu, kiedy człowiek jest o krok od śmierci głodowej?”

Zniosła te trudności, choć wciąż nie wiedziała, czy nie przetrwała jedynie po to, aby nazajutrz zginać z rąk nazistów. Inne więźniarki, leżące na sąsiednich pryczach, zapewniały ją, że nie trzeba się już bać komory gazowej, bo została „wysadzona”. Nie wiedziała, czy te twierdzenia odpowiadają prawdzie, bardzo jednak chciała w nie uwierzyć.

Reszta kobiet z transportu z Freibergu, umieszczona w barakach za *Sanitätslager*, nie miała większej nadziei na przeżycie. W nowym miejscu roiło się od robactwa i szalały choroby. Nękanie przez wszy kobiety przebywały teraz w jeszcze większym brudzie niż dotąd. Z powodu smrodu odchodów i rozkładających się ciał trudno było oddychać. Zwłoki niektórych więźniów zaciągnięto do lasu – widać tam było stopy szkieletów obciążonych

skórą. Gdy Gerty Taussig wytoczyła się z baraku za potrzebą, na ten widok osunęła się wstrząśnięta na zwalone drzewo. Obok niej usiadł jakiś więzień i zwrócił się do niej konspiracyjnym tonem: „Coś ci wyznam – najlepsze jest mięso z ud”.

Nazajutrz rano – po raz pierwszy od niepamiętnych czasów – nikt się nie pojawił, żeby zerwać więźniów na nogi. Nie podano też żadnej lury do wypicia. Ze szczytu wzgórza dobiegały strzały i narastające odgłosy przemocy – Niemcy panikowali coraz bardziej. W uszach więźniów eksplozja w oddali była najśłodszą muzyką. Zza kompleksu budynków dochodziły także hałasy z czynnego kamieniołomu, a potem zapadła złowroga cisza. Kobiety zastanawiały się, czy pozostawiono je na łasce losu, aby umarły.

W dniach, które nastąpiły po samobójstwie Hitlera, starsi stażem więźniowie Mauthausen – którzy utworzyli własne komitety i grupy ruchu oporu – zauważyli wyraźną zmianę w atmosferze panującej w obozie. Nadal zwoływano apele, lecz prace w kamieniołomie praktycznie ustały (choć najsilniejszym więźniom nadal kazano rozłupywać i nosić głazy). Potem zauważyli, że Niemców ubywa. Obozowi „weterani” mogli się swobodnie poruszać, przynosili więc jedzenie i wodę najbardziej osłabionym współwięźniom, dodając im otuchy. Bez przerwy słychać było warkot silników – odjeżdżały różne samochody, a przez bramę wtoczyły się

wreszcie furgonetki Czerwonego Krzyża, aby zgodnie z ustaleniami zabrać więźniów z Francji i Beneluksu. Jednak *Häftlingowie* przetrzymywani pod szczytem nie byli świadomi tego, że wybawienie jest tak blisko. Większość paczek dostarczonych przez Czerwony Krzyż zabrali uciekający Niemcy.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Anka spała twardym snem. Rachel i Priska też próbowały odpocząć i nabrać trochę sił. Jedna i druga czuły, jak dziecko wysysa jej z piersi ostatnią kroplę mleka. Pozostawały w nieświadomości, gdy w czwartek 3 maja, we wczesnych godzinach rannych, trzydziestodwuletni Frank Ziereis, komendant obozu od sześciu lat, wydał swoim ludziom rozkaz odjazdu. Wymontowano metalowy pojemnik, którym do komory gazowej dostarczano Cyklon B, a sam obóz przekazano oddziałowi *Feuerschutzpolizei* (ochotniczej straży pożarnej) ściągniętemu z Wiednia, wspieranemu przez starszych żołnierzy. Następnie *Standartenführer* Ziereis uciekł z żoną do swojego domku myśliwskiego, lecz później został pochwycony i niebawem zmarł z powodu odniesionych wtedy ran. Jego podkomendni z SS rozpiechli się.

Tego dnia francuski oficer wypuszczony w poprzednim tygodniu z obozu dzięki staraniom Czerwonego Krzyża ostrzegł aliantów, że dziesiątkom tysięcy więźniów Mauthausen i podobozów grozi śmierć

w następstwie listu od Himmlera, który nakazywał zniszczenie wszystkiego, co można by wykorzystać jako dowód przeciw nazistom. „[Oficer] zeznał, że Niemcy planują uśmiercić wszystkich – brzmiał tajny meldunek. – Zaapelowano o gaz, dynamit i barki do masowego topienia i otrzymano wszystko. Masakry rozpoczęły się, gdy oficer opuścił obóz”.

Dwa dni później, rankiem 5 maja 1945 roku, podczas patrolowania okolicy w celu zabezpieczenia mostów, oddział zwiadowczy tak zwanych Thunderbolts (Błyskawice – od emblematu na ich mundurach), 11. Dywizji Pancerniej 3. Armii, natknął się na roztrzęsionego przedstawiciela Czerwonego Krzyża i za jego namową ruszył do Gusen, a następnie do Mauthausen. Oddziałem dowodził sierżant Albert J. Kosiek, podoficer polskiego pochodzenia. Sierżant nie przyjął awansu, gdy poległ jego bezpośredni przełożony – porucznik – bo chciał pozostać ze swoimi ludźmi. Ten syn polskich emigrantów osiadłych w Ameryce dowodził wtedy dwudziestoma trzema żołnierzami dysponującymi sześcioma pojazdami, w tym czołgiem i transporterem opancerzonym. Kiedy po raz pierwszy zobaczył na wzgórzu twierdzę Mauthausen, wziął ją omyłkowo za fabrykę.



Sierżant armii amerykańskiej Albert J. Kosiek,
wyzwoliciel obozu Mauthausen

Najpierw poczuł „wstrętny fetor” dochodzący z obozu,
a potem, ku swemu przerażeniu, zorientował się, że to

rzeczywiście jest swoista fabryka – fabryka śmierci na niewyobrażalną skalę. Kosiek i jego ludzie – podobnie jak wielu innych żołnierzy sił sprzymierzonych, którzy w ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej natknęli się na nazistowskie miejsca zagłady – zobaczyli coś, czego mieli nie zapomnieć już do końca życia. Za wysokim kamiennym murem i podwójnym ogrodzeniem z drutu pod napięciem ujrzeli tysiące martwoookich więźniów, z których wielu poruszało się z największym trudem. Niejeden był nagi – po latach przymusowego sterczenia na apelach w ostatniej fazie wojny łachmany całkiem z nich pospadały albo zostały im odebrane przez silniejszych więźniów. Wystawieni na działanie pogody, mieli skórę pokrytą ranami i zżartą przez choroby.

„To był widok, którego nigdy nie zapomnę” – powiedział sierżant Kosiek. „Niektórzy byli okryci tylko kocami, inni całkowicie nadszy, razem kobiety i mężczyźni, tworzący najbardziej wycieńczony tłum, jaki miałem kiedykolwiek nieprzyjemność oglądać (...). Właściwie nie przypominali istot ludzkich. Niektórzy wazyli nie więcej niż dwadzieścia kilogramów (...), aż się zastanawiałem, jakim cudem żyją”. Pomimo straszliwego stanu fizycznego i psychicznego niektórzy więźniowie zaczęli rozrabiać, a inni „oszaaleli z radości” – na widok Amerykanów wjeżdżających przez bramę wyli, płakali i wrzeszczeli w różnych językach.

Wzywając więźniów do zachowania spokoju, sierżant

Kosiek nawiązał kontakt z dowództwem, żeby zameldować o tym, co znalazł, ale – jak twierdzą świadkowie – „nie potrafił wyjaśnić, o co chodzi, do cholery”. On i jego żołnierze widzieli wcześniej na poboczach dróg setki więźniów zastrzelonych lub zmarłych z wycieńczenia w trakcie marszów śmierci, jednak nie byli przygotowani na widok obozu koncentracyjnego. Zdezorientowany sierżant Kosiek przyjął oficjalną kapitulację niemieckich i austriackich strażników, którzy nie stawiali oporu i bez sprzeciwu złożyli broń. Strażnicy z wielką ulgą oddali się w ręce Amerykanów zamiast Rosjan, zarazem – jak uświadomili sobie potem wyzwolicieli – zwiedzeni emblematem z czerwoną błyskawicą na mundurach (podobną do dwóch zygzaków SS), sądzili, że mają do czynienia z ludźmi o zbliżonej mentalności.

Pozostali strażnicy uciekli lub usiłowali przebrać się w więzienne pasiaki, ale rozwścieczeni więźniowie zdemaskowali większość i dokonali na nich samosądu. Zemsty łaknęli przede wszystkim jeńcy sowieccy – niemieckich oprawców uśmiercali gołymi rękoma. Kilku hitlerowców załuczono na śmierć, paru innych powieszono albo rzucono na druty pod wysokim napięciem – ich trupy pozostały tam przez wiele dni. Innych zarżnięto. Wielu zdeptano drewniakami, które wcześniej wydawali więźniom.

W podoboziu Gusen, oddalonym o cztery kilometry,

sierzant Kosiek i jego żołnierze byli świadkami podobnych scen – w przyływie nienawiści ludzie dokonywali samosądów na kapo i innych funkcjonariuszach. Spośród dwudziestu czterech tysięcy więźniów zginęło wtedy ponad pięciuset. W Mauthausen ludzie na każdym kroku oblegali niewielki oddział Amerykanów. Żołnierze patrzyli bezradnie, jak więźniowie plądrują obóz, wdzierają się do komendantury SS i biorą wszystko, co popadnie. Widzieli, jak dwie kobiety – w akcie podwójnego samobójstwa – rzuciły się na ogrodzenie pod wysokim napięciem. Dowiedzieli się później, że były prostytutkami na usługach nazistów i nie chciały zostać złapane przez więźniów. Potem wybuchły zamieszki, setki ludzi wdarło się do kuchni jak „horda dzikusów”. Umierający z głodu więźniowie wygrzebywali garściami mąkę z worków i wciskali ją sobie do ust. Ludzkie szkielety walczyły na śmierć i życie o ochłapy jedzenia leżące na podłodze. Starając się zaprowadzić ład i porządek, sierżant Kosiek wystrzelił trzykrotnie z pistoletu i przemówił do więźniów po polsku, nawołując do spokoju.

Gdy wokół zapanowało kompletne bezhołowie, kilku więźniów – między innymi pewien profesor mówiący świetnie po angielsku – zaproponowało sierżantowi i jego ludziom, że oprowadzą ich po obozie. Żołnierzom pokazano różne miejsca, w tym krematorium, w którym

piece „pracowały pełną parą” i „buchalo gorąco”. Spalarnia pochłaniała pięć ciał naraz zamiast jednego, a na podłodze wały się zwłoki niedawno uśmierconych więźniów, wielu z rozłupanymi głowami, z których sączyła się krew. W całym obozie leżały też ciała nadgryzione przez szczury. Większość w ogóle nie przypominała zwłok ludzkich. Mówiono o kanibalizmie i pokazano żołnierzom świeże stosy ciał „usypane jak drewno na opał”. W pobliskiej komorze gazowej żołnierze odkryli zwłoki ubranych więźniów.

Zdając sobie sprawę, że nie mogą bezpiecznie spędzić nocy w obozie, Amerykanie powołali komitet spośród więźniów, który miał zapobiec dalszej grabieży i odwetom na kapo i prostytutkach oraz nadzorować rozdział tego, co jeszcze zostało. Sierżant zagroził, że jeśli więźniowie nie zachowają porządku, Amerykanie wycofają się i zostawią wszystkich na pastwę nazistów.

Z nozdrzami przepelnionymi obozowym odorem amerykańscy żołnierze w końcu się wycofali, zabierając ze sobą większość strażników (z których wielu błagało o ochronę) i obiecując, że nazajutrz wojsko amerykańskie przybędzie w dużej liczbie. Mnóstwo więźniów było wystraszonych, sądzili, że zostaną porzuceni i że hitlerowcy powrócą. Ci, którzy mieli dość siły, pobrali broń i zorganizowali patrole. Przysięgli, że będą bronić obozu do ostatniej kropli krwi.

Klara Löffova wspominała: „Nagle Amerykanie odeszli

i znowu byliśmy przerażeni – że nikt nas nie nakarmi (łatwo sobie wyobrazić, jakie to było straszne) albo że wrócą Niemcy. Nie rozumieliśmy, dlaczego odeszli. Wyjaśnienie było takie, że z powodu bliskości linii demarkacyjnej [między Amerykanami a Sowiecami] władze nie wiedziały, pod czyją jurysdykcję podpadamy”.

Jednak wieczorem 5 maja 1945 roku nastąpiło oficjalne wyzwolenie. Sierżant Kosiek, dwudziestosiedmioletni syn Polaków, osobiście przywrócił wolność około czterdziestu tysiącom więźniów Mauthausen i Gusen, jak również przyjął kapitulację tysiąca ośmiuset niemieckich żołnierzy.

W 1975 roku Albert J. Kosiek powrócił do Mauthausen ze swoją żoną Gloria, aby poprowadzić marsz z okazji trzydziestej rocznicy wyzwolenia obozu. Utrzymywał kontakt z wieloma swoimi żołnierzami i kilkoma więźniami, w tym z węgierskim nastolatkiem Tiborem Rubinem, który wyemigrował do Ameryki i jako żołnierz piechoty został odznaczony Medalem Honoru za męstwo podczas wojny w Korei – trafił tam do niewoli. Dwóch więźniów z Polski po latach odwiedziło sierżanta i jego rodzinę w Chicago, aby mu osobiście podziękować za to, czego dokonał. Albert J. Kosiek zmarł w wieku sześćdziesięciu czterech lat w 1982 roku.

Jego syn Larry powiedział pewnego razu: „Przez całe życie ojcu trudno było mówić o tych doświadczeniach, ale kiedy miałem trzynaście lat i uczyłem się w szkole

o wojnach, podarował mi swoje spisane wspomnienia. Wiedział o malutkich dzieciach ocalałych w obozie i zawsze go to zdumiewało. Był nadzwyczaj dumny z tego, czego dokonał jego pluton”.

Wyzwolenie



Ocaleni więźniowie dochodzą do siebie po wyzwoleniu
Mauthausen

Pierwszą oznaką obecności Amerykanów w Mauthausen był odgłos, którego Priska nie słyszała od lat: śmiech – najcudowniejszy odgłos na świecie! Wydawało jej się, że z oddali dobiega też muzyka.

Priska uniosła się powoli z wiązki brudnej słomy i wyjrzała przez okno. Mrużąc oczy w słońcu południowej

pory, dostrzegła trzy nieznane pojazdy wojskowe. Siedzieli w nich młodzi żołnierze w mundurach, które na pewno nie były niemieckie. To byli Amerykanie. Od tak dawna marzyła o przybyciu alianckich wyzwolicieli, że teraz ich widok wydawał się iluzją. Wszystko w nich było nowe: mundury, hełmy, nawet zapach czy sposób, w jaki się poruszali i mówili.

Po całym obozie niosły się szloch i wiwaty. „Witajcie!”, „Pokój!”, „Jesteśmy wolni!” – krzyczeli więźniowie w najróżniejszych językach. Inni leżeli nieruchomo, apatyczni, niewzruszeni. Jeszcze inni siedzieli skuleni, a po ich policzkach spływały łzy – łzy nadziei, że pojawienie się żołnierzy nie jest okrutnym złudzeniem. Na widok przystojnych szeregowców zawstydzone swoim upiornym wyglądem dziewczęta szczypały się w policzki i próbowały ułożyć rozczochrane i polepione brudem włosy, w których roiło się od wszy.

Jednym z przybyłych był młody sanitariusz kapral LeRoy Petersohn. Ten dwudziestodwulatek pracował dla pewnej gazety w Aurorze w stanie Illinois i podróżował z dowództwem przy generale Pattonie. Na jego hełmie i opasce naramiennej widniał duży czerwony krzyż. Pete, bo tak na niego mówiono, „połatał” już wielu żołnierzy i został odznaczony Purpurowym Sercem za odwagę i rany odniesione w Bitwie o Ardeny. Po dotarciu wraz z oddziałem do Mauthausen przez niemal dwa tygodnie opiekował się tymi rannymi i umierającymi, którzy

najbardziej potrzebowali jego pomocy.

„Naoglądałem się wielu rzeczy, zanim tu dotarłem” – wspominał – „ale jednak najgorszy był widok zagłodzonych ludzi, z których została sama skóra i kości”. Pewnego razu wszedł do baraku, w którym wychudzeni mężczyźni spali po pięciu na jednej pryczy. U jednego z tych „szkieletów” wyczuł słabe tętno; zaraz potem ten człowiek umarł na jego oczach. „Okropne. Kosztowało mnie to wiele sił”. Młody sanitariusz nie nosił broni. Został ostrzeżony, aby nie wchodzić w zbyt bliski kontakt z więźniami i nie obejmować ich z uwagi na choroby i pasożyty, którymi są zainfekowani. Stwierdził, że pozwalał im po prostu „tłoczyć się” wokół. Chodził od baraku do baraku, udzielając pomocy chorym i umierającym, był jednak bezradny, gdy żądni odwetu więźniowie skatowali na śmierć niemieckich strażników.



LeRoy Petersohn, sanitariusz, który uratował Hanę

Stojąc chwiejnie przy oknie, Priska usłyszała głosy na zewnątrz i natychmiast rozpoznała język. Ta młoda nauczycielka, która dawniej uczyła angielskiego w swoim ogrodzie, przywołała w trawionym gorączką umyśle jak najwięcej obco brzmiących słów i zawołała o pomoc.

„Krzyknęłam po angielsku, żeby przyszli do naszego baraku” – wspominała. „Na szczęście jeden z nich był sanitariuszem. Zobaczył moje zawiniątko, rozwiązał je i pochylił się nad maleńkim dzieckiem pokrytym ropnymi wrzodami z niedożywienia”.

Pete nie mógł uwierzyć, że w tak straszliwych warunkach ocalała matka z żywym noworodkiem. Priska i jej córeczka były wycieńczone, chore i odwodnione, do tego dziewczynkę niemal pokrywały wszy – „większe od niej samej”. Kapral pośpiesznie zameldował o tym odkryciu swojemu przełożonemu, majorowi Haroldowi G. Stacyemu. Major był głównym lekarzem dywizji. Znalazł się pod ostrzałem razem z Pete’em, gdy w bitwie o Ardeny próbowali zastąpić dwóch poległych sanitariuszy.

„Spytałem: »Doktorze, może pan pójść ze mną? Chcę panu coś pokazać«. Zaprowadziłem go do baraku i okazało się, że rzeczywiście ta mała dziewczynka miała ledwie kilka tygodni. Urodziła się w innym obozie”. Pete spytał kogoś o imię dziecka. „Hana. Ma na imię Hana – padła odpowiedź. – Przysłali je tutaj na śmierć. Szczęśliwym trafem tego dnia, gdy przyjechały, skończył się gaz”.

Przybyli uznali, że dziecko ma nikłe szanse przeżycia z powodu niedożywienia i ogólnie złego stanu zdrowia. Poza tym obaj mieli mnóstwo pracy przy więźniach cierpiących na tyfus i inne choroby zakaźne. Mimo to

major i jego podkomendny postanowili, że spróbują uratować noworodka. Podjęli decyzję o niezwłocznej operacji.

Pete chciał uzyskać zgodę Priski; starał się przekonać zdenerwowaną matkę, że zrobi wszystko, aby ocalić dziecko. Po raz drugi w ciągu kilku dni Priska miała oddać swoją córeczkę obcemu człowiekowi; panicznie bała się stracić ją z oczu. Łamaną angielszczyzną błagała, aby pozwolono jej jechać z dzieckiem. Wreszcie major Stacy, mówiąc po niemiecku, uspokoił ją. „Matka za wszelką cenę chciała iść z nami” – wspominał Pete. „Major (...) wyjaśnił, że zwrócimy jej córkę całą i zdrową i to ją uspokoiło”. Priska była zbyt osłabiona, żeby toczyć spory. Patrząc, jak odchodzą, zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy swoją córeczkę o pięknych niebieskich oczach i zadartym nosku.

Dwaj żołnierze wskoczyli do jeepa. Major trzymał Hanę na rękach, a Pete usiadł za kierownicą i zawiózł ich do 131. Ewakuacyjnego Szpitala Polowego w pobliskim Gusen. Był to jedyny szpital w okolicy mający niezbędny sprzęt. Następnie major wysłał Pete’a nad Dunaj, gdzie stacjonował 81. Batalion Medyczny. Kapral miał zabrać stamtąd porcję penicyliny, nowego „cudownego” leku, który był od niedawna dostępny, trzymanego w specjalnych chłodniach.

Gdy Pete wrócił z lekarstwem, major Stacy już operował malutką Hanę, rozcinając jej liczne wrzody

i mozolnie usuwając każdy zainfekowany fragment skóry. Pete podążał za jego ruchami jak cień, uważnie nakładając penicylinę na rany. Gdy zakładali szwy, które miały już na zawsze pozostawić blizny, buzię rozwrzeszczanej Hany wykrzywiały grymasy bólu.

Mijały godziny, przerażona Priska czekała na wieści o córce. Następnego dnia pojawiła się zapłakana amerykańska pielęgniarka z zawiniątkiem z bandażu w rękach.

Priska przebywała już wtedy w prowizorycznej izbie chorych, w której w pomieszczeniach trzymano tylko po trzech pacjentów, a każdy z nich miał własne łóżko. Spojrzała na pielęgniarkę i krzyknęła zrozpaczona: „Nie żyje?”.

„Żyje, żyje! Wszystko jest dobrze!”. Kobieta wysunęła ręce do przodu, a Priska chwyciła dziewczynkę w objęcia, poprzysięgając sobie, że już nigdy jej nie zostawi.

Pete Petersohn monitorował rekonwalescencję Hany, regularnie odwiedzając matkę i dziecko. Major Stacy wyjaśnił, że tygodnie spędzone w węglarce nieomal doprowadziły do śmierci dziecka. „Powiedział, że nabawiła się zakażenia, które rozprzestrzeniło się po całym ciele”. Obaj usiłowali nakłonić Priskę do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, gdy ona i dziecko nabiorą sił. „Major próbował ją namówić, by zabrała dziecko do Ameryki” – opowiadał Pete. „Chciał nawet poczynić przygotowania przed ich przyjazdem (...), bo uważał, że

mała wymaga dalszego leczenia, które mogliśmy jej zapewnić, ale matka nie chciała słuchać. Chciała wrócić do Czechosłowacji [z] powodu męża (...). Miała nadzieję, że on się pojawi”. Odrzucając wielkoduszną ofertę, Priska starannie złożyła ubranko Hany – małą białą sukieneczkę i czepek, które zrobiły dla niej kobiety z Freibergu – i modliła się o jej szybkie wyzdrowienie, żeby mogła zabrać ją do domu.

Kilka baraków dalej przebywała Anka ze swoim dzieckiem, które wciąż było zawinięte w papier. Nie miała żadnych pieluch ani niczego miękkiego – tylko więcej gazet. Nadal nie wiedziała o Prisce i Hanie ani o Racheli i Marku – każda z trzech matek wierzyła, że jej maleństwo jest jedynym dzieckiem cudownie ocalałym w Mauthausen. Reakcja wyzwolicieli utwierdziła ich w tym fałszywym przekonaniu. „Kiedy przyszli Amerykanie, patrzyli na nas, jakbyśmy byli siódmym cudem świata” – mówiła Anka. „Nagrała mnie kronika filmowa. Nie mogli się nadziwić. Kobieta ważąca trzydzieści kilogramów i niespełna półtorakilogramowe dziecko, oboje żywi. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego w takim miejscu!”

Wspominała potem, że oprócz poświęconej jej uwagi najlepszą rzeczą była czekolada, którą dostała od amerykańskich żołnierzy. „To było wspaniałe poza tym, że najpierw powiedzieli, że możemy się częstować, a potem, że nie wolno nam zjeść wszystkiego. Co to była

za mężka!” W końcu wydzielono im po jednym małym kawałku. Po kilku dniach Anka przywołała jedną z amerykańskich pielęgniarek do swojego łóżka. „Poprosiłam ją, żeby wykąpała mojego synka, bo on jeszcze nigdy nie był umyty. Spojrzała na mnie, jakbym postradała zmysły. »Jak to? – spytała. – Przecież masz córeczkę!« (...) Wpadłam w histerię, po raz pierwszy po tym wszystkim. Jak to możliwe, że mam córeczkę, skoro mówili, że to synek? (...). Nie wiedziałam, co myśleć. Nigdy o czymś takim nie słyszałam”.

Anka narobiła takiego rabanu, że nadbiegło kilku lekarzy. Na jej prośbę wszyscy po kolei zbadali Martina i potwierdzili, że jej dziecko to dziewczynka, a nie chłopiec. Wreszcie jeden lekarz wyjaśnił, że błędy w określaniu płci maleńkich lub przedwcześnie urodzonych dzieci zdarzają się dość często, bo genitalia są powiększone i nabrzmiałe. „Byłam wniebowzięta” – stwierdziła Anka. „Zawsze chciałam mieć małą córeczkę! (...) Była jak aniołek. Rozcierałam jej stópki dłońmi”.

Tuląc do piersi swoje dziecko po pierwszej kąpieli, Anka wybrała dla niego imię Eva, ponieważ nie można go było skrócić i brzmiało tak samo w każdym języku. To wydawało się jej bardzo istotne, bo przeżyła czasy, kiedy imiona ludzi i języki decydowały o życiu i śmierci. I choć jej córeczka urodziła się 29 kwietnia na drewnianym wozie przed bramą obozu, postanowiła, że mała będzie obchodziła też drugie urodziny – 5 maja, kiedy to została

wyzwolona i „narodziła się powtórnie” jako Eva Nathanová, wolna obywatelka. Podobną decyzję niezależnie podjęły pozostałe dwie matki.

Sala, siostra Racheli, jako pierwsza z siostr Abramczyk zdała sobie sprawę, że Amerykanie oficjalnie wyzwolili Mauthausen – 6 maja, a więc dzień po tym, gdy sierżant Kosiek przyjął kapitulację Niemców, usłyszała artylerię. Potem zobaczyła żołnierzy rozmawiających i chodzących po obozie. „Nadjechały amerykańskie jeepy z żołnierzami i wtedy się rozplakałam, wszyscy krzyczeli, leżący na wozach ludzie klaskali w dłonie z radości, że przyjechali Amerykanie. Tak właśnie umarli – klaszcząc i dziękując im za przybycie. Przynajmniej wiedzieli, że Amerykanie już są, ale, och, tak wielu ludzi wtedy umarło! Byli tak chorzy i wycieńczeni, że nie dali rady”.

Sala pragnęła podzielić się nowiną ze swoją starszą siostrą, więc pośpieszyła do jej baraku. „Powiedziałam: »Rachelo! Rachelo! Wojna skończona!«. Aż mnie spoliczkowała, bo myślała, że zwariowałam! (...) To był dzień, kiedy wszyscy narodziliśmy się na nowo, zwłaszcza mały Mark. Amerykańscy żołnierze byli dla nas bardzo dobrzy. Niech Bóg błogosławi Amerykę!”.

W końcu do Racheli dotarło, że jej młodsza siostra mówi prawdę, ale była zbyt słaba, aby wstać z łóżka i zobaczyć wybawców na własne oczy. W obozie zapanował już wtedy chaos. Przemoczona ulga z powodu wyzwolenia i widok białej flagi powiewającej nad bramą

wywołały w więźniach nieopisaną radość, ale także niebywałą wściekłość w reakcji na wyrządzone im krzywdy. Dorośli ludzie płakali, zachowywali się jak obłąkani. Dyszący pragnieniem zemsty więźniowie strącili na ziemię i potłukli ogromnego drewnianego nazistowskiego orła (*Reichsadler*), który zdobił blok SS. Wszyscy strażnicy, którym nie udało się uciec, zostali skatowani lub zabici, a zespoły więźniów w łachmanach grały na rozstrojonych instrumentach albo śpiewały podniosłe patriotycznie pieśni.

Jednym z żołnierzy obecnych tamtego dnia w obozie był lekarz kapitan Alexander Gotz wraz z oddziałem medycznym 41. Szwadronu Zwiadowczego Kawalerii Pancerniej. Opisał ten dzień jako „makabryczno-groteskowy spektakl odegrany przez aktorów ledwo przypominających istoty ludzkie”. Nawet gdy już Amerykanie zaprowadzili pewien spokój i odzyskali kontrolę nad obozem, ocalonym więźniom wciąż groziło niebezpieczeństwo. Nowym nieoczekiwanym nieprzyjacielem było współczucie.

Amerykańscy żołnierze otrzymali wyraźny zakaz karmienia więźniów, dopóki personel medyczny nie oceni ich stanu. Po wcześniejszym wyzwoleniu innych obozów dowództwo przekonało się boleśnie, że karmienie głodujących może mieć fatalne skutki. Lecz młodzi Amerykanie z 11. Dywizji Pancerniej, którzy dotarli do Mauthausen, nie mieli takich doświadczeń

i nie potrafili odmówić zagłodzonym tłumom. Skutki tego okazały się tragiczne. Żołnierze bez wahania oddali swoje racje żywnościowe – w tym słodczyce i kartony papierosów – nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Ludzie, którzy dotąd żywili się tylko lurą uzupełnianą korą z drzewa i źdźbłami trawy, teraz pożerali papierosy zamiast je palić. Inni połykali całe listki gumy do żucia, choć nie wiedzieli, co to jest. Jeszcze inni ostrymi kamieniami otwierali puszki z fasolą, po czym pochłaniali całą zawartość wraz z wielkimi ilościami bekonu, sera i batonów czekoladowych. Nikt nie umiał się powstrzymać.

Po kilku latach życia w skrajnej nędzy wycieńczeni więźniowie nie byli w stanie trawić pokarmów stałych. Szacuje się, że tysiąc trzystu więźniów Mauthausen, wyniszczonych i odwodnionych, zmarło wskutek niestrawności i biegunki wywołanych nietolerowaniem żywności otrzymanej po wyzwoleniu obozu. Kolejne dwa tysiące zmarło z chorób – głównie z powodu tyfusu i dyzenterii.

Trzem matkom i ich dzieciom również groziło podobne niebezpieczeństwo. Z zarobaczonych baraków zostały przeniesione do lepszych kwater i dostały coś do jedzenia i picia. Ale potem inne kobiety zaczęły masowo umierać. „Amerykanie nie wiedzieli, jak się z tym uporać” – wspominała Rachela. „Nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z zagłodzonymi ludźmi. Oddali nam

wszystko”.

Pewien szeregowiec podarował Racheli czekoladę zawiniętą w brązowy papier. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała czekoladę, więc przez długą chwilę po prostu siedziała nieruchomo i patrzyła na nią bez słowa. Sądząc, że Rachela nie wie, co trzyma w rękach, żołnierz powiedział powoli: „Pogryź i połknij”. Jego słowom towarzyszyły wymowne gesty, które doprowadziły ją do łez. „Spytał mnie, dlaczego płaczę. Nie potrafiłam mu wyjaśnić, więc odszedł”. Potem wrócił i spytał ponownie. „Płakałam, bo zacząłeś mi tłumaczyć, co to jest czekolada” – odparła. Przerażony, przeprosił ją i dodał: „Kiedy ostatni raz widziałas siebie w lustrze?”.

Rachela pomyślała, że było to chyba przed rokiem, w maju 1944 roku, kiedy wciąż przebywała w łódzkim getcie z ukochanym Monikiem i swoją cudowną rodziną.

„Kiedy tu przyjechaliśmy, myśleliśmy, że jesteście dzikusami” – powiedział żołnierz skruszonym tonem. „Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteście normalnymi ludźmi”.

Wraki ludzkie z obozu zdążyły zapomnieć, co znaczy „normalność”. Inni – żywe trupy – byli zbyt wycieńczeni, aby cieszyć się z wolności i odejścia nazistów. Jedna z ocalonych kobiet powiedziała, że na początku nie potrafili ogarnąć umysłem, co to znaczy, choć przecież od tak dawna czekali na wybawienie. Dodała, że byli „zbyt słabi i wypaleni, żeby czuć szczęście”.

Wielu pragnęło uciec jak najszybciej na wypadek powrotu nazistów, wyszli więc z obozu chwiejnym krokiem – jak pijacy – przez otwartą na oścież bramę. W niektórych przypadkach ten wysiłek okazał się zbyt wielki – ludzie padali nieżywi tuż za murami. Inni dotarli do miasteczka i okolicznych gospodarstw, zebrząc o żywność i ubrania – najczęściej spotykali się z pozytywną reakcją. Niektórzy, najbardziej otepiali, osuwali się po prostu na ziemię, niezdolni pojąć, że są już wolni, że w cudowny sposób przeżyli najgorsze.

Ale gehenna trwała. W następnych tygodniach i miesiącach przetrwali tylko najsilniejsi. Niewielu wiedziało, że 7 maja 1945 roku w małym budynku szkolnym we francuskim Reims nazistowska Rzesza podpisała „bezwarunkową kapitulację” i że nazajutrz na całym świecie miliony ludzi radośnie fetowały Dzień Zwycięstwa. Złamani na ciele i umyśle, prawie na pewno straciwszy najbliższych, więźniowie przebywający w zatłoczonych barakach Mauthausen mieli mało powodów do świętowania.

W ciągu tygodni, które nastąpiły po kapitulacji, alianci podzielili między siebie dotychczasowe państwo niemieckie. Po Mauthausen rozeszła się wieść, że choć obóz wyzwolili Amerykanie, tę część Austrii przejmą Sowieci. Termin przekazania nadzoru ustalono na 28 lipca 1945 roku – wtedy to Amerykanie mieli się wycofać na południe od Dunaju, a Armia Czerwona miała przejąć

kontrolę nad obozem i przebywającymi w nim więźniami. Dla wielu Żydów, którzy bali się Rosjan prawie tak samo jak nazistów, data ta stała się ich ostatecznym terminem ucieczki na tereny okupowane przez Amerykanów.

Chcąc powstrzymać wypływ więźniów dotkniętych chorobami zakaźnymi i ledwo powłóczących nogami, Amerykanie znowu zamknęli bramę obozu. Zapewnili wszystkich, że będą mogli odejść, gdy zostaną wyleczeni. „Chcieliśmy po prostu wrócić do domu” – powiedziała Sala, która była w lepszym stanie niż większość współwięźniów – „ale odparli, że nie możemy, bo w okolicy wciąż są siły SS. Wielu ludzi nie zrozumiało albo nie przyjęło tego do wiadomości, więc nam wyjaśnili, że jesteśmy objęci kwarantanną”. Pragnąc nieść pomoc, Sala zgłosiła się na pielęgniarkę w prowizorycznej izbie chorych zorganizowanej przez Amerykanów dla ponad sześciuset pacjentów, jak również w szpitalu polowym założonym dla z górą tysiąca osób. Przez dziesięć dni podawała witaminy i robiła zastrzyki, opiekowała się chorymi i umierającymi. „Musiałam coś robić, choćby to było podanie komuś ostatniego posiłku w jego życiu”.

Potem zaraziła się tyfusem. „Niewiele z tego pamiętam, bo miałam gorączkę i zostałam objęta kwarantanną. Pamiętam tylko, że włoski lekarz powiedział, że nie przeżyję. Od tego dnia to moja siostra

Estera utrzymywała mnie przy życiu. Otwierała okno i wpełzała do środka, żeby dawać mi jedzenie. W ogóle się nie przejmowała, czy zarazi się tyfusem. Przez tydzień byłam jedną nogą na tamtym świecie, ale siostra trwała u mego boku, bo nie mogłam wstawać ani nic nie widziałam. Pewnego razu poprosiłam ją o truskawki i jakimś cudem – nie wiem skąd – przyniosła mi ich trochę, ale miałam gorączkę i odpowiedziałam, że nie chcę żadnych truskawek! Biedna Estera. Uratowała mi życie”.

Rachela też starała się robić co w jej mocy. Wspierani przez pracowników Czerwonego Krzyża i innych ochotników Amerykanie powołali pion żywieniowy, który przyrządzał posiłki, monitorował wartość odżywczą potraw i starannie porcjował prowiant. Liczba ludzi wymagających wykarmienia była przytłaczająca; uzbrojeni wartownicy musieli pilnować zapasów. Po pewnym czasie uznano, że najlepszym rozwiązaniem będzie zainstalowanie pieców w każdym baraku i rozdzielenie żywności, aby starczyło na trzy lub cztery posiłki dziennie. Rachela stanęła na czele swojego baraku; wydając polecenia innym więźniarkom, zabrała się do gotowania zupy. „Miałam do wykarmienia dziecko, a moje siostry były osłabione, więc znalazłam mały garnek i zaczęłam gotować” – wspominała. Znów matkowała innym, podobnie jak swemu młodszemu rodzeństwu w dzieciństwie spędzonym w Pabianicach.

Stan Sali się pogarszał, tyfus wyniszczał jej ciało. Dopiero po upływie tygodni największe niebezpieczeństwo minęło. „Byłam tak bardzo chora” – opowiadała. „Biegałam do łazienki, ale wszystko było przepełnione, wyglądało straszliwie (...). Wszędzie widziałam tylko martwych ludzi. Wszędzie były trupy”. Pewnego dnia do jej pokoju wszedł lekarz i oznajmił, że nastał czerwiec. „Powiedział, żeby otworzyć okna. Że jest lato i stan wszystkich się poprawia. No i mój też się poprawił. Wydobyłam się z tego”.

W następnych tygodniach trzy matki i ich dzieci odzyskiwały stopniowo siły, a nawet przybierały na wadze. Przez cały czas przebywały w oddzielnych częściach obozu objętego kwarantanną. Amerykanie musieli otoczyć opieką tysiące ocalonych więźniów, panowało więc to, co nazwali „zorganizowanym chaosem”, kontrolowanym tylko dzięki temu, że większość ludzi była zbyt osłabiona, aby wstać z łóżka.

Rachela słyszała pogłoski, że w obozie znajdują się inne dzieci, natomiast pozostałe dwie matki nie wiedziały niczego o sobie nawzajem. W Auschwitz kobiety wspierały się i dzieliły doświadczeniem; podczas pobytu we Freibergu i podróży pociągiem każda sądziła, że jej sytuacja jest wyjątkowa. Czy możliwe, żeby jakakolwiek inna kobieta z noworodkiem przetrwała takie piekło? Poza tym trzy matki miały inne zmartwienia: przede wszystkim musiały odzyskać siły

i zadbać o swój wygląd z myślą o dniu, kiedy zostaną wypuszczone z obozu i – oby! – połączą się na nowo z Tiborem, Monikiem i Berndem.

„Wciąż nie pozwalali nam opuścić Mauthausen, bo bali się, że pozarażamy Niemców, więc zostaliśmy na kolejny miesiąc” – wspominała Rachel. „Ale po kilku dniach niektóre dziewczyny zeszły do miasteczka, a mieszkańcy dali im trochę ubrań i sukienek, umyłyśmy więc twarze i zaczęłyśmy znowu wyglądać jak normalni ludzie”.

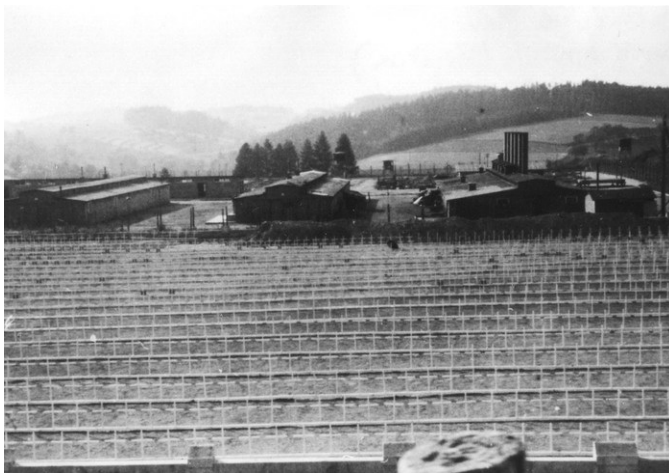
Wśród więźniarek znalazła się krawcowa – podarła koce i wykonała z nich spódnice; kobiety przerobiły też męską bieliznę i koszule, zabrane z kwater esesmanów albo ściągnięte z zabitych strażników. Inne pocięły jaskrawe zasłonki, zdarły kraciaste narzuty z łóżek w barakach SS i kapo i zrobiły z nich spódnice i bluzki. Największe szczęściary splądrowały domy wyższych rangą funkcjonariuszek SS i wybrały sobie stroje. Ocalona Esther Bauer powiedziała: „Dostałam ciemnozieloną garsonkę z wełny, z futrzanym kołnierzem. Byłam taka szczęśliwa!”.

Kiedy do obozu przybyli alianccy dowódcy, w reakcji na zastane tam potworności wydali rozkaz otwarcia obozu Mauthausen i sprowadzenia ludzi z miasteczka, żeby zobaczyli, co naziści urządzili pod ich bokiem. Przyciskając chusteczki do nosów, płaczący mieszkańcy zarzekali się, że nie mieli pojęcia, co działo się za murami

obozu – pomimo nieustającego smrodu i dymu, który spowijał okolicę jak całun. Następnie władze zażądały, aby mieszkańcy zgłosili się do opieki nad więźniami. Do ich obowiązków należało mycie ocalonych wodą pompowaną z Dunaju, wyjaławianie i palenie ubrań i płótna oraz spryskiwanie azotoksem w celu odwszenia.

Cenny *Sportsplatz*, boisko do piłki nożnej, został zamieniony w masowy grób – pochowano tam prawie tysiąc ofiar. Nagie zwłoki były w większości niezidentyfikowane, wiele w stanie zaawansowanego rozkładu. Od 56. Pancерnej Kompanii Inżynieryjnej wzięto spychacze i czołgi z przymocowanymi kubłami, żeby wykopać rowy długie na trzydzieści metrów, głębokie na dwa i szerokie na trzy metry. Wśród żołnierzy odkomenderowanych do tego zadania znalazł się sierżant Ray Buch, przybyły do Mauthausen 10 maja: „Pracowaliśmy, żeby wykopać te rowy (...) na boisku piłkarskim, gdzie esesmani zbudowali platformę z kamieni (...). Kopanie spychaczem szło strasznie ciężko. Musieliśmy znaleźć kogoś, kto rękami wygrzebywałby większe kamienie. Kilka próbowaliśmy wysadzić dynamitem, ale granit to najtwardszy kamień (...). Starali się kłaść ludzi głowa w nogi (...) żeby pochować jak najwięcej zwłok bez konieczności usypywania ich w sterty. Pięćset w każdym kopcu. Na jednym wozie leżało dwieście zwłok. Ciały były tak upchnięte, że aż trudno było odgadnąć ich liczbę”.

Niemieccy jeńcy wojenni, w tym byli strażnicy i oficerowie SS, zostali zmuszeni do chowania zwłok – z poszanowaniem godności zmarłych. Cywilów z Mauthausen, którzy odnosili korzyści z pobytu SS na swym terenie, wezwano do obozu w odświętnych ubraniach. Płacząc i krzycząc, kobiety i mężczyźni kopali pod przymusem kolejne mogiły, ładowali zwłoki na wozy i układali je w dołach rzędami po sto pięćdziesiąt. Następnie groby zasypano kamieniami i ziemią, po czym miejsce ostatecznego spoczynku każdego pochowanego więźnia oznaczano białym krzyżem albo gwiazdą Dawida. Na wielu mogiłach widniały tabliczki z nazwiskiem i datą śmierci, ale przeważał napis „Osoba nieznana”. Odmówiono modlitwy za zmarłych; mieszkańców okolicy wraz z dziećmi zmuszono do uczestnictwa w masowych pochówkach.



Groby i izba chorych w Mauthausen

Minęła już pierwsza radość z wyzwolenia i przetrwania gehenny – kiedy tak wielu innych zginęło. Ocaleni wciąż wyładowywali gniew na swoich oprawcach. W chwilach wolnych od kopania grobów niemieccy jeńcy musieli czyścić latryny, burzyć i palić najbardziej zarobaczone baraki, pracować w kamieniołomie i wykonywać różne upokarzające roboty, do których wcześniej zmuszali tysiące więźniów.

Pomimo prób odizolowania obozu dochodziło do częstych wtargnięć do okolicznych domów, sklepów i gospodarstw, a miejscowi – przerażeni, zawstydzeni i targani wyrzutami sumienia – oddawali straszliwie wyniszczonym więźniom żywność, napoje i ubrania.

W maju coraz cieplejsze słońce zaczęło ogrzewać wyziębione ciała; ogólna sytuacja uległa poprawie. Naznaczeni piętnem śmierci i przeżroczyście bladzi dotychczasowi więźniowie setkami wypelzali z prycz, żeby pospać na trawie lub w jakimkolwiek miejscu na zewnątrz. Wydawało się, że słońce łagodzi niehumanitarną scenerię, a dochodzące zewsząd ptasie trele przyćmiewają najbardziej bolesne wspomnienia. Wielu nie mogło się już doczekać odjazdu z miejsca, które stało się dla nich piekłem na ziemi, nie brakowało jednak i takich, którzy z lękiem myśleli o nowym życiu poza murami. Alianci zgodzili się objąć repatriacją wszystkich

wyzwolonych więźniów, ale wielu czuło się niezdolnych do powrotu do takich krajów jak Niemcy, Polska i Związek Sowiecki, gdzie zgładzono całe społeczności i gdzie wciąż nienawidzono Żydów. Zadręczali się pytaniami o los bliskich, tęsknili do dawnych ojczyzn, ale na co się narażą, jeśli wrócą i będą usiłowali odzyskać swoje mienie zawłaszczone przez innych? Czy w ogóle mieli jeszcze jakiś „dom”?

Starzy i młodzi jednakowo przeżyli tak wielką traumę, że właściwie nie wiedzieli, czego chcą. Rany psychiczne były bardzo głębokie i miały w nich pozostać na całe życie. Pewna liczba więźniów popełniła samobójstwo – nie potrafili stawić czoła nowej rzeczywistości, która teraz na nich czekała. Inni, uwięzieni od bardzo dawna, zachłysnęli się myślami o wolności i chcieli jak najszybciej rozpocząć nowe życie. Tysiące planowało masowy wyjazd do „ziemi obiecanej”, do Brytyjskiego Mandatu Palestyny, obszaru nazywanego „Erec Israel”, lub do Ameryki, Kanady i Australii – krajów, w których pragnęli odbudować swoje życie w bezpieczeństwie. Nie mieli jednak niczego, więc początki zapowiadały się niezbyt zachęcająco. Więźniowie byli boleśnie świadomi, że kraje o rygorystycznych przepisach imigracyjnych nie powitają z otwartymi ramionami rzeszy wyniszczonych uchodźców.

Takie rozterki – dokąd jechać, co robić? – wywołały pośród więźniów masowy kryzys, któremu początkowo

musieli zaradzić alianci. W obozach dla przesiedleńców prowadzonych przez wojsko i organizacje charytatywne, takie jak kwakerski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA) oraz Czerwony Krzyż, należało osadzić od ośmiu do dziewięciu milionów ludzi. Niektóre mniejsze obozy założono w szkołach, hotelach i szpitalach, jednak najbardziej oczywistymi miejscami do umieszczenia rzeszy ocalonych były garnizony, obozy pracy czy wręcz te same baraki, w których nieszczęśnicy byli dotąd przetrzymywani. Na kilka tygodni, do końca lipca 1945 roku, obóz koncentracyjny Mauthausen stał się swoistym obozem dla przesiedleńców – jednym z dwóch i pół tysiąca w Niemczech, Włoszech, Francji, Szwajcarii, Anglii i Austrii. W obrębie drutów kolczastych – do niedawna pod wysokim napięciem – ludzie ci znaleźli schronienie, otrzymali odzież, żywność, pomoc lekarską, zostali zarejestrowani i zaklasyfikowani do repatriacji. Następnie musieli czekać, aby jakiś kraj zgodził się ich przyjąć lub krewni opłacili planowaną podróż. W niektórych przypadkach ten proces trwał latami, a długotrwała opieka nad ludźmi, którzy stracili swoje domy i stanęli teraz w obliczu bardzo niepewnej przyszłości, była często mniej humanitarna, niż mogłoby się wydawać.

Czerwony Krzyż ze wszystkich sił starał się przyspieszyć procedury, a UNRRA powołała Centralne

Biuro Poszukiwań, pomagające w odnajdowaniu krewnych dzięki zamieszczaniu w gazetach list ocalonych ludzi i codziennym audycjom radiowym. Wolontariusze przepytывali więźniów i wypełniali liczne formularze. W końcu udało się objąć repatriacją od sześciu do siedmiu milionów ludzi, a półtora miliona wyemigrowało – było to jednak gigantyczne, długotrwałe i często kontrowersyjne przedsięwzięcie.

Repatriacja ponad czterdziestu tysięcy ludzi z Mauthausen – przedstawicielei dwudziestu czterech narodowości – okazała się logistycznym koszmarem. Nie dość, że byli oni wyniszczeni fizycznie i psychicznie, to w dodatku nie mieli ubrań, pieniędzy ani dokumentów. W tamtych dniach Europa przypominała tygiel. Większość pociągów, statków i samochodów zarekwirovano, aby przewozić dostawy, wojsko i sprzęt, zatem brakowało środków transportu do obsługi rzeszy ludzi chcących dotrzeć do najrozmaitszych zakątków świata. Przewóz repatriantów był darmowy, należało jednak podjąć decyzję, kto sfinansuje ich powrót – alianci czy rządy ponoszące odpowiedzialność za ich wysiedlenie. W końcu w większości przypadków koszty podzielono po równo.

Innym problemem było to, że prawie nikt nie potrafił udowodnić, że jest tym, za kogo się podaje. Wszyscy ocaleni z obozów pracy, obozów koncentracyjnych i obozów zagłady – każda kobieta, mężczyzna i dziecko –

musieli okazać dokumenty tożsamości, a większość nie miała niczego oprócz numeru wytatuowanego na ramieniu lub zapamiętanego z codziennych apeli. Wiele niemieckich archiwów spalono albo wywieziono, nie było więc możliwości ustalenia, skąd pochodzą konkretne osoby.

Nawet gdy ludzie otrzymali już stosowne dokumenty, narastała niepewność, co czeka tych, którzy byli członkami społeczności wymazanych z powierzchni ziemi. Zaczęły krążyć pogłoski o pechowcach, których ponownie wypędzono, a nawet zabito, gdy wrócili do domu. Wdowy i sieroty uważano za osoby szczególnie bezbronne, więc wielu amerykańskich żołnierzy przekonywało je, że o wiele lepszy los czeka je w Stanach Zjednoczonych.

Do takiego wyjazdu została skuszona Klara Löffová. Zaprzyjaźnił się z nią dziewiętnastoletni szeregowiec o imieniu Max z nowojorskiego Brooklynu. Max bardzo ją polubił i przynosił jej dodatkowe racje żywnościowe i drogocenne amerykańskie papierosy, które stały się walutą obiegową w obozie. Kiedy nadszedł czas wyjazdu Klary, Max przedstawił się jej „oficjalnie”, wyciągając rękę. W pierwszym odruchu zareagowała podobnie, ale zaraz cofnęła ramię ze wstydu, bo wciąż była zawszona i miała brud wtarty w skórę. Max jednak ujął jej dłoń i pocałował. Nigdy nie zapomniała tego aktu dobroci; w końcu wyjechała do Ameryki, a historia o szlachetnym

żołnierzu stała się tak istotnym elementem tradycji jej rodziny, że na jego cześć jej wnuka nazwano Max.

Patrząc z nostalgią na wody Dunaju hen w dole, Priska czuła bolesną tęsknotę za Bratysławą; chciała wrócić tam jak najszybciej ze swoją córeczką. Była przekonana, że w ich mieszkaniu będzie czekał Tibor, otoczony swoimi notatnikami i fajkami. Minęły miesiące, odkąd widziała go ostatni raz – za drutami w Auschwitz – ale zgodnie z przykazaniem, aby skupiać się tylko na rzeczach pięknych, nie dopuszczała do siebie myśli, że mógł zginąć.

W przypadku Racheli i jej sióstr – wszystkie były przed trzydziestką – w grę wchodziło tylko jedno miejsce. „Nasz ojciec zawsze mówił, że gdybyśmy zostali rozdzieleni, to zaraz po wojnie powinniśmy wszyscy wrócić do Pabianic i spotkać się ponownie” – powiedziała Sala. „A więc gdy tylko odzyskałyśmy siły, tam właśnie chciałyśmy jechać”. Rachela doszła do wniosku, że jeśli Monik przeżył, to ją tam znajdzie i wreszcie pozna swojego syna, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Nie miała pojęcia, czy zachowali rodzinne fabryki, ale tak czy owak, należało zacząć wszystko od nowa.

Anka z małą Evą mogła jechać tylko do Czechosłowacji, ale była „zdezorientowana”, bo nie wiedziała, czego może się spodziewać. „Zdawałam sobie sprawę, że rodzice i siostry nie żyją – tak podpowiadał rozum – ale nadal nic nie wiedziałam o moim mężu Berndzie”. Czy cokolwiek

ostało się dla nich w Třebechovicach pod Orebem? Czy ojcowska fabryka wyrobów skórzanych i willa siostry Ruzeny wciąż będą ich własnością, czy zostały przejęte przez kogoś, a może nawet spalone? Czy w ogóle zechce pozostać w Europie, gdyby się okazało, że straciła wszystko i wszystkich?

Panowała powszechna niepewność i zamieszanie. Wojna dotknęła wszystkie kraje Europy, cały kontynent był w stanie wrzenia. Ścigając nazistów, alianci gromadzili coraz więcej świadectw popełnionych przez nich potworności. Tysiące Niemców uciekło lub zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów. Setki oficerów SS i wysokiej rangi dowódców aresztowano, osądzono i stracono, ale o wiele więcej wymknęło się z potrzasku; wśród nich był komendant Freibergu *Unterscharführer* Richard „Siara” Beck – nigdy nie stanął przed obliczem sprawiedliwości.

Dwudziestego drugiego maja 1945 roku pojmano Heinricha Himmlera, najbliższego współpracownika Hitlera i człowieka obciążanego główną odpowiedzialnością za Holokaust. *Reichsführer* SS, który nadzorował obozy koncentracyjne i osobiście wizytował Auschwitz i Mauthausen, aby na własne oczy przekonać się o wdrażaniu ostatecznego rozwiązania, przegryzł ampułkę z cyjankiem ukrytą w ustach. Popełnił samobójstwo, aby uniknąć procesu sądowego.

W czerwcu 1945 roku Amerykanie zatrzymali doktora

Josefa Mengelego – Anioła Śmierci – lecz miesiąc później omyłkowo wypuścili go na wolność. Udając robotnika rolnego, Mengele zmienił nazwisko i przez resztę życia się ukrywał – aż do momentu utonięcia w Brazylii w 1979 roku. Wkrótce po wojnie żona się z nim rozwiodła, a syn się go wyparł. Mengele nigdy nie wyraził skruchy za popełnione czyny, twierdząc z uporem, że tylko wykonywał rozkazy. Nigdy nie słyszał o Prisce, Racheli i Ance ani o ich dzieciach, które wymknęły się z jego wypielęgowanych dłoni w Auschwitz.

Dzięki szczęściu, odwadze i determinacji trzy kobiety przetrwały wojnę – tych samych cech potrzebowały teraz, gdy rozmyślały nad swoim życiem „po”. Wszystko uległo zmianie. Były tylko pytania bez odpowiedzi. Gdzie są ich bliscy? Jak będzie odtąd wyglądało ich życie? Jeden z więźniów powiedział: „W kategoriach fizycznych i emocjonalnych byłem wielkim znakiem zapytania”.

Przed zaaranżowaniem podróży do domu wszystkie trzy matki musiały dopełnić jeszcze jednej istotnej formalności – uzyskać metryki urodzenia dla swoich dzieci. Troje noworodków należało zarejestrować w ratuszu w Mauthausen – stało się to w dniach 14–17 maja 1945 roku. Po odzyskaniu sił Rachel i Anka ruszyły ze wzgórza do miasteczka i uiściwszy opłatę, wypełniły stosowne dokumenty. Priska – niezdolna do spojrzenia w oczy mieszkańcom miasteczka – poprosiła męża swojej przyjaciółki Magdy Gregorovej, aktora Martina Gregora

(który odnalazł żonę w obozie), aby ją wyręczył.

E 1

Geburtsurkunde

(Standesamt Mauthausen Nr. 45/45)

Edith Hanna L ö w e n b e i n

ist am 12. April 1945

in F r e i b e r g i . S a. (Gefangenen- geboren
Bahntransport)

Vater: T i b o r L ö w e n b e i n, geb. 27.9.14
jetziger Wohnort unbekannt, zuletzt Bratislava,
Fischertorgasse 7 wohnhaft


Mutter: P i r i L ö w e n b e i n, geb. 6.8.16
jetziger Wohnort unbekannt, zuletzt Bratislava,
Fischertorgasse 7 wohnhaft

Änderungen der Eintragung:

Mauthausen, den 14. Mai 1945

Der Standesbeamte

I. V. *H. Hubmann*



A 51 Geburtsurkunde (ehelich). Nachdruck verboten!
Verlag für Standesamtswesen G.m.b.H., Berlin SW 61, Gitschiner Straße 109.
A. W. 8 - Q/0293

A 51

Metryka Hany

Trzy matki otrzymały oficjalne austriackie *Geburtsurkunde* (metryka urodzenia). Hana została

niewłaściwie zarejestrowana jako Edith Hana Löwenbein, urodzona we Freibergu 12 kwietnia 1945 roku, z dopiskiem *Gefangenen-Bahntransport* („uwięziona w transporcie kolejowym”). Nie wspomniano o narodzinach bez pomocy lekarskiej, na desce w niemieckiej fabryce pracy przymusowej ani o ewakuacji koleją. Jako ojciec został wpisany Tibor, „Piri” jako matka; o obojgu stwierdzono: „*Jetziger wohnort unbekannt*” („obecny adres nieznan”), po czym dopisano dawny adres w Bratysławie.

E 1

Geburtsurkunde

(Standesamt Mauthausen Nr. 46/1945)

Max Friedmann

ist am 20. April 1945

in Mauthausen, O.Ö. geboren

Vater: Moses Friedmann, geb. 15.5.16
in Lodz, Maschinentechniker, jetziger Wohnort
unbekannt, zuletzt Lodz, Pfefferstr. 12


Mutter: Rachela Friedmann, geb. 31.12.18
in Pabianitz, Polen, jetziger Wohnort unbekannt,
zuletzt Lodz, Pfefferstr. 12 wohnhaft

Erklärungen der Eintragung:

Mauthausen den 14. Mai 1945

Der Standesbeamte

I. J. S. *Hubertus Gindwies*



A 51 Geburtsurkunde (ehelich). Nachdruck verboten!
Verlag für Standesamtswesen GmbH, Berlin SW 61, Oranienburger Straße 109.
A. W. 9 02099

A 51

Metryka Marka

Za miejsce urodzenia Marka i Evy uznano Mauthausen lub „Mauthausen früheres Konzentrationslager” („były obóz koncentracyjny Mauthausen”), a jako daty podano odpowiednio 20 i 29 kwietnia. Oni też nie mieli stałego miejsca zamieszkania. Urzędnik, który wystawił metrykę dla Marka, nigdy by się nie domyślił, że chłopczyk urodził


się w otwartej węglarce w deszczu niedaleko czeskiego Mostu. W metryce Evy, urodzonej na brudnym wozie w cieniu obozowej bramy, stwierdzono, że przyszła na świat o wpół do dziewiątej wieczorem, nie wspomniano jednak o straszliwych okolicznościach, które temu towarzyszyły.


Standesamt: Mauthausen
Nr. 48/1945

Geburtsurkunde

Das Kind Eva Nathan -----
ist am 29. April 1945 ----- um 20 Uhr 30 Minuten --
in Mauthausen, früheres Konzentrationslager - geboren. .
Vater: Architekt Bernd Nathan -----
----- israelitisch -----
Mutter: Anna, geborene Karderowa -----
----- israelitisch -----
Anderungen der Eintragung: -----

Mauthausen - , den 14. April 1948

Der Standesbeamte: 



Form Schmitz, Wien IX., Spargelgasse 43, 2046-Gr. 62

Metryka Evy

Wyposażone w metryki, tymczasowe dokumenty tożsamości z nazwiskiem i datą urodzenia oraz zaświadczenie z Czerwonego Krzyża informujące, że były więzione w obozie, trzy kobiety zostały wreszcie uznane za zdadne do wyjazdu. Dodatkowo każda otrzymała zaświadczenie podpisane przez zastępcę nowego komendanta Mauthausen, że nie jest nosicielką chorób zakaźnych. Czerwony Krzyż wydawał ludziom tyle ubrań i czapek, ile tylko było można – niektórzy wciąż mieli na sobie podarte pasiaki, w które wciśnięto ich przed kilku laty. Ocaleni bili się o upragnione swetry z metką „Made in the USA”. A potem musieli czekać z pozostałymi uchodźcami na transport, który umożliwiłby im dotarcie do upragnionego celu.

W przypadku trzech kobiet niewola trwała od ośmiu miesięcy do prawie czterech lat. Dla każdej jednak była to cała wieczność. Miały od dwudziestu sześciu do dwudziestu dziewięciu lat; mniej „żydowskie” niż większość Żydów, zmieniły się nie do poznania – fizycznie i psychicznie. Ledwo pamiętały dawne życie, pełne swobód i beztroskiej radości z bycia zakochanymi dziewczętami. Jak powiedziała Rachela: „Gdy wyszłam stamtąd jako dwudziestosześcioletka, byłam starą kobietą”.

Pierwsi opuścili obóz sowieccy jeńcy wojenni, którzy

cudem przetrwali nieludzkie warunki – 16 maja 1945 roku nastąpiło wzruszające pożegnanie. Gdy ludzie zgromadzili się na placu apelowym, Sowieci złożyli tak zwaną „przysięgę Mauthausen”, zobowiązując się do tego, że będą kroczyć wspólną drogą ku wolności, przeciwstawiać się nienawiści między narodami oraz walczyć o sprawiedliwość społeczną. „Brama jednego z najgorszych i najbardziej morderczych obozów koncentracyjnych jest otwarta” – obwieścili. „Niedługo powrócimy do naszych ojczyzn (...). Wyzwoleni więźniowie (...) z głębi serca składają podziękowania za wyzwolenie zwycięskim narodom sprzymierzonym (...). Niech żyje wolność!”

Amerykane i Czerwony Krzyż wyposażyli ich w papierosy, przybory toaletowe i prowiant. Pozostali więźniowie patrzyli, jak Rosjanie odchodzą, jednocześnie wyobrażając sobie własny powrót do ojczyzny. Gdzieś daleko za tymi szarymi murami toczyło się życie, którego niemal już nie pamiętali. Ci, którzy wyrwali się z nazistowskiej maszyny zagłady, zajmowali się teraz codziennymi sprawami, naprawiali domy, odbudowywali miasta, wychowywali dzieci i starali się o kolejne. Zwykli ludzie wracali do zwykłych zajęć i zapominali o trudach wojny. Więźniowie Mauthausen też próbowali zapomnieć.

Wiedzieli, że wielu spośród ich bliskich i przyjaciół straciło życie, ale wciąż podtrzymywali w sobie nadzieję,

że mają do czego wracać. Dwudziestodwujęcioletnia Priska zastanawiała się, czy Gizka, jej przyjaciółka z dzieciństwa, wciąż mieszka w Żółtych Morawcach. I czy udało jej się ukryć rodzinne precjoza. Sieci łączności w całej Europie zostały zniszczone, nie było więc możliwości zatelefonowania, nawet gdyby pamiętała numer. Zbierając się do wyjazdu, Priska obiecała swej opiekunce Edicie, że utrzyma z nią kontakt, że będą się informować o wszystkim, co je spotka po powrocie do domu.

Mimo śmierci krewnych w Auschwitz Rachelą zdawała sobie sprawę, że powinna się uważać za szczęśliwca, bo przeżyły trzy z czterech jej sióstr. Spotkała wiele osób, które straciły całe rodziny – ona zaś, Sara, Estera i Bala były razem.

Dwudziestośmioletnia Anka miała u boku swoją wierną przyjaciółkę Mickę. Trwały przy sobie od czterech lat. Obie otarły się o śmierć, co wzmocniło ich więź na resztę życia. Miała też inne przyjaciółki, kobiety, które bardzo jej współczuły z powodu śmierci Dana i były zawsze w pobliżu, gdy urodziła się Eva.

Trzy młode kobiety nic nie wiedziały o losie swoich mężów – Tibora, Moniki i Bernda. Bystry dziennikarz, lojalny właściciel fabryki i przystojny architekt – ci trzej przyzwoici mężczyźni snuli wielkie plany i zdobyli serca trzech kobiet, ożenili się z nimi tuż przed tragicznymi wydarzeniami, które brutalnie wywróciły ich życie do

góry nogami. Czy przeżyli? Czy była jakakolwiek szansa na szczęśliwe zakończenie? Czy pomimo okrutnych działań nazistów każda z tych kobiet odzyska męża, a każde dziecko ojca? A może ich marzenia obrócą się w proch i pył? Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. I zobaczyć, jak teraz wyglądają kraje, w których dorastały i w których toczyły się ich różne losy.

Sowieci wyzwolili Słowację wiosną 1945 roku. Z dziewięćdziesięciu tysięcy słowackich Żydów przeżyło jedynie dwadzieścia tysięcy. Pojawienie się wojsk sowieckich było wstępem do przyłączenia Czechosłowacji do Bloku Wschodniego trzy lata później, przez co kraj stał się państwem komunistycznym na ponad czterdzieści lat. W pierwszej kolejności wypędzono obywateli niemieckich. Później do austriackiego portu w Enns wysłano statki, które miały sprowadzić słowackich więźniów Mauthausen do domu. Podróż po stosunkowo ciepłych wodach Dunaju trwała niecały tydzień. Priska przepłynęła dwieście siedemdziesiąt kilometrów na wschód i wreszcie znalazła się z powrotem w ukochanej Bratysławie. Od nabrzeża tylko krótki spacer dzielił ją od mieszkania, w którym została aresztowana z Tiborem po święcie Jom Kippur we wrześniu 1944 roku. W tym samym czasie Edita wracała na Węgry, do kraju zniszczonego wojną, aby się przekonać, czy ocaleli jej bliscy. Te dwie kobiety już na zawsze utrzymały ze sobą kontakt.

Polska zmieniła się nie do poznania. Jako kraj o najliczniejszej populacji żydowskiej w całej Europie, znalazła się w samym epicentrum Holokaustu i została doszczętnie zniszczona. Ucierpiały nie tylko zbombardowane miasta, zginęły też miliony ludzi. Po nadejściu Armii Czerwonej osiadli w Polsce Niemcy musieli wyjechać. Wielu Polaków odmówiło powrotu do domu i pozostało na terenach kontrolowanych przez Amerykanów i Brytyjczyków. Rachela i jej siostry też się zastanawiały nad tym rozwiązaniem, jednak uznały, że najważniejsza jest obietnica złożona ojcu.

Władze polskie i amerykańskie zorganizowały wagony towarowe dla tych, którzy chcieli wracać do ojczyzny. Wagony wysprzątały; w trakcie jazdy drzwi pozostały niezaryglowane, aby podróż nie przypominała ludziom wcześniejszych koszmarnych przeżyć. Rachela, jej trzy siostry i mały Mark dostali jedzenie i wodę oraz wygodne miejsca na drewnianych ławkach. Ruszyli w długą drogę powrotną – osiemset kilometrów – do kraju, który stracił prawie całą mniejszość żydowską i wbrew woli jego obywateli stał się miejscem usytuowania najstraszliwszych obozów zagłady.

Anka miała do przebycia najkrótszą odległość, jednak nie wiedziała, co zastanie po powrocie. Jechała do Pragi, oddalonej o dwieście kilometrów od Mauthausen. Miasto przeżyło trzydniowe krwawe powstanie, które wybuchło 5 maja, w dniu wyzwolenia obozu. Sowietów i Czesi

z Gwardii Rewolucyjnej obalili rządy nazistów dwa dni przed oficjalną kapitulacją Niemiec. Przez radio nawoływali obywateli do zabicia każdego napotkanego Niemca. Wzburzony tłum wyległ na ulice i w akcie zemsty zabił setki niemieckich wojskowych i cywili, często w brutalny sposób. Milicjanci podpalili kilku oficerów SS i Wehrmachtu, robiąc z nich żywe pochodnie, a tłum ścigał mężczyzn, kobiety i dzieci, nie zważając na ich postawę w czasie wojny. Wśród okaleczonych, zastrzelonych i zlinczowanych Niemców znaleźli się wybitni lekarze i profesorowie.

Dziewiątego maja, dzień po zakończeniu powstania, przybyła Armia Czerwona. Niebawem rozpoczął się proces wysiedlania trzech milionów Niemców z Czechosłowacji, w wyniku czego zginęło kolejne kilka tysięcy ludzi. Bernd, mąż Anki, miał niemieckie pochodzenie, co stawiało ją w trudnej sytuacji. Co prawda – jako Żyd – na mocy ustaw norymberskich stracił niemieckie obywatelstwo, a wraz z nim straciła je jego żona, mimo to Anka była uważana przez władze czeskie za Niemkę. Nigdy nie wyrzekła się ojczyzny, lecz wedle prawa, wychodząc za Bernda, przestała być Czeską. W konsekwencji po zakończeniu wojny nie miała ani domu, ani ojczyzny. Prawdopodobnie straciła też męża, a więc jej dziecko stało się półsierotą – co za beznadziejna sytuacja! Minął maj, a ona wiedziała tylko jedno: po czterech latach spędzonych w getcie i obozach

rozpaczliwie pragnęła wrócić do domu.

Brakowało paliw, poza tym w pierwszym okresie władze czeskie nie miały pociągów, które mogłyby wysłać do Austrii. Czescy repatrianci z Mauthausen byli zdani na siebie. Aby przyspieszyć bieg spraw, posłali do Pragi swego przedstawiciela, profesora prawa z Uniwersytetu Karola, Vratislava Buska, który pięć lat wcześniej został osadzony w obozie jako więzień polityczny. Tydzień później profesor wrócił z wiadomością, że na stacji w Czeskich Budziejowicach czeka pociąg przystrojony przez mieszkańców kwiatami i transparentem: „*Z pekla Mauthausen – domu*”. Anka razem z dzieckiem i przyjaciółmi z Terezína zamierzała dostać się tam ciężarówką, po czym pojechać pociągiem do Pragi, aby dowiedzieć się o losie swojej rodziny i męża.

W niedopasowanych lichych ubraniach trzy matki z nowo narodzonymi dziećmi zniknęły w tłumie szykującym się do opuszczenia Mauthausen. Na czarno-białych fotografiach wykonanych przez amerykańskich żołnierzy widać niekończącą się ludzką rzekę spływającą ze wzgórza w kierunku miasta. Czekali cierpliwie na swoją kolej, wypatrywali ciężarówek Czerwonego Krzyża, stali na nabrzeżu i w punktach zbornych – ludzie, którzy dawniej mieli wielkie plany, a którym potem odebrano wszystko. Teraz byli repatriantami bez grosza przy duszy.

Nie było raczej okazji, aby po raz ostatni spojrzeć na

malownicze pejzaże, wśród których wyrządzono tak wielkie zło. Czy któraś z trzech kobiet zerknęła przez ramię na posępne mury i pomyślała, co byłoby, gdyby nie popełniła śmiertelnego – w oczach nazistów – grzechu bycia Żydówką? Nastała pora, aby patrzeć w przyszłość, nie wstecz. Jak powiedziała jedna z nich: „Teraz możemy zacząć żyć”.

A dzieci? Od pierwszej chwili, gdy ich małe serduszka zaczęły bić w matczynych łonach, niezliczone razy groziła im śmierć.

Tysiącom dzieci urodzonym w czasie drugiej wojny światowej nie dane było przeżyć.

Niepoliczone miliony nienarodzonych nie dostały nawet szansy, żeby pojawić się na świecie.

W ciągu sześciu lat naziści wymordowali niemal dwie trzecie z dziewięciu i pół miliona europejskich Żydów, a także miliony ludzi, którzy Żydami nie byli. Z tysiąca kobiet załadowanych do wagonów we Freibergu oraz dołączonych do tego transportu końca wojny doczekała połowa.



Ocaleni więźniowie opuszczają Mauthausen

Cud sprawił, że Anka, Priska i Rachela, raz po raz zapędzane przez nazistów na apel w obozach śmierci, ostatecznie znalazły się wśród tych, którzy stawili się na apelu żywych.

Dzięki odwadze, nadziei i szczęściu ich dzieci stały się jedynymi więźniami obozu, którym nadano imiona zamiast numerów. Na przekór mrocznym czasom były też najmłodszymi ocalałymi ofiarami Holokaustu.

Rok 1945 przyniósł kres koszmaru, z którego pokłosem więźniowie musieli się zmagać jeszcze długie lata. Zarazem przyniósł narodziny czegoś, czego inne niezliczone pokolenia nigdy nie doświadczą: dał nowy początek, szansę na życie i miłość.

Dom

Priska

Pierwszy po wojnie statek pasażerski, któremu zezwolono na rejs po Dunaju, wyszedł z portu Enns 19 maja 1945 roku i skierował się na wschód – działo się to trzy tygodnie po wyzwoleniu Mauthausen. Płynął głęboko zanurzony z powodu dużej liczby uchodźców stłoczonych pod pokładem, pragnących uciec jak najdalej. Wśród nich znajdowała się Priska Löwenbeinová.

Podróż była długa, trudna i niebezpieczna, gdyż statek zmierzał do Wiednia za trałowcem sprawdzającym, czy z przodu nie ma gdzieś niewybuchów. Naziści objęli kontrolę nad Dunajem po tym, jak Hitler ogłosił, że rzeka jest pod niemieckim zarządem. Jednostki Flotylli Dunajskiej Kriegsmarine patrolowały tę główną arterię wodną Europy, chroniąc jej najważniejsze porty oraz strzelając do samolotów alianckich. Pod koniec wojny niektóre z owych jednostek wyładowano materiałami wybuchowymi i wysadzono w powietrze, ustawivszy je w poprzek nurtu Dunaju tak, aby spowolnić przesuwanie

się sił sowieckich. Ich zatopione wraki stanowiły ogromne zagrożenie jeszcze dziesiątki lat później.

Sto pięćdziesiąt kilometrów od Mauthausen stateczek Priski musiał zatrzymać się w zabytkowym mieście Tulln, które wcześniej intensywnie bombardowano z powodu znajdujących się tam bazy lotniczej i mostu kolejowego. Rzeka stała się niezeglowna z powodu szczątków zawalonego mostu – należało je uprzątnąć. Przez dwa dni statek, ze swoimi znękanymi pasażerami sypiającymi na słomie, zmuszony był cumować przy brzegu, po zachodniej stronie Tulln. Niespodziewana przerwa w podróży jeszcze bardziej przygnębiła tych, którzy zdolali przetrwać, przez sam fakt ciągłego przebywania w ojczyźnie Hitlera. Niektórzy, nie mogąc znieść oczekiwania, wysiadali na ląd. Szli potem pieszo na wschód, bez bagaży, i kupowali w miasteczku bilety na pociąg do Wiednia lub dalej, płacąc amerykańskimi papierosami, które stały się cenne jak złoto.

Z dzieckiem pod opieką Priska była znacznie mniej mobilna, dlatego została na pokładzie i czekała, aż rzeka stanie się zeglowna i statek zawiezie ją do domu. Gdy 22 maja wysiadła wreszcie w bratysławskim Zimnym Prístavie, stwierdziła, że mimo bombardowań zabytkowe centrum miasta przetrwało niemal nietknięte. Spieszno jej było do swego mieszkania, chciała się przekonać, czy Tibor tam na nią czeka, najważniejsza była jednak Hana, która znów potrzebowała pilnie pomocy medycznej. Jej

rany się otworzyły, przez bandażę sączyła się krew. Wyrzucając sobie, że powinna była posłuchać rady majora Stacy'ego, Priska popędziła z córeczką prosto do szpitala dziecięcego przy ulicy Duklińskiej, gdzie pediatra, profesor Chura – tylko spojrzawszy na mocno niedożywione niemowlę pokryte otwartymi wrzodami – oświadczył, że musi natychmiast operować. Po raz drugi w ciągu kilku tygodni Hana przeszła zabieg chirurgiczny oczyszczania licznych wrzodów, powstałych wskutek ciężkiej awitaminozy. Lekarz pozszywał rany i skierował dziecko na oddział specjalistyczny.

Priska czekała niecierpliwie na informacje o stanie zdrowia Hany i modliła się, by niemowlę przeżyło. „Miałam dobre przeczucie, ponieważ ona chciała żyć – naprawdę chciała żyć” – powiedziała później. Podobnie stwierdził profesor Chura, wychodząc z sali operacyjnej.

Gdy operacja okazała się udana, a Hanie nie groziło już niebezpieczeństwo, dwie zakonnice prowadzące szpital zabrały jej na pół zagłodzoną matkę do kuchni. Rozejrzawszy się wygłodniałym wzrokiem, Priska zauważyła na piecyku garnek z fasolą, coś w rodzaju gulaszu. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, porwała naczynie i dosłownie wypła jego zawartość. Wszyscy przyglądali się temu w „ogłuszającej ciszy”.

„Nikt mnie nie powstrzymał ani nie powiedział słowa” – wspominała. „Taka byłam głodna”.

Zdawszy sobie sprawę, że Priska także potrzebuje

opieki, zakonnice zaoferowały jej miejsce w szpitalu, dopóki Hana nie wyzdrowieje i nie nabierze sił. Priska przyjęła tę propozycję z wdzięcznością. Zatrzymała się u sióstr na dwa tygodnie. Kiedy nieco odpoczęła, pozostawiwszy uśpioną Hanę, poszła w końcu tam, gdzie – jak wierzyła – powinien być Tibor: do ich dawnego mieszkania przy Bramie Rybackiej. Wstrząśnięta odkryła, że budynek, w którym mieszkali, należał do tych nielicznych na Starym Mieście, na który spadły bomby. Zostały tylko ruiny. Zdruzgotana, przeszukała rumowisko i niemal nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy znalazła jeden z bezcennych notatników Tibora; jego charakter pisma był wyraźny, choć kartki pokrywały smugi brudu. Zachowała go do śmierci jako talizman.

W centrum Bratysławy Żydzi i inni ludzie postawili wielkie tablice ogłoszeniowe, na których pozostawiano wiadomości dla bliskich. Priska napisała, że wraz z dzieckiem udało im się przeżyć, podała też adres szpitala. Potem wróciła tam, aby czekać na Tibora bądź kogokolwiek innego, kto przetrwał. Mijały dni i tygodnie, do miasta zaczęli napływać przyjaciele i rodzina, w tym także młodsza siostra Priski, Anička, oraz ich wujek, doktor Gejza Friedman, z którym Anička ukrywała się w Tatrach. Dziadek Priski przeżył nazistowskie czystki, niestety, zaraz potem zginął, wypadając przypadkowo z okna. Wujek Gejza proponował, by znaleźli sobie jakieś miejsce, w którym

mogliby wspólnie zamieszkać. Z czasem Hana zaczęła uwielbiać wujka „Apu”, jedynego mężczyznę w jej życiu przypominającego kogoś w rodzaju taty; także Priska myślała o Gejzie jako o surogacie ojca, zwłaszcza wobec braku własnych rodziców.

Jej brat Bandi przysłał informację z Palestyny, że u niego wszystko w porządku, jest żonaty i ma pasierbicę. Co zdumiewające, wkrótce zjawił się też drugi brat Priski, Janko, który dzielnie walczył z Niemcami jako partyzant. Miał włosy do ramion; z chłopca, którego pamiętała, stał się mężczyzną. Dzięki zasługom wojennym cieszył się wszelkiego rodzaju przywilejami, mógł na przykład wybrać kwaterę w mieście. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił jej brat, było wręczenie Prisce kluczy do czterech wielkich mieszkań, z których mogła wybrać jedno dla siebie i rodziny. Mieszkania te niemal na pewno należały kiedyś do Żydów, których powrotu nie należało się nigdy spodziewać. Priska odmówiła wejścia w „buty umarłych” i postanowiła nie oddalać się od miejsca, w którym kiedyś mieszkała, tak by Tibor mógł ją łatwo odnaleźć.

Mijały tygodnie bez znaku życia od jej rodziców, Emanuela i Pauli Ronów, dumnych właścicieli kawiarni z miejscowości Złote Morawce, deportowanych do Auschwitz w lipcu 1942 roku. Znacznie później dowiedziała się od przyjaciół rodziny, że jej matka i ojciec zostali zagazowani w Birkenau w miesiącu, w którym ich

tam przywieziono. Nie powróciła też jej trzydziestoczteroletnia siostra Boeżka, stara panna, którą wtedy, w marcu, Priska starała się wydostać z transportu. Lata potem usłyszała, że Boeżkę od komory gazowej uratowały jej talenty szwaczki; została nawet przełożoną szwalni w Auschwitz. Przez trzy lata szyła i naprawiała mundury i inną odzież dla esesmanów. Ryzykując życie, Boeżka traktowała podległe jej kobiety życzliwie i przymykała oczy na potajemne łatanie przez nie własnych ubrań. Według jednego z niepotwierdzonych raportów w grudniu 1944 roku, na miesiąc przed wyzwoleniem obozu, Boeżka miała się rzucić na otaczające obóz ogrodzenie i w ten sposób popełnić samobójstwo; wiadomość ta załamała Priskę. Jednakże jakiś czas później kobieta, która dobrze знаła Boeżkę w obozie, oświadczyła, że to nieprawda i że Boeżka zmarła na tyfus. Priska wolała wierzyć w tę drugą wersję.

Tygodnie zmieniały się w miesiące, a Tibor wciąż nie dawał znaku życia, choć tak bardzo tego pragnęła Priska. Czowała się, jakby żyła w zaświatach, w krainie umarłych, niezdolna do oddalenia się na krok, ani nawet do powrotu do Żółtych Morawców, do tego, co tam zostało, w żeby się nie rozminęli. Opiekując się chorym dzieckiem, nie mogła pracować i nie miała pieniędzy. Nie wiedziała również, co dzieje się z jej krajem. Wprawdzie Czechosłowacja się odrodziła i były prezydent Słowacji,

ksiądz Jozef Tiso, został powieszony za kolaborację z nazistami, to prawie osiemdziesiąt procent Żydów zginęło, a przyszłość kraju pozostawała bardzo niepewna.



Hana i jej matka Priska, 1946 r.

Po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu, z niewielką kwotą pieniędzy otrzymanych od Czerwonego Krzyża i wujka, Priska wynajęła pokoje niedaleko swego dawnego mieszkania tak, by móc tam chodzić przynajmniej raz dziennie i sprawdzać, czy mąż na nią czeka. Pokoje te, dawne kwatery dla służby, znajdowały się na pierwszym piętrze wspaniałego trzykondygnacyjnego budynku przy placu Hviezdoslava. Mieszkanko, wilgotne i zaszczurzone, składało się z małej sypialni, salonu i kuchni, w której stała wanna.

Pewnego dnia, gdy Priska, pchając wózek z Haną, szła ulicą w kierunku tablicy ogłoszeń, aby sprawdzić nowe wiadomości, wpadła na mężczyznę nazwiskiem Szüsz, którego знаła sprzed wojny. Przywitał się z nią ciepło, po czym oświadczył, że był z Tiborem w obozie. Z Auschwitz, powiedział, przeniesiono ich do podobozu w Gliwicach (przez Niemców przemianowanych na Gleiwitz), oddalonego o mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów, gdzie więźniowie musieli pracować w cegielni, na placu budowy oraz naprawiać dla nazistowskich kolei wagony towarowe w firmie Reichsbahnausbesserungswerk. Następnie pan Szüsz poinformował Priskę, że jej mąż już nie wróci. „Nie wierzył, że pani i dziecku uda się przeżyć” – rzekł ów człowiek, a umysł Priski próbował pojąć to, co mężczyzna

chciał jej przekazać. „Przestał jeść, osłabł tak bardzo, że nie dawał rady. Powtarzał: »Nie chcę już dłużej żyć. Co warte jest życie bez żony i dziecka?«”.

Priska, która starała się przeanalizować te słowa i znaleźć w nich sens, w końcu odeszła od pana Szüsa, potykając się i nic nie widząc, by samotnie pogрузić się w żalu. Miała rozdarty umysł, nigdy nie zdołała poznać szczegółów dotyczących śmierci Tibora. Ostatecznie jednak, dzięki zeznaniom osób, które przeżyły, oraz tych, które go znały, Priska dowiedziała się tyle, ile potrzebowała. W straszliwie zimnym styczniu 1945 roku, gdy temperatura spadała do minus dwudziestu stopni, trzy tysiące prawie zagłodzonych więźniów z Gliwic, ubranych tylko w pasiaki i drewniane chodaki, zostało zmuszonych do rozpoczęcia marszu śmierci ku wielkiej fabryce paliw syntetycznych w Blachowni Śląskiej (Blechhammer), odległej o czterdzieści kilometrów. Szli w zwartej formacji, wiedząc, że każdy maruder zostanie zastrzelony. Przedzierali się przez śnieg i lód, by połączyć się z kolumną czterech tysięcy innych istot, które wlokły się do Gross-Rosen, jednego z ostatnich obozów koncentracyjnych, usytowanego sto osiemdziesiąt kilometrów dalej. Jak się okazało, był to jeden z najbardziej niesławnych marszów śmierci w dziejach. Setki więźniów w wytartych pasiakach, których ciała odmawiały posłuszeństwa, ginęło zastrzelonych na miejscu. Ich zwłoki spychano do rowów, by nie rzucały

się w oczy.

„Tibor się po prostu poddał” – usłyszała Priska od jednego z mężczyzn, który przeżył ów marsz. „Zmarł z głodu w styczniu 1945 roku (...). Upadł na poboczu i już tam został (...). Pewnie go zastrzelili”.

Tibor Löwenbein, uśmiechnięty palacz fajki, dziennikarz, urzędnik bankowy, mąż i ojciec, zginął w jakimś nieznanym miejscu przy pokrytej lodem drodze na Śląsku, w Polsce, zaledwie kilka miesięcy przed końcem wojny, w wieku 29 lat. Nie było ciała, nad którym opłakująca go Priska mogłaby odmówić kadisz. Nie było pogrzebu ani grobu, gdzie mogłaby zapalić znicz w rocznicę jego śmierci, jorcajt. Właściwie nie odbył się żaden rytuał pożegnania – ani żydowski, ani inny.

Priska jako wdowa nigdy nie doszła do siebie po stracie męża. Przez resztę swoich dni odmawiała ponownego zamążpójścia. „Miałam wspaniałe małżeństwo” – mawiała. „Jestem sama, ponieważ nie mogłabym żyć z nikim innym ani znaleźć nikogo takiego jak on”.

Pocieszenie przynosiły Prisce najcenniejsze dla niej pamiątki, które oddała jej przyjaciółka z dzieciństwa, Gizka, a także inne osoby. Znajdowały się wśród nich ukochane fotografie z wesela, kilka listów od Tibora oraz portrety utraconej rodziny, ulubione kolczyki jej matki, medalion, który Paula Ronová nosiła na ładnym złotym łańcuszku, a także kieszonkowy zegarek dziadka,

z łańcuszkiem.

Postanowiwszy zająć się studiami, Priska zatrudniła dla Hany opiekunkę i wróciła na uniwersytet, gdzie uzyskała magisterium z filologii romańskiej i angielskiej. Jak planowała, została nauczycielką w bratysławskiej szkole podstawowej przy ul. Karpatskiej. W roku 1947 zmieniła nazwisko po tym, jak inspektor oświatowy poskarżył się, że na „Löwenbeinová” musi sobie „łamać język”. „Jedna z moich koleżanek z własnej inicjatywy powiedziała inspektorowi, że zmienię nazwisko na bardziej »słowackie«, i tak zrobiłam”. Podobał jej się francuski wyraz *l'homme*, oznaczający człowieka; uznała, że „Lom” z przyrostkiem -ová będzie wystarczająco prostym nazwiskiem. Jeszcze bardziej ucieszyła ją informacja, że czeski aktor Herbert Lom stał się gwiazdą filmową.

Priska wychowywała swoje dziecko jako Hanę Lomová; ochrzciła ją w Kościele ewangelickim. Przede wszystkim, mawiała, zależało jej, by Hana otrzymała dobre wykształcenie. „Byłam jej matką, doradczynią i przyjaciółką” – powiedziała. „Żyliśmy dla siebie. Nigdy mnie nie zawiodła”.



Hana i Priska w 1949 r.

Priska pozostała w Bratysławie pięć lat, po którym to czasie w końcu pogodziła się z tym, że Tibor nie wróci. Jej siostra Anička wyszła ponownie za mąż i żyła w tym mieście aż do śmierci. Ich brat Janko w 1948 r. wyjechał do Izraela, gdzie zamieszkał w pobliżu Bandiego. W 1950 roku wujek Gejza, który został szefem szpitalnego oddziału pulmonologii nowej kliniki w Preszowie,

przekonał Priskę, by razem się tam przeprowadzili. Ponieważ Hana pozostawała „chorowitym dzieckiem”, które cierpiało na silne krwawienia z nosa, miała też wyrostki i kłopoty z jelitami, Gejza uważał, że lepiej będzie jak zamieszka w okolicy o świeżym górskim powietrzu i będzie pod opieką lekarską.

Priska została nauczycielką języków obcych w Preszowie. Po kilku latach wykładania angielskiego, niemieckiego i francuskiego w miejscowych szkołach średnich, zatrudniła się na Wydziale Języka i Literatury Angielskiej na uniwersytecie; była też adiunktem na Wydziale Filozofii. W 1965 roku, gdy Hana już studiowała w Bratysławie, Gejza – uwielbiany przez nią wujek Apu – popełnił samobójstwo, przekonany, że choruje na raka płuc. Miał sześćdziesiąt pięć lat. To Priska znalazła jego ciało w domu, w którym wspólnie mieszkali, a odkrycie to nieomal ją załamało. Nagle osamotniona, przeprowadziła się z powrotem do odległej o czterysta kilometrów Bratysławy, żeby być bliżej jedynaczki.

Po raz pierwszy Hana odkryła swoje prawdziwe korzenie, kiedy miała sześć lat: wtedy właśnie ktoś nazwał ją „brudną Żydówką”. Pobiegła do domu i opowiedziała o tym matce, a ta odparła: „Pokażę ci zdjęcia moich rodziców, którzy byli Żydami”. Hana spojrzała na nie i rzekła: „W porządku. Ja też chcę być Żydówką. Mogę już iść się bawić?”. Twierdziła, że od tej pory kwestia ta nigdy nie stanowiła dla niej problemu.

Nie opowiadała też nikomu, że urodziła się w obozie koncentracyjnym. „To się po prostu nie pojawiało jako temat rozmowy”.

Gdy Hana dorastała, Priska starała się jej przekazywać niezwykłą historię ich życia, często pokazywała córce zdjęcia Tibora, dzieliła się z nią anegdotami, czytywała listy. Pokazała Hanie notatnik ojca oraz jego cenną kolekcję znaczków pocztowych, którą zostawił przyjacielowi do przechowania. „Chciałam, żeby wiedziała o swoim tacie i o tym, co przeżył, ale chciałam także, aby miała miłe wspomnienia i nie myślała tylko o złych rzeczach” – mówiła Priska. „Pragnęłam jej bliskości z ojcem, by wiedziała, jakie było jego życie (...). Pamiętam wszystko i wszystko jej opowiedziałam”.

Hana opisywała swoją matkę jako osobę „w gorącej wodzie kąpaną”, która była jednak „tak twarda”, że nie pozwoliła swemu dziecku umrzeć. Latami Hana w głębi ducha wierzyła, że jej ojciec przeżył obóz i wpatrywała się z nadzieją w twarze wszystkich wysokich, jasnowłosych i niebieskookich mężczyzn z wąsami, których spotykała. Dopiero kiedy skończyła dwadzieścia lat, ostatecznie zaakceptowała śmierć ojca.

Pozostawały z matką w kontakcie z opiekunką Priski w obozie, Editą – odwiedziła je, przyjechawszy ze swego domu w Wiedniu; Hana miała wtedy dziewiętnaście lat. „Nie mogłam przestać jej ścisnąć!” – wspominała Hana. W 1944 roku, w ramach swej micwy, czyli moralnego

przykazania, Edita obiecała Tiborowi w pociągu, że zatroszczy się o jego ciężarną żonę. Miała wtedy nadzieję, że sama również zdoła się uratować i któregoś dnia znajdzie sobie męża. Jej modlitwy zostały wysłuchane – po wojnie poślubiła rabina. Hana zapamiętała z tej wizyty, że „jej mąż był pełen rezerwy i że mieli dwóch małych synków. Ciągłe powtarzała, jak dzielna była moja matka”.

Priska próbowała również znaleźć drugą Editę w swoim życiu, doktor Mautnerową, która pomogła jej przy porodzie w fabryce we Freibergu, i była jedną z tych, którzy zdołali uciec z pociągu. „Z przykrością dowiedziałyśmy się, że zmarła po wojnie” – mówiła Hana. „Nigdy nie miałam więc szansy jej podziękować”. Priska zorganizowała kiedyś zjazd kobiet o podobnych doświadczeniach życiowych, z udziałem Chavy Livni oraz swojej przyjaciółki Magdy, tak, by Hana mogła je poznać. Hana spotkała także męża Magdy, Martina Gregora, aktora, który odnotował w dokumentacji jej narodziny w Mauthausen. Powiedział jej: „Wyglądasz teraz znacznie lepiej!”. Jeszcze później miała okazję zobaczyć mężczyznę, który przed wojną pracował z jej ojcem w tej samej gazecie. Człowiek ten spytał: „Jesteś córką Tibora?” i rozplakał się, ponieważ miał o nim tak dobre wspomnienia.



Priska pokazuje Hanie, gdzie na stacji Horní Bříza zatrzymał się pociąg, 1960 r.

W 1960 roku, piętnaście lat po narodzinach Hany, Priska zabrała ją do miejscowości Horní Bříza, aby osobiście podziękować tamtejszym mieszkańcom za to, co zrobili dla więźniów z pociągu. Pan Pavliček zmarł, ale udało im się porozmawiać z wieloma osobami, które czule go wspominały. Ułożyły kamienie przy torach kolejowych, w miejscu, gdzie pochowano trzydzieści osiem ciał z transportu, po czym zwiedziły wiejski cmentarz, na który później przeniesiono zwłoki. Dowiedziały się, że w listopadzie 1945 roku Sowieci zawlekli do miasteczka kilku oficerów SS i kazali im gołymi rękoma ekshumować rozkładające się ciała. Wszystkiemu przyglądali się nastoletni chłopcy Jaroslav Lang i Vaclav Stepanek, a także wielu innych

mieszkańców. „Dobrze, że mogliśmy to zobaczyć” – mówił cicho pan Lang. „To była kara za to, co się stało. Niemcy musieli ją ponieść”.

Zwłoki pochowano z szacunkiem. Towarzyszyła temu uroczysta, gromadząca wiele osób ceremonia przy nowym imponującym pomniku w formie wielkiej rzeźby z brązu, przedstawiającej umierającego człowieka zwisającego z drutu kolczastego. Wykonał ją znany czeski artysta J. Matějů, a koszty pokryło miasto. W liście do lokalnych władz z 1949 roku, prosząc o dotację na ten cel, kilku mieszkańców napisało: *Nie znamy ich nazwisk, a nawet narodowości, wiemy tylko, że zginęli z rąk nazistów, abyśmy my mogli żyć.*

Wizyta Priski i Hany w miasteczku została zarejestrowana i sfotografowana, i po dziś dzień można oglądać jej świadectwa w miejscowym muzeum oraz na specjalnej tablicy umieszczonej przed stacją, gdzie mieszkał kiedyś pan Pavliček. Priska napisała potem do mieszkańców miasta, dziękując im raz jeszcze:

Byłam wtedy i wciąż jestem przekonana, że bez pomocy dzielnych Czechów z zachodu kraju nie mogłybyśmy przeżyć, a już na pewno nie moja córka. Jesteśmy bardzo wdzięczne mieszkańcom Horní Bříza (...) za te niezapomniane chwile, które dane nam było tu spędzić. Nigdy nie omieszkamy wspominać w wywiadach o tutejszych mieszkańcach i o tym, co dla nas zrobili, gdy

zostałyśmy uwięzione.

Priska zabrała też nastoletnią Hanę do Mauthausen na wycieczkę zorganizowaną przez grupę antyfaszystowską. Doświadczenie to miało jednak na jej córkę traumatyczny wpływ, zwłaszcza gdy ujrzała fotografie osób zabitych w komorach gazowych w przeddzień przybycia tam jej matki. „Dla mnie to było naprawdę straszne doznanie, a jednak moja mama wyglądała, jakby wszystko było w porządku” – wspominała Hana. „Rozmawiała z ludźmi i dzieliła się wspomnieniami”. Hana poczuła się zdolna do ponownych odwiedzin obozu dopiero po ponad czterdziestu latach. Priska nigdy.



Priska i Hana na wakacjach w Słowacji, 1965 r.

W 1965 roku Priska napisała list do władz Freibergu w Niemczech, które w odpowiedzi zaprosiły ją jako gościa honorowego na uroczystość upamiętniającą kobiety pracujące w fabryce. Przyjmując to „ciepłe zaproszenie”, Priska pisała: „Hana była najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziałam (...). Miała okrągłą główkę, jasne włoski, niebieskie oczy. Przejęła je zapewne po cudownych dzieciach z Freibergu, które

codziennie zdumiewały mnie swoimi wielkimi oczyma, gdy eskortowane szłyśmy do i z fabryki”. Twierdziła dalej, iż jej dziecko nie różni się zewnętrznie od dowolnej dwudziestolatki z Freibergu – „a dla mnie jest najdroższą przyjaciółką, córką, całym moim życiem”. Priska i Hana zwiedziły fabrykę, nie zabrano ich jednak do posępnego, kamiennego pomnika na miejscowym cmentarzu; znajdowały się na nim litery *KZ Freiberg*, widoczne nad krótkim napisem hołdem: „Ofiarom faszyzmu”.

Oprócz około trzydziestu niewielkich blizn po wrzodach, które nieomal uśmierciły ją w dzieciństwie, Hana nie skarżyła się na żadne poważne problemy zdrowotne w dalszym życiu. Ponieważ od urodzenia oblażyły ją wszy, rozwinęła się u niej reakcja alergiczna na ukąszenia owadów, jednakże głównym skutkiem tak niezwyklej ciąży i narodzin okazała się „patologiczna awersja” na jakikolwiek krzyk czy podniesienie głosu. Zapewne, jak twierdziła Hana, z powodu tego wszystkiego, co słyszała jeszcze w łonie matki i w pierwszych tygodniach po urodzeniu. „Jeśli ktoś odzywa się do mnie w sposób agresywny, chcę natychmiast uciec i się skryć” – mówiła. „Proszę nie zapominać, że urodziłam się z rękoma zaciśniętymi w pięstki, którymi zatykałam sobie uszy!”

Gdy Hana miała dwadzieścia trzy lata, wyszła za mąż i szybko zaszła w ciążę. Był rok 1968. Dziecko dojrzewało w jej wnętrzu, a ona z niepokojem obserwowała protesty

„praskiej wiosny”, domagające się reformy ustroju. W sierpniu 1968 roku, kiedy setki tysięcy żołnierzy państw Układu Warszawskiego najechało Czechosłowację, by zaprowadzić w niej porządek, postanowiła na dobre opuścić kraj. „Zapewne z powodu mojej przeszłości, pierwszych chwil mego życia, kiedy zobaczyłam czołgi i usłyszałam odgłosy wystrzałów, uznałam, że za żadne skarby nie będę wychowywać dziecka w takim świecie” – powiedziała. Przeprowadziła się do Izraela, gdzie w grudniu urodził się jej syn Thomas, Tommy. W 1972 roku rozpoczęła studia doktoranckie z chemii organicznej, a jedenaście lat później wyemigrowała do Chicago, do kraju swoich wyzwolicieli. Dwukrotnie wychodziła za mąż (za Żydów), ma dwoje wnucząt, Jacka i Sashę. Mark, jej trzeci mąż od dwudziestu czterech lat, jest gojem, lekarzem nefrologiem; oboje pracują w przemyśle farmaceutycznym i mieszkają niedaleko San Francisco w Kalifornii.

Z przeżyć obozowych pochodził nieustanny lęk Priski o zapasy pożywienia oraz wstręt do zimna. „Ciągle sprawdzała zawartość lodówki i kredensu, pytając: »Mamy dość jedzenia? Czy już kończy się zapas?«” – opowiadała Hana. „Na szczęście nasze gospodarstwo domowe było małe, mogłyśmy się więc wyżywić tym, co zdołała załatwić”. Priska uwielbiała spać, co stanowiło dla niej luksus; łóżko i pościel stały się dla niej czymś

najważniejszym, zwłaszcza w późniejszych latach.



Hana ze swoim synem Tommym, synową Julie
i wnukami Sashą i Jackiem

Pod koniec swoich dni oświadczyła: „Miałam piękne życie z mym dzieckiem (...) już po jej urodzeniu w obozie koncentracyjnym (...). Moja córka jest kimś drogocennym (...). Dziękuję Panu Bogu, że mi ją dał, i życzę wszystkim matkom, aby doznały takiego samego uczucia miłości, którym darzę moją córkę. Jest bardzo dobrą matką i dobrą córką. Uwielbia swojego syna, jest dobrą osobą”. Jak zawsze optymistyczna, myśląca tylko o rzeczach pięknych, dodała: „Przeżyłam. Jesteśmy tutaj.

Sprowadziłam dziecko do domu. To najważniejsze”.

Hana mówi: „Moja matka zawsze była bardzo zdeterminowana i bardzo silna. Jej ulubionym słowackim słowem było *presadit*, co znaczy posuwać się do przodu albo sprawić, by coś się działo. Sądzę, że przez cały ten czas w obozach miała jeden cel: sprawić, żeby coś się udało, a tym czymś było przetrwanie i zachowanie mnie przy życiu”.

Na starość Priska cierpiała na demencję, żyła jednak na tyle długo, by poznać i pokochać swego jedyne wnuka, Tommy’ego. Gdy jest stan zaczął się pogarszać, nieustannie błagała córkę: „Proszę, wybacz mi”, ale Hana nie rozumiała, cóż takiego miałyby jej wybaczyć. Wiedziała jedynie, iż przeszłość nagle znów wpęzła do umysłu jej matki.

W sierpniu 2006 roku, niedługo po swych dziewięćdziesiątych urodzinach, Priska Löwenbeinová musiała zostać umieszczona w domu opieki. Miała tam własną pielęgniarkę, która codziennie informowała Hanę o stanie zdrowia jej matki. Trzy tygodnie później Priskę hospitalizowano z powodu odwodnienia i innych problemów medycznych.



Ponadosiemdziesięcioletnia Priska w Bratysławie

Hana przyleciała z domu w Kalifornii i przez kilka tygodni przebywała z matką, dopóki nie musiała wrócić do swojej wymagającej pracy. Znalazłszy się znów

w domu opieki, Priska przez dwa tygodnie głównie spała, po czym zmarła spokojnie we śnie 12 października 2006 roku.

Kobieta, która podczas wojny straciła troje dzieci i męża, Tibora, a także wielu członków bliskiej rodziny, poświęciła resztę życia „idealnej” córce, urodzonej na desce w fabryce SS w przerwie między nalotami. W 1996 roku, dziesięć lat przed śmiercią Priski, Hana oddała swoją małą sukienkę i czepeczek, uszyte dla niej przez kobiety z Freibergu, amerykańskiemu Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. Jej matka przechowywała je starannie przez ponad pięćdziesiąt lat.

Prochy Priski pochowano na cmentarzu w Bratysławie, zwanym Slávičie Údolie (Dolina Skowronków). Spoczywa na zadrzewionym wzgórzu, niecały kilometr od Dunaju. Przez całą wieczność otaczać ją będzie samo piękno.



Grób rodzinny, w którym umieszczono prochy Priski,
Bratysława

Rachela

Mimo obietnic, jakie siostry Abramczyk złożyły swojemu ojcu Szai, że zaraz po wojnie wrócą do domu w Polsce, musiały z podróżą poczekać, aż wyzdrowieje Sala, co trwało do połowy czerwca. „Kiedy już wyglądało na to, że dam radę, postanowiłyśmy wyruszyć do domu w chwili,

gdy stanę się trochę silniejsza” – wspomina Sala.

Cztery młode kobiety czuły, że niewidzialna nić łączy je z dawnym życiem, ale ich przyszłość pozostawała bardzo niepewna. Spośród trzech milionów trzystu tysięcy polskich Żydów przetrwało wojnę niespełna ćwierć miliona, ponad tysiąc zamordowano w latach późniejszych, czasem w pogromach antysemickich. Pogłoski o tego typu okropnościach napełniały Rachelę i jej siostry przerażeniem, czyniąc ich sytuację jeszcze bardziej trudną. A wybór miały ograniczony. Ponieważ bardzo wielu uchodźców poszukiwało schronienia za granicą, drzwi do niektórych miejsc zostały dla nich zamkniętych. Wielka Brytania, Francja i Kanada przyjęły tysiące osób, ale ta pierwsza w 1939 roku ograniczyła liczbę emigrujących do Palestyny, dokąd wielu Żydów miało nadzieję dotrzeć. Stany Zjednoczone ostatecznie zgodziły się wpuścić około czterystu tysięcy uchodźców, jednak wielu kolejnym odmówiły zgody na nowe życie. Niechciani nigdzie na świecie, liczni polscy Żydzi nie mieli więc innego wyjścia, jak tylko wrócić do kraju, który był teraz marionetką w rękach Sowietów.

Jako najstarsza siostra, licząca dwadzieścia sześć lat, znów odgrywająca rolę matki, Rachelę musiała decydować, co jest najlepsze nie tylko dla niej i dla jej dziecka, lecz także dla trzech swoich sióstr. Gdy wojna się skończyła, Sala miała lat dwadzieścia trzy, Estera dwadzieścia, a Bala dziewiętnaście. Lata, które powinny

być w ich młodym życiu najlepsze, spędziły w gettach i obozach, nie znając niczego innego poza tym, co być może zostało jeszcze w Pabianicach lub Łodzi. Jedyną pozytywną wieść, jaką stamtąd otrzymały, pochodziła od dwóch polskich przyjaciółek poznanych w Mauthausen; zapewniały one, że ich ojciec oraz brat Berek żyli, kiedy widziały ich dwa tygodnie wcześniej. Wszyscy byli razem w Bergen-Belsen, potem jednak ich rozdzielono. Jeśli to była prawda, siostry domyślały się, że obaj mężczyźni jak najszybciej udadzą się do Pabianic albo być może już tam na nie czekają.

Cztery młode kobiety, sprawiające wrażenie „niezbyt zadbanych”, wsiadły najpierw do autobusu, a potem do ciężarówki z bydłem, które zabrały je w kolejną niekończącą się podróż. Przerewaną za każdym razem, gdy po drodze natrafiali na zniszczenia spowodowane przez bomby, gdy brakowało paliwa lub droga była nieprzejezdna. Nie mogły poznać Warszawy, zrujnowanej po brutalnym stłumieniu powstania w 1944 roku, nie zostały tam jednak długo; kolejnym niemiłosiernie zatłoczonym pociągiem, a potem tramwajem dotarły do Pabianic.

W swym rodzinnym mieście odkryły, że zmieniło się wszystko. Większość znanych im przez całe życie Żydów została wymazana z historii. Piękne niegdyś mieszkanie rodziców i wszystkie drogie sprzęty skradziono. Mieszkał tam teraz ich były pracownik i nie miał zamiaru

się wyprowadzić, twierdząc, że lokum to już do sióstr nie należy. Człowiek ten podkreślał, że został „wybrany” na opiekuna nieruchomości z ramienia władz.

Przyjaciele i sąsiedzi, wśród których się wychowywały, sami wzięli z domu to, na co mieli ochotę: elegancki, pełen kwiatów dom ich dzieciństwa, który matka, Fajga, nazywała „twierdzą”, był już tylko wspomnieniem. Nie pozostał nawet ślad po starannie wybranej przez nią chińskiej porcelanie, a dźwięki muzyki i odgłosy śmiechu, które wypełniały ich pierwsze szkolne lata, odbijały się echem już tylko w ich pamięci. Wszystko, co siostry zdolne były ocalić, ograniczyło się do paru cennych przedmiotów, jakie ich rodzice ukryli u najwierniejszych pracowników i które im uprzejmie zwrócono. Wstrząśnięte i bezdomne, zwróciły się do miejscowych władz odpowiedzialnych za koordynację zakwaterowania dla powracających uchodźców. Przyznano im małe mieszkanie, gdzie czekały, wciąż mając nadzieję na połączenie się z ojcem i bratem „któregoś dnia”. Mijały jednak tygodnie, podczas których – aby żyć – musiały sprzedać owych kilka cennych drobiazgów, a wtedy ich nadzieja umarła. Sala zajęła się szyciem, chcąc trochę dorobić. Nagle ich mała rodzina zaczęła zdawać sobie sprawę, że straciła prawie wszystkich i wszystko z przeszłości.

Z ośmiu tysięcy Żydów, deportowanych z Pabianic w czasie wojny, pozostało jedynie pięciuset. Mały Mark

był jedynym noworodkiem. Za każdym razem, gdy siostry szły do miasta, które kojarzyło im się ze szczęśliwym dzieciństwem, spotykały się tylko z pogardliwymi spojrzeniami. Nigdy nikt nie dał im do zrozumienia, że są tu mile widziane; Rachela raz nawet podsłuchiwała kobietę, narzekającą: „Palili ich i palili, a jednak tyłu ich żyje!”.

Sala mówiła: „Nasz dom nie był już naszym domem. Całe nasze miasto nie sprawiało na mnie dobrego wrażenia. Przypominało cmentarz, na którym nikogo nie znałyśmy”. Ładna blondynka, zawsze ciesząca się w szkole popularnością, nie widziała wokół siebie żadnych znajomych twarzy. Pełna rozpacz, pobiegła zobaczyć się ze swoją dawną nauczycielką plastyki, chcąc dać jej znać, że żyje. „Moja nauczycielka uwielbiała mnie tak bardzo, że kiedyś namalowała mój obraz. Powiedziałam rodzinie: »Ucieszy się na mój widok! Opowiem jej, co nam się przydarzyło«. Ale ona otworzyła drzwi i spytała: »Czyli co, żyjesz?«. Potem dodała: »Nie mam nic dla ciebie«. Nawet nie zapytała, co się stało. Po prostu zamknęła drzwi. Jakbym dostała w twarz”.

Jakiś miesiąc po powrocie do domu siostry otrzymały list od wuja z Nowego Jorku, który wcześniej kontaktował się z polskimi władzami. Został on przez nie poinformowany, że ich brat Berek przebywa w szpitalu w Szwecji, wysłany tam przez Czerwony Krzyż, aby doszedł do siebie po stracie oka oraz innych ranach

odniesionych w obozach. Podekscytowane siostry nawiązały z Berkiem kontakt; brat przysłał im swoją fotografię z głową w wielkich bandażach. „Kiedy nic nie wspomniał o tacie, zrozumialiśmy, że tata nie przeżył” – powiedziała Sala.

Nie napisał też o ich nastoletnim bracie Mońku, który z taką odwagą zgłosił się na ochotnika do pomocy przy małych dzieciach, kiedy likwidowano pabianickie getto. Siostry dowiedziały się natomiast o Chełmnie. Berek nie wspomniał również ani o ich matce Fajdze, ani o zaginionych dzieciach – bliźniakach Dorze i Heńku, lat czternaście, ani o uwielbianym przez rodzinę „maleństwie”, Maniusi, która teraz miałaby dwanaście lat. Wiedząc już o tym, co działo się w Auschwitz, siostry musiały zaakceptować, że pełne śmiechu głosy matki, braci i sióstr umilkły na zawsze. Mogły mieć tylko nadzieję, że ich mała rodzina do końca pozostawała razem i że za mocno nie cierpiała. Sala mówiła: „Byli młodzi i piękni, i życie też takie powinno dla nich być”.

Wobec faktu utraty rodziców i kilkorga rodzeństwa, Bala, z którą Berek zawsze był najbliżej, oświadczyła nagle, że jedzie do Szwecji, aby się nim zająć. „On mnie potrzebuje” – stwierdziła. I jakimś cudem udało jej się tam dotrzeć; opiekowała się bratem przez wiele lat. To właśnie od Bali siostry dowiedziały się, iż Berek stracił oko po tym, jak jakiś strażnik pobił go do nieprzytomności w Bergen-Belsen, ponieważ próbował

ratować życie ojcu. „Przez cały czas udawało mu się chronić ojca, mimo że był on za stary i zbyt słaby, aby pracować. Potem jednak zabroniono Berkowi pomagać ojcu przy niektórych zadaniach. Zignorował to, więc strażnik kopnął go w twarz. Wtedy stracił oko”. Ich ojciec, Szaja, został zastrzelony trzy dni przed wyzwoleniem obozu.

Monik ciągle nie dawał o sobie znać. Rachela zastanawiała się, czy przypadkiem jej mąż nie czeka na nią w Łodzi, gdzie być może przywraca fabrykę do życia. Pokonując niewyobrażalne trudności, w kraju o zdewastowanej infrastrukturze i systemie transportu, Rachela wybrała się tam z kilkoma kolegami dla ochrony; na miejscu stwierdziła jedynie, że fabrykę też skonfiskowano. Żydowska ludność Łodzi, która przed wojną przekraczała dwieście tysięcy, skurczyła się do niecałych pięćdziesięciu tysięcy, przy czym większość z tych osób zmuszona została do wyjazdu bądź emigracji. Rodzina straciła więc wszystko i wszystkich.

„Wtedy już wiedziałyśmy, że nie chcemy zostać w Polsce” – mówiła Sala. „Nic tam nas nie czekało”. W zamęcie panującym w powojennej Europie siostry wyjechały do Monachium, do strefy amerykańskiej, zapewniane, iż stamtąd będą mogły udać się, dokądkolwiek zechcą. Dotarły do zrujnowanego bombardowaniami miasta, za cały ubiór mając tylko to, co nosiły na sobie, z jedną albo dwiema walizkami

z rzeczami osobistymi. Gdy rozniosła się wieść, że osoby z ich województwa w Polsce, które przeżyły wojnę, osiedlają się w Monachium, zaczęło napływać tam coraz więcej znajomych i sąsiadów, i wkrótce powstała nowa społeczność, wspierająca się wzajemnie. Rachela nieustannie wypytywała każdego, kto wracał, czy wie cokolwiek o miejscu pobytu jej męża, w duchu spodziewając się strasznych wieści, nie uzyskała jednak żadnych pewnych informacji. Mąż nigdy się nie pojawił.

Po kilku miesiącach pogodziła się z faktem, że Monik nie żyje, choć nie dowiedziała się, w jaki sposób zginął, nie miała również pojęcia, gdzie znajdują się jego szczątki. Długo sądziła, iż prawdopodobnie wysłano go do Auschwitz i zagazowano, ale ktoś z Łodzi, kto znał jej brata Berka, zapewniał go, że Monikowi udało się uniknąć ostatniego transportu z getta; próbował się ukrywać gdzieś w okolicy. Ostatecznie zginął zastrzelony przez „jakiegoś Niemca z rewolwerem” na ulicach Łodzi. Jakkolwiek umarł, nigdy nie dowiedział się, iż jego lojalna młoda żona przetrwała i że urodziła syna. Na zawsze spoczywa w wyobrażonym grobie, na którym ona nigdy nie będzie mogła położyć kamieni i zabrać tam ich syna.

Pogodzona ze stratą, zdeterminowana, aby radzić sobie z życiem i stworzyć swemu dziecku lepszą przyszłość, Rachela pozostała w Monachium jeszcze cztery lata. Jej syn Mark poszedł do szkoły, a jego

pierwszym językiem stał się niemiecki. Matka i ciotki mówiły po polsku tylko wtedy, kiedy nie chciały, żeby je rozumiał. Dnia 19 marca 1946 roku Rachelą wyszła ponownie za mąż. Sol Orviesky (później nazywany Olsky) był utalentowanym żydowskim jubilerem, którego znała jeszcze przed wojną. Wiedziała, że będzie dobrym ojcem dla jej syna, jednak później, przez wszystkie lata czuła się winna, iż wyszła za mąż tak szybko, i czasami zastanawiała się, co by się stało, gdyby Monik stanął nagle w progu. „Wyszłam ponownie za mąż, ponieważ samotnej kobiecie z dzieckiem jest bardzo ciężko, a chłopiec potrzebuje ojca” – powiedziała.

Sol, który liczył czterdzieści lat, pochodził z bardzo ortodoksyjnej rodziny żydowskiej z Pabianic. Przed wojną miał żonę i syna. Podczas łapani niemiecki żołnierz wyrwał mu dziecko z rąk; przez resztę życia Sol obwinał się, że nie stawiał większego oporu. Oprócz bratanka Henryka oraz dwóch braci, którzy uciekli do Ameryki, stracił wszystkich członków rodziny, w tym żonę i dziecko, a wojnę spędził w obozie pracy, segregując rzeczy należące do zabitych. W chwili wyzwolenia ważył niecałe trzydzieści dwa kilogramy, jako czterdziestoletni człowiek stracił wszystkie zęby, cierpiał na poważne dolegliwości.

To dzięki Solowi siostry Abramczyk oraz jego własna rodzina miały za co żyć. Pracując u niemieckiego chemika, który wymyślił metodę przetapiania

europiejskiego złota w sztabkach na niższy standard amerykański, liczony według karatów, podpisał umowę na przetwarzanie złota transferowanego przez niemieckie banki za granicę. W prowadzeniu biznesu pomagały mu Rachel i jej siostry; także Amerykanie byli chyba zadowoleni, że robią interesy z osobami, które przeżyły Holokaust, a nie bezpośrednio z Niemcami. Płacili zawsze w dolarach – ówczesne marki niemieckie (Reichsmark) były wtedy prawie bezwartościowe, dlatego rodzina mogła żyć godnie i obserwować staranną odbudowę miasta. Co więcej, przyjmowała do siebie ocalałych pochodzących z Pabianic i pomagała im.



Mały Mark z Salą, Rachelą i Esterą, 1946 r.

Trzy lata po ślubie Racheli i Sola, gdy już można się było legalnie przeprowadzać do nowo powstałego

państwa Izrael, Rachela – która była syjonistką już jako nastolatka – przekonała swego nowego męża, że powinni tam zamieszkać. Rodzina weszła na pierwszy okręt wypływający z francuskiej Marsylii i osiedliła się w mieście Petach Tikva koło Tel Avivu. Tam przebywała przez dziesięć lat. Ponieważ Sol nie mógł zarabiać na życie jako jubiler i handlarz złotem, zrezygnował ze swego fachu i pracował jako robotnik w stalowni.



Rachela i Mark, 1949 r.

Podczas wojny Rachela straciła wszystkie zdjęcia ślubne, a także fotografie swego nieżyjącego męża

Monika. Jednak w Izraelu natknęła się na jego byłą dziewczynę, która posiadała niewielkie zdjęcie Moniki z lat studenckich; Rachela przekonała tę kobietę, aby zechciała się z nią tym zdjęciem podzielić. Fotografia pozostawała w jej posiadaniu przez resztę życia, w końcu odziedziczył ją jej syn.

Przysięgłszy sobie, że będzie chronić Marka ze wszystkich sił, Rachela odmówiła Solowi urodzenia dziecka, bojąc się, że będzie on je faworyzował kosztem jej cudownego syna. W 1958 roku, mimo że zupełnie nie znali angielskiego, przeprowadzili się do Ameryki, chcąc uniknąć powołania Marka do armii izraelskiej. Sol wrócił do jubilerstwa i zegarmistrzostwa. Po kilku zawałach serca zmarł w 1967 roku, w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Rachela pracowała „jak wół”, aby utrzymać firmę i sprawić, by synowi niczego nie brakowało.

W Monachium jej siostrzyczka Estera wyszła za mąż za Abrahama Freemana, mężczyznę z Pabianic, który przyjaźnił się z ich bratem Berkiem. Abraham przebywał w Auschwitz prawie cztery lata, miał wytatuowany numer obozowy. Para przeniosła się do Nashville w stanie Tennessee, ponieważ podczas targów w Monachium pewna żydowska organizacja pomocowa zapewniła ich, że „to bardzo blisko Nowego Jorku”. Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że Nashville „nie ma na mapie”, ale i tak byli zadowoleni; odnieśli tam sukces i pozostali w kraju swoich wyzwolicieli do końca życia.

Mieli dwie córki, Shirley i Faye, oraz pięcioro wnucząt. Estera zmarła w 2003 roku.

Sala poznała swojego przyszłego męża Henryka, kiedy jeszcze mieszkali w pabianickim getcie. Był on bratankiem Sola Olsky'ego, drugiego męża Racheli. Sala i Henryk przebywali razem w Łodzi, ale jego z Auschwitz wysłano do Mauthausen, a potem dalej do podziemnych fabryk podobożu Ebensee, gdzie wskaźnik śmiertelności należał do najwyższych. Po wojnie Sala wszędzie go szukała. „Zawsze wiedziałam, że będziemy razem (...). Wrócił i po ośmiu tygodniach spytał: »Wyjdiesz za mnie?«, a ja powiedziałam: »Tak«. Przeżyliśmy sześćdziesiąt cztery cudowne lata”. Henryk, który także nieomal zmarł na tyfus, miał w Ameryce wujka, który obiecał za nich poręczyć, dlatego oboje zapisali się do szkoły wieczorowej w Monachium, gdzie uczyli się angielskiego, po czym wyjechali do Nowego Jorku, a następnie do Chicago. Ostatecznie znaleźli się w Nashville, bliżej Estery i Abrahama. Sala zmieniła imię na bardziej amerykańskie: Sally; mieli z Henrykiem dwie córki, Ruth i Deborah, oraz troje wnucząt.

Bala pozostała w Szwecji, wyszła za mąż za polskiego Żyda Jakoba Federa, miała z nim dwóch synów, Davida i Mikaela, oraz czworo wnuków. Zmarła na raka piersi w 1986 roku. Swoim synom, którzy po jej śmierci wyemigrowali do Izraela, nigdy nie opowiadała o tym, co przeżyła podczas wojny.

Berek opuścił Szwecję w 1956 roku i przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował w branży gastronomicznej w San Francisco. W mieście tym pozostał aż do śmierci. Ożenił się z ocalałą z Holokaustu Polką Nirenberg, miał z nią dwoje dzieci, Leifa i Stevena; ten drugi jest neurochirurgiem w Nashville, ma czworo dzieci. Berek poznał „cudowne” dziecko Racheli, kiedy Mark miał już szesnaście lat. Bardzo się zaprzyjaźnili. Dzieci z rodziny Abramczyków, które przetrwały wojnę, miały potem w sumie dziewięcioro własnych dzieci oraz dwadzieścioro wnuków. Było to, jak powiadali, „szczęśliwe zakończenie”.

Jak w przypadku wielu innych ocalałych, rodzeństwo starało się usunąć z pamięci wspomnienia o zaznanym barbarzyństwie, rzadko o tym rozmawiając, ponieważ było to „zbyt trudne”. W czasach, gdy psychoterapia dopiero raczkowała, niektórzy z ocalałych z Holokaustu cierpieli na ogromne poczucie winy, że sami przeżyli, podczas gdy tak wielu zginęło. Inni poszukiwali zapomnienia w pracy, rodzinie albo w alkoholu. Zdarzały się też samobójstwa. Jak ujęła to ocalała z rzezi Esther Bauer: „Przez pierwsze dwadzieścia lat nie mogliśmy o tym rozmawiać. Przez następne dwadzieścia lat nikt nie chciał o tym słuchać. Dopiero po kolejnych dwudziestu latach ludzie zaczęli zadawać pytania”.

Z doświadczeniami wrytymi w pamięć każdy zmagał się więc samotnie. Z niechcianymi wspomnieniami, stale

wywoływany przez rozmaite impulsy, starali się sobie radzić, jak umieli najlepiej. Mógł to być odgłos młota pneumatycznego albo strzał w samochodowym gaźniku, wysoki kamienny mur lub przejeżdżający pociąg towarowy, ktoś mówiący po niemiecku, zapach spalonych włosów, ubrania rzucone w niedbały stos bądź szczekanie psa. Jeden z ocalałych załamał się, gdy jego fryzjer wyciągnął elektryczną maszynkę do strzyżenia, by przyciąć mu włosy. Inni wpadali w paranoję na punkcie insektów, szczególnie much. Niektórzy doświadczali ataków paniki w zatłoczonych wagonach metra. Tracili poczucie równowagi, próbując aklimatyzować się do życia bez strachu.

A jednak jakoś sobie radzili – tak jak radzili sobie w obozach. Sala mówiła: „To, co każdy z nas wiedział, już i tak było wystarczająco straszne. Chcieliśmy pozostawić to za sobą”. Po krótkich namowach, w sierpniu 2010 roku Sala zdecydowała się towarzyszyć swemu siostrzeńcowi Markowi oraz innym członkom rodziny w podróży do Louisville w stanie Kentucky, gdzie odbyło się ostatnie spotkanie pozostałych przy życiu członków Stowarzyszenia Weteranów 11. Dywizji Panczernej, czyli Błyskawic, której żołnierze wyzwolili Mauthausen i która została właśnie rozwiązana. Wśród ponad czterystu osób uczestniczących w zjeździe było osiemdziesięciu jeden weteranów oraz kilku ocalałych. Po wzruszającej uroczystości w Muzeum Pattona, na którą przybyli też

oddać hołd młodzi żołnierze z Fort Knox, odbyła się kolacja połączona z dansingiem – rozbrzmiewały bigbandowe hity z lat czterdziestych. Mark wspominał, że wszyscy byli bardzo wzruszeni i że jego ciotka, która nigdy dotąd nie uczestniczyła w tego rodzaju ceremonii, poczuła się „głęboko poruszona”. Poznawszy osobiście kilku weteranów, Sally powiedziała: „To, że przeżyliśmy to piekło, to był po prostu fart. Byliśmy farciarzami. Udało nam się stamtąd wyjść. Nie ma nic więcej do dodania”.

Rachela zgadzała się z siostrą. „To jak loteria, wygrywa się albo przegrywa” – oświadczyła kiedyś synowi. „Byłyśmy zdane na łaskę ludzi, którzy w jednej chwili mogli być uprzejmi, a w następnej niewypowiedzianie okrutni. Niektórzy z ocalałych pysznili się, że są mądrzejsi albo silniejsi i dlatego przeżyli, ale mnóstwo tych, którzy zginęli, było od nich znacznie mądrzejszych i silniejszych. Jedyna różnica polegała na farcie”.



Rachela (z lewej) wraz z rodzeństwem Salą, Berkiem,
Bałą i Esterą w Izraelu, lata 80. XX w.

Mimo zapewnień, że dawne doświadczenia pozostawiła za sobą, Rachela posiwała zaraz po trzydziestce i straciła prawie wszystkie zęby. Dentysta powiedział, że rosnący w niej płód pobrał z jej ciała cały wapń, a to, co jeszcze pozostało, znalazło się potem w jej mleku. Mijające lata nigdy nie złagodziły wspomnień; przez większość życia Rachela cierpiała na bezsenność, podobnie zresztą jak Sol. Mark słyszał ich wołających coś albo chodzących po domu, kiedy przeżywali głęboką noc duszy.

Od „chwili, gdy zaczął mówić”, Mark wiedział, w jakim miejscu się urodził, ale – choć w Izraelu żył wśród dzieci innych osób ocalałych z Holocaustu – jego wejście w świat było właściwie dość normalne. Tyle tylko, że rodzice nie chcieli mieć niczego, co zostało wyprodukowane w Niemczech, nie chcieli jeździć niemieckimi samochodami. Zapewne nie było zaskakujące, że ilekroć ktoś pytał Marka, co chce robić, kiedy dorośnie, odpowiadał: „Zabijać Niemców, tylu ilu zdołam!”. Rachela strofowała go za to i mówiła: „Straciliśmy wszystko i wszystkich. Jeśli jeszcze utracimy nasze człowieczeństwo, nic nam nie pozostanie”. Dopiero w ostatnich latach życia uznała, że pokolenie odpowiedzialne za to, co się wydarzyło w Europie, już

wymarło.

Za każdym razem, gdy Mark pytał matkę o jej doświadczenia z przeszłości, odpowiadała: „Nie ma o czym mówić. To było straszne. Najważniejsze to chronić siebie. Jeśli zaczynasz myśleć, że czas odejść, to trzeba odejść”. Denerwowała się i mówiła: „Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak było źle, nie ma więc sensu próbować”. Kilka tygodni później strofowała go: „Dlaczego mnie nie pytasz, co się działo podczas wojny?”. Nigdy nie odwiedziła ani getta, ani żadnego z obozów, w tym Freibergu, nie oglądała filmów i nie czytała książek o Holokauście – oprócz *Listy Schindlera*, którą uznała za „niezłą”.

Mark, cierpiący na rozliczne alergię, astmę i katar sienny, dowiedział się, że Sol nie jest jego prawdziwym ojcem, dopiero gdy w wieku czternastu lat znalazł swoją metrykę. Nigdy jednak o tym z matką nie rozmawiali. „Kiedy się urodziłem, w głowie mojej mamy coś się przestawiło, zamierzała mnie chronić za wszelką cenę (...). Przyjmowałem po prostu, że mój ojciec zginął podczas wojny”. Mark mówił o matce, że stała się „zdeteminowaną, niestrudzoną pracoholiczką”, która zmuszała go do zdobywania wykształcenia i wyjścia na ludzi, a Solą nazywał „fantastycznym ojcem”; oboje rodzice czuli się dumni, gdy Mark został szanowanym lekarzem pogotowia. W 1969 roku ożenił się z Mary, gojką. Mają czworo dzieci i tyleż wnuków, mieszkają na

przemian w Wisconsin i w Arizonie.

Podobnie jak Anka i wiele innych kobiet z tego pokolenia, Rachela była wielbicielką *Przeminęło z wiatrem* (książki, którą pokochała jeszcze w Polsce). Po wojnie często cytowała okrzyk Scarlett O'Hary: *Bóg mi świadkiem, nie dadzą mi rady. Mam zamiar to wszystko przeżyć, a kiedy się skończy, nigdy już nie będę głodna.*



Rachela (siedzi po prawej). Od lewej do prawej: jej wnuk David, synowa Mary, syn Mark, wnuk Charlie i wnuczka Margaret, 2002 r.

Postanowiła, że nigdy nie pozwoli postawić się w sytuacji, w której będzie bezradna albo nie zdoła wyżywić własnej rodziny. Rachela dokładała

szczególnych starań, by obaj mężczyźni w jej życiu nie chodzili głodni, codziennie przygotowywała posiłki oraz wykonywała inne prace domowe, nawet po zakończeniu czternastogodzinnej zmiany, ponieważ były to jej „przywileje”.

Oglądając film *Przeminęło z wiatrem* w towarzystwie swego wnuka Charliego, zwłaszcza sceny cierpień spowodowanych przez wojnę secesyjną, Rachela mówiła: „Oni myślą, że to takie straszne?”. W późniejszym okresie zabrała Charliego i innych wnuków do Muzeum Yad Vashem w Jerozolimie, gdzie odpowiedziała im na więcej pytań niż kiedykolwiek wcześniej własnemu synowi.

Pod koniec życia Rachela cierpiała na różne schorzenia, w tym cukrzycę, nadciśnienie i miała kłopoty z sercem. Dokuczały jej również uszkodzone nerwy w nogach, ogłuchła, a jej kości zmiękły od osteoporozy, co skutkowało licznymi pęknięciami kręgosłupa. Swoją niedołężność kwitowała: „Mówię nogom, dokąd mają iść, a one nie słuchają!”. Mark stwierdził, że po osiemdziesiątce jego matka była „słaba i zmęczona, po wielu latach bycia silną i zdrową (...). Nie umiała już cieszyć się życiem, miała nadzieję na jego szybki koniec”. Mimo to w sylwestra 2002 roku Rachela wzięła udział w uroczystości z okazji jej osiemdziesiątych czwartych urodzin, na której obecni byli członkowie rodziny – całkiem niedawno zrezygnowała z pracy jako

wolontariuszka w miejscowym szpitalu. Dwa miesiące później przeszła rutynową operacją chirurgiczną pęcherza. Domagała się, aby ją przeprowadzono, kiedy jej siostry Estera i Sala wybiorą się na zaplanowaną wycieczkę na Hawaje – nie chciała „robienia afery”.



Grób Racheli w Nashville w stanie Tennessee, USA.

Mark przyleciał z domu w Wisconsin do Nashville, żeby być przy matce; był obok niej, kiedy zaraz po operacji doznała fatalnego ataku serca. „Otworzyła na chwilę oczy i spojrzała na mnie” – powiedział syn Racheli, który urodził się w węglarce. Rachela Olsky zmarła 19 lutego 2003 roku.

W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat Mark – przez całe dotychczasowe życie zmagający się z reperkusjami nadzwyczajnego sposobu, w jaki przyszedł na świat – został sierotą. Jego nieugięta matka, która sześćdziesiąt lat wcześniej znajdowała się na krawędzi życia i śmierci i tyle przecierpiała – w tym śmierć dwóch mężów – zawsze umniejszała to, co razem z Markiem przeszli. „Z tak prostej rzeczy robisz wielką historię!” – powtarzała synowi.

Rachela została pochowana w cichym zakątku cmentarza żydowskiego w Nashville w stanie Tennessee, w otoczeniu pięknych drzew dereniowych.

Anka

Po trzech tygodniach odpoczynku i dochodzenia do siebie w izbie chorych w Mauthausen, Anka i Eva były wreszcie gotowe do wyjazdu do domu. W ramach przygotowań do repatriacji do Pragi Anka i jej córka zostały zasypane dziecięcymi ubrankami i podarunkami przez żołnierzy i inne życzliwe osoby; Eva była więc „naprawdę świetnie wyekwipowana”.

Mając przy sobie bardzo ważne dokumenty, takie jak

świadcstwo urodzenia Evy oraz nowiuteńki dowód tożsamości Anki, już bez pieczętki z literą „J”, około 20 maja 1945 roku matka i córka wsiadły do autobusu do Czeskich Budziejowic, a następnie do udekorowanego kwiatami pociągu zmierzającego do Czechosłowacji. Wcześniej czule pożegnały się z tymi, którzy je uratowali.

Podobnie jak w przypadku innych matek, podróż Anki była skomplikowana i pełna długich przerw. Na większości stacji kolejowych brakowało personelu, kłębiły się na nich tłumy ludzi, desperacko pragnących wrócić do domu, próbujących dostać się do wagonów; niektórzy podróżowali na dachach. Żałośnie wyglądający czescy więźniowie z Mauthausen pewnej ponurej nocy dotarli w końcu na praski dworzec Wilsona. Miejsce to Anka знаła aż za dobrze z czasów, kiedy podróżowała z Třebecovic w odwiedziny do ciotki; tam właśnie wysiadała z pociągu po przeprowadzce do miasta, gdzie studiowała prawo. Miała wrażenie, że działo się to bardzo dawno temu.

Przyjazd do powojennej i porewolucyjnej Pragi należał do najbardziej przygnębiających chwil we wspomnieniach Anki. „Przez wszystkie te lata trzeba było jakoś dawać sobie radę, walczyć, starać się nie zamartwiać ani nie myśleć” – mówiła. „Dopiero wtedy dotarło do mnie, że chyba nie został nikt, kto mógłby wyjść mi na spotkanie (...). Moich rodziców i sióstr nie było... Nie było dla kogo i po co wracać do domu”.

Uzmysłowienie sobie tego, dodała, „było czymś strasznym (...), dla mnie najgorszym momentem całej wojny”.

Oprócz zniszczeń w czasie powstania, miasto odniosło też inne rany: w lutym zostało zbombardowane w nalotach dywanowych przez amerykańskich pilotów, którzy pomylili Pragę z Dreznem i system komunikacyjny i energetyczny miasta zmienili w jeden wielki chaos. W całych dzielnicach wciąż panowały ciemności. Anka, osoba wrażliwa emocjonalnie i krucha fizycznie, nie miała żadnych pieniędzy, a jej jedyny plan polegał na tym, żeby o świcie postarać się przedostać do mieszkania kuzynki Olgi. Wbrew wszelkiej logice Anka była pewna, że Olga przeżyła, ponieważ wyszła za mąż za goja. Tymczasem razem ze znajomymi musiała czekać w ciemnościach na przyjazd urzędników Czerwonego Krzyża, którzy mieli załatwić im nocleg w hotelu Graaf niedaleko dworca.

Następnego dnia rano Anka wymknęła się wraz z Evą i ruszyła na przystanek tramwajowy. Jako jedna z pierwszych ocalałych powracających po wojnie do Pragi, wzbudzała swym wyglądem ogólną ciekawość. Chociaż straszliwe obrazy wyzwolonych obozów i znajdujących się tam osób pojawiły się już w kronikach filmowych oraz w gazetach na całym świecie, ludzie doznawali wstrząsu na widok chudej jak patyk kobiety z dzieckiem, o nierówno ostrzyżonych włosach, odzianej

w zużyte łachmany, które dostała w Mauthausen. Wielu, litując się nad Anką, oferowało jej czeskie korony.

„Potrzebuję pieniędzy tylko na bilet tramwajowy” – podkreślała. Przyjęła jedynie taką kwotę, jaka była niezbędna. W świetle dnia miasto sprawiało zaskakujące wrażenie prawie nienaruszonego, ale dla zdezorientowanej Anki wszystko zmieniło się nie do poznania. Skierowała swe kroki do mieszkania na piętrze przy ulicy Schnirchovej, niedaleko Wystawy Sztuki Nowoczesnej, i wspięła się po schodach. Ze zdumieniem odkryła, że na progu czekają na nią chleb i sól – symbole życia – jako tradycyjne czeskie powitanie. Zapukawszy do drzwi parę minut po godzinie dziesiątej, stanęła twarzą w twarz ze swoją kuzynką Olgą Šroňkovą, jej mężem Ivanem oraz dwojgiem ich dzieci, którzy słyszeli, że Anka przeżyła wojnę i czekali na jej powrót. „Nie mamy wszy!” – oświadczyła Anka, zanim padła w objęcia rodziny i rozplakała się pierwszy raz od wielu lat. Prawdę mówiąc, obie z Evą były wręcz pokryte wszami, nikt jednak o to nie dbał, z tak wielką radością zostały obie przyjęte.

„Czy możemy tu zatrzymać się na parę dni, żeby dojść do siebie?” – spytała Anka. Zostały trzy i pół roku; Olga i jej rodzina przywitali je ciepło i umożliwili nowy życiowy start. „Oni byli jak anioły. Wzięli nas do siebie, do małego mieszkania, w którym przebywali z nastoletnimi dziećmi – i tak długo pozwalali nam

zostać”.

W ciągu kilku pierwszych dni po przyjeździe, Anka głównie spała i jadła. Nie mogła dać sobie rady z sytuacją, że jedzenia jest w bród, i potajemnie wstawała w nocy, aby napić się jak najwięcej wody albo buszować w kredensach. Sprawiała wrażenie niezdolnej do powstrzymania się od jedzenia chleba, nawet sama go piekła razem z Olgą, w środku nocy, jeśli tylko był prąd.

Gdy stało się jasne, że wraz z Evą sprowadziły do domu wszy i że obie mają też świerzb – wywoływany przez pasożytnicze roztocza – na parę dni przyjęto je do szpitala, gdzie leczono je preparatami owadobójczymi i antybiotykami. Olga, starsza od Anki o dwadzieścia lat, odwiedzała ją często, wykazując się nadzwyczajną cierpliwością. Delikatnie i łagodnie zaczęła odpowiadać na pytania Anki i relacjonować to, co wydarzyło się w Pradze pod jej nieobecność. Olga i jej siostra Hana – która także poślubiła goja – przez pół roku wojny unikały aresztowania, dopiero później uwięziono je w Theresienstadt. Ich mężów wysłano do osobnych obozów, przeznaczonych dla gojów. Wszyscy przeżyli.

Olga powiedziała też Ance, iż jak dotąd żaden członek rodziny nie nawiązał z nią kontaktu. Brak było jakichkolwiek informacji o dumnych rodzicach Anki, Stanislavie i Idzie, o pełnej smutku Ruzenie i jej ładnym jasnowłosym synu Peterze, a także o zabawnej siostrze Zdenie i jej mężu Herbercie. Olga pokazała Ance

pocztówkę, którą Zdena zdołała wysłać z Birkenau, zawierającą słowo *lechem*, oznaczające chleb – ostatnią odważną próbę przekazania im, że głodują. Zdena, pełna witalności piękna kobieta, która tak mocno kochała swego męża i swoje życie, zgasła niczym świeca.

Olga nie miała też żadnych wieści o rodzicach, których Anka ostatni raz widziała, jak wyjeżdżali z Terezína. Bernd także się nie odzywał. Rodzina przekazała nazwiska wszystkich zaginionych krewnych odpowiednim władzom. Gdy dni zmieniały się w tygodnie, a wciąż nie było żadnych wiadomości, stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że z całej wielkiej rodziny przeżyły tylko one.

Co gorsza, obfite dotąd zapasy mleka w piersiach Anki w chwili przyjazdu do Pragi niemal się skończyły. „Tak jakby jej ciało powiedziało »dość!«, uznawszy, że równie dobre będzie dla mnie sztuczne mleko albo inny pokarm” – mówiła Eva. „Ironia polegała na tym, iż ojciec Petera przysłał z Anglii całe mnóstwo sproszkowanego Ostermilka, ale kiedy matka zabrała mnie do pediatry na kontrolę, lekarz powiedział jej, że to świństwo i że powinna je wyrzucić, co zresztą zrobiła”.

Potem każda próba nakarmienia małej Ewy podejmowana przez Ankę kończyła się płaczem pełnym bólu i frustracji. Kobieta nie miała już mleka dla dziecka, a jej piersi stały się nad wyraz wrażliwe. Gdy pewien pediatra powiedział jej, że Eva musi „jeść, jeść i jeszcze

raz jeść”, Anka uznała, że nie ma innego wyjścia, jak tylko karmić dziecko na siłę. Eva, będąca w kiepskim stanie, umiejąca tylko ssać, leżała na sofie i jadła zupę z łyżki – czasem dławiła się, czasem połykała. Dla wszystkich było to traumatyczne przeżycie.



Anka i Eva, Praga, 1945 r.

Anka miała też i inne zmartwienia. Pozbawiona czeskiego obywatelstwa z powodu zawarcia małżeństwa z Niemcem (z jej kraju wygnano wszystkich Niemców), obawiała się, że może grozić jej niebezpieczeństwo, mimo że była przecież Żydówką. Codziennie zabierała Evę w wózku do różnych urzędów, gdzie wypełniała formularze i rozmawiała z urzędnikami, starając się odzyskać czeskie obywatelstwo.

Wciąż nie było wieści od Bernda ani od innych

krewnych, mimo że Anka wypytywała każdego, kogo spotkała i kto mógłby coś o nich wiedzieć. Lecz nawet wtedy nie traciła nadziei, mówiąc sobie, że Bernd już do niej wraca, że wraca do domu. Potem, stopniowo, poprzez ludzi, którzy znali jej rodzinę, Anka dowiedziała się o losie swoich najbliższych krewnych. Jej rodzice i siostry, a także Peter i jej szwagier, zostali umieszczeni w Birkenau, obozie rodzinnym dla Żydów z Terezína, zaprojektowanym, aby zamydlić oczy przedstawicielom Czerwonego Krzyża. Tak niegdyś dumny ojciec Anki, Stanislav – którego ducha i okulary zmiądzono w Theresienstadt – umarł na zapalenie płuc w ciągu paru tygodni. Uśmiechnięta Zdena i jej przystojny mąż Herbert zostali zagazowani razem Ruzeną, kiedy opróżniano obóz. Siostrzeńca Anki, Petera, mającego zaledwie osiem lat, nim trafił do gazu, zgwałcili obozowi strażnicy. Matka Anki, Ida, wesółą, piersiastą matroną, pracującą za kasą w zakładzie wyrobów skórzanych i zabawiającą klientki, po śmierci całej swojej rodziny oszalała i niemal na pewno skończyła w komorze gazowej. „Człowiek, który opowiedział mi o mojej matce [że oszalała], chyba bardzo mi współczuł, i nie wiem, czy to prawda, ale to byłoby dla niej błogosławieństwo”.

Kiedy Anka próbowała przetrwać wszystkie te informacje, wpadła na ulicy na pewną osobę. „Kiedyś poznałam go przypadkowo, w eleganckiej alejce o nazwie Na Příkladie (...). Nie pamiętam już nawet, co tam robiłam.

On tam był. Znałam go sprzed wojny, ale nie zdawałam sobie sprawy, że przebywał w tym samym obozie co Bernd (...). Zobaczył mnie, ucieszył się na mój widok, zapytał: »Nie wiedziałaś? – Nie czekaj na swojego męża. Zginął przed wyzwoleniem. Widziałem, jak go zastrzelili«. Jestem mu ogromnie wdzięczna, że darował mi wszystkie korowody i bez żadnych wstępów powiedział wprost, co się stało. Nie kazał mi czekać”.

Anka dowiedziała się w końcu, że zaraz po przyjeździe do Auschwitz II-Birkenau we wrześniu 1944 roku Bernd został wyselekcjonowany do pracy w stalowni i fabryce amunicji przy podobozie Bismarckhütte w Chorzowie Batorym na Śląsku. W obozie, usytuowanym niedaleko stalowni Bismarck, prowadzonej przez firmę Berghütte, przebywało około dwustu żydowskich więźniów wykonujących prace fizyczne oraz wytwarzających części do różnych rodzajów broni. Bernd przetrwał surową zimę, ale 18 stycznia 1945 roku wszystkich więźniów ewakuowano ponad dwadzieścia kilometrów dalej, do Gliwic, zmuszając ich do „marszu śmierci” w głębokim śniegu. Niewykluczone, że Bernd znajdował się w kolumnie nieszczęśników, w której szedł także mąż Priski, Tibor, nigdy jednak się nie dowiemy, czy mężczyźni faktycznie się spotkali.

Każdy, kto pozostawał z tyłu albo padał na ziemię, ginął od strzału w tył głowy, a porzucone zwłoki zamarzały na kość na poboczu drogi. Taki los spotkał

Tibora. Ci, którzy przeżyli – choć z trudem można o nich mówić jako o „żywych” – zostali załadowani do bydłych wagonów zmierzających do obozów w głębi Rzeszy. To właśnie podczas tego ostatniego etapu podróży jakiś esesman zastrzelił Bernda obok pociągu. Przez wiele miesięcy nikt nie mógł opowiedzieć pograżonej w żalu wdowie, co stało się z ciałem jej męża, które prawdopodobnie leżało gdzieś, opuszczone, na zamarzniętej ziemi. Anka nie miała pojęcia, czy zostało ono pogrzebane; nie istniało żadne miejsce, w którym mogłaby oddać mu hołd.

Nie była też w stanie ustalić, dlaczego Bernda zabito już pod sam koniec wojny, jakkolwiek – po pięciu latach spędzonych w obozach – zdawała sobie sprawę, że pewnie nie było żadnego powodu. Niedługo po jego zamordowaniu w okolicach Gliwic zjawili się żołnierze Armii Czerwonej – gdyby Bernd tego doczekał, byłby wolny i mógłby połączyć się ze swoją ciężarną żoną.

Wiadomość, że mąż już nigdy nie wróci do domu, nieomal złamała Ankę, mimo że po wszystkich tych przejściach ledwie pojmowała, co się z nią dzieje. Serce jej skamieniało, ale nie poddała się rozpacz. Miała tyle innych osób, które opłakiwała, tyle innych kwestii do rozmyślań, a przede wszystkim musiała się martwić o Evę. W jakiś sposób udało jej się wziąć w garść, robić swoje, pogodzić się z życiem. „Nie miałam czasu na żalobę. Ktoś spytał mnie: »Jak sobie radzisz?«, a ja

odpowiedziałam: »Nie mam czasu na radzenie sobie. Codziennie muszę robić to, co konieczne«, a to przecież i tak było wystarczająco wiele, ponieważ nie miałam pojęcia, skąd wziąć kolejny grosz”.

Przygnębiających wiadomości było więcej. Wróciła pokojówka, której Anka powierzyła kiedyś swoje najcenniejsze rzeczy, i pełna zakłopotania oddała jej zegarek Bernda oraz inne przedmioty. Wyznała przy tym, że zielone jedwabne zasłony sprzedała, spaliła też wszystkie święte dla Anki fotografie, bała się bowiem, iż gdyby je znaleziono, mogłyby jej zaszkodzić. „Miałam ochotę ją zabić! Ze wszystkich rzeczy, które pragnęłam odzyskać, dostałam tylko to”. Dla osób, które powracały z obozów i tyle utraciły, dobra materialne znaczyły niewiele lub zgoła nic; najważniejszą dla nich sprawą, wręcz boleśnie istotną, były wspomnienia, pamięć. Osobiste pamiątki po ukochanych ludziach stanowiły teraz cały świat, także dla Anki, i oto pokojówka informowała ją, że wszystko to przepadło. Anka jednak nie poddała się i poszła do zakładu fotograficznego – prowadzonego przez innego Żyda – który wcześniej robił jej ślubne zdjęcia. Mimo że człowiek ten zginął, miał w swoim archiwum negatywy, zdołała więc uzyskać nowe odbitki.

Priorytetem była, jak zawsze, Eva. „Ciągle musiałam o niej myśleć i to mnie napędzało (...). Ona jest jedyną rzeczą na świecie naprawdę moją, zawsze była. Wszyscy

kochamy nasze córki, ale ja czuję, że w moim przypadku pępowina nie została odcięta (...). Jeśli chciałam ją zachować przy życiu, musiałam przy niej nieustannie czuwać. Musiałam zapewnić jej wszystko, czego potrzebowała, zarówno w sensie psychicznym, jak i fizycznym”.

Kiedy w pierwsze powojenne lato Olga wyjechała z rodziną na wakacje, Anka postanowiła wybrać się do Třebechovic pod Orebem i zobaczyć, co zostało z rodzinnego domu i firmy. Wiedziała jedynie, że zostały zarekwirowane. W towarzystwie córeczki pojechała na dworzec Wilsona i złapała pociąg do miejsca, skąd czerpała najszcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa. „Nie miałam pieniędzy, nie mogłam pracować, gdyż Eva bardzo mnie potrzebowała. Uznałam, że skoro jestem jedyną dziedziczką w rodzinie i skoro istnieje wciąż czynny zakład – choć przejęty pod zarząd państwowy – powiem im, że mam małe dziecko i że są mi coś winni”.

Kiedy dotarła do fabryki, zalała ją fala dojmujących wspomnień dziecięcych wakacji, posiłków jadanych na patio z całą rodziną, wylegiwania się w rogu ogrodu, z książką i głową na poduszce. Wysoki ceglany komin, który zawsze wzbudzał w Ance obawy, że się przewróci i ich zabije, przywodził jej teraz na myśl inne, gorsze kominy; ledwo mogła poruszać się w jego cieniu.

Anka odbyła rozmowę z dyrektorami zarządzanej przez komunistów firmy; ku jej zdumieniu zgodzili się

wypłacać jej co miesiąc niewielkie stypendium. „To była bardzo skromna suma, ale zawsze lepsza niż nic”. Zarekwirowano również willę jej siostry – dlatego Ankę i Evę umieszczono w małym narożnym pokoiku, prawie bez mebli, bez dostępu do kuchni i łazienki. „Potraktowali mnie jak szmatę”.

Choć początkowo Anka rozkoszowała się dawno zapomnianym luksusem życia bez setek innych osób dookoła oraz możliwością oddychania świeżym, czystym powietrzem, szybko dopadła ją dojmująca samotność. W głowie huczało jej od głosów członków rodziny, zamilkłych przecież na zawsze. Marzenie o powrocie do miejsca pełnego śmiechu, ciepła i piękna, o powitaniu w kochających ramionach, zmieniło się w koszmar, z którego nie było ucieczki. Przeszłość minęła i Anka znalazła się nagle w nowego rodzaju obozie, prawie tak samo okrutnym jak te, które dane jej było poznać.

Zamkniętej w tym maleńkim więzieniu kobiecie nie było wolno zerwać choćby jednego pomidora w wielkim ogrodzie, po którym jako dziecko tak radośnie i beztrudnie hasała. Co gorsza, pewnego dnia, kiedy pojechała na spacer z Evą w wózku, który ktoś kiedyś jej podarował, starsza, znana jej Czeszka zatrzymała się i powiedziała z okrucieństwem: „To pewnie nazistowskie dziecko!”. Ten komentarz dotknął Ankę do żywego; wybuchnęła płaczem i uciekła. „Czesi traktowali mnie bardzo źle, to bolało. To byli ludzie, wśród których

dorastałam. Od Niemców nie spodziewałam się niczego, ale Czesi i ta komunistyczna hołota sprawiali, że czułam, że ja także powinnam była zginąć. To było okropne”.

Zdarzały się jednak nieoczekiwane akty dobroci. Kiedy kilkoro znajomych rodziców Anki usłyszało, że dziewczyna żyje, przychodzili, jeden po drugim, by złożyć jej wyrazy szacunku. Nie miała pojęcia, że Stanislav i Ida powierzyli swoje najlepsze srebra, porcelanę, dywany i biżuterię tym ludziom, a oni odważnie ukrywali wszystko podczas wojny. Anka czuła się głęboko wzruszona, kiedy oddano jej owe drogocenne przedmioty, dziękowała znajomym rodziców za ich uczciwość. „Praktycznie odzyskałam wszystko”. Jednak mimo tych drobnych przejawów przyzwoitości, „dom” nie był już dla niej domem. Gdy kuzynka Anki, Olga, dowiedziała się, jak i gdzie Anka mieszka, nalegała, aby wraz z Evą wróciła do Pragi. Wkrótce potem odwiedził Ankę i dziecko przyjaciela jej szwagra, Toma Mautnera, przywiózł jedzenie i ubrania z Anglii. Nazywał się Karel Bergman, był żydowskim wytwórcą peruk i siatek na włosy, jego ojciec miał kiedyś własny zakład; Anka знаła Karela jeszcze przed wojny. Podobnie jak Tom uciekł on do Anglii, gdzie pracował jako tłumacz dla Dowództwa Myśliwców RAF.

Pozbawiona własnego miejsca do życia, mając bardzo niewiele pieniędzy, Anka znajdowała się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie mogła mieszkać u Olgi przez

wieczność, wiedziała, że musi radzić sobie sama. Kiedy Karel zaczął się nią interesować, poczuła ulgę, ale i tak potrzebowała trzech lat, nim zgodziła się wyjść za niego za mąż. „Wiedziałam, że jest mężczyzną nie tyle dla mnie – to nie było takie ważne – ile dla Evy, jako ojciec. I jeśli kiedykolwiek miałam w czymś rację, to na pewno w tym”. Para w końcu się zaręczyła, nie mogła się jednak od razu pobrać, ponieważ Anka ciągle czekała na przywrócenie jej czeskiego obywatelstwa.

Niemal codziennie zabierała Evę do urzędów państwowych, aby ubiegać się o pozytywne załatwienie swojej sprawy. Wózek z dzieckiem zostawiała na zewnątrz, wchodziła do środka, rozmawiała z urzędnikami, po czym wracała i zastawała tłumek dorosłych osób gruchających nad jej piękną córeczką. Niebawem odkryła, że władzom odpowiada odrzucanie jej wniosków, ponieważ skoro nie miała czeskiego obywatelstwa, nie musieli jej zwracać fabryki ani rekompensować straty. Pewien urzędnik, z którym Anka miała do czynienia prawie codziennie przez trzy lata, zadał jej pytanie: „Czy pani w ogóle mówi po czesku?”, mimo że przez cały ten czas rozmawiali w tymże języku.

Przekonawszy w końcu władze, by znów przyznały jej status Czeszki, dnia 20 lutego 1948 roku, w wieku trzydziestu lat, Anka została panią Bergmanową. Jej nowy mąż był od niej starszy o piętnaście lat, miał wtedy czterdzieści pięć lat. W 1939 roku uciekł z Protektoratu

i przedostał się do Wielkiej Brytanii, wstąpił do RAF-u, ale na pilota był zbyt stary, musiał zatem zadowolić się pracą tłumacza. Wesele odbyło się tego samego dnia, w którym komunistyczni puczyści zaczęli ustanawiać jawnie swą dyktaturę w Czechosłowacji.

Gdy tylko nowożeńcy mogli legalnie wyjechać z kraju, spakowali Evę i swój skromny dobytek, po czym wsiedli do pociągu zmierzającego przez Niemcy do Holandii, planując dołączyć do innych czeskich uchodźców w Montrealu w Kanadzie. Jednak podczas pobytu w Holandii (gdzie spotkali się z niewidomym ojcem Bernda, Louisem, który przeżył wojnę), Karel otrzymał ofertę pracę tymczasowej, co skłoniło rodzinę do wyruszenia do Walii; miał być kierownikiem w tamtejszej fabryce rękawiczek. Po pięciu latach Karel wykupił fabrykę i małżonkowie zostali tam już na stałe. Od pierwszych chwil w małym umeblowanym mieszkaniu na piętrze budynku przy Cathedral Road w Cardiff, Anka polubiła zarówno swój nowy dom, jak i życie w kraju, w którym czuła się wolna i bezpieczna. „To było mieszkanie poniżej normy, straszliwa nora właściwie, ale ja nigdy wcześniej nie czułam się taka szczęśliwa. Nie miałam wówczas grosza przy duszy. Nie wiem, jak nam się udawało. Myślałam głównie o matce, która byłaby zadowolona, że wszystko się jakoś ułożyło”.



Ślub Anki z Karelem Bergmanem, 1948 r.

Szczególną radość sprawiała jej możliwość oddawania się swojej miłości do kina. Gdy Eva szła do przedszkola lub szkoły, Anka biegła samotnie na seans – prawie codziennie. „Nie miało znaczenia, co wyświetlali” – wspominała. „Ważne, że mogłam tam być”.

Eva – mała, niedożywiona i kiepsko wyglądająca – w wieku dwudziestu dwóch miesięcy sprawiała wrażenie opóźnionej w rozwoju fizycznym; wciąż nie chodziła. Anka odwiedzała z nią jednego pediatrę po drugim, bojąc się, że u dziecka mogło dojść do jakichś trwałych uszkodzeń. Szczególnych udręk przysparzało Ance obserwowanie rozwoju córeczki jej przyjaciółki, która wyprzedzała Evę o co najmniej sześć miesięcy. Szybko jednak Eva, pełna wewnętrznej siły odziedziczonej po

matce, zaczęła „w sposób godny podziwu nadrabiać straty”. Gdy poszła do przedszkola, nie rozumiała ani jednego słowa, ale już w wieku pięciu lat mówiła płynnie i zdobywała nagrody. Poza słabym zdrowiem nie miała żadnych innych problemów, rozwinął się u niej normalny apetyt, szczególnie lubiła jadać czeskie potrawy, które przygotowywała matka – wiele z nich Anka nauczyła się gotować w barakach, kiedy więźniarki fantazjowały na temat tego, co chciałyby zjeść.

Z pobytu w obozie Eva wyniosła głównie skłonność do wpadania w histerię na odgłos wiertarki pneumatycznej. Anka nieraz musiała prosić robotników o przerwanie pracy albo zatykała córce uszy, by ją uspokoić. W końcu doszła do wniosku, że we Freibergu Eva, jeszcze w łonie matki, zapewne słyszała pneumatyczne maszyny do nitowania.

Od wczesnych chwil jej życia do Evy docierały opowieści o dziejach rodziny, ale fakt, że Karel nie jest jej prawdziwym ojcem, odkryła dopiero w wieku czterech lat. Na kuchennych drzwiach wisiała siatka na zakupy, którą ktoś zrobił dla jej matki w Pradze, z inicjałami i nazwiskiem: A.N., Anka Nathanová.

Matka opisywała to później tak: „Byłyśmy w kuchni, a ona spytała: »Mamusi, co to znaczy A.N.? Nie powinno być A.B.«. Pomyślałam, że to odpowiednia chwila, żeby powiedzieć jej prawdę: »Słyszałaś o wojnie?«. Kiedy skinęła głową, ciągnęłam: »No cóż, twój ojciec zginął

w czasie wojny, jego nazwisko brzmiało Nathan (...). Potem wyszłam za mąż za tatusia i od tego czasu nazywam się Bergman, dlatego masz dwóch tatusiów!«. Eva poszła na dwór bawić się z innymi dziećmi. Po chwili usłyszałam, jak mówi: »Ja mam dwóch tatusiów, a wy tylko jednego!«. Odtąd wiedziałam już, że nikt nie zdoła jej skrzywdzić».



Anka i Eva w Cardiff, 1952 r.

W późniejszym czasie, gdy Eva dowiedziała się więcej, często opowiadała ludziom, że przyszła na świat

w obozie koncentracyjnym, choć nie rozumiała w pełni znaczenia tych słów. Dopiero kiedy jako nastolatka przeczytała *Dziennik Anny Frank*, zaczęła rozumieć całą potworność tego, o czym mówiła. Od czasu do czasu fantazjowała, że jej pierwszy tatuś przeżył wojnę i niedługo znów pojawi się w ich życiu, kochała jednak swojego drugiego ojca tak bardzo, że tego rodzaju myśli należały do rzadkich.

Anka zaproponowała nowemu mężowi, że urodzi mu dziecko, on jednak odmówił i oświadczył, że chce Evę adoptować, ponieważ zawsze uważał ją za swoją córkę. „Moja matka pragnęła stworzyć dla mnie dom pełen miłości” – mówiła Eva. „Karel adoptował mnie, był jedynym ojcem, jakiego znałam”.

Karel, który w czasie wojny stracił matkę, siostrę bliźniaczkę i jej syna, a także całą resztę rodziny, rzadko – jeśli w ogóle – o tym wspominał. Natomiast Anka wpadła jakby w obsesję i oglądała chyba każdy film fabularny i dokumentalny na temat Holokaustu. Widziała premierowy pokaz *Listy Schindlera*; sceny obozowe określiła jako „mniej więcej idealne”. Szczególnie poruszyła ją jedna: moment, gdy Żydzi są upychani w bydłowych wagonach, a potem drzwi zostają zaryglowane. Naziści stoją, śmiejąc się z więźniów wystawiających ręce przez szczeliny, błagających o wodę; wtedy właśnie Schindler chwyta wąż ogrodowy i polewa wagony, jakby w kolejnym akcie okrucieństwa, choć tak

naprawdę stara się zaspokoić pragnienie tych ludzi.

Anka miała półki pełne książek o Holokauście, w tym kilka ze zdjęciami Josefa Mengelego, którego – tak jak Rachel i Priska – natychmiast rozpoznała jako niezwykle uprzejmego, uśmiechniętego lekarza w rękawiczkach, z przerwą między zębami, dokonującego selekcji w Auschwitz w ciągu tych kilku kluczowych tygodni w drugiej połowie 1944 roku. W jej bibliotece znajdowało się również wiele biografii innych wysokiej rangi nazistów, który to fakt często dziwił różnych ludzi. Pytana, po co trzyma te książki, odpowiadała: „Ponieważ wciąż próbuję zrozumieć, dlaczego”. Studiowała listy osób zabitych w Theresienstadt i w Auschwitz, przesuwając palcem po każdej stronie w poszukiwaniu tych, o których sądziła, że zginęli albo przeżyli.

Po upadku komunizmu w 1989 roku Anka otrzymała w końcu świadectwo własności rodzinnej fabryki w Třebechovicach. „Sprzedałam ją natychmiast – za małe pieniądze – ponieważ nie miałam pojęcia o prowadzeniu takiej firmy, a poza tym nie chciałam mieć z nią nic wspólnego”. Nie mogła przemóc w sobie poczucia winy, zastanawiała się, co by powiedział ojciec: „Najpierw zabrali mi ją Niemcy, potem komuniści. A teraz ty sprzedajesz firmę z własnej woli? Jak możesz?”. Z powodu tej decyzji Anka gryzła się do końca życia.

Nigdy nie wybrała się do Auschwitz i nie chciała mieć nic wspólnego z Niemcami. Podobnie jak Rachela, nie

posiadała w swoim domu niczego niemieckiego; stanowczo opowiadała się przeciwko budowie tunelu pod kanałem La Manche, gdyż, jak twierdziła, „mogą przyjść tu Niemcy!”. Wiele lat po wojnie, kiedy w fabryce jej męża zainstalowano nowe maszyny, zjawił się tam pewien inżynier, mający wyszkolić personel w ich obsłudze. Karel zaprosił owego inżyniera, Niemca, na kolację. Anka podała posiłek, lecz kiedy jej mąż spytał gościa, skąd pochodzi, a ten odparł, że z Freibergu w Saksonii, wyszła z pokoju i więcej się nie odezwała.

Ilekcroć Anka zabierała Evę do Londynu pociągiem z Cardiff, musiały przejeżdżać obok wielkiej stalowni w Newport, z wysokimi przemysłowymi kominami, z których buchały dym i płomienie. Za każdym razem Anka odwracała wtedy głowę. W starszym wieku cierpiała na zaburzenie funkcji ucha środkowego, zwane chorobą Ménière’a. Pewien specjalista powiedział jej, że dolegliwość tę spotyka się najczęściej u pracowników stalowni, górników oraz u gwiazd muzyki pop – ludzi narażonych na niezwykle wysoki poziom hałasu. Nie miał pojęcia, skąd choroba mogła się rozwinąć u Anki – dopiero ona go oświeciła.

W 1968 roku, mając lat dwadzieścia trzy, Eva wyszła za mąż za Malcolma Clarke’a, goja, który został profesorem prawa na uniwersytecie w Cambridge. Para miała dwóch synów, Tima i Nicka, oraz troje wnuków – Matildę, Imogen i Theo. Anka znała i kochała ich wszystkich. „To

było dla mojej matki coś cudownego” – mówiła Eva. „Nie mogła uwierzyć, że przeżyła wojnę i że ja też przetrwałam, i że potem urodziłam dwoje dzieci, które dały jej prawnuki. Był to istny cud”.

Kiedy Anka poznała teścia Ewy, Kennetha Clarke’a, dowiedziała się, że podczas wojny był on nawigatorem w dywizjonie bombowców RAF-u. Clarke pokazał jej swój dziennik pokładowy, w którym zapisano, że dnia 13 lutego 1945 roku o godzinie 17.40 – gdy Anka wraz z innymi więźniami pracowała zamknięta w fabryce we Freibergu – przelatywał nad ich głowami samolotem Lancaster i brał udział w bombardowaniu Drezna. Do brytyjskiej bazy wrócił o 10.10. Mężczyzna płakał, mówiąc: „Mogłem was obie zabić!”. Anka pocieszała go z uśmiechem: „Ale nie zabiłeś, Kenneth!”.



Anka z Evą, wnukami Timem i Nickiem oraz
prawnukami Matildą, Imogen i Theo, Anglia

Gdy pod koniec lat sześćdziesiątych Eva zamieszkała z mężem w Singapurze, pisała do matki, prosząc, aby przelała swoją historię na papier. Eva chciała mieć obszerne, zapisane wspomnienia dla własnych dzieci. Anka zgodziła się. Czytając jej książkę, Karel po raz pierwszy miał okazję się dowiedzieć, co działo się z żoną w czasie wojny; był tym głęboko poruszony.

Lata później Anka wybrała się z Evą w emocjonalną podróż do Terezína, chcąc pokazać córce, gdzie mieszkała i gdzie prawie zginęła. Kiedy po dłuższym czasie Eva odwiedziła getto sama, ze wzruszeniem odkryła tam nazwisko swojego brata, Dana, wypisane na ścianie pamięci – jedyny fizyczny ślad po dziecku, którego śmierci Eva zawdzięczała swoje życie.

Kuzynka Anki, Hana, która przetrwała wojnę prawdopodobnie dlatego, że wyszła za mąż za goja, wydała później książkę z wierszami i rysunkami dzieci z Theresienstadt, zatytułowaną *Nigdy nie widziałem innego motyla*. Znalazł się tam wiersz młodego Pavla Friedmana, jednego z tych, którzy zginęli. Hana została kuratorem Muzeum Żydowskiego w Pradze i przyczyniła się do powstania inskrypcji z nazwiskami ofiar – w tym także Bernda i wszystkich piętnastu członków rodziny Anki – na ścianie synagogi Pinkasa.

Po przepracowaniu całego dorosłego życia w oświacie, którą poznała od podszewki, Eva przeszła w końcu na emeryturę i postanowiła opowiedzieć światu – przede wszystkim młodzieży szkolnej – historię swojej matki; podróżowała po kraju z ramienia Holocaust Educational Trust. Jej praca zainspirowała pewną grupę taneczną z Cambridge do opracowania sztuki baletowej pod tytułem *Historia Anki*, którą wystawiano podczas Edinburgh Festival Fringe. Eva kilkakrotnie była w Auschwitz razem z uczniami i nauczycielami; będąc w pobliżu budynku Sauny w Birkenau, nie umiała się powstrzymać od lustrowania gruntu w poszukiwaniu obrączki ślubnej oraz ametystowego pierścienia zaręczynowego matki, których nigdy nie odnaleziono.

W 1985 roku, na swoje czterdzieste urodziny, zabrała obu synów i Malcolma do Mauthausen. Były obóz przekształcono w pomnik, który goście z całego świata mogą obecnie zwiedzać bezpłatnie. W 1985 roku tylko ocaleni byli zwolnieni z opłat, i kiedy Eva próbowała wytłumaczyć człowiekowi przy wejściu, że jest uprawniona, roześmiał jej się w twarz. Nie wierzył Evie, była za młoda. Rozpłakała się.

Anka, zdeklarowana ateistka, nigdy nie zmieniła swoich przekonań religijnych. „Nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie – gdzie On wtedy był?” – mawiała. „Nikt tego problemu nie rozwiązał, nikt nie wytłumaczył, dlaczego nas tak potraktowano”. Leczą jako

wieczna optymistka, dodawała: „Skoro to wszystko musiało się przydarzyć właśnie mnie, w takim razie stało się to w odpowiednim wieku, zarówno w sensie psychicznym, jak i fizycznym, ponieważ byłam młoda i silna (...). Jak mówiłam mojej córce, gdy była jeszcze bardzo mała, mogłam właściwie w każdej chwili odejść (...). Przeżyłam to całkiem dobrze, moje dziecko jest zdrowe, z jej umysłem też wszystko w porządku, dlatego dla mnie osobiście (ale tylko dla mnie, nie dla mojej rodziny) nie skończyło się to tak źle, jak mogło (...). Eva była dla mnie afirmacją życia. To ona pchała mnie naprzód, pomagała zachować zdrowe zmysły”.

Mąż Anki, Karel, zmarł na atak serca w 1983 roku w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Podczas jego kremacji, widząc czarny dym wydobywający się z komina, Anka zadrżała i rozplakała się: „Po co w ogóle tam spojrzałam?”. Popioły rozsypano na cmentarzu żydowskim niedaleko rodzinnego miasta Karela w rolniczej części Czech. Niedaleko stoi imponujący kamienny pomnik, wzniesiony na cześć Karela i innych miejscowych Żydów, którzy albo wyjechali z kraju walczyć z nazistami, albo zginęli w obozach. Anka zasugerowała potem Evie, aby – gdy przyjdzie jej czas – ją również skremowała, mimo że spalenie ciała nie należało do tradycji żydowskiej. „No cóż, w końcu tak skończyła cała moja rodzina!” – żartowała.



Anka w dniu swoich dziewięćdziesiątych piątych urodzin z prawnuczką Matildą, 2013 r.

Przez ostatnie trzy lata swego życia Anka mieszkała z Evą i jej mężem w Cambridge. W wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat zachowała jasność umysłu, zawsze chciała wyglądać jak najlepiej. Niedługo przed śmiercią Anka poprosiła o zrobienie jej makijażu, by mogła powitać najstarszego wnuka. Ogromnie dumna z działalności córki, opowiadającej uczniom o Holokauście, Anka czerpała przyjemność z faktu, iż jej historia została upamiętniona w książce. „Im więcej ludzi, którzy dowiedzą się o tych wydarzeniach, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że to się kiedyś powtórzy, taką mam nadzieję” – mówiła. „Ta historia powinna nauczyć ludzi, że to nie może się już nigdy

wydarzyć”.



Grób Anki, Czechy

Eva zgodzała się z nią. „Ważne, aby pamiętać o tych milionach, które zginęły. A zwłaszcza o tych, których nikt nie wspomina, ponieważ stracili całą rodzinę i całą swoją

społeczność. Naszym obowiązkiem jest opowiadać ich historię i próbować zapobiec takim okropieństwom w przyszłości”.

Anka Nathan-Bergman zmarła w domu, mając swego boku Evę, w dniu 17 lipca 2013 roku. Zgodnie z życzeniem zmarłej jej popioły rozrzucono w tym samym miejscu, co jej drugiego męża Karela, na cichym żydowskim cmentarzu w środku lasu, niedaleko Drevikova w Republice Czeskiej.

Po sześćdziesięciu pięciu latach życia w Wielkiej Brytanii, kraju, który uwielbiała, ale w którym zawsze czuła się autsajderką i uchodźcą, Anka w końcu wróciła do ukochanej ojczyzny.

Spotkanie po latach



Obozowe dzieci i ich wyzwolicieli, Błyskawice

„Błyskawice nas wyzwoliły, Błyskawice nas znów połączyły” – mawiała Hana Berger Moran, mieszkająca w kraju swoich wyzwolicieli. Wiedziała, o czym mówi. To właśnie córka Priski postanowiła latem 2003 roku odszukać lekarzy, którzy pięćdziesiąt osiem lat wcześniej uratowali jej życie w Mauthausen.

„Moja matka jeszcze żyła, mieszkała w Bratysławie, a ja chciałam się dowiedzieć, czy Pete też wciąż jest na

tym świecie, żebyśmy mogły mu podziękować”. Surfując po Internecie, natknęła się na stronę Stowarzyszenia Weteranów 11. Dywizji Pancерnej i odkryła, że wkrótce w stanie Illinois ma się odbyć ich zjazd. Hana wysłała list, który pojawił się potem w witrynie internetowej stowarzyszenia oraz w kwartalniku „Thunderbolt”. Wyjaśnwszy okoliczności swoich narodzin, napisała:

W chwili wyzwania Mauthausen byłam ledwie trzytygodniowym niemowlęciem. Jak lubiła wspominać moja droga matka, czołgi miały białe gwiazdy, a ona nie posiadała się ze zdumienia, widząc w nich tak młodych żołnierzy. Zapamiętała piosenkę *Roll Out the Barrel*, którą śpiewali (...). Operujący mnie chirurdzy nie mogli uwierzyć, że udało mi się przetrwać bez odpowiedniego leczenia; prosili moją matkę, aby wyjechała z nimi do Stanów Zjednoczonych. Odmówiła, uważając, że powinna wrócić do domu do Bratysławy, żeby czekać tam na męża, mojego ojca (...). Bardzo chciałabym poznać nazwiska tych chirurgów lub tego chirurga, a także dowiedzieć się, jak mogłabym skontaktować się ze wszystkimi osobami, które pomagały więźniom po wyzwoleniu (...). Pragnę wyrazić najgłębszą wdzięczność wszystkim wyzwolicielom obozu koncentracyjnego Mauthausen.

Hana, która opisała siebie w chwili narodzin jako „małego robaczka z niedowagą”, twierdziła, że to nie ona jest bohaterką tej historii. „Niesamowita była moja matka”. Dopiero na początku 2005 roku otrzymała wiadomość od mężczyzny, który w chwili wyzwolenia z Ebensee, podobożu Mauthausen, miał dziewiętnaście lat i który został potem przedstawicielem USA w Międzynarodowym Komitecie Mauthausen. Max Rodrigues Garcia, który mieszkał niedaleko Hany w San Francisco, przeczytał jej list i zaprosił ją do Mauthausen na obchody sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia obozu; miał też nadzieję, że zjawi się tam również osiemdziesięciodwuletni Pete Petersohn.

W maju 2005 roku Hana i jej mąż Mark przybyli do Austrii z San Francisco, a Pete i jego syn Brian dotarli tam z Chicago. Wyzwoliciele i ich rodziny plus kilku ocalonych zebrali się w hotelu Wolfinger, usytuowanym przy wspaniałym głównym placu Linzu. Dzielili się historią swojego życia z ludźmi, z którymi nie widzieli się od lat. Hana przebywała w zatłoczonej sali jadalnej, gdy nagle wkroczyła tam grupka Błyskawic w żółto-białych bejsbolówkach; jeden z mężczyzn sprawiał wrażenie starszego i bardziej zmęczonego. Nagle go rozpoznała, nie miała żadnych wątpliwości, to był Pete. Gdy usiadł przy stoliku w kącie sali, po chwili w milczeniu przycupnęła obok niego, w samym środku ożywionej konwersacji, i czekała. Nagle zapadła cisza. Max Garcia,

siedzący niedaleko Hany, był tak podekscytowany, że musiał zakryć sobie usta dłonią, by powstrzymać się od okrzyku. W pewnym momencie Pete wyczuł obecność Hany. Przestał mówić, obrócił się do obcej kobiety i ze łzami w oczach cicho powiedział: „Hana”.

Obejmowali się przez parę minut, niezdolni wypowiedzieć słowa.

„Myślałem, że mnie udusi, tak mocno mnie ścisnęła!” – wspominał Pete.

Od ich ostatniego spotkania (którego zresztą Hana zupełnie nie pamiętała) minęło sześćdziesiąt lat. Teraz, trzymając rękę sanitariusza, który przekonał lekarza wojskowego, żeby spróbował uratować dziecku życie, i to w miejscu, w którym tyłu innych potrzebowało pilnej pomocy, przeżywała jedno z najbardziej poruszających doświadczeń. Z twarzą mokrą od łez Hana powiedziała temu człowiekowi, że go kocha i dziękuje mu za uratowanie życia. Pokazała mu również blizny na ramionach i dekolcie po zabiegu chirurgicznym, jaki przeszła w szpitalu polowym.

Również Pete głęboko przeżywał to spotkanie. Przez kilka tygodni po wyzwoleniu Mauthausen miał zwyczaj siadać nad maszyną do pisania i rejestrować swoje doświadczenia – dołączał do nich mnóstwo zrobionych przez siebie zdjęć. Nawet w tak młodym wieku rozumiał znaczenie świadectwa naocznego świadka.

Wszystko to miało na niego negatywny wpływ.

W wywiadzie udzielonym w 2008 roku historykowi Michaelowi Hirschowi, Pete mówił: „[W Mauthausen] przeszedłem załamanie nerwowe (...). Pracowałem tam długie godziny i (...) potrzebowałem odpoczynku (...). Krwawiłem z nosa, leciała mi też krew z ucha środkowego, nie mogłem spać (...). Mój przełożony polecił mi odpoczywać przez dwa dni. Dziś wciąż z tym walczę (...), jestem w takim stanie psychicznym, który wymaga pewnych działań (...), kiedy kładę się w nocy do łóżka. Wydaje mi się, że za chwilę sobie smacznie zasnę, a potem nagle zaczynają się pojawiać ciała (...), stopy trupów zjadanych przez szczury (...). Chodzę do (...) psychiatrów, ale nie wiem, co jeszcze mogą dla mnie zrobić (...). Z upływem czasu jest coraz gorzej (...). Chyba zabiorę to wszystko ze sobą do grobu”.



Hana na spotkaniu z amerykańskim sanitariuszem,
który uratował ją w Mauthausen, 2009 r.

Hana spytała o majora Stacy'ego i dowiedziała się, że niestety zmarł. Dalsze dochodzenie wśród członków jego rodziny wykazało, iż – tak jak wielu innych wojskowych – nigdy nie mówił o swoich doświadczeniach wojennych. Nie wspominał też o dziecku, które pomógł uratować.

Po dłuższej rozmowie Pete spróbował wyjaśnić Hanie, dlaczego jej matka zadawała to niepokojące pytanie: „Czy mi wybaczysz?”. Sądził, że mogło mieć ono związek z faktem, iż Priska dwukrotnie „oddała” swoje dziecko, najpierw *kapo*, zaraz po przyjeździe do obozu, a potem lekarzom – za każdym razem nie wiedząc, co z tego wyniknie. „Pete powiedział mi, że moja matka była »wdzięczna« i zdawała sobie sprawę, że próbują jej pomóc, dodał jednak: »Zdumiało mnie to, co zrobiła – że po prostu mi ciebie dała do rąk. Nie miała pojęcia, czy jeszcze cię zobaczy. Zaufała mi, że cię uratuję i jej oddam. Chyba dlatego czuła się winna«”.

Hana z czułością nazywała Pete'a „tatusiem” albo „tatusiem Pete'em”; oboje pozostawali w kontakcie mailowym i telefonicznym przez kolejne kilka lat. W jednym z maili do Hany, niedługo po zjeździe w 2005 roku, Pete napisał o swojej podróży do Europy:

Ogólnie rzecz biorąc, była świetna, a najlepsze

okazało się nasze spotkanie, po raz drugi po sześćdziesięciu latach, oraz szczęśliwe chwile, które wtedy do mnie wróciły. Zyskałem odpowiedź na pytanie, jakie często sobie zadawałem – czy wszystko się ułożyło? – i tego wieczoru modliłem się, żeby tak było. Moje ówczesne obowiązki dobiegły końca. Modliłem się, żeby wszyscy ci, którymi się zajmowałem, przeżyli, że zastosowałem właściwą terapię. I było jeszcze to małe dziecko z Mauthausen, o którym często myślałem i które starałem się pozostawić za sobą, muszę jednak wyznać, że nie opuszczało mojego umysłu.

Niestety, Priska czuła się zbyt niezdrowa, aby spotkać się z Pete'em i podziękować mu osobiście. Rok później zmarła. Hana pozostawała z nim w kontakcie, a nawet odwiedziła go w domu tuż przed jego śmiercią w wieku osiemdziesięciu jeden lat, w roku 2010, niedługo po tym, jak została honorowym i dożywotnim członkiem Stowarzyszenia Weteranów 11. Dywizji Pancерnej. Pete osierocił czterech synów, trzynaścioro wnuków oraz dziesięcioro prawnuków. Choć LeRoy Petersohn przeżywał po wojnie trudne chwile, zawsze mawiał, że najlepszą rzeczą, jakiej w życiu dokonał, było uratowania tego dziecka.

Dla Hany zamknęły się zatem jedne drzwi, lecz jednocześnie inne się otworzyły. W 2008 roku Eva Clarke, sześćdziesięcioletnia córka Anki (która nadal

żyła, miała 90 lat) przypadkowo weszła na stronę internetową Stowarzyszenia Weteranów 11. Dywizji Pancerniej i postanowiła nawiązać kontakt. W mailu datowanym na wtorek, 20 maja, podziękowała żołnierzom amerykańskim za uwolnienie matki i siebie. Dodała:

Urodziłam się w Mauthausen 29 kwietnia 1945 roku. Moja mama, Anka Bergman, twierdzi, że żołnierze amerykańscy zrobili nam setki zdjęć, ale my nigdy nie widziałyśmy ani jednego. Byłybyśmy ogromnie wdzięczne za jakąkolwiek informację na temat owych fotografii. Nasza historia została opisana w witrynie Thunderbolt.

Hana, mieszkająca po drugiej stronie Atlantyku, zauważyła ten artykuł i ledwo mogła uwierzyć w to, co czyta. Inne dziecko? Urodzone w Mauthausen? Zanim obóz wyzwolono? Od czasu publikacji niemieckich rejestrów pozostawionych we Freibergu, Hana wiedziała, że – co zdumiewające – we Freibergu oraz w pociągu były też inne ciężarne kobiety, w tym Polka, kapo, zakładała jednak, że nie przeżyło żadne z tych dzieci ani większość ich matek. (Lata później dowiedziała się o jednym niemowlęciu urodzonym w Mauthausen już po wyzwoleniu, któremu dano na imię Robert na cześć akuszerki z Belgradu, który przyjmował poród. Dziecko żyło zaledwie kilka tygodni, zginęła również jego matka,

Gerty Kompert, kuzynka ocalonej Lisy Mikovej).

Przez stronę Thunderbolt Hana odpowiedziała na list Ewy i dwa „maleństwa” – które dzieliło ponad sześć tysięcy kilometrów – mogły się wreszcie poznać. Także Eva była wstrząśnięta na myśl, że gdzieś na świecie istnieje osoba, której matka doświadczyła tych samych przerażających rzeczy co jej własna. W starym wydaniu czasopisma „Thunderbolt” znalazła pierwszy list Hany; nie mogła się nadziwić podobieństwu przeżyć ich matek. Priska i Anka były dwiema więźniarkami pośród tysięcy innych, nigdy się nie spotkały ani nawet o sobie nie wiedziały, a jednak obie jakimś cudownym sposobem wydały na świat dzieci, które – co budziło jeszcze większe zdumienie – przetrwały.

Po wymianie wielu maili z władzami austriackimi, które w latach 60. XX w. przekształciły Mauthausen w imponujące muzeum-pomnik (także pod naciskiem stowarzyszenia Błyskawic), Hana i Eva zgodziły się wziąć udział w uroczystości sześćdziesiątej piątej rocznicy wyzwolenia obozu, która odbyła się 8 maja 2010 roku. Miała to być ostatnia oficjalna wizyta weteranów amerykańskich, których liczba stale się zmniejszała, a wielu dopadały dolegliwości związane z wiekiem oraz zniedołężnienie. Kurczyły się również szeregi osób wyzwolonych z obozu, dlatego urzędnicy austriackiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Wiedniu zaplanowali wielką imprezę, w której miały wziąć udział

głowy kilku państw. Gdy informację tę podano na stronie internetowej weteranów, łącznie z wiadomością, że na uroczystości stawią się Eva i Hana, otworzyły się nagle kolejne drzwi losu.

Oto pewien młody nowojorczyk, który przeglądał wspomnianą witrynę internetową w poszukiwaniu wiedzy o wyzwolicielach swojego ojca, natknął się na biuletyn. Charlie Olsky, lat trzydzieści dwa, był najmłodszym synem Marka i Mary, szefem działu reklamy w firmie dystrybucji filmów na Manhattanie. Charlie pełnił też rolę nieformalnego historyka rodziny, potrafił od swojej babci Racheli wydobyć więcej informacji niż ktokolwiek inny. To właśnie on, jako chłopiec, zwiedzał z nią sale Muzeum Yad Vashem. Teraz postanowił zorganizować swojemu ojcu urodzinową niespodziankę.

„Charlie powiedział mi: »Na twoje sześćdziesiąte piąte urodziny jadę do Mauthausen, a ty jedziesz ze mną«” – wspominał Mark. „Nie byłem tam od 1945 roku, chociaż podczas wizyty w Dachau znajdowałem się niecałe pięćdziesiąt kilometrów od tego miejsca. Kilka razy pytałem mamę, czy chciałaby tam wrócić, ale ona zawsze odpowiadała, że to ostatnie, czego chce na tym świecie. Mówiła: »To był zły, potworny, brzydki obóz. Ale jeszcze bardziej przygnębiające od niego było to, że zaraz obok znajdowało się jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi«”.

Bez wiedzy Marka Charlie w najdrobniejszych szczegółach zaplanował całą podróż, w tym spotkanie z Haną i Evą. Kilka dni przed wyjazdem (idąc za radą swojej matki Mary, która obawiała się reakcji Marka na tego typu niespodziankę), zdradził ojcu tajemnicę.

„Oświadczył: »Muszę ci coś powiedzieć« i opowiedział mi o dwóch innych »maleństwach« urodzonych w obozie: że się z nimi komunikował i że będę mógł je poznać w Mauthausen. Byłem oszołomiony. Wprawdzie moja matka słyszała, że w obozie rodziły się dzieci, nigdy ich jednak nie widziała na własne oczy i nie wiedziała, czy to prawda. Jako lekarz nie brałem nawet pod uwagę możliwości, że jakiegokolwiek inne noworodki mogły przeżyć transport tak jak ja. Ale nie miałem nawet szansy przetrwać tej informacji, a już wsiadaliśmy do samolotu”.

Dopiero w czasie lotu z Nowego Jorku do Europy, Mark miał czas zastanowić się nad tym, co go wkrótce czekało. Rozmyślał, jakie mogą być owe „obozowe dzieci”. „Pierwszą moją myślą było, że to przecież dwie zupełnie obce osoby, które nie mają ze mną nic wspólnego, z wyjątkiem podobnego wieku oraz miejsca i okoliczności narodzin. Ostrzegałem samego siebie, żeby nie spodziewać się po tym spotkaniu zbyt wiele. Doszedłem do wniosku, że pewnie będzie miło, ale że nie są to chyba ludzie, których chciałoby się mieć za sąsiadów do końca życia”.

Po przyjeździe do Mauthausen „obozowe dzieci” zostały ciepło przywitane przez oficjeli i organizatorów. Przygotowano dla nich pobyt w hotelach w Linzu, by mogły odpocząć przed całodziennymi uroczystościami, jakie miały rozpocząć się nazajutrz rano. Kilka godzin po rozpakowaniu bagaży, cała trójka umówiła się na spotkanie w kawiarni przy zabytkowym rynku miasta, wobec którego Hitler miał kiedyś tak wielkie plany; każde czuło się teraz dziwnie podenerwowane.

Eva i jej mąż Malcolm przyszedli dość wcześnie, zajęli miejsca przy stoliku i czekali. Do kawiarni weszła najpierw Hana z mężem, a potem Mark i Charlie.

„Przywitaliśmy się ze sobą i nagle wszyscy jednocześnie zaczęliśmy się śmiać i płakać” – wspominała Eva. „To było niesamowite. Odnależliśmy się, pierwszy raz w życiu się spotkaliśmy, niewiarygodny zjazd »rodzinny«. Mieliśmy poczucie, że wszystko to jest całkiem naturalne, że tworzy się między nami prawdziwa więź emocjonalna”.

Trójka ocalonych siedziała w kawiarni całe popołudnie, rozmawiając, a Charlie wydarzenie to filmował. Mężowie Hany i Ewy dyplomatycznie wymknęli się, by dzieci Priski, Racheli, i Anki mogły swobodnie rozmawiać o swoich matkach oraz o tym, co wiedziały o własnych narodzinach. Rozstali się bardzo niechętnie, a kilka godzin później spotkali ponownie w miejscowej restauracji, gdzie gawędzili dalej niczym starzy

przyjaciele.



Eva, Mark i Hana na spotkaniu w Mauthausen, 2010 r.

Mark opowiadał: „Spotkaliśmy się. Obie były miłe i serdeczne, ładne i przyjemne. Potem zaczęliśmy rozmawiać. Pomyślałem: »Hej, naprawdę interesujący, cudowni ludzie! To nie może być tylko zbieg okoliczności. One mają ciekawe życie i tak, są dla mnie jak rodzina!«. Obie kobiety należały do tego rodzaju osób, z którymi miałbym wielką ochotę się zaprzyjaźnić. Nie umiem tego dobrze wyjaśnić, ale czułem się jak na spotkaniu rodzinnym – natychmiast nawiązała się między nami fajna, pełna ciepła przyjaźń. Jakbym spotkał członków rodziny. Smutne było to, że z powodu

powojennego chaosu nie dane nam było poznać się wcześniej”.

Ponieważ wszyscy troje wychowywali się jako jedynaki, mieli to samo zaskakujące poczucie wspólnoty, i od razu zdali sobie sprawę, że zawsze już będą sobie bliscy. Mark wspominał: „Niesamowite jest widzieć obok siebie ludzi, którzy przeszli to samo. A tylu umarło, zostało zabitych, było torturowanych. Nam się udało. Czulem się jak ktoś, kogo porwano z rodzinnego domu i kto nagle odzyskał rodzinę!”.

Hana mówiła: „Zetknął nas ze sobą przypadek, teraz jednak utworzyła się między nami trwała więź oraz poczucie wspólnoty. Ogromnie się cieszę, że mogę nazywać ich bratem i siostrą”. Hana lubiła żartować ze swoim nowym „rodzeństwem”, że jako najstarsza (urodzona 12 kwietnia 1945 roku), powinna być traktowana z największym szacunkiem. Mark (urodzony 20 kwietnia) oponował przeciwko temu, twierdząc, że jako jedyny chłopak zasługuje na największą estymę. Eva (urodzona 29 kwietnia), czyli „maluch”, z przyjemnością przypominała rodzeństwu, że jest od nich dużo młodsza. „Wszystkie nasze matki były bardzo silnymi kobietami, za co jesteśmy wdzięczni” – dodaje.

Następnego dnia wybrali się razem do Muzeum Mauthausen, gdzie każde z nich odczuło ciężar historii, jaki dźwigają. Eva, która jako jedyna odwiedziła wcześniej obóz, nadal czuła ogromne emocje, kiedy

wpatrywała się w posępną bramę wejściową, w której cieniu przyszła na świat. Baraki, usytuowane kiedyś na wzgórzu, miejsce pobytu chorej Hany i Marka razem z ich matkami, gdzie pozostawiono ich na pewną śmierć, już nie istniały, ale widok na Alpy austriackie był taki, jakim opisywały go ich nieżyjące matki.

Ciała osób pogrzebanych na cmentarzysku utworzonym na boisku do piłki nożnej zostały ekshumowane i ponownie złożone do grobów na cichej, otoczonej murem nekropolii pośrodku obozu. Tam, gdzie kiedyś stały rzędy baraków dla więźniów, rozciągał się teraz wypielegnowany ogród, nad którym wznosił się szereg niezwykle imponujących kamiennie-metalowych pomników na cześć *Häftlingów* ze wszystkich więzionych w obozie narodów.



Pomnik Czechosłowaków i brama, gdzie urodziła się Eva

„Obozowe dzieci” zeszyły razem po kilku stopniach do drzwi komory gazowej o ścianach wykładanych białymi płytkami, ze złowrogimi czarnymi rurami. Nie mogły wydobyć z siebie głosu. Według ideologii nazistowskiej wszyscy troje powinni byli wydać swoje ostatnie tchnienie w tym dusznym miejscu, w ramionach matek. Los miał jednak wobec nich inne plany. Po wojnie, znalazłszy się w domach, dzieci te nigdy nie poznały swoich ojców, wychowywały się w przeświadczeniu, że

rozpaczliwe okoliczności ich narodzin oraz cud ocalenia dowodzą, że każde z nich jest jedynym, które przetrwało to piekło. Mylili się.

Rok po wizycie w Mauthausen troje „rodzeństwa serc” spotkało się ponownie, tym razem w Anglii. W styczniu 2011 roku wybrali się do rodzinnego miasta Evy, czyli Cambridge, aby wziąć udział w specjalnej uroczystości w ramach Dnia Pamięci o Holokauście w Guildhall. Tam Hana i Mark po raz pierwszy zetknęli się z Anką. Matka Evy, mająca dziewięćdziesiąt trzy lata, krucha fizycznie, lecz o żywym umyśle, była wyraźnie wzruszona, spotykając pozostałe dzieci, które przeżyły obóz – uściskała je serdecznie. Hana wspominała: „Poznanie Anki to był bardzo emocjonujący moment. Żałuję, że nie spotkała się z moją matką. Powiedziała mi wtedy: »Ty też jesteś moją córką«, a ja naprawdę się nią czułam”. Mark podobnie to odebrał. „Miałem szczególne odczucie. To była cudowna kobieta – szczęśliwa, radosna, elokwentna, z wielkim poczuciem humoru, o znakomitej pamięci”.

„Obozowe dzieci” spotkały się wkrótce raz jeszcze, znów w Mauthausen, 8 maja 2013 roku, gdzie dokonały otwarcia nowej wystawy, w ramach której wystawiano wierne repliki czepka i sukienki Hany, wykonane na podstawie oryginałów wypożyczonych przez amerykańskie Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. Anka, która właśnie obchodziła swoje dziewięćdziesiąte szóstę urodziny, nie czuła się na tyle

dobrze, by pojechać do Austrii; dwa miesiące później zmarła. Jej pogrzeb w Cambridge relacjonowano w Internecie, tak by mieszkający w Australii wnuk i jego rodzina mogli wziąć udział w ceremonii i nabożeństwie pożegnalnym. Także Hana i Mark – przybrane dzieci Anki – oglądali uroczystość w Sieci, w ten sposób żegnając ostatnią obozową matkę.

Owe niezwykle kobiety – dziś już świętej pamięci – nie tylko znalazły w sobie dość hartu ducha, by dawać sobie radę i przetrwać w miejscu, w którym przetrwanie było niemal niemożliwe, lecz miały także dość męstwa i determinacji, ażeby to samo zapewnić swoim dzieciom. Dzieci te później też miały dzieci; narodziło się drugie, a potem trzecie pokolenie, a ich życie stanowi dowód, że hitlerowski plan wymazania Żydów z historii i z pamięci poniósł całkowitą porażkę.

Duchy ich matek, a także milionów tych, którzy zginęli w czasie wojny, domagają się ciągłego opowiadania ich historii, której nie wolno nigdy zapomnieć. Hana mówiła: „Wszyscy staramy się żyć jak najlepiej i zapełnić tę pustkę, jaka po nich pozostała. Dla uczczenia ich pamięci, każdy dzień jest nową obietnicą”.

Zawsze myślące o sobie nawzajem cudownie ocalone dzieci Priski, Racheli i Anki – urodzone, by przetrwać – nie mogły, niestety, wziąć udziału w upamiętnieniu ofiar, realizowanym przez miasto Freiberg w 2015 roku. Projekt, zatytułowany „My wciąż tu jesteśmy”, połączył

trzy pokolenia mieszkańców miasta oraz krewnych osób ocalałych z obozu koncentracyjnego, stał się kulturowym świętem promującym literaturę o Holokauście, muzykę, poezję i sztuki plastyczne; obejmował zajęcia dla młodzieży, a także wymianę szkolną uczniów z Freibergu i miasta partnerskiego Ness Ziona w Izraelu. „Obozowe dzieci” przybyły na piękne wzgórze z Muzeum Mauthausen w maju 2015 roku, pięćset kilometrów na południe od Freibergu, aby uczcić siedemdziesiątą rocznicę wyzwolenia obozu.



Mark, Eva i Hana biorą udział w marszu pamięci
w Mauthausen

W miejscu, które miało stać się ich grobem – mimo że

w tym czasie nazistowska tyrania już dogorywała – siedemdziesięcioletnie sieroty mocno ścisnęły się za ręce i przeszły razem przez obozową bramę, śladami stóp trzech kobiet, które nie tylko przeżyły niewyobrażalny horror, ale także pokonały śmierć, ocalając im życie.

Stańcie do apelu

Trzy kobiety, których historie są główną treścią niniejszej książki, przez Hitlera i jego oprawców straciły ponad dwudziestu członków swych rodzin. Śmierć zbierała też żniwo wśród dalszej, lecz zawsze żywej przecież rodziny: dziadków, ciotek, wujków, kuzynów, szwagrów, teściów i tak dalej, i dalej; z powierzchni ziemi zostały wymazane całe pokolenia i całe społeczności.

Nazwiska i twarze tych ukochanych członków rodzin to tylko kropla w morzu milionów tych, którzy zniknęli, ginąc z rąk ludzi przyznających sobie prawo decydowania o ich życiu bądź śmierci.

Wielu nazwisk nie poznamy nigdy.

Żadna z tych osób, kiedyś kochanych, nie spoczywa w poświęconym grobie, nie ma swojego pomnika.

Nie mają wiecznej kwatery, która znaczyłaby miejsce ich brutalnej śmierci.

Nie ma dokąd pójść, aby przypomnieć sobie ich twarze, niegdyś tak pełne nadziei.

Jest tylko to miejsce...

Mężowie i ojcowie

Tibor Löwenbein (1914–1945)

Monik Friedman (1916–1945)

Bernd Nathan (1904–1945)

Rodzice

Emanuel Rona (1884–1944)

Paula Ronová (1889–1944)

Szaja Abramczyk (1870–1944)

Fajga Abramczyk (1898–1944)

Stanislav Kauder (1870–1944)

Ida Kauderová (1882–1944)

Selma Nathanová (1880–1944)

Ita Friedman (1899–1944)

Rodzeństwo

Boežka Ronová (1910–1944)

Moniek Abramczyk (1923–1943)

Heniek Abramczyk (1931–1944)

Dorka Abramczyk (1931–1944)

David Friedman (daty urodzin i śmierci nieznane)

Avner Friedman (daty urodzin i śmierci nieznane)

Anička „Maniusia” Abramczyk (1933–1944)

Zdena Isidorová (1904–1944)

Herbert Isidor (1916–1944)

Ruzena Mautnerová (1906–1944)

Dzieci

Peter Mautner (1935–1944)

Dan Nathan (luty 1944–kwiecień 1944)

„Żadne wieki z pamięci swej was nie wymażą”.

Wergiliusz

Bibliografia i materiały źródłowe

Badania przeprowadzone przez autorkę oraz inne niepublikowane źródła:

Wywiady autorki z ocalałymi z Holokaustu: Haną Berger Moran, Markiem Olskym, Evą Clarke, Sally Wolkoff, Gerty Meltzer, Ester Bauer, Lisą Mikovą, Wernerem Reichem, Maksem R. Garcia i Bronią Snow.

Wywiady autorki z rodzinami osób ocalonych: Charliem Olskym, Shirley Speyer, Janą Zimmer, Brianem K. Petersohnem, Jean Gore, Larrym Kosiekiem, Stephanie Sullivan, Julie K. Rosenberg, Davidem Federem, Miki Feder i Johnem Tygierem.

Wizyty dokumentacyjne autorki w Krakowie, Auschwitz I i II, Łodzi, Pabianicach, Chełmnie, Pradze, Terezynie, Horní Bříza, Třebechovicach pod Orebem, Złotych Morawcach, Hradcu Královém, Drevikovie, Bratysławie, Seredzie, Freibergu, Linzu, Moście, Pilźnie, Czeskich Budziejowicach oraz Mauthausen.

Dokumenty i fotografie otrzymane od historyka doktora Michaela Düsinga oraz przeprowadzone przez autorkę wywiady z nim i z Cornelią Hünert z Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego we Freibergu, Niemcy.

Wywiady autorki z Pascalem Cziborrą z Wydziału Historii, Filozofii i Teologii Uniwersytetu w Bielefeld,

Niemcy.

Wywiady autorki ze Zdenkiem Procházką, zastępcą burmistrza miasta Horní Bříza, jego córką Michaelą, nieżyjącą już historyczką, panią Boženą Royovą oraz tamtejszymi mieszkańcami, Jaroslavem Langiem i Vaclavem Stepankiem, Czechy.

Wywiad autorki z Ditą Valentovą w Třebelchovicach pod Orebem, Czechy.

Wywiad autorki z Martinem Winstone'em z Krajowego Centrum i Muzeum Holokaustu, Nottinghamshire, Wielka Brytania.

Wywiad autorki z położną Abby Davidson, Londyn.

Niepublikowana osobista relacja o przeżyciach Anki Bergman, spisana przez jej córkę Evę Clarke, 2009.

Niepublikowana osobista relacja o przeżyciach Klary Löffovej, spisana przez jej córkę Janę Zimmer, 2000.

Niepublikowany list, zawierający szczegółowy opis przeżyć Priski Lomovej, do Związku Antyfaszystowskich Bojowników, 1990.

Niepublikowana korespondencja między Tiborem Löwenbeinem a jego żoną Priską, 1941.

Wywiady z Anką Bergman, przeprowadzone przez Frances Rapport, profesor Metodologii Badań Ilościowych nad Zdrowiem, Swansea University, Walia, 2007.

Niepublikowane listy osób ocalałych, dokumenty kolei oraz fotografie, upublicznione za zgodą Muzeum

w Horní Bříza, Republika Czeska.

Dokumenty i zdjęcia za zgodą Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu w Polsce, a także wywiady autorki z doktorem Wojciechem Płosą, kierownikiem Działu Archiwum, doktorem Piotrem Setkiewiczem, kierownikiem Centrum Badań oraz przewodniczką po muzeum Anną Ren.

Dokumenty i fotografie za zgodą Muzeum Żydowskiego w Pradze, w Republice Czeskiej; wywiad autorki z archiwistkami Julie Jenšovską i Radaną Rutovą.

Archiwalne zeznania świadków:

Lomová Priska, Wywiad 15134. Internet 2014. *Visual History Archive*. USC (University of Southern California) Shoah Foundation (sfi.usc.edu).

Olsky Rachel, Wywiad 15161. Internet 2014. *Visual History Archive*. USC Shoah Foundation (sfi.usc.edu).

Bergman Anna, Wywiad 28239. Internet 2013 *Visual History Archive*. USC Shoah Foundation (sfi.usc.edu).

Wolkoff Sally, Wywiad 12886. Internet 2014. *Visual History Archive*. USC Shoah Foundation (sfi.usc.edu).

Meltzer Gerty, Wywiad 1686. Internet 2014. *Visual History Archive*. USC Shoah Foundation (sfi.usc.edu).

Freeman Abraham, Wywiad 16384. Internet 2014. *Visual History Archive*. USC Shoah Foundation (sfi.usc.edu).

Sfilmowany wywiad z Anką Bergman, przeprowadzony przez Jeana Laurenta Greya i Solomona J. Salata dla Muzeum-Pomnika w Mauthausen.

The Baby Born in a Concentration Camp, film dokumentalny
BBC, producent Emily Davis, 2011.

Defiant Requiem: Voices of Resistance, film dokumentalny
PBS, reżyseria Doug Schultz, 2012.

Nazi Propaganda Film About Theresienstadt/Terezin, Film ID
2310, Steven Spielberg Film & Video Archive.

Liberation of Mauthausen (oraz KZ Gusen I, II & III),
autorstwa byłego sierżanta sztabowego Alberta J.
Kosiaka, „Thunderbolt”, Stowarzyszenie Weteranów
11. Dywizji Pancerniej „Błyskawice”, tom 8, nr 7, maj-
czerwiec 1955, za zgodą jego syna Larry’ego Kosiaka.

Wywiad z Priską Lomovą przeprowadzony przez
redaktor Evę Richterovą w gazecie „Bojovník”, organie
Svazu Protifašistických Bojovníkov, 1980.

Wywiad z Anką Bergman przeprowadzony przez Helgę
Amesberger dla Projektu Dokumentacyjnego Osób
Ocalałych z Mauthausen, 2003.

Bibliografia:

Helen Lewis, *A Time to Sapek*, The Blackstaff Press, 1992.

Marek Jan Chodkiewicz, *After the Holocaust*, Columbia
University Press, 2003.

Hermann Langbein, *Against All Hope: Resistance in the Nazi
Concentration Camps 1938–1945*.

Max Hastings, *All Hell Let Loose, The World at War 1939–45*,
Harper Press, 2011.

Wiesław Kielar, *Anus Mundi, 1500 Days in
Auschwitz/Birkenau*, Times Books, 1972.

Max Hastings, *Bomber Command*, Pan, 1979.

Anna Cichopek-Gajraj, *Beyond Violence: Jewish Survivors in Poland and Slovakia, 1944–48*, Cambridge University Press, 2014.

Sebastian Haffner, *Defying Hitler*, Weidenfeld & Nicholson, 2002.

Louis J. Michels, *Doctor 117641, A Holocaust Memoir*, Yale University, 1989.

Frederick Taylor, *Dresden*, Bloomsbury, 2004.

Olga Lengyel, *Five Chimneys*, Academy Chicago, 1947.

Lyn Smith, *Forgotten Voices of the Holocaust*, Avebury Press, 2005.

Francis Rapport oraz Anka Bergman, Terry Farago i Edith Salter, *Fragments, Transcribing the Holocaust*, Hafan Books, 2013.

Helga Weiss, *Helga's Diary*, Penguin, 2013.

Hilda Schiff, *Holocaust Poetry*, St Martin's Griffin, 1995.

Peter Longerich, *Holocaust, The Nazi persecution and murder of the Jews*, Oxford University Press, 2010.

Rudolf Vrba, *I Escaped from Auschwitz*, Robson Books Ltd., 2006.

I Never Saw Another Butterfly, Shocken Books, 1993.

Gordon J. Horwitz, *In the Shadow of Death: Living Outside the Gates of Mauthausen*, The Free Press, 1990.

David Bankier *Jews are Coming Back*, Berghahn Books, 2005.

Pascal Cziborra, *KZ Freiberg*, Lorbeer Verlag, 2008.

Kunst Und Kultur Im Konzentrationslager Mauthausen 1938–1945, Die Austeller, 2013.

Ruth Kluger, *Landscapes of Memory*, Bloomsbury, 2003.

Otto Dov Kulka, *Landscapes of the Metropolis of Death*, Penguin, 2014.

Beatrice Fontanel, *L'homme barbelé*, Grasset & Fasquelle, 2009.

Thomas Weber, Martin Parr, Timothy Prus, Chris Boot, *Lodz Ghetto Album*, 2005.

Evelyn Le Chêne, *Mauthausen, The History of a Death Camp*, Methuen, 1971.

Gerald L. Posner i John Ware, *Mengele*, First Cooper Square Press, 2000.

Martin Gilbert, *Never Again, A History of the Holocaust*, Harper Collins, 2000.

Celia S. Heller, *On the Edge of Destruction: Jews of Poland between the Two World Wars*, Wayne State University Press, 1993.

Vera Gissing, *Pearls of Childhood*, Pan Books, 1988.

Hermann Langbein, *People in Auschwitz*, The University of North Carolina Press, 2004.

Poetry of the Second World War, An International Anthology, pod red. Desmonda Grahama, Pimlico, 1998.

Peter Demetz, *Prague in Danger: The Years of German Occupation, 1939–45*, Farrar, Straus and Giroux, 2009.

Robin Jones, *Railways and the Holocaust: The Trains that Shamed the World*, Mortons Media, 2013.

Claude Lanzmann, *Shoah*, Da Capo Press, 1995.

Gila Flam, *Singing for Survival: Songs of the Lodz Ghetto, 1940–45*, 1992.

St. Georgen-Gusen-Mauthausen. *Concentration Camp Mauthausen Reconsidered*, BoD, 2008.

Survival, Holocaust Survivors Tell Their Story, Quill, 2003.

Survival, Holocaust Centre.

Primo Levi, *Survival in Auschwitz*, Touchstone, 1996.

Roman Frister, *The Cap or the Price of a Life*, Weidenfeld & Nicholson 1999.

The Chronicle of the Lodz Ghetto, 1941–44, pod red. Łucjana Dobroszyckiego, Yale University Press, 1987.

The Concentration Camp Mauthausen 1938–1945, New Academic Press, 2013.

The Diary of Dawid Sierakowiak: Five Notebooks from the Łódź Ghetto, pod red. Alana Adelsona, Bloomsbury, 1997.

Steve Sem-Sandberg, *The Emperor of Lies*, Farrar, Straus and Giroux, 2011.

Gitta Sereny, *The German Trauma, Experiences and Reflections 1938–2000*, Penguin 2000.

Martin Gilbert, *The Holocaust: A History of the Jews of Europe During the Second World War*, Holt Paperbacks, 1987.

Martin Winstone, *The Holocaust Sites of Europe: An Historical Guide*, I.B. Tauris, 2014.

Ann Weiss, *The Last Album: Eyes from the Ashes of Auschwitz-Birkenau*, W.W. Norton & Co, 2001.

Edith Hofman, *The Last Goodbye*, Memoirs Publishing,

2012.

Michael Hirsh, *The Liberators, America's Witnesses to the Holocaust*, Bantam Books, 2010.

Martin Gilbert, *The Righteous*, Doubleday, 2002.

The Terezín Diary of Gonda Redlich, pod red. Saula S. Friedmana, University Press of Kentucky, 2008.

Ludmilla Chladková, *The Terezín Ghetto*, Pamatnik Terezín, 2005.

Zdenka Fantlová, *The Tin Ring*, Northumbria Press, 2010.

Hedi Engchelberg, *The Trains of the Holocaust*, Engpublishing, 2014.

The Visible Part, Photographs of Mauthausen concentration camp, Wiedeń: Mandelbaum, 2005.

To the Bitter End, The Diaries of Victor Klemperer, Trafalgar Square, 1999.

Ruth Elias, *Triumph of Hope*, Wiley & Sons, 1998.

Michael Düsing, *Wir Waren zum Tode Bestimmt*, Leipzig: Forum Verlag, 2002.

Martin Berenbaum, *Witnesses to the Holocaust*, Harper Collins, 1997.

Inne źródła archiwalne:

Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau

(<http://www.pl.auschwitz.org.pl/>)

Muzeum w Terezínie (<http://www.pamatnik-terezin.cz>)

Muzeum KZ Flossenbürg (www.gedenkstaette-flossenbuerg.de)

Muzeum-Pomnik

Mauthausen

(<http://www.mauthausenmemorial.at/>)
Amerykańskie Muzeum Holokaustu
(<http://www.ushmm.org>)
Yad Vashem (<http://www.yadvashem.org>)
Żydowska Biblioteka Wirtualna
(www.jewishvirtuallibrary.org)
Fundacja Pamięci Ofiar Pracy Niewolniczej w Auschwitz
(www.fcsla.org)
Centrum Komunikacji Janusza Korczaka
(www.korczak.com)
The Museum of Jewish Heritage (www.jewishgen.org)
Portal Informacyjny Europejskich Miejsc Pamięci
(www.memorialmuseums.com)
11. Dywizja Pancerna (www.11tharmoreddivision.com)
Muzeum Żydowskie w Pradze (www.jewishmuseum.cz)
Holocaust Educational Trust (www.het.org.uk)
The National Holocaust Centre and Museum
(www.holocaustcentre.net)
Witryna Edukacyjna o Holokauście CZ
(<http://www2.holocaust.cz/en/main>)
The Imperial War Museum (www.iwm.org.uk)

Podziękowania

Jeśli chodzi o badanie wydarzeń dawno minionych oraz ich bohaterów, z których niewielu już pozostało przy życiu, my, pisarze, mamy ogromny dług wdzięczności wobec tych, którzy zdecydowali się swoje doświadczenia zapisać, a także tych, którzy zechcieli ich historię zarejestrować, nim będzie za późno. Nie jestem tu żadnym wyjątkiem; bez wspaniałomyślnej postawy zarówno osób, które przeżyły tamte czasy, jak i rzetelnych i pracowitych historyków, którzy je odnaleźli, książka ta nigdy nie mogłaby powstać.

Z całą pokorą i wdzięcznością wyrażam szczególny podziw dla odwagi i uporczywości Priski, Racheli i Anki – trzech matek, których nieugięta wola życia stanowi oś narracyjną niniejszej publikacji. Niestety, nigdy nie dane mi było ich poznać osobiście, jednak spędziwszy z nimi tak dużo czasu, odnoszę wrażenie, jakbym je dobrze znała. Miałam też niezwykle przywilej swobodnego dostępu do wspomnień, którymi kobiety te dzieliły się ze swoimi rodzinami, zarówno w formie ustnej, jak i spisanej, a także do licznych wypowiedzi sfilmowanych, nagranych i udokumentowanych, jakich na przestrzeni lat udzieliły innym badaczom. Z każdej z nich przebijała nadzieja.

Moja praca badawcza nie byłaby właściwie możliwa

bez wspaniałomyślności i pomocy ich trojga „maleństw” – Hany, Marka i Evy – którzy, co muszę z dumą podkreślić, mianowali mnie swoją honorową siostrą.

Ich uprzejmość, cierpliwość, łaskawość oraz chęć współpracy przy wypełnianiu różnych luk uczyniły tę książkę znacznie bogatszą, niż byłaby bez nich. Mam jedynie nadzieję, że właściwie przedstawiłam ich niezwykle historie.

Jestem również wdzięczna członkom najbliższych rodzin wspomnianych osób, które okazały mi nie mniejszą uprzejmość, w tym Mary i Charliemu Olskym, Shirley Speyer, Markowi Moranowi, Julie Z. Rosenberg, Davidowi i Miki Federom oraz profesorowi Malcolmowi A. Clarke'owi.

Kiedy w 2013 roku przypadkiem natrafiłam na opowieść o dzieciach urodzonych w obozach w czasie Holokaustu, pierwszą osobą, z którą się wówczas skontaktowałam, była Eva Clarke. Myślałam wtedy, że jest ona jedynym dzieckiem, które przetrwało niezwykle drogę swojej matki. Lecz w chwili, gdy powiedziała mi o istnieniu Hany i Marka oraz o tym, że stali się dla siebie „rodzeństwem serca”, zrozumiałam, że do mojej książki muszę włączyć także ich historie, a epicka opowieść powinna rozciągać się na całe stulecie. W ten sposób powstał pomysł na *Urodzonych, by żyć*.

Podczas długich przygotowań do realizacji tego pomysłu towarzyszyli mi różni ludzie i organizacje

z ośmiu krajów, osoby, które ocalały z Holokaustu, i ich rodziny, inni pisarze, urzędnicy rządowi oraz mnóstwo pełnych zaangażowania fachowców zatrudnionych w placówkach archiwalnych. Wszyscy oni byli niezwykle otwarci i wspaniałomyślni, dzielili się ze mną swoim czasem i wiedzą. Szczególne słowa podziękowań kieruję do osób ocalałych z Holokaustu: Sally Wolkoff z Tennessee, Gerty Meltzer (z domu Taussig) z Arizony, Lisy Mikovej z Pragi, Esther Bauer z Yonkers, Maksa R. Garcii z San Francisco, Wenera Reicha z Nowego Jorku oraz Broni Snow z Surrey – wszyscy powierzyli mi swoje najświętsze wspomnienia. Jestem również wdzięczna Janie Zimmer z Kalifornii za bezcenne refleksje na temat jej nieżyjącej matki Klary Löffovej, Brianowi K. Petersohnowi z Chicago za wspomnienia o ojcu LeRoyu „Pecie” Petersohnie, Larry’emu Kosiekowi z Illinois za opowieści o swoim tacie, sierżancie Albercie J. Kosieku, a także Jean Gore za impresje wspomnieniowe dotyczące jej ojca, majora Harolda G. Stacy’ego. Dziękuję Stephanie Sullivan za dostęp do fotografii jej ojca Paula E. Soldnera, jednego z wyzwolicieli Mauthausen, oraz mojemu przyjacielowi Johnowi Tygierowi z Londynu za podzielenie się ze mną doświadczeniami, które jego rodzina przeżyła w Łodzi, Treblince i Związku Sowieckim.

Wyjątkowo pomocna i serdeczna okazała się też pełna zaangażowania ekipa z Muzeum Mauthausen, pracująca

pod auspicjami austriackiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Wiedniu. Jestem wdzięczna, że ministerstwo zgodziło się na prowadzenie moich poszukiwań w miejscu, w którym matki i ich maleńkie dzieci zostały wyzwolone w maju 1945 roku, tym samym „rodząc się ponownie”. Doktor Barbara Glück niezwykle trafnie mnie nakierowywała, a z ekipy Projektu Pamięci na szczególne wyróżnienie zasługuje Thomas Zaglmeier, który podczas mojej pierwszej wizyty pełnił funkcję mojego osobistego przewodnika po obozie – swoją codzienną, stałą i cichą pracą nieustannie przyczynia się do zachowywania pamięci o ocalałych.

Pomagają mi w tym (a także zespołowi edukacyjnemu Muzeum) świetnie przygotowani Christian Angerer, jak również Peter Egger oraz Helga Amesberger z Projektu Dokumentacyjnego Ocalałych z Mauthausen, którzy hojnie obdarowali mnie swoim czasem i materiałami. Chciałabym podziękować również profesorowi doktorowi Albertowi Lichtblau z Uniwersytetu w Salzburgu za zachętę i pomoc. Wyrazy wdzięczności kieruję też do Stephana Matyusa, Jochena Wollnera, Doris Warlitsch i Renate Paschinger z siedziby głównej Projektu w Wiedniu. Robert Vorberg był nie tylko najbardziej pomocny ze wszystkich historyków i archiwistów, z którymi pracowałam, ale także na tyle miły – razem ze swoim kolegą Christianem Dürrem – że wykonał korektę oraz weryfikację faktów we

fragmentach niniejszej książki dotyczących Mauthausen. Jeśli chodzi o Monachium, wdzięczna jestem Ulrichowi Fritzowi z Bawarskiej Fundacji Pamięci (Projekt Podobozy Koncentracyjne w Bawarii).

W niemieckim Freibergu żyje człowiek, który niezmordowanie troszczy się o pamięć o więźniarkach obozu. Doktor Michael Düsing zajmował się odszukiwaniem osób ocalałych, napisał na ten temat szereg książek, angażował też miejscowe dzieci w realizację projektów upamiętniających te wydarzenia, przyczynił się do wmurowania tablicy na cześć tych, którzy zginęli za sprawą reżimu nazistowskiego. Determinację doktora Düsinga, by w jego rodzinnym mieście nigdy nie zapomniano o obozach pracy niewolniczej na tym terenie, wspiera aktywnie Cornelia Hünert z Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego we Freibergu. Oboje wychodzili z siebie, aby pomóc mi w poszukiwaniach, i byli tak uprzejmi, że poświęcili wolny weekend, zabierając mnie na wycieczkę po obozie.

Podczas zbierania informacji o tym, co działo się we Freibergu, więcej niż cierpliwością wykazał się wobec mnie Johannes Ibel, szef Działu Historycznego Muzeum Obozu Koncentracyjnego we Flossenbürgu. Podobnie postąpił pisarz i historyk Pascal Cziborra z Wydziału Historii, Filozofii i Teologii Uniwersytetu w Bielefeld – uprzejmie odpowiadał na moje niekończące się pytania. Dziękuję też doktorowi Peterowi Schulzemu

z Hanoweru, który w moim imieniu wykonywał prace badawcze.

Gdy pierwszy raz zwiedzałam Auschwitz, emocje były nieuniknione; na szczęście moja znakomita przewodniczka Anna Ren przekazywała mi informacje o tych potwornościach z takim spokojem, że jakimś cudem stało się to do zniesienia. Jestem także wdzięczna doktorom Wojciechowi Płosie, kierownikowi Działu Archiwum, oraz Piotrowi Setkiewiczowi, kierownikowi Centrum Badań, za ich czas i cierpliwość; obaj spotkali się ze mną w obozie, odpowiadali na moje pytania, pomagali wybierać najważniejsze zdjęcia oraz przeszukiwać bazę danych. Wielce pomocna okazała się również Alicja Białecka. Podróżowanie po Polsce w każdy możliwy sposób ułatwiał mi mój wyjątkowy kierowca, tłumacz i przewodnik Łukasz Jaros.

Szczególne podziękowania składałam Julie Jenšovskiej i Radanie Rutovej z Muzeum Żydowskiego w Pradze w Republice Czeskiej. Jestem wdzięczna Anecie Plzákovej z Instytutu Terezínské iniciativy, Tomowi Fedoroviczowi, wydawcy pisma o artefaktach historycznych, a także Evie Nemcovej z działu dokumentacji.

Na specjalną wzmiankę w tej książce zasługują mieszkańcy miasteczka Horní Bříza oraz przyjęcie, jakiego doświadczyłam w tym mieście od zastępcy burmistrza Zdenka Procházky i jego córki Michaeli – mogłam dzięki temu sama odczuć tę wielką dobroć, jaką

ich przodkowie okazali więźniom. Jestem ponadto zobowiązana miejscowej pani historyk, wielce szanownej Bożenie Royovej oraz panom Jaroslavowi Langowi i Vaclavowi Stepankowi za ich poruszające świadectwa, którymi dotąd z nikim się nie dzielili.

Jestem dłużniczką Dity Valentovej, właścicielki dawnej fabryki rodziny Anki w Třeběchovicach pod Orebem, która uprzejmie pokazała mi miejsce, gdzie Anka dorastała. Evie Richterovej wdzięczna jestem za pełen wrażliwości wywiad, jaki przeprowadziła z Priską.

Profesor Frances Rapport wielkodusznie umożliwiła mi dostęp do wyników swoich badań zdrowia Anki Bergman na walijskim Swansea University. Chciałabym podziękować również producentce Emily Davis oraz ekipie BBC, którzy stworzyli wybitny film dokumentalny *The Baby Born in a Concentration Camp* (Dziecko, które urodziło się w obozie koncentracyjnym) – dzięki niemu zobaczyłam Ankę za życia. Elevation Youth Dance Company z Cambridge wykonało świetną pracę, tworząc przedstawienie baletowe zatytułowane *Historia Anki*, które razem z Evą miałyśmy szczęście obejrzeć podczas Edinburgh Festival Fringe – wyszłyśmy stamtąd całkiem zapłakane.

Składam hołd pracownikom USC Shoah Foundation posiadającej w swych archiwach liczne zeznania, dzięki którym tak wiele nigdy dotąd nieopowiedzianych historii ujrzano światło dzienne, a także wszystkim tym, którzy

odważnie rejestrowali swoje wspomnienia, abyśmy my mogli pamiętać to, co niektórzy chcieliby z pamięci wymazać. W szczególny sposób pragnę wyrazić wdzięczność za pomoc kustoszowi Crispinowi Brookswi oraz Dougowi Ballmanowi, szefowi External Relations Online Archive, Georgianie Gomez, nadzorującej dostęp do danych w Instytucie Historii Wizualnej i Edukacji Uniwersytetu Południowej Kalifornii. W Wielkiej Brytanii wspierał mnie bardzo kompetentny Russell Burke, konsultant ds. informacji w Bibliotece w Bedford z Royal Holloway na Uniwersytecie Londyńskim, który umożliwił mi wgląd do akt Fundacji Shoah, nieudostępnianych publicznie.

Jeśli chodzi o znakomite Krajowe Centrum i Muzeum Holokaustu w angielskim Nottinghamshire, wdzięczna jestem Jamesowi Coxowi, dyrektorowi ds. komunikacji społecznej, a zwłaszcza pisarzowi Martinowi Winstone'owi, który zechciał przeczytać pierwszą wersję tej książki. Chcę podziękować za pomoc Maaty'emu Frenkelzonowi z Archiwum Zdjęć w Yad Vashem. W Museu d'Història de Catalunya na moją wdzięczność zasłużyła Francesca Rosés, która dzieliła się ze mną informacjami o posiadanych przez tę placówkę fotografiach.

Jestem zobowiązana Fredowi M. McCormickowi, kierownikowi ds. komunikacji społecznej i praw autorskich wydawnictwa Uniwersytetu w Kentucky, za

umożliwienie mi wykorzystania fragmentów dzienników Gondy Redlich. Wyrażam wdzięczność Danowi O'Brienowi, administratorowi witryny internetowej 11. Dywizji Pancерnej, a także wszystkim żyjącym członkom stowarzyszenia „Błyskawic” i ich rodzinom, z których wielu kontaktowało się ze mną. Kilku pisarzy okazało się ogromnie wielkodusznych, oferując mi swój czas i informacje, m.in. Michael Hirsh i Ken Breck, który zechciał wykorzystać swój notatnik z numerami kontaktowymi do wyzwolicieli obozu.

Niezwykła akuszerka, pani Abby Davidson, podała mi bezcenne informacje o samym procesie porodowym, a także wskazaniach medycznych dla niedożywionych matek i ich małych dzieci. Memu przyjacielowi Michaelowi Bröllochsowi winna jestem kilka piw za jego nieocenione przekłady z niemieckiego, a Anne Gray za tłumaczenia z francuskiego – butelkę Montrachet.

Miałam gigantyczne szczęście współpracować z nadzwyczajną ekipą wydawniczą, dowodzoną w Londynie przez genialnego Adama Strange'a z firmy Little, Brown, którego entuzjazm dla mego projektu nie słabł od chwili, gdy przeczytałam mu pierwszą stronę książki, niemal zmuszając go do płaczu. Wierzę, że stworzyliśmy książkę historyczną, o jaką mu chodziło. Dziękuję też niedoścignionej Ursuli Mackenzie, dyrektorce w Little, Brown, z którą współpraca zawsze przynosi pożądane efekty, oraz redaktor Rhiannonie

Smith i adiustatorowi Steve'owi Gove'owi. Następne podziękowania kieruję do szefów działu reklamy, analiz fotograficznych i marketingu: Victorii Gilder, Kirsteen Astor, Zoe Hood, Lindy Silverman i Charliego Kinga za ich słowa zachęty, a do Sophie Burden za jej brytyjską kurtkę.

Niestrudzone pracownice działu praw autorskich, Andy Hine, Kate Hibbert i Helena Doree, trzymały mnie za rękę przez cały okres delikatnych negocjacji międzynarodowych i licytacji. Przez pole minowe przepisów prawnych i kontraktów pomagał mi przejść żelazny duet: Sarah Burton i Kate Pool ze Stowarzyszenia Pisarzy w Londynie. Chciałabym podziękować wszystkim zagranicznym wydawcom, którzy zachwycali się tą pracą na Londyńskich Targach Książki w 2014 roku i później, a także wszystkim agentom wydawniczym i tłumaczom z różnych krajów, dyrektorom artystycznym, profesjonalistom od marketingu i sprzedaży, którzy wykonali świetną robotę, by ta niesamowita historia ujrzała światło dzienne. Szczególnie wdzięczna jestem memu polskiemu wydawcy, pani Soni Dradze, która spotkała się ze mną w Auschwitz. Podziękowania kieruję też do Joeski de Wijs z House of Books w Holandii, Anji Benzenhöfer z RBA Libros w Hiszpanii, Claudii Cocci z Edizioni Piemme SpA we Włoszech, Henrika Karlssona z Massolit Forlagsgruppe AB w Szwecji, Kirsten Fasmer z Rosinante

& Co. w Danii, Nikołaja Naumenki z AST w Rosji, Marcusa Streckera i Maura Palerma z Globo Editora w Brazylii, Frédérique Poleta z Presses de la Cité we Francji, Antonína Kočíego z Mlada Fronta w Czechach, Juhami Korolainena z Minervy w Finlandii, Giseli Lal Aghighi z Weltbild w Niemczech, Guilhermego Piresa z 20/20 Editoria w Portugalii.

Słowa podziękuję kieruję do redaktor Claire Wachtel z Harper Collins USA, która sama jest córką osoby ocalałej z Holokaustu; umiejętnie wspierali ją zastępca redaktora naczelnego Hannah Wood, dyrektor ds. reklamy Leslie Cohen, starszy kierownik ds. marketingu Penny Matras oraz amerykański projektant okładek Milan Bozic. Wdzięczna jestem utalentowanej agentce literackiej Mary Anne Thompson ze Stanów Zjednoczonych, która jak nikt inny potrafi nadać sprawie rozgłos. Lucy Ferguson, moja wydawnicza orędowniczka i przyjaciółka-podpora, upewniała mnie, że jestem na właściwej drodze. Carly Cook to jedna z kilku redaktorek, której umiejętności ogromnie podziwiam, a także budząca szacunek kobieta o wyjątkowej przenikliwości. Jestem bardzo wdzięczna, że zgodziła się rzucić swym zawodowym okiem na mój rękopis, zanim pozwoliłam to zrobić innym.

Intensywność realizacji tego projektu nieco zmniejszyła spojrzenie z perspektywy dzięki niemal codziennym kontaktom z moją najlepszą przyjaciółką

Clare Arron. Jej siła, odwaga i niezmiennie dobry humor w obliczu przeciwności losu stale mnie inspirowały. Razem przeszliśmy przez ten rok.

I na koniec szczerze podziękowania dla Chrisa, mojego męża i najlepszego kumpla – człowieka, który śmieje się zawsze tak, jakby wygrał na loterii, ma wielkie sprawne ręce i jeszcze większe i sprawniejsze serce. Jak się to działo niezliczoną ilość razy, stracił mnie na całe miesiące, ale nie tylko nigdy się nie skarżył, lecz wręcz sam zagłębił się w tej historii, eskortował mnie i wspierał, dostarczał całego mnóstwa dzbanków z herbatą, a także – ratunkowo – ginu z tonikiem. Wybacz mi te nocne koszmary.

Wendy Holden
